

THRILLER PSYCHOLOGICZNY

ERIN KELLY

# Kłamca



*Komu  
uwierzysz?*

# Kłamca

ERIN KELLY

# Kłamal



# Klamala

Przełożyła  
**Anna Bereta-Jankowska**

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2019

# Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Pierwszy kontakt](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

## [Drugi kontakt](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

## [Całkowite zaćmienie](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

## Trzeci kontakt

44

45

46

47

48

50

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

## Czwarty kontakt

62

63

64

65

66

## Podziękowania

Tytuł oryginału: *He Said/She Said*

Redakcja: Ewa Polańska

Korekta: Beata Wójcik

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz

Ilustracje na okładce: © treasure dragon/shutterstock, © Bubbers BB/shutterstock, © Dmytro Kogut/shutterstock, © Daveconstantini/shutterstock, © digieye/shutterstock

Copyright © 2017 by Erin Kelly

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2019

Copyright © for the Polish translation by Anna Bereta-Jankowska, 2019

Wydanie I

ISBN:978-83-8015-981-5

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

*Dla mojej siostry Shony*

Istnieje pięć faz całkowitego zaćmienia Słońca.

Pierwszy kontakt: na tarczę Słońca wstępuje cień Księżyca. Słońce wygląda, jakby ktoś je nadgryzł.

Drugi kontakt: Słońce niemal w całości zakryte jest przez Księżyc. Ostatnie promienie słoneczne wymykają się przez szczeliny pomiędzy kraterami Księżyca, upodabniając zjawisko do pierścionka z brylantem.

Zaćmienie całkowite: Księżyc kompletnie zakrywa Słońce. To najbardziej dramatyczna i groźna faza całkowitego zaćmienia Słońca. Niebo ciemnieje, temperatura spada, ptactwo i inne zwierzęta niejednokrotnie milkną.

Trzeci kontakt: Cień Księżyca zaczyna się odsuwać, a tarcza Słońca z powrotem staje się widoczna.

Czwarty kontakt: Księżyc przestaje przesłaniać Słońce. Zaćmienie mija.





Stoimy ramię przy ramieniu przed upstrzonym lustrem. Nasze odbicia unikają spojrzenia sobie w oczy. Tak jak ja jest ubrana na czarno i widać, że podobnie jak ja wybrała strój starannie. Żadna z nas nie jest oceniana, przynajmniej nie oficjalnie, ale obie wiemy, że w sprawach takich jak ta kobieta nie uniknie osądu.

Kabiny za nami są puste, drzwi stoją otworem. W sądzie to gwarancja prywatności. Nie tylko na miejscu dla świadka należy pilnować każdego słowa.

Odchrząkuję, a odgłos odbija się echem od wyłożonych płytkami ścian, niczym miniatura naśladowująca doskonałą akustykę holu. Tu wszędzie mieszka echo. Korytarze rozbrzmiewają urzędowym stukiem drzwi oraz skrzypieniem wózków transportujących akta, zbyt ciężkie, by nosić je w rękach. Wysokie sufity wyłapują słowa i odrzucają je z powrotem zniekształcone, zdeformowane.

Ogromne przestrzenie i przesadnie wielkie sale sądu łudzą iluzją swej wszechwładzy. To celowe – żeby nikt nie zapomniał o swojej marności w obliczu potęgi maszyny sądu karnego, żeby przyćmić niebezpieczną, jarzącą moc wypowiedzianych pod przysięgą słów.

Czas i pieniądz też uległy wypaczeniu. Sprawiedliwość pożera złoto, zabezpieczenie własnej wolności kosztuje dziesiątki tysięcy funtów. Siedząca w galerii dla publiczności Sally Balcombe ma na sobie biżuterię wartą tyle, co skromne mieszkanie w Londynie. Nawet skóra, którą obity jest sędziowski fotel, cuchnie forszą. Prawie czuję ten zapach w nozdrzach.

Za to toalety, jak wszędzie, pokazują, że wszyscy jesteśmy równi. Tu, w damskiej, nadal nikt nie naprawił spłuczki, nie dolał mydła do pojemnika, zamki w drzwiach nie działają jak należy. Z niesprawnych rezerwuarów płyną z szumem strużki wody, uniemożliwiając dyskretną rozmowę. Gdybym chciała cokolwiek

powiedzieć, musiałabym krzyczeć.

Lustruję jej odbicie. Luźna sukienka maskuje jej kształty. Moje włosy – lśniące i długie, pierwsza rzecz, którą pokochał we mnie Kit, włosy, które, jak twierdził, wręcz świecą w ciemności – upięłam w belferski kok. Obie wyglądamy... skromnie. To chyba właściwe określenie, choć dotąd nikt nigdy mnie tak nie określił. Nie ma w nas śladu kobiet z festiwalu – dziewczyn, które pomalowały sobie ciała i twarze na złoto, żeby wirować i wyć w księżycowej poświacie. Tamtych dziewczyn już nie ma, umarły, każda na swój własny sposób.

Gdzieś na zewnątrz z hukiem zamykają się ciężkie drzwi, wyrrywając nas z zamyślenia. Widzę, że jest tak samo zdenerwowana jak ja. Nasze odbicia wreszcie spotykają swój wzrok i każda z nas bezgłośnie zadaje drugiej pytania zbyt trudne, zbyt niebezpieczne, by ubrać je w słowa.

Jak do tego doszło?

Jak się tu znalazłyśmy?

Jak to wszystko się skończy?

# Pierwszy kontakt





LAURA

18 marca 2015

Zanieczyszczenie świetlne w Londynie jest jednym z największych w Wielkiej Brytanii, ale nawet tu, na północnych przedmieściach, o czwartej nad ranem da się zobaczyć gwiazdy. Lampy w naszym gabinecie na poddaszu są wyłączone i niepotrzebny mi teleskop Kita, żeby dostrzec Wenus, niczym kolczyk wpiętą w półksiężyc.

Miasto mam za plecami, a przede mną roztacza się ponad dachami widok zdominowany przez Alexandra Palace. Za dnia to wiktoriańskie monstrum z żeliwa, cegły i szkła, ale przed brzaskiem jest tylko wbijającym się w niebo szpikulcem, z masztem radiowym ozdobionym na szczycie świecącą czerwoną kropką. Pasujący kolorem autobus nocny przemyka pustą drogą przecinającą park. Całodobowa kultura tej części Londynu jest bardziej autentyczna niż w West Endzie. Ledwie zamykają ostatnie stoisko z tureckim kebabem, polska piekarnia rusza z pierwszą dostawą. Nie zamieszkałam tu z wyboru, ale zdążyłam pokochać to miejsce. W zgiełku kryje się anonimowość.

Dwa samoloty przecinają sobie drogę migającymi światełkami. Piętro niżej Kit leży pogrążony we śnie. On wyjeżdża, ale to ja nie mogę spać z przedpodróżnych nerwów. Nie pamiętam, kiedy ostatnio przespałam całą noc, ale tym razem bezsenność nie ma nic wspólnego z dzidzusiemi w moim brzuchu, stepującymi mi

po pęcherzu i budzącymi mnie kopniakami. Kit określił kiedyś prawdziwe życie jako nudny przerywnik pomiędzy zaćmieniami, ale dla mnie to okres bezpieczeństwa. Beth dwukrotnie przemierzała świat, żeby nas odnaleźć. Jesteśmy widoczni tylko, gdy podróżujemy. Kilka lat temu wynajęłam prywatnego detektywa i zleciłam mu odszukanie nas wyłącznie na podstawie papierowego tropu naszych poprzednich tożsamości. Nie dał rady. A jeśli on nie potrafił tego dokonać, to nikt nie miał szans. Z pewnością nie Beth ani nawet człowiek dysponujący takimi środkami jak Jamie. Ostatni list od niego trafił do mnie czternaście lat temu.

To całkowite zaćmienie będzie pierwszym, które Kit obejrzy beze mnie, odkąd się poznaliśmy. Nawet zaćmienia, które go ominęły, przepadały z mojego powodu i w moim towarzystwie. Podróże w moim stanie nie są najlepszym pomysłem, ale jestem za niego tak wdzięczna, że nie żałuję, że nie zobaczę zjawiska, choć drzę ze strachu o Kita. Beth mnie zna. Zna nas. Dobrze wie, że wyrządzenie krzywdy jemu to zniszczenie mnie.

Obserwuję, jak Księżyc zachodzi spokojnym łukiem. Śledzenie jego biegu to przemyślany akt uważności, terapia życia chwilą, która powinna powstrzymać moje ataki paniki, zanim mnie ogarną. Charakterystyczny, wczesny symptom już jest – subtelne stanie na baczność wszystkich porastających skórę włosów, jakby ktoś muskał mi przedramiona cieniutką apaszką. Nazywają to somatyzacją, fizyczną manifestacją psychologicznych szkód. Uważność ma na celu pomóc mi oddzielić somę od psyche. Gram w połączeń kropki na konstelacjach. Oto Orion, jeden z niewielu gwiazdozbiorów, który rozpozna każdy, a tam, rzucone trochę na północ, to Siedem Sióstr, na których cześć nadano nazwę pobliskiemu osiedlu.

Kiwam się na stopach, od pięt po kłęb i z powrotem, skupiając uwagę na włóknach dywanu pod bosymi palcami. Nie mogę okazać Kitowi zdenerwowania. Po pierwsze, zepsułoby mu to wyjazd, a po drugie, zaproponowałyby dalszą psychoterapię, a ja pociągnęłam to już do granic możliwości. Niestety, pole do popisu jest ograniczone, gdy strzeże się tajemnicy takiej jak moja. Terapeuci zawsze powtarzają, że sesje są poufne, jakby ich leżanka z Ikei miała świętość

konfesjonau. Moja spowiedź to przyznanie się do złamania prawa i nikomu nie ufam na tyle, by powierzyć mu sekret. Ani ten kraj, ani moje serce nie przewidują przedawnienia czynu, który popełniłam.

Gdy udaje mi się wyrównać oddech, odwracam się od okna. Wystarczy światła, bym widziała mapę Kita. Nie oryginał, rzecz jasna, ten uległ zniszczeniu, ale kopię odtworzoną z mrówczym trudem. To ogromna mapa plastyczna świata, poprzecinana krzywymi czerwonej i złotej nici, wymierzonymi do najmniejszego milimetra i przyklejonymi z charakterystyczną precyzją. Złotymi łukami zaznaczone są zaćmienia, które już widział, a czerwonymi te, które możemy mieć nadzieję zaobserwować. Powrót do domu i zastąpienie czerwonych nici złotymi to część rytuału. (Kit, jak to on, obliczył oczekiwaną długość swojego życia, opierając się na historii rodzinnej, stylu życia i trendach długowieczności, i dopuścił pewne zniedołężnienie ograniczające podróże w okolicach dziewięćdziesiątki. Ostatnie zaćmienie powinniśmy podziwiać w roku 2066).

Lata temu, kiedy Beth powiodła palcami po pierwszej mapie, opowiedziałam jej o naszych planach.

Ciekawe, gdzie teraz jest. Czasem zastanawiam się, czy w ogóle jeszcze żyje. Nigdy nie życzyłam jej śmierci – choć wyrządziła nam tyle krzywd, przecież sama też była ofiarą – ale niejednokrotnie marzyłam, żeby... zniknęła; tak, to chyba właściwe słowo. Nie mam jak się dowiedzieć. Spróbujcie wstukać w wyszukiwarkę „Elizabeth Taylor” – zobaczycie, jak daleko zajdziecie bez aktorki lub pisarki niweczających wasze poszukiwania. Wygląda na to, że zniknęła równie skutecznie jak my.

Od lat nie próbowałam szukać Jamiego. Zbyt niekomfortowo się czuję po tym, jaki miałam w to wszystko wkład. Opłaciła się jego PR-owa krucjata i teraz, kiedy wpisuje się go w internecie, przestępstwo wyskakuje tylko w dopuszczonym przez niego kontekście. Pierwsze kilka trafień dotyczy jego pracy przy kampaniach i wsparcia, jakiego udziela niesłusznie oskarżonym, i zresztą słusznie oskarżonym również, lobbując za anonimowością aż do chwili skazania. Nie jestem w stanie przeczytać więcej niż kilka linijek, bo robi mi się niedobrze. Zależy mi jednak,

żeby być na bieżąco, więc rozwiązałam sprawę, ustawiając powiadomienie w Google'u, który łączy jego nazwisko z jedynym liczącym się słowem. Wyszukiwanie wiążące jego dane z imieniem Beth nie ma żadnego sensu – zagwarantowano jej dożywnością anonimowość. Mówi o tym prawo, niezależnie od wyniku tego typu procesu. W zasadzie miała szczęście – w pewnym sensie chyba wszyscy je mieliśmy – że do sprawy doszło przed rozkwitem mediów społecznościowych i zgarbionych nad klawiaturami samozwańczych obrońców, dla których identyfikacja jest tym, czym łowy dla myśliwego.

Światło na podeście świadczy o tym, że Kit już nie śpi. Robię głęboki wdech i jeszcze głębszy wydech i ogarnia mnie spokój. Odparłam atak. Podwijam rękawy swetra, który mam na sobie. Należy do Kita i wcale nie wyglądam w nim najlepiej, ale w miarę leży, a ja już od lat wybieram ubrania, kierując się wygodą. Jeszcze zanim zaszłam w ciążę, sterydy zaokrągliły mi biodra i piersi i ciągle jeszcze nie nauczyłam się dopasowywać stroju do obcych mi dotąd kształtów.

Schodzę boso na dół, ostrożnie mijając płaskie paczki nierozpakowanych jeszcze łóžeczek. Kiedy Kit wróci, będziemy musieli przekształcić znajdującą się z tyłu domu sypialnię Juno i Piper w pokój dziecięcy. Powstrzymuje mnie przesąd, opór przed wszelkim działaniem, zanim nie będę pewna, że Kit przetrwał tę podróż.

Zastaję go siedzącego w łóžku, już sprawdza w telefonie prognozę pogody, a jego jasnomiedziane włosy sterczą na wszystkie strony. Słowa „nie jedź” cisną mi się do ust. Świadomość, że zostałyby, gdybym go o to poprosiła, wystarcza, żebym pozwoliła mu ruszyć.





KIT

18 marca 2015

Już nie śpię. Leżę przez kilka sekund, wsłuchując się w kroki Laury nade mną i napawając się radością jak w bożonarodzeniowy poranek. Emocje rosną, kiedy abstrakcyjne liczby na kalendarzu wreszcie przeobrażają się w dni. Od lat wiedziałem, że 20 marca 2015 roku Księżyc przesłoni Słońce, tworząc na niebie czarną tarczę. Całkowite zaćmienia Słońca znaczący oś mojego życia, odkąd po raz pierwszy stanąłem pod cieniem Księżyca. W Chile w 1991 roku nastąpiło kluczowe zaćmienie minionego stulecia – siedem minut i dwadzieścia jeden sekund nieskazitelnej całkowitości. Miałem wtedy dwanaście lat i zrozumiałem, że resztę życia poświęcę na odtwarzanie tego doznania. Nic nie może się równać z doświadczeniem całkowitego zaćmienia Słońca na bezchmurnym niebie. Zanim poznałem Laurę, była to moja najskuteczniejsza próba zrozumienia religii.

Pościel po jej stronie łóżka jest zimna. Kiedy wchodzi do pokoju, brzuch wyprzedza ją troszkę, a jej policzki są zapadnięte ze zmęczenia. Włosy upięła wysoko, widać odrosty, milimetr brązu, odcinający się niczym czerń na tle długich, platynowych pasm. Ma na sobie jeden z moich starych swetrów, z rękawami podwiniętymi po łokcie. Nigdy nie wyglądała piękniej. Kiedy zaczęliśmy się starać o dziecko, martwiłem się, że będzie mi brakowało jej ektomorficznej niezdarności, która zawsze mnie rozczulała, ale czuję nieznaną dotąd dumę na widok

zmieniającego się ciała Laury, bo przecież jest tam cząstka mnie.

– Wracaj do łóżka – mówię. – Nie powinnaś biegać po nocy.

– Już się rozbudziłam. Położę się jeszcze, jak już pojedziesz.

Pod prysznicem po raz ostatni przebiegam w myślach dzisiejszy plan podróży, najdrobniejsze szczegóły mojego wielkiego projektu. O 5.26 złapię metro z Turnpike Lane, potem o 6.30 przesiądę się na King's Cross i pojedę do Newcastle, gdzie spotkam się z Richardem o 9.42. Stamtąd wycarterowany mikrobus zabierze nas do portu w Newcastle i o przyjemnie równej 11.00 wsiądziemy na pokład Princess Celeste, wyposażonego w sześćset koi wycieczkowca, którym przemierzmy Morze Północne, minimy Szkocję i dotrzemy w pół drogi na Islandię, gdzie leżą Wyspy Owcze. Większość piątkowego zaćmienia widoczna będzie z wody, ale nawet spokojne morze nie jest całkiem gładkie i najlepsze zdjęcia robi się jednak z lądu. Musiałem wybrać pomiędzy Wyspami Owczymi a Svalbardem, na północ od północnego koła podbiegunowego. (To Laura chciała, żebym popłynął na Wyspy Owcze. Najliczniejsze tłumy nawiedzą Torshavn na Strømø, największej z wysp, a ona wyznaje zasadę, że im więcej, tym bezpieczniej). Za dwa dni, o 8.29, Księżyc zacznie wkładać się na tarczę Słońca, zmierzając ku dwuipółminutowemu całkowitemu zaćmieniu.

Osuszam ręcznikiem bródkę, którą Laura kazała mi zapaść na podróż, po czym starannie wkładam ubranie przygotowane poprzedniego wieczoru. Moje robocze ciuchy – nie uniform, ale w sumie na jedno wychodzi – wiszą grzecznie w szafie, lekko szarpiąc moje sumienie. Choć jestem zachwycony perspektywą pięciu dni z dala od laboratorium optycznego, to jednak nie mogę uwolnić się od poczucia winy, że wykorzystuję urlop na wyjazd, zamiast dorzucić to później do tacierzyńskiego. A potem przypominam sobie o chemikaliach, które wdycham od tak dawna, że zaimpregnowały mi już płuca, i o zeszywniałym karku od roku wyciągającym się nad soczewkami, który może wreszcie podnieść głowę, by spojrzeć w niebo, i myślę sobie, co tam, do cholery. Mam resztę życia, żeby grać rolę troskliwego ojca. Czym jest pięć dni z perspektywy kosmosu?

Wkładam bluzę termoaktywną z długim rękawem, a na wierzch szczęśliwy T-shirt, pamiątkę z mojego pierwszego zaćmienia. Ma napis „Chile '91” – kraje zawsze przywłaszczają sobie zaćmienia, nawet jeśli cień pada na trzy kontynenty – i jest w kolorach chilijskiej flagi. Widniejące pośrodku proste, czarne kółko reprezentuje przesłonięte Słońce, otoczone rozbłyskami korony. Kiedy tata kupił mi tę koszulkę od przydrożnego sprzedawcy, wisiała na mnie jak sukienka. Mac odmówił noszenia swojej, ale ja tej nie zdejmowałem nawet do prania. Jeszcze na mnie pasuje, ale za parę lat przestanie, jeśli śladami Maca nie trafię na siłownię. Jest troszkę wypalona przy szyi, gdzie podczas kłótni w Arubie w 1998 roku trafił mnie rzucony przez Maca skręt. Na te warstwy wkładam jeszcze wspaniałe dzieło, istny majstersztyk z grubej, biało-czarnej wełny. Już ładne parę miesięcy temu kupiliśmy sobie z Richardem przez internet sweterki z Wysp Owczych. Wydeptujemy mocne ślady węglowe, zabierając je z powrotem do ojczyzny, gdzie pasły się owce i gdzie ktoś prządł wełnę i zrobił dzianinę.

Jeszcze raz sprawdzam w telefonie, czy warunki atmosferyczne nie zmieniły się przypadkiem w ciągu ostatnich dziesięciu minut, ale prognozy pozostają ponure. Cały archipelag zasnuwa gruba pierzyna chmur. „Pogoń za zaćmieniem” to chyba nietrafiona nazwa, choć z czasem nauczyłem się bronić tego terminu. Jak można gonić zjawisko, kiedy to ty się przemieszczasz, a ono stoi w miejscu? Przede wszystkim, w zaćmieniu nie ma nic nieruchomego – mrok nadchodzi z prędkością ponad tysiąc sześciuset kilometrów na godzinę. Cóż, rzeczywiście współrzędne są niezmiennie. Cień padnie tam, gdzie padnie, według wzoru ustalonego w czasach, gdy byliśmy jeszcze zupą pierwotną. Ale chmury nie są wcale tak przewidywalne. Nieoczekiwany cumulus potrafi rozczarować wielotysięczny tłum, jeszcze chwilę wcześniej beztrudno cieszący się słońcem. Najbardziej emocjonujące jest przechytrzenie pogody. Najcieplejsze wspomnienie o moim ojcu zapisało mi się w pamięci w Brazylii, w 1994 roku: jedziemy z Makiem na pace volkswagena taty, pędzącego wyboistą drogą, aż znajdujemy skrawek błękitnego nieba. (Z perspektywy czasu uświadamiam sobie, że prowadził po pijanemu, na tym jednak staram się nie skupiać).

W dzisiejszych czasach, rzecz jasna, istnieją specjalne aplikacje. Przerwy w chmurach można wskazać z o wiele większą dokładnością i zdarza się, że całe wycieczki autobusowe poznają punkt obserwacyjny na pięć minut przed pierwszym kontaktem. Odwracam telefon wyświetlaczem do dołu. Zwariuję, jeśli będę zbyt mocno myślał o pogodzie. Na szczęście zawsze dobrze mi szło odsuwanie myśli, które mogłyby mnie rozproszyć lub sprawić mi przykrość. W nielicznych chwilach, kiedy pozwalam sobie wrócić do przeszłości – a to tylko wtedy, gdy na horyzoncie rysuje się zaćmienie i Laurze puszczają nerwy – w tych rzadkich momentach wydaje mi się, że życie od czasu Lizard Point toczy się jak pod zepsutym neonem. Przyzwyczajasz się do subtelnego, ale nieprzerwanego, drżącego migania żarówki, choć wiesz, że w końcu spowoduje ono jakiś atak czy wylew.

Z dołu rozchodzi się aromat świeżo zaparzonej kawy. Laura jest w kuchni, pięć schodków niżej, z tyłu domu. Nasz zachwaszczony ogródek spowija jeszcze mrok. Naląła mi napój do kubka, a teraz pakuje w folię kanapkę. Całuję Laurę za prawym uchem i wdycham jej maślany zapach.

– Nareszcie, usłużna żona, o której zawsze marzyłem. Powinienem częściej wyjeżdżać.

Czuję, jak spina się jej kark, ale ona mimo to posyła mi uśmiech.

– To zasługa hormonów – mówi. – Nie przyzwyczajaj się.

– Obiecuj, że wrócisz do łóżka, kiedy odjadę – proszę.

– Obiecuję – odpowiada.

Ja jednak znam Laurę. Miałem nadzieję, że ciąża trochę ją spowolni, ale sterydy tylko dodały jej tempa, więc przejdzie dzień jak burza, aż wreszcie padnie około dwudziestej pierwszej. Przeciera blat gąbką i wyrzuca do śmieci kapsułki po kawie. Odwrócona do mnie plecami, pociera nagie przedramiona, dwa razy, jakby strącała ze skóry urojone pajęczyny. Nie robiła tego od miesiący, może nawet lat, ale to zawsze znaczy, że myśli o Beth. Po raz milionowy żałuję, że brak jej mojej dyscypliny w kwestii przeszłości, albo wpływu, jaki przeszłość może wyrzucić na naszą przyszłość. Po co tracić energię, denerwując się czymś, co może się nigdy nie wydarzyć? Powtarza się to przy każdym zaćmieniu, choć o Beth nie słyszeliśmy od

dziewięciu lat. Laura odwraca się do mnie z przesadnie szerokim uśmiechem, przybierając dla mnie swoją dzielną minę. Nie wie, że widziałem, jak pociera rękę. Może sama nie jest świadoma, że to zrobiła.

– Jakie masz plany na dzisiaj? – pytam, starając się jak najtrafniej wybadać jej nastrój.

– Z samego rana dzwonię do klienta. A po południu zajmę się VAT-em. A ty, planujesz coś?

Jej żart dodaje mi otuchy. Kiedy jest na skraju załamania, poczucie humoru znika jako pierwsze.

Plecak czeka spakowany od trzech dni. Połowa niemałego ładunku to sprzęt fotograficzny, obiektywy, ładowarki i trójnóg, baterie, odzież nieprzemakalna i po sztuce zapasowego ubrania. Aparat podróżuje w osobnej torbie, zbyt cenny, żeby zostawić go bez opieki na półce bagażowej. Telefon chowam do kieszeni na piersi pomarańczowej wiatrówki.

– Bardzo szykownie – ocenia sucho Laura. – Masz wszystko, co może się przydać?

Wkładam kanapkę do drugiej kieszeni, sprawdzam, czy łatwo mi sięgnąć po kartę do metra, i zarzucam plecak na ramiona. Omal nie przewracam się w tył.

Laura bez ostrzeżenia przestaje się uśmiechać i znów dwukrotnie przeciera przedramiona. Tym razem napotykam jej wzrok i zaprzeczenie jest równie zbędne jak wyjaśnienie. Mogę tylko dodać jej otuchy.

– Sprawdziłem listę pasażerów – mówię. – Nie ma tam Beth Taylor. Żadnych Taylorów. Żadnej Elizabeth Jakiejś Tam. W ogóle nie ma B ani E, niczego żeńskiego.

– Wiesz, że to o niczym nie świadczy.

To fakt, wiem. Zdaniem Laury Beth zmieniła swoją tożsamość. Nie zgadzam się z nią, to tylko objaw jej paranoi. Z takim imieniem i nazwiskiem można się ukryć dosłownie wszędzie. Tym zresztą się kierowaliśmy, gdy sami nadawaliśmy sobie nowe nazwisko. Po co chować igłę w stogu siana, skoro można tam schować źdźbło trawy?

– A nawet jeśli to prawda – naciska Laura – to znaczy tyle, że nie płynie twoim statkiem. A jeśli będzie czekać na lądzie?

Mówię powoli i wyraźnie:

– Jeżeli tam się zjawi, będzie szukała festiwalu. Miejsca z nagłośnieniem i mnóstwem bongo, bo tam będzie się nas spodziewała. Ja będę się trzymał grupy emerytowanych Amerykanów. A nawet jeśli przyjmie inną taktykę, Torshavn to spore miasto, w którym będzie się roić od turystów, przecież przyjeżdża jedenaście tysięcy ludzi.– Przyglądzam bródkę. – Poza tym mam swój sprytny kamuflaż. Będę ostrożny. Będę chodził wszędzie z peryskopem i sprawdzał każdą ulicę, zanim skrucę za róg. – Udaję, że patrzę przez palce, ale nie rozbawia jej to. – Mac mieszka tuż obok, Ling dwie ulice dalej, do mojej mamy masz godzinę, a twój tata jest w każdej chwili pod telefonem.

– Nic na to nie poradzę, Kit.

Widzę, jaka jest zła na siebie za to, że się rozkleiła, bo mocno przygryza wargę. Jedną ręką przyciągam ją do siebie, a drugą rozpuszczam jej włosy z byle jak związanego koczka i przeczesuję je palcami, tak jak lubi. Samotna łza stacza się po nieprzemakalnej powierzchni mojej kurtki. Biorę głęboki wdech i wypowiadam jedyne zdanie, które potrzebuje usłyszeć.

– Zostanę, jeśli chcesz.

Uwalnia się z mojego uścisku i przez mrozącą krew w żyłach chwilę mam wrażenie, że robi to po to, bym mógł wygodnie zdjąć plecak. Ale nie, sięga po torbę z aparatem i z namaszczaniem zakłada mi na szyję jej pasek, jakby dekorowała mnie medalem olimpijskim. W ten sposób daje mi błogosławieństwo i zdaję sobie sprawę, ile ją to kosztuje.

– Uważaj na siebie – mówi.

– To ty uważaj na siebie. To znaczy na was – poprawiam się i nie bacząc na konsekwencje, przyklękam, żeby ucałować jej brzuch. Uda palą mnie, gdy próbuję wrócić do pionu.

– Nie jest najgorzej. Mógłbym jechać do Svalbard. W zeszłym tygodniu zjadł tam kogoś niedźwiedź polarny.

– He, he – rzuca, ale bez przekonania.

Dla niej Beth Taylor jest bardziej przerażająca niż jakikolwiek niedźwiedź ludożerca. Wiem, co sobie myśli; kiedy Beth po raz pierwszy się na kimś zemściła, sama powiedziała nam, że odpuściła tylko dlatego, że ktoś ją przyłapał. Bez skrpułów przyznała, że byłoby o wiele gorzej, gdyby zaatakowała człowieka zamiast jego własność.

Dzień jeszcze się nie zbudził i ulica błyszczy pomarańczowymi plamami światła. Dwa kamienne schodki prowadzą od naszych frontowych drzwi do poziomu drogi. Staję na chodniku i spoglądam na Laurę, która opuściła rękawy swetra i obejmuje dłońmi wypukłość brzucha. Przeżywam coś, co Mac określa mianem przebłysku świadomości. Zamierzam właśnie opuścić ciężarną, pełną obaw żonę na końskich dawkach leków, żeby przebyć morze i dostać się do kraju, gdzie z dużym prawdopodobieństwem czai się na mnie kobieta, która omal nas nie zniszczyła.

– Nie jadę – oznajmiam, tym razem nie po to, żeby sprawdzić reakcję Laury.

– Właśnie, że tak, jedziesz – odpowiada. – Wydaliśmy na ten wyjazd już ponad tysiąc. No dalej. – Przegania mnie gestem. – Baw się wspaniale. Rób zdjęcia. Wróć z pięknymi opowieściami dla naszych dzieci.

Rzucam ostatnie spojrzenie na swoje stopy; tutejsze chodniki są dość zdradliwe, nawet bez współpiskowca w postaci rozwiązanej sznurówki.

– Szanse, żeby mnie znalazła, są naprawdę znikome – mówię na pocieszenie, ale Laura zdążyła już zamknąć drzwi, a ja uświadamiam sobie, że i tak mówiłem do siebie.

Do stacji Turnpike Lane jest od naszego domu przy Wilbraham Road pięć minut spacerem, a nawet mniej, jeśli pójdzie się skrótem przez Haringay Passage, przejście praktyczne, choć nieco dickensowskie, przecinające naszą siatkę ulic. Przechodzę przez błonia, Duckett's Common, omijając huśtawki i zjeżdżalnie, na których co dzień bawią się dzieci naszych znajomych. Pod moimi stopami chrzęści potłuczone szkło.

Pot już leje mi się z czoła, wsiąkając w brodę. Mimo tony soli na ustach czuję na języku gorycz kłamstwa. Nie miałem wglądu w listy pasażerów, są objęte ochroną danych osobowych. Dziwię się, że Laura tego nie wyłapała. Kiedy uruchamiają się jej lęki, dostaje nadludzkiej mocy wnikliwości. Paranoja wyczula ją na najdrobniejszą zmianę w moim języku ciała i wychwytuje nawet najlżejsze odejście od prawdy.

Ukrywam przed nią tylko to, co mogłoby jej sprawić przykrość.

Stacja metra Turnpike Lane, ze swoim splendorem art déco oszpeconym badziewnymi szyldami sklepów i łuszczącymi się billboardami, jest zamknięta, kiedy tam docieram. Punktualnie o 5.20 pracownik komunikacji publicznej w szafirowym polarze otwiera na oścież metalowe kratownice. Oprócz mnie jedyną pasażerką jest ubrana w kamizelkę ciemnoskóra kobieta o zmęczonej twarzy, zapewne zmierzająca do centrum, żeby sprzątać jakieś biuro.

Zjeżdżam na dół ruchomymi schodami, pogrążony w myślach. Mało prawdopodobne, żeby Beth znalazła się na moim statku, ale całkiem możliwe, że będzie gdzieś na Wyspach. Cieszę się, że podróżuję sam, że nie muszę się martwić o Laurę. Tak długo chronilem żonę przed konsekwencjami zdarzeń na Lizard Point, że zrobię wszystko, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo.





LAURA

10 sierpnia 1999

Autokar National Express stanął w korku na A303 przed Stonehenge. Zdawało się, że pół świata ruszyło do południowo-zachodniej Anglii na zaćmienie. Niebo dopasowało się szarością do stojących głazów, tworzących starożytny zegar na miękkim, zielonym wzgórzu. Jeśli już miałam gdzieś utknąć, to miejsce wydawało się odpowiednie – ludzie nie zdają sobie sprawy, że Stonehenge służyło niegdyś przepowiadaniu zaćmień oraz zaznaczaniu przesilenia letniego. Jednak po ponad godzinie gapienia się w święte miejsce nawet ja z trudem utrzymywałam się w stanie podziwu.

Po każdym raporcie pogodowym w radiu kierowcy chudy jak szczapa mężczyzna z rozwichrzoną brodą druida podnosił się z miejsca w jednym z przednich rzędów, klaskał w dłonie, po czym przekazywał nam aktualne dane. Istniało duże prawdopodobieństwo zachmurzenia. Moi współtowarzysze podróży, zmierzający na festiwal w Kornwalii, w większości i tak wydawali okrzyki radości i wiwatowali, w młodszej, bardziej wyluzowanej wersji słynnego brytyjskiego stoicyzmu, który pozwolił naszym dziadkom przetrwać bombardowanie Londynu, a rodzicom wakacje z przyczepą kempingową. Dla tych ludzi zaćmienie było przede wszystkim okazją do świętowania, dodatkową atrakcją, jeśli udałoby się je zobaczyć, ale jeśli nie, to przecież i tak będzie muzyka. Dla Kita zaćmienie było

głębokim przeżyciem i wiedziałam, że jego nastrój będzie równie pochmurny jak niebo.

Razem z Makiem i Ling już od dwóch dni byli na miejscu festiwalu, rozstawiając stoisko z herbatą, które przy odrobinie szczęścia miało przynieść niewielki zysk. Nie miałam nic w ustach od spotkania z facetem z agencji rekrutacyjnej przy śniadaniu, po którym przebrałam się w toalecie na stacji Victoria. Ubranie, które miałam na sobie podczas rozmowy o pracę, upchnęłam w plecaku. Pomachałam nogami w wojskowych butach, udając, że naciskam gaz, i zastanawiałam się, czy dotrę do Lizard Point przed zmrokiem.

Autokar wreszcie przecisnął się przez zwęzenie, niespowodowane wcale przez roboty drogowe, tylko przez kierowców gapiących się na szczątki kraksy kilku aut. Wkrótce Wilshire ustąpiło kredowym koniom w Dorset. W porze lunchu stanęliśmy w Somerset. Chemiczna toaleta w autobusie zatkała się gdzieś w drodze przez Devon. Wjazd do Kornwalii uczciliśmy autentycznym wiwatem. Kominy nieeksploatowanych kopalni cyny zdawały się wyrastać ze wzgórz niemal natychmiast po przekroczeniu przez nas granicy, a tu i ówdzie, standardowo dla hrabstwa, dumnie powiewała charakterystyczna czarna flaga z białym krzyżem. Poczułam presję morza z obu stron, kiedy Anglia zwęzała się w półwysep, i znajomy ucisk w żołądku na myśl o tym, że w wysuniętym najdalej na południe koniuszku kraju czeka na mnie Kit.

Byliśmy ze sobą wówczas od sześciu miesięcy. Ten czas był bardziej amnezją niż miesiącem miodowym. Powinien był pogrzyźć nasze szanse w trakcie końcowej sesji egzaminacyjnej, ale Kit wykorzystał zasoby zgromadzone dzięki nauce od najmłodszych lat oraz fotograficzną pamięć, a ja zaliczyłam rok fuksem, wylosowawszy pytanie o jedyny tekst, którego się nauczyłam, i dzięki dostępnemu zapasowi siarczanu amfetaminy. Kit upiera się, że to była miłość od pierwszego wejrzenia, ja obstaję przy wersji, że zakochanie zajęło nam jakieś dwanaście godzin. Przystaliśmy na taki margines błędu.

Ling i ja byłyśmy na trzecim roku londyńskiego King's College, kiedy zaczęła

się spotykać ze studentem dziennikarstwa Makiem McCallem (nawet jego mama nie zwracała się do niego jego prawdziwym imieniem, Jonathan). Lubiłam Maca, przynajmniej w miarę – był dość przystojny, rudawy, dowcipny, ekscytujący i z hojną ręką do narkotyków, ale miał taki sposób bycia, że dominował każdą przestrzeń, w jakiej się znalazł, i miałam do niego lekki żal o wtargnięcie w moją przyjaźń z Ling. Zupełnie nie spieszyło mi się do poznawania jego brata bliźniaka, studiującego astrofizykę teoretyczną na Oksfordzie. Podobni jak dzień do nocy, pomyślałam sobie, i jak się okazało, miałam rację. Mac jest klasycznym ekstrawertykiem – czerpie energię z ludzi, z tłumów – podczas gdy Kit to podręcznikowy introwertyk. Rozmowa go wyczerpuje, pomysły ładują mu baterie.

W pewnym sensie połączyły nas zaćmienia. Gdy byłam bardzo młoda, goniłam za każdym doświadczeniem, jakie można by uznać za autentyczne lub alternatywne do kultury głównego nurtu, na który spoglądałam dość szyderczo. Podobały mi się tylko mroczne kluby i lewackie zespoły, o których nikt nigdy nie słyszał, i umawiałam się z mnóstwem chłopaków o wyglądzie Jezusa. Uznałam, że stanie pośrodku pola i obserwowanie, jak znika gwiazda, będzie szczytem największego czadu, efektem specjalnym przewyższającym kreatywność i budżet jakiegokolwiek organizatora z klubu. Kiedy Ling powiedziała, że znaleźli z Makiem sposób, żeby obejrzeć nadchodzące całkowite zaćmienie w Kornwalii i jeszcze na tym zarobić, nie wahałam się ani chwili.

Mac mieszkał w Kennington, w niegdyś komunalnym mieszkaniu o niskich sufitach i ścianach pokrytych fluorescencyjnymi fraktalami. Gdy do niego weszłam, moje stopy zanurzyły się w runie podartych opakowań po bibułkach Rizla. Żarówka w dużym pokoju była spalona i pomieszczenie oświetlały świece umieszczone w słoikach po dżemie. Kit przyjechał na weekend z Oksfordu, a teraz siedział skulony w ciemnym kącie, z twarzą ukrytą pod opadającą grzywką w odcieniu truskawkowego blond i rękawami czarnego wełnianego swetra naciągniętymi na dłonie. Był bledszy od Maca, pod każdym względem.

– Drodzy zebrani – powitał nas Mac, sprawnie operując paczką haszu i zapalniczką (potrafił przemawiać i zwijać skręta, tak jak większość z nas łączy

rozmowę z mruganiem). – Zebraliśmy się tutaj, żeby opracować sposób wyjazdu na festiwal bez ponoszenia kosztów. Z tego, co odkryłem, najlepsza marża jest na ciepłych napojach, kawie i herbacie, i gdybyśmy pracowali na zmiany, moglibyśmy wyciągnąć całkiem niezły zysk. – Jak na samozwańczego anarchistę Mac wykazywał się zaskakującą przedsiębiorczością. Nosił koszulki z Amnesty International i głosił miłość i pokój, ale tylko tym, którzy odzwierciedlali jego poglądy. Używał znaku pokoju na powitanie, ale beztrąsko zapewniał sąsiadom bezsenne noce, torturując ich ogłuszającym techno. – Więc tak – ciągnął, zapalając skręta. Płomień zapalniczki na sekundę ukazał mi rysy twarzy Kita: brwi proste jak linijki, nos jak grot strzały, kamienne usta. – W południowo-zachodniej Anglii odbywa się w ciągu tygodnia jakieś dziesięć festiwali. Wszystkie są na razie w fazie planów, ale udało mi się zebrać dość informacji, żebyśmy mogli zdecydować, który najlepiej pasuje do naszego etosu.

Chciałam przechwycić spojrzenie Ling, żeby wspólnym uśmiechem skwitować pompatyczność Maca, ale przyjaciółka wbijała w niego pełny uwielbienia, urzeczony wzrok. Poczulałam znane mi już ukłucie wykluczenia.

– Największy festiwal związany z zaćmieniem jest w Turcji, ale wyjazd tam znacznie przekracza nasz budżet – mówił Mac. – Poza tym, jak często można doświadczyć czegoś takiego u siebie?

– Rzadziej niż raz w życiu – rzucił Kit ze swojego kąta. Mówił z eleganckim akcentem, głosem osoby wykształconej, jak Mac, tyle że nie zaciągał, by na siłę udawać londyńską gwarę. – Całkowite zaćmienie wymaga n a p r a w d ę precyzyjnego ustawienia. Trudno wyznaczyć średnią, ale ostatnie nastąpiło tu w 1927, a następne nie wydarzy się do roku 2090. Od 1724 do 1925 w ogóle nie mieliśmy całkowitego zaćmienia.

– Dobra, Rain Manie.

Mac wrócił do swojej listy. Zdyskwalifikował trzy festiwale z powodu „zbyt mainstreamowej” muzyki, a kolejny ze względu na „zbyt korporacyjnego” sponsora. Ling, która dysponowała przewidywanymi liczbami odwiedzających, wykreśliła maleńkie zgromadzenie, na które nie opłacałoby nam się jechać. Został

nam jeden festiwal w Devonie Północnym i jeden na półwyspie Lizard w Kornwalii.

– Nie wiem, który wybrać. – Ling wzruszyła ramionami.

– Braciszku? – odezwał się Mac.

Kit podniósł się bez pomocy rąk. Od razu zauważyłam, że jest ode mnie wyższy. Przymierzanie mężczyzn do własnego metra siedemdziesiąt pięć było dla mnie samej pierwszym znakiem, że ktoś mi się spodobał. Z pochyłego regału ze sklejki, w którym brakowało połowy półek, wydobył plik wydruków.

– Jeśli chodzi o Kornwalię, a w zasadzie całą południowo-zachodnią Anglię, to mamy tu do czynienia z mnóstwem mikroklimatów. Warunki pogodowe mogą się zmieniać z kilometra na kilometr. Skorelowałam średnie poziomy występowania słońca i opadów na wszystkich festiwalach i wykreśliłam krzywą w zestawieniu z pasmem zaćmienia. Z moich wyliczeń wynika, że największą szansę na obejrzenie zjawiska daje nam ta lokalizacja. – Rozłożył zniszczoną mapę sztabową Kornwalii i wskazał na półwysep Lizard.

– Właśnie tam odbywa się festiwal Lizard Point – zauważył Mac, a niepewny dotąd uśmiech Kita rozszerzył się od ucha do ucha. – To chyba mamy co świętować.

Świętowanie miało postać butelki Jacka Daniel'sa, podawanej sobie z ust do ust, podczas gdy Mac bawił się w DJ-a, a Kit szeleścił papierami. Byłam przyzwyczajona do publicznego okazywania sobie uczuć przez Maca i Ling i zakładałam, że dla Kita też nie będzie to nic nowego, ale kiedy ta dwójka zaczęła się obcałowywać na kanapie, był wyraźnie przerażony, zalał się rumieńcem i starał się patrzeć wszędzie, byle nie na mnie. Wreszcie schował się w kuchni. Odchrząknęłam głośno.

– Przepraszam – rzucił Mac, wygładzając koszulkę. – Przejdziemy do drugiego pokoju.

– Jak mam się niby dostać do domu? – Droga do naszego mieszkania w Stockwell była długa i mroczna, a ostatni autobus już odjechał. Nie wypiąłam tyle, żeby porwać się na ryzyko przechadzki, a w tamtych czasach nie przyszłoby

mi na myśl wezwać taksówkę.

– Kit cię odprowadzi – powiedziała Ling, wstając chwiejnie. Miała już rozpięty stanik. Puściła do mnie oko przez ramię. – Tylko nie zaciągnij go do łóżka. Byłoby jakoś niezręcznie w Kornwalii.

Jeśli ta myśl jeszcze nie zaświtała mi w głowie, postanowiłabym go zaciągnąć wyłącznie na złość przyjaciółce.

– Och – wyrwało mu się, kiedy po powrocie do pokoju zastał mnie samą, po czym schował się z powrotem do swojego kąta, gdzie usiadł po turecku i wystukiwał palcami rytm grającej muzyki.

– Bardzo to mądre – to, co zrobiłeś na tych wykresach – przerwałam wreszcie ciszę.

– To tylko matematyka. – Wzruszył ramionami, ale jego palce znieruchomiały.

– Dla mnie matematyka była mordęgą – wyznałam. – W szkole średniej miałam od geometrii panią, która rysowała na tablicy kształty, aż wreszcie chwyciła się za pierś i oznajmiła: „Oczywiście kształty krągłe są najpiękniejsze ze wszystkich”, a wtedy ja poczułam się wymknięta z tajemnicy wiedzy. Z całej historii.

Kit przekrzywił głowę, jakby z ukosa lepiej mógł mnie odczytać.

– Lepsze to od tego, co mówi większość ludzi – uznał. – Panuje ogólna duma z bycia dennym z matematyki, jakiś odwrotny snobizm, taki brak s z a c u n ku. Nie wiem, czy to mechanizm obronny czy co, ale doprowadza mnie to do szału. Ludzie nie zdają sobie sprawy z piękna matematyki. No na przykład, wsłuchaj się w tę melodię. – Staralam się w pełni skoncentrować na muzyce, ale skrzypienie łóżka dobiegające z drugiego pokoju w słabszych częściach taktów zdecydowanie utrudniało sprawę.

– Są ze sobą ile? Całe sześć miesięcy. – Kit powiódł oczami w kierunku ściany, zza której dochodziły dźwięki. – Lepiej, żeby z tą nie spieprzył sprawy jak z innymi.

Natychmiast otrzeźwiałam.

– Chwileczkę, co powiedziałaś? – Zawsze troszczyłyśmy się o siebie z Ling. – Zdradza ją?

– Jezu, nie! – Kit zaczął niezgrabnie się wycofywać. Z nich dwóch to Mac był obdarzony charyzmą, biedny Kit z trudem kojarzył zasady taktu. – Po prostu, no. Nie ma najlepszej reputacji. No wiesz. Z tymi, no, dziewczynami. K o b i e t a mi. Ale jestem pewien, że tym razem jest dobrze. Z Ling. – Przyłożył butelkę do ust i przechylił ją, ze zdziwieniem stwierdzając, że jest pusta.

– Już widzę, kto w łonie matki zgarnął cały materiał na kręgosłup moralny – powiedziałam, żeby trochę go rozluźnić.

– O, nie. To Mac maszeruje we wszystkich manifestacjach i innych takich.

– To chce pokazać światu. Nie sądzisz, że bardziej liczy się, jak traktujesz drugiego człowieka? – spytałam.

W uśmiechu, który Kit posłał mi w odpowiedzi, kryła się cicha uczciwość, jakiej nie spotkałam dotąd w żadnym chłopaku, wszyscy mieli poglądy polityczne wypisane na koszulkach i równie często zmieniali jedne i drugie.

– Cóż, ja... – Przerwał mu niski pomruk, który dobiegł nagle z drugiego pokoju i mógł się wyrwać komukolwiek z obecnej tam dwójki.

– Tak czy inaczej – z desperacją starałam się zagłuszyć odgłosy – miałeś mi powiedzieć, jak ten kawałek ma się do matematyki.

Kit w lot zrozumiał, do czego zmierzam, i podgłośnił muzykę. Sitarowy riff tańczył wokół dudniących basów. Kit w skupieniu zmarszczył brwi.

– Leibniz mówił, że muzyka to umysł, który liczy bez świadomości, że w ogóle to czyni. Zaćmienie to matematyka, i to najcudowniejsza matematyka na świecie. –

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć w obliczu takiej intensywności, więc przybrałam wyraz twarzy, który, miałam nadzieję, mógł ujść za pełen entuzjazmu.

– Księżyc, rozumiesz, stanowi jedną czterechsetną średnicy Słońca, ale jest czterysta razy bliżej Ziemi, więc wydaje się, że są tych samych rozmiarów.

Przyszło mi na myśl, że przydałby mi się animowany diagram, jeśli miałam cokolwiek z tego zrozumieć, ale zależało mi, żeby nie wyjść przed nim na ignorantkę.

– Ile zaćmień widziałeś? – spytałam, żeby sprowadzić rozmowę jeśli nie na Ziemię, to przynajmniej bliżej mojej orbity, a on złapał haczyk.

Opowiedział mi, jak podróżował z tatą po obu Amerykach i o tym, jak w Indiach podziwiał znikające Słońce razem z ojcem, bratem i „stadem bardzo skonfundowanych kóz” i jak wszyscy szli krawędzią muru zrujnowanej świątyni. Opisał mi Arubę, gdzie stali na piasku tak gorącym, że topił plastik, i widzieli Wenus i Jowisza „wyraźne i okrągłe jak pinezki na tablicy korkowej”. Mówił o tym, jak planety i gwiazdy zawsze wychodziły z ukrycia, jakby nie chciały przegapić zjawiska.

– Kiedy na nie patrzysz, kiedy pod nim stoisz, to już nie jest nauka. To wszystko opada.

Jego policzki nabrały koloru, kiedy zagłębił się znów w kwestie techniczne, prowadząc mnie przez fazy zaćmienia, malując pojawiający się wokół Słońca płomienny pierścień zwany koroną, opisując, jak to w 1919 roku zaćmienie dostarczyło Einsteinowi dowodu na jego teorię względności, ujawniając, że masa Słońca załamuje promienie światła odległych gwiazd. Częściowo go słuchałam, i to z zainteresowaniem, ale po części obserwowałam, jak mówi – patrzyłam, jak kompletnie zmienia się jego twarz, gdy jest ożywiony, jak ucieka wzrokiem, to z powodu nieśmiałości, to skupienia, by przywołać fakty. Spróbowałam sobie wyobrazić Maca drążącego tak długo jakikolwiek temat z wyjątkiem siebie samego, i uśmiechnęłam się na samą tę myśl.

– Ach, zanudzam cię – powiedział.

– Naprawdę, wcale nie.

– Mac mówi, że za bardzo się nakręcam. A ty? Jesteś na tym kierunku, co Ling? Co będziesz robić po studiach?

Przedstawiłam mu swój wielki plan pracy dla miasta przez kilka lat, aż będę miała CV, które umożliwi mi przejście do sektora organizacji charytatywnych. Wystarczająco napatrzyłam się na niewydarzonych, choć gorliwych przyjaciół mojego ojca, brzęczących puszkami na zbiórki, całymi dniami goniących za garścią miedziaków.

– Do zmiany ludzkiego życia prowadzi tylko jedna furтка: pieniądze. A jeśli chcesz zdobyć pieniądze, musisz udać się tam, gdzie jest ich mnóstwo.



– Jak Robin Hood, tylko z arkuszami kalkulacyjnymi i ekspertami od funduszy inwestycyjnych?

– Świetnie to ująłeś.

Przy dogasających świecach dzieliliśmy się naszymi dziurawymi biografiami, jak to bywa, kiedy jest się młodym i poza kolekcją płyt oraz kierunkiem podjętych studiów ma się tylko ludzi, z którymi się dorastało. Tej nocy, przy Kicie, miałam wrażenie, że te informacje mają znaczenie – oto w co się pakujesz, mówiliśmy. Nadal tego chcesz?

Dowiedziałam się, że rodzice Kita, Adele i Lachlan, mieszkali w Bedfordshire, co rok przenosząc się do mniejszego domku. Pierwszy raz nastąpił, kiedy Lachlan stracił pracę, drugi, kiedy przepił resztę majątku. Adele uczyła włókiennictwa w dwuletniej szkole przygotowującej do egzaminu dojrzałości i czekała, aż mąż umrze. Lachlan McCall był, jak to się mówi, czynnym alkoholikiem, potem bezrobotnym pijakiem, aż wreszcie, pewnego dnia, przed kilkoma laty, jego wątroba odmówiła posłuszeństwa. Nie chcieli go wpisać na listę oczekujących na przeszczep, dopóki nie odstawi butelki, a on nie potrafił się z nią rozstać.

– Mac nic nigdy nie mówił – powiedziałam.

– Dlaczego miałyby coś mówić? Sama widzisz, jaki jest. Wiesz, ja też napiję się od czasu do czasu, ale on jest na innym poziomie. Chyba nawet śmierć taty go nie przyhamuje.

Drgnęła mu warga. Kiedy podzieliłam się stratą mamy, Kit powiedział po prostu:

– Och, Lauro, tak mi przykro. To nie wiek na żałobę.

Na podłodze między nami pojawiły się nagle dwa groby, jeden zajęty i już zarosły trawą, drugi pusty, ziejący gotową pustką. Dotarły do mnie dźwięki grającej w tle muzyki i przez dłuższą chwilę oboje milczeliśmy. Kiedy płyta się skończyła, Kit kilka razy przełknął ślinę, jakby szykował się do wygłoszenia podniosłej mowy, po czym wymamrotał w sweter coś w stylu: „Masz fajne włosy”.

(„Masz fajne włosy”, lub inna wariacja na ten temat, często było w tamtych czasach pierwszą rzeczą, jaką słyszałam od wielu osób. Gdy szłam na studia,

miałam mysie warkocze do pasa, a desperacja, z którą pragnęłam wynaleźć nową siebie, pchnęła mnie do utlenienia ich w łazience akademika w pierwszą noc po wyjeździe z domu. Miałam teraz pelerynę jaśniejącego, białego jedwabiu. Odtąd już nie zmieniałam fryzury, tylko co trzy tygodnie farbowałam odrosty. Brzmi to jak ogromny wkład pracy w wygląd, ale za to w zasadzie się nie maluję i nie podążam za trendami mody. Myślę, że jeśli ktoś ma tylko jedno źródło próżności, ma prawo zasilać je do woli).

Kit wyciągnął palce po jedno pasmo; w blasku świec sprawiało wrażenie, że świeci własnym światłem.

– Nigdy nie zginęłabyś mi w tłumie, nawet w ciemnościach – powiedział.

Kiedy przyłożył rękę do mojego policzka, poczułam bicie serca w jego dłoni.

O odbyliśmy niezdarne, rozczarowujący stosunek przy słabym świetle i nikłym ciepłe elektrycznego grzejnika kominkowego. Nerwy wszystko zepsuły; nerwy i niewypowiedziana, wspólna świadomość, jak wielkie już ma to znaczenie. Styczniowe noce są jednak długie i do rana wyparowało zdenerwowanie, a nas ogarnęło coś zupełnie innego. Czułam się przez Kita wyczyszczona, napisana od nowa, niezdolna wyobrazić sobie, jak kiedykolwiek mogłam być z kimś innym. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Sama połączyłam kropki jego anegdot i wydedukowałam, że zanim mnie poznał, jego życie miłosne było serią falstartów. A jeśli on to samo robił ze mną – ekstrapolował dane, jak by to ujął, z moich starannie okrojonych historii – cóż, musiał wywnioskować, że żadne z moich doświadczeń nie mogło się równać z tym, co zdarzyło się między nami. Z tego, co mi opowiadał, wkrótce zrozumiałam, że nikt spoza rodziny nie zwracał na niego uwagi, no chyba że zdał egzamin, i zrobiło mi się żal ludzi, którzy go nie dostrzegali lub nie zajrzeli w głąb, pod niezdarne powierzchowność. Omijał ich cały świat. To, że wpuścił mnie do środka, poczytywałam za zaszczyt i powód do dumy, poważnie wzięłam odpowiedzialność za to, co czułam z jego serca, i każdej nocy przysięgałam sobie stać się spełnieniem jego wizji doskonałości.

Tylko bardzo młodziutka kobieta mogła myśleć w ten sposób.

Od dawna oczekiwane „kocham cię” nadeszło w innych słowach,

wypowiedzianych w oksfordzkiej sypialni Kita, pośrodku nocy.

– Lauro. – Moje własne imię wdarło się w mój sen. – L au ro.

– Co się stało? Co się dzieje? – Próbowałam odczytać wyraz jego twarzy w nikłej poświacie dobiegającej z półpiętra, ale jawiła się przede mną tylko nieczytelna sylwetka.

Kit splótł palce z moimi, jakby chciał się upewnić, że nie ucieknę.

– Przepraszam, nie mogłem spać. Po prostu muszę wiedzieć. – Miałam wrażenie, że jest na granicy łez, kiedy ujął moje rozpalone ręce w swoje zimne dłonie. – To. My. Czy dla ciebie znaczy to tyle, co dla mnie? Bo jeśli nie... – Cały drżał. W głowie dokończyłam zdanie za niego. Bo jeśli nie, nie wiem, czy to wytrzymam. Bo jeśli nie, skończ teraz. Miałam ochotę się roześmiać z prostoty tego piękna, ale widziałam, ile odwagi kosztowało go to pytanie.

– Dla mnie znaczy tyle samo – zapewniłam. – Obiecuję. Tyle samo.

Ta rozmowa stanowiła nasze zaręczyny. Od następnego ranka śmiało rzucaliśmy frazami typu „jak będziemy po ślubie”, omawialiśmy przyszłe potomstwo, dom, w którym zamieszkamy na starość, a kiedy Kit opisywał zaćmienia, które pojedzie obejrzeć za dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat, było jasne, że będę wtedy przy nim, trzymając go za rękę w cieniu.



LAURA

18 marca 2015

Brzoskwiniowy świt budzi się nad Alexandra Palace, stanowiąc wdzięczne tło dla mojej deklaracji VAT-owskiej. Pracuję offline na komputerze w gabinecie, czerpiąc ulgę z wyciszającej, monotonnej logiki zadania. Paranoja zeszłej nocy nie pierzchła razem z mrokiem. Wręcz przeciwnie – im bliżej Kit jest wejścia na pokład, tym gorzej się czuję. W taki dzień żałuję, że nie jestem zatrudniona w biurze, bo wtedy mogłabym zagłuszyć niepokój rozmowami o tym, co było w telewizji albo czyja kolej na przyniesienie herbaty w torebkach. Zamiast tego jestem tu sama z czerwonym telefonem, który zdaje się jarzyć groźbą.

Kilka tygodni temu byłam na konferencji, gdzie na chwilę zmniejszyłam czujność i ktoś złapał mnie na zdjęciu reklamowym. Członkinie schroniska dla kobiet, w którym czasem pracuję, pozowały ze sponsorami, trzymając jeden z tych gigantycznych czeków. Miałam swój wkład w zawarcie umowy, więc stałam w tle. Zdjęcie pojawiło się na stronie internetowej schroniska i teraz muszę ich prosić, żeby je zdjęli, wycięli mnie albo nawet zamazali w Photoshopie. Przynajmniej nie podpisali mnie z nazwiska. Kiedy media społecznościowe były jeszcze w powijakach, zdecydowaliśmy z Kitem, że nie będziemy nigdzie zostawiać cyfrowych śladów. W czasach, kiedy każdego można znaleźć jednym kliknięciem myszy, musimy dokładać niezwykłych starań, żeby nie dało się nas namierzyć.

Robię to, co zawsze, kiedy potrzebuję wykonać telefon, na który wcale nie mam ochoty, i sporządzam listę tego, co chcę powiedzieć, skrzętnie układając treść w punkty. Kiedy uczę nowych fundraiserów, mówię im, że najważniejsza rzecz – istotniejsza nawet niż wiara w sprawę – to scenariusz. Nigdy nie podnoś słuchawki bez gruntownego przygotowania. Jeśli nie potrafisz skondensować swojego stanowiska w czterech punktach, nigdy nie dotrzesz do swoich odbiorców. Zwykle metoda jest skuteczna, ale teraz utknęłam na pierwszej kwestii.

- Moje zdjęcie nie może pozostać upublicznione w internecie.

W zeszłym roku słyszałam w radiowej Czwórce, że można kupić program do rozpoznawania rysów twarzy, co oznacza, że wystarczy, że ktoś załaduje do komputera twoje zdjęcie – może być skan – a aplikacja będzie przeszukiwać znajdujące się w sieci obrazy, dopóki nie znajdzie zgodnego wizerunku. Z początku zabrzmiało mi to jak wymysł z jednej z ukochanych powieści science fiction Kita, ale przecież tę samą drogę przechodziły wszystkie technologie, bez których dziś trudno nam się obejść. Wiemy, że Beth jest w posiadaniu co najmniej jednego naszego zdjęcia, a z początku, nieświadomi stopnia jej przebiegłości, nie przejmowaliśmy się, że w całym mieszkaniu jest mnóstwo naszych fotek. Mogła skopiować którąkolwiek z nich i odłożyć na miejsce, zanim się zorientowaliśmy. Pewnie jestem jedną z bardzo małej garstki kobiet, które po prostu marzą o kurzych łapkach i obwisłych policzkach, ale Kit twierdzi, że ładnie się starzeję. Nie wiem, czy to czcze pochlebstwo, czy fakt, że przez ostatnie piętnaście lat prawie nie zdarzyło nam się spędzić osobno nocy, więc nie dostrzega różnic: cieni pod oczami; skośnych bruzdek, głębokich i ostrych, wydrążonych w skórze pomiędzy moimi brwiami. A może je widzi, tylko po prostu chce być miły.

Jest dopiero wpół do dziewiątej, więc jeszcze przed godzinami urzędowania, i uświadamiam sobie, że wybieram tchórzowskie wyjście. Dzwonię do schroniska, wiedząc, że zostanę przekierowana do poczty głosowej, i zostawiam wiadomość z prośbą, żeby zdjęli moje zdjęcie z powodów osobistych. Liczę na to, że głupio im

będzie drażyć temat. Mam szczęście, że dobrze zarabiam, robiąc coś, co kocham i w co wierzę, ale moja kariera była zdecydowanie ograniczana przez moją niechęć do upubliczniania siebie w kontekście celów, dla których zbieram fundusze. Raz czy dwa do roku i tak padam łupem head hunterów, ale moja odpowiedź jest niezmienna – nie mogę się afiszować.

Od początku wiedziałam, że w wyskokach Beth kryło się jakieś szaleństwo. Jednak dopiero w Zambii zrozumiałam, że na swój sposób jest równie zacięta, co Jamie. Często zastanawiam się, czy żyje tak jak ja, z naszą historią nieustannie bulgoczącą gdzieś w tle, kipiącą jedynie w obliczu nadchodzącego zaćmienia. Życie w ciągłym napięciu przez piętnaście lat byłoby niemożliwością. Musi się to przetaczać falami, jak u mnie. Albo jak u Jamiego, którego kampanią nie rządzi układ planet, ale mechanizmy prawne.

Po kilku godzinach w pozycji siedzącej cała zdrętwiałam i kiedy wreszcie wstaję, łapie mnie skurcz w krzyżach. Korzystam z toalety po raz czwarty tego ranka, po czym układam czasopisma w łazience w stertę dla niego i dla niej: „New Scientist”, „New Humanist” i „The Sky at Night” dla Kita; „New Statesman”, „The Fundraiser” i „Pregnancy and Birth” dla mnie. Chcąc utrzymać równowagę, po schodach idę jak krab, po drodze poprawiając wiszące na ścianach zdjęcia. To seria ujęć zaćmienia, błyszczące czarne kółka otoczone jezorami białych płomieni, które wyglądają bardziej jak sztuka abstrakcyjna niż zjawisko przyrodnicze. Wiszą w porządku chronologicznym i celowo nie są podpisane, ale nawet gdybym je wymieszała, Kit potrafiłby bezbłędnie określić czas i miejsce wykonania każdej z nich.

Na stoliku przy drzwiach wejściowych stoi nasze zdjęcie ślubne w wąskiej, srebrnej ramce. To słodko-gorzki obrazek, para wystraszonych dzieciaków w cudzych ubraniach, stojąca na stopniach przed Urzędem Stanu Cywilnego w Lambeth. Dosłownie dzień wcześniej ściągnęli Kitowi bandaż.

Za ścianą rozlega się huk – znak, że robotnicy u sąsiadów zabrali się do pracy. Jeszcze kilka lat temu w domu obok gnieździły się dwie rodziny, a w zeszłym roku budynek kupili Ronni i Sean, którzy teraz przekształcają mieszkania z powrotem

w dom, mogący pomieścić ich troje dzieci. Jak wszyscy, którzy w tych czasach się wprowadzają, są wściekli, że zostali wyeliminowani z Crouch End. Nasze osiedle nazywane jest Drabiną Haringay, ponieważ na mapie ulice układają się w osiemnaście szczebli rozciągniętych pomiędzy Wightman Road i Green Lanes. Wilbraham Road jest szóstym stopniem od góry. Kiedy powiedzieliśmy Ronni i Seanowi, że jesteśmy na Drabinie od 2001 roku, on zagwizdał i skomentował: „Musicie opływać w majątek”. Może kiedyś, gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, ale moc zarobkowa Kita okazała się mniejsza od naszych oczekiwań, a utrzymanie domu z epoki edwardiańskiej nie należy do tanich. Gdybyśmy nie wymienili dachu, chcąc nie chcąc, moglibyśmy oglądać gwiazdy prosto z łóżka. Do tego jeszcze in vitro. Po trzecim podejściu było jasne, że jedynym wyjściem jest solidne zapożyczenie się pod zastaw domu.

Kit ma żal do Ronni o coś, co powiedziała mi kilka tygodni później. Była w zaawansowanej ciąży, z małym dzieckiem w wózku, i kiedy pomagałam jej pokonać kilka kroków do jej drzwi, rzuciła: „Pewnie gubicie się w tej całej przestrzeni bez dzieci. Powinniśmy się zamienić! Nasze mieszkanie w sam raz nadałoby się dla dwojga”.

Wytrzymałam jeszcze, żeby weszła do środka, po czym pobiegłam do domu, wpadając na Kita z takim impetem, że do końca dnia nosiłam na czole odcisk jego zęba. Rzuciłam się na kanapę i wyłam wniebogłosy, podczas gdy Kit wyzywał sąsiadkę od niegrzecznych, nietaktownych, pozbawionych serca suk i groził, że pójdzie do niej i powie jej coś do słuchu. (Jest o wiele groźniejszy, gdy chodzi o mnie, niż gdyby miał stawać we własnej obronie). Musiałam go błagać, żeby nigdzie nie szedł.

Moja torba-na-wszelki-wypadek czeka już w przedpokoju, z wetkniętą do bocznej kieszeni dokumentacją medyczną ciąży. Wszyscy, począwszy od konsultantki, a skończywszy na teściowej, twierdzą, że nie będzie mi potrzebna, ale nie mieć przygotowanej torby to jak kuszenie złego losu. Nie denerwuję się porodem. Jestem umówiona na planową cesarkę w trzydziestym siódmym tygodniu. Tak naprawdę stresują mnie trzy nowe funkcje, które spadną na mnie

naraz: podwójna rola matki i współrodzica. Chyba nie mogę sobie wyobrazić, jak to będzie dzielić się Kitem. W swoim życiu zawsze żyłam z jedną osobą – byłam ja i moja mama, potem ja i tata, ciąg następujących po sobie najlepszych przyjaciółek w szkole, wreszcie ja i Ling, a teraz ja i Kit. Pewnie można by uznać, że przez jakiś czas Beth praktycznie z nami mieszkała. Mój błąd, jak przypominam sobie za każdym razem, gdy widzę lub czuję bliznę Kita, tę dolinę lśniącego ciała z górami narosłej tkanki po bokach.

Rozlega się dzwonek do drzwi, z trudem podnoszę się na nogi. Listonosz niemal codziennie zostawia u mnie paczkę do przekazania komuś. Praca z domu oznacza, że nasz dom służy za przechowalnię dla połowy Wilbraham Road. Nie przeszkadza mi to, przynajmniej nie teraz, kiedy jestem w ciąży. Nigdy nie miałam też nic przeciwko gabarytom przesyłek, nawet kiedy przez cały tydzień stały u nas w holu meble ogrodowe dla numeru 32. Tylko paczki związane z dziećmi zawsze szarpały mnie za serce, paczki dla Ronni z firmy Mothercare albo JoJo Maman Bébé czy Petit Bateau. Malutkie ubranka szydziły ze mnie, a w głowie słyszałam wrzask: wyjmij je, wyjmij je, wyjmij je, wyjmij je.

Frontowy hol to jeden z największych atutów naszego domu. Podłoga jest wyłożona eleganckimi płytkami Minton w lilijki i inne wymyślne zakrętasy – na eBayu chodzą za tysiące – a drzwi wejściowe to oryginał z Arts and Crafts, z czterema oprawionymi w ołów szybkami. Już widzę przez kolorowe szkiełka, że to nie listonosz, tylko Mac, jego profil jest obecnie dość charakterystyczny. Mój szwagier był prekursorem trendu noszenia wszechobecnej teraz brody i w tej chwili przypomina raczej Davida Herberta Lawrence’a z bujnym, rudawym zarostem, przy którym Kit ze swoją pseudobródką wygląda, jakby zapomniał się rano ogolić.

– Czemu zawdzięczam tę przyjemność? – pytam, odhaczając łańcuch i otwierając na oścież drzwi.

Mac ma na sobie nabijane ćwiekami buty i tweedowe spodnie na szelkach zapiętych na koszulce z krótkim rękawem. Nie zdziwiłabym się, gdyby za jego plecami stał zaparkowany bocykl. Trzyma dużą brązową papierową torbę, taką, w jaką w telewizji Amerykanie pakują zakupy, z tym że ta ma na sobie logo



Kaw/Kość. Ukośnik był moim pomysłem.

– Bezkofeinowe latte jako źródło wapnia, porcja chleba na zakwasie i kilka muffinów z otrębami pszennymi na później. A, i robiliśmy soki. – Wyciąga cztery przezroczyste plastikowe kubeczki z dziurkami na słomki w pokrywkach – fioletowy, żółty, pomarańczowy i zielony, który wygląda, jakby ulatniał się z niego gaz błotny.

– Co to ma być? Ektoplazma?

– Konopie i trawa pszeniczna. – Ustawia je na kuchennym blacie. – A oto i *pièce de résistance*. Rosół z kości, na którego cześć nazwano sklep – królewski wywar, doprawdy, gotowane kości i korpusy. Ludzie w okolicy nie mogą się go nachwalić. Nie mogę otoczyć cię taką opieką jak Kit, ale przynajmniej daj się nakarmić – prosi Mac.

– Nie trzeba było – mówię, ale wbrew woli leci mi ślinka i uświadamiam sobie, że przecież nic jeszcze nie jadłam. – Zostaniesz?

– Muszę wracać do siebie – odmawia. – Ale do powrotu Kita będę ci codziennie przynosił brunch i sprawdzał, czy wszystko w porządku. A gdybyś czegoś potrzebowała, od razu dawaj znać. Jak się czujesz?

– Rano, zaraz po jego wyjeździe, bałam się, że dopadnie mnie atak paniki, ale jakoś się opanowałam.

Mac autentycznie cofa się o krok.

– Zadzwoń po Ling? – Implikacja jest prosta. Cokolwiek medycznego, cokolwiek, co ma związek z maluchami, rzuci wszystko i zjawi się w okamgnieniu. Problemy emocjonalne to działka kobiet. Mac jeszcze całkiem nie zmiękł.

– Nie, nie. – Ling jest pracownikiem socjalnym, pewnie puka teraz do metalowych drzwi jakiejś speluny, może z tłumaczem za plecami, a może z policją. Musiałabym być naprawdę zdesperowana, żeby zawracać jej głowę w godzinach pracy.

– Dobra, to ja już pójdę. – Nachyla się i niezdarnie całuje mnie w policzek. – Dziewczynki są u mnie na wieczór, więc zobaczymy się jutro.

Ling i Mac nie są parą od czasu, kiedy byliśmy dziećmiakami – rozpadli się,

w każdym znaczeniu tej frazy, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy my przeżywaliśmy najgorsze chwile – ale działają lepiej osobno niż razem do tego stopnia, że kiedy Ling znów zamarzyła o dziecku, Mac się dla niej o nie postarał. Ich córki Juno i Piper żyją w dwóch domach, obu na Drabinie, w odległości czterech ulic od siebie. W zasadzie w trzech domach, jeśli liczyć nasz, gdzie też mają własny pokój, przynajmniej na razie.

Wylewam wywar z kości do zlewu i wracam do porządków. Lampa na naszym stoliku w holu to podświetlany globus, stara dziecięca zabawka, która chwyciła mnie za serce w sklepie z rzeczami na cele dobroczynne. Rysuję trasę statku Kita, wiodąc palcem przez kapryśne Morze Północne. Jestem w stanie zakryć kciukiem cały pas całkowitego zaćmienia, tam, gdzie pada najgłębszy cień. Wyspy Owcze są takie tycie, że nawet mój mały palec je przykrywa. Brak tam miejsca, żeby się schować. Włoski na rękach znów stają mi na baczność. Beth jest jak zapadnia – jedna myśl o niej i tracę grunt pod nogami, lecę w dół. Ściągam rękawy i kręcę globusem, aż oceany i ląd zlewają się w zielen i błękit i wszystko zakrywa cień.



LAURA

10 sierpnia 1999

Autobus dotarł do celu gdzieś na południe od Helston. Lokalni policjanci w odblaskowych kamizelkach zlustrowali nas od stóp do głów. Na skraju drogi stała Ling, oparta o furgonetkę, z twarzą wystawioną na promienie słońca, przebijające się słabo przez pierzastą chmurę. Obok siebie ustawiła tekturowy znak z odręcznym napisem: „Ciężki namiot? Transport na Lizard Point £2”.

Na dźwięk mojego głosu otworzyła oczy i szeroko się uśmiechnęła.

– Nie spodziewałam się szofera – powiedziałam.

– Autobusy nie dojeżdżają do końca, a to jeszcze spory kawałek. Poza tym to sposób, żeby zdobyć trochę forsy.

Wyciągnęła rękę po monety od ustawiających się w kolejce ludzi, po czym z rozmachem otworzyła drzwi vana, żeby wpuścić do środka wielobarwny tłum. Z końcem wieku granice pomiędzy grupami młodzieżowymi zacierały się i teraz razem z hipisami i gotami ładowały się na pakę miłośniczki klubów ze skrzydłami wróżek i odprasowani chłopcy z Essexu w markowych dżinsach. W kącie przytroczono zwinięty brudny czerwony śpiwór, a wewnątrz zionęło zapachem marihuany. Ci, dla których nie starczyło miejsca, siedzieli po turecku na lepkiej od oleju podłodze, wyraźnie zachwyceni, że po dziewięciu godzinach w autokarze National Express wreszcie mogą się wyluzować i zapalić nie tylko bezkarnie, ale

i pośród słów zachęty.

Jechałam z Ling z przodu, jak VIP, i wyciągnęłam nogi na deskę rozdzielczą.

– Kit bardzo wkurzony na pogodę? – spytałam.

Przyjaciółka wywróciła oczami.

– W życiu nie widziałam gorszego focha. Ciągle z Makiem powtarzamy, że zaćmienie i tak się odbędzie, festiwal się odbędzie, Kit sam musi zdecydować, czy będzie się nimi cieszył czy nie.

– Chce, żeby było doskonale – powiedziałam.

– Chyba nic nie będzie doskonale. Pogoda odstraszyła sporo ludzi – poinformowała mnie. – Przewidywania były na poziomie dwudziestu tysięcy. Rory – farmer, właściciel ziemi – mówił, że potrzebuje piętnastu, żeby w ogóle wyjść na swoje, a na miejscu nie uzbierasz chyba nawet pięciu tysięcy. Nawet biorąc pod uwagę przyjazdy w ostatniej chwili, wypada dośćennie.

Westchnęłam.

– Są jakieś dobre wieści?

Ling zamyśliła się, marszcząc nos.

– Cóż, przez to zimno ludzie mają ochotę na ciepłą herbatę. Ale i tak nie wyjdziemy na swoje. Może nawet spakujemy się dzień wcześniej i po prostu nacieszymy się systemem nagłośnienia... o cholera, przejechałam.

Wdepnęła na hamulec. Ja przygotowałam się na uderzenie, ale pasażerowie z tyłu mocno polecili.

– Przepraszam! – zawołała przez ramię Ling. – Wrzuciła wsteczny i wycofała ostrożnie, skręcając przy gęsto zarośniętym rogu, po czym wycofała na dwa razy, wjeżdżając w zarośniętą drogę. – Kolejny powód, dla którego nikt tu nie przyjechał – wyjaśniła, podskakując na kamieniach. – Tubylcy nie są zachwyceni festiwalem i zaczęli chować znaki drogowe. Nie tylko te zrobione specjalnie na Lizard Point, ale też oficjalne tablice informujące, gdzie są jakie miejscowości. Nie rozróżniam tych gruntowych dróg.

– Taki już problem z wsią – powiedziałam, gdy zniknęłyśmy w tunelu drzew, liściaste, zielone cienie pływały jak ryby po przedniej szybie. – Brakuje

właściwych punktów orientacyjnych. Przydałby nam się miły McDonald's pośrodku zgrabnego ronda czy coś w tym guście.

Wyłoniliśmy się z tunelu drzew wprost na olbrzymią ścianę aluminiowych paneli. Przy wjeździe kręciło się więcej policji, łącznie z funkcjonariuszami na koniach. Dwóch krzepkich panów w odblaskowych kamizelkach przeszukało furgonetkę surowo na wypadek braku wejściówek i wyrozumiale w odniesieniu do narkotyków, papierowe bilety wymieniono na bransoletki. Ling i ja pojechałyśmy dalej same, naklejka na szybie informująca o cateringu dawała nam przejazd przez pola. Furgonetka podskakiwała na nierównym terenie, minęła wesołe miasteczko i ogromny niebieski namiot obwieszony złotymi serpentynami. Były wszystkie obowiązkowe elementy muzycznego festiwalu – flagi, bębny, stoisko z kebabami, przejażdżki i goły do pasa facet na szczudłach wymalowany indygo. Jednak bez tłumy to miejsce wygląda jak efekt jakiejś klęski humanitarnej. Słowo daję, wiatr gnał biegacze pustynne przez pożółkłe pole.

Ling zaparkowała vana przy naszych namiotach, oni mieli czerwony, półokrągły, a my z Kitem zielony, spiczasty. Rozpięłam wejście – rozległ się znajomy odgłos wakacji na biwaku i minionych festiwali – i moim oczom ukazały się dwa czyściutkie śpiwory spięte razem i rozłożone na podwójnym materacu. Czuć było delikatny zapach mydła z suszącego się ręcznika.

Nasze stoisko – szeroki, granatowy namiot z otwartym przodem – rozstawione było pod dębem. Mac stał przy bufetowym termosie z wrzątkiem. Na twarzy tańczyły mu iskierki światła, rzucane przez wiszącą nad nim dyskotekową kulę, a wokół rozchodził się lekki, cynamonowy aromat czaju, korzennej herbaty, którą wszyscy wtedy pijaliśmy. Pobrzękiwały zawieszane na gałęziach drzew dzwoneczki wietrzne, ale było ich zbyt dużo, żeby uznać ich dźwięk za kojący.

– Jeszcze czas, żeby wieść się rozeszła – wymamrotał w kubek.

Ale do zaćmienia zostało niespełna dwadzieścia godzin.

Kit wyłonił się z tajemniczego wnętrza z workiem na śmieci w ręce. Nie golił się, odkąd się widzieliśmy, i zarost sterczał mu jak igiełki.

– Hej – powiedziałam łagodnie.

Był tak zatrzaśnięty w swojej ponurości, że nie od razu zarejestrował moją obecność, ale gdy to się stało, uśmiech natychmiast go przeobraził i jak zwykle poczułam się dumna, że to ja wyciągnęłam go ze złego nastroju. Upuścił torbę, a kiedy złączyliśmy się w pocałunku, poczułam, jak się rozluźniam.

– Pachniesz lepiej, niż się spodziewałam – zauważyłam.

– Rory otworzył farmę, za opłatą można wziąć gorący prysznic – wyjaśnił Kit.

– Jasne – prychnął Mac. – Nie minęły dwa dni, a weekendowi hipisi już odkrywają granice swojej higieny. – Jego ton wskazywał, że duszenie się we własnym brudzie jest powodem do dumy.

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedział Kit. – To najlepiej wydane cztery funciaki w moim życiu. – Odwrócił się do Maca. – A do Rory’ego nie mam pretensji. Nie nam jednym przepadają w ten weekend pieniądze. – Założył mi kosmyk włosów za ucho. – Jak poszła rozmowa?

– Chyba dobrze. Zobaczymy.

– Na pewno byłaś genialna – rzucił z roztargnieniem, wbijając wzrok w olbrzymią szarą chmurę mknącą nad nami.

– Może przejdzie – powiedziałam. – Nigdy nie wiadomo, prognozy ciągle się mylą. – Moje słowa otuchy spłynęły po nim bez śladu, pomamrotał coś o chmurach i opadach, aż nagle coś innego przykuło jego uwagę.

– Ej, co tu się dzieje? – Lekko pokręcił jedną z gałek w termosie. – Znowu się zepsuło, jakaś złączka musiała się z tyłu poluzować. Zostań tu, napij się spokojnie, a ja to naprawię. – Pocałował mnie w czubek głowy i zniknął za namiotem.

Mac odpalił długiego, cienkiego skręta. Zaciągnęłam się głęboko, żeby zapomnieć o Londynie i zresetować umysł, a potem podałam jointa Ling. W tamtych czasach szczyciłam się tym, że potrafiłam brać albo rzucać narkotyki zależnie od ochoty. Uzależnienie wpiło już kły w Lachlana. Widziałam, jak czai się na Maca, i wydawało mi się, że mam szczęście, że mnie nie dopadło. Nie zdawałam sobie oczywiście sprawy, że swoją truciznę nosiłam w środku – substancje chemiczne, które mój mózg produkował przy trzaśnięciu drzwiami czy odpaleniu zapalki. Hormony stresu, adrenalina i kortyzol, wpompowane

w odpowiedniej ilości, przebiją wszystko, co człowiek mógłby wypalić czy zażyć. Rok po Lizardzie zazdrościłam tym, którzy potrafili odtruć się na odwyku. Kiedy nęka cię lęk, nosisz w sobie jego niewyczerpany zapas.

Tak czy inaczej, byłam miło zamroczona, kiedy Kit wrócił ze zwycięskiej walki z niesfornym wężykiem. Mac pomachał mu skrętem pod nosem.

– Dalej, Kit. Otrząśnij się już.

– Chcę zachować ostre zmysły na zaćmienie – odparł wyniośle Kit.

– Przecież to dopiero jutro – zauważyła Ling.

– Nie przejmuj się – powiedział Mac, który zawsze brał do siebie odmowę swojej gościnności. – Jeśli dorośnie do narkotyków tak późno jak do seksu i rock and rolla, to pierwszą ekstazę przeżyje pewnie na czterdzieste urodziny.

Spodziewałam się, że Kit zbędzie komentarz śmiechem – przecież miewaliśmy nasze szalone noce – ale zamiast tego zmarszczył brwi. Tylko Mac potrafił go doprowadzić do takiej wściekłości. W którymś momencie ich relacji, pewnie w ciągu dziesięciu minut pomiędzy ich narodzinami, zapewne jeszcze w łonie, które dzielili, musiała zapaść decyzja, że to Mac będzie trzymał władzę. Mac przywłaszczył sobie nawet ich wspólne nazwisko jako przezwisko, co chyba tylko mnie wydawało się dziwne. To nie to, że zawsze musiał mieć rację, choć nieraz obserwowałam, jak Kit odpuszcza, żeby szybciej zakończyć spór. Po prostu zdanie Maca liczyło się bardziej niż Kita.

– Idę się rozpakować – oznajmiłam i poszłam przez pole, pewna, że Kit podąży za mną.

Zamiast się rozpakowywać, poszliśmy do łóżka, czy też raczej do śpiwora. W tamtym czasie seks był balastem, który należało zrzucić, zanim mogliśmy zająć się czymkolwiek innym. Potem leżeliśmy w zielonkawej poświacie namiotu, majtki zawinęły mi się w ósemkę wokół kostki.

– Jak daleko mamy do morza? – chciałam wiedzieć.

– Jakieś dwadzieścia minut. Ale gdybyś miała ochotę na dłuższy spacer, moglibyśmy się przejść do Goonhilly Downs. To stamtąd wysłano pierwszy w historii sygnał satelitarny. Stoją tam takie ogromne odbiorniki, wysokie jak

wieżowce.

– Nie brzmi jak romantyczny spacer, o jakim marzyłam.

– Ale jest, przynajmniej na swój sposób – bronił się. – Dosłownie w środku tej całej technologii jest masa stojących głazów. Po prostu porzrzuć dookoła megality. A oni wybudowali tam pieprzoną stację satelitarną! Już jest nieczynna.

– Kocham cię – powiedziałam. – Ale stawiam granicę, gdy chodzi o zwiedzanie miejsca z talerzem satelitarnym, kiedy kornwalijskie wybrzeże jest tam.

Okazaliśmy bransoletki, żeby wydostać się z festiwalu, i poszliśmy nadmorską drogą ku Lizard Point. Mała miejscina, najwyraźniej zbudowana na laurach swej południowej lokalizacji, nie miała zbyt wiele do zaoferowania. Była zakorkowana przyczepami i autami kombi, w lekko obskurnej kawiarni turyści ustawiali się w kolejce po bułeczki z dżemem na podwieczorek. Wiejska droga zmizerniała do pobrużdżonej ścieżyny. Morze z oddali wyglądało jak roztopiony ołów, ale oto staliśmy już na skraju klifu i spoglądaliśmy w dół na niebieskawozielone sadzawki.

– Już wiesz, dlaczego wszystkie statki przemytnicze ulegały katastrofom – powiedziałam, patrząc, jak wielka fala cofa się, ukazując sterczące czarne skały, szczękę dinozaura.

– Byłby ze mnie dobry szmugler, z łupem z kradzieży na pełnym morzu – orzekł Kit, na co oboje wybuchliśmy śmiechem, bo trudno wyobrazić sobie mniej pirackiego człowieka. – Mógłbym przychodzić po ciebie w sztywnych od soli bryczesach i z kordem w zębach.

– A ja ukrywałabym rubiny w halkach.

– Oo-ar – rzucił i wiedziałam, że mam go z powrotem.

Wplótł palce w moje włosy i przyciągnął mnie blisko do siebie.

– Zależy mi, żeby jutro było doskonałe – powiedział.

– Nic nie jest doskonałe.

– Jesteśmy my.

– Gadasz bzdury.

Uśmiechnął się i puścił moje włosy.

Kit nadal wierzy, że tamtego weekendu wszystko potoczyło się w dół z powodu



tego, co się wydarzyło. Że gdybym poszła w lewo zamiast w prawo w chwilę po zaćmieniu, zeglowałibyśmy nadal naszą nieskalaną, złotą rzeką. Myli się. Byliśmy młodzi i mieliśmy szczęście, ale nie byliśmy odporni na to samo gówno, które wszystkich spotyka. Nawet – a może szczególnie – nie da się utrzymać dobrego seksu. Czas i przyziemność codziennego życia w końcu starłyby blichtr. Jeśli już coś, to właśnie teraz jesteśmy tacy silni właśnie z powodu traumy, która nas ukuła. Kita nie da się jednak przekonać. Pomimo tej swojej teorii o równoległych żywotach, o której ciągle się rozwodzi, a która zakłada istnienie nieskończonych wszechświatów, gdzie następują wszelkie możliwe działania, nie da się dwa razy przeżyć tego samego życia; nie da się cofnąć i w pewnych sytuacjach zachować się inaczej. Nigdy nie dowiemy się, jaki mógłby być nasz związek, gdyby nie został poddany próbie. Mamy tylko ten jeden.



KIT

18 marca 2015

Anglia zlewa szarość z zielenią, gdy mój pociąg ze stukotem pędzi na północ i opuszcza Londyn, a ja uspokajam się z każdym kilometrem. To proces fizjologiczny – wyraźnie czuję, jak kolejno rozsypują mi się kręgi. Z początku przypisuję to skutecznemu odhaczeniu wszystkich punktów na liście, bez przeszkód w postaci awarii sygnalizacji świetlnej na torach czy wybryków pasażerów, ale kiedy rozpakowuję przygotowaną przez Laurę kanapkę, na myśli o żonie czuję nagły ucisk w piersi i zdaję sobie sprawę, że problem kryje się głębiej. Nagle uderza mnie świadomość, że poczucie ulgi zawdzięczam właśnie rosnącej odległości pomiędzy nami. Cztery dni dystansu od huśtawek nastroju, paranoi i niekończących się, mrocznych spekulacji. Cztery dni dbania tylko o siebie.

Postrzeganie Laury w ten sposób odbiera mi apetyt. Nie jest w stanie pokonać lęku. Wiem, że przeżywa tortury. Cierpię katusze, patrząc, jak drapie się i płacze, jak zzerają ją nerwy. Pytałem, czy nie mogłaby się umówić znów do terapeuty – skądś byśmy na to wyskrobali, może mogłaby się nauczyć chować gdzieś przeszłość, tak jak odkłada się stary dokument, który może już nigdy się nie przyda, ale trzeba zachować go na wszelki wypadek. Laura nie chce o tym słyszeć. Upiera się, że jej mózg tak nie potrafi. A kiedy widzę, jak orze paznokciami

przedramiona albo oddycha starannie w rytm jakiejś wewnętrznej mantry, jestem wdzięczny, że nie mam jej wyobraźni. Powinienem się cieszyć, że przynajmniej jedno z nas umie wziąć się w garść. Emocje te zostawiają posmak winy – jałowego uczucia – więc spycham myśli na inny tor.

Pociąg pędzi przez Nottinghamshire, skąd pochodzi Beth. Słupy wysokiego napięcia rozciągają druty pośród łagodnych wzgórz. Zawsze widziałem w tych słupach symbol ostatecznej zdolności adaptacji człowieka. Żelazne olbrzymy maszerują nam przez krajobraz, a my nie tylko nie uciekamy z krzykiem, ale nawet ich już nie dostrzegamy.

Z niewiadomych przyczyn zatrzymujemy się w pobliżu Newark. Milczenie pociągu dopuszcza wytrącający z równowagi szept w mojej głowie: nie powinieneś jechać. Moje sumienie ma głos Laury i jej maniery, jak również większość z jej przekonań.

Sprawdzam telefon. Nic od Laury, co, jak mam nadzieję, oznacza, że wróciła do łóżka. Przeglądam ekrany. Wczoraj dodałem trzy strony nowych ikon, skrótów do wszelkich możliwych blogów poszukiwaczy zaćmień, chatroomów i forów, jakie tylko udało mi się znaleźć w sieci. Chcę mieć możliwość oddzielenia autentycznych prognoz pogody od plotkarskich plew.

Potem, zerknąwszy najpierw z przyzwyczajenia przez ramię, wchodzę na tajemną stronę na Facebooku, którą ukryłem w zakładce „narzędzia”, za tuzinem aplikacji, których nigdy nie używam. Laura z a b i ł a by mnie, gdyby się o tym dowiedziała, ale nie ma lepszego miejsca niż Facebook, żeby wiedzieć, co się dzieje, poza tym starałem się zachować maksymalną anonimowość – fałszywe nazwisko, awatar bez mojej twarzy, i wszelkie lokalizacje wyłączone. Wchodzę tu tylko z telefonu i komputera w gabinecie, nigdy ze wspólnego tabletu. Raz, kilka lat temu, doszło do podejrzaney sytuacji, kiedy kobieta o ksywce Ciemna Dama (cóż, każdy może się pokusić o fałszywe imię), o zdjęciu przedstawiającym kształtną sylwetkę podświetloną półkolem Słońca, wysłała mi prywatną wiadomość o treści: „Czy Ty jesteś Kit McCall?”. Zablokowałem ją, potem dezaktywowałem konto na dwanaście miesięcy i odkąd wróciłem, już mnie nie zaczepiała.

Na tablicy grupy nastrój waha się od ostrożnego optymizmu po nieokiełznaną rozpacz. Nowe zmartwienia przesłaniają stare, i kiedy mój pociąg wjeżdża na stację Newcastle, moje myśli skupione są tylko na niebie.

– Chris! – Reaguję z półsekundowym opóźnieniem, jak zwykle, gdy ktoś zwraca się do mnie oficjalnym imieniem.

– Richard!

Stoi pod zegarem, olśniewający w swoim sweterku z Wysp Owczych. Ma mniejszy plecak niż mój, ale trzyma skrzyneczkę ciemnego ale. Na mój widok unosi ją w geście pozdrowienia, a potem podajemy sobie dłonie – nie łączy nas przyjaźń z niedźwiedzimi uściskami, choć ta relacja może się zacieśnić podczas czterech dni dzielenia kajuty. Kilka lat temu pracowaliśmy w jednym laboratorium, a kiedy odkryliśmy łączące nas zamięłowanie do gatunku *cult fiction*, wyskoczyliśmy raz na drinka po pracy. Richard jest bardziej astronomem teleskopowym niż poszukiwaczem zaćmień, ale kiedy stało się jasne, że Laura nie będzie w stanie pojechać do Torshavn, zaproponowałem mu wspólną wyprawę, i to nie tylko do towarzystwa, ale żeby pokryć część jej kosztów – liczymy teraz każdy grosz. Richard nie wie, że kiedykolwiek byłem Kitem McCallem i zdecydowanie nie słyszał o Beth. Laurze przyszło kiedyś do głowy, że jako mojemu kompanowi podróży mogłoby mu coś grozić, ale niby dlaczego?

– Jest ognście ruda – zauważa, patrząc z zadziwieniem na moją brodę.

Zrównujemy krok w drodze do punktu odbioru, gdzie czeka minibus na włączonym silniku.

Gdy zajmujemy miejsca, rozmowa natychmiast schodzi na meteorologię, a im dalej zagłębialiśmy się w zakręcone zawiłości frontów termalnych i ułożenia planet, czuję się, jakbym zanurzał się w ciepłej kąpieli. Nie musimy przerywać konwersacji, by wyjaśniać jakąś teorię czy zjawisko. Laura złapała zaćmieniowego bakcyła, ale jest w stanie przyjąć ograniczoną ilość wiedzy naukowej, zanim jej spojrzenie stanie się mętne. Wystarczy jej, że stoi i obserwuje w niemym podziwieniu. Nigdy tego nie pojmem, choć już umiem to uszanować. Jednak uczucie, jakiego doświadczam w tej chwili, omawiając mechanizmy niebieskie z kimś na swoim

poziomie, mogę porównać tylko z mieszkaniem w kraju, gdzie nikt nie włada twoim ojczystym językiem. Dogadujesz się w obcym języku, porozumiewasz się, ale rozkosz z rozmowy z kimś, kto rozumie każdą subtelność i niuans, wyciska ci z oczu łzy ulgi. Te debaty są też obiektywne. Nawet w zgodnych małżeństwach rozmowy nigdy nie są neutralne – wszystko, co mówisz, niesie ciężar każdej wymiany zdań, w jakiej kiedykolwiek brałeś udział. Czysta nauka jest źródłem wytchnienia, bo istota faktu jest wolna od moralności. Wszystko, co mówię Laurze, jest podniesione i przebadane pod względem zawartości etycznej, która na ogół zbija mnie z tropu. Gdy chodzi o wiedzę, jesteś na twardym, bezpiecznym gruncie wymiernych danych. Opinie są zmienne, nieuzasadnione. Czasem mam wrażenie, że nie mam prawdziwego zdania na żaden temat z wyjątkiem Laury.

– Mam na tablecie n i e z i e m s k ą apkę geolokacyjną – chwali się Richard, pokazując mi ekran ze statystykami nałożonymi na mapę świata. – Całkowite, częściowe, obrączkowe, wszystko jest. – Tłumię w sobie ukłucie frustracji, przecież to j a mam wprowadzać j e g o w świat tego zjawiska.

– Widać, chłopcy, że znacie się na rzeczy – odzywa się siedzący przed nami mężczyzna w średnim wieku. – Robiliście już coś takiego?

Nie mogę się powstrzymać, by dumnie nie wypiąć piersi.

– To moje dwunaste całkowite zaćmienie.

Wszyscy jednocześnie unoszą brwi i czują się jak bóg pośród śmiertelników.

– Ja jestem zaćmieniowym prawiczkim – przyznaje się bez troski Richard.

– Dla nas to też pierwszy raz – mówi mężczyzna, wskazując na siebie i żonę.

– No, od mojego pierwszego razu trochę już minęło – rzuca kobieta, wzbudzając chór śmiezków.

Dzwonię do Maca, żeby sprawdzić, czy pod moją nieobecność nie oddała się zbyt daleko od naszego osiedla. Chcę być pewien, że w razie nagłej sytuacji to właśnie Mac zawiezie Laurę do szpitala. Powinna być wśród rodziny. Ling ze względu na pracę nie zawsze jest dyspozycyjna, moja mama by tylko panikowała, a ojciec Laury nie dotarłby do niej na czas.

– Obiecuję – powtarza. – Nie oddalę się od Drabiny, dopóki nie wrócisz. Nie

martw się, zaopiekuję się nią.

– Tylko prowadź na trzeźwo – rzucam.

To oczywiście żart. Już od czternastu lat jest czysty. To nie trzeźwość ani nawet ojcostwo miało na niego łagodzący wpływ, ale sukces. Razem z Laurą doszliśmy do wniosku, że jego gorycz brała się z duszenia wewnętrznego kapitalisty pod przykryciem hipisowskiego liberalizmu. Mówi o sobie, że jest bosym przedsiębiorcą, co brzmi, jakby był palantem, a ja dorosłem już do tego, by mówić mu to prosto w twarz.

Miejski pejzaż zmienia się, gdy zbliżamy się do portu. Skrzynie transportowe poustawiane są wysoko jak wieżowce, a dźwigi przeszywają nisko wiszące chmury jak płyty wyrzutni rakietowych. Rozpoznaję Princess Celeste z broszury i czuję ucisk klaustrofobii na widok maleńkich okienek.

W porcie sprawnie odbierają nam bagaż i zapewniają, że będzie czekał na nas w naszych kajutach. Stoimy z Richardem w dopasowanych sweterkach u stóp trapu. Wokół nas tłoczą się setki ludzi. Pomimo składanych Laurze zapewnień łapię się na tym, że rozglądam się za ciemnymi włosami, wijącymi się jak dym, i nadstawiam uszu na dźwięk swojego starego imienia.



LAURA

11 sierpnia 1999

Dzień zaćmienia wstał chłodny i ponury. Zbudziliśmy się o ósmej, choć pracowaliśmy do północy, a potem poszliśmy jeszcze potańczyć. Dziewczyna z garnkiem złotej farby zaoferowała nam z Ling dwie porcje w cenie jednej: wymalowała nam płonące słońca na nagich ramionach, choć było tak zimno, że znad naszych ciał unosiła się para. Znalazłyśmy niewielki namiot, w którym grali trance, i oddaliśmy się szaleństwu. Rano większość lśniącego smarowidła znalazła się na moich dłoniach i śpiworze. Tak czy inaczej, to rozmazane złote słońce było prawdopodobnie jedynym, jakie mieliśmy szansę zobaczyć.

Kiedy Kit wystawił głowę z namiotu, myślałam, że wybuchnie płaczem.

– Jeszcze nigdy nie przyblokowały mnie chmury – powiedział. – Wiem, że to się zdarza, jest ryzyko jeden do sześciu, ale po prostu nie wiem, jak teraz będzie.

Na godzinę przed pierwszym kontaktem spakowałam malutką torbę, a Kit po raz milionowy sprawdził aparat. Minęliśmy karuzelę i diabelski młyn, kępę drzew, i dotarliśmy do naszego stoiska. Korzystając z braku klientów, Mac i Ling przebywali w części relaksacyjnej i zanosili się szaleńczym chichotem.

– Hej! – rzucił Mac na powitanie. Zlustrowałam ich jak policjant z obyczajówki – wzrok mieli ostry, więc nie trawka, nieruchome szczęki wykluczały ecstazy, zostawał kwas, co oznaczało, że do wieczora nie nadawali się do niczego.

– Jaja sobie robicie – wycedził Kit. Wiedziałam, że nie chodzi o pruderię ani nawet frustrację z wyrzuconych w błoto pieniędzy, ale o wściekłość na Maca za brak szacunku do zjawiska. – Zostawmy ich sobie – zwrócił się do mnie. – W tej chwili obrót najmniej mnie obchodzi.

Nawet nie zauważyli, jak odeszliśmy.

Na głównej scenie był tłum, jakiego jeszcze tam nie widzieliśmy, na polu masa ludzi kiwała się do utrzymanego w wysokich tonach trance’u, z nadzieją wpatrzona ze zmrużonymi oczami w białe niebo. Wiele osób miało na sobie gogle ochronne, czyli soczewki z folii Mylar umieszczone w tekturowych oprawkach, choć w najbliższym czasie nie miało się pojawić nic godnego oglądania. Z rzadka przebijały się promienie światła, gdzieniegdzie witane wiwatami i gwizdami, które gasły, gdy chmury z powrotem łączyły się w nieprzenikalną pokrywę. Kit rozejrzał się nerwowo po tłumie.

– Nie ma horyzontu – oznajmił. – Jeśli już chmury mają zepsuć widok, przynajmniej spróbujmy zobaczyć jak najwięcej nieba.

Powoli zatoczyliśmy koło.

– Co jest za tymi drzewami? – spytałam. – Może stamtąd będzie lepiej widać?

Okazało się, że jest tam pełno zaparkowanych samochodów ciężarowych i furgonetek, które przywiozły sprzęt do wesołego miasteczka. Stał i porzucony dodge, któremu ktoś pociął i wybebeszył fotele, na ziemi leżała jakaś część, która wyglądała na kluczową – chyba całe ramię karuzeli „pająk”. Poprzysięgłam sobie, że nie wsiądę na żadne z urządzeń w wesołym miasteczku. Wszystko to okalało ogrodzenie odcinające niebo na wysokości sześciu metrów.

– Gorzej niż na scenie – mruknął Kit.

– Zaczekaj.

Tuż przy płocie stała ciężarówka, jej dach na równi z ogrodzeniem. Spojrzałam na Kita, po czym przeniosłam wzrok na pojazd.

– N i e m o ż e m y – zaprotestował.

Mimo to dokonał rekonesansu wozu, zaglądnął najpierw do kabiny kierowcy, a potem przez okna, wreszcie podniósł oba kciuki. Jednym zgrabnym wybiciem



znalazł się na górze, a ja wspinałam się jak małpka, zaciskając palce na bocznych lusterkach, szukając stopnia u spodu przedniej szyby, aż w końcu Kit podciągnął mnie ostatnie kilka stóp.

Nawet w pochmurny dzień widok był dziełem sztuki namalowanym specjalnie dla nas. Zielone wzgórza miękko zstępowały do morza. Tam, gdzie wczoraj klify należały wyłącznie do nas, dziś trawa i wrzosa upstrzone były turystami. Jakaś sztuczka powietrza sprawiała, że muzykę dało się słyszeć lepiej tu niż w dole, na scenie, uderzenia basów nie były przytłumione, wysokie tony brzmiały czyściej. Wyjęłam z kieszeni zaćmieniowe okulary i przetarłam soczewki z grubej folii rąbkiem bluzy. Jeden z klientów powiedział nam wczoraj wieczorem, że na miejscu zabrakło gogli, nagle okazało się, że za jedną parę trzeba zapłacić nawet pięćdziesiąt funtów. Zdjęłam swoje, w mojej dłoni spoczywał pasek papieru, skrawek plastiku. Ciekawe, jak często przedmiot, bezcenny w jednej chwili, w następnej traci wszelką wartość.

Melancholia Kita przerodziła się we wzburzenie. Ścisnął moją dłoń tak mocno, że musiałam mu ją wyrwać.

– Przepraszam – bąknął, rozcierając moje zgniecione palce, żeby przywrócić im krążenie.

Wtedy ruszyły wiatry.

Kit opowiadał mi oczywiście o towarzyszących zaćmieniu wiatrach, nieziemskiej zapowiedzi, której siła waha się od leciutkiej niczym bryza po niemal huraganową. Podmuch rozwał mi włosy w srebrne serpentyny, które Kit przygładził dłońmi i przytrzymał przy moim karku. Pogoda zrobiła się jak w książce, jakby otwierała się przed nami baśń.

– Nadchodzi – powiedział Kit.

Słońce pozostawało niewidoczne i zanikanie światła następowało powoli i bez dramatyzmu, a zmrok był niezwykły tylko ze względu na swą dziwną porę. Za nami nieprzerwanie trwał festiwal, piski i nieczyste basy rosły do crescendo, którego zjawisko nie zdawało się gwarantować. Co chwilę ktoś z tłumu zaklinał: „Dawaj, Słońce!”, jakby kibicował Brytyjczykowi w finale Wimbledonu. Pomimo

przeszywającego wiatru chmury nad nami pozostawały zbitą masą.

– Tam.

Kit skinął głową w lewo i wskazał kierunek aparatem. Skierowałam tam spojrzenie i z wrażenia nieomal straciłam oddech. Ściana nocy naciskała na nas znad Atlantyku, czarna zasłona zaciągana po niebie. Nabrałam powietrza, jakbym spadała z wysokości. Samotny szpak zaczął gorączkowo ćwierkać na drzewie, a muzyka sięgnęła piskliwego szczytu wbrew moim oczekiwaniom nabożnej ciszy. (Lata później, podczas podróży do Tromsø w poszukiwaniu zorzy polarnej, miałam mieć zupełnie inne wrażenia – zdziwiła mnie towarzysząca jej całkowita cisza i to, że nie było żadnego świstu ani strzelania jak z bata przecinającego powietrze). Gdzieś w oddali, w głębi lądu, rozległ się huk fajerwerków.

– Nie wiedziałem, że ciemność może być taka piękna – powiedział Kit, celując obiektyw w horyzont.

W tej chwili, jak za wypowiedzeniem magicznego zaklęcia, chmura rozdarła się wzdłuż i częściowo ukazało się Słońce – czarny jak smoła krążek w otoczeniu pierścienia czystego światła. Aparat Kita cykał i ładował się od nowa przy moim uchu. Dziwne, szalejące wokół nas wiatry niosły radosny ryk. Nie było śladu zjawisk, na które liczyłam – strzelistej korony, Słońca wyciekającego kraterami Księżyca, by stworzyć efekt diamentowego pierścienia – i po kilku sekundach w ogóle było po wszystkim, ale i tak czułam się odmieniona, jakby z nieba wyciągnęła się olbrzymia dłoń i dotknęła mnie. Byłam rozdarta pomiędzy chęcią, by spektakl minął, żebyśmy mogli o nim porozmawiać, a nadzieją, że nigdy się nie skończy. Jednak dobiegł końca – zasłona przesunęła się na wschód, przywracając światu barwy.

Nagle poczułam się o n i e ś m i e l o n a w towarzystwie Kita – po tej niezwyklej, niebiańskiej intymności, jakiej właśnie doznaliśmy.

– Nie wiem, co teraz ze sobą zrobić – wyznałam.

Zdecydowanym ruchem założył osłonę na obiektyw.

– Mam g i g a n t y c z n y wzwód – zasugerował.

Roześmiałam się i pozwoliłam się sprowadzić na ziemię z dachu ciężarówki.

Wylądowałam w jego ramionach z impetem, który zwałił go z nóg. Przywarliśmy do siebie tak mocno, że w drodze powrotnej musieliśmy zrównać krok, jak w wyścigu parami. Musiałam uważać, gdzie stawiam nogi, gdybym nie patrzyła tak dokładnie, pewnie nie spostrzegłabym torebki. W zasadzie była to zapinana na zamek portmonetka z jaskrawej włóczki utkanej w aztecki wzór. Schyliłam się, by ją podnieść – w środku zwinięte były trzy banknoty pięcioletowe i kilka miedziaków, ale nie było żadnego dowodu tożsamości.

– Może ją tu zostaw, na wypadek gdyby ktoś po nią wrócił – podsunął Kit.

– Ale k a ż d y mógłby ją zabrać. A jeśli to czyjś cały majątek? Może nie ma już więcej do końca festiwalu? Może za to ma się dostać do domu? Blisko wejścia jest stanowisko policji. Jeśli nie spotkamy nikogo po drodze, powinniśmy tam to zostawić.

– Dobrze, jeśli to cię uszczęśliwi. – Kit wywrócił oczami. – Pójdę tędy i sprawdzę, czy ktoś wygląda, jakby właśnie zgubił torebkę.

– Dzięki – rzuciłam. Roztargniona zauważyłam właśnie leżącą kilka kroków dalej na ziemi monetę, obok następną.

Już tyle razy odtwarzałam w pamięci tamtą chwilę. Czy gdybym mogła się cofnąć w czasie, podniosłabym portmonetkę? Część mnie – przemądrzała uporczywość świadomości, jaką daje perspektywa czasu – podszeptuje, że powinnam była zostawić ją na ziemi i wracać z Kitem. Ale nawet wiedząc, co było potem, chyba nie potrafiłabym przejść obok obojętnie. Być może tylko przytuliłabym Kita odrobinę mocniej i o sekundę dłużej i delectowałabym się doskonałością, póki trzymałam ją w dłoni.



LAURA

18 marca 2015

Ludzie cierpiący na bezsenność wiedzą, że jeśli obudzą się zbyt wcześnie, to śniadanie innych wydaje im się porą lunchu. Znużona przyspieszam o kilka godzin zwyczajowy telefon do taty.

W zasadzie nie spodziewałam się, że odbierze. Pewnie korzysta z porannej godziny szczytu i stoi na rogu ulicy, próbując wciskać ulotki w nieustępliwie zaciśnięte pięści spieszących do pracy przechodniów.

Wysłałam SMS-a do Ling.

„Możesz rozmawiać?”

Odpowiedź jest błyskawiczna:

„Na spotkaniu opieki społecznej”.

Tym samym wyczerpałam listę potencjalnych rozmówców. Nie żebym martwiła się brakiem przyjaciół, ale od czasu do czasu go zauważam. Maluszki wszystko zmieniają. Ronni, ta, która mieszka obok, powiedziała mi kiedyś, że dzieci rozkręcają życie towarzyskie skuteczniej niż wino.

Nagle orientuję się, co jest nie tak. Byłam tak roztrzęsiona wyprawą Kita, że nie przywitałam się jeszcze z mamą. Podnoszę białą-czarną fotografię w sfatygowanej drewnianej ramce i całuję szybkę.

W marcu 1982 roku trzydzieści tysięcy kobiet chwyciło się za ręce wokół

ogrodzenia bazy RAF-u w Greenham Common, w Berkshire, w proteście przeciwko broni jądrowej. Byłam jedną z nich. Trafiłam nawet do lokalnej gazety – rozmazany w druku uśmiech znad połatanych ogrodniczek. „Zwyciężymy: czteroletnia Laura Langrishe w Pokojowym Obozie Kobiety Greenham Common z matką, Wendy”. Na moim biurku stoi oprawiona kopia, a u mojego taty – pożółkły oryginał. Obok jest jeszcze jedno zdjęcie zrobione w tym samym tygodniu, z białym *passe-partout*, tym razem nie oryginał, bo ten skończył tak samo jak pierwsza mapa Kita, ale odbitka z negatywu. Na fotografii stoję przed namiotem, wtulona w szczupłe ramiona mamy. Ma na głowie chustę w tureckie wzory i kolczyki kółka, a za lewym uchem ręcznie zwiniętego papierosa. Obie jesteśmy roześmiane, z takimi samymi dołeczkami wysoko w prawych policzkach. Cztery tygodnie później zginęła pod kołami pijanego kierowcy, na trzecim pasie przejścia dla pieszych, gdy szła odebrać mnie z przedszkola.

Mój tata, Steve, mówił i nadal mówi bez przerwy o Wendy, śmierć zamroziła ją w perfekcji, więc pierwsze cztery lata mojego życia zdają się idyllą. Chciałabym pamiętać jakiegokolwiek wady mamy, ale nigdy nie było mi to dane. Aż wstyd, że dopiero niedawno zdałam sobie z tego sprawę. Pytałam tatę, o co się kłócili, ale twierdzi, że o nic, mieli takie samo spojrzenie na świat. Może rzeczywiście na początku było idealnie. Kto wie, może z czasem dawałaby mi szlabany, nadzorowała, co mam w szafie i z kim się zadaje, czepiałaby się słuchanej przeze mnie muzyki i czytanych – bądź nieczytanych – książek. Wiem, że po moim urodzeniu Wendy nosiła mnie w chuście dekady przed narodzinami tego trendu i że nauczyłam się mówić, powtarzając nazwy polnych kwiatów podczas naszych spacerów. Tata z czułością wspomina pieczenie biszkoptów i stawianie pieczętek z ziemniaka przy kuchennym stole w wynajętym mieszkaniu w Croydon. Gdybym pamiętała choć jedną z takich okazji i wierzyła, że to prawdziwe wspomnienie, a nie zaszczipiona legenda, ale pozostają mi skojarzenia i wywołujące uczucia drobiazgi. Śmiech jak rechot czarownicy, zapachy tytoniu i szamponu Timotei. Jest tylko jedno wspomnienie, które na pewno należy do mnie, a mianowicie, jak mama rozczesuje mi włosy, szepcząc, że są zbyt piękne, by je ścinać, pamiętam, jak

przesuwa po nich szczotką i zaplata w warkocze, a ja mruczę jak kociątko. Z całą pewnością źródłem wizji nie był tata, który przez długie lata poddawał mnie torturom, upinając mi – wysoko i krzywo – kucyki za pomocą gumek recepturek. Nigdy nie spytałam go, czy moje wspomnienie jest prawdziwe, z obawy, że nie jest, ale podzieliłam się nim z Kitem drugiego wspólnego wieczoru, przez głośne, bezradne łzy. Tej nocy wyczesał moje włosy po stokroć, zanim położyliśmy się spać.

Może nie przejęłam od Wendy żadnych praktycznych aspektów sztuki macierzyństwa, ale jest we mnie coś z niej, czuję to, gdzieś pod żebrami. Lubię myśleć, że to cały ogrom miłości, którego nie miała szansy mi dać. Próżnia nie powinna nic ważyć, a tymczasem ja uginam się pod jej ciężarem i nie znajdę ukojenia, dopóki nie przekażę jej dalej. Adele, z jej dobrymi, lecz niezdarnymi intencjami, zarzeka się, że ma miłości za dwie babcie. Z pewnością ma dość wełny. Pasuje jej praca, którą wykonuje, zbieranina tkanin i włóczek; Adele zaczyna i kończy się w domu. Gdyby umieścić ją i Wendy w serialu, stanowiłyby doskonałą parę walczących teściowych.

Wendy była wymachującą transparentami, niemal książkową feministką – oprócz tego, że koczowała w Greenham, prenumerowała „Spare Rib” i nie nosiła stanika, choć tak jak ja, albo raczej jak ja, dopóki nie musiałam zacząć kombinować z hormonami, miała figurę dziesięcioletniego chłopca i biustonosz był jej zbędny. Mój ojciec jest bardziej przypadkowym feministą. Wychował mnie bez ustępstw na rzecz płci. Był zbyt zajęty polityką, żeby kupować mi Barbie. Pracował jako podwydawca lokalnych gazet, potem przy Fleet Street i przez całe moje dzieciństwo miał znaczącą pozycję w ruchach związków zawodowych. Jedno wczesne wspomnienie, które bardzo realnie wryło mi się w pamięć, to straszliwe starcie przy ogrodzeniu w Wapping, kiedy tata wraz z kolegami wystąpił ze wsparciem dla strajkujących drukarzy. Sporo rzeczy robił źle: na przykład dziewiąte urodziny spędziłam na dorocznej konferencji Kongresu Związków Zawodowych. Ale też sporo robił dobrze. Rodzice poznali się na bilardzie na swojej politechnice i kiedy miałam dziesięć lat, ubłagałam tatę, żeby nauczył mnie

grać. Zabrał mnie na colę i chipsy w męskim klubie dla pracowników Croydon. Z początku stawałam na odwróconej skrzynce po napojach, żeby w ogóle sięgnąć stołu. Ale w trzynaste urodziny byłam już równa wzrostem z ojcem i potrafiłam ograć niejednego w pięć minut.

Od przejścia na emeryturę poważnie zaangażował się w politykę partyjną. Tuż przed tym, jak poznałam Kita, powiedział: „Południe umarło”, i zadeklarował, że ostatnia szansa lewicy leży w północy. Zamienił mieszkanie w Croydon na czteropokojowy domek w Toxteth w Liverpoolu, gdzie bierze udział w kampaniach dla TUSC, twardej robotniczej partii. Jego niewybieralność w świecie rządzonej przez rynki sprawia, że kocham go jeszcze mocniej. Powinno mu się udać obejrzeć zaćmienie w piątek. Im dalej na północ, tym większy cień. W Toxteth zaobserwują jakieś dziewięćdziesiąt procent przesłonięcia. Prawdę mówiąc, od poszukiwaczy zaćmień i tak się dowiesz, że nie liczy się nic oprócz zaćmienia całkowitego. Częściowe też są ciekawe, ale nie tak, żeby mieć dreszcze. Nawet dziewięćdziesięcioośmioprocentowe zaćmienie to tak jakby p r a w i e być w ciąży.

Dawniej całe tygodnie mijaly bez kontaktu, ale teraz tata dzwoni do mnie niemal codziennie, rzekomo po pomoc z hasłem do minikrzyżówki w „Guardianie”. Kit obstawia, że ojciec rozwiązuje całą w pięć minut, po czym wybiera pytanie, nad którym najdłużej się namyślał, i wykorzystuje je jako pretekst, żeby zadzwonić do mnie. Kit uważa, że to urocze, ja zresztą też. Tata uwielbia codzienny raport na temat dzidziusiów, nawet jeśli ogranicza się do stwierdzenia „dobrze”. Mięknie na samo wspomnienie wnuków.

Tata wie o procesie Jamiego i o późniejszych wydarzeniach, ale nie wie, że sprawy są powiązane.

Nie jest świadom, że noc, kiedy uszliśmy z życiem, była czystym przypadkiem, a już z pewnością nie przypuszcza, że od tamtej pory żyjemy w nieprzerwanym strachu przed drugim, skutecznym atakiem.

Nie orientuje się, że Beth jest powodem naszej zmiany tożsamości.

Nie było tak, że usiedliśmy z Kitem we dwoje i podjęliśmy decyzję, że

zachowamy dla siebie podjętą przez Beth próbę zniszczenia nas. To rozumiało się samo przez się. Wokół tego postanowienia toczyły się rozmowy. Ustaliliśmy zgodnie, że nie chcemy, żeby nasze rodziny się martwiły, a McCallowie mieli już dość na głowie. Teraz widzę, że tragedia, którą przeżył mój ojciec, należała do przeszłości i wiem, że by mnie wspierał. Czasem mam wrażenie, że mogłam mu wyznać przynajmniej część tego, co się stało, ale tak to już jest z tajemnicami. Mają tendencje do wyciekania – nie da się wybrać fragmentów, którymi chcesz się podzielić, bez wycieku miliona pytań. Trzeba się szczelnie zalutować.

Żeby zrozumieć źródło wściekłości Beth, tata musiałby pojąć kontekst, a wszystkie drogi prowadzą do mojego kłamstwa. Podłożyłam się dla niej. Wiem z psychoterapii, że gniew zawsze boli u rdzenia. Do nocy, kiedy postawiłam się Beth, byłam jedyną osobą, która nigdy nie powiedziała jej nic niewłaściwego. Zwątpienie płynące ode mnie było gorsze niż od obcego.

Z jej perspektywy człowiek, któremu ufała najbardziej na świecie, najpierw ją zdradził, a potem zniknął. Ratując się, Kit i ja odebraliśmy Beth prawo do odpowiedzi. Mój psychoterapeuta z pewnością uznałby, że odebraliśmy jej zamknięcie.

Wtedy wydawało się to jedynym wyjściem, ale w rezultacie zamiast wygasić jej ogień, tylko go podsyciło.

Fakt, że miałam rację, był właściwie bez znaczenia. Poczucie dobra i zła u Beth było poważnie zdeformowane. Nawet moje, kiedy mu się przyjrzę, zdaje się nierozpoznawalne w zestawieniu z nieugiętym kodeksem etycznym, który zaszczerpił mi ojciec i według którego – zdaniem jego i Kita – zawsze żyłam.





LAURA

11 sierpnia 1999

Kit ruszył w swoją stronę, a ja poszłam za tropem miedziaków w kierunku zbiorowiska pozamykanych przyczep kempingowych. O najbliższą stał oparty koń z karuzeli, jakby przygalopował tu ze swojego kieratu i wreszcie opadł z sił. Na zadzie miał odręcznie wymalowane imię Eloise. Tuż za nim rozlegało się jakieś szuranie, coś się poruszyło.

– Halo, to twoje? – spytałam, po czym torebka wypadła mi z ręki.

Kobieta leżała na brzuchu, a jej ubranie – na pierwszy rzut oka długa spódnica – była podciągnięta. Mężczyzna był na górze. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, ciągle tak z Kitem robiliśmy. Ale wyrazy ich zastygłych twarzy były odległe o lata świetlne od czegokolwiek, z czym mogłabym się utożsamić. Plecy mężczyzny wyginały się w łuk niczym kobra. Błędne oczy były wąskie jak szparki, a ślina zwisała mu z ust wykrzywionych w grymasie mroczniejszym niż jakiegokolwiek wyobrażalne pożądanie. Zemdliło mnie, gdy dodałam do tego widok twarzy dziewczyny. Patrzyła prosto na mnie, jej oszalałe spojrzenie złączyło się z moim. Niezdarny makijaż oczu spływał jej teraz po policzkach. Palce orały ziemię. Takie zwierzęce przerażenie jest automatycznie rozpoznawalne, nawet jeśli nigdy się go nie doświadczyło. Smarki lały jej się z jednej z dziurek nosa, błoto i kawałeczki liści i gałązek mieszały się z wydzieliną, jakby jej buzia nie tyle dotknęła ziemi, ile

była wciśnięta w grunt. Wiedziałam, na co patrzę. Słowo w całej swej ohydzie niosło się wrzaskiem w mojej głowie. Pięć drukowanych liter wymazanych na czerwono na murze, zbyt wielkich, by je odczytać, zbyt straszliwych, by wypowiedzieć.

– O Jezu – szepnęłam. Mówi się, że coś mrozi krew w żyłach, ale moja paliła mi żyły jak lawa. – Nic ci nie jest? – Zabrzmiało żałośnie.

Na dźwięk mojego głosu mężczyzna gwałtownie podniósł głowę i przez chwilę jego upiorny wzrok był skierowany na mnie. Cofnęłam się, potykając się o własne nogi, i krzyknęłam cicho, gdy za plecami poczułam chłód pogiętej blachy przyczepy. Nie mam pojęcia, jak długo trwaliśmy w tym żywym obrazie. Może trzydzieści sekund, może trzy. Wiem, że pomiędzy tym, co widziałam, a moją zdolnością czynu ziała przepaść, jakby ktoś zdetonował ładunek wybuchowy.

– Boże, przepraszam – odezwał się facet. – Krępujące. Nic jej nie jest. A tobie?

Dziewczyna zamrugała, ale nie poruszyła się, by przemówić ani nawet wytrzeć twarzy. Gość podparł się i podniósł z niej. Ciągliwa, mleczna nić snuła się od czubka jego penisa po pośladki, ale pękła, gdy krzywiąc się, upchnął gasnącą erekcję w rozporku. Wstał z kolan. Wyglądał w każdym calu jak wyjęty z żurnala – jego strój od kurtki po dżinsy świecił wymuszoną elegancją. Ciuchy były firmowe, nazwy marek pyszniły się na jego piersi i ramionach. Jasnobrązowe włosy miał starannie ułożone, delikatnie postawione na żelu. Tylko błotniste plamy na kolanach i nasadach dłoni świadczyły przeciwko niemu.

– Niezręczna sytuacja – zaśmiał się nerwowo.

Kiedy się uśmiechnął, z przerażeniem stwierdziłam, że jest piękny.

Dziewczyna nadal trwała w bezruchu na ziemi. Widać było lewą nogę i pośladek. Najpierw myślałam, że ma rozdartą spódnicę, ale tkanina nie była pognieciona, dopiero potem zorientowałam się, że ma na sobie tajske spodnie rybackie, długie portfelowe portki, jakie w tamtych czasach wszystkie nosiłyśmy. Rozłożone płasko, wyglądały jak hipersześcian z kokardkami, stanowiły hasło rozpoznawcze mody alternatywnej, nieodgadnione puzzle dla niewtajemniczonych, które sprawiały, że włożenie sari zdawało się proste jak wsunięcie się w T-shirt, ale

kiedy już poznało się sposób, wkładanie ich było łatwe. Materiał nie zawierał lycry i nie był rozciągliwy, spodnie musiały zostać zdarte z właścicielki, i to mocno, żeby ujawnić tyle ciała.

Spojrzałam przez ramię w poszukiwaniu Kita, ale go nie było.

– Boli cię coś? – spytałam dziewczynę. – Czy on cię skrzywdził? – Zamrugła tylko, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy nie jest naćpana. – Coś ty zrobił? – zwróciłam się do mężczyzny.

– To nie tak, jak myślisz – odpowiedział, ale nie zaproponował alternatywy. Spojrzał na dziewczynę i powiedział życzliwie, przymilnie: – No chodź, maleńka.

Ostrożnie podeszłam do kobiety i wyciągnęłam rękę, żeby pomóc jej wstać, ale nie poruszyła się.

– Jak masz na imię?

Cofnęła się i skuliła przy kole jednego z kamperów. Przyszło mi na myśl, żeby otulić ją swoim swetrem, ale pewnie było na nim pełno włosów, moich i Kita, i tylko zanieczyściłabym miejsce przestępstwa. Nie nazywałam występku po imieniu, ale już myślałam w kategoriach materiału dowodowego i ekspertyz sądowych.

– Wszystko w porządku – uspokajałam, czując, że sytuacja kompletnie mnie przerasta.

– Laura? – Głos Kita rozbrzmiał wyraźnie i z bliska. – Nic nie znalazłem.

Ściany przyczep tworzyły wąski korytarz, mężczyzna wycofywał się rakiem, coraz dalej ode mnie i swojej ofiary, aż wpadł prosto na Kita.

– Hola! – zawołał Kit. – Uważaj, gdzie...

Facet aż krzyknął, co w połączeniu z moją miną niewątpliwie zdradziło Kitowi powagę sytuacji.

– Co tu się dzieje? Nic ci nie jest?

Zrobiłam krok w przód i stanęłam pomiędzy mężczyznami i kobietą.

– Jest tu dziewczyna, chyba została... – Słowo rozsypało się w moich ustach jak domino. – Chyba została zaatakowana.

Przystojniak wywrócił oczami w moim kierunku.

– Wszystko dobrze. – Uśmiechnął się do Kita porozumiewawczo, z błyskiem męskiej solidarności w oku. – Po prostu nie spodziewaliśmy się towarzystwa, prawda? – Dziewczyna wytarła nos grzbietem dłoni, pustymi oczami patrząc na smarki rozmazane na rękawie. – Wstydzi się, że ktoś nakrył ją bez majtek, co nie? – Mówił beztroskim głosem, ale pomiędzy zdaniami zaciskał szczękę. – Sam nie jestem zachwycony, ale to wszystko, trudno. Twoja pani wyciągnęła pochopne wnioski.

– Aha. – Kit nie był przekonany.

– Wiem, co widziałam.

Facet zaczął się cofać. Dziewczyna milczała, Kit był zdezorientowany, a ja zrozumiałam, że wszystko jest w moich rękach.

– Uważam, że powinniśmy wezwać policję. – Zabrzmiało to bardzo stanowczo, mój głos nie zdradzał szalejącego we mnie przerażenia.

– U s p o k ó j s i ę – powiedział mężczyzna, ale sam wyraźnie tracił panowanie nad sobą.

Nie ustępowałam.

– Jeśli nie zrobiłeś nic złego, nie masz powodów do zdenerwowania.

Natarł na dziewczynę.

– Może byś się tak, kurwa, wypowiedziała, żebyśmy już mogli żyć dalej? – Jego głos kipiał agresją. Dla mnie było to jak przyznanie się do winy, a i na twarzy Kita wreszcie odmalowało się zrozumienie powagi sytuacji. Gość pojął, że nie może już liczyć na sprzymierzeńca. – Pieprzyć to.

Zaczął się szybkim krokiem oddalać, minął lunaparkowe sprzęty i zniknął pośród drzew.

– Kit, nie daj mu odejść! – krzyknęłam. – Leć za nim!

– Co takiego?

Kit wyglądał na kompletnie przerażonego, ale zrobił to. Mój nieśmiały, delikatny Kit ruszył w pogoń za agresywnym zbrojcem, bo go o to poprosiłam i ponieważ uwierzył mi, że stało się coś strasznego.

Przykucnęłam przy dziewczynie.

– Biedactwo. Nie martw się, wszystko będzie dobrze. – Musnęłam ręką jej ramię, dotyk miękkiej skóry i jeszcze miększego ciała. Przyjrzałam jej się, zielone tęczęwki ginęły niemal pod zaćmieniem rozszerzonych źrenic. Chmura czarnych włosów kryła twarz w kształcie serca, napiętą, ale ładną. Kobieta przypominała trochę disnejowską Królową Śnieżkę, gdyby ta zapuściła włosy i poluzowała gorset. – Co to za facet? – spytałam. – Znasz go?

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale z jej gardła wydobył się tylko zduszony charkot. Całe jej ubranie było pokryte długimi, czarnymi włosami. Podniosła kosmyk, dotknęła palcami skroni, po czym spojrzała na nie, jakby spodziewała się ujrzeć krew.

– On wyrwał ci włosy? – Nie powiedziała nic, pozwoliła tylko włosom opaść na ziemię. – Jezu. Dobra. Musimy znaleźć jakiegoś policjanta. Przy bramie jest kontener. Dasz radę tam dojść?

Tym razem udało jej się potrząsnąć głową.

– Możesz powiedzieć, jak masz na imię?

– Beth. – Pokiwała głową, jakby właśnie je sobie przypomniała.

– Dobrze, Beth, zadzwonię po nich.

Nosiłam telefon w torebce, choć wyłączyłam go po przyjeździe na festiwal. Przytrzymałam przycisk włączający i czekałam, aż wyświetlacz rozbłyśnie na zielono. Trwało to tak długo, że myślałam, iż będę musiała poczekać na powrót Kita, żeby jego wysłać po pomoc. Przeszło mi nawet przez myśl, że może uda mu się własnoręcznie zaciągnąć przestępcę na policję, jednak nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Po raz pierwszy przeszył mnie dreszcz strachu o Kita. Czy facet mógłby go u d e r z yć? Wreszcie telefon się obudził. Trzykrotnie wcisnęłam gumową dziewiątkę, ale nic się nie wydarzyło. Sprawdziłam ekran, zero zasięgu. Pomachałam komórką w powietrzu, żeby złapać sygnał.

– Muszę odejść kilka metrów, żeby móc się połączyć – powiedziałam. – Tylko kawałeczek.

Przeszłam ładnych dwadzieścia kroków, aż do zdezelowanego autka, zanim nawiązałam połączenie. Widziałam stamtąd tylko srebrnego trampka Beth

wystającego z progu kampera.

– Numer alarmowy, słucham. – Głos był damski, gdzieś z południowo-zachodniej Anglii, młody. W tle słychać było codzienny biurowy gwar i ciężko było mi sobie wyobrazić, że dla odbierającej telefon kobiety mieściłam się w obowiązkach pracy, że może popija herbatę, gdy do niej mówię.

– Jestem na festiwalu Lizard Point w pobliżu Helston i chcę zgłosić... – Słowo nie chciało mi przejść przez gardło, ale szybko się pozbierałam. – Chcę zgłosić gwałt. Nie na mnie, nie na mnie. Znalazłam dziewczynę, a on... potrzebujemy policji.

Targałam palcami gąbkę wystającą z rozdartego siedzenia samochodu z oberwanym zderzakiem.

– Czy ofiara jest przytomna?

– O Boże, tak, jest w stanie chodzić, nie ma żadnych ran ani niczego takiego, ale chyba jest... chyba jest w szoku, w zasadzie nic nie mówi. Moim zdaniem potrzebuje karetki. Czy możecie przysłać policjantkę? I ratowniczkę, kobietę?

Wyciągnęłam szyję, żeby wyjrzeć zza drzew, wyłapać, co dzieje się po drugiej stronie. Wydawało mi się, że słyszę pomruk przemieszczającego się tłumu, ale nie rozróżniłam żadnych pojedynczych głosów.

– Poślemy pierwszych dostępnych funkcjonariuszy – poinformowała operatorka.  
– Proszę nie zostawiać jej samej.

– Widziałam mężczyznę, który to zrobił, ale uciekł. – Kawalek pianki, który urwałam, wyglądał jak wata cukrowa. Pozwoliłam, by zabrał go wiatr.

– Czy mogłaby pani podać rysopis?

– Ma na imię Beth, czarne włosy i...

– Napastnika.

– Ach. Tak. – Miałam go przed oczami jego żywy obraz. – Krótkie brązowe włosy ułożone na żelu, granatowa kurtka Diesla, džinsy twist Levi'sa i białe adidas Superstar. – To był jakiś surrealizm, absurd, jakbym czytała na głos opis kreacji z magazynu mody. Dotyk spoconej dłoni na moim ramieniu wystraszył mnie tak, że omal nie upuściłam komórki. To był Kit, ledwo łapał oddech.

– Chwileczkę – powiedziałam do operatorki i zakryłam telefon dłonią, kiedy Kit ruchem warg przekazywał mi wiadomość.

– Rozpłynął się w tłumie.

Powtórzyłam informację do telefonu, po czym potwierdziłam naszą lokalizację, sugerując wysoką flagę Water Aid jako punkt orientacyjny, i zakończyłam rozmowę.

– Był w połowie pola, zanim w ogóle ruszyłem – powiedział Kit. – Strasznie mi przykro.

– Staraleś się, jak mogłeś.

– Cholera. – Kiwnął głową w kierunku kampera. – Co z nią? Powiedziała cokolwiek?

Pokręciłam głową.

– Myślisz, że go złapią?

– Nie wiem. Nie mogę... – Rozłożył ręce i spojrzał w puste dłonie, jakby szukał w nich odpowiedzi, wreszcie bezradnie wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia.

– Powiem jej, że są już w drodze.

Beth skinęła głową w odpowiedzi na wiadomość i wymruczała „Dzięki”. Usiadłam obok niej na zimnym, metalowym schodku przyczepy. Czekałyśmy tak dziesięć minut, które zdawały się wiecznością.

– To moje – odezwała się nagle.

– Słucham?

– Portmonetka. Jest moja. Musiała mi wypaść z kieszeni.

Spojrzałam w dół, lekko zdziwiona, że wciąż trzymam przedmiot w ręce.

– Proszę. – Zacisnęłam jej palce wokół portfela.

Wreszcie Kit zawołał, że idzie policja. Było ich dwoje, przysadzisty funkcjonariusz z ogoloną na łyso głową i tyczkowata policjantka z mysią trwałą.

– Jest tutaj – oznajmiłam, raczej niepotrzebnie.

– W porządku, kochanie – powiedziała kobieta, przykucając przy nas. – Beth, prawda? Zgadza się? – Beth potwierdziła skinieniem głowy. – Dobrze. Nie bój się, Beth. Już jesteś bezpieczna. Zabierzemy cię do wygodnego pokoju na posterunku

policji, gdzie obejrzy cię lekarz.

– Czy to będzie lekarka? – wtrąciłam się.

– Poprosiliśmy o kobietę – odpowiedziała funkcjonariuszka, ale zmarszczyła brwi. – Beth, czy chcesz, żeby ktoś ci towarzyszył? – Popatrzyła na mnie, ale Beth już kręciła przecząco głową.

– Nie znamy się – powiedziałam. – Po prostu na to trafiłam.

Policjant odchrząknął.

– Zajmiemy się nią – oznajmił. – Wezwałem już koleżankę, która spisze zeznania od was dwojga.

Usiedliśmy z Kitem na masce auta z oderwanym zderzakiem w oczekiwaniu na przesłuchanie. Jeszcze mocniej rwałam gąbkę z fotela, Kit obracał w palcach źdźbło trawy.

– Jak mógł zrobić coś takiego zaraz po zaćmieniu?

Rzuciłam mu oburzone spojrzenie.

– Albo kiedykolwiek. Jezu, Kit. Nie wierzę, że to powiedziałeś.

Niektóre sprawy nie dotyczyły Kita tak głęboko jak mnie, choć jeśli już wskazało mu się powód swojego gniewu czy niezadowolenia, zawsze go rozumiał. Tym razem, muszę przyznać, też był zażenowany.

– Tak, przepraszam, jasne, nie o to mi chodziło... Po prostu nie pojmuję, jak...

– Wiem – przerwałam mu, wydymając policzki. – Chyba oboje jesteśmy w szoku. – Spróbowałam utrzymać chmurkę gąbki na dłoni, ale ręce za mocno mi się trzęsły. – Powinnam była wcześniej tu przyjść.

– A może powstrzymałaś go przed zrobieniem czegoś gorszego?

Powoli przetwarzałam tę możliwość.

– Wy jesteście moimi świadkami?

Stała przed nami kobieta żywcem wyjęta z ulic Londynu lat osiemdziesiątych. Była ubrana w lśniący czarny mundur, miała równo przyciętą blond fryzurę mówiącą, że nie ma z nią żartów, ostry, jaskrawy makijaż modny w czasach, gdy miała dwadzieścia lat, a także gdzieś to, że może pora zmienić image.

– Funkcjonariuszka Carol Kent, policja Devon i Kornwalii – wyrecytowała



tonem, który natychmiast postawił nas na nogi. – Chodźcie, proszę, ze mną na festiwalowy posterunek policji, to spiszę wasze zeznania.

Przy głównej scenie znajdowały się dwa podniszczone kontenery, ustawione jeden przy drugim. W moim, do którego mnie zaprowadzono, siedział pies policyjny, przepiękny wilczur. Poderwał się, gdy weszłam, węsząc wokół mnie i ciągnąc smycz, a mnie zapłonęły policzki, gdy zorientowałam się, że pewnie wyczuwa wczorajsze skręty. Ktoś podał mi kubek słabej herbaty i dokładnie opowiedziałam funkcjonariuszce Kent, co widziałam, poczynawszy od znalezienia portmonetki i włączając jak najwięcej szczegółów, choć zacięłam się, kiedy przyszło mi opisać wyraz twarzy mężczyzny. Zadawali mi w kółko te same pytania, jakby sprawdzając spójność informacji. Powtarzałam różne warianty tej samej frazy: „Gdybyście go widzieli... gdybyście tam b y li, od razu byście zrozumieli”.

W chwilach ciszy, kiedy moje słowa były zapisywane, dobiegały mnie strzępki zeznań składanych przez Kita drzwi obok. Usłyszałam, jak mówi, że nie widział napaści, ale jedynie jej skutki, i wiedziałam, że wszedł w tryb naukowca. Obserwuj, zapisz, bez uprzedzeń. W tym momencie żałowałam z całego serca, że nie był świadkiem tego co ja, za przyczepami, choć później, kiedy o władnęło mną szaleństwo, cieszyłam się, że nie jemu było dane to zobaczyć.

Zarejestrowano to, co mieliśmy do powiedzenia, odczytano nam treść zeznań i wreszcie podaliśmy nasze adresy zameldowania, i mogliśmy iść.

– Gdzie Beth? – chciałam wiedzieć. – Co z nią będzie?

– Jest bezpieczna – poinformowała stanowczym tonem Kent.

Było późne popołudnie, kiedy wreszcie podpisaliśmy zeznania. Chociaż festiwal miał trwać jeszcze jedną noc, ludzie składali już namioty i ładowali manatki na bagażniki aut. Przez tłum przetoczyły się plotki. „Ktoś przedawkował na polu, tam, z tyłu”. „Nie, doszło do rabunku”. „Słyszałem, że doszło do pobicia”. Nikt nawet nie zbliżył się do prawdy.

– Muszę się napić – powiedział Kit.

Główny bar nie miał licencji na sprzedaż wysokoprocentowego alkoholu, więc

zadowoliliśmy się najsilniejszym trunkiem, jaki udało nam się znaleźć – lokalnym cydrem, który wywraçał wnętrzości, tak mocnym, że podawali go wyłącznie w ćwierćlitrowych szklankach. Wypiliśmy po dwie porcje, zbyt szybko, siedząc po turecku na trawie. Żadne z nas nie powiedziało tego na głos, ale oboje wypatrywaliśmy w tłumie napastnika Beth.

Mimo nieprzerwanie dudniącej od dwóch dni muzyki wycie policyjnych syren postawiło wszystkich na baczność. Ludzie rozstąpili się, by przepuścić radiowóz. Nadjeżdżał ze strony policyjnych kontenerów z prędkością pieszego. Wszyscy gapili się w tylne szyby samochodu, ale tylko ja i Kit znaleźmy winę – jeśli nie tożsamość – pasażera. Odchyłał się od okna, ale i tak widziałam wryty w pamięć profil, sterczące brązowe włosy nad granatową kurtką. Gdybym już nie siedziała, opadłabym z ulgą.

– Mają go – powiedziałam.



KIT

18 marca 2015

– Przytulnie – oceniam, a horyzont przechyła się mdląco za okienkiem wielkości płyty kompaktowej.

Kabina jest maleńka. Godzina na morzu, a mnie już dopada klaustrofobia wodoszczelnego pomieszczenia. Richard gwizdże przez nos, gdy oddycha. Czuję żalną, dziecinną tęsknotę za domem i żoną. Brak mi nawet trzeciego koła w naszym związku, jej lęku.

Richard zaczytuje się w broszurce.

– Na pokładzie jest k a s y n o.

Kręci głową ze zdziwieniem, jakby Princess Celeste nie była sprawnym statkiem wycieczkowym, tylko jednostką zaprojektowaną specjalnie na potrzeby astronomów, nieskażonych ziemskimi pragnieniami jak wygrana pieniądze, a on spodziewał się raczej nowoczesnego obserwatorium przy sali gier. Jest też sala balowa, w której wieczorem odbędzie się dyskoteka (Bóg raczy wiedzieć, co się tam będzie działo), miniaturowe kino i salon piękności. Przed wypłynięciem nie wyobrażałem sobie, żebym miał zajrzeć do któregokolwiek z tych miejsc. Teraz, kiedy uświadamiam sobie, że alternatywą jest siedzenie w tej ciasnej norce, nawet rzucanie pierścienia na słupek jawi się jako atrakcja.

– Gdzie te czasy, kiedy potrafiłem otworzyć taką zębami – wzdycha Richard,

walcząc gołymi rękami z kapslem swojego ciemnego ale. – Zedrę sobie skórę z dłoni, jak nie będę uważał. – Nagle orientuje się, co powiedział, i wiedzie wzrokiem ku moim rękom, które trzymam splecione na kolanach. – Och, Chris, przepraszam, nie pomyślałem.

– W porządku – mówię, bo jest chyba bardziej zawstydzony ode mnie. – W bocznej kieszeni plecaka mam scyzoryk, nie, w tej drugiej, o tu.

Rozlega się kojące psyknięcie, gdy Richard otwiera piwo dla nas obu. Składa otwieracz, a kiedy rzuca mi nóż, chwytam go jedną ręką, po czym podnoszę się, by przejąć oferowaną mi butelkę.

– Weźmy je na spacer – proponuję.

Na zewnątrz nasi współpasażerowie z determinacją zażywają popołudniowej przechadzki, okutani kapturami przeciwko przenikliwemu, słonemu wiatrowi. Mimo że kryją włosy i twarze, po sposobie poruszania się poznaję, że większość z nich to emeryci. Nigdy dotąd nie brałem udziału w zorganizowanym wyjeździe na zaćmienie – ze zrozumiałych przyczyn zawsze jeździmy z Laurą na własną rękę – i czuję instynktowną pogardę doświadczonego podróżnika w stosunku do marnego turysty. Gdy tylko dociera do mnie świadomość tego uczucia, poprzysięgam sobie zwalczyć je podczas tej wycieczki. Zaćmienie obserwowane z pokładu statku czy sprzed autokaru nie jest warte mniej niż takie, którego doświadcza się na polu pełnym hipisów po drodze jeepem przez pustynię w tumanach kurzu lub w samotności na szczycie góry. Wkrótce przekroczę czterdziestkę i zostanę ojcem. Sam składam sobie gratulacje z powodu własnej dojrzałości. Po raz pierwszy zdaję też sobie sprawę – i trudno mi uwierzyć, że dopiero teraz mnie olśniło – że plusem dystansu od sceny alternatywnej jest fakt, że te kilka osób, które nas rozpoznaje (niestety mimo wszelkich starań zachowania dyskrecji zdarzyła się przynajmniej jedna sytuacja, w której nie udało nam się nie zwrócić na siebie uwagi), raczej się tu nie znajdzie. Idę o zakład, że tamta babcia w obuwiu ortopedycznym, dajmy na to, nie była świadkiem sceny w Zambii.

Nagłośnienie budzi się do życia z bing-bongiem i wszyscy zamierają w pół kroku, gdy soczysty, dziwnie znajomy męski głos przekazuje informacje

o zaplanowanych na wieczór drinkach zapoznawczych, wykładzie oraz – „dla tych, którym starczy werwy” – dyskoteci. Serce bije mi mocniej. Jeśli Beth tu jest, na pewno wykorzysta tę okazję, by się ujawnić. Wiem z Zambii, że nie ma nic przeciwko zrobieniu sceny. Nagle butelka, którą trzymam w ręce, robi się lekka i zdaję sobie sprawę, że pora na kolejne piwo.

Po kolejnym bing-bongu zapada cisza i – jakby ktoś zdjął z nich czar – wszyscy z powrotem ruszają spacerkiem. Wkrótce docieramy z Richardem na rufę i opieramy się o barierkę nad ścianą szalup ratunkowych. Po lewej ręce mamy stromy spadek, a reling nie sięga nawet piersi dorosłego człowieka. Jest tłoczno, ale gdyby miejsce było opustoszałe, to ktoś inny, ktoś kruchy, nieprzewidywalny, ktoś, w kim kipi piętnaście lat gniewu, nie miałby najmniejszego problemu, by podbiec od tyłu i pchnąć kogoś we wzburzoną toń. Naprawdę nie byłoby w tym nic trudnego.

Spędzamy chwilę wpatrzeni w pieniaące się za nami na kremowo-żółto Morze Północne. Stadko fok podpływa niebezpiecznie blisko statku, wzbudzając we mnie myśli o mojej tworzącej się rodzinie. Wszystkie drogi prowadzą do Laury.

– Pierwsza fotka z podróży.

Ustawiam w telefonie tryb selfie. Wyciągam rękę, żeby zdjęcie objęło nas obu, szczerzących zęby nad butelkami piwa, za nami błękitna smuga morza. Próbuje wysłać MMS-a Laurze, ale nie mam zasięgu. Taki to minus bycia pośrodku Morza Północnego – brak masztów telekomunikacyjnych.

– Mają wi-fi, ale tylko w holu, choć zdaje się, że sygnał da się też złapać prawie na całym górnym pokładzie – informuje Richard, który chcąc co godzinę sprawdzić prognozę pogody, musi wiedzieć takie rzeczy.

Na miękkich nogach szczura lądowego wspinam się po wymalowanych na biało schodach na wyższy poziom, metalowa poręcz jest zimna pod moją dłońią. Tu, na górze, jest pusto i wcale się nie dziwię. Wicher jest ostry, głośny i dezorientujący. Znajduję schronienie za buchającym parą otworem odpowietrzającym, gdzie jest zaciszniej i cieplej. Nie mija nawet minuta, a mój telefon łączy się z internetem i wysyłam zdjęcie do Laury w Londynie.

„Wyglądacie jak na najbardziej palanckim wieczorze kawalerskim świata” – odpisuje natychmiast. Z uśmiechem chowam komórkę do kieszeni i odwracam się, żeby wrócić do Richarda.

Oparta o reling, plecami do mnie, stoi Beth.

Najpierw rozpoznaję włosy, tę nieokiełznaną, rozczochraną masę, wijącą się na wietrze niczym żywa istota. Obraz tej kobiety mam do tego stopnia wkodowany w siatkówkę oka, że całą resztę jej postaci przetwarzam w ułamku sekundy. Zgadza się wzrost, kształty i te wariackie, wzorzyste spodnie, łopoczące jej wokół nóg, doskonale pasujący do niej strój. Natychmiast uruchamia się we mnie to drapiące połączenie współczucia i strachu, silniejsze niż kiedykolwiek. Przed oczami błyskają znajome migawki, poklatkowy pokaz od chwil, w których każde z nas po raz pierwszy poznało Beth, aż po nasze ostatnie spotkanie: ciemne mimo dnia pole, sala sądowa, obca osoba w naszym mieszkaniu, postać w chmurze pyłu, ruchomy obraz na ekranie komputera. Napisy: Laura, dzisiejszego ranka, u szczytu schodów, ściągnąca wyimaginowane pajęczyny z ramion, a potem opuszczająca dłonie na brzuch. A teraz ostatnie ujęcie. Nie znam zakończenia. Nie mam planu. Tak długo czekałem na tę chwilę, że już nie jestem na nią przygotowany.



LAURA

8 maja 2000

Lachlan McCall zmarł w pierwsze pierwszomajowe święto nowego tysiąclecia i został pochowany trzy dni później. Na stypie Mac spił się tak bardzo, że wymiotował na Kita. Musieliśmy w drodze do Kornwalii odbierać jedyny garnitur Kita z pralni chemicznej.

Proces o gwałt przeciwko Jamiemu Balcombe'owi rozpoczął się w poniedziałek. Tego ranka Kit i ja staliśmy plecami do gmachu sądu, rozglądając się po miasteczku Truro, ostatnim w Anglii. Za nami wysoki wiktoriański wiadukt otaczał dolinę obronnym ramieniem. Poniżej mieściła się skromna katedra, otoczona ze wszystkich stron przez czerwone dachy, takie, nad którymi Mikołaj frunie w swoich saniach. Sąd Koronny zajmował przyprawiający o zawrót głowy wierzchołek wzgórza, a taras maleńkich, pastelowych chatynek groził, że lada chwila zsunie się po zboczu do rzeki Kenywn, bulgoczącej przez wąski jaz. Pewna, że najlżejszy przechył w przód spowoduje, że stoczę się w dół, chwyciłam ramię Kita.

– Dziś rano nie będziemy im potrzebni – powiedział, odwzajemniając mój uścisk. – Muszą wszystko przygotować i wysłuchać wersji wydarzeń z ust Beth. Zejdzie im co najmniej do lunchu.

Teoretycznie – oczywiście jak zawsze – Kit miał rację. Nie było szans, żeby

którekolwiek z nas zostało już wezwane do składania zeznań. Pracownicy obsługi świadków wyjaśnili nam, że w dzisiejszym dniu prokuratura przedstawi zarzuty. Może się zdarzyć, że nawet Beth nie będzie jeszcze zeznawać, a nam, jako świadkom pośrednim, nie wolno przebywać w sali rozpraw, dopóki ona nie skończy przedstawiać swoich dowodów. Rozumiałam prawną mądrość tej zasady, choć buntowałam się przeciwko niej. Żadne jej słowa nie zmienią mojego oświadczenia. Wiedziałam, co widziałam.

To był nasz pierwszy pobyt w Kornwalii od czasu festiwalu na Lizard Point, i był to w ogóle nasz drugi wyjazd poza Londyn. Oboje byliśmy solidnymi studentami, ale wyzwanie budowania kariery stanowiło szok dla naszych organizmów. Ja pracowałam dorywczo, a Kit był doktorantem – zdobył dwa dyplomy z wyróżnieniem na Oksfordzie, więc londyński University College witał go na studiach doktoranckich z otwartymi ramionami, a nawet z opcją dorobienia przy poprawie esejów kursantów na studiach licencjackich. Ta nieszczęsna wycieczka była dla nas prawie jak wakacje. Pokój w hotelu mieliśmy opłacony do czwartku, a bilety na pociąg powrotny zarezerwowane na piątek rano. Kieszonkowe dostaliśmy liche, ale wystarczyło na podstawowe wydatki. Dotarliśmy na miejsce późno poprzedniego wieczoru i po nieprzespanej nocy w tanim hotelu z widoczkami z Karaibów na ścianach czuliśmy się jeszcze nieswojo po długiej podróży z naszego mieszkania w Clapham. Z nikim go nie dzieliliśmy. Pierwotny plan zamieszkania z Makiem i Ling został zniweczony przez Juno, dziecko, które niezamierzenie poczęli kilka tygodni przed kornwalijskim zaćmieniem. Obecnie mała miała dwa miesiące i płuca wielkości Londynu.

Od festiwalu na Lizard Point lub raczej odkąd dowiedzieliśmy się, że sprawa trafi do sądu, wczytywaliśmy się w procedury procesowe. Moja nowo nabyta wiedza na zmianę dawała mi nadzieję i pogrążała w rozpacz. Znajdowałam pocieszenie w fakcie, że tak wielu gwałtów w ogóle nie rozpatrywano przed sądem, więc skoro prokuratura tak poważnie zajęła się tą sprawą, to chyba dowody muszą być niezbite. Potem znów myślałam o procencie wyroków skazujących



i popadałam w kompletne przygnębienie. Jedyłą stałą był obraz dziewczyny z twarzą w smarkach, unurzana w błocie, ofiary napaści, ofiary g w a ł tu. Gdzieś pomiędzy wtedy a teraz wyzbyłam się lęku przed tym słowem, a nawet uzbroiłam się w nie.

– Pewnie wypuszczą nas, kiedy tylko zgłosimy, że jesteśmy na posterunku – powiedział Kit, gdy stanęliśmy przed drzwiami wejściowymi.

Spojrzałam na pseudoromańskie kolumny, pokryte tynkiem kamyczkowym i pomalowane na szpetną, odporną na warunki atmosferyczne szarość. Strony informacyjne na ten dzień, wywieszane na zewnętrznej ścianie, poinformowały nas, że sprawa Prokuratura kontra Balcombe odbędzie się w sali numer jeden, z panem Nathanielem Polglase'em w roli oskarżyciela, panią Fioną Price jako obrońcą i sędzią Edmundem Frenchayem. W mgnieniu oka wróciliśmy do brutalnej rzeczywistości.

– Czuję, że powinniśmy zostać – powiedziałam. – Nawet jeśli nas nie wezwą.

– Nie wiem, czy wytrzymam siedzenie w czterech ścianach sądu po ostatnich kilku dniach spędzonych w zakładach pogrzebowych i salach uroczystości – westchnął Kit.

– Och, kochanie.

Musiałam sobie stale przypominać, że miał na głowie więcej niż tę rozprawę. Świadomość, że koniec Lachlana jest blisko, wcale nie ułatwiła akceptacji jego odejścia. Łudziłam się, że proces da Kitowi może nie chwilę zapomnienia, ale szansę skoncentrowania się na czymś innym. Uczyłam się dopiero, że reakcja Kita na wszelkie wyzwanie polegała na zamknięciu się i uwolnieniu prawdziwej uwagi z pułapki na krótkie chwile, po których następowała ucieczka w milczenie.

– Gotowy, żeby wejść do środka? – spytałam.

– Tak. Chodźmy i...

W tym momencie zostaliśmy zepchnięci na bok przez grupkę ludzi w garniturach, przemieszczających się w specjalnej formacji, jak ochroniarze osłaniający prezydenta. Pośrodku oddziału szedł Jamie Balcombe. Garnitur, świeżo przycięta fryzura, gładko ogolona twarz, lśniące brązowe włosy, błyszczące rzęsy

wokół mokrych, niebieskich źrenic – wyglądał jak chłopczyk w ubraniu taty. Zamaszysty krok, który wcześniej widzieliśmy, zniknął; mężczyzna szedł teraz z rozmyślną precyzją, jakby stawianie jednej stopy przed drugą wymagało od niego pełnego skupienia. Szedł nienaturalnie wpatrzony przed siebie, podsuwając mi przypuszczenie, że nas rozpoznał, choć celowo ubrałam się w niepozorną czerń i uczesałam w niski kok, żeby nie rzucać się w oczy. Ze spiętymi włosami byłam niewidoczną, chudą, przygarbioną nastolatką.

Przy drzwiach grupa rozbiła się na kolejkę, a potem, przechodząc przez łukowaty wykrywacz metalu, stawała się jednostkami. Szybka, stanowcza kobieta o gładko zaczesanych do tyłu siwych włosach nie była podobna do nikogo, ale mężczyzna z podwójnym podbródkiem i sygnetem na palcu nie mógł być nikim innym jak ojcem Jamiego. Karnacja zdradziła nam brata i siostrę oskarżonego. Dama z fryzurą wymodelowaną w sposób charakterystyczny dla pewnego wieku, rubinami w uszach i elegancką dłonią na ramieniu Jamiego musiała być jego matką, a blada ruda panna trzymająca go pod rękę z drugiej strony była pewnie kolejną siostrą albo dziewczyną. Kiedy ruda zdejmowała płaszcz, żeby przełożyć go przez wykrywacz metalu, dostrzegłam błysk brylantu na jej serdecznym palcu. A więc nie dziewczyna, tylko narzeczona. Zdjęła pierścionek i chciała go podać strażnikowi.

– Nie trzeba, kochana, załóż z powrotem – powiedział, ale miała niezdarne palce i klejnot wyśliznął jej się, z cichym brzękiem wylądował na posadzce i potoczył się przez łuk.

– Och, Antonio – upomniał Jamie.

Brat skoczył, by podnieść przedmiot, palce trzęsły się Antonii tak mocno, że przysłała teściowa musiała jej pomóc z powrotem założyć pierścionek.

Odczekaliśmy z Kitem, aż Balcombe'owie zostaną sprawdzeni. Potem, jako że nie widzieliśmy żadnych innych drzwi, podążyliśmy ich śladem.

– Dzień dobry – przywitałam się ze strażnikiem. – Szukaliśmy właśnie wejścia dla świadków.

– No to znaleźliście – odparł. – Wszyscy muszą tędy przejść.

Minęło kilka sekund, zanim informacja do mnie dotarła. Właśnie zetknęliśmy się z człowiekiem, przeciwko któremu mieliśmy zeznawać. Co z urazą, zastraszaniem, atakami w imię zemsty, groźbami?

– A jeśli należą do mafii? – wyrwało mi się.

Kita zamurowało, ale ochroniarz zaśmiał się przyjaźnie.

– To nie *Ojciec chrzestny*, kochana. Tyle prawników się tu kręci, że na pewno nic ci nie będzie. Masz tam aparat albo urządzenie nagrywające?

Otworzyłam torebkę, ukazując tampony i notes.

Wnętrze sądu nie działało na mnie kojąco. Architekt musiał być chyba sadystą – z pewnością miał za zadanie stworzyć atmosferę powagi bez budzenia zbyt grozy, tymczasem miejsce było jak z rysunku Eschera, z rozkładem filarów, kolumnad i przejść, które zdawały się zawracać i zakręcać bez ostrzeżenia.

Nagle uderzyła mnie straszna myśl.

– A ofiary? – spytałam Kita. – Chyba Beth nie będzie musiała przejść przez te same drzwi?

Kit miał przerażoną minę.

– Raczej nie ma wyjścia, skoro to jedyna bramka ze strażnikiem. Nie powinno tak być, prawda?

– To jakieś pieprzone nieporozumienie.

Przeszliśmy wzdłuż pełnego ludzi atrium. Motywy greko-romańskie ciągnęły się także tutaj, kolumny wspierały sufit wysoki jak cały budynek. Jedna ściana była całkowicie pokryta wyrastającą z ogromnej żardyniery splątana roślinnością, pnącą się sześć metrów wzwyż, nadając miejscu klimat oranżerii, lub, jak stwierdził Kit, „Będzie jak proces w cholernym Center Parcs”. Doceniłam jego chęć podniesienia mnie na duchu, ale zdobyłam się jedynie na cień uśmiechu.

Było wpół do dziesiątej i sala numer jeden pozostawała jeszcze zamknięta. Kit zdobył dla nas kawę i przez chwilę obserwowaliśmy wchodzących do budynku ludzi. Jedni oniemieli kierowali wzrok ku sufitowi, inni witali strażnika po imieniu. Większość podziwiających sklepienie była natychmiast eskortowana gdzieś w głąb gmachu, a było ich tylu, że musieli być ławnikami. Carol Kent, śledcza, która

pierwsza spisywała moje zeznanie, kiwnęła nam głową z drugiej strony sali, a lekki uśmiech pokrzepienia na moment rozświetlił jej surowy makijaż.

– Chodź, dowiemy się, co mamy robić – powiedział Kit.

Powitanie Kent nie było wylewne. Też jest poirytowana, pomyślałam.

– Powiadomię oskarżenie, że jesteście na miejscu – powiedziała. – Do publicznej galerii wolno wam wejść dopiero po waszych zeznaniach. Mają tu pokój dla świadków, ale zajmuje go już powódka, więc to odpada.

Szczerze mówiąc, wydawało mi się, że Beth będzie miło zobaczyć przyjazną twarz, i już miałam podzielić się tym przekonaniem z Kent, kiedy Kit zaproponował:

– A może zostawilibyśmy pani numer komórki i obiecali zbytnio się nie oddalać?

Pionowa bruzda między brwiami policjantki pogłębiła się.

– Nie powinno być problemu, ale upewnię się jeszcze u adwokata.

Poszła do pokoju świadków.

– Czuję, że powinnam przynajmniej iść się przywitać albo powiedzieć, że trzymam kciuki – wyznałam.

– Nie słyszałaś, co właśnie powiedziała? – syknął Kit. – Jest pełno przepisów zabraniających takich rzeczy. Wyszłoby, że się naradzacie. To tylko podważy jej sprawę. A co, jeśli przegra przez takie głupstwo?

Tuż obok lśniąca blondynka rozmawiała przez telefon z klapką.

– No, dzisiaj rano gwałt – mówiła tak bez emocji, jakby opisywała przegląd u dentysty. Reporterka, oczywiście. – M o ż e być pikantnie. Oskarżony po szkole prywatnej, taki słodziak. Tatuś gruba ryba, szef jednej ze stu największych spółek na giełdzie, studiował w Gordonstoun na roku z księciem Karolem, ale nie utrzymują kontaktu, szkoda jak cholera, bo to dopiero byłby strzał w dziesiątkę. Dobra, zadzwonię do ciebie pod koniec rozgrywki, zdecydujemy, czy to ma ręce i nogi. Lepiej, żeby miało, bo zrezygnowałam z podwójnego morderstwa w Liverpoolu, żeby tu być.

Zniżyła głos na widok zbliżającej się do nas funkcjonariuszki Kent.

– Pan Polglase nie wnosi obiekcji – powiedziała nam policjantka. – Nie wyłączajcie telefonu i nie zapuszczajcie się w miejsca, gdzie nie ma zasięgu.

– Dzięki.

Kit wstał, żeby wyjść.

Głos, który rozległ się z głośnika, był kornwalijski jak kopalnie cyny i paszteciki, długie „r” grabiły jeszcze dłuższe „o”.

– Prokuratura kontra Balcombe, sala rozpraw numer jeden.

– Dobra, spadam, na razie.

Reporterka z rozmachem podłączyła antenę z powrotem do telefonu i podążyła za Balcombe’ami przez podwójne drzwi. Za nią ruszyła inna dziennikarka z geometrycznym bobem i zawieszonym na szyi identyfikatorem Agencji Prasowej.

Miejsce opustoszało w kilka sekund, zostaliśmy tylko my, kilkoro pracowników sądu i błękitny motylek trzepoczący skrzydełkami pośród listowia. Woźny popatrzył na nas i zmarszczył brwi. Poczułam się nieswojo pod jego badawczym spojrzeniem. Ściany atrium zdawały się zacieśniać wokół nas.

– Chodźmy stąd – powiedziałam.

– Co tak nagle zmieniłaś ton?

– Chcesz iść czy nie?

– Dobra, wyluzuj.

Nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą w taki sposób.

Ładne śródmieście Truro nie sięga daleko – po godzinie szliśmy z powrotem po własnych śladach. Zajrzeliśmy do katedry, pogrzebaliśmy w księgarniach i w galerii sztuki. Było też muzeum, ale postanowiliśmy zostawić je sobie na inny, może deszczowy dzień. Lunch w pubie u podnóża pagórka składał się z pieczonego ziemniaka, krewetek pływających w majonezie i małego piwa, produktu lokalnego browaru, które smakowało lepiej, niż się spodziewaliśmy.

– Tak bym chciała wiedzieć, co tam teraz mówią – powiedziałam, mieląc pieprz nad talerzem.

– Ale się nie dowiesz. O to chodzi w twoim zeznaniu. Ma być niezależne od wersji powódki. Inaczej byłoby bezwartościowe.

Odsunęłam od siebie jedzenie.

– Jestem zbyt spięta, żeby coś przełknąć. A jeśli nasze zeznania nie wystarczą, żeby go zamknąć?

– Zachowujesz się, jakbyś była w centrum całej tej sprawy. Już ci tłumaczyłem, że od kilku miesięcy pracuje nad tym sztab ludzi. Ciekawe, jaki mają materiał dowodowy.

To też już przerabialiśmy. Z trudem panowałam nad głosem.

– Dobrze wiesz, że może nie być ż a d n e go. Pozostaje kwestia, komu wierzysz.

Kit kręci głową.

– Słowa są takie... marne, nie sądzisz? Zawsze mi powtarzasz, że jestem zbyt binarny. Że widzę świat na biało i czarno. – To prawda. Skinęłam głową. – Ale w tym przypadku prosimy w s z y s t k i ch, żeby myśleli w ten sposób, a poza słowami nie ma żadnych dowodów. Jak można na takiej podstawie doprowadzić do uczciwego skazania?

– A co nam pozostaje?

Nie znajdował odpowiedzi. Siedział z zamyśloną miną i wziął kolejny łyk piwa.

– W szóstej klasie przeprowadzaliśmy udawany proces – odezwał się po chwili.  
– Miałem za zadanie zdobyć dowody. Chodziło o hipotetyczny handel narkotykami. Byłem posrany, choć wszystko było na niby i rozgrywało się w świetlicy.

– Pierwszy raz słyszę! – Wciąż jeszcze byliśmy w tej fazie, gdzie nowe historie są jednocześnie źródłem zachwyty – ileż jeszcze w tobie do odkrycia! – i afrontu – dlaczego dopiero teraz się dowiaduję? – Zgaduję, że na ławie oskarżonych siedział Mac.

Po twarzy Kita przemknęło wspomnienie, po czym się roześmiał.

– A właśnie że był s ę d z i ą.

– Pieprzysz!

– Nauczycielka miała poczucie humoru – przyznał. – Tak czy inaczej, chodzi o to, że jak już tam stanąłem, wszystkie nerwy wyparowały, bo po prostu mówiłem

to, co miałem do powiedzenia, i więcej nie trzeba było.

Wiedziałam, że ma rację, co i tak nie uspokoiło nerwów, które odebrały mi apetyt na jedzenie, budząc natomiast pragnienie. Gdyby nie to, że czekaliśmy, aż zadzwoni telefon Kita, wlałabym w siebie trzy szklanki. Grube krople deszczu uderzyły w okno niczym kamyki.

– A więc muzeum – powiedziałam.

Jednak muzeum było zamknięte na popołudnie. Wróciliśmy do pubu i rozegraliśmy partyjkę bilardu na nierównym stole. (Wygrałam, rzecz jasna, pomimo że Kit zmagał się ze mną od miesięcy, nie przyswoił sobie jeszcze matematyki trajektorii i rykoszetu. Ja uprawiałam sport, w którym on wciąż widział fizykę stosowaną pocisku. Jego pokerowa twarz była porażką, każdy jego kolejny ruch można było wyczytać minutę, zanim w ogóle podniósł kij).

Skończyliśmy grę, gdy nie dało się już ignorować lokalnych nastolatków spoglądających tęsknie na sukno.

– Jest piętnasta – powiedziałam. – Pewnie zajęła już miejsce dla świadka.

– Gdybyśmy byli potrzebni, już by po nas zadzwonili. Wracajmy do hotelu. – Oddaliśmy kije.

– Co będziemy robić w hotelu całe popołudnie? – marudziłam, wkładając kurtkę.

Kit się uśmiechnął.

– Boże, nie jest chyba aż tak źle?

Nie było aż tak źle, ale nawet małe piwo na pusty żołądek ma moc, więc tylko leżałam, wydając odpowiednie dźwięki, a niepomny niczego Kit wykonywał odpowiednie ruchy. Skończył szybko i w kilka sekund już spał, orgazm działał na niego jak środek odurzający. Wiedziałam, że obudzi się najwcześniej za godzinę. Przestało padać i dachy Truro lśniły w promieniach słońca.

Zegar wskazywał kwadrans po szesnastej. W głowie błysnął mi pewien pomysł, więc natychmiast wskoczyłam w ubranie, żeby przypadkiem się nie rozmyślić. Po chwili byłam już za drzwiami i podążałam za magnetyczną siłą przyciągania sądu na szczycie wzgórza.



LAURA

18 maja 2000

Pięć minut później, zdyszana, stanęłam przed gmachem sądu. Tym razem wiedziałam, czego się spodziewać, no i nie było porannego tłoku, więc bramkę kontrolną minęłam w parę sekund. Kupiłam sobie kawę, żeby zyskać poczucie celu, ale nie miałam nawet okazji na nią podmuchać, kiedy bez ostrzeżenia drzwi sali otwarto z rozmachem i wszyscy uczestnicy procesu walili falą do atrium.

Balcombe'owie byli pierwsi – opadli Jamiego, który wyłonił się z bocznych drzwi, przypuszczalnie wiodących prosto z ławy oskarżonych. Kobieta o końskiej urodzie, którą widziałam wcześniej, potwierdziła się jako adwokatka, bo w todze i z peruką w ręce rozmawiała teraz nie z Jamiem, tylko z jego ojcem. Ich głosy rozchodziły się echem po korytarzach władzy i słychać je było jeszcze długo po tym, jak rozmówcy zniknęli mi z oczu. Z sali wypadł zdenerwowany mężczyzna w brązowym garniturze, ściskając w dłoniach sfatygowaną teczkę przewiazaną czerwoną tasiemką. Szedł prawie bokiem, spiesząc się, by przed kimś uciec. Po piętach deptała mu Carol Kent z rękami założonymi na piersi, a tuż za nią, nareszcie, pojawiła się Beth. Instynktownie wtuliłam się za białą kolumnę, żeby móc jej się lepiej przyjrzeć. Złagodzone jej wygląd – kręcone włosy były splecione w ciasny warkocz, a bujne ciało ukryte pod skrojonym na miarę żakietem – ale teraz była tak głośna, jak milcząca podczas naszego pierwszego spotkania.



– Jaja pan sobie, kurwa, robi? – krzyknęła. Nie mogłam umiejscowić jej akcentu. Zwróciła się do Carol. – To dopuszczalne?

– Nie powiedziałem, że to jest pani z a b r o n i o n e, tylko że to o d r a d z a m y.

Chciał mówić ze współczuciem, ale brzmiał protekcjonalnie. Do grupy dołączyli mężczyzna o czerwonym obliczu i kobieta o czerwonych oczach. Jego ciemne włosy i jej figura, ciężka w okolicy bioder i biustu, wskazała, że to rodzice Beth. On przysadzisty, ona zaniedbana, wyglądali jak wiejscy kuzyni Balcombe'ów albo chłopci uprawiający ich ziemię.

– Co tam, kochanie? – spytał ojciec.

– Chcą, żebym wracała do domu, skoro już ze mną skończyli – powiedziała Beth. Wraz z rodzicami jednocześnie spojrzała na Kent.

– Przykro mi, Beth, ale on ma rację – powiedziała ostrożnie policjantka. – Zgodnie z prawem możesz zająć miejsce w galerii publicznej. Ale widzisz, ławnikom się to nie podoba. Szczególnie w sprawach takich jak ta, gdzie mamy twoje słowo przeciwko jego, może to wyglądać... mściwie.

– Bo chcę się zemścić, do cholery! Chcę mu odciąć kutasa! – Beth zaśmiała się ostro, cynicznie. Na twarzy jej ojca odmalowało się przerażenie, Carol Kent i prawnik zaczęli ją jednocześnie uciszać, a matka próbowała krzepiąco objąć ramieniem. Beth odtrąciła ją i wzięła głęboki oddech, opanowując się z wyraźnym wysiłkiem, po czym ciągnęła już normalnym głosem: – Właśnie musiałam przeżyć od nowa krzywdę, jaką mi wyrządził, podczas gdy on robił słodkie oczy do ławy przysięgłych. Mam nie patrzeć, jak się z nim r o z p r a w i a c i e?

– Naprawdę panią rozumiem – odważył się powiedzieć adwokat. – Przykro mi, faktycznie zdaje się to wymierzone przeciwko pani. Z przykrością doradzam pani to rozwiązanie i nie leży w mojej mocy powstrzymanie pani, jeśli postanowi pani zostać. Niemniej jednak wykonuję swoją pracę i ostrzegam panią, że mamy większą szansę na wygraną, jeśli będzie pani nieobecna. Tak po prostu działają ławy przysięgłych.

– Dlaczego wcześniej mnie pan o tym nie poinformował?

Carol odwróciła się tyłem do mnie i powiedziała coś, czego nie byłam w stanie

wychwycić.

– Myśleliście, że wybije mnie to z r y t mu? – Beth wyglądała nagle tak, jakby uszło z niej całe powietrze. – Cóż, może macie rację, może...

Przerwała w pół zdania i odeszła, nienaturalnie wyprostowana. Po jedynym szarpnięciu ramion rozpoznałam dumną kobietę walczącą z wzbierającym w niej płaczem. Rodzice, po obu jej bokach, odprowadzili ją jednym z tajemniczych korytarzy.

– Cholera – odezwała się do prawnika Kent. – To nie wypaliło. – Wydeła dolną wargę. – Jakoś to załatwię.

Po drugiej stronie pomieszczenia, niemal ukrytą w gęstwinie liści, dostrzegłam blond reporterkę z rana, wstukiwiała numer na telefonie. Chociaż nikt na mnie nie patrzył, obesłam całe atrium wkoło, zanim przylgnęłam do jednego z filarów. Widziałam tę kobietę zza dwóch dorodnych paproci.

– Cześć, tu Ali. Dobre wieści. Musi się na to znaleźć miejsce. Mamy klasyczną sprawę w stylu jej słowo przeciwko jego, książkowa sytuacja ludzkiej decyzji podjętej przez przysięgłych. Połowa ławniczek już się w nim zakochała. Mm, mm. – Pokiwała głową do telefonu. – Trochę płacziwa, ale się trzyma. Spojrzała mu prosto w oczy, co nie zawsze się zdarza, więc jednak dziewczyna z charakterem. Podobno zagadał do niej poprzedniego wieczoru, ona go spławiła, a on nie potrafił się z tym pogodzić, bla, bla, bla. – Miałam ochotę wyrwać jej tę głupią komórkę z ręki. – Jak zwykle. Historyjka zawsze brzmi wiarygodnie, dopóki obrona nie weźmie ofiary w krzyżowy ogień pytań, a tę tutaj roznieśli na s t r z ę py. –

Pozostawało mi tylko wyobrazić sobie cierpienie, którego świadkiem była Ali, i z całej siły starałam się stłumić wściekłość na sposób, w jaki reporterka sprowadzała wszystko do towaru, jakim był jej artykuł. Przejrzała notatki. – Mamy tu długotrwałą depresję, co nigdy dobrze nie wróży. Tak. Chyba jedyna dobra rzecz, jaką można powiedzieć o tej biednej krowie, to że nie zdarza jej się przygodny seks. Obrona nie potrafiła wyciągnąć z kapelusza ani jednej przelotnej przygody. – Osoba w telefonie zadawała jakieś pytania. – Cóż, tego dowiemy się, kiedy on stanie na miejscu dla świadka, prawda? Ale wiesz, nieraz już widziałam,

jak gwałciciele z ciemnych zaułków wymigują się od kary, więc... Tak czy inaczej, przekaż szefowi, że wchodzę w to w tym tygodniu. Przygotowuję narzeczoną do wywiadu. Jeśli puszcza go wolno, jest bohaterką, wytrwała przy swoim mężczyźnie. Jeśli faceta skażą, jest skrzywdzoną kobietą. Tak czy tak, dobrze się sprzeda. Jest też śliczna, okładkowo śliczna. Dopilnuj, żeby dział fotoreporterski dostał jakieś dobre ujęcia narzeczonej.

Oburzenie bulgotało we mnie niczym lawa, więc żeby zapobiec erupcji, poszłam do łazienki przemyć nadgarstki zimną wodą. Tata nauczył mnie tej sztuczki, żeby kontrolować złość. Tu sufity były drastycznie niższe. Sądowa łazienka była obskurna, czasy jej świetności ewidentnie minęły. Jedna z kabin była zajęta, drzwi drugiej – pustej – stały otworem, szybko się przekonywałam, że ludzie nie przeciągają pobytu w sądzie. Pustoszeje tak szybko, jak się zapełnia. Włożyłam rękę pod strumień chłodnej wody, żeby ugasić gniew.

Drzwi kabiny za mną skrzypnęły i oto patrzyłam w oczy Beth.

W głowie rozbrzmiały mi słowa Kita i Carol Kent: nie powinnaś tu być.

Właściwym zachowaniem byłoby odwrócić się na pięcie i wyjść, ale miałam przed sobą istotę ludzką, i to taką, która właśnie została „rozniesiona” na sali rozpraw. Mogłam zaoferować jej tylko uśmiech.

– Hej – przywitałam się cicho.

– To ty. – Była zdenerwowana, ale uśmiechnęła się w odpowiedzi. Potem spoważniała, zajrzała do pustych kabin, zerknęła na drzwi. – To jest wbrew przepisom. – Powiedziała to bardziej w duchu „to zagrozi mojej sprawie” niż w imię konfliktu moralnego.

Obie podskoczyłyśmy, gdy nagle drzwi łazienki otworzyły się z kliknięciem, ale pchnął je tylko przeciąg.

– W porządku, wiem, że nie możesz o tym rozmawiać – powiedziałam. Poczułam wzbierającą dumę z powodu poprawności mojego postępowania i ciepło aprobaty Kita. – Słyszałam twoją rozmowę z adwokatem na temat nieprzychodzenia jutro do sądu.

– Z kim? Aha. To nie adwokat, tylko opiekun społeczny z prokuratury, taki

chłopiec na posyłki mecenasa.

Beth zdjęła żakiet. Pod spodem miała luźną, czarną sukienkę bez rękawów. Patrzyłam szeroko otwartymi oczami – skóra jej ramion, które pamiętałam jako miękkie i białe, opinała silne mięśnie, a barki były nie węższe niż u Kita. Nie trzeba było mieć dyplomu studiów feministycznych, żeby rozumieć, że to reakcja na gwałt. Potężne bicepsy były obciążające niczym blizny. Patrzyłam, jak myje ręce, wcierając mydło powyżej nadgarstków. Mięśnie napinały się w jej ciele jak liny i przysłała mi do głowy straszna myśl: miałam nadzieję, że nie ściągała marynarki podczas zeznania. Wygląda teraz na zbyt silną. Nie sprawia wrażenia ofiary.

Jeszcze nie weszłam na salę rozpraw, a już myślałam jak oni.

– Tak pewnie będzie najlepiej. – Opłukała dłonie i strzepnęła je, by wyschły. – Przynajmniej w ten sposób nie będę musiała codziennie znosić pełnego pakietu – jego i jego cholernego klanu. Nawet zaparkowali obok nas. Widziałaś, czym jeżdżą? Wielkim pieprzonym jaguarem. – Zwracała się raczej do swojego odbicia w lustrze niż do mnie. – A Carol będzie mnie informować na bieżąco. – Beth pochyliła się, niemal przewróciła, wyciągając głowę, aż przycisnęła do lustra brew, potem dłonie. – Nie wiem, jak przeżyję kolejne kilka dni, nie wiedząc, co jest mówione o mnie w tej sali – powiedziała. – Wstanie i będzie kłamał jak z nut, a oni mu uwierzą. No, przyjrzyj mu się. Ta jego mina niewiniątka. Chyba nie dam rady, jeśli tak to będzie wyglądać.

Pragnienie, gdzieś pomiędzy siostrzanym a matczynym, rozlało się ciepłą falą z mojego serca przez całe moje ciało. Było tak instynktowne, że sama nie wiedziałam, że podejmuję decyzję, a co dopiero że ją wykonuję.

– Och, Beth. – Objęłam ją w talii. – Wszystko pójdzie po twojej myśli, bo przecież on jest winny. Wiem, co widziałam. – Uśmiechnęła się słabo do mojego odbicia. – Ale gdyby tak się nie stało – jej kręgosłup zeszywniał pod moim dotykiem – to znaczy, tak będzie, ale gdyby przypadkiem coś poszło nie tak i chciałabyś pogadać z kimś, kto ci wierzy, zadzwoń do mnie. – Pogrzebałam w torbie za kawałkiem papieru i znalazłam tylko kartę z pracy, taką najzwyklejszą wizytówkę, jaką dają wszystkim pracownikom tymczasowym. Na odwrocie

zapisałam swój numer komórki.

Beth położyła mi dłonie na ramionach i uśmiechnęła się łzawo. Delikatne drżenie warg zdradzało, jak bardzo stara się nie rozplakać.

– Dziękuję – wypowiedziała bezgłośnie. Wzięła głęboki wdech, zrobiła długi wydech. – Muszę już iść. Czeka mnie jeszcze rozmowa z Carol, a rodzice są już na parkingu. Przed nami długa droga powrotna do Nottingham.

Kiedy wyszła, na chwilę przyłożyłam czoło do odcisku, jaki jej głowa zostawiła na lustrze. Dałam radę. Chciałam wiedzieć, co zostało powiedziane na sali bardziej niż cokolwiek w świecie, ale nie postawiłam jej w niedopuszczalnej sytuacji i nie spytałam. Kit będzie dumny, kiedy mu powiem.

Truchtem zbiegłam ze wzgórze, biegiem pokonałam mostek przez ciek Kenwyn. Może nie czułam się całkiem lekko – w końcu rano i ja miałam zająć miejsce dla świadków – ale i z jej. Cokolwiek miało się wydarzyć, Beth wiedziała, że stoję po jej stronie. Miałam nadzieję, że niezależnie od tego, jak potoczyłyby się wydarzenia, będzie mogła czerpać z tego jakąś pociechę.

Kit właśnie się budził, kiedy przekreśliłam klucz w zamku, na jego twarzy malował się wyraz zdziwienia, charakterystyczny u osób, które budzą się w środku dnia – lekko spuchnięty wokół oczu i ust. Odchylił kołdrę, więc wsunęłam się do łóżka obok niego, moje ubranie zimne na jego gorącej skórze.

– Gdzie byłaś?

Nie wiem, dlaczego tak odpowiedziałam.

– Na spacerze. Wzdłuż rzeki, tu, w okolicy.

To było moje pierwsze kłamstwo.



KIT

18 marca 2015

Instynkt pcha mnie, by rzucić się biegiem do swojej kajuty. Jak Laura sporządzić listę wszystkiego, co powinienem powiedzieć. Wygląda na to, że piętnaście lat nie wystarczyło, żeby przygotować się do tej rozmowy – potrzebuję jeszcze godziny.

Powinienem uciekać. Tymczasem stoję jak sparaliżowany, podeszwy moich butów jak przyklejone do pokładu, oczy wlepione w Beth. Zauważyła mnie? Już nieraz się zdarzało, że specjalnie stała odwrócona plecami, choć doskonale wiedziała, że na nią patrzę. Zawsze uważałem, że jeśli ktoś odebrał ci tak wiele twojej siły, będziesz działać nawet z najmniejszą resztką, jaka ci została.

Jestem za daleko, żeby jej dotknąć, ale widzę kropelki wody w jej włosach, jak wplecione w pukle perełki. Rusz się, mówię do siebie. Biorę głęboki wdech dokładnie w chwili, gdy potężna fala uderza w dziób statku, i zaciągam się mgiełką morskiej wody, która uderza mnie w twarz. Dostaje mi się do nosa i gardła, krztuszę się głośno. Beth odwraca się gwałtownie, żeby sprawdzić, skąd ten odgłos. Ona też jest przemoczona, mokre włosy przykleiły jej się płasko do głowy. Dobrą sekundę zajmuje mi uświadomienie sobie, że to nie ona, to wcale nie ona. Stojąca przede mną kobieta od tyłu wyglądała, jakby była w moim wieku, ale w istocie jest koło sześćdziesiątki. Ma farbowane włosy, teraz to oczywiste, są matowe jak czarna pasta do butów. Ma też nieco obwisły podbródek, a lekko haczykowaty nos

i broda nadają jej wyglądu Baby-Jagi. Jej rysy zupełnie nie przypominają Beth i jej łuku Kupidyna jak z niemych filmów i zgrabnie zarysowanych brwi.

– No tak! To za stanie zbyt blisko krawędzi! – mówi, ze śmiechem wyciskając wodę z ociekających loków.

Odwzajemniam jej uśmiech mokrą wersją swojego i unoszę w jej stronę pustą butelkę w toaście. Zbieram się, żeby zagadać do kobiety, kiedy z głośników płynie nowy komunikat. Tym razem rozlega się inny głos, damski, nosowy, bardziej nadający się do domu towarowego niż statku pełnego astronomów.

– Prosimy kierować się do sali balowej na powitalne drinki, poprzedzające atrakcje dzisiejszego wieczoru.

– Nie mogę tego przegapić! – woła moja nowa znajoma. – Choć lepiej najpierw pójde się wysuszyć.

Macham jej na pożegnanie, po latach obcowania z włosami Laury dobrze wiedząc, że nie będzie jej lekko z tymi kołtunami.

Dopiero kiedy kobieta się oddała, a ja jestem znów sam na pokładzie, spoglądam w dół i widzę w swojej zaciśniętej dłoni scyzoryk, z otwartym najdłuższym ostrzem, zupełnie jakby ktoś wsunął mi go do ręki bez mojej wiedzy. Ręka zaczyna mi drżeć. Zupełnie nie przypominam sobie, żebym wyjmował nóż z kieszeni, a już na pewno żebym wyciągał ostrze.

Dawno temu przekonałem się, że w chwili, kiedy zaczynasz rozważać logistykę jakiegoś posunięcia – albo kiedy nawet śnisz na jawie o sposobach jego wykonania – to przekroczyłeś pewną granicę. Tym razem jest inaczej. Tym razem czyn poprzedził myśl.

Serce wali mi jak młotem.

– Chris! – Z dolnego pokładu dobiega wołanie Richarda.

Ostrożnie składam scyzoryk i chowam go do kieszeni. Ciemnowłosa kobieta z pewnością go nie zauważyła, bo zamiast być taka przyjazna, popędziłaby na dół z wrzaskiem.

– Dogonię cię! – krzyczę do Richarda.

Nie chcę przegapić wykładu wprowadzającego, ale zanim stanę się z powrotem

częścią tłumu, muszę uspokoić tętno. Przetaczam sobie butelkę po czole, z lewej do prawej i z powrotem, przyciskam nią skronie.

Scyzoryk wożę ze sobą na każdą wycieczkę, odkąd skończyłem dwanaście lat, ale po raz pierwszy dotarło do mnie, że to raczej broń niż narzędzie. Utrata panowania – świadomości – napawa mnie największym lękiem. Może zawsze miałem dobry plan, tylko nigdy nie ośmieliłem się do tego przyznać, nawet przed sobą. Jednym mimowolnym czynem uwolniłem lęk, który nawiedzał mnie, odkąd wyjechałem z Londynu. Może to nie Beth powinienem się obawiać, ale tego, co ona mogłaby wyzwolić we mnie.

Na górnym pokładzie wpatruję się w wyświetlacz telefonu, aż wreszcie pojawiają się kreski zasięgu wi-fi. Jeden po drugim wybieram przyciski komórki, sprawdzając aktualizacje blogów i chatroomów. Przeglądając Facebooka, zastanawiam się, co właściwie wyprawiam. Nie sądzę, by Beth była na tyle szalona, żeby zamieścić w sieci jakiś post – po wycisku, jaki dostała w internecie, nie powinno jej zależeć na przyciąganiu uwagi, a w jakiegokolwiek wersji gry w kotka i myszkę oboje muszą być cichutko – możliwe jednak, że ktoś przypadkiem złapał ją w tle swojego zdjęcia. Sam nie wiem, co robię: wiem tylko, że muszę robić c o k o l w i e k.

Ciemna Dama wkleiła na Facebooku trzywyrazową informację: „Lądowanie w Torshavn”, dodając zdjęcie czerwonego budynku w porcie, co na nic mi nie się nie przydaje. To pewnie nie Beth, ale chciałbym, żeby wrzuciła choć jedno selfie, żebym mógł przestać ciągle sprawdzać.

Wszystkie pozostałe posty dotyczą pogody, a w tym względzie nie odnotowano żadnych zmian.

Przerzucam strony tak szybko, jak pozwala na to połączenie. Wreszcie, na blogu tak rzadko odwiedzanym, że nawet nie dodałem go do swojej listy, wpada mi w oko zdjęcie.

„Na Wyspach Owczych, pijemy zdrowie bogów słońca z przyjaciółmi, starymi i nowymi” – widnieje podpis pod fotką, na której sześcioro kobiet i mężczyzn w mrocznym barze wlewa w siebie piwo z kufli. Podstawy szklanic zasłaniają ich



twarze – sześć matowych kółek kryjących tożsamości. Dość młoda kobieta na skraju kadru ma jasną karnację i czarne loki związane w koczek na czubku głowy.

Automatycznie doszkicowuję twarz Beth w pustym polu.

Jakiś anonim dodał komentarz:

„To samo miejsce, ta sama pora jutro wieczorem?”

W odpowiedzi widnieje emotikona z kciukiem w górę, a poniżej bloger napisał:

„I każdego wieczoru aż do zaćmienia!”. Dalej następuje szereg malutkich kufli i słoneczek.

Usilnie wpatruję się w tło zdjęcia. Kominek wyłożony jest wokół charakterystycznym kamieniem, a na ścianie wisi ogromna akwarela przedstawiająca jakiegoś łosia. Takie wnętrze może być tylko jedno.

Wiem, że mógłbym odszukać ten bar. Poczucie, że gdybym tylko chciał, mógłbym usiąść tam i poczekać na nią, powoduje, że przechodzi mnie dreszcz, jakbym sprawdził baterię czubkiem języka. Gdy szok mija, wyłaniają się kwestie praktyczne. Czy naprawdę mam ochotę spędzić najbliższe dwa dni na włóczeniu się po knajpach? Zachowuję się, jakby sama okazja, połączona z nieobecnością Laury, stawiała mnie w obowiązku konfrontacji z Beth. Wyczerpany wychodzę ze strony i zamykam oczy.



LAURA

18 marca 2015

Jaskrawozielony ektoplazmowy napój Maca ma lepszy smak niż zapach. Sącę go w kuchni przez słomkę, wsłuchana w głos kobiety z BBC Londyn, przyjmującą na antenie telefonu na temat dramatycznego braku okularów na wielkie zaćmienie 2015. Wczoraj widziałam za szybą kioskarza przy Green Lanes napis „Okularów na zaćmienie nie sprzedajemy. Magazyn »Sky at Night« wyprzedany”. Gdyby pogoda bardziej dopisała, mogłabym dorobić, sprzedając coś z naszych zbiorów. Mamy ich dziesiątki, od rozdawanych za darmo pamiątek po profesjonalne polimery w mocnych plastikowych oprawkach. Radio podaje, że nadopiekuńczy rodzice panikują, że cała londyńska dzieciarnia oślepie, coś jak w *Dniu tryfidów*. Pewna nauczycielka trzyma nawet biednych uczniów w klasie z zamkniętymi oknami. Słuchacze pienią się na antenie na temat kultury BHP. Nie rozumiem, po co prowadząca nakręca to szaleństwo. Na pewno wie, że spektakl i tak zakryją chmury. Pewnie taka informacja jednak nie uatrakcyjniłaby jej programu. Pochyliłam się nad iPadem, którego trzymam online, podobnie jak Mac trzyma w domu butelkę whisky jako sprawdzian własnej trzeźwości. Czasem nawet otwiera ją, by powąchać trunek. Różnica polega na tym, że bez whisky da się żyć, ale przetrwanie bez internetu w Londynie roku 2015 nie jest możliwe. Szybko sprawdzam pogodę – wciąż na dwoje babka wróżyła. Może Kit doczeka się jeszcze

swojego zaćmienia. Dostępne są bardziej szczegółowe prognozy, ale dojście do nich oznaczałoby pełne włączenie sieci, więc jednak odkładam iPad wyświetlaczem do dołu, zanim ulegnę pokusie zajrzenia gdzieś jeszcze. Jedno kliknięcie pociąga za sobą następne. W internecie obrazy suną jeden za drugim, nieproszone, i gdy tylko zaczniesz szukać czegoś związanego z zaćmieniami, istnieje szansa, że n a g r a n i e znów trafi na mój ekran.

N a g r a n i e to dorosła wersja najgorszego dziecięcego koszmaru.

Kiedy miałam jakieś siedem lat, nabawiłam się lęku, wręcz fobii na tle pewnej ilustracji w książeczce. W opowieści Roalda Dahla *Charlie i wielka szklana winda* jest rozdział, w którym pewna babcia w jednej chwili starzeje się o setki lat. Towarzyszący treści obrazek tuszem przedstawiający pomarszczoną, zapadłą twarz przeraził mnie tak bardzo, że kiedy po raz pierwszy go ujrzałam, posiusiałam się. Nie byłam w stanie przekonać się do tej historii, dopóki tata nie kupił mi innego wydania z nowymi ilustracjami. Mówiłam o rycinie „ten obrazek” – Śnił mi się „ten obrazek” – mówiłam tylko, gdy wpadał pośrodku nocy do mojego pokoju, wezwany moimi krzykami. Nawet teraz, gdy zdjęcia odegrały tak ważną rolę w moim życiu, „ten obrazek” nadal niesie ze sobą strach.

Tak samo jest z n a g r a n i e m. Znam je klatka po klatce. (Przez lata sporo czasu poświęciłam pamięci – zastanawiałam się, jak niektóre zdarzenia odciskają się w naszej głowie wyraźnie, nigdy się nie zacierając, a inne mają postać smug już w momencie, kiedy następują. Na przykład listy, które dostawałam od Jamiego. Choć nie zachowałam ani jednego, zakładam, że każdy potrafiłabym wyrecytować z pamięci). Pewnie byłam w stanie wyreżyserować rekonstrukcję filmu, od zonglera ogniem w scenie wstępu po dalekie ujęcia bujnej tureckiej doliny. Mogłabym co do nuty opisać muzykę, klasyczny trance, na który nakłada się dzikie zawrodozenie w tej dziwnej, wschodniej, atonalnej tonacji, jaką dla zachodnich uszu otwierają beat i akordy. Mogłabym też powiedzieć, że w dziesiątej minucie pięćdziesiątej pierwszej sekundzie nagrania ciemnowłosa dziewczyna trzymająca w dłoni fotografię – zrobioną przez Ling na balu z okazji ukończenia studiów, a może tę, którą Beth sama pstryknęła, a ja zignorowałam ostrzeżenie? – przerywa

dwanaściorgu ludziom, odrywając ich spojrzenia od nieba, pokazując zdjęcie, z pewnością pytając, czy widzieli te osoby, czy je znają, czy mogą jej pomóc je znaleźć. Jej wejście trwa może dwadzieścia sekund i pozostaje w tle, po czym kamera zwraca się ku niebu, łapiąc zaćmienie. To wystarczy.

Znam to na pamięć, sekunda po sekundzie film odtwarza się w moich snach. Dlaczego więc tak bardzo boję się ponownie obejrzeć nagranie?

Chyba znam odpowiedź. Gdy mam to wszystko w głowie, mogę udawać, że to jedyne miejsce, gdzie następują te zdarzenia. Mogę wsunąć je do jednej szufladki z napadami lęku i całą resztą mojej paranoi i oznaczyć jako produkt nadwrażliwej, przepracowanej wyobraźni. Kiedy jednak oglądam n a g r a n i e, wszystko staje się zbyt prawdziwe. Wydarzyło się.

Dlaczego tego nie spostrzegłam? Patrząc na nią teraz, widzę problemy wryte na jej twarzy, da się je rozpoznać po sposobie, w jaki reagują na nią ludzie. Osoby, które wcześniej jej nie znały, cofają się przed jej intensywnością, dlaczego więc ja, która spędziłam z nią tyle czasu, zorientowałam się, kiedy było już za późno?



LAURA

9 maja 2000

Pokój dla świadków był przesiąknięty stęchłym, słodkawym zapachem gotowanej herbaty i biszkoptów tkwiących w puszcze dłużej niż jeden proces. Miałam zeznawać jako pierwsza, Kit natomiast, który widział jedynie konsekwencje zdarzenia, po mnie. Choć od zeszłego sierpnia każdą noc spędzaliśmy razem, teraz zabroniono nam omawiać sprawę. Carol Kent poleciła nam powstrzymać się od wszelkich rozmów w czasie przerwy pomiędzy naszymi występami na sali, więc w milczeniu trzymaliśmy się za ręce, podczas gdy opiekunka świadków, dziarska staruszka imieniem Zinnia, uzupełniała naszą wiedzę na temat znaczenia peruk w przepowiedniach w angielskim prawie karnym.

– Potrafię powiedzieć, kto wygra, po jednym rzucie oka na peruki – wyznała. – Można by założyć, że odnoszący sukcesy prawnik będzie miał śliczną i zadbaną, prawda? – Znacząco zawiesiła głos, zachowując dla siebie resztę informacji, dopóki nie pokiwaliśmy głowami. – Nieprawda! – oznajmiła z triumfem. – Najlepsi adwokaci mają peruki w opłakanym stanie, niektóre dosłownie sprzed setek lat. To symbol jakości. O, nie chciałabym, żeby reprezentował mnie ktoś w nowiutkiej peruce na głowie.

O wpół do jedenastej Zinnia poprowadziła mnie wyłożonym dywanem korytarzem do sali rozpraw numer jeden. Miękka wykładzina pochłonęła dźwięk

moich kroków. Pomieszczenie, z szafirową podłogą i rozkładanymi fotelami, przypominało salę kinową bardziej niż klasyczne sale z boazerią, które znałam z telewizji. Elektryczny zegar na biurku woźnego podawał mi godzinę z dokładnością co do sekundy. Największym zaskoczeniem była publiczna galeria – spodziewałam się, że ludzie będą rozsadzeni na jakichś balkonach, tymczasem byli po prostu tam, za długim stołem, w odległym rogu; żadnych kordonów, barierek, nic. Jeśli jakiś szaleniec miałby ochotę, mógłby rzucić się sprintem spod jednej ściany sali i dotrzeć do drugiej w dwie sekundy. Jamie, siedzący za szybą na ławie przysięgłych, był tak blisko, że widziałam paseczki na jego starym szkolnym krawacie.

Jeśli jednak sala rozpraw sprawiła mi zawód, w przypadku sędziego o rozczarowaniu nie mogło być mowy – był archetypem telewizyjnego sędziego o wyrazistej, czerwonej od wina twarzy pod upudrowaną peruką, niczym Rumpole z opowieści Mortimera. Ławnicy zlustrowali mnie wzrokiem od stóp do głów. Oprócz jednego sikha wszyscy byli biali. W pierwszym rzędzie zwróciłam uwagę na surowego mężczyznę w typie profesora, mamusiowatą kobietę z okularami do czytania zawieszonymi na łańcuszku wokół szyi i młodziutkiego gościa w koszulce angielskiej drużyny piłkarskiej, któremu tatuaże wyłaziły spod ubrania na szyję.

Niepozorni z wyglądu, mieli nade mną ogromną przewagę. Słyszeli zeznanie Beth. Gdyby tylko istniał jakiś znaczący szczegół, który zawarła w swojej wersji wydarzeń i który ja mogłabym podać, żeby przybliżyć swój opis gwałtu do jej zeznania, żeby sprawić, że nasze prawdy będą niepodważalne.

Na nogach z waty podeszłam do miejsca dla świadków i choć zaproponowano mi, bym usiadła, postanowiłam stać. Powietrze było gęste, nieruchome i przesycone powagą, która musiała działać jak serum prawdy na najbardziej winnych ludzi. Z pewnością w takim miejscu Balcombe nie był w stanie wypierać się tego, co zrobił. Wpatrzony to w sędziego, to w przysięgłych, zamrugał długimi rzęsami, odpędzając od siebie wszelkie domniemane winy.

Oskarżyciel Nathaniel Polglase mógł mieć około trzydziestu pięciu lat, a jego peruka z końskiego włosia sprawiała wrażenie świeżo wykonanej, z ciasno

zwiniętymi lśniącymi loczkami. Za jego plecami pracownik opieki społecznej występował w ubraniu z wczoraj. Wiedziałam, że w zasadzie nie reprezentowali oni Beth, ale stanowili jej jedyną szansę, i poczułam ukłucie wyprzedzającego rozczarowania. Zajmująca miejsce po lewej ręce sędziego adwokatka Jamiego Balcombe'a Fiona Price wyglądała na wyjątkową spryciarę. Miała zniszczoną, lecz dobrze leżącą perukę, a w todzie było jej tak do twarzy, że nie mogłam jej sobie wyobrazić w niczym innym. Odważyłam się zerknąć w stronę galerii publicznej – rodzina Jamiego siedziała w drugim rzędzie. Na ławce dla prasy rozpoznałam blondynkę Ali, oprócz niej była tam jeszcze jedna reporterka, na oko szesnastoletni chłopak w przypinanym krawacie i mężczyzna w średnim wieku, który wyraźnie walczył ze snem.

Złożyłam świecką przysięgę – zdaniem Kita każdy, kto przysięgał na świętą księgę, automatycznie dyskwalifikował swoje zeznanie z powodu skrajnej głupoty – i wyrecytowałam słowa o prawdomówności ze wzrokiem wbitym w ogromne godło na ścianie za sędzią, na matowozłotej płaskorzeźbie lew i jednorożec toczyły walkę o koronę. Przeciąganie liny, spór o prawa? Ten obraz można było odczytywać dwojako.

– Dziękuję za przybycie, panno Langrishe – przywitał mnie Nathaniel Polglase. Mówił z lokalnym akcentem i błędnie wymówił moje nazwisko, kończąc je dźwięcznym „dż”. – Czy mogłaby pani, zanim przejdziemy dalej, opowiedzieć nam nieco o sobie? Praca zawodowa, wykształcenie, te sprawy.

– Uczęszczałam do państwowej szkoły średniej w Croydon, w Surrey. Dziesięć świadectw nieuprawniających do podjęcia studiów, trzy egzaminy końcowe – recytowałam, czując się jak nastolatka, którą byłam, gdy po raz ostatni wymieniałam te kwalifikacje. – W zeszłym roku otrzymałam dyplom z wyróżnieniem z socjologii na studiach feministycznych w londyńskim King's College. Pracuję tymczasowo dla City w dziale marketingu.

Najwyraźniej wystarczył taki skrót CV, bo następnie, za pomocą kilku pytań, wy dobył ze mnie wersję zdarzeń będącą w zasadzie dokładnym co do słowa odtworzeniem zeznania, które policja spisała w sierpniu. Brzmiała płasko, dziwnie

i jak wyreżyserowana, bo przecież taka była. Co chwilę przenosiłam wzrok na ławników, żeby sprawdzić ich reakcje. Mężczyzna z tatuażami nawet na mnie nie patrzył. W sterylnych warunkach sali sądowej moje słowa nie niosły takiej mocy jak w policyjnym kontenerze. Ława przysięgłych kompletnie nie wchodziła ze mną w interakcję. Zawodzę Beth, pomyślałam, zbliżając się do momentu, w którym podniosłam portmonetkę. Tracę kontakt z ławnikami i nie mam na to żadnego wpływu. Kiedy skończyłam, miałam na końcu języka pytanie: „Tylko tyle pan ode mnie oczekuje?”.

Spodziewałam się przerwy pomiędzy przesłuchaniem oskarżenia i obrony, ale adwokatka Jamiego zerwała się z miejsca, jeszcze zanim Polglase zdołał zająć swoje. W jednej sekundzie zdobyła szacunek ławników, w jednej sekundzie zdobyła mój.

– Panno Lang-*reesh* – rozpoczęła, a poprawnie wymówione nazwisko uwypukliło błąd Polglase’a. – W którym momencie powódka powiedziała pani, że została zgwałcona?

Z początku nie zorientowałam się, dokąd zmierza.

– Nie powiedziała. To znaczy niespecjalnie słowami, ale...

– W ogóle tego nie powiedziała. Kto pierwszy z a s u g e r o w a ł, że doszło do gwałtu?

Serce zabiło mi szybciej, gdy zrozumiałam, co chce osiągnąć.

– Chyba ja, ale nie sugerowałam niczego, tylko nazywałam po imieniu to, co zobaczyłam.

– Więc powódka, panna Taylor, nie wspomniała o gwałcie ani przemocy, ani niczym w tym stylu, zanim pani wezwała policję?

– Cóż, nic wtedy nie mówiła.

– Czyli powiedziała, że to był gwałt, kiedy zjawiała się policja?

Fakt, że od początku rozstawiała wokół mnie reflektory, pojęłam dopiero, kiedy zaświeciły mi prosto w oczy. Jak to możliwe, że sprawa w takim tempie przybrała tak niekorzystny obrót?

– Nie, ale...



– Powódka ani razu nie powiedziała pani, że doszło do gwałtu. Prawda jest taka, że pani sama wyciągnęła taki wniosek.

Przycisnęłam dłonie płasko do drewna stanowiska dla świadków.

– Jeśli już coś, to on był tym, który pierwszy o tym powiedział. – Posłałam w stronę ławy oskarżonych mrozące spojrzenie. – „To nie to, co myślisz” – padło, kiedy go wyciągał. Ja nawet nie zdążyłam się odezwać. Więc jeśli ktoś tu się bronił, to on.

Fiona Price zahaczyła kciuki o klapy togi i uniosła cienką brew, zwracając się do przysięgłych.

– Czyli powiedział, że to nie był gwałt, że to nie to, na co wygląda?

– Bo wiedział, co zrobił.

Robiło mi się coraz goręcej, jakby ktoś podkręcał mi w środku termostat, to było ostrzeżenie, wskazówka wkradająca się na czerwone pole.

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Zapewniał o swojej niewinności, czyż nie? „To nie to, na co wygląda”. To, według pani, jego słowa, prawda?

– No... tak, ale... – Chciałam powiedzieć, że wiadomo, że się wykręcał, bo tak robią ludzie przyłapani na gorącym uczynku. Tak robią małe dzieci, zarzekają się, że nie zaglądały do puszek z biszkoptami, nawet jeśli mają lepkie rączki i okruchy na twarzy. Jednak zanim ułożyłam w głowie tę myśl, Price była już w połowie następnego pytania.

– W istocie, oskarżony pan Balcombe mówił p r a w dę, a zapewniał o swej a u t e n t y c z n e j niewinności, bo widział pani o c z y w i s t ą nadinterpretację sytuacji. Wkroczyła pani, zanim nieporozumienie miało szansę się wyjaśnić, zgadza się?

– Nie. – Czulałam lepkość pod pachami i cieszyłam się, że mam ciemną sukienkę.

– Szybko wyrobiła sobie pani zdanie na ten temat, czyż nie?

– To nie kwestia wyrobienia sobie zdania. Coś takiego poznaje się od razu.

– To, co pani przerwała, to był seks odbywający się za zgodą obu stron, prawda? Żywiołowy, namiętny seks, owszem, ale stosunek mający miejsce pomiędzy dwojgiem z g o d n y c h dorosłych osób. I pani w nim p r z e s z k o d z i ła.

– Wiem, co widziałam.

– Widziała pani ostatnie chwile stosunku seksualnego, panno Langrishe. Czy była pani na miejscu w chwili penetracji? W chwili kiedy to r z e k o m o doszło do czynu wbrew czyjejś woli?

Miałam czoło mokre od potu. Podniosłam rękę, żeby przetrzeć brew, ale zrezygnowałam i zastanawiałam się, czy przysięgli widzą strużkę spływającą mi po skroni. Z całą pewnością nie umknęła Fionie Price, która wiodła za nią pełnym ironii wzrokiem.

– Dobrze pani wie, że nie. – Więc zgodzi się pani ze mną, że jedyne dwie osoby mające jakiegokolwiek podstawy, by wiedzieć, czy czyn nastąpił wbrew woli jednej z nich, to sami uczestnicy? Że pani nie ma prawa wiedzieć?

Może brakowało mi wykształcenia prawniczego i doświadczenia, ale racja była po mojej stronie.

– Nie, nie przyjmuję tego. Nie widziała pani ich twarzy. On był wściekły. A ona miała błoto wokół ust, płakała, śliniła się, miała smarki na twarzy.

– Muszę zapamiętać na rzecz późniejszych spraw, że niewytarty nos jest dowodem gwałtu.

Poczułam pod powiekami łzy, i to nie tylko z powodu własnego zażenowania, ale też Beth. Jeśli mnie tak maglują, co ona musiała przejść?

– Doprawdy, panno Price? – Ostrzeżenie sędziego nie sięgnęło jednak celu.

Mamusioswata kobieta w ławie przysięgłych prychnęła.

– Wysoki Sądzie. – Fiona Price pochyliła głowę w geście przeprosin. Kiedy po trzech sekundach ją podniosła, jej oczy przypominały lasery. – Panno Langrishe, czy powódka zareagowała w jakiś sposób na pani pojawienie się?

Przywołałam w pamięci daleki wzrok Beth. Ile trwało, zanim dotarła do niej moja obecność? Nie potrafiłam stwierdzić. Czas rozciągał się, kiedy patrzyłam na scenę przed moimi oczami, jak podobno dzieje się podczas wypadku samochodowego.

– Dopiero po kilku sekundach.

Z wyrazu twarzy Price natychmiast wyczytałam, że udzieliłam złej odpowiedzi.

– Była zatracona w chwili, prawda? – triumfowała adwokatka.

„Zatracona w chwili” było całkowicie nieodpowiednie do tego, co widziałam. Ona po prostu wyrzuciła to ze swojej świadomości. Starła się być gdzie indziej. Jakim prawem Price przedstawia to jako rozkosz? Dlaczego jej się na to pozwala?

– Jeśli już, to była sparaliżowana strachem. On ją krzywdził! – zawołałam przenikliwie.

– Panno Langrishe – weszła mi w słowo Price, ale mówiłam dalej, choć wcale nie chciałam; niemal widziałam, jak słowa wylewają się z moich ust, jakby przewijał mi się przed oczami scenariusz, a ja musiałam odczytywać go na głos, choć nie miałam pojęcia, co zawierał.

– Miał pełne garście jej włosów, a ona mówiła: „proszę, nie”.

Nathaniel Polglase podniósł głowę tak szybko, że podskoczyła mu peruka. Mój wyimaginowany zwój papieru ze scenariuszem nagle wyciął sobie fragment i oprawił go w ramkę, a moje słowa zawisły w powietrzu, żeby wszyscy mogli się im lepiej przyjrzeć. Fiona Price niemal przyfrunęła do mnie.

– Proszę wybaczyć, chyba nie dosłyszałam ostatniego zdania. Czy mogłaby je pani dla mnie powtórzyć?

Miałam wrażenie, że coś ogromnego wali się tuż za moimi plecami.

– Mówiła: „proszę, nie”.

Wypowiedziałam to z największą mocą, na jaką potrafiłam się zdobyć, ale moje ciało mówiło prawdę. Pot lał mi się strumieniami po twarzy. Nie wiem, jak wyglądałam, ale czułam się, jakby ktoś wycisnął mi nad głowę gorącą, moką gąbkę.

– Jedną chwilę, Wysoki Sądzie – poprosiła Fiona Price. – Chciałabym tylko rzucić okiem na pierwotne zeznanie świadka, spisane przez policję. – Włożyła okulary do czytania i skupiła się na dokumencie, jakby po raz pierwszy miała go przed sobą, choć byłam przekonana, że znała na pamięć każde słowo, a ta poza była grą aktorską. – Przypomina sobie pani, czy podczas przesłuchania dokonanego przez mojego świetnego kolegę z prokuratury wspomniała pani o tym, że powódka użyła słowa „nie”?

– Nie przypominam sobie.

Upokarzała mnie. Chociaż nie – kiedy podawała mi zapis zeznania, zrozumiałam, że jest na to zbyt sprytna. Pozwoliła, bym zrobiła to sama.

– Byłaby pani łaskawa odczytać na głos swoje zeznanie i powiedzieć przysięgłym, w którym konkretnie miejscu wspomina pani, że powódka użyła słowa „nie”?

Przebiegłam stroną niewidzącym wzrokiem, choć przecież wiedziałam, że nie znajdę tam takich słów.

– Trzyma pani w rękach swoje zeznanie, czy tak?

– Tak. – Przytaknięcie jej wreszcie dało mi niejasne poczucie ulgi.

– Kiedy spisano to zeznanie?

– Tuż po zdarzeniu. W policyjnym kontenerze. – Cisnęło mi się na usta „zaraz po gwałcie”, ale wiedziałam, że to tylko podkreśli moje uprzedzenie, a wyrzuciłam już wystarczająco dużo szkód.

– A więc bezpośrednio po rzekomym gwałcie – wyręczyła mnie Price. – Proszę odczytać zdanie rozpoczynające trzeci akapit. Strona 110, Wysoki Sądzie, trzeci akapit od góry.

Brzmiałam jak opóźnione w rozwoju dziecko proszone o czytanie na głos w klasie. „Nic nie mówiła, wydawała z siebie raczej kwilenie”.

– „Nic nie mówiła, wydawała z siebie raczej kwilenie”? Taki opis przedstawiła pani policji tuż po zdarzeniu?

– Tak. – Miałam tak ściśnięte gardło, że widzowie w galerii publicznej widzieli chyba, z jakim trudem łapię powietrze.

– Wie pani, że istnieje p r z e p a ś ć pomiędzy kwileniem a słowem, prawda? – naciskała Fiona Price.

– Tak. – Słowo wymknęło się szeptem z moich ust. Oczy zaszkły mi łzami. Jeśli nie starczy mi sił, przy następnym mrugnięciu tama puści.

– Źle zinterpretowała pani jęk rozkoszy, prawda?

– Nie.

– Gdyby powiedziała choć słowo, przekazałaby je pani policji, ponieważ

w przypadku s ł ó w trudniej o pomyłkę czy zapomnienie. Zgadza się?

Nie potrzęsęłam głową tak mocno, jak bym chciała, z obawy, że spod powieki wyrwie się jakaś łza.

– Tymczasem właśnie oświadczyła pani sądowi, że wyraźnie słyszała pani, jak powódka mówi „proszę, nie”. Zgodzi się pani, że tylko jedno z tych zeznań może być prawdziwe, panno Langrishe?

Jawiła się przede mną nikła szansa ratunku – liczenie na to, że nitka udźwignie ciężar mojego ciała – ale nie pozostało mi nic innego.

– Chciałam powiedzieć, że słyszałam, jak kwili „proszę, nie”. – Moje wyjaśnienie samo brzmiało jak kwilenie.

Brwi Fiony Price niemal zniknęły pod jej peruką.

– Taka bystra dziewczyna jak pani musiała zdawać sobie sprawę, jak ważne tego typu słowa byłyby w sprawie, a jednak pominęła je pani w zeznaniu składanym raptem kilka g o d z i n po domniemanej napaści?

Potrafiłam jedynie wzruszyć ramionami. Wbiłam wzrok w buty i zrozumiałam, co znaczy wyrażane przez niektórych pragnienie, żeby ziemia ich pochłonęła. No dalej, zaklinałam, świdrując wzrokiem miękka, granatową wykładzinę. Rozstąp się. Niech ukáže się otchłań. Zlituj się nade mną.

– Nie pamiętała pani tego zaledwie przed kilkoma minutami, na tym stanowisku dla świadków? Ale nagle o l ś n i ł o panią podczas mojego przesłuchania?

– Mówiła to, mówiła: „proszę, nie”.

Przecież mogła tak powiedzieć, przekonywałam samą siebie. Szkoda, że tego nie zrobiła.

Price pozwoliła moim słowom zawisnąć w powietrzu na kilka sekund, po czym całkiem zmieniła taktykę.

– Jak opisałaby pani atmosferę przed domniemaną napaścią?

Odetchnęłam trochę, szczęśliwa, że ściągnięto ze mnie światło reflektorów, choć nie łudziłam się, że wytchnienie potrwa długo. Z trudem przełknęłam ślinę przez ściśnięte gardło.

– Klimat był rozwiązły? – dopytywała Price. – Hedonistyczny?

– Nie. Było dość spokojnie jak na festiwal – zaprzeczyłam. – Ale panowało szczęście. Spokój. – Tu mnie na niczym nie złapiesz, pomyślałam.

– Wszystkie chwytówy dozwolone? Właśnie doświadczyliście zaćmienia, grała muzyka, wszyscy byli nakręceni, prawda?

– To żadna wymówka dla tego, czego się dopuścił. – Powstrzymałam uśmiech triumfu. Wreszcie punkt dla mnie. Przynajmniej tak mi się wydawało, dopóki nie pociągnęła linii pytań, ujawniając, że to do mojego stanu umysłu chciała się dogrzebać, nie Jamiego.

– W rzeczy samej, zaćmienie było zakryte chmurami? W zasadzie go nie widzieliście, prawda?

– Tak. – Nie zdawałam sobie sprawy, ale brukowałam właśnie drogę do własnego upokorzenia.

– Widoczność była marna tego dnia. Czy rozczarowanie po długim, rosnącym oczekiwaniu było odczuwalne?

– Tak. – Śmiało, bezwiednie dołożyłam kolejny kamień.

Fiona Price potarła podbródek.

– Lubi pani dramatyzować, Lauro?

– Słucham?

– Puszczaj pani wodze fantazji? Trudno pani odróżnić rzeczywistość od fikcji?

Wbiłam paznokcie w dłoń, wściekła na siebie.

– Nie. Mówię tylko, co słyszałam.

– To, co pani s ł y s z a ła, zdaje się zmieniać z minuty na minutę. – Uśmiechnęła się, niemal z żalem, jakby było jej przykro, że nie można na mnie polegać. – W i d z i a ła pani dwoje dorosłych uprawiających miłość, prawda?

Mocno pokręciłam głową.

– Gdyby widziała pani to, co ja, wstydziłaby się pani w tym kontekście używać takiego określenia. To nie było „uprawianie miłości”. Byłam świadkiem g w a ł tu. Widziałam to w ich twarzach.

Price obdarzyła mnie spojrzeniem pełnym, jak mi się zdawało, litości.

– Zna pani znaczenie terminu „konfabulacja”, panno Langrishe?

Kropelka potu, która zsuwała się pomalutku po mojej twarzy, rozprysła się na blacie przede mną.

– Oczywiście, że tak.

– Proszę wybaczyć. Jest pani przecież wykształconą młodą kobietą, ma pani dyplomy z wyróżnieniem z socjologii i s t u d i ó w f e m i n i s t y c z n y c h, gdyby ktoś przypadkiem zapomniał. – Pochyliła się w kierunku ławy przysięgłych.

– Państwo przysięgli, dla tych z państwa, którzy nie znają tego słowa, i w ramach przypomnienia dla tych, którym jest znane, konfabulacja to po prostu długi wyraz oznaczający pochopne wyciąganie wniosków, kiedy ktoś z przekonaniem wierzy w coś, co pasuje do jego ulubionej teorii. Jest pani feministką?

Odparłam jej atak niepodważalnym argumentem.

– Wierzę w równość kobiet i mężczyzn.

– Czytała pani na studiach teorie, że wszyscy mężczyźni są gwałcicielami?

– Z całym szacunkiem, to trąci truizmem.

Z ławy przysięgłych emanowała wrogość, nie wymądrzaj się, Lauro, upomniałam sama siebie. Price pozostała niewzruszona.

– Ale czytała je pani?

– Oczywiście. – Starłam się wmusić do swojego głosu odrobinę uprzejmości.

– I założyła pani, że tak jest w tej sprawie, prawda?

– Nie. Byłam świadkiem, jak tamten mężczyzna gwałcił powódkę. – Obraz tego, co widziałam, płonął mi teraz przed oczami. Łzy piekły pod powiekami bardziej niż kiedykolwiek, odkąd Price zaatakowała.

– To pani k o n f a b u l a c j a, że zobaczyła pani gwałt, prawda? Działanie nadaktywnej wyobraźni, tak wyrwanej spod kontroli, że nie umie pani nawet opowiedzieć dwa razy tej samej historii?

– Widziałam ich twarze – powiedziałam w wyniku wyboru pomiędzy mówieniem a płaczem. Zdanie wydostało się z moich ust szeptem. Tak czy inaczej, moje słowa utonęłyby w wyraźnym i ostrym oświadczeniu Fiony Price, że nie ma do mnie więcej pytań.

– Nie mam pytań do świadka, Wysoki Sądzie – wydusił przez zaciśnięte zęby

Polglase.

Nie potrafiłam się zdobyć na to, by na niego spojrzeć. Z jego głównego świadka stałam się sabotażystką w ciągu... Spojrzałam na zegar i z niedowierzaniem stwierdziłam, że przesłuchanie trwało niespełna dwadzieścia pięć minut.

Gdy sprowadzano mnie ze stanowiska dla świadków, usłyszałam, jak sędzia ogłasza przerwę na lunch, jego słowa docierały do mnie jak spod wody. Pewnie powinnam była poczekać na Carol Kent, ale uciekła z sali rozpraw, zanim atrium miało szansę się wypełnić. Jakaś część mnie spodziewała się, że przy drzwiach będzie na mnie czekać policja z kajdankami, żeby aresztować mnie za krzywoprzysięstwo. Na zewnątrz chciwie łąpałam powietrze, a krajobraz Truro na zmianę zamazywał się i zaostrzał. Miałam ochotę rzucić się w dół zbocza i skończyć w rzece. Fiona Price czytała mi w myślach. Zauważyła, co robię, zanim ja sama to zrozumiałam. Wszystko zepsułam. Jedyne, co poszło może nie dobrze, ale nie katastrofalnie, to to, że Kit nie był świadkiem mojego kłamstwa. Nie byłam tym, za kogo mnie uważał. Nie byłam tym, za kogo sama się uważałam.





LAURA

9 maja 2000

Teraz, po przesłuchaniu, miałam już wstęp do galerii publicznej. Godzinę przeznaczoną na lunch spędziłam, chodząc samotnie po dżdżystym dziedzińcu i poważnie zastanawiając się nad tym, czy w ogóle wracać na salę. Tylko jak wytłumaczyłabym swoją nieobecność Kitowi? Zorientowałby się, że coś jest nie w porządku. Tak więc o czternastej wsunęłam się do sali numer jeden za Balcombe'ami. Stojąc na stanowisku dla świadków, miałam wrażenie, że świta Jamiego wypełnia całą galerię, ale jednak udało im się rozmieścić tak, że ze wszystkich stron otaczały ich puste miejsca. Jego matka – tego dnia przybrana szmaragdami – dosłownie krzywiła się, ilekroć się poruszyłam, ale to tylko sprawiło, że wyprostowałam się na siedzeniu, poczuwszy świeży przypływ determinacji. Jej obnoszenie się z niechęcią do mnie mogło postawić mnie w lepszym świetle przed przysięgłymi. To był doskonały blef – kto kłamałby w sądzie, a potem wracał pod ostrzał badawczych spojrzeń nieprzyjaciela?

Kit oczywiście złożył świecką przysięgę. Pokazowo krył nerwy, co patrzący z boku nieznajomi musieli odczytywać jako pewność siebie, a nawet zadufanie. Podobnie jak mnie, przedstawiono go poprzez jego wykształcenie i kilku ławników, łącznie z mamusiową kobietą i sikhem, pokiwało głowami z uznaniem na wzmiankę o dwóch dyplomach z wyróżnieniem z Oksfordu. A potem, jak ja, Kit

zrelacjonował wydarzenia owego sierpniowego przedpołudnia. Nathaniel Polglase nie miał dalszych pytań, ale Fiona Price owszem.

– Czy mógłby nas pan raz jeszcze przeprowadzić przez kilka sekund poprzedzających opuszczenie przez pana Balcombe’a miejsca zdarzenia?

Kit skinął głową.

– Laura zasłaniała dziewczynę. Klóciła się, mam na myśli Laure, z oskarżonym. Próbował zbyć to śmiechem, kiedy się pojawiłem, ale nie był zbyt przekonujący, to był taki wymuszony śmiech. Spoważniał dopiero, kiedy Laura powiedziała, że musimy wezwać policję.

– Czy dał mu pan szansę wyjaśnienia, dlaczego się stamtąd oddał? – Ton głosu adwokatki był inny przy Kicie, pozbawiony rytmicznej, władczej modulacji, wyraźnej przy moim przesłuchaniu.

– Nie, ale nie próbował się tłumaczyć.

– Z pana pierwotnego zeznania nie mogę precyzyjnie wywnioskować tempa, z jakim poruszał się oskarżony. Czy szedł jak człowiek, który chce uciec przed nękaniami?

Kit chwilę się zastanowił.

– Nie biegł, ale zdecydowanie przyspieszył, kiedy zauważył, że podążam za nim, a potem zginął w tłumie. Szedłem za nim jeszcze jakiś czas, ale potem zmieszała się z nami kolejna fala ludzi i sprawa zrobiła się beznadziejna. – Wyglądał na wstrząśniętego ponownym przeżywaniem tamtej sytuacji.

Prawniczka założyła ręce pod togą.

– Co pan miał zamiar zrobić, gdyby go pan dogonił?

– Szczerze? Nie mam pojęcia. To wszystko toczyło się tak szybko. Chyba zamierzałem przeprowadzić jakieś obywatelskie aresztowanie, choć nie miałbym nawet pomysłu, jak to wykonać.

– Tak więc nie był pan świadkiem stosunku?

– Nie. – Głos Kita był pozbawiony emocji, zdystansowany i kategoryczny.

– W ogóle ledwo pan widział ofiarę?

– Zgadza się. – Był tak opanowany, jakby brał udział w ankiecie. Dotąd

krytykowałam umiejętność Kita do oddzielania faktów od uczuć. Teraz szczerze mu zazdrościłam. Dlaczego ja tak nie potrafię, zastanawiałam się wtedy. Dopiero później odkryłam kluczową różnicę: on mówił prawdę.

– I nie przyszło panu do głowy zapytać oskarżonego, dlaczego ucieka?

– Nie.

– Czyli w sumie pana zeznanie jest tylko przedłużeniem tego, co powiedziała pana dziewczyna, tak? Działał pan na podstawie jej wersji przebiegu wydarzeń?

– Wierzę w ocenę Laury – powiedział gładko Kit.

Poczucie winy zżerało mnie od środka.

– Czy może pan zeznać pod przysięgą – napierała Fiona Price – że seks nie odbywał się za obopólną zgodą uczestników?

– Oczywiście, że nie – odparł Kit. – Jak mógłbym, skoro nie byłem jego świadkiem?

Jego uśmiech rozbroił prawniczkę, pozostawiając na jej twarzy zmartwiony grymas, pierwsze szczerze uczucie, jakie widziałam na jej obliczu przez cały dzień. Swoją ujmującą szczerością Kit podważył jej linię ataku za pomocą jej własnego pytania. Fala irytacji przeszła przez szyki siedzących nieopodal mnie Balcombe'ów. Zagrzecotały szlachetne kamienie, brzęknęły drogie zegarki, gdy zakładano ręce na piersi i potrząsano głowami. O, dostanie jej się za to, pomyślałam.

Przebrałam się z sukienki, gdy tylko wróciliśmy do hotelu. Kit siedział na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, wciąż jeszcze w garniturze, wbijając nieobecny wzrok w wijącą się linię brzegu na rozpostartej przed nim mapie regionu.

– Chyba nie zdawałem sobie sprawy, jakie pieprzone pole minowe mam przed sobą, dopóki nie stanąłem tam, na miejscu dla świadków. – Nie byłam pewna, czy chodzi mu o granice seksualne, system sprawiedliwości czy dyskusję ze mną na któryś z tych tematów. – Wiesz, na przykład kiedy pytali mnie o to, jak się oddalił, o to, pamiętasz, czy jest winny czy nie. Całe szczęście, że nie musimy tam już wracać.

Zamarłam z sukienką w rękach. Zostały nam jeszcze trzy dni w Kornwalii i zakładałam, że będziemy śledzić proces.

– Jutro moglibyśmy pojechać do Goonhilly Downs – mówił. – Wiesz, to miejsce ze stojącymi kamieniami i odbiornikami satelitarnymi, o którym opowiadałem ci latem? – Odwrócona do niego tyłem wieszałam sukienkę w szafie i wygładzałam jej dół. – Dobrze, nie dość romantycznie dla ciebie. Co zatem powiesz na lunch w St. Ives? – Milczałam. – Opadł na wznak na łóżko i sprężyny jęknęły razem z nim. – Chcesz tu zostać i śledzić proces.

Odwróciłam się twarzą do niego.

– Tylko do przesłuchania jego. Nie było mi dane posłuchać Beth, ale chciałabym zobaczyć Jamiego. Chcę widzieć, jak się wypiera i jak się łamie. – Kit nie zdawał się przekonany. Staralam się zaapelować do jego metodycznej natury. – Jutro policja i lekarz. Może poczujesz się lepiej, jak zapoznasz się z dowodami.

– Przecież sama mówiłaś, że ta sprawa nie będzie się opierać na materiale dowodowym. – Kit poluzował spinki do mankietów, maleńkie srebrne haczyki, które – jak dopiero teraz zauważyłam – nosiły inicjały jego ojca. Nie mogłam sobie wyobrazić Lachlana McCalla, którego znałam, ubranego w garnitur. Kit przerzucał je z ręki do ręki jak kości do gry. – Czy fizyczne ślady oporu mogą stanowić dowód, że dobrze wiedział, co robi, czy też ona musi jasno i wyraźnie powiedzieć „nie”?

Następne pytanie było nieuniknione: czy naprawdę słyszałaś, żeby powiedziała „nie”, Lauro? Musiałam mu przerwać. Nie potrafiłabym go okłamać, patrząc mu w oczy.

– Już to omawialiśmy! – powiedziałam. – Seks bez zgody to gwałt, Kit! Koniec dyskusji!

Cofnął się, zaskoczony.

– Tak, wiem ale...

Następne pytanie wyrwało się ze mnie w tym samym tonie.

– Wierzysz jej czy nie?

Odtwarzałam tę rozmowę w głowie bez końca i chyba naprawdę miałam na

myśli: „wierzysz mi, prawda?”. Ale Kit nie był tego świadom, więc zastosował ten sam ratunek co zawsze, kiedy ktoś przyparł go do mur – pedanterię.

– Sama mówiłaś, że po zdarzeniu w ogóle o nim nie mówiła. Dopiero kiedy zjawiała się policja, prawda? Praktycznie rzecz biorąc, nie mogę wierzyć lub nie wierzyć komuś, kto w sumie nie wypowiedział się w żaden sposób na dany temat.

Oczywiście miał rację, co mój następny wybuch czyniło jeszcze bardziej zdumiewającym.

– Nie wiedziałam, że jesteś takim pompatycznym, cynicznym p o j e b e m.

To była projekcja – atakowałam go, żeby ulżyć własnemu poczuciu winy i zmieszaniu z powodu swojego wcześniejszego występu. Wtedy jednak tego nie rozumiałam.

Kit zmarszczył się pod siłą mojego oskarżenia, ale nie ustąpił.

– Nie jestem cynikiem. – Nie tracił opanowania. – Jestem... n a u k o w c e m. Nie można dać się ponieść emocjom na sali rozpraw. Próbuję po prostu ułożyć to sobie tak jak oni. Sądziłem, że omówienie mechaniki wydarzeń może okazać się pomocne, bo tak się przetwarza dane. Nie każda dyskusja oznacza od razu atak na twoje wartości. Wiesz, na czym polega twój problem? Za dużo współczucia. –

Przeszedł do krzyku. – Nie możesz iść przez życie, biorąc na siebie brudy innych ludzi. Nie masz do tego odpowiedniego filtra!

Rozplakałam się w połowie jego tyrady, a na koniec wyplułam:

– Przynajmniej mam jakieś uczucia do przefiltrowania! Przynajmniej nie jestem pieprzonym robotem!

Teraz to Kit wyglądał, jakby walczył ze łzami. Zacisnął pięści na spinkach ojca.

– To niesprawiedliwe i dobrze o tym wiesz.

Chwialiśmy się tak na krawędzi naszej pierwszej poważnej kłótni, aż Kit, wierny zwyczajowi cichego życia, złożył broń.

– Dobrze – powiedział. – Przepraszam, nie powinienem był się naigrawać. Widzę, jakie to dla ciebie ważne. Po prostu mamy inne zdanie, i tyle. – Pocałował mnie w czoło. – Zostaniemy do końca procesu, jeśli tego właśnie chcesz. Ale najwyżej dwa dni. Nie wezmę więcej wolnego z uczelni.

– Dziękuję. – Poczułam jednak lekkie ukłucie irytacji, że tak łatwo się poddał, choć przecież tego właśnie chciałam. – Po prostu czuję, że jestem to winna Beth, że powinnam iść i w jej imieniu zobaczyć, jak to się rozgrywa. – Jeśli stracił trochę mojego szacunku, ja również nadwyrężyłam respekt, który miał dla mnie.

Kit poskładał mapę, bez problemu dopasowując zagięcia, z którymi większość ludzi toczyłaby nierówną walkę.

– Uważam, że zrobiłaś już dla Beth więcej, niż należało – powiedział, chowając mapę do walizki. Zamarłam, ale nie, w jego głosie nie było pretensji, nie rzucił mi znaczącego spojrzenia. To był tylko zwrot, który doładowałam swoją paranoją. –

Tak czy inaczej, nie wałkujmy już tego. – Zapiął torbę. – I tak się nie dowie. Carol Kent powiedziała mi, że już wyjechała z Kornwalii. Więcej jej nie zobaczymy.



KIT

18 marca 2015

Wycieczkowiec został stworzony dla starych ludzi. Wzdłuż wszystkich ścian biegną barierki, a połowa krzeseł w barze to te z wysokim oparciem i zabezpieczeniami po bokach, jakich używa się w domach spokojnej starości. Znalazłem jedno, które stoi przodem do sali, ale jednocześnie skrywa moją twarz, tak że mogę obserwować, pozostając niewidoczny. Na moje oko co najmniej połowa pasażerów to emeryci, i – nie zwróciłem na to uwagi, kiedy rezerwowałem bilety – nie ma żadnych dzieci. Tak bardzo przywykłem do publicznych przestrzeni opanowanych przez maluchy, że tutejsze powolne tempo i przytłumiony gwar zaczynają mnie irytować. A może po prostu jestem w nastroju, w którym łatwo wytrącić mnie z równowagi.

Zimne piwo nieco koi moje nadszarpnięte nerwy, choć kobiety, którą pomyliłem z Beth, jest wszędzie pełno – łapie mój wzrok, ilekroć podchodzi do baru. Co gorsza, ciągle się do mnie uśmiecha i chociaż mój racjonalny umysł zakodował, że to nie Beth, za każdym razem na ułamek sekundy jakiś pierwotny system obronny każe mi zacisnąć pięści.

– Jak ciąża Louise? – Richard po raz pierwszy poruszył ten temat.

– Laury – poprawiam. – Dobrze. Termin za dwa miesiące.

Nie mogę się powstrzymać i pokazuję mu w telefonie zdjęcie naszych bliźniąt

z dwudziestego tygodnia, dwa zakrzywione księżycy w pełni czaszek, kręgi jak nóżki gąsienicy. Nadal nie wierzę, że nieostry, czarno-biały obraz przedstawia moje dzieci.

– Podwójne kłopoty – mówi Richard, zerkając z grzeczności. – Nie spieszyłeś się z interese, co? Nadia od razu z miesiąca miodowego wróciła w ciąży.

Cały się jezę na taki brak taktu. Coś takiego nie przeszłoby przez usta żadnemu mężczyźnie, który musiał masturbować się do pojemniczka w klinice i który musiał oglądać, jak jego żonę nakłuwają, szprycują lekami, jak skrobią ją, naruszają jej ciało. Takich słów nie wypowiedziałby żaden mężczyzna, którego żona odpychała, bo to nie był odpowiedni dzień, lub który patrzył, jak partnerka krzywi się, znosząc seks w dniu, który okazał się właściwy.

– Jeden strzał i już – ciągnie niefrasobliwie. – Wręcz za wcześnie, jeśli mam być szczery, ale z drugim było tak samo. Żadne tam ślepaki, zaskoczyło od razu, w pierwszym miesiącu, kiedy się zdecydowaliśmy.

Rozumiem. Richard uważa, że to j e g o zasługa, że to jemu należy się uznanie za szczęśliwy traf biologii. Trochę za późno, bo już jesteśmy uwiązani przez te cztery dni w pływającej, metalowej komórce, ale dociera do mnie, że niespecjalnie lubię Richarda.

– Coś ci powiem – przyjmuje ton, który najwyraźniej uważa za odpowiedni do męskiej rozmowy. – Korzystaj, stary, póki chodzi z brzuchem, bo potem nie zaruchasz przez ładne parę miesięcy. Jak ci się wydaje, że logistyka seksu z kobietą w siódmym miesiącu jest trudna, to nie wiesz, jak to jest, gdy macie dzieciaka wciśniętego między was w łóżku.

– Dwójkę – poprawiam go automatycznie.

– No to masz pozamiatane. Twoje życie miłosne nie istnieje. Poczekaj, aż skończą osiemnaście lat, i wymień żonę na lepszy model.

Wybucham śmiechem dość głośnym, by zamaskował mój żal. Prawdę mówiąc, chyba straciłem już Laurę w tym względzie. Ostatnie lata nie były takie jak na początku, to jasne, przecież nikt nie oprze się prawu malejących przychodów. Jednak zanim zaczęliśmy się starać o dzieci, nadal pragnąłem Laury, a ona mnie,



tak po prostu. Duchy młodszych nas zawsze udawało się jakoś wyzwolić, żeby mogły poszaleć. Rozkosz za każdym razem podkreślało rosnące zdziwienie, że mimo upływu lat nasze ciała wciąż pasowały do siebie, jakby były dla siebie stworzone.

Pierwsze miesiące starań o dzidziusia były romantyczne, nawet nie – były wręcz ekscytujące: seks w określony dzień, a jeśli to zawodziło, wręcz o wyznaczonej godzinie. Ale seks w ustalonym terminie szybko stał się seksem na żądanie, a kiedy zrobiło się medycznie, coś między nami umarło. Raz jeszcze zmartwychwstało, ale na krótko, gdzieś w okolicy początku drugiego trymestru pożądanie autentycznie się roznieciło, ale mechanika była wyzwaniem nie do przeskoczenia – to boli, nie dotykaj mnie tam, może jeśli podłożę poduszkę pod biodra, nie, nie tak, Jezu, Kit, z g n i a t a s z je – że to w zasadzie się nie liczyło.

Nie mogę opowiedzieć tego Richardowi. Ani nikomu innemu. Przecieram skroploną wilgoć ze szklanki kciukiem.

– Teraz już tylko z górki – mówi Richard, odstawiając kufel na falbaniastą podstawkę z napisem Princess Celeste. – Nic nie nakłada na człowieka takiej presji jak dzieci. – Na te słowa moja złość zmienia się w rozbawienie, bo po wszystkim, co z Laurą przeszliśmy, jaką krzywdę mogą zrobić te wyczekane, wystarane, opłacone i już ukochane maleństwa? – Dziwnie będzie, kiedy po tak długim czasie bycia tylko we dwoje pojawią się szkraby – komentuje. – Jesteście razem od dziecka, co?

– Odkąd mieliśmy po dwadzieścia jeden lat.

Richard unosi kącik ust w znaczącym uśmiechu, który widywałem na niezliczonych twarzach. Często spotykam ludzi, którzy niemal litują się nade mną, bo wcześniej się ustatkowałem. Nie tylko dlatego, że nie poskakałem sobie z kwiatka na kwiatek, ale ponieważ nie rozumieją, co mogłem dać od siebie w tak młodym wieku. Nie rozumieją, że w tym właśnie rzecz. Miałem resztę życia do zaoferowania Laurze. Patrzę na pary, które poznały się po trzydziestych urodzinach, i zastanawiam się, jak głęboka może być ich relacja. Tak wielki kawał odrębnego życia może przeszkadzać w małżeństwie, taka długa przeciwstawna

historia. Definiujące zdarzenie mojego życia to definiujące zdarzenie w życiu Laury. Nie wiem, jak pary, które właśnie nie przeżyły razem czegoś takiego, trzymają się razem. I jeśli ja straciłem beztroską dziewczynę, którą z początku znałem, to i ona pożegnała chłopaka ze świetlaną przyszłością, a i tak zbudowała z nim swoją teraźniejszość. Wiem, że nie jestem tym, na kogo się pisała – uderzenie meteorytu, jakim był dla mnie Lizard, strąciło mnie z kursu i nigdy nie zostałem tym, kim miałem być.

Automat do gier wyrzuca z siebie lawinę monet, metaliczny brzęk przenosi mnie z powrotem na statek. Bar pustoszeje, a tłum przechodzi do sali balowej.

– Lepiej chodźmy po identyfikatory – mówię. – Za minutę zaczyna się wykład.

Dopijamy piwo i odstawiamy szklanki na bar.

Scyzoryk ciąży mi w kieszeni, przypominając, jak blisko byłem głupiej, potencjalnie oplakanej w skutkach, pomyłki. Wspomnienie błysku ostrza budzi we mnie dodatkowy dylemat. Nie ma sensu pozbyć się Beth, jeśli Laura nie zyska dzięki temu absolutnej pewności, że jest bezpieczna. Gdybym był zmuszony użyć noża – czy gołych rąk, bo prawda jest taka, że mam świadomość, jak daleko posunąłbym się, by bronić własnej żony – czy powiedziałbym Laurze? Czy byłaby w stanie ze mną żyć? Nawet gdyby wiedziała, że zrobiłem to wyłącznie dla niej, czy nadal by mnie kochała?



LAURA

10 maja 2000

Po mękach składania zeznań środa przyniosła pewną ulgę. Dziś mieli wzywać biegłych. Odegraliśmy nasze role i nie mieliśmy dalszego wpływu na przebieg procesu. Myśl, że być może dokonałam już miażdżącego sabotażu, zaciskała mi się żelazną obręczą wokół czaszki, ale na poziomie podstawowej moralności nie czułam wyrzutów sumienia. Moje kłamstwo było drogą ku prawdzie, a zatem stanowiło prawdę. Wróciłam pamięcią do mechanicznego występu Kita przed sądem, jego wytrwałego trzymania się faktów, i wiedziałam, że nigdy nie podzieliłby mojego zdania w tej kwestii.

Po raz pierwszy zasiedliśmy w galerii publicznej razem, z dłońmi splecionymi mocno, niczym wysepka otoczona stronnikami Jamiego. Nie było żadnego wstępu ani rekapitulacji, dzień zaczął się jako kontynuacja poprzedniego, jak druga połowa sztuki po przerwie. Polglase wstał z miejsca i powiedział:

– Wzywam na świadka funkcjonariusz policji prowadzącą sprawę, inspektor sierżant Carol Kent z policji w Devon i Kornwalii.

Byłam zaskoczona, gdy Kent przysięgła na Pismo Święte, i nie musiałam patrzeć na Kita, żeby wiedzieć, że wywraca oczami. Nigdy dotąd nie zastanawiałam się nad założeniami, jakie przysięgli musieli robić na temat świadków na podstawie ich wyboru rodzaju przysięgi. Gdybym pracowała

w sądzie, gdyby to była moja nudna codzienność zamiast straszliwej, jednorazowej tortury, bawiłabym się, zgadując, kto przysięgnie na Biblię, a kto nie.

Zeznanie Kent wypełniło pewne luki w historii – dowiedzieliśmy się, że zanim przyjechał po nią radiowóz, Beth doszła do siebie na tyle, żeby podać swoje nazwisko i adres, choć miało minąć jeszcze kilka godzin, zanim cała prawda wyszła na jaw. Beth poznała Jamiego poprzedniego wieczoru przy ognisku i to właśnie wtedy go spławiła. Usłyszeliśmy też o aresztowaniu Jamiego. Wbrew naszym wyobrażeniom o policyjnym pościgu okazało się, że Balcombe sam z pełnym spokojem podszedł do mundurowego i oznajmił, że został niesłusznie oskarżony o napaść seksualną. To nie wyglądało dobrze dla Beth. Jednak to były drobiazgi na drodze do prawdziwego zmartwienia prokuratury: materiału dowodowego.

Pojawiło się mnóstwo nudnych informacji, pozornie nieistotnych dla sprawy – Polglase zmarnował pół godziny, wypytyując Kent o Pipa, pięknego policyjnego owczarka, którego widziałam na festiwalu. Z czasem odkryłam, że nuda jest jeszcze bardziej męcząca niż bycie zaangażowanym i wówczas, niezdolna dostrzec sensu tej linii przesłuchania, zastanawiałam się, czy była to sztuczka mająca na celu znużenie ławy przysięgłych. Kit ciągle spoglądał na elektryczny zegar nad głową woźnego, kanciaste czerwone cyfry dziarsko przeskakiwały z sekundy na sekundę, w tempie sprzecznym z wlokącym się dniem.

Doczekaliśmy się próby aktorskiej, kiedy funkcjonariuszka Kent włożyła parę tajskich spodni rybackich. Polglase utrzymał pokerową twarz, choć z ławy przysięgłych dobiegały chichoty.

– Pani inspektor, gdyby to był pani strój i miałaby pani odbyć, nawet częściowo ubrana, stosunek seksualny – entuzjastyczny, zgodny stosunek – jak pozwoliłaby pani partnerowi dostać się do siebie?

– Rozpięłabym spodnie – odparła Kent. – Nie ma fizycznie innej metody. Nie da się ich zsunąć przez biodra. Jeśli ktoś chciałby zdobyć dostęp do okolic intymnych kobiety, musiałby użyć znacznej siły.

W pamięci błysnęła mi biała, umazana błotem noga Beth. Myślałam, że udało

mi się stłumić dreszcz, ale Kit mocniej zacisnął dłoń na mojej ręce, jakby chciał mnie powstrzymać od odpływania myślami w dal.

Polglase założył kciuki za poły togi. (Chyba uczą tego na studiach prawniczych).

– Dziękuję, pani inspektor. Mamy dziś okazję podzielić się z przysięgłymi oryginalnymi spodniami, które powódka miała na sobie w dniu gwałtu.

Młodszy urzędnik podał plastikowy woreczek z dowodem. Komuś z ławy przysięgłych wyrwało się „Ooo”, natychmiast uciszone groźnym spojrzeniem sędziego.

– Co zrozumiałe, są bardzo ubłocone – powiedziała Kent. – Po prawej stronie, tam gdzie wiązanie łączy się z główną częścią odzieży, materiał jest naddarty, jak na skutek mocnego szarpnięcia. – Pomyślałam, że jest po stronie Beth i na pewno tak samo jak ja pragnie wyroku skazującego.

– Dziękuję, inspektor Kent.

Fiona Price uderzyła jak orzeł.

– To niewiarygodnie tanie spodnie, parę funtów za sztukę, często sprzedawane na takich festiwalach jak na Lizard Point. Czy jest pani w stanie stwierdzić bez wątpienia, że to niewielkie jednak naddarcie nie jest wynikiem kiepskiej produkcji? Albo że nie powstało po prostu na skutek eksploatacji?

Milczenie Kent było celowe – przeciągnięta chwila, w której kobiety mierzyły się wzrokiem. Kent mrugnęła pierwsza.

– Nie – odpowiedziała głosem ciężkim od rezygnacji.

Podczas swojego przesłuchania Price odparła każdy z wcześniej przekonujących argumentów oskarżenia. Miałam wrażenie, że obserwuję tuzin lotek fruwających tam i z powrotem. Z całą pewnością także przysięgli czuli się zagubieni, wiedziałam, że właśnie do tego zmierzała. Zamknęłam oczy i z trudem przywołałam w pamięci obraz twarzy Jamiego nad Beth i musiałam przyznać, że jedyny powód, dla którego wiedziałam, jak było, to fakt, że w i e d z i a ł a m.

Kit czekał z największym zainteresowaniem na zeznania lekarza. Nie, w zasadzie

nie czekał, bo w ogóle nie miał ochoty przebywać w sądzie. Może bezpieczniejsze będzie stwierdzenie, że poświęcał mu inny rodzaj uwagi. Wiedziałam dlaczego – był wreszcie na pewnym gruncie. Dotychczas proces był niczym więcej jak tylko walką na słowa, ale teraz wreszcie sprawy miały być przedstawione w sposób, któremu mógł zaufać – obejrzone pod mikroskopem i zakodowane jako dane. Teraz ja chłodno gasiłam jego nadzieje.

– W sprawie chodzi o to, czy była zgoda na seks, nie o ustalenie tożsamości sprawcy – przypomniałam mu, kiedy czekaliśmy, aż sędzia wróci z lunchu. – Przyznaje, że odbyli stosunek. Nauka jest tylko szumem w tle.

Kit już miał coś odpowiedzieć, ale woźny oznajmił śpiewnie, że należy wstać, więc poderwaliśmy się na nogi z uczuciem oczekiwania.

– Oskarżenie wzywa na świadka doktor Irene Okenedo – powiedział Polglase.

Irene Okenedo miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, z czego górne dwadzieścia centymetrów stanowiły włosy, długie warkocze splecione w kok na czubku głowy. Wyglądała na jakieś dwanaście lat i przyszło mi na myśl – choć natychmiast wiedziałam, że to absurd – że powinna była włożyć biały fartuch lub chociaż stetoskop na szyję, żeby przekonać nas, że naprawdę jest lekarzem. Miałam nadzieję, że pomoże Beth, a jednocześnie ze wstydem zdałam sobie sprawę, jak bym się wściekła, gdyby była przychylna obronie.

Przysięgła na Pismo Święte („Nie sądziłem, że wśród biegłych mamy tylu zapalonych chrześcijan”, mruknął z sarkazmem Kit) i przedstawiła się jako zastępca kierownika szpitalnego oddziału ratunkowego. Szkoliła się w badaniu i leczeniu ofiar gwałtów w projekcie Sapphire, nowo powstałej jednostce policji londyńskiej do spraw napaści seksualnych. Jej głos – niski, wyważony – zapewniał jej autorytet, którego nie dawała postura.

– Dziękuję, doktor Okenedo – powiedział Polglase. – Zajęła się pani panną Taylor w komisariacie policji w Helston. Jak określiłaby pani stan pacjentki?

Doktor Okenedo odchrząknęła.

– Pod względem fizycznym była odwodniona i potrzebowała czegoś do jedzenia, choć była w ogólnie dobrej kondycji i dobrze odżywiona. Była

niezmiernie zmęczona i brudna, z błotem na ubraniu i pod paznokciami. – Teraz przypomniałam sobie, jak Beth orała palcami ziemię. Obejrzałam własne, czyste paznokcie, zastanawiając się, ile Kita można by pod nimi znaleźć.

Polglase skinął powoli głową, wyraźnie okazując współczucie.

– A emocjonalnie, psychicznie?

– Powiedziałabym, że była w stanie szoku posttraumatycznego. Była bardzo wycofana, udzielała odpowiedzi monosylabami „tak” i „nie”. Broniła się przed badaniem.

– Dziękuję, doktor Okenedo. Właściwie częściowo wyprzedziła pani moje następne pytanie. Policja poprosiła panią o przeprowadzenie badania powódki na okoliczność niedawnej napaści seksualnej. Czy może pani przedstawić swoje wnioski?

– Cóż, w pierwszej kolejności moim obowiązkiem jest opieka nad ofiarą, nie tylko badanie. Zaoferowałam jej środki przeciwbólowe oraz pięć miligramów diazepam, które przyjęła. Rozpoczęłam od badania zewnętrznego, pobrałam wymaz z ust, by wyizolować DNA, próbki spod paznokci i tym podobne. Ofiara była wycofana, ale współpracowała. Wyraźne uszkodzenia ciała ograniczały się do rozciętego kolana, drobnych rozcięć i obtarć na obu kolanach, a także na dłoniach.

Przyjrzałam się ławie przysięgłych w poszukiwaniu oznak własnego dyskomfortu, ale jedynie sikh kręcił głową. Mamuśka była uważna, jakby oglądała niezwykle emocjonujący odcinek swojej ulubionej opery mydlanej. Byłam ciekawa, czy pamięta jeszcze, kiedy była młoda. I czy ma córki.

– Można by założyć, że nawet w przypadku namiętnego seksu za obopólną zgodą kobieta ustawiłaby się tak, aby uniknąć poranienia kolan do krwi. Czy te niewielkie skaleczenia mogą być wynikiem przytrzymywania jej wbrew jej woli?

– Według mojego doświadczenia tak.

– Dziękuję, doktor Okenedo.

Poprzekładał jeszcze papiery, ewidentnie na pokaz. Obok asystent Fiony Price notował coś skrupulatnie piszczącym pisakiem, sędzia tak samo. Palila mnie ciekawość, co tam zapisują.

– Dotarła pani na miejsce około czterech godzin po gwałcie.

– Zgadza się.

– Słyszeliśmy, jak panna Taylor opisywała, że jej bielizna została zdarta gwałtownym ruchem w jedną stronę, zanim doszło do penetracji. Można by się spodziewać, że na skórze pojawiłby się jakiś ślad takiej przemocy?

– Tak.

– Biorąc pod uwagę siłę, z jaką szarpnięto bieliznę panny Taylor, czy jest możliwe, że po czterech godzinach powierzchowne uszkodzenia spowodowane tarcieniem materiału o skórę zdążyłyby zaniknąć?

– Tak – odparła lekarka, lekko wzruszając ramionami. – To możliwe.

– Z pewnością. Cztery godziny to bardzo długi czas w tym kontekście. – Spojrzał w notatki z grymasem na twarzy, dla podkreślenia, z jaką nieprzyjemnością zadaje następne pytanie. – A badanie narządów płciowych?

– Zbadałam skórę wokół sromu i odbytu, choć zajęło to sporo czasu, ponieważ nawet leżenie na kanapie wywoływało w pannie Taylor silny niepokój. Kiedy już była gotowa, stwierdziłam, że nie ma obrażeń widocznych gołym okiem. Ale kiedy spytałam, czy mogę podjąć próbę badania wewnętrznego, pacjentka zareagowała jeszcze mocniejszym stresem, zwinęła się w kłębek i powtarzała słowo „nie”.

Było to echo, a wręcz potwierdzenie mojej wersji, więc serce zabiło mi mocniej z radości, po czym osiadło z szacunkiem u podstawy gardła.

– Czy taka reakcja jest zgodna z innymi obserwowanymi przez panią podczas badania ofiary domniemanego gwałtu w kilka godzin po czynie?

– Tak. – Doktor Okenedo pokiwała głową z powagą. Ja zaś, dopiero widząc dziwne spojrzenie Kita, uświadomiłam sobie, że kiwam razem z nią. Na siłę unieruchomiłam głowę, choć i tak żaden z ławników nie patrzył w moją stronę. –

Na pewno rozumie pan, że to niezwykle traumatyczne i często fizycznie bolesne dla kogoś tuż po takich mękach. Potrzebna jest zgoda pacjentki, by przystąpić do jakichkolwiek badań. W końcu, po długich namowach, panna Taylor pozwoliła mi pobrać wymaz z pochwy.

Wzdrygnęłam się i zacisnęłam kolana.



– Czy znalazła pani na wymazie ślady nasienia?

Może nie było mnie tam w chwili penetracji, ale byłam obecna przy panicznym wyciąganiu – wciąż miałam przed oczami tę pękającą srebrzystą nitkę. Kit wyprostował się gwałtownie i pochylił do przodu, w pełni zaabsorbowany, skoro na czoło wysuwała się nauka.

– Owszem – odparła doktor Okenedo.

Polglase rzucił przysięgłym znaczące spojrzenie, ale nawet ja widziałam, że zamierza zaryzykować.

– Czy potrafi pani sobie przypomnieć podobną napaść seksualną, z podobnymi obrażeniami, które pani opatrywała?

Po chwili namysłu lekarka odpowiedziała lekko niepewnym:

– Tak?

– Może mi pani powiedzieć, jak długo zajęło owo zbliżone badanie? – Teraz już Polglase znalazł się w swoim żywiole. – Proszę podać minimalny czas potrzebny do przeprowadzenia procedury. Zakładając, że powódka jest w dobrym stanie i na tyle silna, by nie sprzeciwiać się oględzinom.

Słowo „sprzeciwiać” przywołało wizję strzemion i kaftanów bezpieczeństwa. Nie mogłam zwalczyć w głowie obrazu Beth w szpitalnej koszuli, z nogami rozłożonymi na siłę po raz drugi tamtego dnia. Zrobiło mi się niedobrze.

– Można tego dokonać w jakieś dziewięćdziesiąt minut.

– A ile czasu poświęciła pani pannie Taylor, wliczając spokojne nakłanianie i namowy niezbędne w przypadku obcowania z kimś w tak wielkim szoku?

– Spędziłam na komisariacie osiem godzin, licząc od przybycia na miejsce do odjazdu. Powiedziałabym, że jakieś siedem godzin zajmowałam się ofiarą.

– Dziękuję, doktor Okenedo. Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Cztery godziny do przyjazdu plus o s m i o g o d z i n n e oględziny. Ja i Kit dawno spaliśmy w namiocie, a Beth wciąż była męczona przez obcych. Powinnam była z nią jechać.

Fiona Price stanęła na swoich eleganckich nogach.

– Jak rozumiemy, powódka o d m ó w i ł a badania wewnętrznego. Czy

wyjaśniła jej pani, w jakim celu chce ją pani zbadać?

– Tak.

– I nadal nie dawała zgody?

– Tak.

Spytaj ją dlaczego, podsuwałam w myślach. Niech lekarka opowie przysięgłym o stanie, w jakim znajdowała się Beth. Nie było to jednak po linii Price, więc nie spytała.

– Skoro nie możemy stwierdzić braku obrażeń wewnętrznych, nie możemy też uznać, że powódka jakichś doznała?

– Zgadza się. – Pojedynczy warkoczyk wyrwał się z upięcia na głowie lekarki, przez chwilę sterczał jak antenka, aż wreszcie wpadł jej do oka.

– Pani doktor, od jak dawna jest pani lekarzem?

– Zdobyłam kwalifikacje w roku 1997 – odpowiedziała, zatykając warkoczyk za ucho.

– Gratulacje – powiedziała Fiona Price, jakby udzielała pochwały harcerce za zdobycie nowej sprawności. – Szkoliła się pani z londyńską policją?

– Tak.

– Odkąd przeprowadziła się pani do Kornwalii, w ilu sprawach o napaść seksualną pełniła pani funkcję w y ł ą c z n e g o lekarza dokonującego oględzin?

– W siedmiu, licząc bieżącą – odpowiedziała, przygryzając policzek.

– Czyli zanim przystąpiła pani do badania panny Taylor, nadzorowała pani jedynie sześć takich przypadków?

– Tak.

Price zaczęła przeglądać notatki na biurku, by brak doświadczenia biegłej zawisł w dusznym powietrzu. Z przegródki w teczce wyjęła zdjęcie przedstawiające – z naszego miejsca w galerii – niewyraźną, beżową plamę.

– Czy te maleńkie zadrapania na kolanach powódki mogły być po prostu śladami powstałymi pod wpływem nacisku? Wgnieceniami spowodowanymi dodatkową wagą mężczyzny na kobiecie podczas namiętnego, stosunku za o b o p ó l n ą zgodą?

– Tak – niechętnie przyznała doktor Okenedo.

Fiona Price ucięła wszelkie wątpliwości.

– Czy znalazła pani, dajmy na to, siniaki na ramionach powódki? Cokolwiek, co sugerowałyby, że była przytrzymywana wbrew swojej woli?

Znów poczułam ucisk wokół głowy, jakby ktoś zacieśniał na niej obręcz.

– Nie. Ale zastygnięcie w bezruchu jest częstą reakcją na gwałt. Mogła nie stawiać fizycznego oporu.

Wbiłam wzrok w ławę przysięgłych w poszukiwaniu oznak empatii. Nie zobaczyłam nic, ale też ławnicy ledwo mieli szansę przyswoić słowa lekarki, kiedy Price wskoczyła z pytaniem:

– Jest pani biegłą w sferze oceny obrażeń, czy tak?

– Tak.

– Nie jest pani biegłym psychologiem specjalizującym się w zachowaniu ofiar?

– Nie.

– Trzymajmy się zatem dziedziny pani ekspertyzy i doświadczenia zdobytego podczas ilu to? Trzech lat praktyki, zgadza się?

Jak Price ś m i e atakować kogoś, kto spędza życie na pomaganiu ofiarom? Wiedziałam, że nie poradziłabym sobie z jej pracą.

– Zaczniemy od tego, że powalenie kobiety na ziemię, jak to opisała panna Taylor, wymagałoby sporej siły, prawda? – spytała Price.

– Tak – potwierdziła lekarka.

– Wszyscy widzieliśmy pannę Taylor. Jest sprawna fizycznie i k r z e p ka, czyż nie? – Mamuśka w ławie przysięgłych kiwała gorliwie głową, krzepkość wyraźnie nie mieściła się na jej liście atrakcyjnych cech. – Nawet zdrowy młody mężczyzna nie dałby rady podporządkować jej sobie bez szarpaniny. Czy znalazła pani jakiegokolwiek siniaki sugerujące walkę?

– Nie.

– Ustalono tu, że spodnie zostały ściągnięte przy użyciu siły. Powódka nie miała pod nimi nic z wyjątkiem skąpych stringów. Mój świątły kolega sugerował, że wszelkie otarcia spowodowane gwałtownym zdejmowaniem odzieży zanikłyby do

czasu pani przyjazdu i oględzin panny Taylor. Jednak siła opisana przez domniemaną ofiarę pozostawiłaby odparzenia, prawda?

– Być może.

Moja cierpliwość była na wyczerpaniu. Nawet ja potrafiłabym być bardziej przekonująca, na pewno.

– Odparzenie od tarcia nie zniknęłoby po czterech godzinach.

– Nie. – Irene Okenedo pochyliła się naprzód, lecz nie dla emfazy, a dla wsparcia. Odchył się z powrotem, wołałam do niej bezgłośnie. Wyprostuj się.

– Znalazła pani na ciele powódki takie ślady?

– Nie.

Nathaniel Polglase potrząsnął głową, aż jego perfekcyjna peruka niebezpiecznie podskoczyła.

– Dokonała pani również fizycznych oględzin mojego klienta – ciągnęła Price. – Wymaz wykazał wydzielinę z pochwy powódki. Potwierdza to jednak wyłącznie to, czego mój klient ani razu się nie wypierał: że doszło do stosunku. Prawda?

– Tak.

Głos prawniczki powoli przybierał na mocy.

– Czy oględziny powódki dostarczyły j a k i c h k o l w i e k dowodów materialnych, że została zmuszona do seksu? Nie istnieje ani jedno fizyczne obrażenie, zewnętrzne czy wewnętrzne, które podważałoby stwierdzenie, że nie doszło do niczego poza spontanicznym stosunkiem?

Tym razem dostała odpowiedź, na którą czekała.

– Nie – padło z ust doktor Okenedo. – Nie mogę tego stwierdzić.

Wyglądała tak, jak ja się czułam – jakby wiodła wzrokiem za piłką, którą kopnęła do własnej bramki.

– Dziękuję, pani doktor. Wysoki Sądzie, nie mam dalszych pytań do świadka.

Gdy siadała, Polglase wstał. Ich ruchy były płynne, jak dwójki dzieci na huśtawce.

– Wysoki Sądzie – powiedział pokonanym głosem. – To zamyka sprawę dla oskarżenia.



LAURA

11 maja 2000

Dzień, w którym Jamie Balcombe zajął miejsce na stanowisku dla świadków, powitał nas czystym, wręcz błękitnym niebem. Oskarżony został odeskortowany do holu przez swoją zwykłą flotę, gdzie oddał się w ręce woźnego.

Reporterka z bobem wróciła do atrium. Kiedy z głośnika popłynęło wezwanie wszystkich stron w sprawie Prokuratura kontra Balcombe do sali numer jeden, Ali puściła do niej oko i szepnęła: „teraz się zacznie”.

Weszliśmy do galerii publicznej. Uważaliśmy z Kitem, żeby przypadkiem nie dotknąć ani nie musnąć nikogo ze świty Balcombe'ów. Któraś z pań miała na sobie dławiące kwiatowe perfumy, które rozbudziły mój wczorajszy ból głowy – zaczęło mi pulsować w skroniach. Narzeczona Antonia siedziała w tylnym rzędzie. Jej strój był rozmyślnie, niemal parodystycznie dziewiczy, z czarną aksamitną opaską i kołnierzem z falbankami – ubranie dziewczynki z minionej epoki. Brakowało jej tylko pasiastych pończoch, a byłaby wcieleniem Alicji z ilustracji Tenniela. Wyciągnęła szyję, by dojrzeć Balcombe'a, kiedy zajmował miejsce w ławie oskarżonych. Kiedy zauważył, że dziewczyna siedzi z tyłu, twarde, wściekły grymas przebiegł jego oblicze tak szybko, że sama nie byłam pewna, czy nie był złudzeniem.

– Widziałeś jego minę? – szepnęłam do Kita.

Zerknął na Jamiego, który wydawał się poważny i pełen szacunku, i wzruszył ramionami.

– Chyba zawsze ma taką?

Patrzyłam, jak Jamie ostrym ruchem głowy wskazał na puste miejsca w pierwszym rzędzie. Antonia poderwała się, jakby szarpnął za smycz. Kierując w stronę ławy oskarżonych bezgłośnie przeprosiny, popędziła ku frontowi galerii, gdzie usiadła, nerwowo obracając na palcu pierścionek zaręczynowy.

– Tego chyba nie przegapiłeś? – spytałam Kita, ale on bawił się zegarkiem, synchronizując go z zegarem sądowym.

Jamie miał dziesięć, może dwanaście kroków do stanowiska dla świadków. Był nad wyraz uprzejmy i kooperatywny, głośno dziękował woźnemu, który otworzył przed nim drzwi, mówił wyraźnie „Oczywiście, oczywiście, dziękuję”, gdy wprowadzano go na miejsce.

– Może pan usiąść, panie Balcombe – powiedział sędzia.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – Jamie skłonił się grzecznie. – Ale wolę stać.

Ubrał się dzisiaj w inny garnitur, nieco za duży, i Jamie wyglądał w nim jak świeżo upieczony uczeń, któremu rodzice kupili marynarkę na wyrost. Zerknęłam ukradkiem na resztę klanu – wszyscy w idealnych kreacjach. Trudno było uwierzyć, że niedopasowany strój Jamiego nie miał na celu rozbroić przysięgłych. Jego oczy zdawały się też bardziej niebieskie niż z początku – czyżby założył soczewki?

Przysiągł na Biblię. A jakże.

Fiona Price obdarzyła swojego klienta ciepłym uśmiechem.

– Jamie, dziękuję – powiedziała, jakby miał jakiś wybór, jakby swoją obecnością wyświadczał nam wszystkim przysługę. – Zanim przejdziemy do wiadomego wieczoru, prosiłabym, żeby pokrótce przedstawił pan nam swoje wykształcenie.

– Dziękuję, panno Price. Uczęszczałem do Szkoły Katedralnej w Saxby, którą ukończyłem z najwyższymi notami. Obecnie studiuje architekturę. Licencjat z projektu architektonicznego zrobiłem na Uniwersytecie Bath.

Jego głos był jak drogi miód skapujący ze srebrnej łyżeczki.

– Wymagane są dalsze trzy lata nauki i doświadczenia zawodowego, zanim będę mógł się starać o przyjęcie do Królewskiego Instytutu Architektów Brytyjskich. Chyba nie skłamię, jeśli powiem, że tylko chirurdzy weterynarii studiują dłużej niż architekci. Po licencjacie przez rok pracuje się w zawodzie, po czym wraca się na uczelnię na kolejne dwa lata, by zdobyć dyplom architekta, potem następuje jeszcze więcej praktyki, dalsza nauka, kolejne egzaminy. – Uśmiechnął się lekko. –

Po tym wszystkim należy złożyć podanie do Instytutu Architektów i dostać pracę. Wtedy zaczyna się p r a w d z i w a harówka.

Ławnik w marynarce pokiwał głową, a ten z tatuażami uśmiechnął się krzywo.

– Jaki wpływ na pańską karierę miała obecna sprawa?

Jamie zgarbił się nieco.

– Szczerze mówiąc, zniszczyła ją, zanim nawet wystartowałem. Miałem już stanowisko u McPhersona i Barr, nagradzanego biura architektonicznego. To ich zasługą są ekoposiadłości stawiane na terenach pod ponowną zabudowę w podupadłych częściach śródmieścia. To bardzo prestiżowy staż, przyjmują tylko jednego absolwenta rocznie. Właśnie miałem zaczynać, kiedy postawiono mi zarzuty i niestety firma uznała za konieczne zawiesić mnie do wydania przez sąd wyroku. Więc jestem, że tak powiem, w próżni.

Uroczą bajeczką. Staralam się przechwycić spojrzenie Jamiego. Mnie nie oszukasz, myślałam. Znam cię. Widziałam twoje zgniłe serce.

To było dla Fiony Price zbyt wiele – na kilka chwil zwiesiła głowę w żalu nad wykolejoną karierą obiecującego młodego człowieka. Wreszcie powiedziała:

– Pana ojciec odnosi sukcesy w branży budowlanej, prawda? W zasadzie nie będzie przesadą, jeśli powiem, że stoi na czele imperium budowlanego, które bez przerwy tworzy nowe budynki. Nie potrzebuje pan rekomendacji. Dlaczego po prostu nie pójdzie pan w rodzinny interes?

Jamie zamrugnął błękitnymi oczkami.

– Ważne jest dla mnie, aby nie wykorzystywać nazwiska ojca. Poza tym przyszłość przemysłu musi opierać się na zrównoważonej, odpowiedzialnej

gospodarce mieszkaniowej. Tym właśnie pragnę się zajmować. Można by powiedzieć, że to w równym stopniu powołanie co profesja.

Co za ironia, że facet, przeciwko któremu toczy się postępowanie o gwałt, potrafi być tak uwodzicielski.

– Jest pan młodym człowiekiem i ma pan bardzo wiele do stracenia – zauważyła Price. – Musi pan bardzo przeżywać to, że pańska kariera została wstrzymana.

– Wysoki Sądzie – przerwał Polglase. – Moja światła koleżanka próbuje rozstrzygać sprawę na podstawie konsekwencji zamiast dowodów.

Reakcja Price była błyskawiczna.

– By umożliwić ocenę potencjalnego zachowania mojego klienta w danych okolicznościach konieczna jest świadomość, ile miałby do stracenia, gdyby postąpił w określony sposób. Ale przejdźmy, Jamie, do wpływu bieżącej sytuacji na pana życie osobiste.

– Ledwo sypiam, odkąd zostałem aresztowany – poskarżył się. – To bardzo długotrwałe zmęczenie. Nawet teraz wciąż nie mogę uwierzyć, że znalazłem się w takiej sytuacji.

Fiona Price poprawiła leżące na biurku pióro, po czym zmieniła ton.

– Jest pan żonaty? Ma pan dzieci?

– Jestem zaręczony. Moja narzeczona Antonia jest tu obecna. – Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała mu słodkim uśmiechem. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że siedziała w galerii od pierwszego dnia procesu, co oznaczało, że nie będzie wzywana na świadka. Dlaczego jej nie wezwali? Dlaczego im na tym zależało?

– Dzieci? – dopytywała Price.

– Jeszcze nie, chcę, aby wszystko przyszło w swoim czasie. Oczywiście, mam wielkie nadzieje w tym względzie.

Było widać, jak wszystkie ławniczki topnieją. Nawet ja musiałam się postarać, żeby szyderczego uśmiechu gwałciciela na miejscu dla świadków nie zakrył obraz trzepoczącego rzesami chłopca.

– Gwoli przypomnienia dla ławy przysięgłych, rzekomy incydent miał miejsce



w czwartek. Proszę opowiedzieć, jak to się stało, że znalazł się pan na festiwalu i jak poznał pan powódkę.

– Oczywiście – skinął głową Jamie. – Wybierałem się do Kornwalii ze starym przyjacielem ze szkoły Peterem, ale na kilka dni przed podróżą złamał nogę, zjeżdżając na linie z Dzielnymi Skautami. – Jasne, kurwa, na pewno, pomyślałam. Co jeszcze? Może by tak dygresja o wspólnym hobby Jamiego i Petera – pomaganiu starszkom w przechodzeniu przez jezdnię? – Pojechałem więc sam jednym ze specjalnych autokarów z Londynu, a potem rozbiłem obóz. – Uśmiechnął się lekko, z zakłopotaniem. – Rozstawianie namiotu w pojedynkę nie szło mi najlepiej. To Peter był skautem, on czuł się w tym jak ryba w wodzie. W zasadzie, kiedy namiot już stanął, czułem się trochę zdołowany, że w ogóle tam się znalazłem. Z natury nie jestem samotnikiem. Dlatego tamtej nocy chodziłem od ogniska do ogniska, szukając kogoś, z kim można by porozmawiać. – Na chwilę spuścił wzrok, po czym z powrotem podniósł głowę, ogólnie odegrał księżną Dianę. – Towarzystwo przy wielu z ognisk było liczne, tak że można było przyłączyć się bez pytania o zgodę. Nie patrzyłem nawet dokładnie, gdzie siadam, po prostu zająłem pierwsze wolne miejsce, jakie wpadło mi w oko. Najpierw toczyła się wspólna rozmowa o innych festiwalach, na których wszyscy byli, i czy niebo przejaśni się na zaćmienie, takie sprawy.

– A jak nawiązał pan znajomość z panną Taylor?

Obrócił się lekko, tak że stał do mnie profilem. Zastanawiałam się, czy jego wygląd zadziała za czy przeciwko niemu.

– Cóż, kiedy zrobiło się już całkiem ciemno, kilka osób wyjęło gitary, przez co konwersacja była możliwa już tylko z osobami w bezpośrednim sąsiedztwie. Zaczęliśmy rozmawiać o tym i o tamtym. Dużo podróżowała, była na wielu festiwalach. Powiedziałem jej, że też mnie to interesuje, ale moja dziewczyna jakoś nie może się przekonać.

Price zakreśliła długopisem w palcach.

– Zatem powódka w i e d z i a ła, że jest pan w związku?

– Cóż, pomyślałem sobie... coś między nami zaiskrzyło.

Jamie wyglądał na skruszonego, tak jakby nawet po tym, co zgotowała mu Beth, nie chciał o niej źle mówić. Mamusiowata ławniczka przekrzywiła głowę. –

W trakcie rozmowy położyła dłoń na moim udzie, więc wołałem od razu ją uświadomić, żeby nie było więcej mowy o flirtowaniu.

Price poprawiła perukę, choć wcale nie było takiej potrzeby.

– Mówimy teraz o nocy poprzedzającej zaćmienie? – Jamie potwierdził skinieniem głowy. – Czy przy ognisku zażywał pan jakieś narkotyki? – Popatrzyliśmy z Kitem po sobie, bo to brzmiało raczej na pomysł prokuratury. Polglase nie wydawał się zaskoczony.

Jamie spojrzał na galerię i przygryzł wargę.

– Jamie, musi pan odpowiedzieć na pytanie. Czy przyjął pan przy ognisku jakieś narkotyki?

– Przepraszam. Po prostu trudno mi o tym mówić w obecności mamy. – Westchnął, długo i głęboko. – Tak. Zebrani podawali sobie marihuanę i ja też się zaciągnąłem, głównie dla towarzystwa. Chciałem być dobrze przyjęty przez grupę przy ognisku. – Wytatuowany ławnik pokiwał głową, jakby mówił: „Jasne, kto by nie chciał?”. – Dałem się ponieść atmosferze. Ale zakrztusiłem się, nie jestem przyzwyczajony, i skomentowałem to jakoś, że nie mam tego w zwyczaju. Beth się śmiała, przejęła ode mnie skręta i powiedziała: „Nie martw się, to festiwal, nie trzeba się trzymać zasad”.

– Czy panna Taylor skorzystała z podawanego z ręki do ręki narkotyku?

– Tak, ale chyba tylko raz.

– Czy byliście odurzeni?

– Nie mogę się wypowiadać w imieniu panny Taylor, ale ja na pewno nie.

Nie zauważyłam, że bębnię palcami, dopóki Kit nie przykrył mojej ręki swoją, żeby mnie uciszyć.

– I jak zakończyło się to zgromadzenie?

– Cóż, około północy, nie wiem dokładnie, nie miałem zegarka, wstała, żeby odejść. Zapytałem, gdzie rozbiła namiot, i ją odprowadziłem. Chciałem się upewnić, że bezpiecznie do niego dotrze. Zostałem tam, dopóki nie zamknęła się

w środku.

Zdzierzenie tego występu było jak próba utrzymania wody w pięści.

Price pochyliła się, podparta na kostkach dłoni.

– I nie kusilo pana, żeby ją poderwać? Tylko wy dwoje, sami w ciemnościach?

Jamie zaslonił oczy dłonią i trwał tak dobrą chwilę, zanim odpowiedział.

– Tak, kusilo mnie. Ciągnęło nas do siebie. Ale nie podjąłem w tym kierunku żadnych kroków.

Spojrzałam na Antonię. Jej twarz była jak maska. Co sobie, u licha, teraz myślisz?

– Czyli była potencjalnie chętna i oboje byliście pod wpływem marihuany, ale odszedł pan, zostawiając ją samą, by spała w pojedynkę?

– O c z y w i ś c i e – powiedział Jamie, jakby każde inne zachowanie było nie do pomyślenia.

– Oczywiście. Dochodzimy do poranka dnia, w którym miał miejsce domniemany incydent. Jak rozpoczął się pański poranek?

– Zasługuje na pieprzonego Oscara – mruknęłam do Kita.

Ujął moją dłoń i rozprostował z zaciśniętej pięści, ale tak jak wszyscy wpatrywał się w Jamiego jak zahipnotyzowany.

– To był dzień zaćmienia. Pomyślałem, że zajrzę do Beth i spytam, czy nie chciałaby obejrzeć go ze mną. Nie zastałem jej w namiocie, ale wpadłem na nią, gdy opuszczała główne pole, powiedziała, że idzie poszukać miejsca, skąd będzie mogła obserwować zjawisko w ciszy i spokoju. Na głównym polu roiło się od ludzi, dudniła muzyka, były krzyki, mnie też się tam nie podobało, więc postanowiłem się do niej przyłączyć.

– Jak na to zareagowała?

– Nie protestowała. – Jamie był uosobieniem empatii. – W przeciwnym razie oczywiście bym nie poszedł. Więc kluczyliśmy trochę, aż wreszcie ona zatrzymała się nagle na takim polu pełnym sprzętu cyrkowego. Zdziwiłem się, bo nie był to najlepszy punkt widokowy, wszędzie stały ciężarówki i jakieś urządzenia, ale zdałem sobie sprawę, że miejsce rzeczywiście jest ustronne. Zrobiła trochę miejsca

na trawie między dwoma przyczepami i usiadłem obok niej.

– To było za obopólną zgodą?

Price znów pochyliła się w przód, przysięgli pochylili się w przód, wszyscy zasiadający w publicznej galerii i w ławach dla prasy zdawali się pochyłać, jakby Jamie był wirem, który wciągał nas wszystkich.

Z odpowiedzią obszedł się w rękawiczkach.

– Określiłbym to jako n i e w y p o w i e d z i a n ą obopólną zgodę. Może byłem naiwny. Gdybym przypuszczał, co się wydarzy... Ale to była ta chwila, impuls. Spojrzeliśmy w niebo, czy raczej na chmury. Najpierw nic się nie działo, ale potem wszystko przyspieszyło. Widzieliśmy niebo może przez sekundę, ale ciemność, która nagle nastąpiła, była niesamowita. Niezwykłe jest dzielić z kimś coś takiego, to bardzo intymne przeżycie. Dookoła pełno ludzi, ale ma się wrażenie, że jest się tam tylko we dwoje, z tą drugą osobą, i ta ciemność wynurza się znikąd. – O nie, przebiegła mi przez głowę irracjonalna myśl. Temu człowiekowi nie wolno być wrażliwym na piękno i potęgę zaćmienia. Nie dopuszczę do tego. Jamie odchrząknął. – I potem, kiedy z powrotem zaczęło się robić jasno, powiedziałem – to znaczy, miałem na myśli, że było fantastycznie czy niewiarygodnie, ale chyba zdarzyło mi się freudowskie przejęzyczenie i wymknęło mi się, że to było romantyczne. Czułem, że to nie jest właściwe określenie, ale tak wyszło. – Spojrzałem bezradnie na Antonię i ściszył głos z szacunku do niej. Jej oblicze pozostawało nieprzeniknione, ale prawa ręka nieprzerwanie kręciła pierścieniem zaręczynowym. Nie wiedziałam, czy zasługuje na pogardę czy litość. – Owładnął nas nastrój, zaczęliśmy się całować, a stamtąd poszło już bardzo szybko. To było tak spontaniczne, że nie potrafię nawet powiedzieć, kto zrobił pierwszy krok.

Price uniosła dłoń, by go zatrzymać.

– To istotne, panie Balcombe. Czy pocałunek był obopólny? Ani razu pana nie odepchnęła, nie kazała przestać?

– Absolutnie nie. Absolutnie nie. Gdybym źle odczytał sygnały, przerwałbym w sekundzie.

– Dochodzimy teraz do mechanizmu seksu – oznajmiła panna Price. – Czy

mógłby pan wyjaśnić zakłopotanie mojego światłego przyjaciela w kwestii spodni panny Taylor i sposobu, w jaki zostały usunięte?

– Poluzowała je raczej, niż zdjęła – powiedział Jamie. – Z jednej strony pojawił się otwór, sam nie miałbym pojęcia, gdzie w ogóle zacząć. I podniosła ku mnie biodra... – Na krótką chwilę schował twarz w dłoniach, żeby pokazać, jakie to dla niego trudne. Jego ojciec kiwał głową dla dodania mu otuchy. – Ściągnąłem jej majtki na jedną stronę, i tyle. Nie było przemocy, nie robiłem jej krzywdy, to był... tak mi przykro, Antonio. – Jamie potrzebował kilku sekund, by dojść do siebie. – To był tylko... ekscytujący seks. Nigdy wcześniej ani później nie zrobiłem niczego podobnego. I wtedy ta para, czy raczej ta dziewczyna natknęła się na nas i ani się obejrzałem, a zostałem napiętnowany jako gwałciciel. – W tym miejscu podniósł głos i Price rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Świadkowie, panna Langrishe i pan McCall. – Wszystkie oczy skierowały się na nas. Tylko Antonia nie patrzyła. Brylant na jej palcu błyskał z każdym obrotem. – Jak pan zareagował?

– Cóż, chciałem, żeby Beth wyjaśniła, co się stało. Ale jej jakby odebrało głos. Rozumiem, że sytuacja była niezręczna, mnie też nie było przyjemnie, że ktoś nakrył nas w połowie stosunku. Musi pani zrozumieć, jaka od nich biła agresja. Oni, to znaczy o na, po prostu zdecydowała, co zrobiłem. – Spojrzał prosto na mnie i miałam nadzieję, że pot, który wystąpił mi na czoło, nie był widoczny z ławy przysięgłych. – To był surrealizm, jakaś farsa. Przez chwilę sądziłem wręcz, że żartują, ale kiedy oznajmili, że wzywają policję, zrozumiałem, co się dzieje i że mówią poważnie. Do głowy mi nie przyszło, że stanę przed sądem. To jakiś koszmar.

– Dziękuję, dziękuję. – Price wyrównała plik papierów, by podkreślić zamknięcie tego tematu. – Przejdźmy do następnego momentu. Kiedy po raz pierwszy wymierzono w pana oskarżenie, opuścił pan miejsce zdarzenia. Dlaczego, skoro był pan niewinny?

Jamie Balcombe westchnął ciężko.

– Miałem w kieszeni trochę marihuany. Poprosiłem kogoś, żeby zwinął mi

skręta, i kupiłem go.

To była dla mnie nowina, i najwyraźniej dla oskarżenia również – Polglase posłał liścik do Carol Kent, a w moim sercu rozblęsnął płomień nadziei.

– Nie przyszło panu do głowy przyznać się pozostałym? – dopytywała adwokatka. – W końcu nie byliście na pikniku szkółki niedzielnej, prawda?

Jamie rozłożył szeroko ręce.

– Kobieta, którą drugi raz w życiu widziałem na oczy, zarzucała, że ją zgwałciłem! Myślałem tak: dotrę dokądś, gdzie mogę pozbyć się marihuany, bo nie chciałem zostać oskarżony o posiadanie. Naprawdę pani wierzy, że skoro właśnie kogoś zgwałciłem, martwiłbym się o skręta w kieszeni? Ale ten świadek był tuż za mną. – Skinął głową w kierunku Kita, który natychmiast usiadł na baczność. –

Widziałby, gdybym coś wyrzucił. Więc kiedy spostrzegłem falę tłumu płynącą w stronę głównej sceny, pozwoliłem jej się porwać, a potem pomyślałem: wiem, przy wejściu stoi policyjny kontener. Pójdę tam i zgłoszę, że pewna kobieta oskarża mnie o coś potwornego, i wszystko zaraz się wyjaśni. Byłem przekonany, że dziewczyna zdążyła się już uspokoić.

– Ile czasu upłynęło od domniemanego incydentu do pana oddania się w ręce policji?

– Około godziny. Kiedy już pozbyłem się skręta, musiałem spojrzeć na całą sprawę z szerszej perspektywy. Oczywiście n i e z g w a ł c i ł e m powódki. Absolutnie. Nie mógłbym. Nie znaczy to jednak, że nie zrobiłem nic złego. Byłem niewierny wobec mojej dziewczyny, mojej narzeczonej. To była chwila szaleństwa, ale nie w takim sensie, jaki on przedstawia. – Kiwnął na Polglase’a. – Wahalem się jeszcze, bo wiedziałem, że jeśli ta wiadomość zostanie upubliczniona, to nawet jeśli moja wina zostanie wykluczona, drastycznie wzrośnie ryzyko, że Antonia dowie się, co zrobiłem. Udałem się więc do swojego namiotu, gdzie spędziłem jakieś pół godziny i wszystko przemyślałem. Doszedłem do wniosku, że muszę postąpić właściwie i położyć kres nieporozumieniu. Nigdy w życiu nie wyobrażałem sobie, że mógłbym stanąć przed zarzutem gwałtu.

– Co mogło pchnąć powódkę do wniesienia przeciw panu oskarżenia?

Jamie przełknął z trudem ślinę.

– Przychodzi mi na myśl jedynie zażenowanie. Jakkolwiek na to patrzeć, nie było to przyzwoite zachowanie. – Wstrząsnął nim dreszcz, jakby tak niehonorowe zachowanie przysparzało mu cierpienia. Boże, był naprawdę świetny. – Sądzę jednak, że z jej występu tu, w sali rozpraw, jasno wynika, że sama siebie przekonała, że mówi prawdę. To jest w tym wszystkim najgorsze – jest ofiarą, ale nie moją. Żywiłem nadzieję, że do tej pory skorzysta z pomocy, której najwyraźniej bardzo potrzebuje.



KIT

18 marca 2015

Sala balowa Princess Celeste ma tyle atmosfery, co oświetlone jarzeniówkami centrum handlowe. Na wstępnej pogadance o BHP przedstawiciel agencji podróży odhacza z listy nazwiska osób, które odebrały odznakę. Gdy z Richardem docieramy na miejsce, została tylko garstka plakietek do wydania.

Na scenę wchodzi pierwszy mówca i nagle kojarzę źródło bezcielesnego dotąd głosu płynącego z głośników. Profesor Jeff Drake przez trzy lata był moim wykładowcą w Oksfordzie. Będzie filmował zaćmienie i je komentował, a w drodze powrotnej wykona, jak to nazwał, autopsję. Słucham go jednym uchem i skradam się na tyły sali, gdzie na stoliku powitalnym leży, niestrzeżona, lista pasażerów. W kilka sekund skanuję całość i wykluczam obecność Beth. Potem, pomny nowej teorii Laury na temat zmienionych tożsamości, znajduję dobry punkt obserwacyjny w połowie pomieszczenia i dokonuję metodycznego przeglądu każdej kobiety – okazuje się to mniej czasochłonne, niż mogłoby się wydawać, jako że panowie dwukrotnie przewyższają panie liczbą, a młodych kobiet w ogóle jest jak na lekarstwo – aż nabieram pewności, że żadna z nich nie jest Beth. Starłem się być dokładny.

Beth nie ma na pokładzie.

Pozostaje ryzyko, że czeka na lądzie. Gdybym chciał się za nią rozglądać,



odszukać ją, zanim ona znajdzie mnie, największe szanse miałbym w tamtym barze. Podczas zaćmienia dziesiątki wzgórz będą opanowane przez tysiące turystów. Sami nie będziemy znali własnego punktu obserwacyjnego aż do poranka dnia zaćmienia, kiedy skauci wyruszą, by ocenić powłokę chmur nad wyspą. Przez najbliższe dwadzieścia godzin, do przybicia do portu w Torshavn, nie będę zmuszony do konfrontacji ze swoją przeszłością.

Chyba zasłużyłem na jeszcze jednego drinka.

Zagaduję Jeffa Drake'a przy barze. Kojarzy mnie natychmiast.

– Christopher! – woła (dzięki plakietce z imieniem moje pełne imię już zaczyna kłuć mnie w uszy, tak jak „Kit” w domu). Głos profesora posyła mnie korytarzami czasu do jego gabinetu z oknem wyglądającym na Isis. Nie zdziwiłbym się, gdybym spojrział w dół i ujrzał na nogach zdarte adidas gazelle, w których zawsze chodziłem.

– Często zastanawiałem się, jak potoczyły się twoje losy – wyznaje, kiedy już skończyliśmy wykrzykiwać, jaki ten świat mały. – Strata świata nauki stała się zyskiem świata przemysłu.

Już dawno nie czułem wstydu, mówiąc komuś, czym zajmuję się zawodowo, ale kiedy przyznaję się profesorowi, reaguje z życzliwością i zainteresowaniem, a jeśli już coś, to jest rozczarowująco nierozczarowany moją porażką w ukończeniu doktoratu. Jednak Jeff jest równie znany z dyplomacji, co intelektu. Kiedy naszą konwersację przerywa starsza Kanadyjka, szczerze pragnąca poznać różnicę pomiędzy planetą a gwiazdą, zwraca się do niej z takim samym szacunkiem jak do mnie, gdy byłem jego studentem. Mój zmarnowany potencjał staje mi ością w gardle, więc próbuję przepłukać je czerwonym winem.

Richard pograżył się w rozmowie z grupą astronomów z Walii i wkrótce stwierdzamy, że na pokładzie znajdują się poważni poszukiwacze zaćmień. Tansy, puszysta, rumiana kobieta w wieku mojej matki, grozi, że pokaże nam swoją przynoszącą szczęście bieliznę.

– Chmury nigdy nie śmiały mi przeszkodzić, gdy miałam na sobie swoje

szczęśliwe majtki! – oznajmia, napełniając mój kieliszek.

– Jeszcze się trzymam – mówię pod nosem do Richarda. Porównujemy doświadczenia minionych zaćmień, automatycznie budując hierarchię ważności. Richard zapisuje imiona i liczbę obserwowanych zjawisk na odwrocie programu wycieczki. Niekwestionowanym zwycięzcą zostaje dziewięćdziesięciolatek z Kalifornii, który ma na koncie dziewiętnaście zaćmień, ale gdyby podzielić ich liczbę przez nasz wiek (nie mogę się oprzeć kalkulacji), to wychodzi, że ja widziałem najwięcej jak na swój wiek.

Wino płynie wartko. W barze zaczyna się robić gorąco, więc zdejmuję sweter z Wysp Owczych, ukazując pod spodem koszulkę Chile '91. Tansy reaguje tak, jakby Clark Kent zdarł z siebie garnitur, ujawniając kostium Supermana.

– Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty pierwszy rok! Musiałeś być dzidziusiem w ramionach mamy!

Więcej wina i nagle zdaję sobie sprawę, że przestałem zauważać kołysanie statku, co oznacza, że albo stanęliśmy na nieruchomej tafli morza, albo moje zawroty głowy zsynchronizowały się z powolnymi ruchami promu. Richard namawia wszystkich w zasięgu słuchu, żeby pobić światowy rekord na największą liczbę poszukiwaczy zaćmień na jednej fotce. Jako nowicjusz w tej dziedzinie nie może w tym brać udziału, ale zagania nas przed obiektyw. Na stole leży czapka z daszkiem z logo Princess Celeste i sięgam po nią bez pytania, nasuwam na oczy, i staję z tyłu. Jestem czarnym daszkiem i rudą brodą. Pstryknąwszy zdjęcie, Richard przesuwając końcem słomki po swojej liście, poruszając ustami podczas dokonywania obliczeń w głowie.

– Ta fotografia – oznajmia, wymachując obrazem na wyświetlaczu – reprezentuje sumę stu trzech wyraźnych obserwacji zaćmień.

– No, to się nazywa wykorzystanie matematyki w praktyce – rzucam ku ogólnej wesołości.

Mac całe życie powtarzał, że nie jestem zabawny, i nawet Laura nie zawsze rozumie moje żarty, ale tego wieczoru zdaję sobie sprawę, że szukałem aprobaty w niewłaściwych kręgach. Tu ludzie mnie kochają. Wszyscy chcą słuchać moich

relacji z zaćmień. Mogę opowiadać o nich z pełną swobodą po raz pierwszy od czasów sprzed Kornwalii, bo zebrane tu osoby są tak biegłe w szczegółach technicznych zjawiska, że nie muszę dodawać nic więcej – nic o przerywnikach i konsekwencjach, które zepsułyby najdoskonalsze warunki – a oni i tak wykazują zainteresowanie. Moi nowi przyjaciele spijają mi słowa z ust. Tansy przysuwa się bliżej. Spoglądam na kieliszek we własnej ręce i orientuję się, że przerzuciłem się z wina na rum. Ktoś przynosi kijek do selfie, pstrykają kolejne zdjęcia, nie zdejmuję więc czapeczki. Zostaję przedstawiony innemu facetowi w koszulce Chile '91 i oczywiście rzucamy się sobie w ramiona jak rozdzieleni przed laty bracia. Nie bez satysfakcji odnotowuję, że podczas gdy jego T-shirt opina się na okazałym piwnym brzuszku, mój wciąż wisi w miarę prosto z ramion do paska. Nic dziwnego, że Tansy nie może mi się oprzeć. Rozmowy z moimi nowymi przyjaciółmi powtarzają się, krążą, rozmywają się. Zdaje się, że pojawiają się śpiewy, a w pewnej chwili opowiadam chyba zupełnie niewiarygodną historię.

– Może powinieneś już wyluzować – sugeruje Richard, delikatnie wysuwając mi z dłoni kieliszek i odstawiając go na bok.

Jestem oburzony.

– Tansy i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– O czym ty gadasz? Śpisz pół metra ode mnie. Nie mam ochoty na pobudkę z widokiem zarzyganej gęby.

Jestem zbyt pijany, żeby przestać pić, ale jeszcze na tyle trzeźwy, by wiedzieć, że świeże powietrze jest moim sprzymierzeńcem. Na górnym pokładzie padam na leżak i natychmiast zapadam w drzemkę mocy. Po przebudzeniu stwierdzam, że ktoś przykrył mnie kocem. Poniżej i wokół mnie fale rozbijają się o burty. Wiatr przewiał chmury na bok, ukazując gruby, ubywający półksiężyc. Więcej nad nami gwiazd niż ciemności, wieloramienne galaktyki wirują przed moim gołym okiem, a meteory pojawiają się częściej niż londyńskie autobusy. Od Zambii nie widziałem takiego firmamentu. Nieobecność Laury to jedyna skaza na tym doskonałym wieczorze. Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułem się tak bardzo w domu.



LAURA

11 maja 2000

– Gdyby to mnie ktoś oskarżył o czyn tak haniebny jak gwałt, nie pozwoliłbym na to, tymczasem pan uciekł, prawda? – przystąpił do przesłuchania Nathaniel Polglase.

Wstrzymałam oddech, kiedy Jamie spokojnie spojrzał mu w oczy.

– Jak już mówiłem, chciałem się pozbyć narkotyków z kieszeni.

– Nie. Uciekł pan, bo został pan przyłapany na gwałcie dokonywanym na pannie Taylor i miał pan nadzieję się wykręcić, czy nie tak?

– Nie.

– Czy pamięta pan moment, gdy zgłosił się pan na policję, do minikomisariatu w kontenerze?

Jamie nie potrafił ukryć panicznego spojrzenia na adwokatkę. Fiona Price nieznacznie skinęła głową. Ciekawe, czy Kit to zauważył. Ciekawe, czy ławnicy widzieli.

– Tak?

Polglase miał bardzo poważny wyraz twarzy.

– Przysięgli słyszeli, jak inspektor Kent opisuje Pipa, psa od narkotyków, ale przypomnę raz jeszcze, dla nich i dla pana, panie Balcombe. W tamten weekend na terenie festiwalu działały bez przerwy dwa psy policyjne, w tym czteroletni

owczarek alzacki Pip, niewiarygodnie wrażliwe, świetnie wyszkolone zwierzę. Dla niego nawet śladowe ilości narkotyków są tak oczywiste jak dla ludzkiego oka odpalony skręt. Gdzie znajdował się Pip, kiedy był pan przesłuchiwany, panie Balcombe?

– Był obok mnie – powiedział Jamie. Oboje z Kitem wyprostowaliśmy się na krzesłach. – Siedział w rogu pomieszczenia ze swoim przewodnikiem.

Polglase szarżował dalej. Wreszcie zdawał się czerpać przyjemność ze swojej pracy.

– Czy Pip na pana zareagował?

Twarz Jamiego doskonale wyrażała moje uczucia, gdy byłam na widelcu Fiony Price.

– Nie zapamiętał pan Pipa, bo na pana nie reagował, prawda? Nie wyczuł marihuany, której, jak pan twierdzi, tak desperacko chciał się pan pozbyć.

– Już jej wtedy nie miałem. A wcześniej była zamknięta w plastikowym woreczku.

– W tych okolicznościach jej ślady byłyby nadal wyczuwalne dla tak świetnie wyszkolonego nosa. Panie Balcombe! – Polglase ujawnił soczysty tenor. Wszyscy w sali unieśli się o cal nad siedzeniami. – Ten skręt nigdy nie istniał, prawda?

– Właśnie, że tak! – To był ten sam skarżący się ton małego chłopca, którym zwrócił się do Beth zaraz po akcie.

– To zasłona dymna obmyślona po wydarzeniu, gdzieś pomiędzy festiwalem a komisariatem policji w Helston, prawda?

– Nie!

– Ile pan wypalił przy ognisku? – Jamie milczał. – Mam tu pana zeznanie, jeśli potrzebuje pan odświeżyć pamięć – ponaglał Polglase.

Z własnego doświadczenia na stanowisku dla świadków zdążyłam się już nauczyć, że kiedy prawnik wyskakuje z twoim zeznaniem, to tak, jakby podawał ci sznur na stryczek. Cieszyłam się teraz, że to przeżyłam – mogłam w pełni napawać się dyskomfortem Jamiego.

– Jednego bucha – przyznał.

– Smakował panu?

– Nie bardzo.

– To po co pan dokupił więcej?

Jamie wbił wzrok w sufit, jakby była tam wypisana poprawna odpowiedź. Przysięgłym brakowało tylko pudełek z popcornem i dużych coli.

– Jest pan przebiegłym młodym człowiekiem, prawda? – spytał Polglase.

– Słucham?

– O ileż lepiej wpaść za błahe posiadanie, niż być skazanym za pańską prawdziwą zbrodnię, brutalny gwałt na bezbronnej, samotnej kobiecie?

Jamie kręcił tylko głową. Na ławce niedaleko mnie jego matka kopiowała jego zachowanie jak lustrzane odbicie. Reporterzy gorączkowo bazgrali w notatnikach. Ja nie musiałam niczego zapisywać, a nawet teraz jestem w stanie wyrecytować kluczowe wymiany z rozprawy. Zauważyłam, że pamięć działa zupełnie inaczej, kiedy poświęci jej się trochę uwagi. Kiedy od początku wiesz, że każde słowo będzie miało znaczenie, nawet pozornie nieistotne szczegóły wpisują ci się w długoterminową świadomość. Chaos wkrada się wówczas, gdy zdarzenia dopadają cię zniemacka. Powinny istnieć różne słowa do określania różnych sposobów, w jakie zapamiętujemy.

– Skłamał pan w jednym z przypadków. W którym?

– Nie kłamię – powiedział Jamie.

O, ależ tak, pomyślałam, a oni cię przejrzą, tak jak ja to zrobiłam.

– W zasadzie to niemal bez znaczenia. Przejdźmy dalej – uznał Polglase. – Odnieśmy się do wcześniejszego zeznania panny Taylor. Nie tylko państwa zdania na temat samego gwałtu pozostają w sprzeczności. Oboje przyjechaliście na miejsce tego samego dnia, to jest w środę, ale to chyba jedyna kwestia, w jakiej jesteście zgodni. Prześledźmy dzień poprzedzający gwałt, dobrze? To pan pierwszy dotknął uda powódki, czyż nie?

Jamie odzyskał pewność siebie.

– To ona mnie podrywała.

Antonia przestała kręcić pierścionkiem zaręczynowym, brylant złapał smugę

słońca wpadającą ukosem przez świetlik i posłał przez salę promień białego światła.

– Kto zaproponował odprowadzenie panny Taylor do namiotu?

– Ja. Wydawała mi się bezbronna.

– W rzeczy samej, nalegał pan, żeby jej towarzyszyć, wbrew kilkukrotnym zapewnieniom z jej strony, że wolałaby pójść sama, czy tak?

– Nie.

– Jej dokładne słowa na progu namiotu brzmiały, jak mi się zdaje: „Nigdy, choćby upłynął milion lat świetlnych”. – Polglase urwał, by odegrać nieme wzdrygnięcie. – Au! – powiedział, lekko się krzywiąc. – Odrzucenie nie bywa przyjemne, ale to musiało zboleć, co?

– Nie – zaprzeczył Jamie. – Bo do niego nie doszło.

– Upokorzyła pana. Chciał jej pan dać nauczkę.

– To nieprawda – utrzymywał Jamie, ale czar prysł z jego głosu i miałam nadzieję, że to zapowiedź utraty panowania nad sobą. Pokaż im prawdziwego siebie. Niech zobaczą to, co ja.

– Panna Taylor twierdzi, że nie położyła się spać, dopóki się nie upewniła, że pan odszedł, bo bała się zasnąć, wiedząc, że jest pan w pobliżu. Czy tak postępuje kobieta, która następnego dnia z chęcią odbędzie z panem stosunek?

– Kłamie, bo wstyd jej, że ją nakryto. – Ton Jamiego oscyłował pomiędzy cierpliwością a politowaniem. – Może wcześniej nigdy czegoś takiego nie zrobiła, nie wiem. Dla mnie też było to coś niezgodnego z moją naturą. Zadziałał impuls. Całe niebo się zmieniało.

Polglase zwrócił się do ławy przysięgłych.

– Pan Balcombe zdaje się znajdować wytłumaczenie dla swoich czynów w układzie planet. Co dalej? Znaki zodiaku? – Wytatuowany ławnik stłumił śmiech. – Nie było to jednak niezgodne z pańską naturą, prawda, panie Balcombe?

– Bo tego nie zrobiłem.

– Nie po raz pierwszy zdobył pan coś, do czego we własnym mniemaniu miał pan prawo, bez względu na cenę, jaką musieli zapłacić inni, czyż nie?

Jamie przeciągał słowa, jakby były zbyt nużące, żeby się nad nimi wysilać.

– Naprawdę nie wiem, o czym pan mówi.

– Czy pańskie pierwsze podanie o staż u McPhersona i Barr zostało rozpatrzone pomyślnie?

Wymieniliśmy z Kitem nierozumiejące spojrzenia.

– Nie – odparł Jamie, ale już nie wyglądał na znudzonego.

– Jak to się stało, że zmienili zdanie?

– Porozmawiałem z nimi na przyjęciu charytatywnym i przekonałem, jak bardzo mi zależy.

Oczami wyobraźni ujrzałam, jak sunie między stołami z drinkami i kanapkami, frunąc na skrzydłach swojego prawa do wszystkiego.

– A co z właściwym, wybranym kandydatem?

Jamie gniewnie zmarszczył brwi. Kit rzucił mi spojrzenie spod uniesionych brwi. Skinęłam głową w odpowiedzi, ale nie potrafiłam oderwać oczu od Balcombe'a.

– Co dokładnie powiedział pan Octavii Barr, prezesce firmy? Przypominam, że zeznaje pan pod przysięgą.

– Poinformowałam ją, że tamten kandydat otrzymał upomnienie z powodu zakłócania porządku publicznego. Nie sądziłem, aby ktoś taki zasługiwał na tak odpowiedzialne stanowisko. – Jamie spojrzał na Polglase'a znad wysuniętego podbródka, najwyraźniej chcąc podkreślić, jak poważnie traktuje swoje obywatelskie obowiązki.

– Czyli odsunął pan pierwszego kandydata i zajął jego miejsce?

– W pana ustach brzmi to jak krętactwo. – Na policzki Jamiego nie wystąpił rumieniec ani kropla potu. Nie było też mowy o nerwowym oddechu jak u mnie ani o łamaniu się pod presją, jak w przypadku doktor Okenedo.

– Nazywam rzeczy po imieniu – odparł Polglase. – Nie przyjmuje pan odmowy?

– Nieprawda.

– A czy nieprawdą jest, że zdarzało się panu mścić za odrzucenie?

– To zupełnie co innego – odpowiedział Jamie, po czym zwrócił się do swojej



adwokatki: – Czy jemu wolno stawiać takie pytanie?

Nathaniel Polglase skierował odpowiedź do sędziego.

– To istotne dla przedstawienia charakteru oskarżonego, Wysoki Sądzie.

– Proszę kontynuować, panie Polglase – zdecydował sąd.

Fiona Price odczekała, aż sędzia odwrócił od niej wzrok, i pokręciła głową.

– Czy nie nastawał pan na nią przy ognisku, nie poszedł pan za nią do jej namiotu, a potem nie śledził od rana w dzień zaćmienia, nawet kiedy wyraźnie poprosiła, by pan tego zaprzestał?

– Nie.

– Nie wyraziła zgody na wspólne oglądanie zjawiska, tylko poszedł pan za nią i odczekał, aż znajdzie się wreszcie w miejscu na tyle odludnym, że będzie pan sobie mógł wziąć bez przyzwolenia to, czego pragnął pan od pierwszej chwili, gdy ujrzał pannę Taylor. Czy nie tak, panie Balcombe?

– N ie! – Słowo biczem przecięło gęste powietrze.

Polglase upił łyk wody, pozwalając, by zapadło w nas echo okrzyku. Jamie również się napił.

– Panie Balcombe. Czy panna Taylor jasno powiedziała: „Mam ochotę obejrzeć z tobą zaćmienie”, niekoniecznie dokładnie w tym brzmieniu?

– Nie, ale nie w s z y s t k o musi być wyrażone słowami, prawda? – Ściszył głos o połowę.

– Polemizowałbym z tym stwierdzeniem, panie Balcombe. Sedno tej sprawy leży w wypowiedzianym, jednoznacznym przyzwoleniu, jednak pomimo wielokrotnego użycia słowa „nie”... – Polglase przerwał, by słowo odbiło się echem po sali rozpraw, a ja wstrzymałam oddech: jeśli zaraz powie, że to wedle zeznań świadka, Kit będzie wiedział, że mogłam tak powiedzieć tylko ja, a przecież nie powinnam ukrywać przed nim takich rzeczy. – Pan zachował się przeciwnie, prawda?

Znów mi się upiekło, przynajmniej na razie. Spojrzałam na Jamiego.

– N ie. – Przymknął oczy.

– Zgwałcił pan pannę Taylor, tak?

Jamie gwałtownie otworzył oczy i wbił wzrok prosto w Polglase'a.

– NIE!

N ie. N ie. N ie. N ie. Słowo wibrowało w powietrzu, dopóki Polglase nie przyłączył się do echa.

– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Wszystkich zdziwiła nagłość, z jaką zamknął przesłuchanie. Jamie patrzył szeroko otwartymi oczami na rodziców, widząc, jak odebrano mu szansę riposty. Sally Balcombe wydała z siebie kojący, uciszający dźwięk, który nie mógł dotrzeć do uszu jej syna.

Fiona Price miała w zanadru jeszcze tylko jednego świadka obrony. Christobel Chase była smukłą dziewczyną w jaskrawozielonej sukience, która pod świecką przysięgą złożoną donośnym, czystym głosem potwierdziła, że poznała Jamiego Balcombe'a w pierwszym tygodniu studiów na Uniwersytecie w Beth, jako stała dziewczyna jednego ze starych kolegów Jamiego z klubu wioślarskiego.

– Proszę, aby opowiedziała nam pani o incydencie, jaki zaszedł pod koniec pani pierwszego roku akademickiego w Bath, kiedy to oskarżony pan Balcombe przyszedł pani z pomocą – powiedziała panna Price.

– Oczywiście. To było na balu bożonarodzeniowym. Byłam już w nie najlepszym stanie. W ciągu ośmiu czy dziewięciu godzin wypłam dwie butelki wina. – Zerknęła na Antonię, potem na siedzącego w ławie oskarżonych Jamiego. –

W pewnej chwili oddaliłam się od bawiących się studentów i błąkałam się po kampusie. Nie mogłam trafić do akademika. Jamie zauważył moją nieobecność przy stole i poszedł mnie szukać. Ledwo trzymałam się na nogach, ale odprowadził mnie do mojego pokoju, przytrzymał włosy, kiedy wymiotowałam do toalety – jeden z moich gorszych momentów – położył mnie do łóżka i jeszcze postawił obok wiaderko, gdyby w nocy zrobiło mi się niedobrze.

Price pokiwała głową.

– Jak opisałyby pani jego zachowanie?

– Był idealnym dżentelmenem – zapewniła Christobel. – Chciałabym, żeby zawsze się mną opiekował.

– Dziękuję, panno Chase.

Nathaniel Polglase podrapał się pod perukę.

– Panno Chase, w tamtym czasie była już pani w związku z jednym z bliskich przyjaciół pana Balcombe’a, czy tak?

– Z Laurence’em, tak. Nadal jesteśmy razem.

– Gdyby oskarżony wykorzystał panią tamtej nocy, z pewnością spotkałby się z reperkusjami w swoim kręgu towarzyskim?

– Cóż, tak. Ale nie zrobiłby tego.

– Istnieje ogromna różnica, panie i panowie przysięgli, pomiędzy napastowaniem młodej kobiety, która jest sama, kilometry od domu, na odległym festiwalu, a zatroszczeniem się o kobietę, z którą dzieli się towarzyskie kręgi i dla której, pozwolę sobie rzec, ma się już pewien szacunek. Zły to ptak, co własne gniazdo kała, jak mawia przysłowie.

– Panie Polglase! – uniósł się sędzia. – Niebezpiecznie zbliża się pan do mowy końcowej. Ma pan jeszcze jakieś pytanie do świadka?

– Proszę Wysoki Sąd o wybaczenie. – Polglase z kliknięciem zamknął teczkę. Gest miał chyba na celu ukrycie jego frustracji, ale tylko ją podkreślił. – To koniec mojego przesłuchania.

Sędzia Frenchay spojrział na zegar.

– Zostawimy mowy końcowe i moje podsumowanie na jutro – postanowił.

Spodziewałam się takiej decyzji, ale i tak poczułam się mocno zawiedziona, bo już nas tu nie będzie. Mieliśmy bilety do Londynu na rano, a pieniędzy zostało nam ledwo na jedzenie, nie było więc mowy o opłaceniu nowego przejazdu i kolejnej nocy w hotelu.

Kiedy staliśmy, czekając, aż sędzia wyjdzie, intensywnie myślałam. Jutrzejsze przemowy odniosą się pewnie do mojego zeznania. Fiona Price będzie chciała podważyć moje słowa, wyciągając niespójność przedstawionych przeze mnie wersji zdarzeń. Sąd w Truro był ostatnim miejscem na świecie, w którym jutro chciałabym być.

– Przeróżające, jaki był przekonujący – powiedziałam, gdy schodziliśmy ze

wzgórza.

Kit wziął mnie za rękę i zataczał kciukiem kółka po wewnętrznej stronie mojej dłoni.

– A jeśli to zrobił, ale u w a ż a s i ę za niewinnego? – spytał. – Może ona uznała to za gwałt, a on nie? – Nie bawił się w adwokata diabła, raczej przemawiała przez niego jakaś atawistyczna męska solidarność. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że mężczyźni muszą bać się oskarżenia w równym stopniu, co kobiety ataku. – Myślisz, że to w ogóle możliwe?

Zatrzymaliśmy się na moście. Rzeka Kenwyn płynęła wartko pod nami. Dwie sprane reklamówki ściagały się w nurcie.

– Szczerze? – Wpatrywałam się w wodę. Torby rozdzieliły się na rozwidleniu w nurcie i zniknęły pod mostkiem. – Moim zdaniem niektórzy faceci nienawidzą kobiet tak bardzo, że sami o tym nie wiedzą. Nie myślą o tym, że robią coś wbrew czyjejś woli, bo w ogóle nie myślą o woli, kropka. Może Jamie Balcombe jest jednym z nich. Nie wiem.

– To chyba nie linia obrony?

– Jezu, nie. To wręcz pogarsza sprawę.

Następnego wtorku, gdy weszliśmy do domu, sekretarka mrugała na czerwono.

– To wiadomość dla Christophera McCalla i Laury Langrishe – powitał nas znajomy, urzędowy ton. – Z tej strony inspektor Carol Kent z policji w Devon i Kornwalii, minęła właśnie piętnasta we wtorek, 16 maja. Mamy werdykt. Czekaliśmy prawie cały dzień, ale ława przysięgłych uznała Jamiego Balcombe'a za winnego większością głosów dziesięć do jednego. Sędzia nie zwlekał z postanowieniem o karze ze względu na osoby przybyłe z różnych stron. Skazał go na pięć lat, co jest najwyższą karą, jaką mógł nałożyć za napaść o takim charakterze. Sędzia zrobił z niego przykład. Elizabeth była obecna w sądzie podczas odczytania wyroku i myślę, że jest z niego zadowolona. My z całą pewnością jesteśmy. – Tu nastąpiła krótka przerwa. – W każdym razie, chciałam wam podziękować za współpracę w tej sprawie. Wasze zeznania odegrały wielką

rolę we wsadzeniu go za kratki.

Lampka zgasła, innych wiadomości nie było. Ławnicy go przejrzeni, a ja poczułam się tak, jakby ktoś odkręcił mi w ramionach ogromną śrubę, wkręconą tak mocno, że teraz przez chwilę miałam wrażenie, że odpadną mi ręce. Wsparłam się na Kicie.

– Już po wszystkim – wyszeptałam w jego dudniącą pierś.

## Drugi kontakt





LAURA

19 marca 2015

Słońce powoli nasuwa się na Księżyc, kradnąc jego światło. Kit stoi na samotnym zboczu góry, z oczami wlepionymi w niebo, a za nim, pod osłoną cienia, skrada się Beth.

– To jeszcze nie koniec – powtarza w kółko. Zaciska pięść na odłamku szkła, ale to z moich dłoni leje się krew, krzyczę ile sił w płucach, by ostrzec Kita, ale z moich ust nie wydostaje się żaden dźwięk – zakrywa je dłoń Jamiego Balcombe’a.

Wybudzam się z koszmaru, ale dobrą minutę zajmuje, zanim udaje mi się pozbyć sprzed oczu barwnego filmiku. Obejmuję dłońmi brzuch i przewracam się na bok z szeroko otwartymi oczami. Przez szpary w żaluzjach sączy się brudne londyńskie światło latarni, a budzik przy łóżku wskazuje 3.59. Mniej więcej o tej porze zbudziłam się wczoraj. Podnoszę się na kolana i dłonie i na czworakach docieram do poduszki Kita, skupiając się na chłodzie bawełny pod palcami. Jednak w mojej głowie wypalił się tamten obraz, bolesny jak promienie słońca w siatkówce, gdy spojrzysz się prosto w słońce. Piszę SMS-a.

*Śpisz?*

Tak naprawdę pytanie brzmi: „Żyjesz?”.

Żałuję tej wiadomości w sekundę po jej wysłaniu. Bycie znerwicowaną, kontrolującą złošnicą (to moje słowa, nie jego – choć pewnie tak myśli) w domu to jedno, ale nękanie go przez kilka stref czasowych jest już niewybaczalne.

Znów tracę panowanie nad sobą. Mija sześćdziesiąt sekund, on jeszcze nie odpisał, słyszę dudnienie własnego serca. Jeden z dzidziusiów robi salto, wywołując straszne uczucie jazdy w rollercoasterze i w jednej chwili spadam swobodnie. Gdy zwycięża lęk, szalona część mnie odkleja się od tej racjonalnej. Ta sprawna ja stoję na odległym brzegu, patrząc z przerażeniem, jak tonę w odmętach własnej paranoi. Tak właśnie czuję się teraz, kiedy wybieram numer komórki Kita. Trzy razy poczta głosowa. Mam przed oczami nowy obraz: Kit opiera się o reling statku, wtem Beth niespodziewanie wytrąca mu telefon z ręki, za burtę, a potem napina mięśnie, by pchnąć...

Gdy trochę się opanowuję, jestem już w ciemnym salonie, trzęsąc się w szlafroku i ciepłych kapciach, z brzuchem opartym na skrzyżowanych nogach. Kiedy włączam iPada, w wyświetlaczu przez sekundę odbija się moja twarz, zjawa o ciemnych oczodołach, długich, białych włosach i zapadłych policzkach. W mroku nocy ginie dyscyplina dnia i podwójne „o” w logo Google’a odwzajemnia moje nieruchome spojrzenie.

Myśli przeobrażają się w gotowość do czynu. Zadzwonię bezpośrednio na Princess Celeste, poproszę kogoś z załogi, żeby sprawdził kajutę Kita, albo, jeśli to wydaje się zbyt szalone (ha!), mogłabym po prostu spytać, czy na statku nie brakuje jakiegoś pasażera. Niestety jedyny numer, jaki udaje mi się znaleźć, to ten do organizatora wycieczki, ale nie wiedzieć czemu nie odbiera telefonu pięć po czwartej rano.

Wstukuję WYSPY OWCZE ZAĆMIENIE TURYSTA ZADŹGANY NIEZRÓWNOWAŻONA KOBIETA GINIE ZABITY CHRISTOPHER MCCALL. BETH TAYLOR PRINCESS CELESTE MORZE PÓŁNOCNE we wszystkich portalach informacyjnych: Press Association, Reuters, BBC, Sky News – z pewnością jeśli coś się stało, któryś z serwisów to wyłapał. Chwilowe ukojenie z powodu braku trafień zostaje zaraz zastąpione opcją, że jednak wydarzyło się



nieszczęście, tylko nie zostało jeszcze zgłoszone.

Na wszelki wypadek wpisuję te same słowa w Google'a. Przestań, nakazuje racjonalny umysł. Robisz sobie krzywdę. Zalewasz dzieci hormonami stresu. Dominująca część mojego mózgu wystawia w odpowiedzi dwa palce i wciskam „Cofnij”. Tym razem internet posyła mnie do YouTube'a i instynktownie patrzę przez palce, jak dziecko. Nawet przez filtr dłoni widzę, że żaden z garstki sugerowanych klipów nie jest t y m n a g r a n i e m. Filmiki są amatorskie, ale świeżo dodane. Jeden, z zeszłego popołudnia, trwa dziesięć minut i przedstawia zachód słońca nad Morzem Północnym. Klikam ostrożnie. Nie ma podkładu muzycznego; ktoś po prostu nagrał tonące za horyzontem słońce. Oglądam od początku do końca, koncentrując się wyłącznie na złotaworudym świetle tańczącym na srebrzystej wodzie. Fala po fali, oddech po oddechu, powoli wraca spokój. Wydzwanianie do Kita wydaje mi się teraz co najmniej żenujące, a w najgorszym razie niebezpieczne. Pomyśli, że coś mi się stało. Biorę telefon z powrotem do ręki.

*Przepraszam, zignoruj mnie, wszystko OK, tylko zły sen. Dzieci itd. Dobrze.*

Kiedy nagranie z zachodem dobiega końca, następuje zmiana zestawu filmów proponowanych z boku ekranu. Jestem gotowa na stop-klatkę z n a g r a n i a, skradającą się w górę po ekranie, ale chyba na razie nic mi nie grozi. Te klipy wrzucają naukowcy, nie hedoniści. Łowcy zaćmień, którzy zamieszczają posty w sieci, dzielą się na dwa rodzaje: poważni astronomowie amatorzy, z którymi podróżuje właśnie Kit, i rozrywkowa grupa New Age. Ta pierwsza liczebnie znacznie przewyższa drugą, więc aby odnaleźć n a g r a n i e, trzeba by pewnie w wyszukiwarce dodać „festiwal”.

Został już tylko jeden klip z Princess Celeste w nazwie.

*Rejs łowców zaćmień. Pijany gość rapuje na Princess Celeste. PADNIESZ ZE ŚMIECHU.*

Zegarek w rogu ekranu informuje, że jest dwadzieścia po czwartej. Wiem, że na sen będę czekać jeszcze wiele godzin. Przydałaby mi się chwila beztrudnej rozrywki. Najeżdżam na wideo i klikam odtwarzanie.



LAURA

16 maja 2000

Nasze mieszkanie na Clapham Common Southside było na czwartym piętrze w budynku bez windy. Mieliśmy malutki balkon wychodzący na zieleniec. Zimą nagie gałęzie odsłaniały posiadłości po północnej stronie, ale w lecie horyzontem były najbliższe korony drzew. Żeby dostać się na górę, musieliśmy pokonać osiemdziesiąt pięć stopni, pnących się ciasnym zygzakiem pomiędzy pozbawionymi okien półpiętami. Do pozostałych trzech mieszkań wchodziło się z tylnej uliczki, więc kiedy tylko zamykały się za nami drzwi, byliśmy w domu. Nie było sąsiadów, dla których trzeba by sprzątać schody, zatem nic nie powstrzymywało nas przed zbiegnięciem na dół po pocztę na golasa. Kiedyś żartowaliśmy, że moglibyśmy zainstalować słup strażacki, żeby zaoszczędzić czas w drodze do pracy – rytuale, o którym wciąż mówiliśmy tonem nieco zadufanym, a nieco zażenowanym, typowym dla osób bardzo młodych i świeżo zatrudnionych. Łuszcząca się tapeta na klatce schodowej pamiętała dawne dzieje – gdzieś odłaziła od ściany, ukazując żywozieloną farbę, którą zdaniem Kita położono tam jeszcze w czasach wiktoriańskich i zatruto arsenikiem. Myślałam, że sobie żartuje, aż któregoś razu zagroziłam, że ją polizę, a wtedy Kit odciągnął mnie w panice.

Mieliśmy tylko dwa prawdziwe pokoje: naszą sypialnię i drugi, z tyłu, a do tego długą salonokuchnię ze skosami. Sprzęty kuchenne były starsze od nas, drzwi

sypialni się nie domykały, a wentylator pod prysznicem buczał tak głośno, że nie dało się słuchać radia, gdy ktoś korzystał z łazienki. Nie starczało gniazdek, żeby pomieścić całą elektronikę Kita, więc kłęby czarnych kabli wiły się przy każdym kontakcie i pod telefonem.

Przestrzeń była maleńka – połowa naszych gratów tkwiła w pudłach na strychu Adele – ale była nasza. To byliśmy my.

Mapa zaćmień Kita pyszniła się nad starym futonem, niegdyś należącym do Adele. Raz czy dwa w tygodniu rozkładaliśmy go z kanapy w łóżko, na okazje, gdy Mac wytoczył się z jakiegoś rysztołkowego klubu po południowej stronie rzeki, lub, coraz częściej, kiedy Ling go wyrzuciła. Przyzwyczaiłam się do widoku jego nieprzytomnych zwłok w naszym salonie, z wiaderkiem na wymioty pod ręką. Już brakowało mu jednego trzonowca, a twarz zaczynała się zapadać, dając podpowiedź, jak Kit mógłby wyglądać w wieku lat pięćdziesięciu. Mac miał zaledwie dwadzieścia dwa.

Kit namówił naszego lokalnego kioskarza, żeby zamawiał gazety z południowo-zachodniej części Anglii. W zasadzie nie musiał tego robić; werdykt w sprawie Balcombe'a trafił do prasy krajowej. Wrócił do domu z „The Cornishman” pod jedną pachą i półtuzinem brukowców i lepszych gazet dużego formatu pod drugą. Czytaliśmy na balkonie, z dzbankiem herbaty i górą tostów pomiędzy nami, w ciszy, która była nerwowa tylko z mojej strony. Kit zabrał się najpierw do lokalnej prasy. „Cornish Times” zawierał wywiad z farmerem Rorem Polzeatem, który został nie tylko zrujnowany finansowo, ale też zdewastowany emocjonalnie przez zbrodnię dokonaną na jego ziemi.

Palce zaczerniły mi się od maniakalnego przerzucania nagłówków, bałam się, że któryś mógłby wyjawić moje kłamstwo. GWAŁCICIEL Z DNIA ZAĆMIENIA WINNY, pisało „Sun”. ABSOLWENT SZKOŁY PRYWATNEJ UTRZYMUJE NIEWINNOŚĆ, głosił „Daily Mail”, w reportażu skupionym na wartości domu rodzinnego Jamiego Balcombe'a, koszcie jego edukacji, oraz naciąganych koneksjach jego ojca z księciem Walii. Nie było słowa o moim zeznaniu, więc choć

instynkt nakazywał mi z odrazą cisnąć gazetą w kąt, podałam ją Kitowi, żeby kupić sobie kilka dodatkowych minut.

Felietonistka „The Times” widziała w tym gwałcie przykład całego zła „sceny alternatywnej”, jej tekst stanowił skuteczne ostrzeżenie dla rodziców, których dzieci bywały na festiwalach muzycznych. Czułam, jak cała się spinam. „Telegraph” posunął się jeszcze dalej. Nagłówek SĘDZIA DLA PRZYKŁADU KARA GWAŁCICIELA Z FESTIWALU wisiał nad lamentem nad zaprzepaszczoną karierą Jamiego.

– Po czyjej oni są stronie, do cholery? – powiedziałam do Kita, zapominając na chwilę o swoim osobistym interesie w artykułach. – Mamy go ż a ło w ać?

– O rany – westchnął, kładąc „Telegraph” na swojej stercie do przeczytania.

Sięgnęłam po „Daily Mirror” i wpadł mi w oko fragment, który zmroził mi krew w żyłach.

*Proces miał swoje chwile napięcia, na przykład kiedy kobieta zeznająca jako kluczowy świadek mieszała się w zeznaniach.*

Nie śmiałam czytać dalej, bo Kit siedział dość blisko, żeby zerknąć mi przez ramię. Wcisnęłam „Mirror” między strony odłożonego dodatku sportowego, do którego, jak wiedziałam, żadne z nas nigdy by nie zajrzało, po czym wsunęłam obie gazety do kosza na papier.

Reporterka z bobem, którą przypisywałam do „Guardiana”, ostatecznie pojawiła się w „The Independent”. Towarzyszące artykułowi zdjęcie autorki, zidentyfikowanej jako Georgie Becker, było przedawnione o dobre dziesięć lat, ale jej słowa wreszcie odpowiadały temu, co czułam.

*NAJCZĘSTSZĄ REAKCJĄ NA GWAŁT JEST BEZ RUCH:*

*WRESZCIE ŁAWA PRZYSIĘGLYCH, KTÓRA TO ZAUWAŻYŁA,*

*WRESZCIE SĘDZIA, KTÓRY STOI PO STRONIE OFIAR*

*„Odgłos jego rozpinanego rozporka był jak dźwięk przeładowania broni – jesteś zakładniczką, robisz, co ci każe. Nie miałam przeciw niemu szans, zamarłam.*

*Modliłam się tylko, żeby już było po wszystkim”. To urywek z zeznania dwudziestoletniej ofiary Jamiego Balcombe’a, skazanego w zeszłym tygodniu za długotrwały gwałt dokonany podczas festiwalu z okazji całkowitego zaćmienia w Kornwalii w sierpniu zeszłego roku. Jej mocne słowa znoszą przyjęte przekonanie, że kobieta może zapobiec gwałtowi, jeśli będzie walczyć do krwi kłami i pazurami. Na większość ofiar gwałtów strach działa jak paralizator.*

*Sprawy o gwałt, w których strony uprzednio zawarły znajomość, są niezwykle trudne z perspektywy oskarżenia. Co więc tym razem poszło jak trzeba? Sprawa Balcombe’a jest wysoce niezwykła, ponieważ istniały potwierdzające dowody – kobiece słowo przed sądem nie wystarczy – a ofiara pana Balcombe’a przyznała, że może w ogóle nie zgłosiłaby się na policję, gdyby gwałt nie został przerwany przez dwoje przechodniów, których zeznania okazały się kluczowymi elementami prowadzącymi do wyroku skazującego.*

W tej chwili sama zamarłam, ale obciążający mnie szczegół szczęśliwie pominięto. Odetchnęłam uspokojona, ale zaraz poczułam odrazę na myśl o swojej uldze, kiedy męki Beth były nieporównywalnie straszniejsze od moich. Kończyłam artykuł, powstrzymując piekące pod powiekami łzy.

*Ofiara Balcombe’a wykazała się odwagą, zgłaszając policji popełnione przestępstwo, a potem trwając przy swojej relacji w ogniu miażdżącego przesłuchania przez obrońcę oskarżonego, mecenas Fionę Price. Była zmuszona przeżyć od początku historii swojego życia seksualnego, wspominając wszystkich partnerów od utraty dziewictwa po dzień rozpatrywanego zdarzenia. Podczas tej ciężkiej, męczącej próby jej napastnik był wielokrotnie określany mianem kolejnego „partnera seksualnego”. Wmawiano jej, że podczas zaćmienia przeżyła „chwilę szaleństwa”, za którą było jej wstyd, i że sednem rozprawy jest w istocie jej własny brak samokontroli. W pewnej chwili wykrzyzczała: „To gorsze niż bycie zgwałconą!”.*

*Przewodniczący sprawie sędzia Frenchay dwukrotnie interweniował i zarządził przerwę, aby dać ofierze szansę dojścia do siebie, ale był to jedynie przejaw jego współczującej natury. Panna Price prowadziła przesłuchanie w sposób całkowicie zgodny z prawem i nader często spotykany w procesach o gwałt, gdzie kwestią sporną jest istnienie zgody na stosunek, a nie ustalenie tożsamości sprawcy. Fakt, iż historia*

*życia seksualnego ofiary była łagodnym katalogiem seryjnej monogamii jest, musi być, nieistotny dla sprawy – rzecz w tym, że opowiadanie jej było równe z uczestnictwem w wojnie psychologicznej; było próbą odarcia ofiary z resztek godności.*

*Zbiera się na zmiany: kiedy pod koniec roku wejdzie w życie prawo tarczy antygwałtowej, poprawka do paragrafu 41 Ustawy o sprawiedliwości wobec młodych i dowodach w sprawach karnych, wprowadzone zostaną znaczne ograniczenia w kwestii przesłuchiwania powódki na temat jej życia seksualnego oraz postępowania.*

*Sędzia Frenchay tak uzasadnił swój wyrok: „Jest pan aroganckim oportunistą, który celowo zapolował na samotną kobietę, a kiedy panu odmówiła, odizolował ją pan, aby stała się całkowicie bezbronna przeciwko pana atakowi. Nie uszanował pan jej próśb, by zaniechał pan swego postępowania. Działał pan świadomie i z kompletnym brakiem poszanowania dla jej dobra psychicznego i emocjonalnego. To ze względu na cechujące pana przeświadczenie, że wszystko się panu należy, oraz postrzeganie kobiet jako towaru wyznaczam najwyższą karę za tę zbrodnię”.*

*Sędzia Frenchay i ława przysięgłych wykonali pierwszy, niewielki krok ku trwałej poprawie okoliczności dla wszystkich ofiar gwałtów. Miejmy nadzieję, że wreszcie stanęliśmy na progu czegoś znaczącego.*

– Gdzie się podział „Mirror”? – Kit przerzucał gazety obok mnie. – Głowę bym dał, że kupiłem.

– Nie widziałam – rzuciłam, celowo omijając wzrokiem kosz na papier.

– Dziwne. – Drapiąc się w szyję, otworzył „Express”. – O, twoja znajoma z sądu.

Ali, czyli Alison Larch, bo tak brzmiało jej pełne nazwisko, przeprowadziła w końcu wywiad z Antonią Tranter. Artykuł zajmował dwie strony. Ruda patrzyła na mnie tęsknie spod nagłówka „JAMIE, BĘDĘ NA CIEBIE CZEKAŁA”. Upuściłam pismo na ziemię.

– Domyślam się, jak się czujesz – powiedział Kit. – Na razie dość się naczytałam. – Poskładał gazety w równą stertę. – Pamiętasz, że umówiłem się na dziś z Makiem na piwko przy lunchu?

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

– Jeśli nie możesz ich pokonać, dołącz do nich. Tak przynajmniej wiem, co

u niego. To znaczy jeśli w ogóle przyjdzie. – Kit brzmiał jak zaprawiony w bojach żołnierz przed bitwą.

Jedynymi odgłosami w mieszkaniu były przytłumione syreny i klaksony dobiegające z ulicy. Po raz pierwszy od wielu dni znalazłam się sama i nagle własne towarzystwo przestało mi wystarczać. Kit wyszedł z Makiem, Ling była uwiązana z dzieckiem, więc nie miałam do kogo zadzwonić, żeby wyskoczyć na partyjkę bilardu albo pochodzić po targu Brixton.

Żeby się czymś zająć, podgrzałam mleko do kawy i przeczytałam artykuł Alison Larch w „Expressie”. Jak się dowiedziałam, Antonia wybaczyła Jamiemu jego „niewierność” – co, kurwa? – krzyknęłam do gazety – ale nie może się pozbierać po, jak to nazwała, pomyłce sądowej. Klan Balcombe’ów i zastęp ich prawników byli tak pewni, że sprawa od razu wyleci z sądu, a potem że wyrok będzie uniewinniający, że rodzice kupili mu mieszkanie, do którego miał się wprowadzić natychmiast po procesie, a w którym chwilowo samotnie „odbijała się od ścian” Antonia. Biedny Jamie trafił do skrzydła z seryjnymi gwałcicielami i zwyrodnialcami molestującymi nieletnich. Nazwisko Beth nie figurowało w tekście, ale ona sama określana była jako oskarżycielka Jamiego, a nie jako ofiara. Walczyłam właśnie z przemożną chęcią podarcia gazety na kawałki, kiedy nieznanemu numerowi zadzwonił na moją komórkę. Włączyłam czajnik i odebrałam połączenie.

– Tu Beth.

Moje milczenie wynikało z kompletnego zaskoczenia – raczej nie zdarzało się, by osoba, o której czytam w ogólnokrajowej prasie, do mnie dzwoniła. Założyłam też, że skoro proces poszedł po jej myśli, więcej się do nas nie odezwie. Beth myślała inaczej.

– Elizabeth Taylor? – Dopiero z perspektywy czasu uświadamiam sobie nadąsany ton tych słów. – Z, no wiesz, Kornwalii?

– Przepraszam, tak, oczywiście, wiem, kim jesteś – powiedziałam. – Boże, jak dobrze cię słyszeć. Jak się masz? Nawet nie wiem, co powiedzieć. Gratulacje jakoś nie brzmią stosownie.



– Nie wiem. Przede wszystkim czuję ulgę. Jestem w domu, w Gedling. Szczerze mówiąc, nie wiem, co ze sobą zrobić. – Kilka sekund minęło, zanim zorientowałam się, że prosi mnie o radę. Nie wiedziałam, jak jej pomóc i byłam naprawdę ostatnią osobą, u której powinna szukać mądrości. – Tak czy inaczej, wiem, że mówiłaś, żebym się z tobą kontaktowała, jeśli coś pójdzie nie tak, ale nie mogłam ci nie podziękować. Nie tylko za zeznawanie w sądzie, ale też za to, że wzięłaś sprawę w swoje ręce, gdy to się stało. Nie wiem, co by to było, gdybyście się wtedy nie pojawili. Pewnie nie starczyłoby mi odwagi, żeby przejść przez to wszystko w pojedynkę. Oskarżyciel opowiadał mi, że twoje zeznanie było kluczowe i że naprawdę o mnie walczyłaś. Więc, no wiesz. Jestem twoją dłużniczką.

Mój wzrok ześliznął się na fotografię Antonii Tranter w „Expressie”. Miałam nadzieję, że Beth jej nie widziała.

– Nie ma za co – powiedziałam. – Każdy postąpiłby tak samo.

– Wcale nie! – Jej głos zrobił się nagły, podniecony. Wiem, że żar, który ją wtedy objął, nie był dziełem tylko mojej wyobraźni. – Chyba sama nie zdajesz sobie sprawy, jaka jesteś wyjątkowa. A ja chcę, żebyś o tym wiedziała. Wierzysz w karmę?

– Chciałabym – odparłam ostrożnie.

– Ja wierzę i podejrzewam, że przed tobą kilka czarownych lat. – Słyszałam uśmiech w jej głosie. Za moimi plecami zaczął nagle gwizdać czajnik, zadzwoniła mikrofalówka. – Nie zawracam ci już głowy, pewnie jesteś zajęta. Chciałam tylko podziękować.

– Bardzo proszę.

Dokończyłam artykuł w „Expressie”, dopiłam kawę i pomyślałam o Beth. W innym życiu, gdybyśmy się poznały w innych okolicznościach, mogłybyśmy zostać przyjaciółkami.



KIT

19 marca 2015

Oparty o barierkę na lewej burcie Princess Celeste wyglądam na port w Torshavn i walczę z kacem, jakiego nie zaznałem od czasów studenckich. Niesiony wiatrem zapach ryb wywraca mi żołądek. Pod pomarańczową kurtką mam piżamę, a w butach bose stopy. Nie myłem zębów ani twarzy i od zeszłego wieczoru nie włączałem telefonu. Richard poszedł zdobyć dla mnie kawę, która albo mnie zabije, albo wzmocni. Powietrze jest tak krystaliczne, że mam wrażenie, że można je pić, zamiast nim oddychać, a mi potrzebny jest każdy centymetr sześcienny tlenu, żeby wywietrzyć zeszłą noc.

Nasz statek rzuca cień, który kładzie się na wodzie przez zatokę. Widać stąd całe miasteczko, skupione na skraju morza, otoczone górami aż po horyzont. Bazaltowe klify wystrzeliwiają z fal jak lawa z wulkanów, którą kiedyś były. Szara panorama miasta upstrzona jest pomalowanymi na czerwono domkami. Wyglądają jak z klocków Lego, a i maszerujące ulicami tłumy, ubrane w odzież o podstawowych barwach, sprawiają wrażenie, jakby uciekły z pudełka z zabawkami. Mamy cały dzień do zbycia przed zaćmieniem i żadnej rezerwacji aż do popołudnia, kiedy wsiądziemy w busik, który zabierze nas w góry. Na samą myśl żółć podchodzi mi do gardła.

Nie mam siły, żeby szukać drogi do jadalni, a co dopiero buszować przy

wyłożonym kamieniem bufecie.

– Wracam do łóżka – oznajmiam Richardowi, kiedy zjawia się z wysokokofeinowym eliksirem życia, gorącym i gorzkim, w styropianowym kubku.

– Nic z tego – sprzeciwia się. – Idziemy zwiedzać.

Kawa działa. W ciasnej kajucie z łazienką szoruję zęby, biorę prysznic, ubieram się i zaczynam się czuć niemal jak człowiek. Dopiero wtedy sprawdzam telefon. Jest SMS powitalny od Føroya Tele z życzeniami przyjemnego pobytu na wyspach, a potem niepokojące wiadomości i trzy nieodebrane połączenia od Laury. Odpisuję.

*Już nie śpię. Ciężka noc. Dobrze, że u ciebie OK. Zadzwoń później. Całuję.*

Zostawiam telefon, rzeczywiście później do niej zadzwonię. Wypełniamy z Richardem portfele nowiutkimi banknotami o nominale dziesięciu koron islandzkich i ruszamy w miasteczko. Na ulicach przedsiębiorczy tubylcy handlują standardowymi błyskotkami i inną tandetą: są koszulki, czapeczki z daszkiem i okulary do oglądania zaćmienia. Kupuję zestaw, tym razem podwójny, żeby moje dzieci nie musiały się kłócić, kto co dostał, bo jestem zdeterminowany, żeby obaj zostali łowcami zaćmień, nie tak jak ja i Mac. Nasze sweterki z Wysp Owczych są na każdym stoisku i nie jestem pewien, czy wyglądamy z Richardem tak super, jak nam się wydawało. Sklepy i kawiarnie pękają w szwach.

Richard kupił papierową mapę.

– Te drewniane magazyny należały kiedyś do duńskiej rodziny królewskiej – informuje, gdy zbliżamy się do jednego z czerwonych budynków.

– Rozkręćmy tę i m p r e z kę!

– Dobra, dobra, koniec sarkastycznych bzdur – rzuca Richard, wskazując pobliski bar. – Klin klinem?

Zamawiamy po kuflu bladego chmielowego piwa, warzonego specjalnie z okazji niewypału zjawiska. Sólrbjór był produkowany w kompletnych ciemnościach i podczas pełni Księżyca. Ale choćby upichciły go elfy i wróżki pod magiczną

tęczą, i tak nie byłbym w stanie go dopić. Po kilku łykach odsuwam od siebie kufel. W życiu nie wezmę do ust alkoholu.

W Muzeum Narodowym znajdujemy relację z ostatniego całkowitego zaćmienia nad Wyspami Owczymi, w roku 1954. Tłum kłębiący się przed tym opisem jest szeroki na cztery rzędy, a to nieczęste zjawisko. Richard odczytuje cytat z ówczesnego geologa: „Deszcz i mgła, nie może się udać”. Cóż. Przynajmniej u nas nie pada.

– Jeszcze – mówi kobieta w nieprzemakalnym kapturze. – Według mojej aplikacji jutro pięćdziesięcioprocentowa szansa opadów.

Zasłaniam usta pięścią, gdy odbija mi się kawą.

– Jak się czujesz, stary? – pyta Richard.

– Powiedziałbym, że pogrążony w szczerzej i głębokiej depresji.

– Przynajmniej już kiedyś widziałeś zaćmienie – mówi, po czym teatralnym gestem zasłania oczy. – Błagam, o, bogowie pogody, nie pozwólcie, bym umarł prawiczką!

– Ha.

Z powrotem zaczynam go lubić.

Telefon dzwoni, kiedy wracamy do kajuty. Zdjęcie Laury wypełnia wyświetlacz, a powiadomienie w rogu informuje, że mam od niej, bagatela, szesnaście nieodebranych połączeń. Ręka mi drży, kiedy dotykam ekranu, by odebrać.

– Co się stało?

– Widziałeś się, kurwa, w internecie? – pyta głosem jak brzytwa.

Kwas wiruje mi w żołądku. Musiała przeszukać mój komputer i znalazła konta na mediach społecznościowych. To zupełnie nie w jej stylu, ale ostatnio nie była sobą. Nie powinienem był zostawiać jej samej.

– Wszystko jest pod przybranym nazwiskiem. – mówię piskliwie. – Nie wstawiłem zdjęcia twarzy, zatarłem ślady. – Naprawdę tak zrobiłem, użyłem koszulki Chile '91 jako awatara, wyłączyłem lokalizację na kilku fotkach, które wstawiłem. Nie ma szans, żeby...

– O czym ty w ogóle mówisz? – krzyczy. – Cały pieprzony film to twoja twarz, w zbliżeniu! Pięknie jej przekazałeś najświeższe informacje, co? Robiąc z siebie pośmiewisko w internecie pieprzonym ra p em!

– Rapem? – powtarzam jak echo, a słowo odblokowuje dostęp do pamięci. Zeszła noc, wyglądałem się przed kamerą. O Boże, ułożyłem rymowaną, wymieniając w tekście wszystkie zaćmienia, które widziałem. Nie przypominam sobie, żeby ktoś mówił, że wrzuci to do sieci, ale też nie pamiętam, żebym kogoś prosił, by tego nie robił. Witaj, poczucie winy, stary druhu.

– Powinieneś mieć zakaz picia! – wrzeszczy.

Odsuwam telefon od ucha, jak faceci w serialach komediowych. Dobra, mam kłopoty, ale przynajmniej nie chodzi o konto na Facebooku, więc sytuację będzie można uznać za pomyłkę, a nie oszustwo.

– Każ im to ściągnąć, i to natychmiast – słyszę, kiedy przykładam telefon z powrotem do ucha.

– Słuchaj, przepraszam, nie miałem pojęcia, że ktoś umieści to w sieci.

– To zasada numer jeden! Nie dać się sfotografować! A ty dałeś się, kurwa, sfilmować! – Rozpłakała się.

– Proszę, nie nakręcaj się, to niedobre dla dzi...

– Nie mów mi, co jest dobre, a co nie dla pieprzonych dzieci! – Mam przed oczami żyły wystające jej na szyi, kiedy traci kontrolę ze złości.

– Przepraszam – powtarzam, bo brak mi argumentów. – Ale posłuchaj, Lauro, nie ma jej tu. Przeczesałem cały statek. Dlatego się napiłem, żeby uczcić fakt, że już nas nie śledzi.

– Cóż, nie musi być na statku, prawda? Wie, dokąd zmierzacie. Zna n a z w ę statku! Nazwę miejscowości! Już siedzi w samolocie. Jeśli nie czeka na ciebie na miejscu!

Jeszcze nigdy nie kłóciliśmy się tak przez telefon. Szukam właściwych, kojących słów.

– Wszystkie loty na Wyspy Owcze były zarezerwowane miesiące temu.

– Nie – mówi z przekonaniem. – Jest jeden lot czarterowy z Inverness dziś

wieczorem. Wczoraj miał jeszcze dwa wolne miejsca i rzeczywiście jest ostatnim sposobem, żeby się tam dostać. Jedno z miejsc zostało wykupione dziś rano, po tym jak zdecydowałeś się ogłosić swoją lokalizację.

Gniew zastępuje poczucie winy. Spieprzyłem sprawę, ale Laura też nie dotrzymała umowy. Obiecała, że nie będzie się nakręcać przeszukiwaniem internetu. Nie trafiła na te informacje przypadkiem, zamawiając zakupy czy wysyłając e-mail do pracy. O tak, widzę, jak siedzi na kanapie, z nogami skrzyżowanymi pod wypukłym brzuchem, a histeria rośnie z każdym kliknięciem. Nie odzywam się jednak, nigdy nic nie mówię.

– Szanse, żeby to ona kupiła bilet, są n i k łe.

– Tak? A szanse, żeby namierzyła nas w Zambii, były, kurwa, mikroskopijne, a jednak jej się udało.

– To było co innego. Byliśmy na festiwalu, to jakby strzelała do kaczek.

Zapada trzeszcząca cisza, tak długa, że sprawdzam zasięg. Pełne pięć kresek, ustawionych jak dzwony rurowe. Boczy się. Nie wiem, jak sobie z tym poradzić na odległość. Szkoda, że nie mogę jej dotknąć.

– Lauro, przeceniasz ryzyko.

– A jeśli cię znajdzie?

To zrobię wszystko, żeby ją pokonać, odpowiadam w myślach, ale wiem, że to by tylko Laurą wstrząsnęło.

– Coś ci powiem. Pozwól mi najpierw obejrzeć to nagranie. Oddzwonię do ciebie, obiecuję.

Gdy wychodzę na pokład, składane Laurze zapewnienia o mojej anonimowości pobrzmiwają fałszem, bo jakiś pasażer, którego nie rozpoznaję, przybija mi piątkę i gratuluje „wiersza”.

Cholera.

Idę do lobby, gdzie zwijam się w kokon na swoim ulubionym fotelu, podłączam słuchawki do telefonu i z nerwowo ściśniętym żołądkiem włączam YouTube’a. To musi być to: „Rejs łowców zaćmień. Pijany gość rapuje na Princess Celeste. PADNIESZ ZE ŚMIECHU”. Z niemym przyrzeczeniem, że do końca wycieczki

nie tknę niczego mocniejszego od lemoniady, wciskam odtwarzanie. Nie sądziłem, że można rumienić się bez publiki, ale policzki mi płoną na widok swojej zalanej, purpurowej gęby, z której wydostaje się zaśliniony bełkot – nazwałbym go raczej monologiem, a nie rapem czy wierszem, ale niech będzie – który wymienia wszystkie zaćmienia, na jakich byłem świadkiem od Chile '91. Jeśli w stanie pijanego zidiocenia sądziłem, że czapeczka ukryje moją tożsamość, to grubo się myliłem – dawno przesunęła się na czubek głowy, tak że daszek nie rzucał nawet cienia na moją twarz. Tylko dwie rzeczy ratowały mi tyłek. Po pierwsze, mój identyfikator był przypięty do swetra, a ten zrzuciłem na długo przed występem, a po drugie nikt nie wypowiada mojego imienia – nawet Christopher, co dopiero Kit. „Świetny dzentelmen i naukowiec” – pada w ramach przedstawienia mojej osoby. Szczęśliwie też mój jedyny komentarz do Kornwalii '99 to „Za chmurami / baw się z nami”, który publika zgodnie wygwizdała – nie wiem, czy w wyrazie współczucia dla mojego meteorologicznego pecha, czy ze względu na beznadziejny rym. Nie wydaje mi się, żeby filmik powodował zagrożenie takiej skali, jak podpowiada wyobraźnia Laury, ale nie da się zaprzeczyć, że jestem kompletnym idiotą.

Dotyk czyjejś dłoni na moim ramieniu aż podrywa mnie z fotela.

– Widzę, że znalazłeś vlog Darrena? – Richard przysiadł się na fotel naprzeciw mojego. – Właśnie mi o nim powiedział. Sam miałem się tu zwinąć i sobie obejrzeć. – Nie wiem, jaką mam minę, ale Richard nieco łagodnieje. – Daj spokój, nie było tak źle. Jest śmiesznie, uroczo.

– Nienawidzę pieprzonej technologii – mówię, chowając twarz w dłoniach. – To w ogóle dozwolone?

– Regulamin rejsu. – Teraz Richard wygląda na nieco zmieszanego. – Miałem ci powiedzieć, tylko akurat poszedłeś się odlać.

Cofam się pamięcią do początku imprezy – pewnie ma na myśli moment, kiedy wymykałem się, żeby sprawdzić, czy na liście pasażerów nie figuruje nazwisko Beth. – Rozdawali naklejki każdemu, kto nie wyrażał zgody na nagrywanie, ale ze względu na obecność wielu ekip filmowych nie byli w stanie dać wszystkim

formularzy o udostępnianiu wizerunku. Standardowa praktyka. Trzeba uświadamiać ludzi, że w kwestiach prywatności media społecznościowe też się liczą.

– Co za burdel!

– Szemrany precedens – przyznaje. – A jednak w tę stronę to zmierza. Kultura opt-out. Naprawdę powinniśmy byli podyskutować na ten temat na samym początku, ale nikt nic nie mówił, więc... Martwisz się, co powiedzą w pracy?

Praca! Nawet przez myśl mi nie przeszła.

– Właśnie. W pracy.

Wreszcie udaje mi się zlokalizować vlogera Darrena, zarośniętego brodacza w nierówno zafarbowanym podkoszulku, atakującego automaty do gier w wąskiej arkadzie. Poznaje mnie i szczyrzy zęby w uśmiechu, ale prosi gestem, żebym poczekał z boku, aż skończy rozgrywkę. Z zapalem uderza błyskające przyciski, trwa to wieczność i całą siłą woli powstrzymuję się, żeby nie wyciągnąć wtyczki z prądu.

– Czym mogę służyć? – mówi wreszcie. – Korzystasz ze sławy?

Mam nadzieję, że nie zmusi mnie, żebym błagał.

– Wręcz odwrotnie – odpowiadam. – Potrzebuję to natychmiast zdjąć. Mogę przez to mieć poważne nieprzyjemności w pracy.

– Wtedy się zgodziłeś – zauważył Darren, ale sam nie wyglądał na specjalnie przekonanego.

– Byłem pijany jak bela. Zgodziłbym się na wszystko.

– Spoko, zajmę się tym. Jeszcze tylko jedna gierka, może uda mi się odegrać. – Podzwania monetami w kieszeni.

– Nie mógłbyś tego zrobić od razu? – Nigdy nie potrafiłem wydawać poleceń innym mężczyznom i liczę się z potencjalnym „spierdalaj”, ale Darren wysypuje drobne z powrotem do kieszeni.

– Zaczekaj tu – mówi. – Przyniosę tablet. Usunę klip przy tobie.

W mroku arkady mrugają do mnie lampki w podstawowych kolorach, skutecznie wspierające powrót mojego kaca. Wracam do lobby, żeby nie dostać



jakiegoś ataku. Darren pojawia się po trzech minutach. Podchodzi ze spuszczonego wzrokiem, jakby był zmieszany, ale przygryza wargę, hamując uśmiech.

– Zdejmuję film z sieci, żaden problem, już się robi. – Kilka sprawnych ruchów palcem po ekranie i nagranie znika z jego konta. Na twarzy Darrena maluje się jednak wyraźne „ale”.

– Co?

– Trochę niezręczna sprawa. Klip bardzo szybko się rozprzestrzenił. Profesor Brian Cox użył go w tweecie. Tylko przez ostatnie dwie godziny twój występ obejrzało dziewiętnaście tysięcy osób. Poszedł na szczyt paska proponowanych na YouTube.

Stara się przybrać przeproszającą minę, ale nie potrafi ukryć radości. Odwracam się na pięcie ze wzrokiem wbitym w ziemię, mam wrażenie, że wzorki na wykładzinie zwijają się pod moimi stopami. Ktoś polujący na łowcę zaćmień na pewno trafi na film. Równie dobrze mogłem podać swoje współrzędne. Ciśnienie mi skacze na myśl, że spotkanie z Beth zbliżyło się właśnie o krok do rzeczywistości, ale tylko częściowo czuję strach. Może potrzebuję ostatecznej rozgrywki. Może moja odurzona alkoholem podświadomość podjęła decyzję, której moje trzeźwe ja nie miało jaj podjąć przez piętnaście lat.



LAURA

18 maja 2000

Miałam zamiar wypowiedzieć się przed Ling z mojego tygodnia w sądzie. Potrzeba zwierzeń wiała się we mnie niczym żywa istota, gdy jechałam pociągiem do jej nowego mieszkania w Green Lanes. Na Leicester Square przesiadłam się na inną linię i resztę drogi odbyłam pod ziemią, tracąc wszelkie poczucie orientacji w terenie. Północni londyńczycy nadal marudzą, że południowy Londyn to dziki rejon bezprawia, bo nie mamy sieci metra, ale dla mnie na tym po części polegało jego piękno – można go było naprawdę poznać. Londyn na południe od rzeki wydawał się prawdziwym miastem, rozciągniętą mieszaniną społeczności, połączonych liniami autobusowymi i naziemnymi kolejkami. Północny Londyn był w moich oczach jak pozszywany z łatek odosobnionych wiosek, dostępnych wyłącznie za pomocą metra, na powierzchni ziemi kompletnie niezwiązanych; kropki na mapie, odrębne niczym gwiazdy. Turnpike Lane, na przykład, myślałam sobie, odliczając identyczne wiktoriańskie ulice do nowego mieszkania Ling. Gdzież ono było, do cholery? Nie potrafiłam wpisać go w żaden kontekst. Jeszcze przed podniesieniem statusu Drabiny Harringay należało do miejsc, dokąd człowiek wolał się nie zapuszczać, chyba że miał ku temu piekielnie ważny powód. Była to lokalizacja, o jakiej południowi londyńczycy nigdy nawet nie słyszeli.

Cztery miesiące później przekleństwo miało stać się atutem tej okolicy.

Ling otworzyła drzwi do mieszkania w suterenie, stałam jeszcze u szczytu schodów. Maleńka Juno wtulała twarz w jej ramię.

– Znowu to zrobił – wybuchła zakatarzonym płaczem. – Spierniczył z moją kartą płatniczą i nie widziałam go od czterdziestu ośmiu godzin. Nie dam rady sama, Lauro. Nie dam sobie, kurwa, rady. Przepraszam, wejdz, wejdz.

Ostrożnie przekroczyłam próg, by pogrążyć się w chaosie. Kiedy ludzie mówią, że grzęzną po kolana w pieluchach, wyrażają się metaforycznie, ale Ling dosłownie brodziła w stertach pajacyków, kamizelek, kocyków i szmatek, wypranych zmieszanych z brudnymi. Gdy tak stałam, zastanawiając, gdzie usiąść, stojąca w kącie suszarka do bielizny załamała się pod ciężarem dziecięcych ubranek i opowieść, którą miałam na końcu języka, zsunęła mi się z powrotem do gardła. Nie mogłam wylewać swoich kłopotów na Ling, kiedy była w takim stanie. Chyba nawet wtedy wiedziałam, że to koniec – czułam, jak tajemnica osiada we mnie na stałe. Jeśli zemsta najlepiej smakuje na zimno, to wyznania powinno się serwować wrzące albo wcale.

– Chyba umieram – oznajmiła Ling. – Naprawdę, wydaje mi się, że umieram od tego wszystkiego, to mnie zabija. – Omiotła ręką pokój, wskazując na bałagan – na chwilę zawiesiła dłoń w powietrzu, gdy trafiła na pustą butelkę po wódce przy przewijaku – po czym zwinęła dłoń w pięść i delikatnie zatrzymała ją na plecach małej Juno. Od jakiegoś czasu wiedzieliśmy, że pijackie wybryki Maca to nie tylko reakcja świeżo upieczonego taty na nową rzeczywistość, ale tego dnia po raz pierwszy zrozumiałam, że nieumiejętność Ling w radzeniu sobie z sytuacją wybiegała poza standardowy baby blues. Staczali się ku swojemu kryzysowi równolegle z nami – jeszcze jeden powód, dla którego nigdy nie poznali całej prawdy.

– Hej – powiedziałam, odbierając od niej Juno. – Hej, już w porządku.

Maleńka miała puszystą, czarną koronę włosów otaczającą złotą główkę, taki negatyw całkowitego zaćmienia. Była moją bratanicą w każdym względzie z wyjątkiem więzów krwi i teraz sobie myślę, że mogła być jedną z przyczyn, dla których nie spieszyliśmy się z Kitem do rodzicielstwa – nie tylko miłość do niej

uciszała w nas instynkt rodzicielski, ale widzieliśmy, jak związek Maca i Ling zapadł się po jej urodzeniu. Zbyt ceniliśmy własną relację, żeby pozwolić, aby spotkało nas to samo.

Posłałam Ling do łóżka. Juno wymachiwała nóżkami na macie, a ja starałam się ogarnąć dom – włączyłam pranie, składałam ubrania, wrzucałam do torby ciuszki, z których mała już wyrosła. Kiedy zaczęła płakać, dałam jej butelkę, przypilnowałam, żeby jej się odbiło, przewinęłam. Potem odpłynęła w sen wtulona w moją pierś, a ja przyglądałam się jej uniesionej twarzyczce, wypatrując rysów rodziców. Trudno było stwierdzić, czyje ma oczy, skoro były zamknięte, ale miała spiczasty nosek McCallów. Raz czknęła, wydmuchując mleczną bańkę, która utrzymała się na przypominających pączek róży usteczkach, zupełnie takich jak u Ling. Uspokoila oddech, tak że wpadł w rytm z oddechem dziecka – trzy moje wdechy na jeden jej. W jej maleńkie uszko wyszeptałam wyznanie. Pozostaje jedyną osobą, przed którą się wypowiadałam. Później miałam się cieszyć, że Ling zasnęła. Może zrozumiałaby, co zrobiłam w sądzie, ale też uczestniczyłaby w moich późniejszych wątpliwościach, a mając w niej świadka, byłabym zmuszona działać.

W piątek po ogłoszeniu wyroku, wychodząc z pracy, trafiłam na Yusufa, monolitycznego pracownika ochrony, blokującego komuś wejście do budynku. Nie poświęciłam temu wiele uwagi – biuro, w którym odbywałam staż, znajdowało się w tym dziwnym obszarze pomiędzy City a Soho, blisko British Museum i starym Virgin Megastore i nieraz zdarzało się, że zwiedzający czy robiący zakupy prosili o możliwość skorzystania z naszej toalety. Obeszłam Yusufa, gdy nagle czyjaś ciepła, sucha dłoń chwyciła mnie za przedramię.

– O, tu jest. Lauro!

Zrozumiałam, dlaczego Yusuf nie wpuścił Beth do środka. Miała na sobie fioletowe, dzinsowe dzwony, żółty top odsłaniający brzuch i pół tuzina naszyjników. Włosy związała w niedbały koczek na czubku głowy. Poczulałam zażenowanie z powodu swojego mundurka – sukienki i obcasów. Beth wydawała

się o tyle bardziej s o b ą niż ja; nie, w zasadzie była m n ą bardziej niż ja sama.

– Słyszałaś? – spytała. Zauważyłam, że ma przekrwione oczy. – Nikt do ciebie nie dzwonił? – Uniosłam dłoń, żeby pokazać Yusufowi, że panuję nad sytuacją, i wzięwszy Beth pod rękę, poprowadziłam ją na ulicę.

– Kto miał dzwonić? – spytałam.

– Policja.

Nogi ugięły się pode mną, gdy mózg błyskawicznie wyciągnął wniosek: jakimś cudem znaleźli dowód, że kłamałam. Może Beth poznała treść moich zeznań i mnie wydała? Ale przecież nie narażałaby skazania swojego gwałciciela z powodu technicznej błahostki. Prawda?

– Nie. – Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, jakim zgrabnym, powściągliwym słówkiem jest „nie” – nie ma miejsca na drżenie głosu i zdradę. Istny dar dla kłamcy.

– Jamie Balcombe dostał zgodę na apelację. Carol Kent telefonowała do mnie dziś rano. Nie chciała, żebym dowiedziała się z gazet. – Beth pociągnęła głośno nosem jak dziecko. – Jamie wywalił stary zespół prawniczy, a kolejnemu wydaje się, że mają nowe dowody, które mogą cofnąć całą sprawę na salę rozpraw, a ja nie dam rady, nie mam siły znów przez to przechodzić.

Ja też nie. Dobrze wiedziałam, że drugi raz nie uda mi się przekonująco skłamać – spontaniczność dała mi wiarygodność, której premedytacja nigdy by nie dostarczyła. Teraz miałabym czas na przemyślenia i nerwy. Powrót do mojego oświadczenia na policji zapewne oznaczałby uniewinnienie dla Jamiego Balcombe’a, a dla mnie zarzut krzywoprzysięstwa.

– C h o l e r a. – rzuciłam.

Beth odczytała moją egoistyczną panikę jako troskę o nią.

– No właśnie, cholera. – Wydmuchała nos w brudną chusteczkę. – Przepraszam. Pewnie w ogóle nie musiałybyś się tym martwić, ale nie mogę o tym rozmawiać z rodzicami, dość już przeszli, a znajomi nie rozumieją. Ty tam b y ł a ś, Lauro. –

Moja koleżanka z pracy wyszła z drzwi obrotowych biura i życzyła mi przyjemnego wieczoru. – Przepraszam – powtórzyła Beth. – Pewnie musisz gdzieś

iść.

Tak jakby cokolwiek mogło być ważniejsze od zgłębienia tej sprawy.

– Nie. Sądzę, że powinniśmy... Sądzę, że powinniśmy iść się napić.

Szłyśmy w milczeniu, zmierzając w stronę Holborn. Myśli plątały mi się w głowie. Na szczęście – dla jej spokoju ducha i mojego bezpieczeństwa – Beth wyparła z pamięci prawie cały przebieg napaści, przyjmując moje słowa za prawdę. A może szczegóły mojego zeznania z procesu jakoś jej umknęły, co wydawało się jednak mało prawdopodobne. Istniała jeszcze możliwość, że była doskonale świadoma, że nie mówiła „nie” i że brak „nie” został odnotowany w moich zeznaniach dla policji, i rozumiała, że nadstawiłam dla niej karku. Tak czy inaczej, miałyśmy tyle samo do stracenia. Moje myśli zacisnęły się w ciasny węzeł, któremu mogły dać radę już tylko nożyczki.

Skończyłyśmy w obskurnym pubie dla staruszków przy Oxford Street, jednym z tych tajemniczych lokali w centrum Londynu, w których niby nikt nigdy nie siedzi, a jednak istnieją rok po roku.

– Butelka białego wina? – spytałam, kiedy wspiełyśmy się po skrzypiących schodach do baru na drugim piętrze.

– Dzięki. A ty czego się napijesz?

Żart był badaniem gruntu: czy wolno nam dowcipkować, biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich się poznałyśmy? Zaśmiałam się w odpowiedzi, co zdawało się dodać jej otuchy. Piłyśmy tylko biały zinfandel Echo Falls, ale barman umieścił butelkę w kubałku z lodem, który niosłam do stolika z niejakim zażenowaniem.

– Więc... – Najpierw napełniłam kieliszek Beth, choć ślinka mi ciekła na myśl o czymś zimnym, ostrym, co stłumiłoby nerwy. – Co się stało? Co się d o k ł a d n i e stało?

– Jamie ma nowy sztab prawników – powiedziała. – Sama widziałaś w sądzie, że jego rodzinie nie brakuje pieniędzy, ale nie zdawałam sobie sprawy, jacy są bogaci, dopóki nie przeczytałam pieprzonych gazet. – A więc miała w rękach artykuły. Ta jedna linijka w „Mirror” – „kobieta, zeznająca jako kluczowy świadek, mieszała się w zeznaniach” – nie mogła ujść jej uwadze. Przygotowałam się na

trudne pytanie, ale nie padło. – Ten facet, Jim Balcombe, ma portfel bez dna. Stać go, żeby ciągnąć tę sprawę, aż nie doprowadzą do korzystnego dla nich zakończenia. Sprawdziłam jego nowych adwokatów. Specjalizują się w wyciąganiu z tarapatów takich typów jak on.

Wzięłam duży, kwaśny łyk wina.

– Ale do jakich nowych dowodów udało im się dotrzeć?

Zmarszczyła brwi, nie podnosząc wzroku znad kieliszka.

– Liczą na to, że znaleźli kogoś, kto był przy ognisku w noc przed zaćmieniem.

Czyli nie miało to nic wspólnego z moim zeznaniem. Ulga zepchnęła strach na bok, robiąc miejsce dla troski o Beth.

– Co taki ktoś może wiedzieć, skoro nie było go przy zdarzeniu? – Zdążyłam już opróżnić swój kieliszek.

– Podobno widział, jak mizdrzymy się do siebie, co popierałoby argument Balcombe’a, że flirtowaliśmy. To oczywiście bzdura. To znaczy, rzeczywiście poznałam go poprzedniego wieczoru, dlatego przyczepił się do mnie w dzień zaćmienia, ale pół nocy starałam się pozbyć oślizgłego palanta.

Pamiętałam to z krzyżowego ognia pytań, który rozłożył Jamiego. Był to jeden z elementów, który wytrącił go z równowagi.

– Może to obróci się na twoją korzyść? – zasugerowałam. – Wiesz, nowy świadek mógłby przechylić szalę na twoją stronę. Jeśli ta osoba widziała, jak Jamie cię nękał, mogłoby to wyjść w przesłuchaniu oskarżenia.

– Jasne. Jim Balcombe pewnie wypisał już czek. A nawet jeśli jeszcze nie zdążył, co zdziała jakiś biedny adwokacina przeciw ich honorowym członkom palestry?

– Poprzednio zdziałał – zauważyłam, ale Beth mnie zignorowała.

– Mówię ci, że nie spoczna, dopóki nie kupią sobie odpowiadającego im wyniku. – Pokręciła kieliszkiem, wino obmyło ścianki, zsuwając się z nich jak oliwa. – Staram się nie czuć wściekłości na jego rodzinę. Jestem przekonana, że moi rodzice postępowaliby tak samo, gdyby mieli tyle kasy. Cały ich klan ma go za niewiniątko.

– Ława przysięgłych się nie nabrała – zauważyłam.

– Dzięki tobie. – Nie byłam pewna, czy w jej uśmiechu kryje się wdzięczność czy nutka konspiracji, więc szybko uciekłam z grząskiego tematu moich zeznań.

– Co będzie dalej? – spytałam.

Beth dołała mi wina, po czym odwróciła butelkę do góry nogami w kubelku.

– Z tego, co rozumiem, na razie ma tylko z g o d ę na apelację. To jak krok przed faktycznym złożeniem wniosku, a i wtedy nie ma pewności, że sprawa wróci przed sąd. Więc jeszcze długa droga przed nim. – Głos jej zadrżał. – Najczarniejszy scenariusz dla mnie to taki, że sędzia udziela mu prawa do odwołania, to zostaje rozpatrzone pomyślnie, odbywa się kolejna rozprawa, i tym razem zostaje uniewinniony.

– Nie ma szans – mówię bardziej dla przekonania samej siebie niż jej.

Beth w ostatniej chwili powstrzymała bezgłośnie łzy, wciskając serwetkę w kąciaki oczu. Dałam znak barmanowi, by przyniósł nam jeszcze jedną butelkę.

– Wiesz, że to pierwszy raz od festiwalu, kiedy wyszłam sama? – powiedziała niepewnie. – Próbowалаłam umawiać się ze znajomymi, zachowywać się, jakby nic się nie stało, ale kiedy próbuję choćby przekroczyć furtkę ogródka, wpadam w panikę. Przyjaciele tracą do mnie cierpliwość.

– Wiedzą, co przeszłaś?

– Kilka osób wie, że zostałam zgwałcona, ale nie mówiłam, że to ja jestem ofiarą Jamiego Balcombe'a. Jedna koleżanka chyba się domyśliła, bo ciągle pytała, gdzie odbywał się proces. Wiesz, to była głośna sprawa, czas był zbieżny, nie trzeba być Sherlockiem Holmesem. Gdybym przyznała, że moja rozprawa toczyła się w Kornwalii, od razu skojarzyłyby fakty, więc nic nie mówiłam. A może niczego nie podejrzewała, może po prostu wykazywała zainteresowanie, a ja wpadam w paranoję. Jeśli mam być szczerą, żałuję, że w ogóle puściłam parę z ust. Co ciekawe, w ogóle nie denerwowałam się przyjazdem tu, na spotkanie z tobą. Po prostu... – Twarz Beth pojaśniała na moment, lecz zaraz spochmurniała. – Nie, to idiotyczne.

– Powiedz.



– Dajesz poczucie bezpieczeństwa. – Powiedziała to ze spuszczonego wzrokiem, co poczytywałam wówczas za oznakę głębokiej szczerości, a nie pokrętności. – Czuję, że przy tobie nie spotka mnie nic złego. To głupie, wiem. Ale w końcu to ty mnie uratowałaś.

Milczałam, kiedy barman dolewał nam wina i odkładał butelkę do kubelka z lodem.

– Żałuję, że nie zrobiłam więcej – wyznaję cicho. – Powinnam była wtedy pojechać z tobą.

– To miłe – odparła. – Ale nie mogłaś już wiele pomóc. I tak kazaliby ci czekać przed celami.

– C e l a mi? – Byłam w szoku. – Nie zawieźli cię do szpitala?

– Na komisariacie mają specjalny pokój, ale akurat kogoś tam przesłuchiwali – opowiadała. Wzruszeniem ramion wyraziła horror, który tam przeszła, lecz jednocześnie lecznicze działanie czasu, który upłynął. – Tylko cele mogły zapewnić odrobinę prywatności, kiedy policja czekała na przyjazd lekarki.

– Och, B e t h. Tak jakby badanie samo w sobie nie było dość straszne.

– Dość okropne – przyznała, krzyżując nogi. – Ale najbardziej utkwiło mi w pamięci to, co było potem. Dali mi parę spodni od dresu, żebym miała w czym wracać, a moje ubranie zatrzymali, całe, od pasa w dół, i nie mieli dla mnie majtek. Zawieźli mnie z powrotem na festiwal, żebym zabrała swoje rzeczy z namiotu – wzięłam tylko ciuchy, a namiot zostawiłam, jak stał – ale cały ten czas nie miałam na sobie bielizny. Byłam tego bardzo mocno świadoma i wydawało mi się, że wszyscy wiedzą.

Jej twarz załamała się w walce ze łzami, a ja pojęłam, że skłamałabym dla niej drugi raz. Niech sobie sądzą Jamiego, ile im się żywnie podoba, ja nagnę prawdę za każdym razem, byle tylko poszedł siedzieć.

Przez chwilę sączyłyśmy trunek w milczeniu, ale niezręczna cisza, która zawsze następuje po zbyt wczesnej zażyłości, wyrosła między nami jak mur. Atmosfera się ociepliła, kiedy powiodłam wzrokiem za jej spojrzeniem – na stół do bilardu.

– Nie grasz pewnie? – wypowiedziała tonem, jakby pytała kogoś, czy ma

licencję pilota śmigłowca albo numer komórki premiera.

Uśmiechnęłam się szeroko.

– Zagram z tobą partyjkę.

Beth rozmieniła pieniądze przy barze, ułożyła dwudziestopensówki w stosik na boku, a potem podrzuciła pierwszą z wierzchu monetę.

– Orzeł czy reszka? – Zakryła pieniądze ręką.

Zdmuchnęłam talk z kija.

– Reszka.

– Jest orzeł.

Beth rozbiła bile, czerwone i żółte potoczyły się równo po suknie. Była niższa ode mnie, i podczas uderzenia stawała na palcach, podczas gdy ja trzymałam obie stopy płasko na ziemi. Pomiędzy uderzeniami obchodziła stół wkoło, patrząc z różnych kątów.

– Gdzie teraz mieszkasz? – spytała, jakby podpytywała dawno niewidzianą przyjaciółkę.

– Clapham Common. – Odbiłam czerwoną od bandy, wprowadzając ją do najdalszej łuzi. – Małeńkie mieszkanie na najwyższym piętrze.

– Ja musiałam się wprowadzić z powrotem do rodziców, przynajmniej na jakiś czas. Dopóki z powrotem nie przyzwyczaję się do bycia samą.

– Jak się to sprawdza? – Kochałam mojego tatę, ale mieszkanie z nim pod jednym dachem i stosowanie się do jego zasad wydawało się nie do zniesienia.

– Sama nie wiem. Chcą dobrze. Niespecjalnie miałam wybór. Musiałam rzucić pracę, więc nie byłam w stanie opłacać czynszu.

Czy był jakiś aspekt jej życia, którego Balcombe nie zrujnował?

– Co wcześniej robiłaś?

– W zasadzie nigdy nie miałam żadnej kariery. – Nie potrafiłam stwierdzić, czy sposób, w jaki objęła wzrokiem moje ubranie, wyrażał podziw czy politowanie. –

Po college’u pracowałam jako *au pair* w całej Europie. Przed wypadem do Kornwalii zatrudniłam się w barze, tak na chwilę, dopóki nie wymyślę, kim chcę być, kiedy dorosnę. – Uśmiechnęła się smutno. – Próbowałam tam wrócić, ale nie

mogłam sobie poradzić. Poruszanie się w takim ścisku. Wszędzie ciała. – Skuliła się. – Nie zwracamy uwagi, o ile są od nas w i ę k si. Nie patrzymy na to, że są zbudowani inaczej od nas ani na to, jacy są silni.

Odstawiłam pionowo kij, gotowa ją przytulić.

– Och, Beth. Tak mi przykro.

– To nie twoja wina. – Wzruszyła ramionami, czym nie nabrała ani mnie, ani siebie, ale udało jej się pozbierać. – Jesteś ciągle z tym samym chłopakiem co w Kornwalii?

Powrót do stołu przywrócił mi poczucie bezpieczeństwa.

– Z Kitem, tak. – Wino w moim krwiobiegu poluzowało mi chwyt na kiju, jeszcze usprawniając moją grę.

– Czyli to coś poważnego?

– Właściwie – zmrużyłam jedno oko dla lepszego uderzenia – to nie mój chłopak, tylko narzeczony. Choć nie znoszę tego słowa, bo od razu przywodzi na myśl jakąś lafiryndę wymachującą wszystkim przed nosem brylantem.

– Co ty, L a u r o – powiedziała z takim rozczarowaniem, że przez chwilę myślałam, że może nie dosłyszała, co powiedziałam. – Nie podchodź do miłości ze snobizmem czy wstydem. O to przecież chodzi, prawda? O to chodzi w życiu. –

Podaliśmy jej kij i spojrzałam na nią spod uniesionych brwi. – Wiem, nie spodziewałabyś się tego po mnie, bo nie jestem typową dziewczynską dziewczyną, ale marzyłam o tym od zawsze, odkąd byłam mała. To przecież nie słabość chcieć seksu, partnerstwa, bycia mamą, i w ogóle. – Zrozumiałam, że ma rację. Zawsze mi się wydawało, że przyjemność i komfort, jakie czerpałam ze związku z Kitem, były jakieś... nie super. Beth bezmyślnie podbijała kij o dłoń. – Teraz nie mogę sobie tego nawet wyobrazić. – Jej swobodna pewność siebie sprzed kilku sekund zniknęła. – Ograbił mnie z tego wszystkiego. Czuję się jak... jeżozwierz. – Zrobiła sobie kolce z palców, udając, że rosną jej wszędzie na powierzchni skóry. – Jakim sposobem jakikolwiek mężczyzna przedrze się przez to wszystko?

– Naprawdę mam nadzieję, że się doczekasz. – Zabrzmiałam w najlepszym razie nieprzekonująco, w najgorszym protekcjonalnie.

Nagle rozległ się dzwonek wzywający do ostatnich zamówień przy barze i Beth skrzywiła się, po czym w jej szeroko otwartych oczach odmalowała się panika.

– O ja piernicę. Jeszcze chyba nie ma jedenastej? Mam jakieś pięć minut, żeby się dostać na Liverpool Street.

– Zatrzymaj się u nas. – Zaproszenie wyrwało mi się odruchowo, martwiłam się jedynie, czy kanapa nie jest już zajęta przez Maca.

Głośne, rozjarzone świetlówkami metro było zbyt tłoczne, by rozmawiać; w naszym wagonie aż do Clapham Common dostępne były jedynie miejsca stojące. Nie znosiłam tej stacji nawet w jej najlepszych momentach – zamiast dwóch oddzielnych peronów jest tu jedno wąskie przejście biegnące dokładnie pośrodku, a pociągi jeżdżą głębokimi rynnami po obu stronach. Nie ma ściany, o którą można by się oprzeć dla bezpieczeństwa w godzinach szczytu. Groza miejsca wzmaga się jeszcze przy ostatnim pociągu, i Beth wzięła mnie pod ramię, jakby szukała ochrony, kiedy szłyśmy wzdłuż torów.

W mieszkaniu panował mrok, z wyjątkiem sznura kolorowych światełek rozpiętych wokół regału z książkami w salonie – sposób Kita na przekazanie mi, że poszedł już spać. Drzwi do sypialni były jak zwykle uchylone, drewno wypaczyło się przez lata i nie pasowało do framugi.

– Ładnie – pochwaliła Beth, wyglądając z balkonu na zieleniec w dole.

Nie zapalając światła, bez słowa pościeliłam futon, powlekałam poduszki i z narzuty zrobiłam kołdrę.

W tamtych czasach zbierałam świeczki zapachowe. Były ręcznej roboty, ich zapach nosił nazwę krwawe róże i były bardzo drogie, ale zawsze miałam zapas, bo Kit zaopatrywał mnie w nie na urodziny, Boże Narodzenie, walentynki i rocznice, był przy tym tak zachwycony, że nie musi zaliczać jakiegoś kobiecego testu na intuicję i intymność w kwestii wyboru idealnego podarunku, że nawet nie wzdragał się, stając przy kasie. Posiadały też moc neutralizowania smrodu dolatującego z budki z kebabami pod nami. Zapaliłam teraz jedną dla Beth.

– Zdmuchnij przed zaśnięciem – poradziłam. – Nie będziesz musiała szukać pstryczka.

Woń róż, stale unosząca się w tym mieszkaniu, zaczęła nabrzmiewać, jakby ktoś macerował płatki tuż pod naszymi nosami. Beth wzięła głęboki wdech.

W sypialni Kit wydychał sen i pastę do zębów. Pogrzebałam w naszej wspólnej szafie w poszukiwaniu czegoś, w czym Beth mogłaby spać, i wpadła mi w ręce stara koszulka, którą rzuciłam, a ona złapała.

– Potrzebna ci szczoteczka do zębów? – szepnęłam.

Trzymaliśmy wielopak w szafce w łazience na takie okazje, odkąd nakryłam Maca korzystającego z mojej szczoteczki do szczyszczania białej piany z języka.

– Czytasz mi w myślach – powiedziała.

Kiedy szorowała zęby i przebierała się w łazience, zerknęłam do torebki, którą zostawiła całkiem otwartą na kanapie. Była prawie pusta, z wyjątkiem skórzanej niebieskiej portmonetki – kupiła sobie nową po festiwalu – karty kolejowej i pomiętego egzemplarza czasopisma „Sky”. Była też para czystych majtek wetknięta do siatkowej kieszonki. Wyłączyłam sznur lampek głównym wyłącznikiem, rozłożyłam do końca łóżko, i zostawiłam świeczkę o woni krwawych róż płonąca jasno dla dziewczyny, która nosiła ze sobą zapasową bieliznę, tam gdzie większość z nas nosiłaby klucze.



LAURA

19 marca 2015

Robotnicy u sąsiadów z zapalem dłutują w murze oddzielającym posesje. Łup, łup, łup – słycać ich narzędzia, a każde uderzenie podnosi mi ciśnienie.

Jest mi duszno z nerwów. Podobnie jak Mac nie mógł strzelić sobie szota whisky bez wydrążenia całej butelki, moja wizyta w zakazanych zakamarkach internetu wywołała we mnie drastyczne pogorszenie. Doskonale świadoma, że robię sobie krzywdę, ale bezsilna wobec masochistycznego wewnętrznego przymusu, wpisuję w sieci .

Wstrzymuję oddech, kiedy strona się ładuje, i wmawiam sobie, że na pewno nie zobaczę nic gorszego niż to, co znalazłam rano, ale strona główna nie zmieniła się od sześciu miesięcy i dwóch dni (Nie żebym liczyła, po prostu wiem, bo ostatni raz logowałam się na portalu Jamiego rano, w przeddzień odkrycia, że jestem w ciąży. Po pozytywnym wyniku testu musiałam chronić dzieci przed skokami adrenaliny, których zawsze doświadczałam, wpisując ten adres). Zniknęło śmiałe zapewnienie o niewinności, biografia, dane kontaktowe i spis treści. Zniknęło trzyletnie bicie piany o Komisji Rewizyjnej Spraw Karnych. Zniknęły zdjęcia Jamiego w rodzinnym gronie, Jamiego na koniu, Jamiego na owej nagrodzonej ekoposiadłości, Jamiego odbierającego dyplom magisterski z kryminologii. To wszystko zastąpiono poniższą informacją, podaną czerwonym drukiem na czarnym

tle.

STRONA JAMIEGO JEST AKTUALIZOWANA Z POWODU EKSCYTUJĄCEGO NOWEGO ROZWOJU WYDARZEŃ. DZIĘKUJEMY ZA WASZE NIEUSTAJĄCE WSPARCIE.

Wpatruję się w napis przez kilka sekund, potem zamykam okno. Rozwój wypadków nie może być taki znów nowy ani ekscytujący, skoro wiadomość wisi tam już od pół roku. Poza tym, gdyby naprawdę coś nastąpiło, PR-owcy Balcombe'ów bezzwłocznie nagłośniliby to we wszystkich mediach. Nie wiem, co się dzieje. Niektórzy mogliby stwierdzić, że uznali swoją porażkę, ale Jim Balcombe powiedział kiedyś, że będzie walczył o przywrócenie dobrego imienia synowi do śmierci, a z tego, co wiem, nie opuścił jeszcze tego padółu.

Kto teraz, oprócz mnie – albo Beth – mógłby obalić wyrok skazujący Jamiego? To o mnie mu chodziło. O to prosił w tych wszystkich listach – żebym pod przysięgą cofnęła swoje pierwotne zeznania. Warunki zwolnienia warunkowego zakładały dożywotni zakaz kontaktowania się z jego ofiarą, ale o mnie nie było mowy.

Mało prawdopodobne, że po upływie ponad półtorej dekady komuś nagle coś się przypomniało i zgłosił się z tym na policję, więc jestem raczej skłonna przypuszczać, że zawieszenie strony to ich wersja staromodnego obrazu kontrolnego; sposób na podtrzymanie przy życiu przesłania, m a r ki, podczas gdy oni łapią oddech. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Nigdy nie pojmowałam prawnych machinacji tej daremnej kampanii, a jej motyw na zmianę zyskuje i traci klarowność, zależnie od mojego nastroju.

Gdyby stało się coś istotnego, informacja natychmiast trafiłaby do mojej skrzynki mailowej. Lata temu ustawiłam sobie powiadomienie w Google'u na „Jamie Balcombe + nowy proces”. Przez piętnaście lat wyszukiwarka nie pochwaliła się ani jednym trafieniem, ale ryzyko nigdy nie maleje.

Ponowne rozpatrywanie sprawy przez sąd z powrotem splotłoby ścieżki nasze i Beth i obudziłoby moje uśpione kłamstwo. Nie wiem, czego bardziej się boję.



LAURA

19 maja 2000

Kit zbudził się pierwszy i już był, nagi, przy drzwiach sypialni, kiedy przypominałam sobie, że mamy gościa. Bardziej przejęta potencjalnym przerażeniem Beth niż wstydem Kita wystrzeliłam nogą spod kołdry, podgięłam stopę i podciąłam mu goleń.

– Ktoś jest w pokoju gościnnym – szepnęłam.

Na twarzy Kita odmalował się niepokój – wiedział, że nie ostrzegałabym go, gdyby chodziło o Maca – więc naciągnął spodnie i T-shirt z podłogi.

– Kto? Nie słyszałam, żeby ktoś wchodził.

– Nie denerwuj się, ale to Beth. Z Kornwalii.

Szczęka mu opadła.

– Jak... co o n a tu robi? Jak cię w ogóle znalazła?

– Wczoraj wieczorem przyszła do mnie do biura. Dałam jej w sądzie wizytówkę.

Wagę tych słów pojęłam, gdy tylko wyfrunęły mi z ust. Oczy Kita przesunęły się leciutko na boki, jak po koralikach liczydła: Beth opuściła gmach sądu po złożeniu zeznań. *Ergo* od drugiego dnia do końca procesu była nieobecna. *Ergo* Laura musiała rozmawiać z nią w pierwszy dzień. *Ergo* Laura okłamała mnie co do tego, gdzie była, kontaktowała się ze świadkiem i naraziła sprawę.



– Ki e dy?

Złapałam go za rękę.

– Spotkałyśmy się przypadkiem, w łazience. – Szeptałam, ale mówiłam szybko, żeby nie zdążył wykombinować, że nie korzystałam z toalety, kiedy byliśmy razem. Gdyby odkrył, że celem mojego wymknięcia się z hotelu podczas jego drzemki nie był spacer, wpadłby w furję. – Proszę, nie złość się. To był spontaniczny gest i przysięgam ci, że nie rozmawiałyśmy o sprawie. – Kit obrzucił mnie spojrzeniem z repertuaru mojego ojca: nie gniewam się na ciebie, Lauro, jestem tylko bardzo zawiedziony. Usiadłam przy nim. – Posłuchaj, nieważne, jak mnie znalazła, ważne dlaczego. Przyszła do mnie do pracy, bo była kompletnie wytrącona z równowagi. Jamiemu Balcombe’owi udzielono zgody na apelację od wyroku.

– Hola. – Kit przetarł dłonią nieogoloną twarz. – Gdyby doszło do ponownego procesu, to módl się, żeby nikt nie widział, jak rozmawiałyście w toalecie, a już na pewno że organizujecie sobie imprezki w piżamach. – Spod jego złości wyzierała pogarda, uruchamiając we mnie falę lęku. Byłam w stanie znieść gniew, ale nie utratę jego szacunku. Jeśli moja rozmowa z Beth wywoływała w nim taką reakcję, to n i g d y nie może się dowiedzieć, co powiedziałam na sali rozpraw.

– Nie musicie szeptać, już nie śpię – dobiegł nas z salonu głos dziewczyny.

Zostawiłam Kita na wpół ubranego i kipiącego ze złości w sypialni. Beth była już na nogach i ziewała. Kiedy zauważyłam, w co jest ubrana, zrozumiałam, że spieprzyłam na kolejnym poziomie. T-shirt, który chwyciłam w ciemności, był ukochaną koszulką Kita, świętą pamiątką z Chile ’91, wytartą, miejscami dziurawą, ale tak cenną, że sam prawie nigdy jej nie wkładał, a ja pozwoliłam Beth w niej spać.

– Zaczekaj – poleciłam, zarzucając na nią kołdrę i zaciskając tę dziwną pelerynę wokół jej szyi. – Nie zdejmuj tego, wyjaśnię później.

Posłuchała bez słowa sprzeciwu i pomyślałam, że znów jesteśmy współwinnymi. Kiedy Kit wyłonił się z sypialni, wyglądała dziwnie – ciemne, kręcone włosy jak erupcja wulkanu nad białą górą pościeli.

– Cześć – przywitała się z Kitem nieśmiało. – Miło cię znów widzieć. Przepraszam za zmonopolizowanie waszej kanapy.

– W porządku – odparł odruchowo Kit, po czym zamknął się w łazience, niemal trzaskając za sobą drzwiami.

– Nie jest rannym ptaszkiem – wyjaśniłam, napełniając czajnik. – Przepraszam, ale mogłabyś zdjąć ten T-shirt? To jeden z jego ulubionych, wpadnie w szal, jak zobaczy, że dałam ci go do spania.

Zrzuciła z siebie całun, ze zdziwieniem przyjrzała się pogniecionej koszulce, po czym odwróciła się, żeby przebrać się w swój wczorajszy strój. Miała ogromny tatuaż na plecach i barkach, parę szerokich, rozpostartych anielskich skrzydeł, pięknych w swych detalach, jak rysunek piórkiem w osiemnastowiecznym podręczniku do przyrody. Poruszały się wraz z mięśniami grzbietu. Zmusiłam się, żeby się nie gapić. Kiedy już upchnęłam Chile '91 z powrotem do szafy – doprawdy, powinien sobie zawinąć skarb w bibułę, jeśli nie chce, żeby go ktoś przez przypadek włożył – zastałam Beth stojącą z założonymi rękami przed olbrzymią mapą świata Kita.

– Co oznaczają te wszystkie kreski? – spytała. – Trasy samolotów?

Zapomniałam, jaka to może być łamigłówka dla niewtajemniczonych.

– To ścieżka całkowitych zaćmień całego życia Kita – wyjaśniłam.

Uśmiech Beth zniknął, gdy ustawiła palec obok mojego i powiodła go drogą cienia przez kanał La Manche do Europy.

– To zeszły rok – powiedziała, zatrzymując się w Kornwalii. – A te pozostałe?

– Jeździ za zaćmieniami po całym świecie, teraz już oboje to robimy. Interesuje się tym od dziecka. Mamy podróże zaplanowane już w nowym tysiącleciu – ruch łowców zaćmień zdaje się powiększać. Następne będzie w Zambii za kilka lat, więc tym razem naprawdę powinno mi się udać go doświadczyć. – Nagle usłyszałam swoje słowa uszami Beth i mogłabym przyłożyć sobie pięścią w twarz. Miałam ochotę zedrzeć mapę ze ściany; jakie to wredne, że najstraszniejszy dzień w jej życiu był zredukowany do pamiątkowego wykresu. – Boże, przepraszam, ale jestem gruboskórna. Jęczę na temat pochmurnego nieba przy tym wszystkim, co

spotkało ciebie.

Zbyła moje przeprosiny machnięciem ręki, ale mocno przygryzała dolną wargę. Przeniosła uwagę z mapy na oprawione w ramkę zdjęcie wiszące poniżej. Ling zrobiła je kilka miesięcy przed festiwalem w Lizard. To był mój wieczór – uroczystość wręczenia dyplomów. Na fotografii leżymy z Kitem spleceni na trawie w wypożyczonych strojach galowych: Kit w czerni, pod krawatem, ja w bladozłotej sukni balowej. Mamy złączone nogi, splecione palce, a obok nas leży pusta butelka po szampanie. Otaczali nas inni ludzie, ale byliśmy kompletnie niepomni ich istnienia. Nigdy nie będziemy mieć drugiego takiego zdjęcia. Nie tylko rumianych policzków i sprężystej skóry nie da się odtworzyć.

– Nie wiedzieliśmy, że ktoś patrzy – powiedziałam. – Dlatego udało jej się złapać taką doskonałą chwilę.

– Tego pragnę – powiedziała i jasne było, że nie ma na myśli zdjęcia, tylko to, co reprezentuje.

Poprawiłam fotografię na ścianie i przeszłam dwa kroki do kuchni, gdzie wrzuciłam torebki herbaty do wrzątku.

– Kiedy dowiemy się, czy dojdzie do odwołania?

– Raczej miesiące niż tygodnie, zdaje się.

– Cóż, wiesz już, gdzie mnie szukać.

– Rzeczywiście – powiedziała, rozglądając się wokół, jakby próbowała zapisać w pamięci każdy szczegół naszego mieszkania.

Kit przemknął z łazienki do sypialni, po kilku sekundach wyłaniając się znów, tym razem w pełnym służbowym rynsztunku: adidasach gazelle, džinsach i koszuli flanelowej w kratę; młodociana wersja sztruksów i łat na łokciach. Porwał suchą kromkę chleba z blatu i wsunął ją do ust.

Beth podniosła kolejne zdjęcie, ukazujące tęczę nad zieleńcem, siedmiopasmową autostradę na niebie.

– Gdzie to kupiłaś?

– Kit pstryknął – powiedziałam.

– Poważnie? Czym? Znam się trochę na fotografii, pracowałam dla fundacji

sztuki.

– Starym nikonem prime. – Kit wreszcie trochę zmiękł. – Nie są już popularne, ale ja je uwielbiam.

– Prime to dobra maszyna – zgodziła się. – Masz obiektyw super-telefoto? Są świetne do robienia zdjęć nieba.

– Cóż, może kiedyś, jak wygramy na loterii – burknął. Nie zachowywał się zbyt przyjaźnie, ale też nie był bardzo nieuprzejmy. – Lauro, zbieraj się, bo się spóźnimy.

Prysznic zajął mi półtorej minuty. Popsikałam odświeżaczem do tkanin w miarę niepoplamioną sukienkę, po czym potraktowałam włosy w ten sam sposób. Kit był prawie piętro niżej, a jego niezadowolone cmokanie wzmacniało echo wąskiej klatki schodowej.

– Chodźmy – powiedziałam do Beth, wsuwając stopy w buty do biura.

– Nie zdążyłabym jeszcze wskoczyć pod prysznic? – spytała.

Zerknęłam na zegar. Za dziesięć dziewiąta. Nie miałam już ani minuty.

– W porządku, mogę wyjść sama.

Moje wahanie trwało może sekundę. Normalnie nie zostawiłabym obcej osoby samej w mieszkaniu, ale też ta znajomość postępowała naprzód w przyspieszonym tempie.

– Jasne. Na drzwiach łazienki wisi zapasowy ręcznik. Odwieś go na poręcz balkonu, jak skończysz.

Dogoniłam Kita przy wejściu do metra.

– Gdzie Beth? – spytał, zaglądając mi przez ramię.

– Bierze prysznic.

W odpowiedzi uniósł brwi.

Kiedy o wpół do szóstej wróciłam do domu, naczynia były pozmywane, a mieszkanie lśniło tak, że wyglądało na przemeblowane, choć kiedy przyjrzałam się książkom, stwierdziłam, że stoją w swoim zwykłym układzie, tylko równiej i bez kurzu. Półki z książkami zdenerwowały mnie bardziej niż lśniące szklanki czy posłane łóżko – miałam wrażenie, że je przeglądała, czytała, jakby chciała odczytać

nas samych. O osiemnastej dostałam SMS-a.

*Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko odegraniu przeze mnie Kopciuszka w Waszym mieszkaniu. Chciałam Wam podziękować, za wszystko.*

Nie musisz nam dziękować – ale dzięki – odesłałam.

Kiedy Kit wrócił do domu, bardzo późno i z torbą wypchaną esejami do sprawdzenia, zinterpretował porządki jako gałązkę oliwną z mojej strony za to, że wpuściłam Beth do mieszkania. Nie wyprowadzałam go z błędu.



LAURA

20 maja 2000

W tamtych czasach nietrudno by mnie było namierzyć. Langrishe to niespotykane nazwisko – w życiu nie trafiłam na nikogo, kto by je nosił. Kiedy przyszedł list, prostokąt rzucony pod kątem na wytartą wycieraczkę, natychmiast wiedziałam, co to jest, i to nie tylko, skąd przyszedł, choć więzienny stempel zdradził, że więzień przebywa obecnie w Wormwood Scrubs, ale też, co zawiera. Miał tylko jeden powód, by pisać. I napisał – o, ironio – na żółtym papierze w linie, standardowo używanym do tworzenia dokumentów prawnych.

*Lauro!*

*Piszę te słowa w swojej celi w Wormwood Scrubs. Po sąsiedzku mam seryjnego gwałciciela dzieci. W zeszłym tygodniu groził strażniczce brzytwą osadzoną w starej rączce szczotki do zębów. Tak wygląda moja obecna egzystencja. Na przebywanie z takimi ludźmi mnie skazałaś. Jedyne, co trzyma mnie przy życiu, oprócz Antonii i rodziny za tymi murami, to świadomość, że nie zasługuję, by tu przebywać, i że wyrok bez wątpienia zostanie uchylony, gdy moje nazwisko zostanie oczyszczone.*

*Dlaczego, Lauro? Nadal nie mogę pojąć, dlaczego skłamałaś na rozprawie. Nie słyszałaś, jak moja oskarżycielka mówi „nie”. Wiem, że to wiesz. Nabrałaś ławę przysięgłych, może nawet przekonałaś moją oskarżycielkę, że mówiłaś prawdę, ale ty i ja oboje znamy prawdę. Jak możesz z tym żyć?*

*Na pewno doszły Cię wieści, że składamy apelację. Jestem przekonany, że wkrótce spotkamy się znów w sądzie, ale tym razem mój adwokat obnaży Twoje kłamstwo. Czy nie lepiej postąpić właściwie teraz, skontaktować się z policją lub którymkolwiek z moich przedstawicieli i poprawić swoje zeznanie, niż żeby odbyło się to na sali sądowej? Oczywiście musisz się liczyć z konsekwencjami. Jednak gdziekolwiek by Cię posłali, na pewno nie będzie tam tak ponuro jak tutaj. Nie przestanę do Ciebie pisać. Jeśli będę pisał do Ciebie dość często – a czasu mam aż nadto – ufam, że powaga tego, co zrobiłaś, wreszcie do Ciebie dotrze. Widziałem Cię w Kornwalii, obserwowałem w sądzie. Potrafię rozpoznać pasję i zasady, kiedy mam je przed oczami, i przykro mi, że te cechy powiodły Cię w stronę nieprawdziwych wniosków. Twoje sumienie musi Ci jednak doskwierać i teraz bez skrępułów do niego się odwołuję. Więc proszę, proszę: odwołaj swoje kłamstwa i zwróć mi wolność.*

*Z poważaniem*

*Jamie Balcombe*

Weszłam na górę, tupiąc tak mocno, że bolały mnie biodra. Jego arogancja uderzyła mnie w pierwszej kolejności – miał czelność odnosić się do rzeczy, które oboje wiedzieliśmy, skoro ja tam byłam, skoro wszystko widziałam. W jego niezachwianym tonie czaił się znów urok, który sprawiał, że czułam się jak na krawędzi przepaści. Pomyślałam, że pewnie złamał przynajmniej jeden przepis, pisząc do świadka. Sprawdziłam to parę dni później, wydając fortunę na ukradkowe telefony z budki do centrum opieki nad świadkami i systemu nadzoru kuratorskiego, gdzie dowiedziałam się, że takie sytuacje zdarzają się częściej, niż mogłoby się wydawać. Pisanie do świadka jest przestępstwem tylko wówczas, gdy list stanowi próbę zastraszenia, a on był zbyt sprytny, żeby grozić mi wprost. Musiał wiedzieć, że ze strachu przed wyjawieniem prawdy nie pójdę do władz. Okazało się, że poczta więźniów jest kontrolowana, ale wybiórczo, poza tym szuka się raczej naruszenia praw bezpieczeństwa – informacji o narkotykach, ucieczkach – niż poruszania tematu sprawy. Pewnie gdyby poddawali cenzurze każdego skazańca zapewniającego o swojej niewinności, poczta więzienna nie dostarczałaby zbyt wielu przesyłek. Może gdybym zachowała wszystkie przesyłki, ich częstotliwość i objętość złożyłyby się na jakieś nękanie czy zastraszanie, ale wtedy

pragnęłam tylko pozbyć się ich, zanim trafią w ręce Kita.

W tamtym czasie bez trudu rysowałam granicę pomiędzy racją Jamiego, bo praktycznie rzecz biorąc, ją miał, a słuszością jego roszczeń, do których moim zdaniem prawa nie miał.

Otworzyłam drzwi na ulicę i zostawiłam je na zatrzasku. Przemknęłam boso, na palcach, brudnym chodnikiem i włożyłam list do publicznego kosza na śmieci, wciskając go pomiędzy pusty kubek ze Starbucksa i gazetę. Cały weekend czułam jego obecność pod domem. Uspokoiliam się dopiero we wtorek rano, kiedy o świcie przyjechała śmieciarka. Patrzyłam z balkonu, jak panowie w kombinezonach wysypują jeden kubek po drugim. Wmówiłam sobie, że widziałam żółtą kartkę papieru, jaskrawą jak kłamstwo, kręcącą się i wirującą w morzu śmieci, kiedy paszcza śmieciarki przeżuwała niestrawną prawdę.





KIT

19 marca 2015

Po wpadce z viralowym nagraniem potrzebny mi jakiś czyn, cokolwiek, żeby ugłaskać Laurę – odpowiednik zjawienia się w progu z szampanem i kwiatami, romantyczny gest, którego kompletny brak był mi tak często wytykany. Filmik Darrena ukazał dwie wyróżniające mnie cechy. Pierwsza, moja koszulka Chile '91, jest już zwinięta w bocznej kieszeni plecaka, skąd nie wyjmę jej, dopóki nie wrócę do Londynu. Druga, rudawa bródka, czyni mnie natychmiast rozpoznawalnym, nawet w tej krainie wikingów. Pozbycie się jej to najlepszy sposób na odzyskanie anonimowości. Tak właśnie trafiam do Czasu dla Mnie, pokładowego salonu piękności. Mieści się on w przerażającym pomieszczeniu bez okien, który cuchnie kobiecymi włosami i kosmicznymi chemikaliami. Mają tu pojedynczy zlew ze słuchawką prysznicową i umywalkę z wycięciem na szyję, która wygląda jak narzędzie do egzekucji. Starsza pani z diamentami na paznokciach u rąk i w butach ortopedycznych na nogach przegląda magazyn „Hello!” pod przedpotopową suszarką jak hełm kosmonauty.

Na blacie leży cennik, więc przebiegam wzrokiem po liście usług. Niepotrzebne mi strzyżenie ani modelowanie, nie muszę też wiedzieć, czym jest hollywoodzki wosk, żeby być pewnym, że nie mam na niego ochoty. Nie widzę nic dla siebie. Nie znoszę prosić o cokolwiek spoza menu w żadnym kontekście, ale rozpaczliwe

potrzeby wymagają rozpaczliwych środków.

– Czym mogę służyć? – Kobieta w wieku mojej mamy, z obfitym biustem, wychodzi z żaluzjowych drzwi. Ma krótką, szykowną fryzurę z pasemkami w odcieniu śliwki i burgundu.

– Nie wykonuje pani pewnie staromodnego golenia na mokro?

– Staromodnego nie. – Uśmiecha się życzliwie. – Podcinające gardło brzytwy i wzburzone morze to niezbyt fortunna kombinacja. Jeśli chce się pan pozbyć tego zarostu, mogę to załatwić maszynką do strzyżenia i do golenia.

– Za ile?

Bada mnie wzrokiem, najwyraźniej desperację mam wypisaną na czole.

– Trzydzieści funtów. – Jej uśmiech zdaje się teraz podszyty drwiną, ale zamiast „Trzydzieści, kurwa, funciaków”, które mam na końcu języka, wyduszam:

– Poproszę.

Pakuje mnie w ogromny śliniak i wiąże pod szyją ręcznik, co w innych okolicznościach mogłoby mi nawet poprawić samopoczucie. Za dotknięciem golarki opadają na ziemię szorstkie, rude włosy. Spodziewam się puszek z pianką, ale ona namydla mi twarz pędzlem do golenia i mydłem, dokładnie tak jak robił to mój ojciec, i nagle jestem z powrotem w Chile w 1991 roku, na zaćmieniu. Mieliśmy z Makiem jakieś dwanaście lat i może ze trzy włoski na brodzie razem wzięci, ale koniecznie chcieliśmy się już golić, więc kiedy tata padł na plaży, przekopaliśmy jego kosmetyczkę i skorzystaliśmy z jego przyborów. Ledwo widzieliśmy ze śmiechu, kiedy nakładaliśmy sobie nawzajem pianę, a potem zrobiliśmy użytek z jego beznadziejnej, tępej, starej brzytwy, oblepionej jego posiwiąłymi włoskami, i pochlastaliśmy sobie na strzępy nasze gładziutkie buźki.

To wspomnienie prowadzi mnie do następnego – podczas podróży z tatą wielu rzeczy doświadczyliśmy po raz pierwszy, na ogół wtedy, gdy wychodził się napić albo odsypiał picie w pokoju hotelowym, domku na plaży czy jakiejś przyczepie. Następnego lata wypaliliśmy pierwszego papierosa, wykradzonego z miękkiej, papierowej paczki American Spirit, które zawsze kopał – tytoń był organiczny, co, jak rozumiał tata, oznaczało, że w zasadzie był dosłownie źródłem witamin. Tym

razem się nie śmialiśmy, zachowywaliśmy śmiertelną powagę. Niezdarny rytuał stał się zabawny dopiero, kiedy zorientowaliśmy się, że aby odpalić papierosa, trzeba było jednocześnie wziąć wdech. Gdy już do tego doszliśmy, zaciągnąłem się po raz pierwszy i niemal zemdlałem. Mac stwierdził, że wchodziło lepiej niż tlen.

Rok później była Brazylia '94. Mieliśmy po czternaście lat. Tata zorganizował wtedy podróż samochodem – jechaliśmy od lotniska w Nowym Meksyku całą drogę do Brazylii, gdzie mieszkali jego starzy znajomi. Po drodze po raz pierwszy się upiliśmy, wykradłszy litr rumu Whyte and Mackay, który w zamyśle miał nam wystarczyć na tydzień. Fłaszka była pusta w pół godziny. Obaj się porzygaliśmy i tylko Mac sięgnął po więcej. Ja od tamtej pory trzymam się od rumu z daleka.

Na tej wycieczce miałem też dostać swój pierwszy pocałunek, ale Mac miał inne plany.

Rum się skończył, ale była jeszcze butelka dżinu, którą zabraliśmy na plażę, gdzie wszystkie dzieciaki łowców zaćmień paliły ogniska i piły całą noc. Większość stanowili Amerykanie i nasz londyński akcent działał jak afrodyzjak. Podczas gdy Mac czarował seksowną, punkową siedemnastolatkę, wmawiając jej, że z daleka widać, że jest bardzo natchnioną osobą, ja wdałem się w spokojną rozmowę z dziewczyną imieniem Ashley, o tym przytłumionym typie urody, którego na pierwszy rzut oka łatwo nie docenić. Była bystra, dowcipna, a kiedy spytała, czy mam ochotę, odparłem, że tak, jedną minutkę, po czym w mgnieniu oka zniknąłem, żeby wysikać się pod klifem. Kiedy wróciłem do ogniska, Ashley leżała na plecach na wydmie, a mój bliźniak wił się na niej z ręką w jej staniku. Już wtedy jego życie seksualne stanowiło serię nakładających się na siebie koniugacji. Jego uzasadnieniem dla seryjnych zdrad było to, że czas ma magiczną moc rozgrzewania – im czyn odleglejszy w czasie, tym łatwiej jest z nim żyć, kiedy wreszcie można uznać, że w zasadzie nic złego nie zrobiłeś. Twierdził, że świadomość, iż poczucie winy kiedyś zaniknie, sprawiała, że zanikała jeszcze szybciej.

Zawsze ściemniał.

Później, kiedy Ashley otrzepała się z piasku i poszła do domu do rodziców, Mac

nie mógł pojąć, o co się tak wściekam, wmawiał mi wręcz, że „przełamywałam” Ashley dla mnie. Tak jakby jakakolwiek dziewczyna chciała być ze mną po byciu z nim. Wzdrygam się na to wspomnienie i fryzjerka zacina mi skórę. Otwieram gwałtownie oczy, w lustrze widzę, jak czerwony strumyczek biegnie szczeliną w bieli.

– O, głuptas z pana.

Tkwię w bezruchu, podczas gdy ona zdrapuje resztki brody z mojej twarzy. Christopher Smith znika, ujawniając Kita McCalla. Beth będzie oczekiwać zarośniętego faceta; mam nadzieję, że jeśli dojdzie do spotkania, ta niespodzianka kupi mi kilka sekund, żeby przejrzeć jej zamiary.

Skaleczenie na policzku krwawi, ilekroć się uśmiecham, więc ustawiam się dobrym bokiem, kiedy wysyłam Laurze przeprosiny w formie selfie.

Gdy wracam na pokład, słońce zachodzi nad Torshavn. Postanawiam, że lepiej zostać tu, niż ryzykować w barach na dole. Statek cały lśni, odbicia są wszędzie, w szklanych drzwiach, wypolerowanych mosiędzach i zaokrąglonych chromach.

Ilekroć łapię się w którejś z tych namiastek lustra, jestem w tej samej pozycji, gładząc się po brodzie, parodia filozofa albo profesora, którym nigdy nie przyszło mi być.



LAURA

28 maja 2000

Zbliżał się piątkowy wieczór, pierwsza prawdziwie letnia noc roku. Puby i kawiarnie rozstawiały stoliki i krzesła na chodniku pod nami, jakby jedno słoneczne popołudnie wystarczyło, żeby Clapham Common Southside zamienić w Pola Elizejskie. Chodnikowi palacze wciągali smog do spółki z nikotyną, ale czysty zefirek niósł świeże powietrze przez czubki drzew prosto do naszego dusznego mieszkania. Byłam na balkonie, starając się dać Kitowi trochę przestrzeni, poprzedniego dnia bliźniacy pokłócili się na noże, kiedy Kit odmówił Macowi pożyczki pieniędzy. Kit siedział na kanapie, z laptopem i nieszczęśliwą miną, gdy zadzwonił stacjonarny telefon. Sięgnęłam po słuchawkę.

– Zaczęło się – powiedziała zamiast powitania Beth. – Muszę się z tobą zobaczyć.

– Jasne. – Odplątałam stopę z kłębu kabli wijących się pod stolikiem; jeden nieostrożny ruch mógł skutkować jednoczesnym odłączeniem telefonu, internetu i telewizora. – Chyba nie mamy planów na weekend.

– Jestem na stacji metra – powiedziała z lekką nieśmiałością.

– Clapham Common? – Kit podniósł wzrok znad ekranu, słysząc mój ostry ton.

– Tak – odparła. – Musiałam się wyrwać.

– To wejdź.

Kit westchnął ciężko i przeciągnął się, aż laptop się przechylił.

– Mac?

– Nie. Mm, Beth Taylor jest pod drzwiami.

Niepokój natychmiast zastąpił rezygnację.

– Coś z odwołaniem? Po co znowu przylazła?

– Nie wiem.

Byłam przekonana, że mój czas się skończył. Czytałam o procesie apelacyjnym. Wyglądało na to, że apelację wносиło się ot, po prostu – mógł to zrobić każdy, kto posiadał wystarczające środki. Jednak szansa na to, by proces trafił z powrotem na wokandę, były nikłe. Perspektywa powtórki z mąk była jak chmurka na niebie, nie wydarzenie na horyzoncie. Teraz pojawiła się znów Beth, a to mogło oznaczać jedno: że groźba przeradzała się w rzeczywistość. Mdlilo mnie z nerwów, kiedy wciskałam domofon, by wpuścić gościa. Potrzeba wyznania tajemnicy znów się we mnie obudziła, tym razem rozpaczliwa i mroczna; nie chodziło już o zrzucenie z siebie ciężaru, ale o ograniczenie strat. Przyznaj mu się, że skłamałaś na sali rozpraw, myślałam, słysząc jej kroki na schodach. Jeśli ma się dowiedzieć, lepiej, żeby usłyszał to od ciebie. Powiedz mu, zanim ona wejdzie na górę. Ale nie potrafiłam wydusić z siebie słowa.

Beth dotarła do nas zgrzana i zasapana, pot skręcił jej loki przy twarzy w ciasne korkociągi.

– Co się stało? – spytałam. – Przyjęli odwołanie?

– Nie – wysapała. – To znaczy, nie wiem. Za wcześnie na informację o oficjalnej apelacji. Ale wypowiedzieli mi regularną wojnę. – Na blacie stała do połowy pełna butelka wina, którą obdarzyła spragnionym spojrzeniem.

– Weź – powiedziałam.

Wypiła jednym haustem, po czym wbiła wzrok w laptop Kita.

– Podłączony do sieci, tak? – Kit pokiwał głową, z miną wyrażającą ogrom zdumienia, jeśli nie strachu, jaki ja czułam. – Możesz wpisać [jamiebalcombejestniewinny.co.uk](http://jamiebalcombejestniewinny.co.uk)?

Kit zminimalizował pół tuzina stron, które przeglądał, i wpisał, co kazała.

Balcombe'owie najwyraźniej nie próżnowali.

*JAMIE BALCOMBE ZOSTAŁ NIESŁUSZNIE SKAZANY ZA GWAŁT DN. 20 KWIETNIA 2000. TĘ STRONĘ PROWADZĄ JEGO RODZINA I PRZYJACIELE, KTÓRZY NIE SPOCZNĄ, PÓKI NIE PRZYWRÓCĄ MU DOBREGO IMIENIA.*

– Czy to jest dozwolone? – oburzyłam się. – Zasadniczo twierdzą, że skłamałaś. Czy to nie oszczerstwo?

– Nie – odpowiedziała Beth z napięciem. – Nie da się zniesławić kogoś anonimowego. Mogą pisać, co im się podoba.

*20 maja 2000 mecenas Donald Imrie z Kancelarii Imrie i Cunningham w Bedford Row otrzymał zgodę na wniesienie apelacji od wyroku. Prawnicy są przekonani, że wyrok wkrótce zostanie uchylony.*

– Idź dalej, robi się jeszcze lepiej – powiedziała Beth, czytając nam przez ramię. – Mogę jeszcze wina?

– Śmiało.

*Na wstępie chcielibyśmy zaznaczyć, iż celem niniejszej strony internetowej nie jest umniejszanie powagi gwałtu ani trywializowanie cierpienia ofiar przemocy seksualnej. Gdyby Jamie popełnił zarzucany mu czyn, uważalibyśmy, że pięcioletni wyrok nie byłby wystarczający. Utrzymujemy jednak, że nie dopuścił się przestępstwa, jakim jest gwałt. Co więcej, rozumiemy i szanujemy prawo, ażeby w sprawach o gwałt zachować anonimowość ofiary. Niemniej jednak pragnęlibyśmy, aby prawo to obejmowało również mężczyzn. Jamie zamierza poświęcić wiele energii temu tematowi, kiedy jego reputacja zostanie już oczyszczona.*

*Na tym etapie nie udzielimy informacji, czy pozwiemy oskarżycielkę Jamiego w prawdopodobnym układzie uchylenia wyroku. Zawsze utrzymywaliśmy, iż jej niestabilność umysłowa, poparta serią przykładów, naraża ją na niebezpieczeństwo, i uważamy za istotniejsze, aby imię Jamiego zostało oczyszczone, niż żeby borykającą się z trudnościami młodą kobietę konfrontować z systemem sprawiedliwości, podczas gdy jej problemy są natury medycznej. Wyrażamy gotowość pomocy kobiecie*

w uzyskaniu profesjonalnego wsparcia, którego może potrzebować, by zrozumieć, co zrobiła, i zająć się głęboko zakorzenionymi problemami, które doprowadziły ją do rzucenia fałszywych oskarżeń.

– Bzdura – skomentowała Beth. – Jeśli zostanie uniewinniony, postawią mi zarzuty, zanim jeszcze zdejmą mu kajdanki.

Nie wątpiłam, że tak będzie, ale nie dało się ukryć, że fałszywa nuta troski była PR-owym majstersztykiem.

– Doczytałeś do końca? – spytałam wpatzonego tępo w ekran Kita.

Skinął głową.

Z boku była seria zakładek: „Wyraź wsparcie dla Jamiego”, „Wniosek o informacje”, „Galeria”, „Kariera Jamiego”. „Śledztwo mediów” donosiło czytelnikowi, że oprócz wyznaczenia nowego sztabu prawników rodzina zatrudniła również publicystę.

– To się nazywa poruszyć niebo i ziemię – podsumowałam.

Kliknęłam „List Antonii”. Towarzysząca tekstowi fotografia ukazywała ją i Jamiego na weselu, Antonia miała we włosach kilka płatków konfetti.

*Dziękuję za odwiedzenie strony Jamiego. Nazywam się Antonia Tranter i jestem jego narzeczoną. Jesteśmy razem od dwóch lat. Miniony rok był dla mnie bardzo ciężki. Niełatwo jest się dowiedzieć, że ukochany był niewierny, ale to nic w porównaniu z piekłem, jakie się rozpętało, kiedy popełniony przez niego błąd przeobraził go w oczach wielu w potwora. Jak wszyscy, którzy znają i kochają Jamiego, jestem przekonana o jego niewinności.*

*Na stronie wyłożyliśmy, w sposób jak najbardziej klarowny, powody, dla których uważamy, że doszło do poważnego pogwałcenia sprawiedliwości. Będziemy wdzięczni za rozpowszechnianie naszego przesłania w jak najszerszych kręgach.*

*W szczególności szukamy świadków, którzy widzieli Jamiego i ową młodą kobietę przed domniemanym zdarzeniem. Nawet jeśli wydaje ci się, że twoje obserwacje nie mają wielkiej wagi, albo jeśli dręczy cię sumienie, proszę, napisz do mnie poprzez tę stronę i pomóż nam wywalczyć sprawiedliwość dla Jamiego.*



– Zrobił jej pranie mózgu – zdiagnozowałam.

Beth gryzła skórę przy paznokciu.

– Widzieliście już moją gwiazdorską rolę?

Jednocześnie podnieśliśmy głowy.

– Kliknij na zakładkę z napisem „Osądź sam”.

*Sędzia Frenchay wychwalał w sądzie oskarżycielkę Jamiego za siłę charakteru, dzięki której zgłosiła się na policję, a w swoim podsumowaniu przedstawił ją jako skromną dziewczynkę. Sędzia zatuszował również historię jej niestabilności psychicznej. Wyrażamy współczucie dla osób cierpiących na zaburzenia psychiczne, ale odnosimy wrażenie, iż ława przysięgłych nie wzięła pod uwagę, że w tym wypadku owe zaburzenia wykluczają kobietę jako wiarygodnego świadka.*

Nie mogłam się oprzeć, by nie spojrzeć na Beth.

– Chcecie poznać historię mojej choroby psychicznej? Kiedy miałam szesnaście lat, moi dziadkowie zginęli w wypadku. Byłam zrozpaczona. – Popatrzyła mi w oczy, trafiając w moje poczucie straty, i współczułam jej z całego serca. – Nie mogłam spać, więc lekarz rodzinny na kilka tygodni przepisał mi valium. Dosłownie tyle. Po prostu stara dobra żałoba. Na sali rozpraw zrobili z tego sensację, jakbym od tamtej pory tułała się po domach wariatów.

*Poniższe zdjęcia ukazują oskarżycielkę Jamiego na „impresach”. Oczywiście zgodnie z prawem zatuszowaliśmy jej tożsamość. Czy to jest ta trzeźwa, konserwatywna dziewczyna, która kuliła się na stanowisku dla świadków? A może to wolny duch, hedonistyczna, kochająca zabawę panna, otwarta na wszelkie doświadczenia, dla której przygodny seks na festiwalu muzycznym to element weekendowej rozrywki? Sądzymy, że gdyby ława przysięgłych miała szansę obejrzeć te zdjęcia, zapadłby zupełnie inny wyrok. Komu wierzycie? Sumiennemu, pracowitemu młodemu człowiekowi bez śladu przemocy w aktach, czy dziewczynie z udokumentowaną chorobą psychiczną, która pozwala się fotografować w taki sposób?*

Twarz Beth spikselowano na zdjęciach, ale jej włosy były łatwo rozpoznawalne.

Jedno ukazywało, jak liże twarz kolegi w nocnym klubie – nie była to może zbyt elegancka fotka, ale każdy w naszym wieku miał gorsze grzechy na sumieniu. Na następnym cała jej głowa była zaczerniona, ale istotne było ciało; wyglądała bosko w czarnym, obcisłym topie bez ramiączek, króciutkich szortach i kowbojskich butach, i butelką tequili pomiędzy piersiami. Fotograf złapał ją z boku, z jednym ramieniem odwróconym w stronę obiektywu. Tatuaż z anielskimi skrzydłami nie został zakryty.

– Masakra – powiedziałam. – Każdy, kto cię zna, natychmiast cię na nich rozpozna.

– Nie musisz mi mówić – przyznała gorzko Beth. – Równie dobrze mogli wykupić anons na pierwszej stronie „Timesa”. Szkoda, że nie widzieliście, jak poszłam wczoraj na zakupy z mamą. Jakby Morze Czerwone rozstępowało się przed nami, tylko plecy i ramiona w każdej alejce.

– Skąd mieli zdjęcia? – spytał Kit.

– Od jednej z moich najstarszych przyjaciółek, uwierzcie? Pierwsze jest z nocnego klubu w Nottingham, drugie na lokalnym festiwalu, gdzie złapałyśmy fuchę, sprzedając tequilę. Pamiętam, kiedy Tess zrobiła te fotki. Jest ostatnią osobą, którą podejrzewałabym o wycięcie mi takiego numeru. Złamała mi serce.

Wybuchła płaczem, a coś we mnie zapragnęło dopaść zdradziecką Tess.

– Och, Beth, to naprawdę okropne.

Przypomniało mi się zdjęcie, które zrobiła mi kiedyś Ling: szalałam w dżinsach i górze od kostiumu kąpielowego, z szeroko otwartymi ustami i pigułką na języku – gratka dla kogoś, kto chciałby mi zaszkodzić. Trzymaliśmy je przypięte na lodówce w starym mieszkaniu i zdejmowaliśmy tylko na czas odwiedzin rodziców. Kiedy jest się młodym, nie myśli się o konsekwencjach.

– Twierdzisz, że nie da się zniesławić anonimowej osoby, ale na tych zdjęciach nie jesteś anonimowa, prawda? – zauważył Kit. Mówił niemal do siebie, rozważając konsekwencje prawne. – Nie wierzę, że identyfikowanie cię w ten sposób to nie złamanie nakazu sądu. Jak nic strzelili sobie samobója. Masz jakiegoś adwokata?

– Tak – westchnęła Beth. – Stetryczyły radca prawny mojego ojca zajął się sprawą. Sądzi, że uda mu się zmusić ich do zdjęcia materiału, ale szkoda została wyrządzona. Ludzie wiedzą. – Nagle uszło z niej całe powietrze. – Odbija się to na mnie wszędzie i cały czas. Nie chodzi tylko o apelację wiszącą nade mną jak gradowa chmura, choć sama w sobie jest wystarczająco straszna, ale o to, co ludzie mówią. Wczoraj w supermarkecie dziewczyna, którą znam, odkąd miałam c z t e r y l a ta, powiedziała, że skoro pojechałam sama na festiwal, to czego się spodziewałam? W dodatku jest w naszym wieku, normalna, pije, żadna cnotka. W życiu byście nie pomyśleli, że będzie pierwsza rzucać kamień. – Powiodła wzrokiem po naszym mieszkaniu, mapie zaćmień, mnie, Kicie, po czym skierowała spojrzenie na widok rozciągający się za zieleńcem. – W tej chwili to miejsce wydaje mi się jedynym na świecie, gdzie ktoś mi wierzy. Muszę się stamtąd uwolnić. Nie zniosę widoku moich rodziców, którzy starają się być silni dla mnie, a w istocie rozsypują się na kawałki przez całą tę sytuację. Nie ułożę już tam sobie życia.

– Zostań tu – zaproponowałam. – Na kilka nocy. Dopóki sprawa nie ucichnie.

– Poważnie? – spytała.

Trzeba znać Kita tak dobrze jak ja, żeby wiedzieć, co sobie myślał: im bardziej zbliżysz się do tej dziewczyny, tym niebezpieczniej będzie na ponownym procesie. Szybko jednak, zanim Beth zdążyła na niego spojrzeć, przywołał na twarz uśmiech i wiedziałam, że nie cofnie zaproszenia. Robił to dla mnie, nie dla niej.

– Jasne – potwierdził, z hukiem zamykając laptop.

– Och, d z i ę k u j ę. – Beth natychmiast przestała łać łyzy, jakby ktoś zakręcił kurek. – Co ja bym bez was zrobiła?



LAURA

30 maja 2000

– Co robisz? – szepnęła Beth, kiedy wszedłszy na paluszkach po schodach, próbowałam się przemknąć obok niej.

Była sobota i wszyscy pospaliśmy dłużej. Wydawało mi się, że słyszę z łóżka brzęk otworu na listy. Odkąd Jamie zaczął do mnie pisać, wyrobiłam w sobie zwyczaj schodzenia na dół jako pierwsza, żeby sprawdzić, co czeka na wycieracze. Nie mogłam ryzykować, że Kit przechwyci list z więzienia. Przysiadłam na skraju kanapy, z kopertą z banku i ulotką z pizzerii w dłoni.

– Po prostu lubię jako pierwsza odbierać pocztę – wyjaśniłam. – Sprawia mi to przyjemność. Taka rutyna. Daje mi poczucie komfortu. – Przesadzałam z tłumaczeniem się, w zasadzie niczego nie tłumacząc.

– Aha. To... miłe.

– Dzień dobry. – Kit zawisł niezręcznie w drzwiach sypialni. Próbowałam je za sobą zamknąć, ale jak zwykle odskoczyły na zawiasach. – Rany, ale późno.

– Jadę dziś do centrum – podkreśliła Beth. – Mam coś do zrobienia.

– Myślałem, że nie znasz nikogo w mieście – zauważył Kit.

– Bo nie znam. – Uśmiechnęła się. – W tym cały urok. Mogę robić normalne rzeczy, nie martwiąc się, że ktoś obgaduje mnie za plecami. Mogę paradować Oxford Street i nie spotkać nikogo znajomego.

Po śniadaniu oparliśmy się o barierkę balkonu i patrzyliśmy, jak idzie w letniej sukience barwy żonkili i tych samych starych srebrnych adidasach, które miała w Kornwalii.

– Jak długo zamierza tu zostać? – spytał Kit, uśmiechając się przez zaciśnięte zęby, kiedy Beth odwróciła się i pomachała do nas.

– Nie mam pojęcia – przyznałam. – Ale sam widzisz, jak bardzo nas potrzebuje. Nie wyrzucę jej na bruk po tym, co przeszła.

Kit przetarł oczy kłykciami.

– Nie proszę cię o to. Tylko nie jest to najlepszy czas, prawda, żebym się certował we własnym domu.

– Spędziła u nas dopiero cztery noce. Boże, Kit. Zachowujesz się, jakbym stawiała ją ponad ciebie. To nie jest kwestia wyboru.

Gniew przemknął po jego twarzy.

– Jesteś pewna?

Wybuchłam.

– Wiesz co? Jeśli nie wykrzeszysz z siebie odrobiny pieprzonej empatii, to może jednak będzie.

Fioletowe półksiężycy pod jego przekrwionymi oczami pociemniały jeszcze i żałowałam, że nie mogę cofnąć swoich słów. Po raz pierwszy zauważyłam, jak źle wyglądał, jaki był zaniedbany. Od kilku dni nie zmieniał koszulki, a włosy zaczynały mu się zawijać na karku. Zwrócił wzrok w stronę zieleńca.

Już miałam przeproszać, kiedy wyrwało mu się:

– Gdybyśmy byli identyczni, myślisz, że byłbym taki jak Mac? Jak tata?

Pozornie nielogiczna uwaga pokazała mi, że nasze myśli biegną równolegle, i zmusiłam się, żeby przeskoczyć na jego tory. Moment na rozmowę o tym nonsensie w stylu ona-albo-ja z Beth minęła bezpowrotnie.

– Boże, Kit, nie wiem. Nie dość o tym wiem.

– Czasem prawie chciałbym taki być. Nie, nie myślę tak. Ale chciałbym wkraść się do jego głowy i zrozumieć, jak działa jego mózg. Czy idzie tą samą drogą co tata...

– Hej. – Ujęłam rękę Kita. Jego dłoń była ciepła, sucha i gładka. – Mac jest o w i e l e młodszy, niż był twój tata, poza tym ma nas. Zareagujemy na czas.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, Kit wpatrzony w dal, ja w ulicę. Czerwone autobusy rządziły jezdnią.

– Co do Beth – powiedziałam ostrożnie, kiedy uznałam, że minęło dość czasu. Nie odezwał się, ale czułam wzbierającą w nim irytację przez nacisk jego ręki na mojej. – Nie, wysłuchaj mnie. Chciałam tylko prosić, żebyśmy jeszcze przez jakiś czas jej pomagali, dobrze? Daj spokój. Ty masz swoją przegraną sprawę, ja swoją.

W zamyśle był to żart, ale uraziłam Kita.

– Jak możesz w ogóle porównywać te sytuacje? Mac jest moim b l i ź n i a k i e m.

Wtedy zrozumiałam, że nie ma szans, żeby Kit pojął więź, jaką czułam z Beth. Nie da się konkurować z krwią.

– Kochanie, wróciłam! – wołała ze śmiechem Beth już od schodów.

Kit ograniczył wyraz swojej irytacji do wywrócenia oczami. Beth wróciła lekko przybrudzona pyłem miasta i obciążona torbami z supermarketu, pełnymi cebuli, puszek i wina. Z jednej z reklamówek sterczał pęczek świeżej trawy cytrynowej.

– Dzisiaj dla was gotuję – oznajmiła. – Niczego w życiu nie doświadczyliście, dopóki nie kosztowaliście mojego tajskiego zielonego curry.

– Uwielbiam tajskie – mówię na tyle głośno, żeby zagłuszyć Kita: „Naprawdę zbędny wysiłek”.

Jeśli Beth słyszała uszczypliwość, zlekceważyła ją.

– Jest co świętować. Dzwonił mój adwokat. Zdjęcia już zniknęły z sieci.

– To wspaniałe wieści – ucieszyłam się.

– Jest podstawa, żeby ich pozwać, ale nie wiem, czy chcę. Chyba wolę zostawić to za sobą, wiecie? Mam powyżej uszu prawników i sądów. – Wyłożyła na blacie składniki: ryż jaśminowy, mleczko kokosowe, korzeń imbiru, trzy dorodne piersi kurczaka, po czym pogrzebała w obszernej torbie. – Mam coś dla was – powiedziała, choć wydawała się nagle onieśmielona. – Żeby podziękować za to, że

pozwoliliście mi zostać i – spojrzała na mnie znacząco – za wszelkie wysiłki dla mojej osoby. Ty pierwsza. – Wyciągnęła rękę z eleganckim pudełkiem wielkości cegłówki i nie spuszczała ze mnie wzroku, gdy je odpakowywałam. Jeszcze zanim zdjęłam papier, wiedziałam, że to świeczka krwawe róże. W 2000 roku świece zapachowe nie były ogólnodostępnym produktem, jakim są dzisiaj, a krwawych róż nie można było dostać nigdzie poza mało znanym sklepikiem w Marylebone. Beth musiała zapamiętać nazwę z metki i odrobiła zadanie domowe. Wybrała dla mnie zestaw podarunkowy: trzy grube świece z nieprzyciętymi knotami. Słodka, uderzająca do głowy woń wypełniła pokój, nawet zanim je zapaliliśmy. Musiały ją kosztować ze sto funtów.

– Wow – powiedziałam. – Dziękuję.

– Byłam ci je winna. Pierwszej nocy u was nie zdmuchnęłam świeczki przed zaśnięciem i wypaliła się cała. – Kiwnęła przeprasząco głową na puste szklane naczynie na kominku. – Uwielbiam płomienie, a zapach jest taki kojący.

Kit zmrużył oczy: zaopatrywanie mnie w krwawe róże było jego zadaniem. Odpowiedziałam mu równie złym spojrzeniem – przecież Beth nie mogła wiedzieć, że wchodzi mu w paradę.

– Kit, a to dla ciebie. Używany, ale w doskonałym stanie. – Wręczyła mu obiektyw tele-foto, o którym opowiadała. – Są wprost niewiarygodne przy niskim świetle. – Zaskoczyła go tak, że zapomniał o dobrych manierach. – Już taki masz? – Jej głos zawisł nad pytaniem.

– Nie, nie mam – odpowiedział płasko. – Dziękuję.

– Myślę, że Kit czuje się trochę niezręcznie, bo... – Zerknęłam na niego, ale nie potrafiłam nic wyczytać z jego twarzy. – Czuje się niezręcznie, bo nie musisz nam ciągle dziękować.

– Tak – poparł mnie Kit. – Opowiedzieliśmy tylko w sądzie to, co widzieliśmy. – Jego głos nie zdradzał emocji, co oznaczało, że w istocie gotuje się z zażenowania.

– Nie – powiedziała Beth. – Uratowaliście mnie. Na więcej niż jeden sposób. O c a l i l i ś c i e mnie. – Po jej słowach zapadła kłopotliwa cisza, przzerwana

dopiero przez Beth, która otrzepała się jak pies po wyjściu z kąpeli. – No! – zawołała dziarsko. – Kolacja sama się nie upichci.

Podczas gdy ona siekała i mieszała, ja włączyłam muzykę i ustawiłam trio świeczek na kominku. Po kilku kieliszkach wina Kit wyjął obiektyw i nałożył go na aparat, nie potrafiąc ukryć radości z nowej zabawki.

Leżeliśmy twarzami do siebie w sypialni, w której nigdy nie zapadał pełny mrok, mając nadzieję, że nasze szepty nie wymkną się przez szczelinę w drzwiach.

– Ile mogła dać za ten obiektyw? – spytałam. – Stówkę?

– Chyba tysiąc. Nowe chodzą po trzy patyki.

– Co?

– Wiem – odpowiedział. – To tak, jakby chciała kupić nasze wsparcie.

Próbowałam zajrzeć mu w oczy, ale były tylko błyskiem w półmroku.

– Jak mogłaby nas kupić? Przecież już zeznawaliśmy.

– W takim razie stara się utrzymać nas po swojej stronie. Martwię się, że coś wyjdzie przy okazji tej apelacji i sprawa pójdzie do ponownego rozpatrzenia. A trzymając ją tutaj, unieważnimy całą rzecz.

– Tylko jeśli powiemy komuś, że tu bywa. Chyba że mają prywatnego detektywa, kto wie?

Kit spał się i czułam, że z trudem utrzymuje głos na poziomie szeptu.

– Tego się właśnie bałam. Wciągnięcia w całe bagno łgarstw. Jedno kłamstwo zawsze pociąga za sobą następne, a to – kolejne. Już się zaczęło. Jeśli od początku nie jesteś czysta jak łza, masz przesrane. – Zamarłam, ale zaraz uświadomiłam sobie, że nie mówi o mojej potajemnej wyprawie do sądu. Położyłam dłoń na jego piersi, żeby go uspokoić.

– Potrzebuje przyjaciela.

– Lauro. – Złapał mnie mocno za rękę. – Jak możesz oczekiwać, że ukujesz autentyczną przyjaźń z kimś, kogo poznałeś w takich okolicznościach? Zawsze będzie to nad wami wisiało. I tak zrobiłaś już więcej, niż do ciebie należało.

– Czego ode mnie żadasz? – Mój głos groził, że wyrwie się z szeptu. – Mam jej



powiedzieć, żeby się wyniosła?

Kit uciszył mnie, a potem powiedział:

– Szczerze mówiąc, tak. Nie mam na to miejsca w głowie ani w mieszkaniu. Wystarczy mi, że muszę pilnować brata. Nie jestem taki jak ty. Nie chcę spieszyć na ratunek każdej biednej, bezdomnej istocie.

– Mówiłeś – z trudem panowałam nad głosem – s a m mówiłeś na początku naszego związku, że to właśnie we mnie pokochałeś. Moją troskę o różne rzeczy. O sprawy. O ludzi.

Opadł plecami na poduszki.

– Tak – przyznał. – Tak było. Jest tak. Ale czasem chciałbym, żebyś poświęcała równą uwagę problemom bliższym domowi, niż twoim s p r aw om.

Leżał odwrócony do mnie plecami. W pokoju obok Beth przewróciła się na drugi bok, kanapa skrzypnęła w przypomnieniu – gdyby go było nam trzeba – że nie jesteśmy sami.



KIT

20 marca 2015

Niebo przez iluminator jest rozmytą, jasnoszarą nicością, a silne rozczarowanie odbiera mi apetyt. Nie poszedłem jednak szukać Beth i tego ranka cierpię męki z powodu zmarnowanej okazji.

Torba ciąży mi od sprzętu fotograficznego – filtrów do obiektywów, osłon przeciwdeszczowych, najsolidniejszego trójnogu. Przez chwilę kusi mnie, żeby zostawić to wszystko w kajucie, chrzanić to. Dziwnie zbiera mi się na płacz. Atmosfera zawsze wydaje się bardzo napięta na kilka godzin przed zaćmieniem.

Tuż przed świtem otwierają restaurację na pokładzie Princess Celeste, serwując śniadanie kontynentalne. Jem, a raczej piję kawę na pusty żołądek, w towarzystwie Jeffa Drake’a. Nie komentuje mojego nowego, gładko ogolonego image’u. Dlaczego miałby to robić? Znał mnie przez lata w tej postaci, a z brodą widział mnie tylko raz. Jeśli oglądał mój występ na wideo, nie komentuje go. Ma nieobecne spojrzenie człowieka, którego umysł stworzony jest do wyższych celów. To na nim spoczywa decyzja, gdzie mamy największe szanse.

– Jak pan myśli? – zagaduję, upijając łyk kawy. Muszę się dowiedzieć, co to za mieszanka, dla Maca. – Północna strona wyspy? Południowa?

– Obawiam się, że musisz przeformułować pytanie, Christopherze – odpowiada, posypując cukrem przepołowionego grejpfruta. – To raczej kwestia najmniej

czarnego scenariusza. Przewidywanie ruchów ciał niebieskich to pestka w porównaniu z prognozowaniem pogody.

Łowcy zaćmień przybierają pewien specyficzny wyraz twarzy, kiedy zanosi się na to, że chmury wszystko zepsują – wymuszona wesołość, upór maniaka, żeby się cieszyć, niezależnie od tego, jaki sprawy przyjmą obrót. Jednak takiego zawodu nie da się zamaskować mimo najszczerzych chęci. W dodatku czuję się odpowiedzialny za Richarda – to przeze mnie w ogóle się tu znalazł. Powinienem dla niego przynajmniej przepędzić chmury.

– Czasem przejaśnia się we właściwym momencie – pocieszam go, gdy wlecemy się po trapie do podstawionych busów. – Wystarczy maleńka szczelina w chmurze, żeby się udało. – Przekonuję tak samo siebie, jak i jego.

W porcie panuje straszny tłok, ścisk jest większy niż na festiwalu muzycznym. Ponad morzem głów i za kompletnie zakorkowaną drogą widzę sześć żółtych autokarów z tabliczkami Princess Celeste za szybą. Prowadzę Richarda w ich kierunku, decyzja o lokalizacji zapadła dosłownie w ostatniej minucie i dodatkowa informacja na tabliczkach mówi nam, że kierujemy się w pół drogi na górę Húsareyn, wznoszącą się nad portem Torshavn. Tylko amatorzy zmierzają na wierzchołek. Jest zbyt wysoka, przez co chmury zstępują na spotkanie ludziom, przesłaniając widok z ziemi.

Niesamowicie, jak przy tak znacznym natężeniu ludzkiej aktywności można odczuć na sobie czyjś wzrok, czyjeś spojrzenie, ale nagle czuję na lewym ramieniu pewne ciepło, a może dostrzegam coś kątem oka. Powoli odwracam głowę, ze znajomym, złym przecuciem, ale stoi za mną tylko mężczyzna w średnim wieku z lśniąca łysiną i opuszczanymi ciemnymi szklami dopiętymi do grubych okularów. Uśmiecha się szeroko.

– To pan – mówi. Przebiegam w myślach ludzi, których poznałem na pokładzie, i jestem dość pewny, że nie podróżował na Celeste. – O, patrzcie go, w panice próbuje sobie przypomnieć, jak się nazywam – mówi. Jego amerykański akcent ze Środkowego Zachodu oznacza, że może być skądkolwiek w Stanach, i przez chwilę zastanawiam się, czy może znałem go jako nastolatek. Może to tata kogoś

kolegi, którego trzeba było odebrać, pijanego, z jakiegoś nielegalnego ogniska.

– Przepraszam, musi mi pan podpowiedzieć... – zaczynam.

– Niech się pan nie denerwuje, nie znamy się – mówi tamten.

– Ha, ha – kpi Richard. – Twoja sława cię wyprzedza. Kolejny fan twojego nagrania. Ciekawe, że rozpoznał go pan bez brody.

Mężczyzna wygląda na zbitego z tropu.

– Jakiego nagrania? Nie, ale szukała pana kobieta, pokazywała pana zdjęcie. Zrobione ładnych parę lat temu, ale to na sto procent był pan.

Serce miota mi się w piersi jak złapana na haczyk ryba. Nie szuka Christophera. Poluje na Kita. Jest tutaj i zamierza spieprzyć mi zaćmienie.

– Nie sądzę – bąkam. – Musiało chodzić o kogoś innego.

Przygląda mi się uważnie.

– Może i tak, albo może ma pan brata bliźniaka. – Wzdrygam się na te słowa, ale czytam z jego twarzy, że to tylko zwrot.

– Jak wyglądała? – Ciekawe, czy Richard wychwycił drzenie w moim głosie.

– Powiedziałbym, że mniej więcej w pana wieku. Ładna. Ciemne włosy. Ustawiała się do jednego z tych różowych autokarów.

Wskazuje podbródkiem na port. Widzę lśniąca karoserię w kolorze truskawkowego syropu na kaszel mijającą właśnie zakręt portu.

Kurwa kurwa kurwa kurwa ku r wa.

– Cóż, będę miał oczy otwarte – rzucam. – Przyjemnego zaćmienia, tak?

– Powodzenia! – odwzajemnia się mój rozmówca, roztaczając blask idiotycznej nadziei, po czym znika w tłumie.

Jeśli się nie mylę i kobietą ze zdjęciem była Beth, to wsiada do autokaru dosłownie w tej chwili. Coś we mnie pęka, niemal słyszę ten dźwięk.

– Zaraz wracam – informuję Richarda. – Trzymaj to. – Wciskam mu torbę, ale zatrzymuję aparat przy sobie. Dynda mi w rękę jak proca.

– Jak to: zaraz wracasz? To nie ruchome święto! Chris! Ch r is!

Głos Richarda ginie w oddali, kiedy przeciskam się przez tłum ciał. Ilekroć przepycham się obok kogoś, rozlega się nylonowy szelest oznajmujący kontakt

z inną osobą w sensownej odzieży przeciwdeszczowej. Czy tego właśnie doświadcza Laura? Świadomości, że zachowuje się idiotycznie, ale nie ma siły, by przestać?

Sprawdzam najbliższy różowy autokar.

– Pan z grupą? – Kobieta z podkładką do pisania ma trwałą w drobne loczki i uśmiech, przez który przebija zaniepokojenie.

– Nie, ale muszę sprawdzić, czy ktoś jest na pokładzie.

– Wsiadają tylko osoby z wcześniejszą rezerwacją. – Patrzy przez ramię na kierowcę, szukając u niego wsparcia, ale gość ma pod dziewięćdziesiątkę. – Proszę pana, muszę pana prosić, żeby pan... – Nie stawiała oporu, kiedy mijalem ją, by przedrzeć się do środka.

– Zobaczą tylko, czy ona tu jest. – Stoję w przejściu autobusu. Jeden rzut oka na pasażerów wystarczy, Beth nie ma wśród nich. – Przepraszam. Dziękuję – bąkam, wycofując się po schodkach przy akompaniamencie rodzących się szeptów: „Naćpany jakiś?”, „Słyszałaś brytyjski akcent?”, „Powinniśmy kogoś zawiadomić?”.

Drugi landrynkowy autokar, zaparkowany tuż za pierwszym, właśnie przyjmuje pasażerów na pokład. Mijam pierwsze drzwi, od razu celując w drugie. Tym razem nawet nie pytam. Białe głowy odwracają się z niepokojem. Nie ma nikogo poniżej sześćdziesięciu pięciu lat.

Ktoś musiał mnie zaanonsować przez telefon albo radio, bo dwaj ważniacy z założonymi rękami już na mnie czekają przy trzecim pojeździe. Nie mam wyjścia, krzyczę przy schodkach.

– Beth! – wołam na tyle donośnie, że mój głos niesie się przez cały autokar. Na tyle donośnie, że mógłbym wywołać lawinę. – B e th! Mam już dość! Pokaż się! Wygrałaś! Niech się wyda! Mam dość! – Drzwi zamykają mi się przed nosem. –

Tracę tu rozum! – krzyczę przez szybę. Przyciskam twarz do szklanych drzwi i czekam. Jeśli jest w autokarze, na pewno mnie słyszała, jeśli w ogóle tu przyjechała, to tylko po mnie. Wyjdzie. – Tracę, kurwa, rozum – powtarzam szeptem.

Kierowca zwiększa obroty i uderzam twarzą w autokar, a wstrząs przywraca mnie do zmysłów. Biegnę wzdłuż pustoszejącego portu i dopadam żółtego autokaru, gdzie siedzi Richard, z moją torbą w fotelu obok.

– Co to, do licha, miało być?

– Musimy się przesiąść – oznajmiam.

Podnoszę swój bagaż i taszcze go do tylnego rzędu. Stąd widzę każdego wsiadającego pasażera. Mięśnie mam zesztynniałe z nerwów. Jestem gotowy na konfrontację. Nienawidzę myśleć w ten sposób, ale jeśli Beth spotka dziś coś złego, sama się o to prosiła.

Nie, to nie fair. Jakiegokolwiek miałyby wady, sama też przeszła piekło. To do Jamiego Balcombe'a powinienem czuć wściekłość, jeśli, rzecz jasna, to na nim spoczywa odpowiedzialność.



LAURA

25 czerwca 2000

– Jesteś pewna, że go nie ruszałaś? – spytał Kit po raz dwudziesty w ciągu ostatniej godziny. – Malutki pojemniczek z filmem, taka plastikowa tubka. Mniej więcej taki. Nie mógł sam wziąć i zniknąć. Był dokładnie t u t aj. – Wskazał na blat.

– Może wpadł za kuchenkę – zasugerowałam. – Nie mógłbyś poczekać, aż skończymy? – Siedziałam na kuchennym krześle z ręcznikiem dokoła szyi i włosami przedzielonymi pośrodku, podczas gdy Beth w lateksowych rękawiczkach nakładała mi na odrosty fiołkową pastę z wody utlenionej. Poczułam znajome żrące mrowienie, kiedy rozjaśniacz ściągał mi kolor. Ja już odbarwiłam Beth końcówki kilku ciemnych loków na jaskrawy fiolet.

Radio grało tak głośno, że woda podskakiwała nam w szklankach wraz z beatem, ale i tak dało się słyszeć dzwonek telefonu Beth opartego o książki na półce. Wyświetlacz błyskał na zielono, ukazując słowo DOM na kropkowej matrycy. Spojrzała, zmarszczyła nieco czoło, i zignorowała komórkę. Kit uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

Im głośniej wtórowaliśmy radiu, tym bardziej Kit wzdrygał się na naszą banalność. Jeśli miał odgrywać humorzastego tatuśka, to ja zamierzałam czerpać dziecięcą radość z grania mu na nerwach.

– Nie zwracaj na niego uwagi – poradziłam Beth. – Ceni wyłącznie muzykę

z i d e a ła mi.

Zrobiła minę w stylu „nie mieszam się” i nabrała z miseczki kolejną porcję wybielacza.

Irytacja Kita rosła, ale wrócił do swojego głównego projektu w salonie. Jak gdyby tragedii z zaginionym pojemniczkiem było mało, coś jeszcze zepsuło się w wentylatorce w jego laptopie. Oświetlił lampką wyeksponowaną płytę główną i wziął do ręki mały śrubokrętek. Kiedy telefon Beth rozdzwonił się po raz enty, nie wytrzymał.

– Może powinnaś odebrać? – podsunęłam, kiedy ktoś dobijał się po raz czwarty.

Rozczapierzyła palce, wahając się przez kilka sygnałów, po czym syknęła:

– Boże, dobra, chyba się nie pali.

Uwaga nie była jednak adresowana do mnie, tylko do telefonu. Zdjęła rękawiczki, cisnęła je do zlewu i podniosła komórkę. Odebrała dopiero na schodach, zamknąwszy za sobą drzwi mieszkania. Zabrzmiało defensywne „Halo?”, a po nim odgłos kroków. Zeszła na dół, poza zasięg słuchu.

– O co chodziło? – spytałam Kita. – Myślisz, że wyszła z domu, nie mówiąc, dokąd jedzie, albo coś w tym stylu? Rozumiałam, dlaczego przeprowadziła się z powrotem pod dach rodziców, ale tłumaczenie się przed nimi w wieku dwudziestu jeden lat można było uznać za ujmę na honorze.

– Kto wie? – mruknął, zdmuchując kurz z obwodu elektrycznego. – Myślałem raczej o tym, że może któremuś z nich coś się stało.

– O Boże, faktycznie! Jakby nie miała dość...

Rozważania przerwał nam głos Beth, ostry i przenikliwy przez zamknięte drzwi.

– Należało jej się! Powinna się cieszyć, że nie było jej w samochodzie, kiedy to zrobiłam!

Kit uniósł brwi. Przeszłam na palcach przez dywan, przyłożyłam skroń do drzwi i nadstawiłam ucha.

– Nie, nie na poważnie, wiadomo, że bym tego nie zrobiła. Wiesz, że nie.

Przyłożyłam dłoń płasko do drzwi i czułam puls w opuszkach palców.

– Przepraszam, że najadłaś się przeze mnie wstydu – powiedziała wreszcie Beth.



– Nie kierowałam się rozsądkiem. No, mam. Sama wiesz, co zrobiła. – Cisza, która nastąpiła, trwała tak długo, że zaczęłam podejrzewać, że Beth zakończyła rozmowę. – O nie, naprawdę? P r z e p r a s z a m. – Jej głos ociekał żalem. – Oddam ci, kiedy tylko znajdę pracę. No oddam. Okej. Cóż. Dzięki. Słuchaj, muszę kończyć. Jestem u znajomych, nie bardzo mogę rozmawiać. – Znowu chwila napiętej ciszy, po czym dodała, znacznie ciszej: – Też cię kocham.

Musiła chyba przeskakiwać co dwa stopnie, bo parę sekund później już przekreślała gałkę w drzwiach. Odskokczyłam i próbowałam przybrać nonszalancki wygląd, ale kiedy zamykałam drzwi za Beth, obie zauważyłyśmy kształt ucha z farby do włosów na wysokości głowy.

– Dużo słyszałaś?

– Te bardziej krzykliwe fragmenty – przyznałam.

Padła na futon, rozrzucając starannie rozłożone miniaturowe narzędzia Kita. Zdawała się tego nie zauważać, mimo że odruchowo rzuciła się do ich porządkowania.

– Pamiętasz, jak opowiadałam wam o mojej przyjaciółce Tess?

Imię przywołało powoli ściągający się z sieci obraz Beth w pozie z tequilą.

– Jak mogłabym zapomnieć?

– Mm. – Spuściła wzrok. – Cóż, więc mogło się zdarzyć, że pocięłam jej opony w samochodzie.

– Beth! – W jednym okrzyku zawarłam podziw i niedowierzanie, choć bez trudu potrafiłam sobie wyobrazić ten postępek.

– Nie wiem, co mnie napadło – przyznała. – Zobaczyłam jej malutki samochodzik na parkingu przed sklepem i po chwili znalazłam się przed kasą, kupując nożyk. Wetknęłam ostrze w gumę i było pssst. – Jej policzki zapadły się, gdy odegrała uciekanie powietrza.

– Wow. – Spojrzałam na Kita, żeby ocenić jego reakcję, ale był zajęty chowaniem narzędzi do naprawy komputera do przezroczystego plastikowego pudełka, pedantycznie układając je pod względem rozmiaru. – Skąd wiedzieli, że to ty? Z kamer?

Beth pokręciła głową.

– Pożyczyła auto matce. Skąd miałam wiedzieć? Wyjechała wózkiem akurat, kiedy załatwiałam ostatnie. Uciekłam, ale rozpoznała mnie, no wiesz, zna mnie od zawsze. Właśnie odwiedziła moją mamę, żądając zwrotu kosztów. Rodzice wpadli w szal.

– Jezu, Beth.

– Wiem, w i em.

Niezręczny chichot, którym wspólnie wybuchłyśmy, był pewien niedowierzania, ale zdawał się również zaznaczać, że kiedyś będzie można się z tego uśmieć. Resztki humoru Kita wyparowały, kiedy z kliknięciem zamknął skrzyneczkę z narzędziami i ostentacyjnie wyniósł ją w bezpieczną przestrzeń sypialni. Beth ściszyła głos.

– Nie spodziewam się zbyt wiele po facetach, już nie – powiedziała tak cicho, że musiałam nachylić się bliżej. – Generalnie spodziewam się, że mnie wyruchają. Ale żeby zdradziła cię przyjaciółka? To już kompletnie inny poziom.

Wyobraziłam sobie, jaki czułabym ból, gdyby Ling mnie tak sprzedała, i wiedziałam, że byłabym zdruzgotana. Też miałabym ochotę przebić jej opony. Albo zrobić coś gorszego.

– Całe szczęście, że masz mnie, prawda?

Po blasku, jaki zajaśniał na twarzy Beth, poznałam, że to były właściwe słowa.



LAURA

30 lipca 2000

W lipcu, rok przed wyznaczonym celem, dostałam wymarzoną pracę jako fundraiser w organizacji charytatywnej dla dzieci. To stanowisko postawiło mnie na obecnej ścieżce kariery, choć z perspektywy czasu nie wiem, skąd czerpałam energię do wykonywania obowiązków. Lato było piekielnie upalne, a Kit i ja całe godziny spędzaliśmy w metrze – jeśli nie jechaliśmy do pracy albo z pracy, podróżowaliśmy na Turnpike Lane, żeby opiekować się Juno (ja) albo Makiem (Kit). Dwa razy dziennie wskakiwaliśmy pod prysznic, niektóre z naszych ciemnych ubrań miały niespieralne słone plamy od potu, a kiedy wydmuchiwaliśmy nosy, chusteczki były czarne.

Beth zjawiała się u nas regularnie. W domu rodziców w Nottinghamshire była odludkiem do kwadratu – hańbę bycia ofiarą Jamiego Balcombe'a zwielokrotniła przez sztuczki z nożem – ale podczas swoich wizyt w Londynie, średnio co drugi tydzień, nie wykazywała chęci zwiedzania miasta; wolała zadekować się w mieszkaniu. Oprócz spotkania na Lizard Point rzadko miałam szansę oglądać ją w świetle dziennym. Nie umawialiśmy się, że zawsze będzie nocować, lecz była to jedna z wielu rzeczy, które ustaliły się same.

Jamie pisał do mnie dwa razy w tygodniu – listy przychodziły zawsze we wtorki i w piątki. Przekaz był niezmienny – cofnij zeznanie teraz, zanim twoja sytuacja się

pogorszy – ale informował mnie też o rozwoju wydarzeń. Udało mu się stworzyć znaczną siatkę zwolenników – inni „niesłusznie skazani” mężczyźni masowo do niego pisali. Istniał nawet ruch praw mężczyzn zainteresowany, jak to postrzegali, trendem wśród kobiet, by fałszywie zgłaszać gwałt. Co więcej – i tu w pociągnięciach jego pióra czytałam radość i podniecenie – kontaktowały się z nim też kobiety. Kobiety, które nazywał „prawdziwymi” ofiarami gwałtów, dziewczynami pieprzonymi przez ojczymów, znarkotyzowanymi w klubach nocnych, zgwałconymi zbiorowo z nożem na szyi. Jamie nigdy nie przepuszczał okazji, by zestawić te „dzielne panie” z moim tchórzostwem. Darłam listy na strzępy i roznosiłam po różnych kosztach na śmieci pomiędzy naszym mieszkaniem a stacją metra. Zaczęłam marzyć, żeby więzień z żyłką osadzoną w szczotce do zębów złożył wizytę Jamiemu.

Ling wreszcie dostała receptę na lekarstwo, które miało ją dźwignąć z depresji, i postanowiła, że nadszedł czas, żeby zorganizować interwencję dla Maca. Ten zaimportowany ze Stanów proceder ma już swoją pozycję w słowniku, ale wówczas słyszałam o nim po raz pierwszy, więc Ling wszystko pokrótce nam wyjaśniła. Wszyscy – ja, Kit, jej rodzice, Adele plus wyszukany przez Ling specjalista od uzależnień – mieli się stawić w ich mieszkaniu i po kolei uświadomić Macowi, że sytuacja musi się zmienić. Idea była taka, że na widok tak ogromnej troski ze strony wszystkich, na których mu zależy, pomaszeruje prosto na odwyk. Kit ani przez chwilę nie wierzył, że to się uda, ale i tak przyjechał. Wszyscy wcisnęliśmy się do ich maleńkiego mieszkania w suterenie, gdzie brakowało krzeseł, więc siedzieliśmy na zmianę.

Plan Ling miał jeden słaby punkt. Żeby interwencja odniosła skutek, Mac musiał być obecny. A jako że głównym objawem jego uzależnienia było znikanie z domu na długie noce i dni, szanse powodzenia były marne. Czekanie, aż zdarzy się coś strasznego, jest niemal bardziej wyczerpujące, niż kiedy dochodzi do samego wydarzenia, i kiedy po ośmiu godzinach Mac ani nie wrócił, ani nawet nie odebrał komórki, poddaliśmy się. W metrze było jak w piekarniku, w dodatku pociąg utknął pomiędzy stacjami na dwadzieścia minut, więc kiedy wreszcie

wychynęliśmy na powierzchnię, nienawidziliśmy wszystkiego, ze sobą nawzajem włącznie.

– Na litość boską – wybuchnął Kit, kiedy wyszliśmy z za rogu na Clapham Common Southside. – To naprawdę ostatnie, czego mi dziś trzeba. – Podążyłam za jego spojrzeniem – para zdartych srebrnych adidasów i zgrabnych białych kostek wystawała z naszego progu. – Wiedziałaś, że przyjdzie?

Odpowiedziałam z równą wrogością.

– Oczywiście, że nie, do cholery.

Nie miałam już ani krzty cierpliwości dla nikogo z wyjątkiem Kita, a i dla niego niewiele mi jej zostało. Ciężki dzień musiał być widoczny na naszych twarzach, ale Beth była nieczuła na nasze wyczerpanie.

– Nie mogę długo zostać – oznajmiła, prowadząc nas na górę po naszych schodach. Fiolet na jej lokach już wyblakł; czerń masy włosów przełamowały pastelowe spinki. Wiodła ręką po tapecie, aż w pewnym momencie zatrzymała się na półpiętrze, żeby przyjrzeć się łacie łuszczącej się zieleni. – Muszę zdążyć na ostatni pociąg do domu. Mam mało czasu, spodziewałam się was wcześniej.

Wymieniliśmy z Kitem zdziwione spojrzenia – Beth nigdy nie spieszyła się do domu. Kiedy stawała na naszym progu, wiadomo było, że będzie nocować.

– Do domu? – Kit uniósł kciuki, po czym szybko schował je w pięści, gdy Beth odwróciła się do nas, więc wyglądał, jakby ćwiczył sparing, wspinając się po schodach.

– Przestań – powiedziałam bezgłośnie, ale posłałam mu uśmiech.

– Tak – potwierdziła Beth. – Chciałam wam osobiście przekazać dobrą nowinę. Na pewno chodzi o odwołanie, pomyślałam. Odpuścili.

– Mów – ponagliłam. Byliśmy u szczytu schodów i Kit grzebał w tylnych kieszeniach dzinsów w poszukiwaniu kluczy.

– Przeprowadzam się do Londynu! – zawołała rozpromieniona.

Omam nie potknęłam się o kolejny stopień. Kit zamarł z kluczem w zamku i wiedziałam, że myśli to samo co ja: wydaje jej się, że wprowadzi się tutaj.

– Powiedz coś więcej – poprosiłam ostrożnie.

– Cóż, opowiadałam wam o atmosferze, jaka panuje w domu. Pozostaję praktycznie w areszcie domowym. Więc szukałam mieszkania i pracy – oznajmiła z dumą. – Przyjęli mnie w Szybkich Fotkach, robota w ciemni. Płacą grosze, ale przynajmniej praca przy zdjęciach. Rozglądałam się po okolicy i nie stać mnie na nic tutaj, ale udało mi się znaleźć kawalerkę w Crystal Palace. Będziemy się mogli częściej spotykać.

– Wspaniale! – powiedziałam, choć mój zachwyt wynikał ze świadomości, że będziemy się raczej rzadziej spotykać albo że zredukujemy naszą przyjaźń do czegoś mniej intensywnego, bardziej normalnego. Będzie można wyskoczyć na godzinkę na kawę albo wieczorem na kolację, a potem każde wróci do siebie.

– Tak więc. Przyniosłam wam jeszcze jedną rzecz, żeby podziękować za gościnę. Wiem, mówiliście, że wystarczy prezentów, ale to już ostatni, obiecuję. –

Uśmiechała się nieśmiało, jak mała dziewczynka. – Proszę, nie marudźcie, że nie trzeba było.

Wręczyła mi przedmiot starannie zapakowany w papier od Williama Morrisa i przewiązany prawdziwą wstążką. Wyglądało to na książkę, ale kiedy otworzyłam, odkryłam w środku cienką sosnową ramkę, a w niej...

– O kurwa – wyrwało mi się.

Zdjęcie przedstawiało mnie i Kita i było ujęciem z drzwi naszej sypialni. Kiedy je zrobiła? Wcześniej któregoś ranka, kiedy jeszcze spaliśmy. Promienie świtu wkradały się przez bambusowe żaluzje i malowały tygrysie paski na skórze naszych ciał. Byliśmy przykryci do połowy, jakby ktoś celowo ściągnął z nas kołdrę, widoczni od pasa w górę. Leżałam na plecach, a Kit na boku, na wpół skulony wokół mnie. Przerzucił ramię przez moje piersi, a w zaciśniętej dłoni trzymał pasmo moich włosów, tak jak dziecko chwyta kołderkę. Odruchowo skrzyżowałam ręce na piersi. Kit głośno wciągnął powietrze, czułam, jak falami schodzi z niego złość.

– Jak wam się podoba?

Im bardziej przeciągało się nasze milczenie, tym mocniej gasł blask w oczach Beth.

Nie mogłam użyć słowa pogwałcenie, zważywszy na to, co przeszła, ale nie było innego określenia na opisanie tego, co czułam na widok siebie w takim ujęciu.

– Jest bardzo... intymne – wydusiłam z siebie wreszcie.

– Wiem! – podchwyciła. – Nie da się zaplanować takiego zdjęcia. Ale drzwi były otwarte, kiedy wstałam do łazienki, więc nie mogłam was nie widzieć, a światło było po prostu... – Uniosła palce w znaku „okej”. – Twój aparat akurat leżał pod ręką, Kit. – Zacisnął usta w pełną furii linię, a więc mocniej zareagował na myśl o tym, że dotknęła jego świętego aparatu, niż na widok fotografii. Beth, niezrażona, ciągnęła dalej. – Pomyślałam o zdjęciu, które pstryknęła wam przyjaciółka, jak mówiłaś, że nie byliście świadomi, że ktoś patrzy, i nie mogłam się oprzeć. Poszłam do tego punktu foto przy zieleńcu. – Jej głos słabł trochę z każdym zdaniem. – Ustawiłam naprawdę długi czas naświetlania. Obiektyw jest... – Potrząsnęła głową, a jej głos przeszedł w szept. – Nie podoba wam się. –

Przyjrzała się naszym twarzom i mylnie je odczytała. – Odkupię film – powiedziała, kompletnie mijając się z problemem. – Był ze zwykłej drogerii. Przepraszam, Kit, nie sądziłam, że w ogóle zorientujesz się, że zniknął.

– Nie szkodzi – zapewniłam, ale milczenie Kita było głośniejsze.

Beth mocno pacnęła się w czoło.

– Myślałam, że zrozumiecie i że będziecie z a c h w y c e n i.

– Ja jestem zachwycona – powiedziałam, łapiąc ją za przegub, w razie gdyby znów chciała się uderzyć. Zapomniałam, jak miękką miała skórę. – Zaskoczyłaś nas, to wszystko.

Wyswobodziła się z mojego uchwytu.

– Bywam bezpośrednia – oznajmiła, zwracając się do okna. Brzmiało to, jakby tę frazę powtarzano jej niejedyn raz. – Mój błąd. Przepraszam.

Później, po niezręcznym pożegnaniu, odczekaliśmy z Kitem w milczeniu, aż łupną za nią drzwi wyjściowe, niepewni, czy śmiać się, czy wrzeszczeć.

Kit uniósł fotografię i przyjrzał jej się w wyciągniętej ręce.

– Jak w ogóle mogła pomyśleć, że to jest w porządku na jakimkolwiek poziomie?

– Cóż... chyba ma nieco zwichrowany osąd po tym, co przeszła.

Na ile ją znaleźliśmy, zawsze była taka otwarta, wyznawała płynność granic, choć może była to reakcja na jej doświadczenia, została przecież do tego stopnia odarta z pozorów i wstydu, że postanowiła nie skrywać się ze swoimi uczuciami w nadziei, że może w końcu się uniewrażliwi. Na tym polegała trauma Beth. Jeśli taki był jej sposób na poradzenie sobie z nią, któż miał prawo ją osądzać?

– A gdybym tak miał kutasa na wierzchu?

Stałam przy nim i przyjrzałam się zdjęciu ze spokojem, o wiele lżej było to zrobić bez balastu oczekiwania Beth.

– W sumie ładnie wyglądamy. – Uśmiechnęłam się. – Gdyby nie c h o l e r n i e p r z e r a ż a j ą c y charakter ujęcia, było całkiem piękne. Nie wiedziałam, że przez sen trzymasz tak moje włosy.

– Ja też nie – powiedział, mięknięc trochę.

Przesunął palcami po moim kucyku.

– Będziemy sobie mogli popatrzeć, jak już będziemy starzy i obwiśli – powiedziałam. – Przypomnimy sobie, jacy kiedyś byliśmy. Może niespecjalnie nadaje się na kominek, ale chciałabym je zatrzymać.

Włożyliśmy je, spodem do góry, do szuflady mojej szafki nocnej. Było jedną z rzeczy, które zginęły, kiedy musieliśmy się ukryć, i nie wiem, co się z nim stało.

Z perspektywy czasu wiem, że Kit miał rację i powinnam była być szczera, ale stanowcza przy pierwszej sposobności, od razu tego wieczoru, kiedy przysłała po mnie do biura. Niepotrzebnie wpuściłam ją do naszego życia. Trzeba było utrzymać relacje na poziomie p r z y z w o i t o ś c i, używając staromodnego terminu.

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Leżąc w łóżku, byłam zbyt świadoma, jak wyglądam, zbyt świadoma swojej nagości. Dopiero kiedy wstałam i włożyłam piżamę, wreszcie mogłam się rozluźnić. Potem nawiedzały mnie dziwne sny – miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, jakaś postać majaczyła w drzwiach – ale przypisałam je wzburzeniu wywołanemu przez zdjęcie Beth. Nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, że moje poczucie dyskomfortu wynikało nie tylko z jej



wkroczenia w naszą prywatną przestrzeń. Po raz pierwszy drgnęło we mnie coś zbyt wielkiego, głębokiego i mrocznego, żeby dało się upchnąć w szufladzie czy ulicznym koszu na śmieci. Coś, czego nie byłam gotowa nazwać.



LAURA

20 marca 2015

Pierwszy kontakt nastąpi o 8.20. Lokalne radio ostrzega, że stolica pogrąży się w „mroku godziny szczytu”. Mogłabym obserwować częściowe zaćmienie, jakie miało nastąpić nad Londynem, z gabinetu, ale nawet przy oknie otwartym na białe niebo doświadczanie zjawiska z pomieszczenia wydaje się niewłaściwe.

Zaplatam cienki, sięgający pasa warkocz, po czym zwijam go w kok. Chowanie włosów to moja druga natura, ilekroć wychodzę z domu. Jestem jak kobieta, którą religia zmuszą do publicznego zakrywania włosów – tylko mój mąż ogląda je rozpuszczone. Inną możliwością było obcięcie ich albo zaniechanie farbowania, a Beth już tyle odebrała mi z duszy, że tego jednego jej nie oddam.

Postanawiam przejść się po osiedlu, napawać się wyjątkową atmosferą, ale nie ma czym. Na całej długości Green Lanes auta trąbią, a samochody dostawcze rozładowywane są jak zawsze. O tak wczesnej porze sala do snookera jest zamknięta na głucho. Przestałam tam chodzić kilka miesięcy temu, kiedy mój brzuch zrobił się zbyt wielki, żeby mieściła się przy stole. Liczba sztuczek, które można wykonać z kijem za plecami, jest niestety ograniczona. Jedyne ślad nadciągającego zaćmienia znajduje się nie w gwiazdach, tylko w rynsztoku – wyrzucona przez kogoś gazeta „Metro” leży otwarta na nagłówku: ROBIENIE SELFIE ZE SŁOŃCEM MOŻE OŚLEPIĆ, OSTRZEGAJĄ NAUKOWCY. Na

niebie nie dzieje się nic dramatycznego, z wyjątkiem obecności dziwnego fiołkowego światła, które przypisałabym pewnie zbliżającej się burzy, gdybym w ogóle je zauważyła. Dopiero na Duckett's Common, gdzie stoi garstka gapiów z okularami ochronnymi w rękach, widać, że dzieje się coś niezwykłego. Stoję mocno na płaskich stopach, z obiema dłońmi na brzuchu. Stolicy nie spowił mrok, ledwo półmrok. Nawet bliźniaki dzielają moje poczucie rozczarowania i przesypiają całe wydarzenie.

Gdy wracam do domu, na progu czeka torba, a w niej liścik informujący, że Juno i Piper wpadły z Makiem dostarczyć elementy mojej płynnej diety. Przykro mi, że przegapiłam ich wizytę. Kawa jeszcze nie wystygła i da się wypić, ale rosół na kości wylewam do zlewu, a soki wstawiam do lodówki. Komputer wzywa mnie na górę – mam referencje do napisania – ale wiem, że dzisiaj do niczego się nie zabiorę. Bez przerwy sprawdzam telefon w oczekiwaniu na wieści od Kita i koncentruję się na zachowaniu spokoju, co marnie mi wychodzi. Z pół tuzina razy powtarzał, że pewnie całe przedpołudnie będzie poza zasięgiem. Wchodzę w wiadomości i po raz kolejny przyglądam się jego gładko ogolonej twarzy – gest był uroczy i miał na celu mnie uspokoić, ale zamiast tego tylko przypomina mi o powodzie mojej wściekłości.

Włączam telewizor. Spikerka w BBC donosi, że warunki w Svalbardzie były doskonałe, a w Torshavn beznadziejne. Żał mi Kita, ale równocześnie rośnie we mnie gniew – co za strata. Tyle stresu, wzniecania przeszłości, masa pieniędzy, i najgorsza kłótnia w historii naszego związku. Bez wyraźnego zaćmienia dla uzasadnienia tego wszystkiego czuję się oszukana. Wszystko na nic.

Dzwoni telefon.

– Okropne rozczarowanie – odzywa się tata.

– Podobno na północy nie było najgorzej.

– Może troszkę się ściemniło – przyznaje. – Jak się udało Kitowi?

Uświadamiam sobie, że nie rozmawialiśmy z Kitem, odkąd się pokłóciliśmy. A jeśli to była nasza ostatnia wymiana zdań? Nagle coś wzbiera we mnie, jakby ktoś nadmuchiwał mi w ustach balon. Chcę mu opowiedzieć, jak głupio Kit się

zachował, jak powiedział Beth, gdzie go znaleźć, ale nie mogę – wszystko spoczywa na mnie.

– Tatusiu? – mówię, ku zaskoczeniu nas obojga.

– Wszystko w porządku, kochanie? – Troska w jego głosie przebija balon. Jeśli teraz się rozkleję, wszystko ze mnie wypłynie.

– Tak, dobrze – zapewniam. – Lekka zgaga. Jeszcze nie mieliśmy okazji porozmawiać, ale nie wygląda to najlepiej – udaje mi się powiedzieć.

– Szkoda – rzuca z roztargnieniem. – Słuchaj: jeden poziomo, „coś złego z powodu dobrego”. Cztery, pięć, osiem.

Nie mam pojęcia. Analityczna część mojego mózgu została chwilowo stłamszona przez tę odpowiedzialną za paranoję i mroczne przepowiednie.

– Muszę pomyśleć.

– Koniecznie. To hasło zawiera pierwsze litery pięciu innych. – Odchrząkuje. – Jak się czują moje wnuki?

– Chyba dobrze. – Jak na zawołanie maleńka stópka wypycha mi brzuch – kładę rękę w tym miejscu, jakbym mogła połaskotać paluszki. Ustalamy, że tata wpadnie z wizytą w następny weekend, na rogu otworzyli nową restaurację ocakbasi, do której chcę go zaprosić. Opowiadam mu pokrótce o zaplanowanym na popołudnie USG i słucham o ostatnich wydarzeniach z jego skazanej na klęskę kampanii wyborczej, po czym kończę, bo już czas jechać do szpitala. Wszystkie dokumenty dotyczące ciąży mam starannie spakowane w teczce obok komputera.

O jedenastej sprawdzam telefon, ale Kit nadal się nie odzywa. Zaczynają mnie swędzieć ręce, choć przecież zapowiadał, że bym nie spodziewała się telefonu od niego przed lunchem. Ściągam rękawy na dłonie i wsuwam dokumentację medyczną do torby.

I nagle doznaję olśnienia. Jeden poziomo, coś złego z powodu dobrego, cztery, pięć, osiem. Małe, białe kłamstwo.



LAURA

29 sierpnia 2000

Otwarty, świecący ekranem laptop Kita był zazwyczaj znakiem jego obecności w domu, ale wtedy od pięciu dni pozostawał zamknięty – absolutny rekord – a stos esejów, które przyniósł do domu do sprawdzenia przed ponad tygodniem, leżał przy drzwiach, gdzie go porzucił. Po serii nieudanych interwencji z naszej strony Mac dokonał tak jakby własnej, lądując w szpitalu psychiatrycznym po tym, jak przechodził tory kolejowe pod napięciem pomiędzy dwoma metami w Tottenham. Opatrzono mu lekkie poparzenia, skaleczenia i obtarcia i poddano terapii na poważne uzależnienie w skrzydle o zaostrzonym rygorze w Szpitalu North Middlesex. Dziś, po dziesięciu dniach od rozpoczęcia leczenia, Kit po raz pierwszy uzyskał pozwolenie na odwiedziny.

Pod jego nieobecność Beth i ja pokonałyśmy skrzynkę francuskiego piwa. Pojawiła się bez zapowiedzi, ale powstrzymałam się od tradycyjnego zaproszenia, by z nami zjadła. Wystarczająco długo stawiałam ją na pierwszym miejscu – najwyższy czas dopieścić trochę Kita. Nie zamierzałam całkiem się od niej odwrócić, jak on by sobie życzył, ale odkąd dostaliśmy zdjęcie, trzymałam ją na dystans.

Wszyscy troje radziliśmy sobie z incydentem w sposób dojrzały i odpowiedzialny, czyli udawaliśmy, że nigdy nie nastąpił.

Gdyby Kit pozwolił mi wyjaśnić swój stan Beth, może by zrozumiała i dałaby nam przestrzeń, której tak bardzo potrzebowaliśmy. Jednak on, wściekle strzegący brata, błagał, żebym nic jej nie mówiła, więc nadal beztrzesko przychodziła do Clapham, a ja nie miałam ani serca, ani słów, by ją odprawić.

Był wtorek i w liście, który odebrałam rano, Jamie rozważał, czy w następnym tygodniu nie zaadresować swoich próśb bezpośrednio do Kita. Sięgnęłam po kolejne piwo.

– Prawie nie używasz świeczek ode mnie – zauważyła Beth.

Trzy świece nadal stały w szklanych pojemniczkach i tylko w środkowej wosk wytopił się o centymetr niżej od pozostałych. Prawda była taka, że zniechęciłam się do tego zapachu.

– Trzymam je na specjalną okazję – skłamałam. – Poza tym palenie świec jakoś bardziej pasuje do zimy. Teraz wieczory są wciąż jasne, okno stale otwarte. A może chcesz jedną do swojego mieszkania? Mogłaby zatuszować zapach stęchlizny.

– Jedyne, co mogłoby zabić smród, to spalenie budynku do szcztu – odpowiedziała ponuro, zdrapując etykietę ze swojego piwa. – Poza tym kupiłam je dla ciebie.

Zapaliłam jedną, ale postawiłam ją na balkonie, skąd większość zapachu porywał wiatr.

Cztery piętra niżej huknęły drzwi.

– Jesteśmy tutaj! – krzyknęłam ostrzegawczo w dół, oczywiście podkreślając „my”, nie „tutaj”.

Zanim Kit dotarł do salonu, udało mu się nawet wykopać skądś uśmiech i przykleić go na usta.

– Gdzie byłeś? Robiłeś coś ciekawego? – spytała Beth. Wesołość ześliznęła się z jego twarzy na sekundę, w której posłał mi spojrzenie, mówiące „Nie wspominamy przy niej o moim bracie”. Kiwnęłam nieznacznie głową.

– Niespecjalnie – odpowiedział.

Wyjął scyzoryk z szuflady w kuchni i otworzył butelkę, szybko przykładając ją

do ust, gdy po szyjce spłynęła erupcja piany. Wypił całą duszką i sięgnął po następną – nigdy nie widziałam, żeby się tak zachowywał – po czym padł na kanapę i wbił gniewny wzrok w ścianę naprzeciwko. W myślach zaklinałam Beth, żeby przestała się na niego gapić albo przynajmniej zamaskowała jakoś pełną fascynacji troskę. Mieszkanie wezbrało falą przeróżnych tajemnic, przypominało mi teraz pokój dla świadków w sądzie w Truro. Kit, który dawno odrzucił teorię o telepatii bliźniąt i bólu fantomowym, miał krople potu nad górną wargą i wiercił się, jakby męczyły go skurcze żołądka, całkiem jakby to on był na głodzie.

– Dobrze się czujesz, Kit? – spytała Beth. – Nie wyglądasz najlepiej.

– Nic mi nie jest – odparł jak robot.

– Włączę telewizję, co wy na to?

Wycelowałam pilot w ekran. Na kanale informacyjnym nadawali reportaż o planach budowy tunelu, który rozładowałby ruch drogowy w okolicy Stonehenge.

– Szkoda by było, gdyby nie dało się go zobaczyć z okna – powiedziałam. – Uwielbiam ten moment, kiedy się wyłania.

Kit mruknął na poparcie moich słów.

– Na tym odcinku potrzebne są zmiany – zaproponowała Beth. – Tam z a w s z e są korki; na dojazd do Glastonbury trzeba doliczyć ze dwie godziny. Jest źle, nawet jak nie ma żadnego wypadku, a przy byle stłuczce przejazd jest całkiem zablokowany. W dzień, kiedy jechałam na Lizard, zderzyło się kilka aut, jakiś kilometr przed samochodem, w którym siedziałam. Staliśmy w korku pięć godzin i to w malutkim fordzie fiesta, więc myślałam, że oszaleję z bólu kolan, których nie mogłam rozprostować. Rozbite auta jeszcze się dymiły, kiedy je mijaliśmy. –

Pewnie nie przywiązałabym większej wagi do jej słów, gdyby nie rumieniec, którym nagle się oblała. Nigdy nie widziałam takich kolorów: paląco różowe plamy rozlewały się po jej białej szyi i wspinały po twarzy, jakby ktoś wlewał w nią krew z dzbanka. – No nieważne. Tunel byłby najlepszy. – Rumieniec zniknął tak nagle, jak się pojawił, i teraz mówiła z niemal agresywną dziarskością. – Niech nie zalewają betonem pól!

Następnym tematem był raport o błędach w nowym elektronicznym systemie

Urzędu Skarbowego. Nieoczekiwanie Beth i w tej kwestii miała sporo do powiedzenia – okazało się, że jej starszawy adwokat kłął jak szewc na system, bo musiał nadążyć za nowoczesnością... Próbowałam przekierować ją z powrotem na tor jej wypowiedzi na temat Stonehenge, ale nie przestawała paplać, jak małe dziecko. Prawie jakby celowo blokowała myślenie. Dopiero kiedy zniknęła w łazience, dotarło do mnie, co mi się nie zgadza. Już miałam pytać Kita, czy zauważył nienaturalny rumieniec Beth, lecz zamiast tego z ust wyrwał mi się teatralny okrzyk, wystarczająco głośny, żeby wytrącić go z jego mrocznego nastroju.

– Co? – spytał.

– Okej, może to nic – powiedziałam, choć moje myśli nabierały rozpędu. – Ale posłuchaj. Wypadek, o którym opowiedziała Beth, wydarzył się dzień p r z e d moim przyjazdem. – Zawiesiłam głos, żeby ciężar mojego spostrzeżenia dotarł do Kita, ale jego twarz pozostawała obojętna. – Na poboczu było jeszcze pełno szczątków. Kierowca autokaru powiedział nam, że służby wysprzątają to dopiero, kiedy uspokoi się ruch napędzany przez zjawisko. Natomiast w sądzie mówili, że Beth dotarła na festiwal dopiero dzień przed zaćmieniem, prawda? – Coś jeszcze przyszło mi na myśl. – Wspominali też, że przyjechała autobusem, bo pamiętam, jak pomyślałam, że musiała mieć miejsce w najwcześniejszym, bo w moim na pewno jej nie było. A przed chwilą opowiadała, że była w samochodzie.

Kit zmarszczył czoło.

– Tak... – powiedział wreszcie. – Chyba masz rację. – Na pewno miałam rację, test z wiedzy o procesie bez mrugnięcia zdałabym na szóstkę. Kit wzruszył ramionami. – Widocznie Polglase się pomylił.

Pokręciłam głową.

– Fiona Price od razu by to wyłapała. Sędzia zresztą też.

– Więc Beth się coś pomieszało. – Nie mogłam uwierzyć, jak lekceważąco do tego podchodzi. – Pewnie widziała to co ty, wszystkie te szczątki walające się na skraju drogi.

Beth nuciała w toalecie; jeszcze bardziej zniżyłam głos.



– Nie sędzę. Kit, ona skłamała. Nawet jeśli myli się w kwestii dnia, co z samochodem? – Spuściła głośno wodę w łazience. – Zapytam ją.

– O, B o ż e – sapnął Kit. Wreszcie zdobyłam jego uwagę. – Nie nakręcaj jej. Nie moglibyśmy choć raz mieć spokojnego wieczoru?

Nie potrafiłam jednak odpuścić. Zbudowałam swoje kłamstwo, opierając się na przekonaniu, że Beth mówi prawdę i tylko prawdę. Jeśli tak nie było, co to oznaczało dla mnie? Aż mnie zmroziło. Wyszła z łazienki, strosząc włosy. Odchrząknęłam.

– Beth, tak się zastanawiałam... Pewnie coś mi się pomyliło, ale myślę o tym, co powiedziałaś o wypadku. – Tym razem nie zarumieniła się, tylko zbladła, nawet jej usta straciły kolor i jeszcze zanim przeszłam do wyjaśnień, wiedziałam, że na coś trafiłam. Jeśli faktycznie ją n a k r ę c i ł a m, jak to określił Kit, może doprowadzę do jakiegoś przełomu. Musiałam poznać prawdę, choć kolejne zdania wymagały odwagi. – No, po prostu, wiesz, w sądzie twierdzili, że powiedziałaś, że dotarłaś na miejsce w środę, tak jak ja, i że przyjechałaś autokarem, tymczasem teraz opowiedziałaś, że podróżowałaś autem. Nie wiem, skąd ta rozbieżność. Czy to ty się pomyliłaś czy sąd. Czy może... – zaszłam już za daleko, żeby się wycofać. – Czy może to w ogóle nie był błąd.

Skrzyżowała ręce na piersi.

– O, bardzo mi przykro, nie zdawałam sobie sprawy, że ktoś mnie sędzi. Zn o w u.

– Nie, nie denerwuj się, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. – Czy aby na pewno nie chciałam? Nagle sama nie byłam przekonana. Wzięłam głęboki oddech.

– Powiedzmy, że sprawa Jamiego wróci na wokandę, wtedy taka rozbieżność mogłaby ci narobić kłopotów. Próbuję ci pomóc. – Spojrzałam na Kita, licząc na wsparcie, ale wbijał wzrok w podłogę, jakby zaklinał ją, żeby pochłonęła nas obie.

– Dobra. – Beth oparła się o ścianę i zamknęła oczy. – Jeśli koniecznie musisz wiedzieć, skłamałam na temat dnia, w którym dotarłam na miejsce, bo nie chciałam, żeby ktoś wiedział, w jaki sposób to zrobiłam. Nie przyjechałam jednym ze specjalnych autokarów, tylko autostopem.

– S t o p em? – Niedowierzanie na chwilę przysłoniło mi świadomość, jak szybko zbliżam się do własnego kłamstwa.

Kit wodził wzrokiem między nami, jakby obserwował mecz tenisa stołowego.

– Tak. – Beth otworzyła oczy i wyzywająco uniosła podbródek. – Stopem. Wystawiłam kciuk, machałam ręką, a wreszcie ktoś mnie podwiózł. Najpierw starsi państwo podrzucili mnie aż do Fleet services, potem grupka dziewczyn zawiozła mnie do Helston, a na koniec gość w beetle’u dowiózł mnie już na miejsce. Do tej pory jestem posrana, że obrońcy Jamiego namierzą kogoś z nich. Podczas procesu tylko czekałam, aż ujrzę kogoś z nich w sądzie. Pewnie nowy sztab prawników już ich dopadł.

Odczułam jednocześnie ulgę i zdumienie.

– Nie rozumiem, co za różnica, jak i kiedy dojechałaś na miejsce.

– Naprawdę? – Pokręciłam głową. Beth przysiadła obok mnie na kanapie i ujęła moją dłoń. Po raz pierwszy zauważyłam ciemny meszek nad jej górną wargą. – Dla mnie było to oczywiste już w pierwszych minutach. – Kiwnęła głową w kierunku moich półek z książkami. – Akurat ty, ze swoją Germaine Greer i Camille Paglią, powinnaś rozumieć. Nawet ja czytam gazety, wiem, jak traktują ofiary gwałtów. Gdyby wiedzieli, że przyjechałam autostopem, wymyśliliby, że mam za sobą historię ryzykanckich zachowań albo coś jeszcze gorszego. Miałam świadomość, że sprawa będzie sprowadzać się do mojego słowa przeciwko jego. Pomyślałam więc, że usunę wszystko, co może być uznane za proszenie się o kłopoty.

Skończywszy przemowę, zapadła się w poduszki i czekała, co powiem, ale ja musiałam to dopiero przetworzyć. W i d z i a ł a m Beth po zdarzeniu. Była zbyt straumatyzowana, żeby powiedzieć, jak ma na imię, a co dopiero kalkulować sytuację w przedstawiony teraz sposób. Wzięła moją konsternację za zwątpienie.

– Widzisz? – Wyrzuciła ręce w górę. – Właśnie dlatego. Wiedziałam, że będą mnie osądzać. Tak jak ty w tej chwili. – Wstała gwałtownie i zaczęła wrzucać swoje rzeczy do torby. – Zostawię was samych.

– Beth, proszę, nie odchodź w ten sposób.

Kit rzucił mi nienawistne spojrzenie, bo właśnie o tym marzył: o przestrzeni aż

do następnego prawnego kroku, więc nie dbał, jaka będzie jej cena. Ja jednak nie mogłam porzucić tej sprawy, tak jak on nie poddawał się w kwestii swojego bliźniaka. Stanowiłam część tej historii i czułam potrzebę jej pełnego zrozumienia.

Beth zmiotła swoje rzeczy z kominka do otwartej torebki – klucze, telefon, portmonetkę – pełnym wściekłości ruchem, po czym schyliła się zawiązać sznurówki.

– Skontaktuję się z wami, jak będę mieć wieści o odwołaniu.

– Zostań jeszcze na drinka – próbowałam z rozpaczą. – Omówmy to na spokojnie.

– Omówić? Na spokojnie? – spytała. – Uśmieć się, kurwa, można. Wyobrażasz sobie, jak to jest spędzać z wami cały ten czas i bez przerwy gryźć się w język?

Tym razem to mnie krew uderzyła do głowy. Zaraz to powie, pomyślałam ze zgrozą. Od początku wiedziała, że skłamałam dla niej na rozprawie, i teraz wyjawia to Kitowi. Widząc napięcie na jego twarzy, zrozumiałam, że nie udało mi się w porę ukryć przerażenia. Miałam wrażenie, że czyta mi w myślach, że poznał ogrom mojego występku. Byłam świadoma, że moja kwestia w scenariuszu brzmi teraz: „Co chcesz przez to powiedzieć?”, ale ryzyko, że doczekam się odpowiedzi, było zbyt wielkie.

– Pieprzę was oboje – wypluła jeszcze Beth, po czym wyleciała z mieszkania z powiewającą torbą i fruującymi lokami.

Rozległ się huk drzwi na dole, a my z Kitem wciąż patrzyliśmy na siebie, mrugając z konsternacją, a ja dodatkowo z poczuciem na krótko odroczonej egzekucji. Musiałam za nią pobiec. Błagać ją, żeby dalej gryzła się w język dla mojego dobra. Kit poruszył się pierwszy – wychylił się przez balkon.

– Dokąd poszła? – spytałam.

– Na zieleniec, gdzieś w drzewa.

Zbiegłam po schodach i ruszyłam przez trawę ku przystankowi autobusowemu, ale w połowie drogi zorientowałam się, że nie wiem, czy zmierza do Crystal Palace czy Nottinghamshire. Sprawdziłam przystanki po obu stronach drogi, ale najwyraźniej zdążyła odjechać. Obeszłam zieleniec dwa razy, zanim się poddałam.

Kiedy po dłuższej chwili wróciłam do mieszkania, w koszu na recykling były już trzy puste butelki. Kit wstał i przyniósł z lodówki świeże piwo, otworzył i podał je mnie, po czym sobie wziął kolejne. Teraz, kiedy Mac trzeźwiał, Kit chyba pił za dwóch.

– O co, do cholery, chodziło? – spytał.

– Widocznie trafiłam w czuły punkt – odparłam. – Coś ukrywa.

– Może nie. Instynkt samozachowawczy to potężna siła. Sama mówiłaś, że ludzie dziwnie reagują na traumę, wtedy nie da się mówić o „normalności”.

– Mhm. Powinam z nią dziś porozmawiać, załagodzić to. Naprawdę ją zdenerwowałam. – Oczy piekły mnie od wyęźniania wzroku na pełnych spalin ulicach, potarłam je więc pięściami. – Dobrze, że przynajmniej nie stać nas na samochód, prawda? – Nie skojarzył. – No wiesz, nie przebiję nam opon... – Żart nie wypalił.

– Mam nadzieję, że mówiła poważnie, i że do apelacji o niej nie usłyszymy – powiedział Kit. Przytuliłam się do jego piersi; wsłuchałam się w bicie serca. Otulił mnie ciężki ramieniem. – Wyjdzie jej to na dobre. Za bardzo się od ciebie uzależniła. Nie możesz wiecznie jej dźwigać. Poza tym... – Kit wysunął się z naszego uścisku, wziął głęboki wdech, po czym bardzo powoli wypuścił powietrze, jakby ćwiczył jogę. – Ja cię potrzebuję. Nie potrafię... Mac... Ja... Wygląda, jakby miał zaraz umrzeć. Nie wiedziałem, co mu powiedzieć. Tracę grunt pod nogami. – Następne zdanie wypowiedział na wdechu. – Pieprzę to wszystko – to całe gówno... Ja tonę, Lauro. – Po raz pierwszy od śmierci Lachlana widziałam, jak płacze, i to w zupełnie inny sposób niż wtedy. Żal po stracie ojca wyciągnął z niego spokojne, równomierne łkanie, ale teraz targła nim seria eksplozji, każdy pozbawiony słów krzyk silniejszy niż poprzedni; ciężkie łzy lały się obficie. Próbowałam go objąć, ale mnie odepchnął i dopiero kiedy położyłam mu rękę na plecach, nie protestował. Opuścił głowę na pierś i zwinął się ciasno, uświadamiając mi, jak prościutko sama trzymam plecy. Trwałam tak, z dłonią na jego żebrach, czując na nich uderzenia płuc, aż Kit wreszcie się wyplakał.

Nazajutrz była sobota, leżeliśmy w łóżku godzinami, a prostokąty cienia przesuwwały się po naszej skórze niczym zegar słoneczny. Spokojna, że tego dnia nie będzie listu od Jamiego, powstrzymałam się od sprawdzania wycieraczki – nie chciałam, żeby Kit zwrócił uwagę, że zawsze obsesyjnie pędzę po pocztę. Była już pora lunchu, kiedy on sam postanowił zejść na dół.

Wrzask, który poniósł się echem po klatce schodowej, był tak piskliwy i dziewczęcy, jak męskie były wczorajsze łyzy. Najwyżej przez ułamek sekundy myślałam, że to reakcja na list z więzienia, odgłos był jednak zbyt zwierzęcy.

Dopałam Kita na trzecim piętrze, w lewej dłoni trzymał odłamek szkła. Był błądy jak ściana, a na jego nosie dostrzegłam piegi, których nie widziałam od lat.

– Nie jest tak źle, jak wygląda – powiedział bez przekonania. – Jakiś pieprzony debil piątkowej nocy uznał za zabawne wepchnąć to w drzwi. Kupujemy sobie taką drucianą kratkę na listy.

Nagle zgasło światło i przez chwilę spowijała nas kompletna ciemność. Wymacałam drogę na półpiętro i wcisnęłam włącznik. Kit się przesunął i pokazał ośmiocentymetrowe rozcięcie na stopie.

– Kiedy miałeś ostatni zastrzyk przeciwtężcowy? – spytałam.

– W zeszłym roku.

– Daj, zobaczę, może trzeba cię zawieźć do szpitala.

Skacząc na jednej nodze, dotarł do kanapy. Położyłam sobie jego stopę na kolanach, przyciągnęłam bliżej lampę i sprawdziłam, czy nie ma wbitych odłamków. Rana była długa, ale płytka, krew już zaczynała krzepnąć. Jeszcze jedna szklana drzazga tkwiła w jego podbiciu.

– Obawiam się, że twoja kariera piłkarska jest skończona – powiedziałam, przymierzając się pęsetką. – Proszę.

– Au – jęknął.

Kiedy zmrużyłam oczy, żeby przyjrzeć się szkłu, w jednym momencie zobaczyłam i wywęszyłam dowód. Na odłamku widniał leciusieńki różowy ślad wosku i unosiła się znad niego ledwo wyczuwalna woń krwawych róż. Przeniosłam wzrok na kominek. Brakowało środkowej świeczki, tej, którą zaczęłam palić.

Przypomniało mi się, jak Beth zgarniała wszystkie swoje rzeczy do torby. Czy świeczka przypadkiem zaplątała się z resztą przedmiotów, czy została skradziona? Wyobraziłam sobie, jak czai się w okolicy naszego mieszkania, czekając, aż zgasną światła, żeby nakarmić nasz otwór na listy tłuczonym szkłem, i musiałam oprzeć się o fotel. Czy ten mściwy czyn był drugą stroną uwielbienia, jakie okazywała nam do tej pory? Dlaczego? Bo podważyliśmy jej wersję wydarzeń? A może po prostu nie wytrzymała już stresu związanego z przedłużającym się oczekiwaniem na odwołanie?

– Moja świeczka – powiedziałam do Kita. Wyciągnęłam rękę ze szkłem. Nagle z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że celem nie byliśmy my, tylko ja. Wiedziała, że zawsze pierwsza schodzę po listy. – Ktoś rozbił świeczkę, a potem wsunął odłamki przez otwór na listy.

Nie musiałam wypowiadać jej imienia.

Kit zrobił się blady jak ściana.

– Po co miałyby to robić? To byłoby s z a l e n i s t w o.

Tej nocy, kiedy Kit spał, włączyłam jego laptop i przeczytałam każde słowo na stronie [jamiebalcombejestniewinny.co.uk](http://jamiebalcombejestniewinny.co.uk) z rosnącym poczuciem dyskomfortu. W ciągu ostatniej doby Beth okazała się dwulicowa i mściwa, a moje dotychczasowe przekonanie o jej osobie zostało mocno nadszarpnięte. Kilka razy odczytałam oświadczenie Antonii, a w uszach rozbrzmiewała mi celna uwaga Fiony Price: „Dała się pani ponieść fantazji, prawda?”. A jeśli to nie ja dałam się ponieść fantazji Beth, tylko ona mojej? Czy Beth zwariowała na skutek gwałtu? Czy może powiedziała, że Jamie ją zgwałcił – lub nie zaprzeczyła, kiedy ja tak powiedziałam – bo już wtedy była szalona?

Do tamtej chwili postrzegałam kampanię Balcombe’a w systemie dwójkowym: albo żył w zaprzeczeniu, albo próbował wszystkich oszukać. Jednak w tych okolicznościach nie dało się wykluczyć trzeciej możliwości, w której winną stawałam się ja. Czy Jamie mógł być niewinny?



KIT

20 marca 2015

Osłona przeciwdeszczowa zdjęta. Osłona przeciwdeszczowa nałożona. Filtr obiektywu jest. Bateria wyjęta, sprawdzona, ponownie włożona. Pasek dopasowany.

– Możesz przestać się pieprzyć z tym aparatem? – irytuje się Richard.

– Przepraszam. – Kładę ręce na kolanach i powstrzymuję się przed bębnieniem palcami po szybie.

– Wybacz, stary, nie chciałem tak warknąć – mówi Richard. – Tylko, no sam wiesz. – Wskazuje za okno. Atmosfera w autobusie sapiącym pod górę Husareyn przypomina niebo, ciemne i burzowe. Chmury poruszają się szybko, ale tworzą gęstą pokrywę. Na pastwiskach pasą się stada owiec, gdzieś przez zielen trawy przebijają czarne skały, a wśród kęp pojawiają się wrzosa. Na horyzoncie pojawia się plama koloru – trzy różowe autokary wspinające się na sąsiednią górę. Odruchowo zarzucam na głowę kaptur.

Kiedy parkujemy na kamienistym poboczu, zastanawiam się, jak jest teraz w Londynie. Byłoby zabawnie, gdyby Laurze udało się wyraźnie obejrzeć częściowe zaćmienie, a mi chmury przyblokowały całkowite.

Rozchodzimy się po zboczu wzgórza z widokiem na zabawkowy port. Otacza nas stosunkowo dzika przyroda. Dla wszystkich wystarczy miejsca. Nie ma tłumu,

którego się obawiałem, ludzie zbierają się raczej w małe grupki. Spośród kilku postaci, które samotnie pokonują nierówny grunt, żadna nie okazuje się nią. Jestem pewien, że choć upłynęło tyle czasu, bez trudu bym ją rozpoznał, choćby po kołyszącym kroku i krągłej figurze, tak różnej od figury Laury.

Stawiam trójnog i bawię się ustawieniami, kucając, żeby spojrzeć przez wizjer.

– Widzisz coś w ogóle spod tego kaptura? – rzuca Richard.

Nie, nie widzę, bardzo mi przeszkadza. Ale nie zamierzam ryzykować.

Na dziesięć minut przed pierwszym kontaktem Słońce wygląda zza koronek chmur, ale, jakby speszzone naszymi wiwatami, zaraz się cofa. 8.29, pierwszy kontakt, a ono nadal się chowa. Nie zdejmuję okularów ochronnych, ale raczej w ramach ukłonu w stronę tego, co mogłoby być. Podczas gdy Księżyc wgryza się w Słońce, co jakiś czas dostrzegalne są kształty na niebie, ale kiedy nadciąga faza całkowita, chmury jeszcze gęstnieją, tak że trudno nawet określić pozycję Słońca na niebie.

Zahaczam wzrokiem o luźny kamień leżący u moich stóp, o wielkości pomiędzy pięścią a ludzką głową, i myślę: nada się. Jeśli nagle wyłoni się znikąd, ten kamień posłuży mi doskonale. Jestem przerażony własnym procesem myślowym. To nie jestem ja, powtarzam sobie, to nie ja, a potem: nie ma jej tu. Nie ma jej tu.

– Kogo nie ma? – pyta Richard.

Nie zdawałem sobie sprawy, że mówiłem na głos.

– To prześwit? – odwracam jego uwagę, wbijając wzrok w nieprzeniknioną szarość nad nami.

Rozczarowanie chwilowo wypiera obawy związane z Beth i czerpię niemal przyjemność z odczuwania innej negatywnej emocji. Postanawiam obserwować pozostałe zjawiska towarzyszące zaćmieniu, te, które zawsze pomijamy, zahipnotyzowani przez samo Słońce. Przykładowo: zawsze byłem tak zajęty patrzeniem w górę, że nie dostrzegałem, jak zamykają się kwiaty. Niestety, tym razem nie ma na ziemi nic oprócz kamieni, skarłowaciałych krzaczków i owczego łajna.

Wtedy zapada ciemność. Bez odliczania na niebie, jest czysta i natychmiastowa.



W dole, w miasteczku, wszystkie latarnie włączają się szybko jak płonące iskierki. Teraz, w mroku, zawód zostaje zastąpiony przez znajomy dreszcz zaćmienia. Ale tym razem jest inaczej. Nagle, nieoczekiwanie, z dziury w niebie bucha lęk. Obezwładnia mnie dziecięcy strach przed nocą, ale moim potworem jest to, co reprezentuje Beth – jest uosobieniem wszystkiego, co mam do stracenia. Powietrze wokół zdaje się gęste, dźwięki przytłumione. W pewnym momencie czuję za plecami czyjaś obecność, ale kiedy odwracam się gwałtownie od aparatu – nic tam nie ma.

Trzymam obiektyw ustawiony na niebo w coraz bardziej płonnej nadziei, że coś się jeszcze wydarzy, ale nie jestem w stanie się skoncentrować na chmurach, tylko na ciemności wokół i za mną. Zbocze góry wstrzymuje oddech.

Może w dziesięć sekund po trzecim kontakcie widzimy sierp Słońca, ale tylko kilka razy wyzwalam migawkę i chmury wracają. Potem czarna woda w zatoce robi się znów srebrzysta, i jest po wszystkim. Świat po zaćmieniu jest płaski i zwyczajny. Nie ma Beth, a nawet gdyby się pojawiła, nie jestem wobec niej bezsilny. Teraz to rozumiem. Lęki sprzed kilku sekund wydają się bezpodstawne, i rozpływają się jak koszmary, gdy rozbłyśnie światło.



LAURA

4 września 2000

– Zastanawiam się, czy nie oskarżyć jej o napaść – oznajmił Kit, po raz pierwszy od skaleczenia ostrożnie wsuwając stopę do buta.

Atak był wymierzony we mnie, nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości. Ani razu nie powiedziałam Beth, że może czas zostawić przeszłość za sobą, nigdy nie pytałam, czego się spodziewała, skoro pojechała sama na festiwal, nie sugerowałam, że chociaż w pewnym stopniu musiała dać Jamiemu do zrozumienia, że ma na niego ochotę, nie wmawiałam, że musiało jej się choć trochę podobać. Inni ludzie mówili jej to i gorsze rzeczy. Powtarzali jej to w sądzie, w prasie, w internecie, na ulicach jej rodzimego miasteczka. Ludzie mówili straszliwe rzeczy, żeby wygrać sprawę, z czystej złośliwości, a czasem po prostu chcąc dobrze, ale aż do tamtej nocy nigdy nie byłam jedną z nich. Z perspektywy Beth powtarzała się sytuacja z Tess. Przyciągnęłam ją do siebie tylko po to, żeby zaraz odtrącić.

– Nie rób tego! – błagałam Kita. – Ma problemy. Jest o f i a rą. Nie możemy obrócić się przeciwko niej. – Prychnął jak stary dziadek; odgłos ten był zarezerwowany dla chwil, kiedy wiedział, że mam rację, ale nie chciał tego przyznać. Z wysiłkiem uspokoiłam głos. – Nie wykluczam takiej możliwości. Ale wolałabym najpierw z nią porozmawiać.

– I co, rozmawiałaś?

Doskonale wiedział, że nie sięgnęłam po telefon. Byłam ciągle na etapie rozważań. Sytuacja z Beth, niegdyś tak klarowna, teraz się zmuliła, i musiałam trochę odczekać, aby gęste wody mojego umysłu uspokoiły się przed konfrontacją.

– Nie możesz wyrzucać ludzi na śmietnik tylko dlatego, że raz coś spieprzyli – odparowałam.

– Tyle że mówimy o jednorazowej wpadce, prawda? Zjawianie się tu o każdej porze dnia i nocy, przynoszenie wypasionych prezentów jak cholerny kot znoszący właścicielowi myszy? Słyszałaś, co zrobiła z samochodem przyjaciółki? A to jeszcze zanim zabrała się do naszego nagiego zdjęcia. Ta dziewczyna to chodzące kłopoty, Lauro.

Mimo wszystko czułam potrzebę otoczenia jej opieką.

– Można by pomyśleć, że zapomniałaś, w jakich okolicznościach ją poznaliśmy. Aż sapnął ze złości.

– Raczej mało prawdopodobne.

Mierzyliśmy się wzrokiem, gotowi w każdej chwili wybuchnąć. Kit skapitulował pierwszy; wiedziałam, że tak będzie, jeśli poczekam wystarczająco długo. Rzadko wykorzystywałam jego głęboko zakorzenioną uległość, ale tym razem nawet się z tym nie kryłam.

– Słuchaj, naprawdę nie mam ochoty się o nią kłócić – powiedział. Otworzył przede mną ramiona. Przytuliłam się do niego, ale ręce zwisały mi ciężko po bokach.

Przez dwa dni zastanawiałam się, od czego zacząć rozmowę z Beth. Telefony akwizycyjne, którymi w pracy męczyłam firmy, były niczym w porównaniu z tą konwersacją. Beth miejscami miała skórę grubą jak zbroja, gdzie indziej cienką jak bibułka. Nigdy nie było wiadomo, jak zareaguje.

W końcu to ona zadzwoniła do nas. Gdy tylko zorientowałam się, kto mówi, włączyłam ją na głośnik. Kit stanął obok mnie przy telefonie z założonymi rękami i marsmem na czole.

– Odrzucili apelację. – Głos Beth odbił się rykoszetem od ścian mieszkania,

zmodyfikowany przez maszynę nie zdradzał jej nastroju. – Słusznie myśleliśmy. Znaleźli świadków z ogniska. Sędziowie uznali jednak, że nie mogą nic wnieść w kwestii przyzwolenia na stosunek. Tyle utopionych pieniędzy i nie jest w stanie uciec sprawiedliwości.

– Genialnie! – powiedziałam. Jeśli wyczuła dystans w moim głosie, najwyraźniej nie stanowił dla niej przeszkody.

– Wybierzmy się na kolację, żeby to uczcić. Ja zapraszam. W podziękowaniu za wszystko, co dla mnie zrobiliście.

Moje wahanie trwało o chwilę zbyt długo.

– Lauro?

– Jestem. – Wzięłam głęboki oddech dla odwagi. – Tak po prostu kolacja? Po tym, co się wydarzyło? Nie rozstaliśmy się w zgodzie.

Kit poruszył stopą z opatrunkiem, niezamierzenie przypominając, jaką szkodę wyrządziła. Uświadomiłam sobie, że Beth nie wie, że Kit przysłuchuje się rozmowie. Poczułam dobrze znaną panikę, że może zaraz postanowi poruszyć temat mojego krzywoprzysięstwa.

– Tak, cóż, słuchaj... – Było jasne, ile wysiłku wkłada w opanowanie emocji. – Ty powiedziałaś za dużo, ja powiedziałam za dużo. Nie będę udawać, że mnie to nie zabolalo. Ale wybaczę i zapomnę, jeśli ty też potrafisz.

Stopa Kita znów zaciężła mi na kolanach, krew sączyła się z rozciętej skóry.

– Nie sądzę, żebyśmy były kwita. Jak możesz nas porównywać? Nie masz prawa nas tak atakować!

Beth odezwała się po chwili milczenia.

– Lauro, czasem trudno poskromić emocje, kiedy ma się mój bagaż doświadczeń. – Po raz pierwszy użyła tego argumentu przeciwko mnie; przynajmniej powstrzymałam się przed wytknięciem jej, że to żadna wymówka. –

Nie wiem, dlaczego tak dziwnie podchodzisz do tej sytuacji. Czego ode mnie oczekujesz?

– Przepraszam na początek.

– To ja mam przeproszać ciebie? – Najpierw słyhać jej ciężki oddech, potem

zapada cisza.

– Rozłączyła się! – Odkładałam słuchawkę ze spóźnioną delikatnością. – Dlaczego to zrobiła?

– Nie wiem – odparł ostrożnie Kit. – Chyba tak już ma, że zamyka się, kiedy rzucasz jej jakieś wyzwanie.

– Oddzwonię do niej.

Kit łagodnie położył dłoń na telefonie.

– Może powinnaś najpierw ochłonać. Ręce ci się trzęsą.

Całym moim ciałem wstrząsały dreszcze. Gorsze od możliwości konfrontacji jest tylko jej odebranie. Miał jednak rację – gdybym teraz ciągnęła rozmowę, palnęłabym coś, czego potem bym żałowała.

– Jak to możliwe, że wszystko tak szybko się popsuło? – spytałam. – Miałam ją za przyjaciółkę. Nawet jej nie znałam.

Uznanie dla Kita, bo nie powiedział – ani wtedy, ani nigdy – „a nie mówiłem”.

Żadne pomieszczenie nie powinno być człowiekowi w ciemności bliższe niż własna sypialnia, ale nagle poczułam się w swojej tak obco jak przebudzona w środku nocy w pokoju hotelowym. Dym kłuł mnie w gardle jak ostroga, wbijał szpilki w oczy. Udało mi się naciągnąć długi T-shirt i włożyć majtki leżące na podłodze, gdzie je zostawiłam.

– Kit! – Potrząsnęłam go za ramię. – Coś się pali! – O, mało powiedziane. Całe mieszkanie stało w płomieniach. – Kit, na Boga, o b u d ź s ię! – Nigdy nie wydawał mi się cięższy, nigdy nie spał tak mocno i przez kilka koszmarnych, mrocznych sekund myślałam, że nie żyje. – KIT! – Z całej siły uderzyłam go dłonią w twarz i wreszcie, kaszląc, wybudził się z letargu, w okamgnieniu oceniając sytuację. Wskoczył w bokserki, natychmiast trzeźwy, skupiony.

– Ogień idzie z klatki schodowej – powiedział. – Włącz na łóżko.

Siłą otworzył okno, które służyło jako wyjście awaryjne, mieszkanie zmieniło się w jeden wielki przewód kominowy, zasysając dym przez naszą sypialnię i buchając kaskadą rudych płomieni. Skuliliśmy się, gdy za drzwiami doszło do

eskalacji. Rozległ się wybuch i odgłos roztrzaskującego się w salonie szkła. Dym wydrapywał mi wnętrzności.

– Nasze r z e c z y – krzyknęłam.

W istocie chodziło mi o jedną rzecz – zdjęcie mnie i mamy w Greenham Common. Wizja jej fotografii, czerniejącej, zwijającej się, była nie do zniesienia – za uratowanie jej warto było zaryzykować życie. Nie trwało to dłużej niż trzy sekundy, ale żal jest tak przebiegły. Jak dym wkrada się i wypełnia najdrobniejsze przestrzenie. Kit złapał mnie za koszulkę, materiał rozdarł się, gdy szarpnęłam się w stronę salonu, w tej samej chwili gdy pomarańczowy smok płomieni skoczył ku drzwiom sypialni.

– Co, kurwa, robisz? – Jego głos pękał z wysiłku krzyku.

– Chcę do mamy. – Znał mnie na wylot, więc zrozumiał proces myślowy prowadzący do tych słów. Zareagował z nadprzyrodzoną zwinnością, rzucił się przede mnie i pociągnął drzwi sypialni, przymykając je. Odgłosu, jaki wydał z siebie, gdy jego naga dłoń przywarła do rozgrzanej do czerwoności gałki, wolałabym już w życiu nie usłyszeć. Wrzask złamał jego głos; pękł w połowie i przeszedł w urywany oddech. Prawą ręką posterował mną w stronę okna. Schodzące na ulicę metalowe schody przeciwpożarowe były spowite dymem i gorące, więc Kit pchnął mnie mocno ku bezpiecznej strefie dachów. Przeleźliśmy, półnaczy i bosy, do miejsca, gdzie dachówki były chłodne, i spróbowaliśmy zrozumieć, co dzieje się pod nami.

– Przykro mi – chciałam powiedzieć, ale nie starczyło mi głosu nawet na szept.

Wyglądało na to, że ogień nie zajął innych pięter, ale z naszego balkonu buchały jaskrawe jęzory płomieni. Na chodniku poniżej gromadzili się gapie w piżamach i szlafrokach. Jakiś nieznajomy głos zawołał: „W porządku, są na dachu!”, a potem, zwiększając moc, by do nas dotrzeć, przekazał: „Straż pożarna już jedzie!”.

Nie mieliśmy możliwości odpowiedzieć. Wysiłkiem było złapanie oddechu. W powietrzu unosił się słodkawy, mięsny aromat, jakby karkówka z grilla, i pamiętam swoje zdziwienie, że ktoś jeszcze o tej porze gotuje, z pewnością wszystkie restauracje były dawno zamknięte. Dopiero gdy spojrzałam w dół

i zobaczyłam pokrytą bąblami lewą dłoń Kita, uświadomiłam sobie, że zapach, który czuję, to jego przypalone ciało.

Błękitne światła kogutów okrążyły zieleniec. Drabiny poszły w górę, z węży trysnęła woda. Z chodnika słychać było skwierczenie. Siedzieliśmy z Kitem na tylnym schodku karetki, z maskami tlenowymi na szyjach, otuleni kocami. Jeden ratownik opatrywał Kitowi rękę, drugi dzwonił na oddział ratunkowy Szpitala Świętego Bartłomieja. Nie mogłam otrząsnąć się z szoku, że potrafiłam narazić życie nas obojga dla zdjęcia.

– Zarządca budynku będzie się musiał grubo tłumaczyć – powiedział jeden ze strażaków, ściągnawszy hełm, strużki potu wyłobily czerwone linie na jego usmolonej twarzy. – Założę się, że to elektryka. Nie przychodzi mi na myśl nic innego, co wywołałoby taki pożar na schodach. Widać wyraźnie, gdzie tynk odpadł ze ściany; okablowanie ma chyba z sześćdziesiąt lat.

– Temperatura to jedno, siła drugie – wyjaśnił ratownik, ostrożnie owijając dłoń Kita bandażem i doprowadzając go do łez bólu. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś miał na twarzy autentyczne krople potu, ale czoło Kita była wysadzane kroplami, dorodnymi i solidnymi jak zastygły wosk. Słyszałam, jak zgrzyta zębami z wysiłku, by nie wrzeszczeć. Strażak odszedł, wezwany przez kolegę. – Gdybyś tylko dotknął klamki, mielibyśmy do czynienia z lekkim pieczeniem. Musiałeś naprawdę mocno szarpnąć. Prawda jest taka, że gdybyś tego nie zrobił, upieklibyście się żywcem.

Podszedł inny strażak, z rozłożoną płasko dłonią w rękawicy.

– Znaleźliśmy winowajcę. – W jego ręce spoczywał mały zwęglony różowy krążek, w którym natychmiast rozpoznałam świeczkę krwawa róża, lub raczej podstawę, która z niej została. Choć została wydobyta z pożaru, wciąż wyczuwalny był cień pierwotnej woni. Nie musiałam patrzeć na Kita, żeby wiedzieć, że też poznał przedmiot. – Gdyby to ode mnie zależało, wydałbym zakaz na to badziewie. W kwestii zapraszania ognia zastąpiły obecnie niedopałki. Cóż, raczej niespieszno wam będzie do powtarzania podobnych zabaw, co? – Pochylił się nad nami, jakbyśmy byli parą niegrzecznych pięciolatków. – Co wam w ogóle przyszło do

głowy, żeby palić to na schodach? Co za brak wyobraźni!

Moje „dlaczego...?” zderzyło się z Kita „Co, u licha...?”. Nasze głosy brzmiały obco, struny głosowe mieliśmy nadszarpnięte dymem. Ujrzałam własny gniew odbity w jego twarzy.

– To nie ja – powiedział.

– Ja też nie. – W nabrzmiewającej ciszy oboje złożyliśmy układankę. Oprócz Maca i Ling istniała tylko jedna osoba, która знаła nasze mieszkanie, jedna, która wiedziała, gdzie są świece. Niczym obuchem uderzyło mnie wspomnienie poranka, kiedy zostawiłam ją samą w naszym domu. Miała osiem godzin, żeby dorobić klucz. To była jedyna okazja.

Od początku pragnęła przejąć kontrolę.

Strażak natychmiast przybrał inną minę.

– Jesteście pewni, że to nie żadne z was?

– Absolutnie – potwierdziliśmy jednogłośnie.

Strażak pokiwał głową w odpowiedzi na jakieś wewnętrzne pytanie.

– Dobrze. Potraktujemy to poważnie. Wezwiemy ekspertów, żeby poszukali śladów włamania. Na budce z kebabami jest kamera monitoringu, może coś złapała. Będziecie musieli złożyć zeznanie na policji. Poczekajcie tu – (jakbyśmy mieli jakiś wybór) – a ja zwołam kolegę.

Oddalił się, a my siedzieliśmy w odrętwiałej ciszy, patrząc, jak strażacy wchodzą i wychodzą z naszego dymiącego się budynku.

Wreszcie spojrzałam w oczy naiwności, która pchnęła mnie do krzywoprzysięstwa, narażenia mojego związku, narażenia ż y c ia. Biorąc wdech tak głęboki, na ile pozwalały mi poparzone płuca, odezwałam się do Kita:

– To nie podpalenie, prawda? To usiłowanie zabójstwa.



# Całkowite zaćmienie





LAURA

28 września 2000

Siedem dni po pożarze siedziałam za kierownicą starej furgonetki Ling, jeżdżąc w kółko po Clapham Common i szukając miejsca do zaparkowania. Kit siedział obok, z lewą dłonią w wielkiej, białej rękawicy opatrunku. Przy trzecim okrążeniu wreszcie znalazłam miejsce przed naszym mieszkaniem. Udało mi się wmanewrować w nie furgonetkę bez zarysowania sąsiednich pojazdów, po czym nakarmiliśmy parkometr monetami, żeby starczyło mu na dwie godziny.

– Prawie spodziewam się, że siedzi na naszym progu – powiedziałam, trzaskając drzwiczkami.

Policji nie udało się przesłuchać Beth. Choć „odbyli z nią pogawędkę”, nie występowała w roli podejrzaney. Świadców nie było, a kamera na budce z kebabami okazała się atrapą. Strażacy sami wyłamali drzwi, by gasić ogień, niszcząc wszelkie potencjalne dowody włamania. Dzielnie stawiałam czoła furii Kita: „Coś ty sobie wyobrażała, zostawiając obcego człowieka w domu?”, i powiedziałam o możliwości dorobienia klucza, ale okoliczni ślusarze nie okazali się pomocni. DNA Beth było wszędzie w naszym mieszkaniu – przecież spędzała tu tyle czasu – więc zbieranie materiału dowodowego mijало się z celem. Nie było sposobu, żeby ochronić nas przed jej atakiem. Moje współczucie – ta studnia bez dna – wreszcie się wyczerpało. Empatia nie ocali nas przed uduszeniem.

Beth nie siedziała na progu. Poza lśniącym, nowym zamkiem i zawiasami drzwi wejściowe wyglądały jak zawsze, dziś z gratisem w postaci pustego pudełka KFC i wyschniętej na słońcu kałuży wymiocin. Rzut okiem w górę na czarne smugi wokół zabitego deskami okna kuchennego zdradzał całą historię. Uderzyła mnie fala zmęczenia. Funkcjonowałam na mieszance kofeiny i paniki. Od czasu pożaru nie mogłam spać, ale nie z powodu strachu – na to było jeszcze za wcześnie – tylko dlatego, że miałam coś do zrobienia. Zimny przymus wzmagął się wraz z nadejściem świtu. Co noc leżałam z otwartymi oczami na wyboistej kanapie w pokoju gościnnym Adele i przysięgałam sobie, że tego dnia już się na to zdobędę, ale nasz czas wypełniały wizyty lekarskie, oględziny mieszkania oraz długie i zawiłe rozmowy z ubezpieczycielami i zarządcą budynku.

Otworzyliśmy lśniący zamek nowiutkim kluczem. Jedną z pierwszych czynności Kita po wyjściu ze szpitala było przekierowanie całej naszej poczty do domu Adele, przeniosłam więc swoją rutynę zdobywania porannej poczty na jej wycieraczkę. Przesyłki, które czekały na nas w Clapham, ograniczały się do standardowych ulotek i reklam. Klatka schodowa cuchnęła stęchłym dymem, ściany były czarne. Złapałam Kita za zdrową rękę.

Wykładzina była wciąż nasiąknięta brudną wodą. To nie schody chwyciły ogień, tylko ściany, pokryte przedpotopową farbą i tapetą. Wszystko w salonie spłonęło lub, w wielu przypadkach, uległo stopieniu. Telewizor, aparat fotograficzny i laptop Kita stanowiły kupki plastiku i drutów, przestrzelone wstążeczkami silikonu i szklanych drzazg. Stracił jedynie ostatni tydzień pracy, bo większość materiałów zabezpieczył sobie w postaci kopii zapasowej na swoim komputerze na uczelni, gdzie, z tego, co było mi wiadomo, wszystko czekało na niego na jakimś głęboko schowanym twardym dysku. (Jego wydział puścił go na zwolnienie lekarskie, które za moją radą przedłużył – nie powiedziałam Beth, gdzie teraz pracuję, ale wiedziała, gdzie Kit spędza dni. Kiedy się załamałam, zwolnienie lekarskie Kita przerodziło się w bezterminowy, choć niepłatny urlop z powodów osobistych. Namawiałam go, żeby trzymał się z daleka od uczelni; teoretycznie mógł wrócić i skończyć doktorat, ale nauczyłam się mu o tym nie przypominać).

Nasze komórki, telefon stacjonarny i automatyczna sekretarka były zniszczone, ta ostatnia była czarną plamą wystygłej lawy na blacie stolika. Załatwiliśmy już sobie nowe numery. Większość książek nie nadawała się do niczego. Zdjęcie mojej mamy było w takim stanie, że nie dało się nawet stwierdzić, która część zwęglonej masy była kiedyś ramką.

Z kurtki Kita, którą powiesił na drzwiach sypialni, zostały metalowe guziki, szkielet szwajcarskiego scyzoryka i garść poczerniałych monet z kieszeni.

Stanął w miejscu, z którego zawsze patrzyliśmy na jego mapę zaćmień. Gwałtownie zakryłam usta dłonią.

– Kit! Wszystkie twoje pamiątki!

– Też się wystraszyłem – powiedział. – Ale większość jest przecież u mamy. Tu były tylko T-shirty, a one mogły przetrwać.

Jakimś cudem miał rację. Sypialna nosiła ślady dymu, ale nie płomieni. Otworzyłam szafę i powąchałam pierwszą z brzegu sukienkę. Wyglądała znośnie, ale smród spalenizny przyprawił mnie o mdłości.

– Może uda się to wywietrzyć albo wyprać – zasugerowałam.

W milczeniu zapakowaliśmy do toreb ubrania i zawartość regału, który przetrwał bez większego uszczerbku, poczerniałe grzbiety książek po przetarciu ujawniały czytelne tytuły, a strony tylko na brzegach były osmolone.

Całą resztą miał się zająć zarządca.

Staszczyliśmy worki na dół. Na zewnątrz na odwróconej skrzynce siedział sprzedawca kebabów, paląc papierosa.

– Co za pech. – Przyjrzał się zabandażowanej ręce Kita. – Gdzie się podziejecie? Zostajecie w okolicy? Wasza kumpelka pytała.

– Kumpelka? – Mój głos mimowolnie zadrżał.

– Ta dziewczyna z czarnymi włosami, była tu niedawno. Strasznie była roztrzęsiona.

– Nie wątpię – mruknęłam pod nosem.

– Gdyby jeszcze się pojawiła – powiedział spokojnie Kit – powiedz jej, że wyruszyliśmy w podróż. Z plecakami. Robimy sobie rok wolnego od życia.

– Jasne. – Gość od kebabu pokiwał głową. – Dobrze wam zrobi, odetchniecie od tego wszystkiego.

W drodze powrotnej do Adele mijaliśmy Urząd Stanu Cywilnego w Lambeth. Akurat stanęliśmy na czerwonym świetle. Młoda para w zaawansowanym średnim wieku śmiała się na stopniach, w gradzie ziarenek ryżu.

– Zróbmy to. Na co czekamy? – Głos Kita był melodyjny, dźwięczący niezwykłą dla niego nutką spontaniczności.

– Mówisz poważnie? – Po raz pierwszy od wielu dni moją twarz rozjaśnił szczery uśmiech.

– Dziś wieczorem wsadziłbym cię w samolot do Las Vegas, gdyby było nas na to stać. Wypełnijmy formularze. Czy od czego tam się zaczyna. Pragnę, żebyś została moją żoną. Przez to wszystko zdałem sobie sprawę, jak bardzo mi na tym zależy. – Determinacja chwilowo starła z jego czoła głębokie rysy, które widniały tam od pożaru. – Słuchaj, jedyny plus tego, że policja nie była w stanie postawić Beth zarzutów, to to, że nie jesteśmy z nią związani kolejnym procesem. Możemy się zmyć. Bierzemy ślub. Zaczynamy od nowa. Zmieniamy nazwiska. Przeprowadzamy się, może gdzieś w okolicę Maca i Ling.

Nie zauważyłam, kiedy światło zmieniło się na zielone, oderwałam usta od warg Kita dopiero, kiedy kierowca za nami zatrąbił zniecierpliwiony. Podjęłam decyzję, zanim wrzuciłam jedynekę.

– Zróbmy to. Nie mam lepszego pomysłu, jak zniknąć.

Tradycyjna czerwona budka telefoniczna tradycyjnie cuchnęła moczem, zmuszając mnie do oddychania ustami. Ulicą pełzły samochody, jadąc przez nieznanome jeszcze osiedle Green Lanes, mijając turecką piekarnię, która chyba nigdy nie była zamknięta, i smętny sklep jubilerski, który chyba nigdy nie był otwarty.

Tego wieczoru wreszcie, z krwawiącym sercem, pogodziłam się z lekiem na swoją bezsenność. Przez tydzień od naszej przeprowadzki na Harringay nie przespałam więcej niż trzy godziny. Bez zastosowania jakiegoś rozwiązania wycieńczenie i tak wkrótce rozwiązałoby mi język, bo trudno było mi już panować

nad czymkolwiek. Trzymałam lepką słuchawkę między podbródkiem a szyją, z pięciofuntową kartą telefoniczną gotową do wsunięcia w otwór. Stałam tak od obehwładniających pięciu minut, w ręce ściskając wizytówkę inspektor Carol Kent. Wizytówka miała naddarty róg i nosiła ślady trawy z Lizard Point. Bojownicy o wolność Balcombe'a niewątpliwie woleliby, żebym zwróciła się bezpośrednio do nich, ale z dwojga złego preferowałam gniew policjantki niż radość zwolenników Jamiego.

Słyszając wyrok, wiedziałam, że skazanie Jamiego nie było nieodwołalne, ale wierzyłam, że jest sprawiedliwe. Teraz okazało się, że Beth skłamała również policji, przypuszczalnie pod przysięgą powtarzając kłamstwo o tym, jak przybyła na festiwal, i mimo że po części pojmowałam jej rozumowanie, kompletnie nie grało mi ono z tym, czego byłam świadkiem tuż po napaści. W mieszkaniu ujawniła się jako podglądaczka, osoba drażliwa, niekonkretna, a wreszcie agresywna. Żadna z tych cech z osobna nie podważała wyroku skazującego Jamiego, ale razem wzięte zmieniały wszystko, przynajmniej w moich oczach. Moje białe kłamstwo nabrało czarnej barwy, ciężkiej od sadzy. Czy nadal wierzyłam w winę Balcombe'a? Tak... tak. Tak, większość czasu. Czy wciąż w i e d z i a ł a m, że jest winny? Nie. Skazanie go nie miało solidnych podstaw.

Zdawałam sobie sprawę, ile mam do stracenia, wykonując ten telefon. Fizyczne konsekwencje wisały nade mną. Krzywoprzysięstwo. niesprawiedliwość w majestacie prawa, być może obraza sądu. Więzienie, jeśli się przyznam, ale to nic w porównaniu z konsekwencjami w życiu osobistym. Pożegnałabym się z dumą mojego ojca ze swojej córeczki, szacunkiem Ling i niemal z pewnością ze związkiem z Kitem. Kariera, którą tak rozpaczliwie pragnęłam zbudować, też ległaby w gruzach. Niewiele organizacji charytatywnych zaryzykowałoby złożenie reputacji w ręce skazanego krzywoprzysięzcy. Wbiłam numer kierunkowy, każda cyferka była krokiem oddalającym mnie od jedyne go życia, o jakim kiedykolwiek marzyłam. A jednak właśnie przyznania się oczekiwałam, żądałam, od kogokolwiek w mojej sytuacji. Kit na pewno by się go po mnie spodziewał.

Wycie syreny trzęsło szybami budki, kiedy radiowóz na sygnale zmuszał

pojazdu do rozstąpienia się przed nim. Przecisnął się tuż przy mnie i poczułam się, jakby długie ramię prawa założyło mi nelsona. Mięśnie karku złapał skurcz, a gardło ścisnęło się boleśnie.

Nie byłam w stanie się przełamać. Zrozumiałam z koszmarem jasnością, że pragnę, aby moje życie i reputacja pozostały bez zmian. Do tamtej chwili nie zdawałam sobie sprawy z rozmiaru własnego ego. Spojrzałam na swoje odbicie w brudnej szybie i poczułam nagłą, przyprawiającą o zawrót głowy utratę własnego ja. Wyglądało na to, że prędzej wybiorę – niewielką co prawda, ale jednak – szansę, że niewinny człowiek będzie siedział w więzieniu, niż przyjęcie odpowiedzialności za krzywoprzysięstwo.

Patrząc tak w głąb własnego, mrocznego serca, jak mogłabym n i e zwariować?

W domu Kit dzielnie gotował spaghetti na naszej fatalnej, dwupalnikowej kuchence, a spod jego uśmiechu wyzierała troska. Zdałam sobie sprawę, że już nigdy tak na mnie nie spojrzy, jeśli opowiem mu o procesie. Nie wykonam tego telefonu. W ślad za tą myślą ogarnęło mnie dziwne uczucie, włoski na rękach stanęły mi dęba, jak poderwane chłodnym wiatrem, choć powietrze było gęste od pary.

– Smaczne – pochwaliłam kolację. Makaron był trochę rozgotowany, tak jak oboje lubiliśmy.

– Dzięki – odparł z roztargnieniem Kit. Jakoś nie potrafił spojrzeć mi w oczy, tylko błędził wzrokiem w okolicy mojego talerza.

– O co chodzi? – Odłożyłam widelec.

– Po prostu... mogłabyś przestać się drapać? To strasznie irytujące.

Podążając za jego wzrokiem, popatrzyłam na swoje przedramiona i ze zdumieniem odkryłam, że są pokryte siatką czerwonych linii.

– Nawet nie zauważyłam, że to robię – powiedziałam, ale nagle zdałam sobie sprawę z leciuteńkiego łaskotania na skórze. Tak jakbym szła przez las, w którym z gałęzi wszystkich drzew zwisają pajęczyny.

– Kupiliśmy jakiś nowy proszek do prania? Może jesteś uczulona na któryś ze składników? – Zerwał się od stołu, żeby sprawdzić w szafce pod zlewem. – Nie, to

ten sam.

Teraz same gałęzie drapały moje ciało. Wokół rys na skórze zaczynał powstawać obrzęk.

– Może to jakaś opóźniona reakcja na zatrucie dymem? – podesunęłam. – Albo uszkodzenie nerwów? – W środku też nie czułam się dobrze, w klatce piersiowej coś mi furkotało, jakby próbowało przewiercić się na zewnątrz.

Zdrową ręką Kit odchylił mój podbródek, żeby przyjrzeć się szyi, po czym podniósł mi koszulkę, żeby zbadać brzuch i plecy.

– To miejscowe uczulenie. Jest tylko na przedramionach.

Całą noc skóra piekła mnie jak przypalana żywcem. Kiedy wreszcie zasnęłam, śniła mi się mama, która smarowała ugryzienia komarów maścią cynkową. Zbudziłam się ze łzami w oczach i krwią pod paznokciami. Godzina na zegarze przeskoczyła z 8.20 na 8.21.

– Dlaczego mnie nie budzisz? – Wpadłam jak burza do salonu, gdzie Kit siedział przed laptopem. Światelka modemu mrugały za jego plecami.

– Masz wolne, dzwoniłem do twojej pracy, zgłosiłem, że jesteś chora – powiedział. – Umówiłem cię do lekarza w trybie pilnym.

– Bo się trochę d r a p a ł a m? – Czułam się dziwnie i byłam pobudzona, jakbym wypila cały dzbanek kawy.

Ujął moją twarz w dłonie.

– Cokolwiek to jest, przejdziemy przez to razem, dobrze?

– Ale myślisz, że to z powodu pożaru, tak? – Zaczęłam się trząść.

– Wiesz, że się tobą zaopiekuję, choćby nie wiem co, prawda? – odpowiedział.

Dopiero później dowiedziałam się, że Kit całą noc nie zmrużył oka, tylko wyszukiwał w internecie neuropatyczne swędzenie – kilka zwyrodnień pasowało do objawów. Gdy usłyszeliśmy diagnozę lekarki, ulga Kita równała się mojemu zdziwieniu.

– Masz atak paniki, kochanie – oznajmiła. – Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, ile przeszłaś.

– Nie – zaoponowałam. – Ta przypadłość jest f i z y c z n a.



– Psychosomatyczna – poprawiła pani doktor. – Ludzki umysł to podstępny, stary drań. Przepiszę ci maść sterydową na złagodzenie objawów skórnych i diazepam, żeby dać ci trochę wytchnienia. Skieruję cię też do terapeutki, która pomoże stłumić problem w zarodku, zanim wymknie się spod kontroli. Na wizytę z funduszu czeka się standardowo siedem tygodni, jesteście w stanie pokryć koszt przyspieszonej?

Potrafiłam myśleć tylko o tym, że przepadł mi dzień pracy, i o dłoni Kita gojącej się wolniej, niż przewidywali lekarze.

– Tak – nie wahał się Kit.

Zwalczyłam chęć podrapania się, aż wyszliśmy na zewnątrz, na chodnik, swędzenie doprowadzało mnie do szału. Rzuciłam się z paznokciami na poranioną już skórę. Kit otoczył moje przedramiona zdrową ręką i trzymał mocno, gdy próbowałam mu się wyrwać. Usłyszałam głos Beth. „Nie zwracamy uwagi, o ile są od nas silniejsi”.

Nie mogłam się od niej uwolnić. Moje myśli nakładały się na siebie. Jej niepoczytalność nie oznacza, że on tego nie zrobił.

Czy kiedykolwiek będę pewna?

Terapeutka, do której mnie skierowali, była dobra w pokonywaniu fizycznych objawów lęku; techniki uważności i ćwiczenia, które uczyły moją somę przechytrzać psyche i opanowywać swędzenie i drżenie. Nie mogłam jej jednak wyznać sedna problemu, którego świadoma byłam ja i tylko ja. Terapeutka nie była głupia: dobrze wiedziała, że coś ukrywam. Czasem kusiło mnie, żeby dopisać sobie do dzieciństwa jakąś traumę, która wszystko by wyjaśniła. Podczas najmroczniejszej sesji myślałam, żeby przypisać wszystko cierpieniu po stracie matki.

Kit przeprowadził mnie przez wszystko. Dwukrotnie uratował mi życie: raz podczas pożaru, a drugi – każdego dnia, każdej nocy, kiedy wstawał ze mną i grał w karty albo bladym świtem oglądał od początku do końca *Kroniki Seinfelda* na DVD, szczotkując moje włosy, gładząc je, plotąc, kiedy ja walczyłam z nieprzepartą chęcią drapania rąk. Byłam tak pogrążona w tajemnym piekle,

którego bramy sama przed sobą otwarałam, że dopiero teraz doceniam, ile poświęcił, by się mną opiekować. Nie było mowy, żebym kontynuowała pracę, a Kit, bez względu na to, ile by uczył, nie był w stanie utrzymać nas obojga ze stypendium doktorskiego. Gdy tylko lekarz dał zielone światło jego oszpeconej blizną dłoni, wziął tymczasowe pół etatu jako asystent technika u komercyjnego optyka, wsadzając tanie szkła w oprawki, choć niegdyś przez wysokiej klasy szkła oglądał gwiazdy, którym nikt jeszcze nie nadał nazwy. Ani razu nie narzekał, że to poniżej jego godności czy kwalifikacji.

Cztery tygodnie po pożarze w ich mieszkaniu, Laura Langrishe i Kit McCall, pierwotnie z Clapham Common, złożyli przysięgę małżeńską w Urzędzie Stanu Cywilnego w Lambeth; z budynku wyszli jako Laura i Christopher Smithowie i powrócili do swojego nowego jednopokojowego mieszkania, które wynajmowali przy Wilbraham Road. Nie było weselnej uczyty ani przenoszenia panny młodej przez próg, ale małżeństwo zostało słodko i czule skonsumowane w nowym łóżu małżeńskim. Miesiąc miodowy świeżo upieczona małżonka spędziła na sesjach psychoterapii, z których korzystała dwa razy w tygodniu, podczas gdy świeżo upieczony mąż brał podwójne zmiany u optyka, żeby oprócz czynszu opłacić jeszcze jej leczenie.

Mieliśmy po dwadzieścia dwa lata i cicha intensywność tamtych tygodni to było zbyt wiele dla pary dzieciaków. Inni zakochani w naszym wieku filozofowali o zobowiązaniach, a my byliśmy tak splątani, że mieliśmy odwrotny problem. Co oznacza zaangażowanie w związek, na który składa się wyłącznie ciemność? Nawet seks, pierwotnie nasza odskocznia, stracił swoją swawolność. Zamiast chęci czuliśmy tylko potrzebę. Czekaliśmy, by wróciła radość.

Mieszkaliśmy przy Wilbraham Road przez pięć miesięcy, kiedy któregoś wieczoru Kit przyszedł do domu z długą, cienką tubą pod pachą.

– Co to?

– Patrz. – Rozwinął mapę świata i przyczepił pinezkami do pustej ściany nad kominkiem. Kupił – albo, co bardziej prawdopodobne, dostał od Adele – czerwoną

nić do haftowania. Wreszcie z namaszczeniem odciął kawałek nożyczkami i rozpiął go przez środkową i południową Afrykę. – Zambia, w styczniu – oznajmił. – Malutki festiwal. Najwyżej kilka tysięcy ludzi. Nie Ling czy Mac. Tylko my. Będziemy sami. – Na jego twarzy pojawił się stary dobry uśmiech. – Szanse opadów praktycznie zerowe.

Wiedziałam, że po prostu musimy tam jechać, jeśli nasz związek miał nie tyle nie zwiędnąć, ile kwitnąć. Że tylko poprzez powrót do zaćmień, przez stanie pod cieniem, będziemy mogli z powrotem odnaleźć nasze światło.



LAURA

20 marca 2015

– Dlaczego wszyscy mają obsesję na punkcie żywienia mnie?

Ling zna moją kuchnię równie dobrze jak ja jej – bez rozglądania się wyjmuję z szuflady chochelkę i nakłada do misek rosół z kukurydzą.

– S i a d a j – rozkazuje.

– Łatwo ci mówić. – Zamiast stołu mamy w kuchni budkę, wpasowaną w kącie, taką jak w taniej, amerykańskiej restauracji; skórzane ławy biegną po obu stronach blatu z twardego laminatu, tak wiekowego, że na złączeniu ze ścianą jest niespełna dwucentymetrowa szpara, pełna brudu i okruszków. Zajmę się tym na tydzień przed porodem, kiedy to, jak wszyscy zapowiadają, dostanę nagłej manii mycia okien i poprawiania poduszek. Siadam i przesuwam się po ławie, z plecami przy ścianie. Widzę stąd całą kuchnię. – Nie wcisnę się tu więcej, aż dzieci nie przyjdą na świat – sapię, czując ucisk.

Ling stawia przede mną głęboki talerz i ze skrzyżowanymi rękami patrzy, jak nie jem.

– C h c ę mieć ochotę – mówię.

Marszczy brwi w trosce.

– Czy utrata apetytu nie jest jednym z wczesnych znaków ostrzegawczych?

– O Boże. Znaków czego?

– Lęku. A ty o czym myślałaś?

– A jeśli nie jestem głodna, bo dzieci nie rozwijają się prawidłowo? Albo coś jeszcze gorszego? – Ling nie potrzebuje, żebym werbalizowała „coś gorszego”. Była przy mnie przy każdej nieudanej próbie.

– Skarbie, jesteś kłębkim nerwów – mówi. Fakt, jestem, przecież ona nie zna nawet połowy prawdy. – Miałam tak samo w obu ciążach. To normalne, uwierz mi. Słuchaj, zaraz wsiadamy w auto i jedziemy na USG. Nawet w sytuacji kryzysowej nie zbadaliby cię szybciej. Za chwilę cię uspokoją, obiecuję – czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Przepraszam. Tak. Dzięki – mówię.

Wiem jednak, że się nie wyciszę, dopóki nie usłyszę głosu Kita. Od zaćmienia minęły dwie godziny, z łatwością mógł znaleźć zasięg. Planuje, że kiedy pojawią się dzieci, wszyscy czworo pojedziemy polować na zaćmienie; pierwsza rodzinna wyprawa szykuje się w roku 2017, do Stanów. Skoro tak przeżywam jego samodzielny wyjazd, jak poradzę sobie z upilnowaniem dwójki maluchów w tłumie? Paranoja nie pozwoli mi nawet na sekundę spojrzeć w niebo. Nie chcę być jedną z tych obsesyjnych matek, które widuję na ulicy, wiszących nad swoimi dziećmi na każdym kroku, choć akurat moje obawy są uzasadnione.

Odsuwam talerz z praktycznie nieruszoną porcją zupy. Gdy wychodzimy, łapie mnie jeszcze kurier z paczką z Mothercare dla sąsiadki, Ronni.

– A jeśli to zły omen? – pytam Ling.

Przejmuje ode mnie przesyłkę i ściska ją lekko.

– Raczej para kaloszków. Chodź, zbadajmy cię wreszcie.

Ostatnie kilka rund in vitro opłacaliśmy z własnej kieszeni, ale teraz, kiedy jestem już w ciąży, wróciliśmy do opieki na fundusz i do Szpitala North Middlesex przy North Circular Road. Nie wiem, jak ktokolwiek ma wyzdrowieć z jakiegokolwiek dolegliwości przy najbardziej zanieczyszczonej ulicy Londynu. Jak zwykle pachnie tu kurczakiem z rożna i płynem do dezynfekcji rąk. Gdy docieramy na miejsce, dzidziusia uprawiają we mnie zapasy. Nadal nie ma wieści od Kita, więc z dużym oporem stosuję się do znaków i wyłączam telefon.

Mój ginekolog, pan Kendall, jest specjalistą od mnogich ciąż. Opiekuje się mną od samego początku i to on przyjmie dzieci na świat. (Wszyscy, łącznie z Ling, podejrzewają, że czuję się obrabowana z szansy porodu siłami natury. Prawda jest taka, że to jeszcze jedna sprawa, nad którą nie mam kontroli, i cieszę się, że decyzja została podjęta za mnie). Perfekcyjnie zadbane dłonie doktora Kendalla – musi chodzić na profesjonalny manicure – wzbudzają zaufanie.

– Dziś bez Christophera? – pyta, stukając w klawiaturę lśniącoymi zdrowymi paznokciami.

– Popłynął na Wyspy Owcze oglądać zaćmienie Słońca – informuję. – Ostatnia poważna podróż przed narodzinami dzieci.

– Ach tak. – Kiwa głową. – Zawsze chciałem zobaczyć całkowite zaćmienie. Zabraliśmy dzieciaki do Kornwalii w 1999 roku. Byłaś jeszcze w powijakach. Zresztą, kompletna klapa.

Uśmiecham się w odpowiedzi i kładę, przygotowując się na chłód śliskiego żelu. Jestem już starą wygą.

– A ty? Kiedy zwolnisz tempo? – pyta Kendall.

Szczerze mówiąc, planuję pracować do końca. Potrzebujemy pieniędzy.

– Już niedługo.

Doktor Kendall odwraca ekran ode mnie i przesuwa głowicą po moim wystającym pępku, analizując parametry. Kitowi by się to podobało – jest wymierny postęp, do którego potrafili się odnieść. Muszę poprosić o wydruk numerków, i oczywiście najważniejszego – zdjęcia.

– Rosną zdrowo – informuje lekarz. – Łożyska w prawidłowym ułożeniu, pępowiny również. N a p e w n o nie chcesz wiedzieć – róż czy błękit?

Odwracam głowę. Postanowiłam utrzymać płęć dzieci w tajemnicy, żeby udowodnić Kitowi, że potrafię być wyluzowana. Choć Kit nigdy bezpośrednio nie określił mnie jako osoby lubiącej rządzić innymi, to błagał mnie, więcej razy, niż potrafię zliczyć, żebym trochę odpuściła, zwolniła, uspokoiła się, a nawet, ku naszemu wspólnemu przerażeniu, „złapała chill”.

– O, tu zdecydowanie mamy...

– Nie!

Oboje, lekarz i Ling, wydają się zaskoczeni gwałtownością mojej reakcji. Próbuję rozładować sytuację.

– Zamierzamy wychowywać je bezpłciowo. Pomarańczowe ubranka. W ramach eksperymentu.

Przyjmują żart, ale ledwo. Czuję ulgę, gdy wychodzimy.

Ling odwozi mnie do domu.

– Na pewno dasz sobie radę sama? – pyta, choć i tak wiem, że będzie musiała siedzieć w pracy do późna, żeby nadrobić niańczenie mnie.

– Jasne. – Zatrząskuję drzwiczki auta.

– ZJEDZ COŚ! – woła jeszcze i odjeżdża.

Z domu, z gąbczastego komfortu własnej sofy, wysyłam zdjęcie z USG Kitowi, w odpowiedzi oddzwania z podglądem z kamerki. Jest chyba w jakimś barze, tło jest ciemne, zacienione, na stoliku przed nim widać fragment rąbka kufła. Obraz jest marny; na jego świeżo ogolonej twarzy wyskakują kwadraty, a biało-czarny wzór na swetrze na zmianę wskakuje i wyskakuje z systemu dwójkowego. Mimo że poszatkowany pikselami, i tak odczytuję na jego twarzy wyrzuty sumienia. Ostre krawędzie mojego gniewu nieco topnieją. Nie chcę się więcej kłócić. Po raz pierwszy pierwsza pozbywam się focha.

– Piękne, prawda? – Ciepło w moim głosie jest szczere.

– Wszystko dobrze? – dopytuje. – Rosną zgodnie z normami? Żadnych różków i ogonków?

– Są doskonałe. – Uśmiecha się lekko. Dopiero w tej chwili doznaję olśnienia, dlaczego w ogóle rozmawiamy przez telefon, a nie twarzą w twarz. – Przepraszam, kochanie, opowiedz o zaćmieniu. Kompletnie schowane za chmurami?

– Najgorsze w życiu – przyznaje smętnie. – A w Londynie?

– Do bani.

– Szkoda – mówi. Jego głos jest całkowicie pozbawiony wyrazu i mój wczesny system ostrzegawczy natychmiast się uruchamia. Przyglądam się jego twarzy w poszukiwaniu jakichś znaków, ale jakość obrazu jest zbyt kiepska.

– Coś jest nie tak – mówię. – Coś się stało z powodu tego cholernego nagrania.

– Nie z powodu nagrania.

A więc coś się wydarzyło. Czuję mrowienie na skórze.

– Co nie z powodu nagrania? Co tam się dzieje?

Ginie zasięg, coś klika, a jego słowa docierają do mnie w postaci pisków, jak pieśń delfina.

– Słuchaj, nie denerwuj się. Zaraz wracam na statek, a wtedy oboje będziemy się mogli zrelaksować.

Drapię się w rękę, w której trzymam telefon.

– Dlaczego nie możesz się zrelaksować na lądzie? Kit? – Słyszę, jak mój ton robi się ostry i przesłuchujący. Wiem, że to jak dżganie czułeków ślimaka, zaraz schowa się do skorupki, ale nie potrafię się powstrzymać. – Widziałeś ją?

– Nie.

– Nie serwuj mi tu monosylab.

– Przestań wszystko nadinterpretowywać – odcina się. – Wiesz, jaki jestem zawsze zdołowany, kiedy chmury staną mi na przeszkodzie.

– Przysięgnij na nasze dzieci, że nic się nie stało.

Połączenie zamiera na sekundę, więc nie mogę stwierdzić, czy pauza przed „przysięgam” to jego zawahanie, moja wyobraźnia, czy jakieś satelitarne opóźnienie, a potem znika.

Wymiar tego, co właśnie zrobiłam, uderza mnie jak obuchem. Kazałam mu przysiąc na nasze nienarodzone dzieci. Kit nie jest przesądny, poza tym powiedziałby wszystko, byle ocalić mnie od ataku paniki. Skusiłam los. Kładę dłoń na brzuchu, czekając, aby maluszki poruszyły się, kopnęły, ale nic się nie dzieje.





LAURA

20 czerwca 2001

– Siedem tysięcy obsesjonatów zaćmień zebranych w jednym miejscu – powiedziała dziewczyna z kolczykami w obu nozdrzach i fioletowymi dreadami splecionymi w stożki, wiszące czubkami w dół. – Będzie, kurwa, n i e p r z y z w o i c i e.

Miała rację – lokalizacja, głęboko w zambijskim buszu, odsiała zarówno luznych balowiczów, jak i poważnych astronomów, z których wielu nie lubiło zagrożenia hałasem niemal tak bardzo jak światłem. Podróżowaliśmy z Kitem piątą godzinę z naszej sześciogodzinnej podróży z lotniska Livingstone na miejsce festiwalu, w autobusie bez wentylacji, ze słabym zawieszeniem i pięćdziesięciorgiem hipisów, którzy używali wyłącznie naturalnych dezodorantów. Szczotkowata roślinność odcinała się zielenią od morelowej ziemi. Bydło bez mrugnięcia przechadzało się pomiędzy pędzącymi, wyładowanymi po brzegi ciężarówkami. Przydrożni sprzedawcy owoców i warzyw wystawiali tęcze towary. Stare, malowane farbą billboardy i miasteczka z blachy falistej mijaliśmy w mgnieniu oka. Kiedy zatrzymaliśmy się na lunch w barze z szyldem Fanty, dziesiątki dzieci wyległy jakby spod ziemi i wszystkie chciały dotknąć moich włosów, piszcząc z uciechy, kiedy ich paluszki ciągnęły pukle i zawijały je w supły.

Cywilizacja została daleko za nami, kiedy pokonaliśmy wzgórze i naszym oczom ukazało się prowizoryczne miasteczko. Miejsce festiwalu miało lepszą infrastrukturę niż niektóre z wiosek, które po drodze mijaliśmy, z malutkim supermarketem na miarę buszu, rzędem pryszniców i toalet w afrykańskim stylu, z dziurą w ziemi, czystszych niż w jakimkolwiek brytyjskim centrum handlowym. Kawiarnie oferowały narkotyki równie otwarcie i tanio jak piwo.

– Wygląda w porządku – powiedziałam do Kita.

Po prostu wystawił twarz do słońca i się uśmiechnął. Tu nie musiał sprawdzać prognozy pogody, martwić się o warunki. Afrykańska zima jest przewidywalna. Tego dnia na niebie lśnił ciepły błękit, który kazał wątpić, że barwa ta może być w ogóle uznawana za zimną, a jego czystość sprawiała, że można było podać w wątpliwość istnienie chmur. Na scenie, w pełni zaopatrzonej w sprzęt, zespół reggae grał serię coverów Boba Marleya. Minęliśmy namiot, gdzie na jednej ze ścian wyświetlano żyłkowaną grafikę. Kit wziął do ręki małą maskę ze skorupy kokosa przedstawiającą wrzeszczącą afrykańską twarz i przyłożył ją sobie do oczu.

– Wygląda zupełnie jak Mac na odwyku. – Po raz pierwszy był w stanie żartować z kondycji brata.

Nie było zmierzchu; w jednej chwili Słońce zrobiło się pomarańczowe jak dynia, a już w następnej schowało się za horyzont. Pobiegliśmy przez nowo nastalą noc, aby włożyć jeszcze kilka warstw ubrań, ułożyć się na plecach u wylotu namiotu. Na stu dwudziestu metrach nad poziomem morza, z minimalnym zanieczyszczeniem światła i różowym Księżycem, afrykańskie niebo nie było upstrzone gwiazdami, tylko nimi zalane; efekt był bardziej meteorologiczny niż astrologiczny – Droga Mleczna była jak chmura burzowa, grożąca deszczem brokatu. Gapienie się w niebo było źródłem jakiejś atawistycznej satysfakcji.

– Mamy patrzeć w górę – upomniałam.

Pokiwał głową w moje ramię, potem wtoczył się na mnie. Lekka wypukłość jego brzucha wpasowała się w zapadłość w moim pasie, w harmonii ze wznoszącym się i opadającym ruchem mojej przepony. Tamtej nocy nawet nasze oddechy były zsynchronizowane.

Nie wiem, czy to przez ogrom wysiłku, jaki kosztowało nas dotarcie na miejsce, czy przez moją potrzebę pokuty, ale Zambia była dla mnie bardziej pielgrzymką niż urlopem. Wystrzegaliśmy się scen i barów na rzecz cienia drzew. Pewnie dlatego tak długo zajęło jej znalezienie nas.

Kiedy nadszedł czas zaćmienia, organizatorzy wyłączyli zasilanie systemu nagłaśniającego.

– Pierwszy kontakt – szepnął Kit, gdy Księżyc wziął kęs Słońca, ku rosnącym na Ziemi wiwatom. Tu wreszcie oddawano cześć, której brakowało mi w Kornwalii. Nie ciszą – było nas na to zbyt wielu – ale każdy okrzyk i szept były pełne szacunku i w jakiś sposób p o s w i ę c o n e zjawisku. Tłum uniósł twarze ku kurczącemu się sierpowi Słońca w heliotropowym unisono. Upłynęła godzina, podczas której chyba wcale nie mrugałam.

– Nie chcesz zdjęcia? – spytałam, wskazując na aparat zwisający mu przy boku. Machnął ręką.

– Nie – odparł ku mojemu zdziwieniu. – Nie tym razem. Raz chcę to po prostu p r z e ż y ć.

Ruszył wiatr, pełen grozy powiew znikąd, którego doświadczyłam już w Kornwalii, tylko że tutaj był ciepły i zapiaszczony. Jakby ponaglony sygnałem od wiatru czas, wlokący się przez ostatnią godzinę, przyspieszył i od wschodu napłynął zmierzch.

– Tak wyglądają trzy tysiące kilometrów na godzinę – powiedział Kit, wpatrzony w szarżującą na nas ciemność.

Krajobraz zmieniał się równie dramatycznie jak niebo, nasze cienie zaczęły się kurczyć, jakbyśmy się rozpływali. Zaczęłam się trząść i sięgnęłam po rękę Kita. Uniósł ramię i okręcił mną jak baletnicą, więc ujrzałam zmierzch na wszystkich horyzontach.

Pierścień białego światła otaczał Słońce, na czubku migotał jeden czysty brylant, aż wreszcie zapadła kurtyna całkowitego zaćmienia. „O Boże”, „*Dio mio*”, „*Mein Gott*”, „Wow”, wrzeszczał tłum. Księżyc stanowił czarny krąg zasłaniający Słońce; rozbłysła zorza plazmy, jakby ktoś odpalił palnik gazowy.

– Czy to bezpieczne? – spytałam Kita. Chodziło mi o to, czy mogę zdjąć okulary ochronne, ale pytanie też zdawało się większe. Czy bezpiecznie jest żyć na tym wirującym kawałku skały? Czy bezpiecznie być takim maleńkim? Czy nie stanie nam się nic złego?

W odpowiedzi zdjął mi okulary i gołym okiem podziwiałam smolistą kulę na niebie. Znałam teorię, wiedziałam, że patrzę na obfite skupisko wodoru, ale stojąc tam, potrafiłam myśleć tylko o bóstwach i magii. Korona poruszyła się jak żywy, złoty rozbłysk dwukrotnie większy niż samo Słońce. Gwiazda nie jest aniołem, tylko potworem. Zjawisko było tak potężne, że wszystko, co nas spotkało, wszystko, co uczyniliśmy, wydawało się maleńkie. Żal, poczucie winy i strach stopiły się w nicość.

– Jestem u z d r o w i o n a – oznajmiłam i w tamtym kontekście wcale nie brzmiało to banalnie.

Pod cieniem można powiedzieć wszystko. Oparty na moim ramieniu policzek Kita był mokry, a i mnie łzy spływały strumieniami po twarzy. Nie tylko my płakaliśmy, tuż koło nas ktoś chlipał cichutko, a gdzieś dalej ktoś wył jak wilk. Trwaliśmy tak przez cztery i pół minuty. Jak zaprogramowany jakimś wewnętrznym zegarem, Kit nasunął mi okulary ochronne z powrotem na twarz niczym przyłbicę, nie minęło kilka sekund i nastąpił wybuch żółtego światła, a cień umknął ku wschodowi. Było po wszystkim. Ocierałam łzy szczęścia.

– Kiedy następne? – spytałam.

Następnego dnia autobusy, które nas przywiozły, przybyły, by zabrać nas z powrotem, ale teraz siedem tysięcy osób naraz chciało opuścić jedno miejsce, więc nastał chaos: niektórzy zmierzali na lotnisko Lusaka, inny dalej na południe, do Livingstone. Paru nieszczęśników z Japonii miało przed sobą dwa dni w autobusie do Johannesburga. Staliśmy z Kitem w kolejce podróżnych do Livingstone, a przeciwny ogon na transport do Lusaki wił się niemal kilometr. Po dwóch godzinach wreszcie przyszła nasza kolej, żeby wtaszczyć plecaki na bagażnik dachowy i zająć miejsca na lepkich, plastikowych siedzeniach. Przetarłam

okno, ale kurz pokrywał szybę od zewnątrz.

– Nie chcę wracać do domu – oświadczyłam. – Powtórzmy to od początku. – Powiedziałam to z pełną świadomością, że następne zaćmienie całkowite jest na kole podbiegunowym.

– Nie sądzę, żeby wielu z tych ludzi zapuściło się na biegun południowy. – Kit przyjrzał się wykrzywionym ofiarom wokół nas. Nasz autobus stał jeszcze na włączonym silniku, choć wszystkie miejsca były już zajęte. – Nie byłoby ich stać. Żaden człowiek nie oglądał jeszcze zaćmienia z bieguna. To ogromna wyprawa, koszty w grubych tysiącach. Nie widzę, jakim cudem my mielibyśmy sobie na coś takiego pozwolić.

Nie wiem, dlaczego się wtedy odwróciłam. Jakiś mściwy anioł sprawiedliwości postanowił ukarać mnie za to, że odważyłam się opuścić gardę i poczuć się szczęśliwa. Obejrzałam się jednak, wykręciłam szyję, by rzucić okiem na drugi autobus. Tkwiła w ramie brudnego okna, patrząc na mnie, we mnie.

– B e t h. – Imię zabrzmiało z moich ustach jak warknięcie.

Nastąpiła chwila całkowitego bezruchu i przerażenia. Kit zamarł, po czym powoli powiódł wzrokiem za moim spojrzeniem. Przez sekundę wszyscy troje trwaliśmy tak jak zakłęci. I nagle, jak pająk, któremu wpada do pajęczyny mucha, ona ruszyła.

– Możemy już jechać? – zwrócił się do kierowcy Kit.

W drugim autobusie Beth wygramoliła się z miejsca przez sąsiada z siedzenia obok, po czym próbowała się przedrzeć do drzwi, pokonując utrudnienia w postaci bagaży i ciał. Nasz kierowca był ucieleśnieniem lakoniczności, spojrzał tylko na Kita spod uniesionych brwi i wciągnął powietrze przez duże, żółte zęby.

– Jedź pan już, kurwa! – krzyknął Kit.

W życiu nie widziałam go tak przestraszonego, nawet podczas pożaru.

– Proszę – powiedziałam błagalnie, jakimś cudem przywołując na usta spokojny uśmiech. – Naprawdę się dokądś spieszymy.

Wyłowiłam z kieszeni garść *kwacha*, a Kit rzucił banknoty na kolana kierowcy. Wreszcie koła ruszyły, wzburzając pylistą ziemię, więc kiedy Beth wyskoczyła na

kamienistą drogę, utonęła w chmurze spalin i wirującego afrykańskiego kurzu. Jakiś motor minął ją z rykiem tak blisko, że myślałam, że obetrze jej kolana. Niezrażona próbowała biec wzdłuż autobusu, ale japonki, które miała na nogach, ją spowalniały.

– Lauro – odezwała się, ale w jej głosie nie było groźby. Wyglądała bardziej na zdesperowaną niż wściekłą, bardziej pokrzywdzoną niż przerażającą.

– Nie zwalniasz pan, nie zwalniasz! – Kit prosił kierowcę. – Niech pan wciśnie ten cholerny gaz!

Po raz pierwszy okazał strach w mojej obecności. Dopiero, kiedy sytuacja odarła go z siły, zrozumiałam, ile go kosztowało dźwiganie mnie. Autobus gwałtownie przyspieszył. Obróciłam się i wstałam w fotelu, skąd zobaczyłam, jak Beth opada na kolana pośrodku drogi. Spódnica utworzyła kałużę wokół jej nóg, nadając jej wygląd wyrzuconej na ląd syrenki, krztuszącej się w kłębiącym się, czerwonym obłoku. Wjechaliśmy w zakręt i zniknęła mi z oczu.

Wszyscy pasażerowie gapili się na nas. Kit obniżył się na siedzeniu, płonąc z zażenowania. Cisza trwała, dopóki kierowca nie zaczął majstrować przy radiu. Grali *Livin' la vida loca* i kierowca podśpiewywał sobie, fałszując.

– Pokonała pół planety, żeby nas dopaść – powiedział Kit tak cicho, że ledwo go słyszałam. – Tyle wysiłku w zmianę imion i nazwiska, ułożenie sobie życia od nowa, i wszystko na nic. Sami jej powiedzieliśmy, gdzie nas szukać.

Autobus sunął pośród łąk pól, na których pasły się chude krowy. Ujęłam uszkodzoną rękę Kita i delikatnie powiodłam palcem po bliźnie. Wyrwał dłoń z moich palców.

– Widziała moją mapę, już zawsze będzie wiedziała, jak nas znaleźć.

Nie powiedział tego wprost, ale implikacja była aż nazbyt jasna – wszystko przez to, że ty zaprosiłaś ją do naszego domu. Sięgnęłam z powrotem po jego dłoń, ale była zaciśnięta w pięść.



LAURA

15 listopada 2003

Jamiego Balcombe'a zwolniono po wykonaniu połowy wyroku. Był wzorowym więźniem przez dwa i pół roku. Uczył współwięźniów czytać i pisać w więziennej bibliotece. Po pożarze napisał do mnie jeszcze jeden list, informując, że słyszał o całym zajściu – aż się wzdrygnęłam na myśl, że śledził, co się z nami dzieje – i miał nadzieję, że trauma, której osobiście doświadczyłam, wzmogła moją empatię, tym samym zwiększając prawdopodobieństwo odwołania przeze mnie zeznań. Zakleiałam z powrotem kopertę i odesłałam list do ośrodka karnego, donosząc, że innego adresu do doręczeń nie podano, i więcej przesyłek nie otrzymałam. Nie wiem, czy strażnicy otworzyli kopertę, a jeśli tak, treści listu nie wzięto pod uwagę przy rozpatrywaniu zwolnienia warunkowego.

Wolność Jamiego przyniosła mi zarówno strach, jak i ulgę.

Bałam się, że jakimś sposobem dotrze do Kita. Byłam pewna, że Kit uwierzyłby w moje kłamstwo pręcej niż w prawdę z ust skazanego gwałciciela, jednak ciążyło na mnie kłamstwo i nie byłabym w stanie powtórzyć go przed osobą, której zdanie liczyło się dla mnie najbardziej na świecie. Jednocześnie czułam ulgę, ponieważ każdy dzień jego odsiadki był dla mnie jak drzazga pod paznokciem. Przynajmniej nie przebywał już w więzieniu, cierpiało już tylko – tylko! – jego dobre imię.

Po Zambii przez pięć lat nie widzieliśmy kolejnego całkowitego zaćmienia. Za

bardzo się baliśmy – ja się bałam – Beth, żeby lecieć do Południowej Afryki w roku 2002. Antarktyda w listopadzie 2003 roku była dla nas równie odległa co Księżyc pod względem finansowym, szczególnie że przypadała w rok po tym, jak kupiliśmy dom przy Wilbraham Road, składając kłamliwe, lecz powszechne wówczas, oświadczenie o niezdolności do pracy, by uzyskać kredyt hipoteczny.

Wciąż łowiliśmy cień, ale nie było mowy o ekscytujących, wielkich imprezach alternatywnych; zamiast tego przemykaliśmy poza radarem. W 2006 roku, kiedy pas zaćmienia całkowitego biegł najszerzej przez Libię, a trzeci „festiwal życia” odbywał się w Turcji, my podziwialiśmy zjawisko na drugim krańcu, w Brazylii.

W noc przed wylotem Kit przyłapał mnie na upychaniu maści z hydrokortyzonem i całego opakowania konturowego diazepamu w bocznej kieszeni naszej torby.

– Nie m u s i m y tego robić – powiedział, badając wzrokiem moją twarz.

– Mamy wszystko zarezerwowane, opłacone!

Wcale nie było opłacone, co tylko pogarszało sprawę – wyprawa została zabukowana na i tak mocno nadwyrężonych kartach kredytowych. Kit uśmiechnął się do mnie z tak wyraźnym wysiłkiem, że tylko czekałam, aż zatrzeszczą mu policzki.

– Nieważne – powiedział. – Jeśli masz się przez to z powrotem pochorować, to nie jest tego warte.

Wzruszyłam się, jak bardzo Kitowi zależy, żebym mu uwierzyła, ale też znałam go na wylot. Dla k a ż d e g o mężczyzny zagraniczne podróże i fantastyczne, pierwotne doświadczenia byłyby atrakcyjniejsze niż zżerana przez nerwy żona ze strupami na rękach, a co dopiero dla Kita, którego kompulsywne polowanie na zaćmienia płynęło w jego żyłach, zanim w ogóle mnie poznał. W moich najmroczniejszych chwilach budziły się obawy, że problem miał głębsze korzenie. Te daty były zakodowane w jego DNA – były ostatnim ogniwem łączącym go z ojcem. Do końca życia miałby do mnie żal, gdybym stanęła mu na przeszkodzie. To moja wina, moje kłamstwo, moja błędna ocena związały z nami Beth. Teraz była to moja odpowiedzialność.



– Oczywiście, że jedziemy – powiedziałam. – Nie pozwolimy jej wygrać.

– Dziękuję – odparł. – Wiem, że te słowa dużo cię kosztowały.

Nie wiedział, ale to nic.

Zatrzymaliśmy się w tanim hostelu i obejrzelśmy czyste, doskonałe zaćmienie razem, siedząc na masce wynajętego samochodu, w połowie zbocza, na którym w promieniu wielu kilometrów nikt oprócz nas nie mówił po angielsku. Cztery minuty i siedem sekund całkowitego zaćmienia: Księżyc zasłonił Słońce, jak pocisk wyrywając olbrzymią dziurę w bezkresnym płótnie. Potem zaczęliśmy wierzyć, że Beth nas sobie odpuściła. Po czasie dowiedzieliśmy się, że była wtedy w Turcji. W 2006 YouTube był jeszcze w powijakach i dopiero po kilku latach niemiecki bywalec festiwali wstawił w sieci n a g r a n i e.

Kolejne wyprawy były zatrute moim lękiem, występującym w różnych natężeniach.

Kit starał się ułatwić mi podróż do Chin w lipcu 2009. Zarezerwowaliśmy pokój w anonimowym hotelu przy autostradzie, w ostatnim miejscu, gdzie mogłaby szukać. Mimo to prawie nie zmrużyłam oka przez cały tydzień przed wyjazdem. Świadomość, że muszę się pogodzić z dyskomfortem, nie powstrzymała mnie przed panikowaniem na lotnisku i zażyłam tyle valium podczas rejsu tam, że Kit musiał mnie wynieść z samolotu. Zaćmienie obejrzelśmy bez przygód – jeśli o tym zjawisku można tak w ogóle powiedzieć – tak jak obiecał. Większość podróży polegała na patrzeniu, jak Kit majstruje przy sprzęcie fotograficznym w sąsiedztwie autostrady.

Marzył mi się udział w olbrzymim festiwalu organizowanym na Wyspach Wielkanocnych w roku 2010, ale Kit uznał, że nie warto karmić mojej paranoi, więc obserwowaliśmy zjawisko w Andach, w Patagonii. Śnieg na zboczu góry był tak suchy, jakby był z piasku zamiast wody. Kitowi udało się zrobić kilka ujęć cienistego stożka rozpościerającego się na śniegu. Mogłabym przysiąc, że nie oderwałam wzroku od nieba przez calusieńki czas trwania spektaklu, ale nasz przewodnik zrobił zdjęcie, na którym oglądam się przez ramię, podczas gdy wszyscy wokół nabożnie patrzą w niebo.

W Cairns w 2012 naprawdę powinnam się była odprężyć – na wielokilometrowym paśmie porośniętych palmami plaż Złotego Wybrzeża Australii zgromadziły się dziesiątki tysięcy ludzi, ale był to już czas wszechobecnych smartfonów i przerażona perspektywą, że ktoś nagra nas i umieści w sieci jak Beth, założyłam kapelusz o tak wielkim rondzie, że ledwo widziałam Słońce. Teraz, kiedy patrzę na globus i wizualizuję pasmo całkowitości dla tego zaćmienia, wydaje mi się, że połowę Australii spowił mrok, a szanse, by nas znalazła na takiej przestrzeni, były minimalne. Odwrotnie niż teraz, kiedy cień pada głównie na wodę, a wszyscy tłoczą się na tych ciemnych, północnych wysepkach, tak małych, że naprawdę nie ma się gdzie schować.



LAURA

20 marca 2015

T e r a z słońce postanawia się pokazać. Jest wczesny wieczór i promienie przebijają się przez różowe i fioletowe plasterki chmur; pod takim niebem w całym Londynie widać ustawione w górę aparaty w telefonach.

Ciekawe, czy niebo oczyściło się też na Wyspach Owczych. Za godzinę Kit będzie już na morzu. Princess Celeste nie przyjmuje na pokład żadnych nowych pasażerów – to wyczarterowany element pakietu podróżnego, niewpisany w rozkład prom. Może była tam, a może gdzie indziej – na Svalbardzie albo jeszcze innej wyspie. Być może była nawet w samym Torshavn i obserwowała brak zjawiska, stojąc po drugiej stronie głazu czy rozpadliny, przy których znajdował się Kit, jej oczy skupiały się nie na niebie, lecz na otoczeniu, w jednej ręce trzymała nasze stare zdjęcie, w drugiej wydruk ekranu z vloga. Jeśli jednak tam była, nie znalazła go.

Jutro na lunch będzie już w domu, z zapasem kiczowatych pamiątek. Podłączy aparat do laptopa, załaduje zdjęcia, jeszcze zanim zdejmie kurtkę. Z każdą minutą moje lęki wydają się coraz bardziej bezpodstawne, a mój wybuch podczas naszej ostatniej rozmowy wygląda na paranoję – znów dopatruję się mroku w sygnałach oznaczających pewnie zwyczajny zły humor. Nawet dzidziusie we mnie się uspokajają.

Choć od mojego ostatniego posiłku nie minęła nawet godzina, jestem głodna jak wilk. Żuję ostatni kawałek zakwasu od Maca i popijam jedynym napojem, jaki mi został, jakąś siną jagodową miksturą, warstwa zielonego proszku pływa po powierzchni jak algi. To pewnie zresztą są algi, z organicznego źródła, lokalne, fair trade. Bóg wie, na ile Mac kasuje klientów za coś takiego. Lepiej, żeby moje dzieci urodziły się tryskające zdrowiem po tych wszystkich witaminach.

BBC emituje specjalny program o dzisiejszym zaćmieniu i choć nagrywam go dla Kita, to również oglądam na bieżąco, teraz, kiedy nie dzieje się to na żywo, jestem ciekawa miejsca, w którym spędził ostatnie parę dni. Usadawiłam się wygodnie na kanapie, kiedy rozlega się dzwonek do drzwi. Porzucam górę poduch i podnoszę paczkę z Mothercare dla Ronni, gotowa przekazać ją sąsiadce. Macam pakunek, jak dziecko w Boże Narodzenie. Ling miała rację. Gumiaczki. Może zaproszę Ronni na kawę, jeśli nie zabiera się do układania dzieci do snu.

Zapominam, że założyłam łańcuch na drzwi. Otwieram je na pięć centymetrów i widzę w progu Beth Taylor.

Kubek wypada mi z bezwładnej nagle ręki i fioletowy sok rozpryskuje się po płytkach i ścianach, sprawiając, że podłoga robi się śliska pode mną, a cierpki zapach jagód zderza się z metalicznym lękiem na moim języku. Odruchowo łapię się za brzuch i potykając się, cofam się od drzwi, podpierając się na poręczu, by nie upaść, gdy jedną stopą ślizgam się w owocowej kałuży. Siadam na dolnym stopniu, próbując żałośnie zasłonić dłońmi wypukły brzuch. Cokolwiek Beth zamierzała powiedzieć, szok mojego upadku oraz, sądząc po tym, jak gapi się na mój brzuch, mojej ciąży, na kilka sekund odbiera jej mowę. Wreszcie odzywa się:

– Jezu, Lauro. Nic ci nie jest?

– Czego chcesz?

Wsuwa dłoń w szczelinę między drzwiami a framugą; jej ruch może być zarówno niezdarną próbą pomocy, jak i usiłowaniem odhaczenia łańcucha. Mieści rękę tylko do nadgarstka.

– Lauro – mówi.

– Nie! – krzyczę, więc szybko cofa dłoń.

Przenoszę wzrok na szafkę, ale słuchawki przenośnego telefonu nie ma na widelkach, zbyt późno przypominam sobie, że zostawiłam ją na górze, po popołudniowej rozmowie z tatą. Komórka leży gdzieś w salonie, a gdybym chciała po nią iść, kto wie, do czego w tym czasie posunęłaby się Beth? Zdjęłaby łańcuch? Wyważyłaby drzwi? Czy miała ze sobą broń?

– Proszę, Lauro – mówi, przyciskając twarz blisko do szczeliny, tak że widzę jedynie jej nos, usta i wewnętrzne kąciaki oczu. – Naprawdę potrzebuję, żebyś wpuściła mnie do środka.

## Trzeci kontakt





KIT

20 marca 2015

– Svalbard – mówi Richard, wymachując mi przed nosem tabletem. – Trzeba było jechać na cholerny Svalbard.

Znaleźliśmy w porcie bar z darmowym wi-fi, widokiem na czerwony dom i sólarbjórem z beczki – postanawiam, że to mój ostatni alkohol na jakiś czas. Tak, podejmuję decyzję, że nie tknę żadnego trunku, aż maluchy nie przyjdą bezpiecznie na świat. Richard uznał, że pozostałe do wyjazdu minuty na Wyspach Owczych powinniśmy spędzić pochyleni nad ekranem, płacząc nad tym, co mogło być.

– Nawet jakaś inna wyspa w archipelagu – to na przykład pstryknęli raptem trzydzieści kilometrów na północ stąd. – Powiększa obraz pięknego sierpa Słońca na czystym niebie. – Spójrz! Jeden statek nie mógł przybić w Torshavn i obserwowali wszystko ze środka morza. Dlaczego Celeste nie mogła tak zrobić?

– Pozwij ich za złą pogodę – sugeruję.

Czasami naprawdę do tego dochodzi; turyści, niepoważni łowcy ściągną biura podróży o zwrot pieniędzy, jeśli chmury zepsują zaćmienie. Richard rozumie.

– Jeśli mowa o Celeste, powinniśmy się zbierać. Zwija się za pół godziny. Masz wszystkie swoje graty?

– Mam.

Klepię papierową torbę, którą właśnie nabyłem. Moje „graty” to dwa

miniaturowe T-shirty ze zdjęciem korony z – jestem prawie pewny – zaćmienia z 2006 roku. Poznają po charakterystycznym poziomym rozbłysku wodoru. Koszulki wydają mi się maleńkie, zdatne może dla lalki albo pluszowego misia, ale na metce widnieje napis „12–18 miesięcy”. Po raz kolejny uderza mnie rychłość nadciągającego ojcostwa i świadomość, jak mało wiem o dzieciach. Miałem wysokie mniemanie o sobie jako o wujku Juno i Piper, ale Ling i Laura oświeciły mnie, że dziewczynkom ciągle opadały przy mnie główki i że zawsze natychmiast oddawałem je w ręce kobiet, gdy zaczynały płakać.

Podnoszę się z miejsca i czuję, jak pasek aparatu wcina mi się w szyję. Dopijam ostatni łyk wyspiarskiego piwa i ruszam za Richardem na statek. Jestem po dwóch browarach, więc to po części sprawka alkoholu, ale czuję, że pewna euforia wkrada się na miejsce paranoi, tego s z a l e ń s t w a, które napadło mnie na górze. Wszystkie obawy Laury pierzchły, a za dwadzieścia kroków będę już na pokładzie i w drodze do domu, do niej.

– Kit!

Głos kobiety rozlega się tuż za mną, tak blisko, że nie musi nawet krzyżeć. Richard wywraca oczami, już znużony moją sławą, ale mnie serce wali jak młotem. Na dźwięk mojego prawdziwego imienia, tego, którego używa Laura, w obecnym kontekście, czas staje w miejscu, a potem rozciąga się w nieskończoność. Ktoś kładzie dłoń na moim ramieniu, zanim odnotowuję istotny szczegół: choć to żeński głos, nie zgadza się akcent. Odwracam się i staję twarzą w twarz z kobietą mniej więcej w moim wieku, o ciemnych włosach i nieco zmęczonej, choć wciąż wyraźnej urodzie, promienieje uśmiechem rozpoznania. Nie mam pojęcia, kto to, ale ani trochę nie zbija jej to z tropu.

– Krista! – przedstawia się. – Krista Miller!

Mój mózg szuka punktu zaczepienia równie rozpaczliwie, co daremnie.

– Bardzo cię przepraszam, Kristo – mówię z nadzieją, że rozbroję ją uśmiechem.

– Musisz mi odpowiedzieć.

– Nic nie szkodzi. – Rzeczywiście nie wygląda na dotkniętą. – Bardzo się zmieniłam, a ty wcale. Aruba? Aruba w 1998? Baby Beach?



Wyłania się wspomnienie, powoli jak polaroid. Ostatnie zaćmienie, które oglądałem z tatą. Tydzień nieobecności na uczelni – to było na rok przed poznaniem Laury – żeby w lutym opuścić Wyspy i wylegiwać się na białym piasku falującym miękko jak jedwab i parzącym jak nagrzanym metal. P i ę k n e zaćmienie, z Wenus i Jowiszem lśnącymi na niebie jak klejnoty. Wszyscy Brytyjczycy i Amerykanie co noc zbierali się w jednym barze na plaży i pomiędzy nimi była też amerykańska studentka w – tak, teraz obraz pojawia się szybciej – cygańskiej bluzce, bermudach i z metalowym aparatem na zębach. Pamiętam, że pozowałem do grupowego zdjęcia, które ktoś pstryknął jednym z tych jednorazowych aparatów, cieszących się w tamtych czasach szaloną popularnością. Napływają wspomnienia obietnic, że napiszę, żeby dostać odbitkę zdjęcia, i wymienianych adresów, ale domowych, nie mailowych. Zagubiony w przeszłości, orientuję się, że Krista wpatruje się we mnie wyczekująco.

– Jasne, że pamiętam. – Schyłam się, by odwzajemnić jej uścisk.

– Nie mogę uwierzyć w swoje szczęście, że udało mi się tak na ciebie wpaść – mówi. – Pokazywałam ludziom twoje zdjęcie, a teraz nie wierzę, że stoisz tu ze mną. Myśleliśmy już, że nie żyjesz! – Śmieje się uradowana. – Wiesz, sporo z nas trzymało się razem po Arubie. Pisałam do ciebie... – Nic dziwnego, że nie mogła mnie znaleźć. Korespondencja lądowała w moim rodzinnym domu. Rodzice przeprowadzali się tak często, że poczta nie zawsze za nimi nadążała, a potem Kit McCall zniknął. – Próbowałam nawiązać z tobą kontakt przez Facebooka, to znaczy, myślałam, że to ty, bo pamiętałam, że nie rozstawałeś się z koszulką Chile '91 i wypaliłeś sobie tę ogromną... – Zniżyła głos, jakby w pobliżu czaił się oddział antynarkotykowy, w każdej chwili gotowy nas zamknąć. – Wypaliłeś sobie d z i u r ę s k r ę t e m na przodzie i byłeś załamany.

– Ciemna Dama! – Słyszę niezamierzoną wesołość w słowach, kiedy opuszczają moje usta. – Trzeba się było przedstawić, powiedzieć, że się znamy!

Krista uderza się dłonią w czoło.

– Nic dziwnego, że nie odpisałeś. Głupio z mojej strony. Moja wina. Powinnam być bardziej uparta. – Wzrusza ramionami. – Wczoraj wieczorem mieliśmy wielkie

spotkanie. Masz dzisiaj czas? Kilkoro ze starej paczki jeszcze zostaje. – Nagle zauważa Richarda. – Ty też wpadnij – zaprasza z uśmiechem.

Richard niesubtelnie przestępuje z nogi na nogę.

– Odpływamy dosłownie za chwilę. – Wskazuję ręką duży statek za plecami.

– No coś ty! – Krista marszczy nos. – Tym razem bądźmy w kontakcie, na 2017 rok planujemy megazjazd – informuje. – Mieszkamy centralnie w pasie zaćmienia. Rozbijesz sobie namiot w naszym ogródku.

– Byłoby cudownie. – Zdaję sobie sprawę, że mówię szczerze.

– Wysłałam za Billa, wiesz? – oznajmia, robiąc przy tym minę w stylu „kto by pomyślał?”, a ja w odpowiedzi robię taką samą, zastanawiając się, kim, u licha, jest Bill. Nie mam pojęcia. – Będzie tu dosłownie za sekundę, m u s i s z zaczekać i się przywitać.

Zerkam na zegarek – za dziesięć minut zamykają bramkę, ale do statku mam raptem kilka kroków.

– Super! Wspaniale będzie się z nim zobaczyć – mówię, nadal nie odgrzebawszy w pamięci tożsamości Billa.

– Widzimy się w kajucie – rzuca Richard. – Miło było poznać – mówi do Kristy i dopiero wtedy zauważam, że nawet ich sobie nie przedstawiłem.

– Przez chwilę myślałam, że to twój brat. Co u niego? Wciąż taki dziki?

– Teraz już nie. Mocno poszalał, ale potem się uspokoił. Ma dzieci, prowadzi własny interes w Londynie.

– A ty? – pyta, choć już wcześniej widziałem, że patrzy na mój serdeczny palec.

– Ożeniłem się ze swoją dziewczyną ze studiów, Laurą. – Wypowiedzenie jej imienia kłuje mnie w serce jak haczyk, który ciągnie mnie do domu. – Została w Londynie, w ciąży z bliźniakami. Przeszliśmy długą drogę. Cztery podejścia in vitro. – Ku mojemu przerażeniu załamuje mi się głos. Nie wiem, czy to ulga po wcześniejszym napięciu, czy szok patrzenia w twarz należącą do czasów dzieciństwa, ale coś w tej znajomej nieznanym sprawia, że mam ochotę opowiedzieć jej wszystko. Naprawdę wszystko, nawet rzeczy, których nie wyznałem Macowi.

– Cztery lata. – Krista kręci głową, podczas gdy ja staram się nie rozkleić. – Musiało być ciężko wam obojgu. Ale za to bliźnięta! Dwoje małych łowców zaćmień, których będziecie wozić ze sobą po świecie. My naszą dwójkę ciągniemy wszędzie. Myślisz, że wiesz, co to rozczarowanie, kiedy zjawisko skryją chmury? Zapewniam, że to nic w porównaniu z zawodem na twarzach dzieci. O, spójrz! O wilkach mowa.

Macha jak maniaczka. Przypominam sobie, że Krista większość czynności wykonywała jak maniaczka. Osławiony Bill przeciska się przez tłum, wiodąc za sobą dwoje małych dzieci, chłopca i dziewczynkę. Wszyscy troje są ubrani w identyczne fioletowe wiatrówki jak ta, którą ma na sobie Krista. To jak zdjęcie z mojej przyszłości – wszelkie wycucie stylu poddane życiu rodzinnemu. Przedstawiają obraz, do którego należę.

– Stary! – Bill jest zachwycony. W życiu nie widziałem go na oczy.

– Dobrze cię znowu widzieć! – wołam. – Kopę lat!

Porównujemy notatki – oni próbowali w porcie, ale też niczego nie zobaczyli – a potem wymieniamy się adresami mailowymi i ściskamy na pożegnanie, obiecując solennie, że wkrótce do siebie napiszemy.

Wracam na pokład Celeste z niejaką ulgą. Jeśli przez kilka dni stałem się tak bardzo widoczny, a Beth i tak mnie nie dopadła, to niebezpieczeństwo na pewno można uznać za zażegnane. Beth mnie tu nie znalazła, choć równie dobrze mógłbym przez trzy doby nosić nad głową neon. Najwyraźniej odpuściła.



LAURA

20 marca 2015

– Proszę, nie zamykaj drzwi. – Beth nachyliła się, blokując mi widok na ulicę. – Poważnie, nic ci nie jest po tym upadku? Nie wiedziałam, że jesteś w ciąży.

Ścieram smugę soku jagodowego z policzka; mam go też we włosach, co stwierdzam, zarzuciwszy fioletowe pasmo przez ramię.

– Jak mnie znalazłaś?

Gryzę się w język – powinnam była powiedzieć „nas”. Jak nas znalazłaś? Nie może się domyślić, że jestem w domu sama. Nie, za późno na to; na pewno wie, że Kit wyjechał. Wszystko przez to pieprzone nagranie, choć nie mam pojęcia, jak przeskoczyła z lokalizacji Kita na pokładzie Princess Celeste na Wilbraham Road. Moje serce bije jak szalone, myśli nie nadążają za biegiem wydarzeń.

– Powiem ci, jak mnie wpuścisz – kusi.

Nie odpowiadam – ani słowem, ani gestem. Równie dobrze mogłabym mieć zaszyte usta, a stopy przygwożdżone do podłogi. Jestem tylko w stanie gapić się przed siebie.

Beth wygląda dobrze, w zasadzie tak jak dawniej, z wyjątkiem włosów. Siwa gwiazda przy skroni wypuszcza srebrne promienie poprzez czern. Uśmiech, który wyzywa mnie, bym opuściła gardę, ukazuje delikatne kurze łapki wokół oczu, lecz poza tym jej twarz nic się nie zmieniła. Drzwi drżą lekko i gdy patrzę w dół, widzę

czubek jej buta – niemal spodziewam się srebrnych adidasów, ale nie, to bucior jak te, w których sama dawniej chodziłam – wsuwający się w szczelinę. Dzieli mnie od niej zaledwie stara szyba i trochę drzazg. Wreszcie zdobywam się na czyn i zatrzaskuję jej drzwi prosto w twarz z siłą, która zmusza ją do cofnięcia stopy.

– Okej – słyszę przez witraż. W jej głosie nie ma gniewu, jedynie rezygnacja. – Spodziewałam się tego. Ale naprawdę muszę z tobą porozmawiać. Mam ci do powiedzenia coś ważnego i to dla twojego dobra, przysięgam. Pół godziny, pozwól mi przekazać ci informację, a potem znikam. To nie rozmowa, którą można odbyć przez otwór na listy. – W jej tonie słychać rodzące się oburzenie. – Nie przyjechałam dla p r z y j e m n o ś c i.

– Jak zdobyłaś ten adres? – pytam znów, ale milczy. Zdążyłam zapomnieć, jak wykręca się od niewygodnych pytań.

Boleśnie świadoma mizerności drzwi wejściowych, powoli cofam się do salonu. Tam, we względnej ciemności, wciskam dziewiątkę w telefonie. W całym swoim życiu tylko raz wybrałam numer alarmowy, i to na festiwalu na Lizard. Ponownie wbijam cyfry. Czy naprawdę dam radę, teraz? Po moim wystąpieniu w sądzie numer ten wydawał mi się niedostępny; widziałam w nim nie linę ratunkową, tylko knot dynamitu, który wszystko by wysadził. Jedno śledztwo poprowadzi do następnego i moje krzywoprzysięstwo wyjdzie na jaw. Kit pozna prawdę. Nie może się tego o mnie dowiedzieć. Cały świat będzie wiedział – sztab Jamiego Balcombe’a już się o to postara. Gra o taką stawkę, taki kontrowersyjny wyrok skazujący, każdy sędzia przykładowie mnie ukarze. A jeśli wsadzą mnie do więzienia? Odbiorą dzieci, wrzucą mnie za kratki? Na myśl o tym czuję powolny skurcz chwytający mi brzuch, jakby moje mięśnie zamykały dzieci ciaśniej we mnie. Kasuję jedną dziewiątkę, potem drugą. Słyszę brzęknięcie otworu na listy, który Beth podważa palcem.

– Lauroooo – woła śpiewnie.

Jedyną osobą, z jaką chcę porozmawiać, jest Kit, ale mimo zalewającej mnie paniki wiem, że to zły pomysł. Będzie tylko szalał ze zdenerwowania, a przecież i tak nie zmusi kapitana, żeby płynął szybciej. Chcę do taty, ale po pierwsze dzieli

nas wiele kilometrów, a po drugie perspektywa wyłożenia mu wszystkiego jest prawie tak zła jak myśl o tym, że Kit mógłby się dowiedzieć, co zrobiłam na sali rozpraw. Dzwonię do Ling, ale abonent jest niedostępny. Zawsze wyłącza telefon, kiedy idzie w jakieś newralgiczne miejsce – na komendę policji czy do sądu. Po dzisiejszym USG sądzi pewnie, że wszystko jest w porządku. Trzy godziny temu wszystko rzeczywiście było w porządku. Gnana rozpaczą, bez pomysłu, co mu powiem, wybieram numer Maca. Mimo wszystkich jego wad trzeba przyznać, że jest lojalny i wiem, że w jego wypadku – chyba bardziej niż kogokolwiek innego – mogę liczyć, że najpierw mi pomoże, a pytania zada później. „Osoba, do której dzwonisz, prowadzi obecnie rozmowę – odzywa się mechaniczny głos. – Po sygnale zostaw wiadomość”.

– Mac, oddzwonź do mnie, natychmiast. – Ostatnie słowo kończy się łkaniem.

– Lauro. – Głos Beth dobiega znów z otworu na listy. – Wysłuchaj mnie tylko.

– Policja już jedzie – kłamię.

– Nie ma sprawy – mówi. Jej spokój zbija mnie z tropu. Czy i ona blefuje?

Daję Macowi jeszcze dziesięć sekund, żeby oddzwonił, po czym wysyłam mu SMS-a.

*MAC BŁAGAM BŁAGAM BŁAGAM ZADZWOŃ ALBO PRZYJEDŹ JAK NAJSZYBCIEJ.*

Jestem cała spocona. Adrenalina, trucizna dla moich dzieci, a być może i dla mnie. Reakcja „walka lub ucieczka” to odruch fizyczny, a ja muszę odzyskać władzę nad umysłem. Przemierzając teraz płytki korytarza, idę świadomie – pięta, podbicie, palce, pięta, podbicie, palce – żeby pokonać atak paniki.

Beth znów staje tuż przy drzwiach, przyciskając dłoń do szklanego szafirowego prostokąta. Jestem tak blisko, że mogłabym powróżyć jej z dłoni. Siadam na dolnym stopniu i wpatruję się w milczący telefon. Przez chwilę rozważam ucieczkę przez tylne drzwi, przez ogród Ronni, ale nie jestem w formie, żeby skakać przez dwumetrowe płoty pomiędzy działkami, poza tym po jednej stronie płynie rzeczka, a po drugiej ciągnie się Haringay Passage, aleja, która wychodzi mniej więcej na

miejsce, które w tej chwili zajmuje Beth. Stuka palcami o szybę, jakby liczyła w głowie do dziesięciu, żeby się uspokoić. Kiedy znów się odzywa, w jej głosie daje się wyczuć nieobecne dotąd zdenerwowanie.

– Masz smartfona?

Komórka świeci w mojej dłoni, Beth pewnie widzi go przez witraż.

– Tak – mówię cicho.

– Wygoogluj Jamiego Balcombe’a, teraz, kiedy czekam. Nie chodzi mi o jego stronę. Wpisz jego nazwisko w wyszukiwarce. – Jej ręka jeszcze raz uderza w szybę. – Dopisz „sąd”.

Nie odwołanie, tylko sąd. Zaskoczenie rozbija mnie na tyle, że wykonuję jej polecenia. Urządzenie myśli, kółeczko na wyświetlaczu kręci się w nieskończoność. Słyszę oddech Beth, niemal czuję ciepło jej ciała.

– Masz? – pyta.

– Czekaj.

Kółko się zatrzymuje.

Wyniki układają się w nagłówki.

*SZEŚĆ MIESIĘCY DLA SKOMPROMITOWANEGO KANDYDATA  
NOWA HAŃBA JAMIEGO  
POTENTAT OSKARŻONY O NAPAŚĆ  
MAGNAT GWAŁCICIEL Z ZARZUTEM POBICIA  
JAMIE TY HIPOKRYTO*

Litery ozywają mi przed oczami i maszerują po ekranie.

Jakim cudem to ominęłam? Jak mogłam naiwnie wierzyć w informacje na stronie? Odkąd zaszłam w ciążę, chowałam głowę w piasek, w tym problem. To nie ma nic wspólnego z Kornwalią ani w ogóle z Beth, więc jaki może mieć związek ze mną? Wzbiera we mnie głęboka, choć daremna ulga, potrzebuję to wszystko pojąć.

– Jezu.

– Wpuścisz mnie? – Beth brzmi błagalnie.

Przypominam sobie, jak czułam się w płonącym mieszkaniu, jak ogień wypalał

mnie od środka. Myślę o tym, jak szorstka w dotyku jest poparzona dłoń Kita, gdy trzymamy się za ręce.

– Beth, jak możesz mnie o to pytać? Jak kiedykolwiek mogłabym cię wpuścić do swojego domu?

Cmoka, potem mruży coś pod nosem, ale wyłapuję tylko dwa słowa: „znowu to”. Zabiera rękę, zostawiając na szybce tłustospocony ślad, i widać, jak porusza się za drzwiami.

– Wiedziałam, że tak będzie. Dobra, coś ci powiem. – Słyszę, że przeszukuje torbę. – Na końcu ulicy jest pub, Salisbury – zaczekam tam na ciebie. Jestem tu od świtu, co tam, mogę poświęcić jeszcze godzinę.

– Jak to: od świtu?

Stała przed domem cały dzień? Była tu podczas zaćmienia? Obserwowała mnie w jego trakcie; śledziła mnie na Duckett’s Common? Była tu, kiedy d z i e w c z y n k i przyniosły jedzenie?

– Naprawdę nie mogę opowiadać w tym miejscu – wykręca się. – Słuchaj, mam coś dla ciebie do przeczytania. Przygotowałam się.

Szelest papieru. Biała koperta formatu A4 pojawia się w otworze na listy. Jest niezaklejona i wypchana do sztywności. Czysta, bez adresata.

– Jest dziewiętnasta trzydzieści. Obiecuj, że to przeczytasz. Zostanę w pubie do dwudziestej trzydzieści, pewnie potrzebna ci będzie chwila, żeby to przetworzyć. Wtedy wszystko ci wyjaśnię. Odpowiem na każde twoje pytanie. Zgoda?

– Dobrze – zgadzam się, bo czy mam inny wybór? Tak wiele chciałabym wiedzieć, o Beth i przeszłości, a poza tym co, do licha, obecne życie Jamiego ma wspólnego ze mną? Beth kładzie dłoń z powrotem na witrażu, a jej dotyk jest delikatny niczym pieśczoła. Ciekawe, czy zdaje sobie sprawę, jak niewiele siły wystarczyłoby, żeby wyłamać szkło.

– Lauro, chcę ci pomóc. Proszę, nie zachowuj się, jakbym zamierzała ci zrobić krzywdę.

Obłok czarnych włosów znika zza kolorowych szybek. Odeszła. Zostaję sama w swoim domu, pokrytym fioletowym sokiem, zresztą tak jak ja sama. Spływa po



ścianach, zalega na płytkach podłogi, skleja mi włosy, a słodki zapach jagód przestaje być apetyczny. Powinnam posprzątać, ale telefon pokazuje już 19.31, a przede mną leży gruby stos papieru upchnięty w kopercie. Z mało eleganckim stęknięciem opadam z powrotem na dolny stopień, pakunek drży mi w ręce i z trudem wydostaję jego zawartość.

Zegarek przeskakuje na 19.32.



LAURA

20 marca 2015

Kiedy dzwoni moja komórka i na ekranie wyświetla się zdjęcie Maca, zaskoczenie jest elektryzujące, choć przecież błagałam go o telefon. Mój potencjalny zbawiciel sprzed kilku minut jest teraz przerwą, na którą nie mogę sobie pozwolić.

– Lauro, co się dzieje? Jesteś w szpitalu? – Spanikowany Mac brzmi dokładnie jak Kit – przestaje zaciągać. Ledwo go słyszę poprzez gwar głosów i jakiegoś stukotu.

– Nic mi nie jest – uspokajam. – Dzieci w porządku... – W tle rozlega się głośne łupnięcie i ktoś krzyczy „Cholera jasna!”. – Co to było?

– Pękła nam rura w sklepie – tłumaczy. – W piwnicy woda stoi po kolana. Cały czas tu jestem, próbuję jakoś ratować sytuację, dlatego byłem poza zasięgiem. Towar szlag trafił. Sprzątanie zajmie mi całą noc. – Przerzywa, wracając wreszcie do przyczyny rozmowy. – Skoro dzieciom nic nie jest, co się dzieje? Dlaczego dzwoniłaś? – Nagle jego głos spada z klifu. – Rany, chyba nie chodzi o Kita?

Uderza mnie ironia sytuacji i mam ochotę zawyć wściekłym śmiechem. Cały ten czas zamartwiałam się o Kita, a on był całkiem bezpieczny w tej swojej pływającej fortecy.

– Wszystko w porządku – mówię. – Przepraszam, to był fałszywy alarm. – Nie przyznam się do ataku paniki, bo wtedy od razu przekaże mnie w ręce Ling, a ja

potrzebuję jak najwięcej ludzi w pogotowiu.

– Będę trzymał telefon na gorze. – Zaciąganie wróciło, ale pojawia się też oschłość wymuszonej cierpliwości. – Powinienem słyszeć, gdybyś dzwoniła. Będę sprawdzał.

Rozłączam się z ulgą. Jest 19.40. Beth siedzi już pewnie w Salisbury nad kieliszkiem wina lub z kawą na wynos.

Pierwsza luźna kartka z góry, zapisana z obu stron, to pewnie list, którym szeleściła pod drzwiami, wciskając go do koperty. Szybko przerzucam pozostałe papiery – kserokopie i wydruki z internetu – po czym zaczynam od początku.

*Droga Lauro!*

*Piszę to przy swoim stole w kuchni, zanim przyjadę do Londynu. Jeśli to czytasz, to znaczy, że z jakiegoś powodu nie udało nam się odbyć zwyczajnej rozmowy. Może nie znalazłam Twojego domu. A może znalazłam, ale nie chcesz rozmawiać. Chciałam przejść przez to ramię w ramię, wyjaśnić Ci, co to wszystko znaczy. Jednak wsunięty przez drzwi list jest lepszy niż nic. Ważne, aby wiadomość do Ciebie dotarła. Od tygodni zżera mnie od środka.*

*Wiem, że nagły i nieoczekiwany kontakt z mojej strony będzie dla Ciebie wstrząsem. Uwierz mi, odgrzewanie naszej historii i dla mnie nie jest przyjemne. Sądziłam, że sprawa Jamiego umarła i została pogrzebana lata temu, i wcale mnie nie cieszy, że tyle lat później powraca, by znowu nas kęsać. Ale tak się dzieje.*

*Proszę, przeczytaj wszystko uważnie. Sporo tego, ale starałam się wszystko uporządkować, żebyś dowiedziała się, co się dzieje.*

*Nie martw się, nie interesuje mnie odbudowywanie naszej przyjaźni. Dałaś mi jasno do zrozumienia, że umywasz ode mnie ręce, i szczerze mówiąc, po jakimś czasie wyczerpałam siły na próbach odszukania Cię, by Cię przekonać, żebyś się ode mnie nie odwracała. Tak czy inaczej, cokolwiek się wtedy wydarzyło, zawsze będę Ci wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłaś, i to dlatego kontaktuję się z Tobą teraz.*

*Uważam, że powinnaś poważnie potraktować groźbę.*

*Uściski i ucałowania*

*Beth*

List zawiera więcej pytań niż odpowiedzi. Co takiego dręczy ją od tygodni? Jaka groźba? J a k m n i e o d n a l a z ł a?

Przechodzę do pierwszej ze stron pliku. Znajduję kserokopię drukowanego listu, napisanego przed sześcioma miesiącami – tydzień po tym, jak dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Wtedy kiedy zmieniła się treść strony internetowej Jamiego.

Antonia Balcombe

Na adres: Imrie i Cunningham Chambers

198 Bedford Row

Londyn EC1

*Elizabeth Taylor*

*Na adres: Kancelaria Adwokacka Evans i Bay*

*1 Broad Street*

*Gedling*

*Nottingham NG15*

*3 października 2014*

*Droga Beth,*

*mam nadzieję, że nie będziesz mi miała za złe, jeśli będę zwracać się do Ciebie „Beth”. Mam nadzieję, że ten list bezpiecznie do Ciebie dotrze i że będziesz dość otwarta, by do niego zajrzeć. Wygląda na to, że obecnie żyję nadzieją. Nie zasługuję na Twoją uwagę i nie miałabym Ci za złe, gdybyś spaliła list albo wyrzuciła go do śmieci, ale mam nadzieję, że jednak go przeczytasz. Mam nadzieję.*

*Może zauważyłaś, że w zeszłym tygodniu strona internetowa Jamiego – ta nienawistna, przeklęta strona – została zastąpiona informacją, że w sprawie sądowej zaszły nowe okoliczności. To nieprawda. Niby jak, po piętnastu latach? Nowe okoliczności są takie, że po latach udręki i przemocy wreszcie zdobyłam się na odwagę, żeby odejść od Jamiego i więcej nie przyłożę ręki do jego sprawy. Nie wycofuję swojego poparcia dla niego dlatego, że się rozwodzimy – to rozwód jest konsekwencją wycofania przeze mnie wsparcia. Wsparcia, którego nigdy nie powinnam była mu okazać. Moje „przepraszam” dla Ciebie brzmi w tej chwili jak*

obelga.

Obiecałam sobie, że ten list nie przeobrazi się w listę wymówek. Czuję jednak potrzebę złożenia wyjaśnień.

Jamie jest tyranem, a ja najwyraźniej jestem uległa jemu podobnym typom. Jest sprytny, jest czarujący. Na piśmie wygląda to idiotycznie, ale jego przyznanie się do „niewierności” z Tobą było z jego strony mistrzowskim posunięciem. Uznałam to za szczerść, nie zdawałam sobie sprawy, że to najbezpieczniejsze z jego kłamstw. Miałaś w sobie tyle siły, że stanęłaś z nim do walki. Kiedy wracam pamięcią do procesu, a zdarza się to często, wzbiera we mnie podziw dla Ciebie i wreszcie Twoja odwaga odegrała dla mnie ogromną rolę w zebraniu własnej. Poznałam wiele nowych słów – cały ten czas żyłam pod kontrolą przymusu i choć mogłabym napisać książkę z jej przykładami, nie zdawałam sobie sprawy, że ma swoją nazwę. Myślałam, że to po prostu coś, co o n robi mn ie.

Istnieje wiele poziomów świadomości, Beth. Wydaje mi się, że choć miałam świadomość, co Jamie Ci zrobił, byłam w tamtym czasie owładnięta czymś bardzo potężnym. Nawet kiedy trafił do więzienia, wierzyłam mu. A może powinnam powiedzieć, że „wierzyłam”, że mu wierzę, jeśli ma to jakikolwiek sens. Nie dana mi była przestrzeń dla wątpliwości: Ty widziałaś tylko ich zimne maski, a trzeba doświadczyć ciepła otwartych ramion Balcombe’ów, żeby zrozumieć. Jamie jest złotym chłopcem swojej matki – jej wiara w niego przyczyniła się do zbudowania mojej ufności.

Ulokowali mnie w mieszkaniu, pomogli przygotować je na jego wyjście z więzienia i choć przez pierwszych kilka miesięcy grał swoją rolę, wkrótce zaczął brać, co chciał i kiedy chciał. Nie muszę tego pisać drukowanymi literami; powiem tylko, że Ty i ja mamy ze sobą więcej wspólnego, niż jakiegokolwiek kobiety powinny. Wtedy czułam, że zabrnęłam w to zbyt głęboko. Nosiłam na palcu jego obrączkę; przyłożyłam się do jego kampanii. I zawsze był ten jego czar, a po burzach prezenty – biżuteria, ubrania, perfumy. Nigdy jednak nie doczekałam się przeprosin – przeprosić to znaczy przyznać się do winy.

Może sama jesteś już mamą, jeśli tak, zrozumiesz, dlaczego wytrwałam przy nim tak długo. Zaplecze materialne się liczy, szczególnie na wczesnym etapie, ale nie był złym ojcem, a przynajmniej nigdy nie krzywdził mnie na ich oczach.

Zawsze jednak nadchodzi punkt zwrotny, a mój nastąpił, kiedy zrobił to znowu. Nie

*mnie, albo przynajmniej nie tylko mnie.*

*Pozwól, że zacznę od początku, lub początku tamtej dziewczyny. Firma Jamiego oferuje bardzo prestiżowe staże dla studentów studiów licencjackich – nie dość, że praca jest dobrze płatna, to stażyści zdobywają więcej doświadczenia w przemyśle budowlanym niż u jakiegokolwiek konkurencji. Pewnie trzeba znać tę branżę, żeby wiedzieć, ile dla młodego studenta architektury znaczy dołączyć do grupy Balcombe'ów. To trampolina do sukcesu. W zeszłym roku przyjęli młodą, atrakcyjną studentkę i Jamie został jej mentorem. Ilość uwagi, jaką jej poświęcał, była niespotykana, choć ona sama nie wiedziała, że jest traktowana wyjątkowo. Miała wówczas dwadzieścia jeden lat, ale była bardzo naiwna jak na swój wiek, Bóg jeden wie, jak bardzo świadoma jestem istnienia takich kobietek. Ona sama nie zorientowała się, że Jamie ma wobec niej plany, dopóki nie było za późno. Okoliczności były przerażająco podobne, Beth: pewnego wieczoru, kiedy pracowali razem do późna, zaczął się do niej dobierać. Odmówiła mu, on pozornie zignorował sprawę, a dziewczyna uznała to za wprawdzie żenujący, ale w sumie pochlebny incydent. Później mówiła mi nawet, że przez chwilę zwątpiła w słuszność jego wyroku, przecież gdyby był gwałcicielem, z pewnością wykorzystałby okazję – i ją. Po odtrąceniu jego zalotów czuła się wręcz bardziej zrelaksowana.*

*Dwa dni później przewrócił ją na ziemię na biurowym parkingu – cyniczny drań doskonale wiedział, które miejsce wybrać, w ślepych punkcie kamery monitoringu – przytrzymał ją i zgwałcił. Wcisnął jej twarz w kurz i brud, jak Twoją w Kornwalii. Tym razem nikt mu nie przerwał. Dziewczyna nie potrafi powiedzieć, jak długo to trwało, tylko tyle, że kiedy zaczynał, było jasno, a gdy skończył, była ciemna noc. Jamie natychmiast wdrożył program rekompensaty – zaoferował jej podwyżkę, wspaniałe referencje, szansę pracy przy nowym osiedlu, które stawiali przy Thames Gateway. Była w takim szoku, że po prostu się zgodziła. Przyjęła układ.*

*Wiesz, skąd wiem? Nie powiedziała mi – w życiu by z tym do mnie nie przyszła. Ale siedziała przy moim stole na balu charytatywnym i ta dziewczyna, którą znałam przelotnie mniej więcej od roku, ta bystra, utalentowana młoda kobieta, miała kompletnie martwe spojrzenie. Zastanawiałam się, czy ma kłopoty z chłopakiem, długi, a może cierpi na niestrawność, i stwierdziłam, że zapytam ją później – sprawdzę, czy nie potrzebuje pomocy. Nie była sobą, kogoś mi przypominała, ale nie mogłam wymyślić kogo. Przyszedł czas na tańce i wystarczyło, że Jamie spojrział na nią, a ona*

*pobiegła w szpilkach przez parkiet do damskiej toalety. Ten widok zmroził mi krew w żyłach. Już wiedziałam, skąd znałam jej spojrzenie. Identyczne widziałam w Twoich oczach i we własnym odbiciu w lustrze. Poszłam za nią do łazienki, gdzie załamana się i o wszystkim mi opowiedziała.*

*Próbowałam przekonać ją, by poszła na policję. Zapewniłam, że jej pomogę, ale znała moją historię, wiedziała, że brałam udział w kampanii, więc niby na jakiej podstawie miała mi wierzyć? Zamiast tego spojrzała na mnie, jakbym była niespełna rozumu, kłamczuchą albo po prostu złym człowiekiem. Sądziła, że należę do spisku! Tego wieczoru, kiedy zmywałam makijaż, ujrzałam jej obrzydzenie odbite we własnych rysach.*

*Następnego dnia oznajmiłam Jamiemu, że ściągam oświadczenie z jego strony internetowej. Nie powiedziałam, że od niego odchodzę ani że rozpoczynam antykampanię. Wystarczyło ciche wycofanie wsparcia. Obecnie znajduje się w celi więzienia Erlestoke za złamanie mi szczęki w odpowiedzi.*

*Nie oczekuję Twojego wybaczenia ani też nie zasługuję na nie, ale byłabym bardzo szczęśliwa móc się kiedyś z Tobą spotkać i dojrzeć w tym wszystkim jakiś sens. Mam nadzieję – znów to słowo! – że przyjmiesz moje słowa nie jako obelgę, ale płynące z głębi serca przeprosiny.*

*Z wyrazami szacunku*

*Antonia Balcombe*

Ostatnia kartka opada na płytki. Zrobił to. Jamie zgwałcił Beth. Wątpliwość, która dręczyła mnie od lat, wreszcie się rozmywa. Ulga fruwa mi nad głową jak uwolniony z klatki ptak. Z punktu widzenia moralności jestem bezpieczna. Łzy, które napływają mi do oczu, są dla Antonii i tej drugiej dziewczyny. Mogłabym płakać całą noc, ale zegar tyka.

Następna strona to znów pismo Beth.

*Tak więc spotkałam się z Antonią wiele razy, odkąd do mnie napisała. Jest sympatyczna. Jest szczerą. Do końca życia będzie nosić metalową płytkę w szczęce. Miała o wiele gorzej ode mnie, bo musiała spędzić w draniem te wszystkie lata. Tak czy inaczej, wszystko dokładnie przeanalizowałyśmy i oto najlepsze podsumowanie minionych wydarzeń.*

Tuż po zamknięciu Jamiego napisała do mnie list. Od tamtej pory zrobił się jeszcze gorszy, nie lepszy. Ta nowa dziewczyna, ta stażystka – nie wiem, jak ma na imię – jest najwyraźniej bliska zgłoszenia wszystkiego na policję, i on o tym wie. Myśli teraz, że Antonia, ja, a nawet Ty jesteśmy w spisku przeciwko niemu. Całkowicie mu odbiło. Bredzi, że pozwie tę studentkę za nie wiem, kurwa, co. Co więcej, i tu pojawiaasz się Ty, zapowiada o „powrocie do podstaw”, co, jak się domyślamy, oznacza, że będzie nas chciał zmusić do zmiany zeznań na temat zdarzeń na Lizard Point. Wiem, wiem, naprawdę zwariował, ale, co najgorsze, on naprawdę wierzy, że ma rację, i to jest właśnie straszne.

Trudno określić, w jakim stopniu jego groźba jest realna – wiesz, więzienie, a nawet, szczerze mówiąc, ulica, są pełne świrów gadających od rzeczy. Ciągle myślę, że to czcze pogrożki, sądziłam, że i tak was nie znajdzie i powinnam zostawić was w spokoju. Z jednej strony to komiczne – myśl, że miałybyśmy nagle zmienić zdanie i powiedzieć: „W zasadzie, Jamie, masz rację! Prosiłam się o to, co mi zrobiłeś, a Laura w ogóle nas nie widziała! Ręce do góry, dobry policjancie, cała ta sprawa to spisek!”. Z drugiej strony, patrzę na Antonię i jak nie może domknąć ust, żeby porządnie gryźć jedzenie, bo jej szczęki nie da się złożyć w odpowiedni sposób, i jak bardzo się boi, i jak trudno jej sobie poradzić bez pomocy teściów, którzy całe jej dorosłe życie byli dla niej jak rodzina. Nie zmyśliłaby tego. I wtedy wszelki komizm znika. Przypominam sobie, ile przez niego wycierpiałam, myślę, gdzie teraz jest, myślę o ludziach, z którymi nawiązuje znajomości, i o fakcie, że jest wciąż bardzo bogatym człowiekiem. Mieszanka pieniędzy, koneksji i jego szalonego przekonania o swojej niewinności sprawia, że widzę w Jamie zagrożenie większe niż kiedykolwiek. Z tych wszystkich rozważań wyciągam wnioski, że nie mogę n i e p o w i e d z i e ć Laurze i Kitowi.

Antonia martwi się, do czego Jamie może się okazać zdolny, i ja także. Z jej odejściem reputacja, którą próbował odbudować, z powrotem legła w gruzach. Jeżeli ktoś wierzył, że tego nie zrobił, że jest niewinny, było to z jej powodu. Bez niej nikogo już nie nabierze. Tak jakby nie miał już nic do stracenia, szczególnie jeśli Antonii uda się przekonać tamtą dziewczynę do złożenia zeznań. Nie byłby w stanie odszukać Was tym samym sposobem, co ja – tylko dzięki temu, że tak dobrze Was znam, udało mi się...



Ostatnia linijka odrywa mnie od Jamiego i koncentruje z powrotem na Beth. Jak to: znalazła nas „tylko dzięki temu, że tak dobrze nas zna”? Łatwo byłoby, w tym natłoku informacji, przeoczyć ten drobny sygnał. A może tego właśnie chce? Czy zmierzam prosto w pułapkę?

*...jest bogaty, zdeterminowany i nie ma nic innego do roboty.*

*I tak, zanim spytasz, próbowałam zgłosić sprawę na policję. Od niej zaczęłam. Chciałam porozmawiać z inspektorem Kentem, głównie prosić ją o radę, ale zmarła kilka lat temu. Musiałam iść na komendę rejonową, ale posłużyli ograniczoną pomocą. Mnie i E potraktowali poważnie ze względu na wyrok Balcombe'a, ale przede wszystkim zapewnili, że będą monitorować sprawę i powiadomią mnie, kiedy wyjdzie na wolność. Dość zbędne, skoro byłam już w kontakcie z Antonią. Nie chcieli jednak zrobić nic dla Ciebie, choć zeznawałaś przeciwko niemu. Prosiłam ich, Antonia też, ale bez skutku. Przede wszystkim musiałyby skierować groźbę bezpośrednio do Ciebie, żeby policja mogła zacząć działać. Samo odgrążanie się przed Antonią najwyraźniej nie wystarczy, traktowane jest jako groźba przez osobę trzecią. Nawet gdyby policja zgodziła się dać Wam ochronę, istnieje kolejny, oczywisty problem. Kogo mam im kazać pilnować? „Była taka para, Kit i Laura, chyba zmienili nazwiska, może mieszkają w Anglii, może nie, ale czy moglibyście, z łaski swojej, przeznaczyć wszystkie siły i środki na odnalezienie ich i ukrycie w bezpiecznym miejscu?” Możesz sobie wyobrazić ich odpowiedź.*

*Tak czy inaczej, próbowałam wszystko Ci przekazać, ale na pewno coś mi umknęło. Naprawdę mam nadzieję, że uda nam się spotkać i osobiście wypełnić luki.*

*Dzięki, że przeczytałaś list.*

*B.*

Ostatnia strona zawiera listę numerów telefonów, komórkowych i stacjonarnych, z nieznanymi kierunkowymi, do Beth i Antonii, a pod spodem widnieje rada drukowanymi literami:

**ZAPISZ JE W TELEFONIE. W RAZIE POTRZEBY OBIE JESTEŚMY DO DYSPOZYCJI.**

Waham się, niechętna, by słuchać jakichkolwiek poleceń Beth, w końcu jednak zapisuję jej telefony w smartfonie – będę wiedziała, żeby nie odbierać, jeśli jakimś sposobem zdobędzie mój numer, a już nic mnie z jej strony nie zdziwi – a także telefony Antonii, na wszelki wypadek, gdyby coś z tego okazało się prawdą. Potem ciasno zwijam kartki, tajny pakiet gróźb i zagadek leżący mi na kolanach. Zamykam oczy, by nie widzieć zegara, i oddaję się myślom. Luka, która przede wszystkim wymaga wypełnienia, to ta, o której w ogóle nie wspomniała. W listach nie ma słowa o naszej historii – prezentach, zdjęciach, szkle i pożarze.

Stopniowo wraca do mnie świadomość obecnej chwili, milczący telefon przy moim boku, telewizor mamroczący w tle, coś o uczniach oglądających zaćmienie w Szkocji. Wylany napój zmienia się w galaretę; przyprawiający o mdłości zapach unosi się z podłogi i plamy krzepną na moim ubraniu. Jest 20.15.

Na miękkich nogach idę do kuchni, sięgam po ścierkę i zaczynam wycierać podłogę, brzuchem muskam płytki, sprzątając na czworakach, przeskakując wzrokiem z kałuży na ziemi na drzwi, na zegar, na telefon. Nie będę tu dzisiaj spać. Pojadę do Ling – mam klucz, nieważne, czy będzie w domu, czy nie. Jeśli wyjdę natychmiast, kiedy Beth siedzi w pubie, nie będzie mogła mnie śledzić. W sypialni przebieram się z poplamionych ciuchów w wyciągnięty macierzyński T-shirt, który może posłużyć też za piżamę, rozpinany sweter i dżinsy z szeroką gumą w pasie.

20.20. Za dziesięć minut jej nie będzie.

Wkładam kurtkę, która się już nie zapina, wsuwam do kieszeni telefon i przekręcam klucz w obu zamkach drzwi wejściowych, po czym ruszam Wilbraham Road w stronę Salisbury. Serce bije mi jak szalone i gdyby nie dłonie splecione na brzuchu, czułabym się całkiem brawurowo. Dobra, wyciągnijmy wszystko na światło dzienne: proces, pożar, fotografię, Zambię – zmierzmy się z tym. Sposobem na chodzenie po rozżarzonych węglach jest odwaga.

Na Green Lanes ledwo nastała wiosna, ale obietnica nadchodzącego ciepła wystarczy, żeby ulica ożyła jak latem – dwaj mali chłopcy kopią piłkę przy zakorkowanej drodze, nie dbając o granicę między chodnikiem a jezdnią. Docieram do Salisbury i kładę rękę na ogromnych drzwiach, stojąc na schodkach

w szachownicę i wpatrując się spod zmrużonych powiek przez szybki. Drżą mi nogi, jakby same wiedziały, że powinnam uciekać, biec na posterunek policji. Jednak ta rozmowa jest spóźniona o kilka lat, a we mnie wciąż tkwi głęboko zakorzeniony strach przed służbami porządku.

Czerwono-złoty wystrój pubu przypomina teatr rewiowy. Wysoki wiktoriański sufit i połączone ściany tworzą łuk proscenium obramowujący Beth, solową aktorkę, małą przy stoliku dla dwojga. Wygląda niegroźnie; nie, wygląda na w y s t r a s z o n ą, a to zupełnie nie to samo. Muszę zatrzymać się i przypomnieć sobie, że wina Jamiego nie skreśla tego, co zrobiła Beth. Nikt żadnym czynem nie wymaże jej postępów.



KIT

20 marca 2015

Princess Celeste jako pierwsza wypływa z portu w Torshavn i jest to niemałe wydarzenie. Machający nam na pożegnanie tłum wygląda jak wyjęty z fotografii sprzed wieku, takiej w sepii, gdzie wszyscy panowie są wąsaci i mają na głowach kapelusze, a panie powiewają koronkowymi chusteczkami.

Ronda i chustki zastąpiły peleryny i smartfony. Krista i jej rodzina też uczestniczą w pożegnaniu, wszyscy czworo w swoich dopasowanych fioletowych wiatrówkach. Macham do nich obiema rękami i czuję, że naprawdę chciałbym zostać w kontakcie. (Mimo że nadal nie mam pojęcia, kim jest Bill, a chwila, w której jeszcze wypadało zapytać, już minęła – wygląda na to, że przez najbliższe dwie dekady nasza przyjaźń będzie kwitła bez mojej wiedzy, skąd go znam). Siedzące mu na barana dziecko może mieć około dwóch lat, więc nie będzie za duże, żeby bawić się z moimi, które osiągną jego wiek w roku 2017. To ciepła myśl.

Wyje syrena, statek zaczyna drgać, szarpie raz na sterburtę, wszyscy rzucają się ku relingom, po czym natychmiast rozlega się śmiech osób, które zdążyły się złapać, i przekleństwa tych, którym się nie udało.

Wkrótce Wyspy Owcze znikają nam z oczu. Statek zostawia za sobą pianistą rynnę na niemożliwie niebieskim morzu. Stoję na pokładzie przy rufie, gdzie na

początku podróży zdawało mi się, że spotkałem Beth. Czy to naprawdę było zaledwie dwa dni temu?

W ślad za ulgą wzbiera we mnie tęsknota. W zasadzie jestem przyzwyczajony do życia na morzu, ale mam już szczerze dość pokładów, nitów i relingów, nie chcę spędzić kolejnej nocy na łodzi. Brak mi cierpliwości na jutrzejszą podróż pociągiem i metrem. Najchętniej teleportowałbym się teraz do domu, prosto pod drzwi, albo – jeszcze lepiej – do łóżka, gdzie przytuliłbym się do śpiącej żony i trzymając rękę na jej brzuchu, zasnąłbym przy arytmicznych kopnięciach moich dzieci. Dość się napodróżowałem. Ta wycieczka na długo mi wystarczy. Nie wyjadę z Londynu aż do wielkiego zaćmienia w Ameryce w 2017 roku, na które zapolujemy razem: ja, Laura, i nasze maluchy.

Wysyłam Laurze dwie linijki wiadomości:

*W drodze do domu. Wyłączam telefon na noc. Kocham Cię! Całuję.*

Zagłębiamy się w Morze Północne, kreski zasięgu kolejno znikają mi z telefonu, tak jak masa lądu rozpływa się za nami. Kiedy całkiem tracę zasięg, przesuwam kciuk i wyświetlacz robi się czarny.



LAURA

20 marca 2015

Barman pochyla się nad dzisiejszym wydaniem „Standardu”; na pierwszej stronie jest sierp Słońca widoczny przez chmurę. Beth popija wodę mineralną z półksiężycem limonki.

– Przyszłaś! – woła.

Siedzi z nogą założoną na nogę, prawa stopa porusza się w rytm melodii słyszalnej tylko dla Beth. Nagle czuję pragnienie alkoholu. Ling piła w obu ciążach, co prawda nie nadmiernie, ale znacząco. Czerwone wino jest zdrowe, prawda? Przeciwutleniacze czy coś? Mac miałyby na ten temat coś do powiedzenia.

– Chcesz coś mocniejszego? – pytam. Beth spogląda na mój brzuch, ale jej wahanie trwa może ułamek sekundy.

– Kieliszek wina, dziękuję.

Czekając przy barze, czuję, jak świdruje mnie wzrokiem. Zamawiam guinnessa, ze względu na żelazo. Barman rysuje na pianie koniczynkę. Osuwam się na krzesło naprzeciwko Beth, niezdarnie stawiając napoje na drewnianym stole. Barmanka z krwi i kości wyciera rozlane piwo podkładką pod kufel.

– Gratulacje – mówi cicho do mojego brzucha. – Nie wiedziałam.

Jej twarz jednak jest zmieniona. Worki pod oczami i opadłe policzki świadczą o wzroście i spadku wagi, jak w trakcie ciąży. Jestem ciekawa, czy Beth ma dzieci,

ale nie zamierzam pytać.

– Dzięki. – Utrzymuję chłodny ton. – Przyjechałaś ostrzec mnie przed Jamiem. Skoro wiesz o tym od dawna, skąd teraz taki pośpiech? Dlaczego zjawiasz się teraz, pod nieobecność Kita?

– Od razu do rzeczy, co? – Wydaje się zawiedziona.

– Sama powiedziałaś, że to nie towarzyska wizyta.

– Zgoda, masz rację. – Wyciąga z torby kolejne papiery. Zauważam, że ma zadbane paznokcie, okrągły czerwony manicure. – Jamie miał siedzieć jeszcze pół roku, ale przesunęli datę zwolnienia. Wychodzi w przyszłym tygodniu. Długo się do tego zbierałam, ale jak tylko się dowiedziałam, pomyślałam, że muszę powiadomić cię d z i s i aj. – Błędnie odczytuje mój strach i mówi: – Nie martw się, kurator da Antonii znać, kiedy Balcombe wyjdzie, a ona od razu do mnie zadzwoni. A właśnie. Zapisałaś sobie nasze numery?

– Tak.

Zauważa niechęć w moim głosie, ale ją ignoruje.

– Możesz mi wysłać swój?

Kusi mnie, żeby wpisać fałszywy, ale uznaję, że nie ma sensu robić tajemnicy z telefonu, skoro i tak zna mój adres.

– Dzięki – mówi Beth. – Jutro po śniadaniu idę do Antonii, trzeba wszystko omówić. Możliwe, że będę musiała do ciebie zadzwonić.

Brzmi wiarygodnie, ale wyłapuję jeden szczegół.

– Nie mogą bezpośrednio cię powiadomić? Przez wzgląd na waszą historię? Z powodu gróźb, które w stosunku do ciebie kierował? – Przychodzą mi do głowy urywki wiedzy, którą nabyłam, gdy analizowałam implikacje w listach Jamiego. – Czy kontaktując się z tobą, nie złamałby warunków zwolnienia?

Jej śmiech jest jak plucie gorzkimi pestkami.

– Teoretycznie masz rację, ale pokładasz przesadną wiarę w kuratorów. – Jej stopa przyspiesza rytmiczny ruch, mam ochotę ją złapać. – Nie mam do nich pretensji, to wszystko mili ludzie, ale pracują nad dziesięcioma sprawami dziennie. Na razie wyraził groźbę poprzez osobę trzecią – Antonię – więc *de facto* jeszcze

nie popełnił przestępstwa. Gdyby nawiązał bezpośredni kontakt ze mną, złamałby postanowienie pierwotnego wyroku, i wówczas mogą go przyskrzynić. Wystarczy, że do mnie zadzwoni, a trafia z powrotem za kratki. Choć wątpię, czy na telefonie poprzestanie.

Mój kufel guinnessa stoi przede mną nietknięty.

– A my z Kitem nie mamy żadnej ochrony – zauważam. – K u r w a.

– Można tak powiedzieć – przyznaje Beth.

Wbijam wzrok w piwo. Koniczynka zapada się z pianą, zaraz całkiem zniknie.

– Co w zasadzie grozi mi i Kitowi?

Beth przestaje ruszać stopą, ale zaczyna zwijać podkładkę pod kufel.

– Powiedział Antonii, że zrobi, co tylko będzie trzeba, żebyście odszeczali swoje słowa. Biorąc pod uwagę, że wiemy, do czego jest zdolny...

– Więc odbyłaś całą tę drogę, żeby ostrzec mnie, że po mieście będzie szalał psychol z misją zemsty, ale spokojnie, bo zadzwonisz do mnie, jak będzie stał za mną z siekierą?

– Nie musiałam ci nic mówić. – Zauważa własne rozdrażnienie, bierze się w garść i zmienia ton na dodający otuchy. – Zapominasz o czymś. Jamie nie wie, gdzie was szukać.

Moje najpoważniejsze pytanie wraca na wierzch talii.

– T y nas znalazłaś. Powiedziałaś, że odszukałaś nas sposobem, którym Jamie nie byłby w stanie się posłużyć.

– Trochę roboty detektywistycznej w sieci – mówi. – C i e b i e naprawdę nie da się namierzyć. Z Kitem nie było łatwo, ale wiedziałam, że jeśli będę dość długo zaglądać do chatroomów łowców zaćmień, w końcu gdzieś się pojawi.

Wściekłość na wybryk Kita znów we mnie kipi, ale staram się nie wybuchnąć, żeby nie tracić jasności omawianej kwestii.

– W jaki sposób nagranie doprowadziło cię tu t aj?

Patrzy na mnie nierozumiejącym wzrokiem i dociera do mnie, że mówimy o dwóch różnych rzeczach, choć nie dostrzegam jeszcze wagi owego spostrzeżenia.

– Nie nagranie, tylko zdjęcie. Na jego Facebooku.



– Kitowi nie wolno mieć konta na Facebooku. – Przestało mnie obchodzić, że wyjdę na zołzę.

– Mimo to sobie założył – mówi przepraszającym tonem Beth. – Więc w internecie nie istniejesz. – Przerzuca aplikacje w smartfonie. – Żadne z was, przynajmniej nie w normalnym sensie. Musiałam myśleć niesztampowo. Założyłam, że przy tak dużej liczbie stron miłośników zaćmień nie oprze się zaglądaniu na fora internetowe. – Gdy mówi, pod jej palcami ładują się i przesuwają ekrany. – Przejrzałam wszystkie w poszukiwaniu jakiegoś śladu. Aż wreszcie... – Wybiera stronę na Facebooku o nazwie Uzależnieni od Zaćmień i przesuwa telefon do mnie po blacie stołu. – Poznałam go po koszulce. –

Zaznaczyła kogoś, kto przyjął przydomek Cieniarz – wizerunku twarzy brak, zamiast niego widnieje wytarty bordowy T-shirt z napisem Chile '91 na piersi i nawet bez sprawdzania wiem, że gdyby powiększyć obraz, przy szyi znalazłaby się wypalona dziurka. – Stąd wiedziałam, że to on. Pamiętasz wieczór, kiedy grałyśmy w bilard? Spałam wtedy w tej koszulce. Wypalone miejsce drapało mnie całą noc.

Pamiętam, jak wepchnęłam koszulkę z powrotem do szafy, żeby nie zauważył. Kit nie jest świadom, że Beth wie o istnieniu jego skarbu. Ale sam fakt, że założył sobie konto, powoduje, że mój gniew na niego kipi i krystalizuje.

– O b i e c a l i ś m y sobie: żadnych śladów w sieci, nic, przez co można by nas namierzyć...

– Jeśli cię to pocieszy, naprawdę przyłożył się do zabezpieczeń. Ustawienia chroniące prywatność są prawie nie do przejścia i nigdy nie publikuje nic osobistego, tylko posty o obiektywach, pogodzie i z masą cyferek, które kompletnie nic mi nie mówią. Ale jakieś trzy miesiące temu wrzucił to.

Powiększa zdjęcie. To sprzęt Kita, przyszykowany na jego biurku: aparat, wszystkie obiektywy, sterylnie zapakowane jednorazowe chusteczki do czyszczenia soczewek, zapasowy pasek do aparatu, dwie dodatkowe karty pamięci. Wszystko ułożone pod właściwym kątem. W tle, na ścianie, wisi jego mapa – ktokolwiek ją wcześniej widział, ktokolwiek spalił taką w pożarze, wiedziałby,

z kim ma do czynienia. Nad zdjęciem widnieje podpis: „Wszystko gotowe na męską wyprawę na Wyspy Owcze 2015. Żadnych zaburzeń obsesyjno-kompulsyjnych”.

– Wzięłaś koordynaty ze zdjęcia – mówię cicho. Zabiję go. Wracam do podpisu. „Męska wyprawa”. Stąd wiedziała, że pojechał beze mnie.

– Nie – odpowiada, kręcąc przecząco głową. – Musiał wyłączyć lokalizację w ustawieniach w telefonie. – Jeszcze bardziej powiększa zdjęcie. Na skraju biurka, tak daleko, że ledwo łapie się w kadrze, stoi jednorazowy kubek z brązową tekturową nakładką do trzymania. Fotografia jest tak wysokiej rozdzielczości, że można zogniskować obraz i odczytać logo: Kawa/Kość, N7. Potem robi najazd na inny element – jeśli jest się bardzo spostrzegawczym, można dostrzec, że w czarnym lustrze ekranu komputera odbija się czubek Alexandra Palace. Beth przebadła to zdjęcie jak policyjna specjalistka od śladów. Ta sama zawzięta determinacja, z jaką wyszukała dla niego obiektyw, a dla mnie ulubione świece. Poprawiam się na twardym krześle.

– Po tym znalazłaś dom?

– Nie – przyznaje. – Z domem było trudniej. Sporo drogi dziś przeszłam, starając się ustalić, który to jest.

– Mów dalej – proszę, choć napięcie wysysa ze mnie całą energię. – Oświeć mnie.

– Jesteś pewna? – Cała jej postawa jasno wyraża opór, ale uruchamia w telefonie kolejną stronę. Cieniarz zabrał głos w dyskusji na temat obserwacji gwiazd w środowisku miejskim.

*Przekłęci sąsiedzi i ich budowa – zostawili cholerny reflektor włączony na całą noc.*

*Gwiazdy niewidoczne. Jestem wściekły, bo przepadło mi zrównanie Plutona z Ziemią.*

– Przeszłam wszystkie ulice w promieniu pięciu kilometrów od sklepu, przyglądając się wszystkim domom z rusztowaniami.

– Musiało ci to zająć cały dzień.

– Zajęło – przyznaje znużona. – Tylko jeden ma reflektor. Potem czekałam, aż

reszcie zobaczyłam cię w oknie.

Wyobrażam sobie Beth, z obolałymi nogami, lecz niegasnącą determinacją, czatującą pod moim domem, żeby ruch uliczny się uspokoił. Nonszalancja Kita ucieleśniła się w postaci strzałki nad naszym dachem, czarnym iksem na drzwiach.

– Jak on mógł?

– To tylko konto na Facebooku – mówi Beth. – Każdy je ma.

Potrząsam głową – ona tego nie zrozumie. Kit dał mi słowo, że nigdy czegoś takiego nie zrobi. Zdrada jest pojęciem względnym, proporcjonalnym do zaufania.

– Nie bądź dla niego zbyt surowa. Inaczej bym was nie znalazła!

– Właśnie o to chodziło – mówię. Cisza pulsuje między nami. – Od piętnastu lat żyję w strachu. Przeszłam psychoterapię. Miałam takie zaburzenie, przez które... –

Podciągam rękaw, ukazując blizny po zadrapaniach, gdzie paznokcie orały mi skórę do krwi. – Ilekroć dokądś jedziemy, proszę obsługę hotelu, żeby przeciwoczyła ze mną procedurę przeciwpożarową, dopiero wtedy jestem w stanie zamknąć za sobą drzwi.

– Boże, Lauro, to straszne. Biedactwo!

Próbuje położyć rękę na mojej, natychmiast wyrywam dłoń.

– Jaja sobie robisz?

– Lauro, nie zachowuj się tak. – Jej głos jest gładki, ale prawa powieka drga. – Próbuję ci pomóc.

Zdażyłam już zapomnieć o Jamiem – mógłby stać teraz za mną z maczetą, a ja byłabym zbyt zaaferowana furią wspomnień.

– Poważnie, czego się spodziewałaś? Och, cześć, Beth, próbowałaś spalić mnie żywcem, ale co tam, było, minęło! Napijmy się winka i pogadajmy jak za starych dobrych czasów?

Jej źrenice robią się wielkie jak kleksy, czarny atrament wytryśnięty z zakraplacza.

– Chwileczkę, c o t a k i e go? Ja... ja nie mogłabym – jak mogłaś tak nawet pomyśleć? – Łapie mnie za nadgarstek. Skóra pali mnie pod jej dotykiem – tkanka bliznowata, jak mięśnie, posiada zdolność zapamiętywania. – Jeśli to ma być żart,

to raczej ci nie wyszedł.

– Och, Beth, nie wykręcaj się. To żenujące dla nas obu.

Trzęsie się cała, walcząc o to, by nie stracić panowania nad sobą.

– Nie, idźmy dalej, wyłożmy kawę na ławę.

Sama się prosiła. Zaczynam od spraw, których się nie wyprze.

– Skoro nalegasz. Jak wytłumaczysz Zambię? Jak wyjaśnisz prześladowanie nas w T u r c j i? – Otwiera szeroko usta. Na to nie była przygotowana. – Ktoś sfilmował festiwal, widać cię w tle nagrania, jak pokazujesz ludziom nasze zdjęcie i wypytujesz, czy nas nie widzieli.

Do tej pory rozmawialiśmy dość cicho, teraz jej głos wyrywa się spod kontroli.

– A jak ci się w y d a je, że po co pojechałam do Zambii? – Barman, wyczuwając zbliżającą się pyskówkę, patrzy w naszą stronę. Beth z powrotem zniża głos. – Żeby się dowiedzieć, dlaczego mnie tak z o s t a w i l i ś c i e, akurat kiedy miałam szansę odwdzińczyć się wam wsparciem za pomoc, jaką mi okazaliście.

Prycham szyderczo.

– Nie wierzę własnym uszom.

Beth łapie się za serce w geście, który ma przypuszczalnie wyrażać szczerość.

– Byłaś dla mnie wszystkim, Lauro. Uratowałaś mnie, kochałam cię. Razem z Kitem pomogliście mi przejść przez najstraszniejszy okres mojego życia, a potem... – Robi ruch, jakby odciągała dywan. – Złamaliście mi serce.

Jej słowa uruchamiają we mnie wspomnienie.

– Tego samego wyrażenia użyłaś w odniesieniu do Tess, zanim pochlastałaś jej opony – mówię.

Beth nie ma na to riposty. Ręka opada z jej piersi i ląduje bezwładnie na stole.

– Słuchaj, wiem, że nie panowałaś nad sobą. To była reakcja na to, co zrobił ci Jamie. Teraz to widzę. Jest mi ciębie żal. To jednak w żadnym razie nie usprawiedliwia twoich czynów.

Mierzymy się wzrokiem, powietrze jest naładowane emocjami, ale nie umiem ich odczytać. Milczę, dając jej przestrzeń. Jeśli teraz się przyzna, w pewnym

stopniu odbuduje moje zaufanie. Kręci lekko głową, potem wyraźnie przełyka słowa.

– Nie wiesz, co mówisz. – W jej głosie zgrzyta tłuczone szkło, syczy ogień. – Wiesz co, Lauro? Myśl sobie, co ci się podoba. Wierz sobie, w co tylko, kurwa, chcesz. Ja zrobiłam to, po co przyszłam.

Odsuwa krzesło od stołu i wstaje.

– Nie wracam do domu, więc nic nie kombinuj – zastrzegam.

– Ależ nie martw się. Zbluzgałaś mnie wystarczającą ilością obelg na jeden dzień. – Zawiesza głos, wiąże na szyi apaszkę i obrzuca mnie spojrzeniem, które mrozi mi krew w żyłach. – Nie możesz powiedzieć, że cię nie ostrzegałam.

Wypycha mnie wzrokiem z miejsca, a ja od nowa przeżywam pożar, cały pałacy horror. Chyba zwariowałam, próbując przemówić jej do rozsądku. Niezgrabnie trącam stół i chwiejnie staję na nogach. W do połowy włożonej kurtce popycham ciężkie podwójne drzwi i wychodzę w blask i światła Green Lanes.

Bieganie w szóstym miesiącu bliźniaczej ciąży nie jest dobrym pomysłem. Nawet wspierając brzuch jedną ręką – drugiej potrzebuję dla utrzymania równowagi – czuję, jak z każdym krokiem puszczają mi mięśnie dna miednicy. Wybieram niewłaściwy skręt przez Harringay Passage na wypadek, gdyby mnie śledziła. Gdy docieram do domu Ling, jestem spocona, zasapana i ogólnie w kiepskim stanie.

– Laura! – Juno jest już dość duża, żeby wiedzieć, że coś jest nie tak, ale jeszcze niewystarczająco dojrzała, żeby sobie z tym poradzić. Drży jej warga. – Co się dzieje, coś z dzidziusiami? Wejdz. – Przez ramię woła: – Mamooo!

Ling pędzi w dół co dwa stopnie.

– Boże, Lauro – woła, otaczając mnie ramieniem i prowadząc mnie do wnętrza. – Zauważyłam nieodebrane połączenie, właśnie miałam oddzwonić. Wracamy do szpitala?

Nawet nie rozważam wyznania jej prawdy.

– Atak paniki – mówię. – Nie mogłam zostać sama.

Wierzy mi, oczywiście. Dlaczego nie?

– Odstąpię ci łóżko.

W sypialni Ling jest czysta pościel, świeże kwiaty, białe ściany, na których mogę wyświeślać w myślach, co tylko wiem. Zagrożenie ze strony Jamiego wydaje się realne – jest wyczuwalne w jego listach – ale odległe, jak postać widniejąca na horyzoncie, wyraźna jedynie, gdy spojrzeć na nią przez lornetkę. Instykt podpowiada mi, żeby uciekać, zacząć nowe życie, ale jesteśmy uwiązani, zwłaszcza wizytami w szpitalu, pracą, hipoteką. Przynależymy tu. Wściekłość na Kita od nowa we mnie wzbiera. Ręka dosłownie drga mi, żeby go uderzyć. Jak mógł nas tak narażać? Jak mógł mnie okłamywać? Około pierwszej w nocy gniew tłamsi opory i odpalam paskudnego SMS-a.

*Beth przyszła dziś do domu – dzięki Tobie. Powiedziała mi, co zrobiłaś. Jak mogłaś, Kit? Jestem na noc u Ling, ale czeka nas rozmowa – poważna! – jak wrócisz.*

Wyładowanie się na nim przynosi mi ogromną ulgę. Czyż związek małżeński nie polega w części na wkurzaniu się na siebie czasami? Jutro będzie kłótnia, a potem się pogodzimy, jak zawsze.

Nie jestem w stanie zmierzyć się z Beth, a już na pewno nie z Jamiem, nie w pojedynkę.



KIT

21 marca 2015

– Jestem śmiertelnie zmęczony – marudzę, gdy stoimy na mostku z kubkami kawy w rękach, wypatrując lądu. Niebo jest białe, światło poranka chłodnosrebrne, a Morze Północne ma jednolitą barwę delfiniej szarości.

– Ja spałem jak zabity – szczebiocze Richard.

Nie musi mi mówić. Nie zmrużyłem oka, więc słyszałem każde jego chrapnięcie i pierdnięcie. Spodziewałem się, że po uldze braku kontaktu ze strony Beth i przedzaćmieniowych nerwach rozmytych w rozczarowaniu też będę spał jak kamień, ale zamiast tego przewracałem się z boku na bok na wąskiej pryczy, ciągle sprawdzając godzinę, za każdym razem zapadając w bezsenność.

Na statku zaczyna się rodzić gwar, gdy na horyzoncie pojawiają się kształty. Nawet przysłonięte pasem niskich chmur, wybrzeże Northumberland zdaje się niemal nieprzyzwoicie zielone po skalistych, czarnych Wyspach Owczych. Jak dobrze znowu zobaczyć Anglię, tętno przyspiesza mi w oczekiwaniu na powrót do domu, do Laury. Zbliżamy się do dźwigów i bram portu w Newcastle i główkuję, czy opłaca mi się pędzić na pociąg o dziesiątej piętnaście do King's Cross, czy nie spinać się i cieszyć się drogą. Tak czy inaczej, będę na miejscu o czternastej, najpóźniej piętnastej.

Słynne mosty na rzece Tyne wyłaniają się z mgły, kiedy mój telefon budzi się

do życia, przypominając brzęczeniem o swoim istnieniu w mojej kieszeni. Sprawdzam wiadomość od Laury, wysłaną tuż przed północą.

*Beth przyszła dziś do domu – dzięki Tobie. Powiedziała mi, co zrobiłeś. Jak mogłeś, Kit? Jestem na noc u Ling, ale czeka nas rozmowa – poważna! – jak wrócisz.*

Szok. Ostry zawrót głowy jest tak dotkliwy, że przez chwilę mam wrażenie, że statek w coś uderzył, i nie hamuję nawet krótkiego okrzyku.

– Co ci jest? – pyta z troską Richard.

– Pewnie choroba morską – próbuję go uspokoić, ale z ust wydobywa mi się bełkot. – Usiądę. Serio, nic mi nie będzie.

– Wyglądasz strasznie. Dziesięć sekund temu byłeś zdrowy. Wołaj, gdybyś czegoś potrzebował.

Kiwam głową, po czym opadam na ławkę. Mimo że siedzę, mój puls szaleje, jakbym właśnie skończył sprint. Jakim cudem – dlaczego to zrobiła – i dlaczego teraz? Co dokładnie powiedziała Beth? Kobieta na pokładzie, dziewczyna pijąca piwo w barze na zdjęciu, Krista – wszystkie przybierały w mojej głowie postać Beth. Byłem tak zaprzątnięty nakładaniem twarzy prześladowczyni na inne, że w życiu nie wpadłbym na to, że pojechała do Londynu.

Jeszcze raz czytam wiadomość, choć znam ją na pamięć.

*Powiedziała mi, co zrobiłeś.*

Wszelką energię, jaka jeszcze we mnie pozostała, wykorzystuję do tego, by nie zacząć wrzeszczeć. Piętnaście lat – przez piętnaście lat chronięm Laurę przed prawdą tak potworną i bolesną, że nawet nie chcę o tym myśleć. Dociera do mnie, gdy statek wznosi się na fali, że myliłem się, myśląc, że czas jest liniowy; wyobrażając sobie, że moje życie przesuwają się w jednym kierunku, z dala od jednego wydarzenia. Nie; to pokręcone kółko wstążki, wstęga Möbiusa. Lata nakładają się na siebie, aż znajduję się z powrotem w Kornwalii, zimnymi rękami pieścąc jej rozpaloną skórę, złota farba zostaje mi na palcach w odwróconym



dotyku Midasa, i nagle jedynym stałym punktem mojej historii okazuje się noc, którą spędziłem z Beth.



KIT

9 sierpnia 1999

Czterdzieści osiem godzin przed zaćmieniem Ling ubrała w słowa to, co wszyscy czuliśmy.

– Ten festiwal przejdzie do historii jako jedna z najdroższych klap.

Miała rację. Wysokie słupy z łopoczącymi flagami, mające służyć jako punkty orientacyjne w tłumie, były rozstawione na pustym polu. Zamiast jak tętniąca życiem mekka kontrkultury miejsce wyglądało raczej jak pole golfowe, na które przez pomyłkę przybłąkała się garstka niewłaściwie wyposażonych, nieodpowiednio ubranych ludzi. Nasza budka radziła sobie całkiem nieźle głównie dlatego, że namiot stanowił bańkę ciepła nagromadzonego z generatora i z termosu. Nasz pierwszy klient dnia tkwił u nas nadal od dwóch godzin, pogrążony w przyjemnym zamroczeniu alkoholowym, z tłustymi dreadami rozpostartymi niczym macki na materacach.

– Ta pogoda może człowieka wykończyć – powiedział Mac.

Obrzucił mnie i Ling spojrzeniem wyraźnie mówiącym, że to nasza wina. Pasowaliśmy do siebie jako czwórka, ale bez Laury już tak dobrze nie funkcjonowaliśmy, zupełnie jakbyśmy się cofnęli do starych dobrych czasów, kiedy odgrywałem przyzwoitkę dla Maca i jego kobiety tygodnia. Wszyscy troje od rana się siebie czepialiśmy, wyładowując na sobie nawzajem nasze różne

rozczarowania: Mac był zły, bo stracił pieniądze, mnie wkurzała pogoda, do Ling wreszcie docierało, że Mac to nie tyle b a r d z o z a b a w o w y g o ś ć, ile gość, który jest patologicznie uzależniony. Od przyjazdu do Kornwalii był pijany, na haju, na kacu albo chory. Rozwiązanie, na które zdecydowała się krucha, delikatna Ling, polegało na próbie dotrzymania mu kroku. Tego ranka popijali herbatę doprawioną whisky. Po półtuzinie kubków korzennego czaju byłem podminowany i sikałem na cynamonowo. Z naszych głośników płynęła łagodna, nastrojowa muzyka, ale trzymałem w jednym uchu słuchawkę podpiętą do kieszonkowego radia, żeby dwa razy na godzinę posłuchać prognozy pogody.

– Idzie nam lepiej niż wielu innym – zauważyłem, choć nie był to wielki wyczyn. Jon, facet z furgonetki z organicznymi burrito, lał rzewne łzy, patrząc, jak jego składniki się psują, a ekipa stoi beczynn timer za ladą.

– To wszystko twoja wina – wyrzuca mi Mac.

– Co takiego?

– Ty i te twoje diagramy kołowe czy inne cholerstwo, czytanie ze Słońca, cokolwiek, co kazało mi przyjechać do Kornwalii. Trzeba było jechać do Turcji, tak jak planowałem. Obciążyć kartę kredytową i tyle.

– Proponowałeś coś dokładnie p r z e c i w n e g o – powiedziałem. – Jeśli wysiliz trochę pamięć, przypomnisz sobie, że to właśnie ty chciałeś zostać w Anglii. Dlatego zmarnowałem tydzień na sporządzanie dla ciebie tych pieprzonych wykresów pogodowych.

– Tobie zależało jedynie, żeby się przypodobać Laurze. Podnieciła się perspektywą wycieczki na zachód kraju – że tu wszędzie hołdują fair trade, a ty dałeś się wkręcić.

– Laura nie ma tu nic do rzeczy. Liczy się Golszstrom. Kornwalia powinna być słoneczna. Nie jest. Nic na to nie poradzę.

Był jak pies, który złapał trop.

– Wiesz, na czym polega twój problem?

Zagryzłem zęby – miał tak wiele do wyboru.

– Uzależniłeś się od cipki, pantoflarzu! Wreszcie znalazłeś kogoś, kto chce się

z tobą pieprzyć, więc przestałeś dbać o wszystko inne.

Poczułem, że blednę, chociaż Ling odebrała wredną uwagę jako żart. Jej śmiech był ciepły i spontaniczny – wyraz szczerego rozbawienia, a nie żaloszny rehot osoby, która właśnie usłyszała niezręczną prawdę wypowiedzianą w formie przytyku.

– Spieprzaj! – powiedziałem bezgłośnie do Maca, gdy Ling nie patrzyła.

Uniósł dłonie w geście przeprosin, już nie całkiem żartobliwych, bo nawet on potrafił wyczuć, że przeholował. Odwróciłem się do niego plecami, trzęsąc się z wściekłości, że trafił tak blisko prawdy. Mac był j e d y n y m, który wiedział, że poza Laurą nigdy nie spałem z żadną dziewczyną. Kamień młyński moich dwudziestu jeden lat dziewictwa został wreszcie zdjęty z mojej szyi tej niezręcznej nocy w wychłodzonym mieszkaniu brata. Śmiać mi się chce, gdy pomyślę, że kiedyś to właśnie była moja najmroczniejsza, najgłębiej skrywana tajemnica. Leżę w nocy z otwartymi oczami i m a r zę, by być dwudziestojednoletnim prawiczkim. Mac nigdy nie przepuścił okazji, żeby mi z tego powodu dokuczyć: „Założę się, że ożenisz się z pierwszą dziewczyną, która pokaże ci cycki” – ale zawsze zostawało to między nami, bardziej bawiło go machanie mi sekretem nad głową niż wygadanie się i wystrzelenie tym samym ostatniej kuli. Tym razem zagalopował się całkiem blisko wydania tajemnicy, i to przed Ling. Miałem ochotę mu przyłożyć. Jednak zamiast wdawać się w pyskówkę, która tylko pogłębiłaby spór, ograniczyłem się do milczenia i spoglądania na niego złym okiem, co spływało po nim jak woda po gęsi – zdążył się już zająć innym tematem.

– Jeśli i tak nie wpadnie nam żadna kasa, przynajmniej ożywmy trochę atmosferę – powiedział.

Już trzymał rękę w kieszeni, decyzja podjęta. Upadłem na duchu, kiedy wyciągnął pasek perforowanego papieru z oznaczeniami kolorów kart do gry: karo, pik, kier, trefl. Oderwał papierowy kwadracik i położył go na języku Ling.

– Nie, dzięki – odmówiłem, kiedy mi też zaoferował kawałeczek, znaczek pocztowy dla lalek, nie większy od paznokcia, z czerwonym diamencikiem karo. Za żadne skarby świata nie dotknąłbym LSD. Przez lata byłem świadkiem kilku

paskudnych odlotów, a jeśli z zewnątrz wyglądały fatalnie, to niech mnie licho, jeśli chciałbym doświadczyć tego od środka.

– Ale z ciebie pierdoła.

– Skoro tak twierdzisz.

Mac uważał, że każdy, kto pozostaje w trzeźwości więcej niż dobę, jest pruderyjnym nudziarzem. Jeśli kiedyś rzeczywiście była to prawda, wszystko zmieniło się, kiedy poznałem Laurę. Wspólne zażycie ecstasy jeszcze bardziej nas zbliżyło – pozwoliło nam eksplorować nawzajem nasze umysły z równą łatwością, z jaką dokonywaliśmy eksploracji naszych ciał. Problemem nie były narkotyki, tylko Mac. Nie dało się z nim gonić czegokolwiek. Nieważne, jaki był motyw podróży, i tak była to j e g o wycieczka, a towarzystwo było mu potrzebne tylko wtedy, jeśli się do niego dołączało, usprawiedliwiając jego przegięcia.

Wywrócił oczami.

– Dobra, niech będzie jeden na zespół. – Jego ton całkowicie się zmienił. – Zrobię jeszcze wszystkim herbatę.

– Ja dziękuję – odmówiłem.

On i tak wrzucił do kubka torebkę, okraszając ją uśmiechem tak słodkim, że moja podejrzliwość natychmiast sięgnęła zenitu. Doprawi mi herbatę, pomyślałem. Przez chwilę bawiłem się pomysłem przyjęcia napoju, żeby potem chlusnąć mu nim w twarz. Zerknąłem na zegarek, do przyjazdu Laury zostały jakieś dwadzieścia cztery godziny.

– Wiesz co? Sam popilnuję stoiska – zaproponowałem. – Idźcie i bawcie się dobrze.

Widziałem, jak Mac zawiesił rękę nad kubkiem, niczym truciciel w kryminale Agathy Christie. Wreszcie wsunął narkotyk z powrotem do kieszeni.

– Dzięki, brachu.

Patrzyłem, jak odchodzą, modląc się w duchu, żeby mieli fatalny odlot. Życzyłem Macowi, żeby twarz Ling rozplynęła mu się przed oczami, aż zacznie prześwitywać naga czaszka.

Było dość pracy, żeby czas szybko mijał. Niedające ciepła słońce zaszło

i podkreślono muzykę; bum-bum basów dudniło mi w uszach. Z litości kupiłem enchiladę ze stoiska Burrito Jona i zjadłem ją, słuchając prognozy pogody dla statków w Czwórcę, niezmiennie pogrążony w myślach o pogodzie, bracie i swojej żalostnej historii sekscesów.

Każde zaćmienie ma swoją wagę, ale to znaczyło dla mnie więcej niż którekolwiek z poprzednich. Chciałem, żeby Laura doświadczyła pełnego cudu zjawiska. Tyle mi pokazała, a teraz ja miałem szansę wprowadzić ją do m o j e g o świata, który po prostu musiał być doskonały.

O północy pogasły sceny, a rozblęły ogniska. O pierwszej, kiedy rozważyłem pójście spać, nasz tłustowłosy znajomy zbliżył się, zataczając, do stoiska. Przekrwione białka otaczały mikrożrenice.

– Wybacz... stary – powiedziałem. – Właśnie zamykam.

Nie dorastaliśmy w domu, w którym zwracało się do ludzi per „stary”, i nigdy nie potrafiłem ze swobodą tak ludzi nazywać.

– Weź nam zrób herbaty – zażądał natręt. – Normalnej, nie spuszczaaj się nad nią za bardzo. – Dostrzegł we mnie wady, które tak irytowały Maca, a moja uległość tylko je potwierdziła. Podąłem mu kubek. Miseczka z kostkami cukru (modnymi, brązowymi, nieregularnymi) stała na stole. Wsadził tam brudną łapę i pożarł całą garść.

– Nie rób tak, proszę – powiedziałem. – Będziemy musieli wszystkie wyrzucić.

Roześmiał się, ukazując zęby równie brązowe, co cukier.

– To na razie – rzucił i odszedł, zabierając ze sobą żółty kubek, na którego odzyskanie nie liczyłem, przepadł też cukier, który wysypywałem właśnie do śmieci, i funt, którego powinienem był skasować.

Czując się bardzo mały, zmieszałem gorącą wodę z termosu z zimną z kranu w miednicy, żeby wymyć kubki, ale po pięciu minutach wykonywania zadania zorientowałem się, że ktoś mnie obserwuje. Na wysokości klatki piersiowej unosił się żółty kubek, a za nim stała dziewczyna o czarnych, kręconych włosach, białej skórze i drobnych, ciemnych rysach skupionych ciasno w twarzy w kształcie serca.

– Jakiś wredny żul rzucił nim przez pole i trafił mnie w nogę. Nie wiem,

dlaczego jest takim idiotą. Pewnie ma to coś wspólnego z zaćmieniem. Z określoną konfiguracją ciał niebieskich. Merkury jest w ruchu wstecznym. Albo działają podziemne prądy.

– Nie, raczej rzucili naprawdę mocnym kwasem – powiedziałem.

Zaśmiała się, wypuszczając z ust kłębki pary, i podała mi kubek. Zanurzyłem go w pianie.

– Poproszę czaj. Bez cukru, ale za to dużo mleka.

No to zamknąłem stoisko.

– Zapraszam – powiedziałem.

– Odwieczny problem z hipisami – mówiła, kiedy herbata się parzyła. – Zawsze w sprzeczności z tym, co głoszą. Miłość i pokój, jasne. Dobra, może nie wszyscy. Ty mi wyglądasz na okaz uczciwości. Ale niektórzy najagresywniejsi i najbardziej leniwi ludzie, jakich poznałam, obwieszają się znaczkami ruchu na rzecz rozbrojenia nuklearnego albo mają ten hinduski tatuaż, który wszyscy sobie teraz robią. – Jakby opisywała Maca. Rozbłysła żarówka długo znanej prawdy, która wreszcie ujrzała światło dzienne. – Brałeś udział w całym cyklu w tym roku? – spytała. – Nie widziałam cię wcześniej.

– W cyklu?

– Czy pracowałeś przy festiwalach. Ja tak robię. Praca za gotówkę przez całe wakacje. Przez ostatnie lata byłam już na tylu imprezach, że zaczynam spotykać znajomych. Ten gość ze stoiska z burrito? Jestem pewna, że w zeszłym roku stał w Phoenix.

– Możliwe. – Wiedziałem tylko tyle, że Burrito Jon zamknął interes na noc. –

Pierwszy raz spróbowaliśmy czegoś takiego. Właściwie był to pomysł mojego brata. Chcieliśmy znaleźć sposób, żeby zobaczyć zaćmienie i jeszcze trochę zarobić.

– Udało się?

– Straciliśmy tylko pieniądze.

– Nic dziwnego, że nigdzie nie mogę znaleźć pracy. Jest nadmiar chętnych i przepełniony rynek pracy. Jestem beznadziejną ofiarą kapitalizmu. – Znów się

zaśmiała. – P y s z n a herbata.

Odpowiedziałem uśmiechem.

– Czy to nie dziwne uczucie być na festiwalu w pojedynkę?

– Nie z wyboru. Na ogół jestem w stanie przekonać jakąś koleżankę, żeby jechała ze mną, ale sierpień w tym roku tak wyszedł, bo większość moich przyjaciół z rodzinnego miasteczka poleciała na lato do pracy na Ibizie. Kilkoro znajomych ogląda zaćmienie w Devon, pewnie powinnam była zabrać się z nimi. –

W koronach drzew zaszumiał wiatr, potrząsając dzwoneczkami wietrznymi. –

Dziwnie tu, prawda? Prawie złowrogo. Nie tylko z braku ludzi. Ale cały rozkład festiwalu. Na ogół jest jedno potężne pole, ewentualnie mniejsze pola oddzielone żywopłotem, ale tu teren jest wręcz zalesiony. Całe kępy drzew. Nie byłabym zaskoczona, gdyby nagle pojawił się jakiś ogr albo Czerwony Kapturek. – Sama wyglądała jak postać z bajki, z tą nieziemsko białą skórą. – Tak w ogóle, jestem Beth.

– Kit.

Dłoń, którą uścisnąłem, była miękka, jakby dziewczyna moczyła ją w miodzie, tak różna od długich, smukłych palców Laury, że omal nie krzyknąłem – nie dało się zlekceważyć iskry pożądania, która przemknęła między nami, więc szybko cofnąłem rękę, przerywając niebezpieczny prąd.

– Jesteś tu sam z bratem?

Było to proste pytanie, ale poczułem mrowienie w ręce, tam gdzie mnie dotknęła. Nagle jasno zdałem sobie sprawę, jak pusto było wokoło. Ujrzałem siebie jak w starej kreskówce: na prawym ramieniu przysiadł mi anioł przedstawiający moje sumienie, a na lewym spoczął diabeł, małe, czerwone ucieleśnienie mojego zwierzęcego ja. „Powiedz jej o Laurze – wyszeptał anioł. – Mów o Laurze, natychmiast”.

Uniknąłem odpowiedzi.

– Funduje sobie właśnie odlot ze swoją dziewczyną. Lepiej siedzieć tu samemu niż w towarzystwie kogoś, kto ma halucynacje.

Beth się skrzywiła.



– Tak, kwas to nie moja trucizna, odkąd w Glastonbury, w 1994, płonące krzyże gonili mnie przez pole. – Wzdrygnęła się. – Festiwale to nie najlepsze miejsca, żeby tracić orientację. – Zastukała palcami o kubek. – Czym się zajmujesz, kiedy nie sprzedajesz herbaty?

– Właśnie skończyłem Oksford. Zaczynam doktorat z astrofizyki.

– Gdzieś czytałam, że wśród fizyków popularna jest religia. Najwyraźniej wszyscy inni naukowcy to ateści. Ale fizycy, którzy naprawdę poświęcają czas na kontemplację ogromu wszechświata, prędzej przyznają, że wierzą w Boga, niż przedstawiciele jakiegokolwiek innej dziedziny. Bardzo ciekawe, prawda? – Nie wiem, jaką miałem wtedy minę, ale uśmiechnęła się do mnie. – Przepraszam, za dużo gadam. To po prostu pierwsza inteligentna rozmowa, jaką odbywam od dwóch dni.

– Dla mnie też – powiedziałem i była to prawda.

Nadawaliśmy z Beth na tych samych falach. Rozumiała wszystkie moje żarty, a ja jej. Wymienialiśmy się historyjkami z podróży. Opowiedziałem jej o sobie wszystko, z wyjątkiem najważniejszego. „No, mów – naciskał anioł. – Powiedz jej o Laurze. Niech wie, że masz dziewczynę”. Diabeł oparł się tylko o widły i uśmiechnął. Spojrzałem w niebo, żadnych gwiazd.

– Nie zapowiada się dobrze na jutro, prawda? – spytała Beth.

– Pokrywa chmur ma objąć całą południowo-zachodnią Anglię – potwierdziłem.  
– Ale kto wie, może jeszcze się przetrze. Silne wiatry, zawsze jest szansa.

– Skoro mowa o wietrze, strasznie tu zimno. Czy twój lokal ma jakieś wnętrze? Chętnie bym jeszcze pogadała, ale zamarzam.

– Jasne. – Zauważyłem, że mój głos cofnął się nagle o całe lata i znów byłem przechodzącym mutację podrostkiem, próbującym poderwać dziewczynę na plaży.  
– I tak będę już zamykał.

Beth patrzyła, jak odwracam napis, by wskazywał „zamknięte”, i zapinam za nami namiot.

Wtedy nauczyłem się o związku między rozważaniem a czynem. Opracowywałem w głowie logistykę: ciepła kieszeń powietrza w namiocie,

lokalizacja czystej pościeli, jej bielizna, klamra w moim pasku. W chwili gdy zaczynasz myśleć o sprawie w kategorii, jak to zrobić, to tak, jakbyś był już w połowie działania.

Nasza przestrzeń do relaksu, z migającymi światełkami i perskimi dywanami, wyglądała jak jakiś brudny harem. Z Laurą zawsze chodziło o miłość, ale pożądanie zaprawione grzechem ma podwójną moc. Pomyślałem sobie, kierowany niepodważalną logiką szaleńczo napalonego faceta, że zaliczę ten jeden raz, a potem wrócę do Laury. Rozumowałem nawet – jeśli rozum w ogóle miał tu coś do powiedzenia – że do tej pory po prostu odraczałem kontakty z kobietami, nowe ciała, jednonocne wyskoki, które należały się przecież każdemu młodemu mężczyźnie.

W rogu leżał czerwony śpiwór spięty paskiem.

– Ten jest czysty – powiedziałem i rozpiąłem sprzączkę. Rozwinął się niczym czerwony dywan. Beth usiadła na jednym końcu, ja po drugiej stronie,

– Więc. – Uśmiech w zwolnionym tempie wypłynął jej na usta.

Gdybym wtedy wiedział, co zaczynam, czy i tak bym to zrobił? Zbliżyłem się do niej na czworakach i pocałowałem ją. Smakowała ostro przyprawioną herbatą i leciutko dymem z ogniska.

– Jesteś cudny – powiedziała.

Rozebraliśmy się nawzajem, co jakiś czas wydając lekki okrzyk, gdy lodowate palce musnęły gorącą skórę. Jej ciało było pomalowane złotą farbą, rozmazałem tańczące słońca po jej mostku. Przygłodziłem anielskie skrzydła na jej plecach, jakbym powstrzymywał ją od lotu. Beth była uległą miękkością, grożącą, że może trwać wiecznie, aż nagle znalazłem się w niej. Poruszała się powoli, z oczami i ustami przyklejonymi do moich. Gdyby nie była nieznajomą, użyłbym zwrotu, którego Laura nie znosiła, i powiedziałbym, że się kochaliśmy. Gdy byłem już blisko, przytrzymała mnie, spojrzała w oczy i powtórzyła: „Jesteś cudny”, lecz tym razem bez uśmiechu. Zanurzyłem twarz w jej włosach i doszedłem, i nawet diabeł na moim ramieniu z obrzydzeniem odwrócił wzrok.



KIT

10 sierpnia 1999

Zbudziłem się o świcie, po kilku godzinach snu, wciąż nagi, z mięśniami spiętymi z zimna. Natychmiast ogarnęło mnie poczucie winy, wypierając wszelkie inne uczucia. Wyobraziłem sobie twarz Laury, gdyby się dowiedziała, pomyślałem, jak sam bym się czuł, gdyby to ona wycięła taki numer, i żołądek ścisnął mi się boleśnie. Jak Mac mógł robić to cały czas? Dlaczego nie ostrzegł mnie przed konsekwencjami, natychmiastowymi i wstrząsającymi? Dlaczego nie powiedział nic o strachu? Pewnie dlatego, że nigdy nie miał tyle do stracenia, co ja.

Beth jeszcze spała, zakopana pod naszymi ubraniami, z piersiami ściśniętymi razem pod mlecznobiałymi ramionami, z szyją lekko zaczerwienioną od szorstkości mojego zarostu, z resztką złotego blasku na skórze. Wytatuowane pióra łaskotały jej ramiona. Stop-klatki rozkoszy na jej twarzy migąły mi przed oczami, gdzieś pod wyrzutami sumienia drgnęło poczucie potwierdzenia własnej męskości. Zacisnąłem mocno pięści, żeby je odpędzić. Pozbawiona ciepła mojego ciała Beth zaczęła drżeć, a potem zamrugła i otworzyła oczy. W lewym kąciku zebrała jej się odrobina ropy, pokonałem odruch, żeby przetrzeć jej oko.

– Hej. – Podniosła się na łokciach. – Chyba dobrze trafiłam na kubek herbaty.

Czułem, jak cały się napinam. Jeszcze raz, szepnął mój diabeł. No, jeszcze jeden szybki, zanim wzejdzie słońce. Na konto wczorajszej nocy, jeszcze się nie

skończyła. Otrząsnąłem się jednak i stanowczym ruchem włożyłem džinsy, dając do zrozumienia, miałem nadzieję, że to koniec.

– Beth – zacząłem. Od razu wyłapała ciężar, z jakim wypowiedziałem jej imię, i zakryła się ciasno śpiworem, mrużąc oczy.

– To nie brzmi dobrze.

– Nie da się tego dobrze powiedzieć. Mam dziewczynę.

Nastąpiła sekunda ciszy, a potem, zamiast się wycofać, Beth nachyliła się ku mnie.

– Ty. Chuju – wycedziła. Wykonała niezdarne przedstawienie, próbując się ubrać, ale ruchy straciły płynność poprzedniej nocy, więc walczyła niezręcznie z biustonoszem, który przeciął jej skrzydła w pół, a potem wcisnęła pokryte gęsią skórą ręce w rękawy bluzki.

– To – spojrzała mi w twarz i ogarnęła ręką śpiwór, mnie – n i e j e s t m ó j s t y l . Zrobiłeś ze mnie taką kobietę. Sypiającą z cudzym facetem. Ty skończony gnojku. – Pchnęła mnie w pierś, na co zasłużyłem. – W zasadzie nie, jest coś jeszcze. Coś między nami zaiskrzyło. Była więź. Nie mylę się, prawda?

Wyglądała, jakby miała się zaraz rozplakać.

Stałem w totalnym osłupieniu. Założyłem, że skoro wszyscy średnio od szesnastego roku życia wskakują byle komu do łóżka, nie ponosząc żadnych konsekwencji, to potrzeba głębszej relacji jest moją osobistą słabością. Nie przyszło mi na myśl, że Beth weźmie to na p o w a ż n i e .

– Przykro mi – odparłem słabo. Chciałem jej powiedzieć, że nie, nie myli się, że to, co się wydarzyło, było piękne, ale wiedziałem, że jestem już w strefie ograniczania szkód.

– Mnie też jest przykro. – Schyliła się, żeby gniewnie zasznurować srebrny but. – Nie lubię być brana za... Sama nie wiem, za co mnie wziąłeś? Choć może lepiej nie odpowiadaj. Dzięki, że zepsułeś mi festiwal.

Była ubrana i rozpiniała namiot, a ja stałem jeszcze boso, w samych džinsach. Wyszedłem za nią na osrebrzone pole. Oszroniona trawa kłuła mnie w stopy. Posłałem za nią błaganie o łaskę, na którą nie zasługiwałem.

– Beth! Proszę, nie zostawiaj tego w ten sposób!

Ale jej już nie było. Las, który wydawał jej się taki złowrogi, pożarł ją w całości. Na niebie chmury wybierały popiół świtu, przypominając, po co tu przyjechałem. Nadchodzące zaćmienie zdawało się blednąć przy tym, co zrobiłem.

Luźna poła namiotu uderzała powoli o ścianę w pełnym sarkazmu aplauzie. Wróciłem do środka, włożyłem buty i przejrzałem ubranie pod kątem dowodów zbrodni – wydobyłem pojedynczy kręcony, czarny włos spomiędzy włókien swetra. Na czerwonym śpiworze widniał blady, srebrzysty ślad, w miejscu gdzie leżeliśmy – gorączka minionej nocy zredukowana do żalostnej plamki. Śpiwór nie mógł tu zostać. Zwinąłem go z powrotem, żeby wrzucić go do furgonetki. Miałem wrażenie, że sprzątam po kimś, kogo nie chcę znać. Zdawało mi się, że usuwam ślady z miejsca przestępstwa. Wziąłem felerny śpiwór pod pachę i poszedłem z powrotem do naszego miniobozowiska. Tu i tam dogasały ogniska i przyszło mi na myśl, żeby cisnąć *corpus delicti* w któreś z nich, ale buchnęłyby tylko płomienie, przyciągając uwagę, z którą nie potrafiłbym sobie poradzić. Zamiast tego wrzuciłem śpiwór na pakę furgonetki, poza zasięg mojego wzroku i węchu.

Z czerwonego namiotu nie dochodziły żadne dźwięki. Otworzyłem zielony. Leżały tam nasze śpiwory, spięte razem. Poduszka, którą przywiozłem dla Laury, miała zapach jej włosów, tak wyraźny, jakby właśnie na niej spała. Stanęła mi przed oczami jej twarz, ale zamiast jaśnieć w uśmiechu, wykrzywiała ją nienawiść. Wzdrygnąłem się, gdy zrozumiałem, co by było, gdyby cechy, które wszyscy w Laurze podziwiają – jej bystrość, jej zasady – obróciły się przeciwko mnie. W sekundzie wiedziałyby, kim jestem. Zostawiłyby mnie w następnej.

Nie bałem się jej bólu, ale jej furii.

Położyłem się na materacu w niezdecydowanym świetle poranka sączącym się przez płótno. Ściany namiotu kurczyły się i nadymały na wietrze jak wielkie płuco. Wiedziałem z absolutną pewnością, że już nigdy nie zaznam snu.

Mac zbudził mnie, jak mi się wydawało, po dziesięciu sekundach, wtykając głowę przez zamek. Miał oczy wyłupiaste jak postać z kreskówki i zielony język. Sprawdziłem godzinę: dziesiąta.

– Kit – wycharczał.

Dwadzieścia lat jego prowokacji ścisnęło się we mnie w wielką kulę; na moim języku czaiło się pochwalenie zeszlą nocą. Czułem, że warto, przez kilka płynnych sekund pomiędzy jawą a snem, ale gdy tylko doszedłem do siebie, natychmiast zdałem sobie sprawę, że to drugi najgorszy pomysł, jaki kiedykolwiek przyszedł mi do głowy. W samą porę wziąłem się w garść.

– Nie spodziewałem się, że zerwiesz się tak wcześnie.

Nie wyłapał mojego sarkazmu.

– Umieram. Dopiero teraz idziemy spać. – Śmierdziało mu z ust starym tytoniem. – Poszliśmy na klify. Mieliśmy n a p r a w d ę mocne wizje. Lasery na niebie. Słuchaj. Możesz otworzyć budę i obsłużyć obiadowy tłum?

– Chyba żartujesz. Wczoraj zasuwalem na dwóch zmianach.

– Proszę cię, Kit – przekonywał. – My posiedzimy dziś w nocy. Naprawdę się przekręcę, jeśli zaraz nie położę się spać. – Rzuciłem mu nienawistne spojrzenie. – Będziemy pracować w zaćmienie jutro.

– Dobra, idź.

Nie poszedłem prosto na stoisko. Czułem się cały błyszczący od Beth i zapłaciłbym nie pięć, ale nawet pięćdziesiąt funtów, żeby stanąć pod gorącym prysznicem i porządnie się wyszorować. W maleńkiej, ubłoconej łazience w gospodarstwie ustawiłem sobie taki wrzątek, że moja skóra zrobiła się szkarłatna. Myłem się, dopóki nie zszedł ze mnie ostatni ślad złota. W drodze powrotnej kupiłem sobie nierzucającą się w oczy bluzę khaki z kapturem, który zakrywał większość mojej twarzy, i dopiero wtedy w miarę swobodnie ruszyłem przez tłum.

Wreszcie tłum zaczął gęstnieć. Burrito Jon puścił głośno muzykę zespołu mariachi, żeby zwabić klientelę, i rzeczywiście przyciągnął ludzi w naszą okolicę. Jedno przedpołudnie przyniosło nam siedemdziesiąt funtów, z czego dziesięć wsunąłem sobie do kieszeni, żeby wkurzyć Maca. Od chwili gdy odpaliłem agregat, miałem się na baczności, spodziewając się odwiedzin Beth. Nie pojawiła się aż do lunchu. Przebrała się w jakieś dziwaczne fioletowe dzwony i zawinęła

włosy w szmatławy brązowy ręcznik. W ogóle bym jej nie zauważył, gdyby nie jej zastygła w bezruchu sylwetka, odcinająca się od kłębiącego się tłumu. Kiedy nasze oczy się spotkały, odwróciła wzrok. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że to nie mnie szukała. Chciała zobaczyć Laurę.

Laura szła przez pole. Omal nie upuściłem worka ze śmieciami, który właśnie niosłem. W przygotowaniu do rozmowy o pracę zrobiła coś z włosami, tak że stały się proste i jedwabiste – zniknęły wijące się fale, do których przywykłem. Zajrzałem w naszą przyszłość – Laura odkłada klucze na stół, zrzuca eleganckie buty, które nosi do pracy, ja zamykam na noc laptop. Ta pozbawiona ambicji, domowa fantazja jest wszystkim, czego chcę od życia, skąd więc we mnie chęć rzucenia się jej do stóp i wyznania, co uczyniłem? Pocałowałem Laurę i założyłem jej za ucho kosmyk włosów, bo tak zawsze robiłem.

– Jak poszła rozmowa?

– Chyba dobrze. Zobaczymy.

Po sposobie, w jakim mi się przyglądała, prześwietlając moją twarz gwiazdami oczu, poznałem, że wie, że coś się stało. Próbowwała mnie rozluźnić drobnymi pocałunkami w uszy, przytuleniem w pasie, ale tylko się spinałem. Po raz pierwszy zrozumiałem, co pcha do skoku ludzi stojących na krawędzi klifu. Zmusiłem się do banalnej rozmowy o prysznicu w gospodarstwie i przewidywanej pogodzie, a każde wymuszone słowo było małym piekłem.

– Nigdy nie wiadomo, prognozy ciągle się mylą. – Jej przypuszczenie co do źródła mojego złego humoru sprawiło, że prawie ucieszyłem się z chmur.

Zawsze z przymrużeniem oka traktowałem percepcję pozazmysłową, ale przysięgam, że w tamtej chwili czułem za sobą Beth, a kiedy odwróciłem się powoli od Laury, spostrzegłem, że stoi oparta o drzewo, wyglądająca jak jedna z wielu hipisek łapiących festiwalowy zen. Nieznacznie pokręciłem głową, a ona w odpowiedzi wykonała skinienie, które odczytałem jako wezwanie.

Wykorzystując swój nowo odkryty talent do łgarstwa, zerknąłem w stronę doskonale działającego termosu z herbatą.

– Ej, co tu się dzieje? – Pokręciłem gałką regulującą temperaturę, podczas gdy Beth schowała się za namiotem. – Znowu się zepsuło, jakaś złączka musiała się z tyłu poluzować. Zostań tu, napij się spokojnie, a ja to naprawię. – Jeszcze raz pocałowałem Laurę w czubek głowy.

Z gałęzi zwisało tu tyle dzwonek wietrznych, że ich brzęk brzmiał w moich uszach jak zdzierane nerwy. Naszła mnie nagła chęć, żeby zerwać je wszystkie i rozwalić młotkiem.

Włosy Beth wyschły w kształcie długich, czarnych węży, a zielone tęczęwki i białka jej oczu były poprzecinane szkarłatnymi nitkami. Istniała między nami zażyłość, ale byliśmy obcymi sobie ludźmi i wydawało się niewłaściwe, żeby te dwa stany współistniały.

– To ona? – Ręce założyła na piersi, a stopą rytmicznie kopała runo, żłobiąc dziurę w ziemi.

Byłem oburzony.

– Oczywiście, że to ona. Nie gonię za... – dyplomatycznie przerwałem. Dlaczego miałyby mi wierzyć, biorąc pod uwagę dostępne dowody? – Nigdy jej z nikim nie zdradziłem, dopiero z tobą.

Prychnęła gorzkim śmiechem.

– Chcesz powiedzieć, że jestem wyjątkowa? Pochlebiasz mi? Mam się c i e s z yć?

W istocie właśnie to chciałem powiedzieć, choć w mojej głowie brzmiało to trochę lepiej.

– Nie. Nie wiem. – Po prostu proszę cię, nie mów nic Laurze. Bardzo przepraszam, że nie byłem z tobą szczery, ale to nie jej wina, a pękłoby jej serce. – Nogi ugięły się pode mną w prymitywnym odruchu, by paść na kolana.

Nagły podmuch wiatru potrząsnął otaczającymi nas drzewami, liście zaszumiały jak wzburzone morze, dzwonki dźwięczały, każdy na swoją modłę.

Ręce Beth opadły jej luźno po bokach.

– Kochasz ją?

Przez dwadzieścia jeden lat kobiety traktowały mnie jak powietrze. Teraz, kiedy



najwyraźniej nabrałem dla nich wartości, chciałem z powrotem być nikim.

– Tak – powiedziałem, czując potrzebę uczciwości. – Jest dla mnie wszystkim.

Beth kiwała się na boki, jakby fizycznie ważyła możliwości.

– Muszę przyznać, że z zewnątrz, na pierwszy rzut oka, wygląda to przekonująco. Trudno było stwierdzić, nie znając jej zdania.

Wszystko mi się w środku poluzowało.

– P r o s z ę, nie mów jej. Błagam cię.

– Nie ma takiej potrzeby. – Jej słowa były krągłe, opanowane, nabrzmiałe od niewylanych łez. – Jeśli wasz związek jest tak wspaniały, jak mówisz, nie zniszczę jej życia tylko dlatego, że ty nie umiesz utrzymać zapiętego rozporka. A jeżeli jesteś dupkiem, za jakiego cię mam, prędzej czy później sama się o tym przekona.

Dotrzymała słowa i nie doszło do budzącej moją grozę konfrontacji. Widziałem Beth jeszcze dwa razy tego dnia: obserwowała nas z daleka, przez tłum, jakby chciała z odległości ocenić, co jest między nami. Ale jak mogłaby to zrobić, patrząc z zewnątrz? Ja sam nie zdawałem sobie z tego sprawy, zanim omal tego nie spieprzyłem.



LAURA

21 marca 2015

Blask wyświetlacza razi mnie, gdy sprawdzam telefon z ostrożnością człowieka wychodzącego z zamroczenia alkoholowego. Taka wydaje mi się wczorajsza noc: surrealistyczna, wyrwana spod kontroli, jak z koszmaru sennego. Kit nie odpisał na mojego wściekłego SMS-a i widzę go teraz oczami wyobraźni, śpiącego smacznie w koi, nieświadomego sztormu, do którego wraca. Sama nie wiem, czy mam go ochotę uderzyć czy uściskać.

O siódmej dzwoni telefon, zdjęcie Kita na wyświetlaczu. Powinni już wpływać do Newcastle. Odrzucam rozmowę, tę konwersację musimy odbyć twarzą w twarz. Sześćdziesiąt sekund później rusza lawina wiadomości.

*Proszę, odbierz*

*Słuchaj, wiem, że wydaje się, że to koniec świata, ale przejdziemy przez to*

*Błagam, odezwij się do mnie, Kochanie*

*Żałuję, że dowiedziałaś się w ten sposób, ale obiecuję, że wszystko wyjaśnię, damy radę*

*Tak strasznie, strasznie mi przykro*

Dobrze, że przynajmniej rozumie powagę swoich czynów i ich potencjalnych konsekwencji. Odpisuję tylko po to, żeby się zamknął.

*Naprawdę nie chcę tego robić przez telefon. Zobaczymy się w domu.*

Podczas gdy Ling miota się po domu, zbierając papiery do pracy i szukając butów do pary, ja przeglądam książkę, którą Piper miała zadane przeczytać poprzedniego wieczoru, i starannie podrabiam jej pismo, wypełniając za nią odpowiednią stronę w zeszycie ćwiczeń. Juno targuje się z Ling o dodatkowe trzy funty na kawę w drodze do domu. Matka i córka w wiecznym starciu niewzruszonego głazu i nieopanowanej siły. Wszystko przede mną – znów zastanawiam się, kogo noszę pod sercem – chłopców, dziewczynki czy jedno i drugie.

Łapię Juno przed wyjściem i wsuwam jej do kieszonki swetra pięciofuntową monetę. Nagradza moje perskie oko rzadkim w jej wypadku buziakiem i znika, zostawiając za sobą niesubtelną woń perfum firmowanych nazwiskiem jakiejś celebrytki. Kiedy Ling rusza na stację, wykrzykując, że pierwszy raz od dawna wychodzi do pracy o czasie, odprowadzam Piper pięćdziesiąt metrów do szkoły, trzymając ją za rękę na przejściu dla pieszych i czerpiąc przyjemność i dumę z myśli, że inni przechodnie uznają ją za moją córkę. Do tej szkoły będą też chodzić moje bliźniaki i zauważam z troską, że brama zerówki została zdominowana przez blondynki w bluzkach w paski breton; różnorodność etniczna widoczna w wyższych klasach powoli zanika. Nie podoba mi się społeczna czystka dotycząca moje osiedle ani napływ mniamuśnych mamusiek, choć dopuszczam myśl, że dla kogoś z zewnątrz i mnie by do nich zaliczył.

Wracam do domu Ling. Mokre ręczniki zalegają na podłodze w łazience. Łapię się na tym, że sprzątam po Juno jak wtedy, kiedy była malutka. Potrzebny mi prysznic i zestaw świeżych ubrań, ale mój dom przestał być moją fortecą. Krzątam się jeszcze, poprawiając obrazki na ścianach i rozładowując zmywarę, aż nagle, w połowie niezbyt eleganckiego plié, które wykonuję w celu wyjęcia talerzy, oświeca mnie, że przecież mogę w pełni bezpiecznie sprawdzić, gdzie znajduje się

Beth – mam numery stacjonarne jej i Antonii wpisane do swojego smartfona. Dzwonię do Beth z telefonu Ling, blokując wyświetlanie numeru. Po trzech sygnałach rozlega się cyfrowe bip. Odbiera. Rozłączam się, zanim padnie pierwsza zaspana sylaba „halo”. Droga wolna do domu. Nawet bezpośrednim pociągiem czy pustą autostradą nie dotrze do mnie szybciej niż Kit.



KIT

11 sierpnia 1999

Zaćmienie było oddechem od Beth. Miałem takie przekonanie, wkrótce oczywiście brutalnie obalone, że w trakcie cienia wszelka zewnątrz ludzka aktywność i popędy ulegają pewnemu zawieszeniu. Chociaż niebo było pochmurne, otaczało nas zmieniające się, fioletowe światło na horyzoncie, a przy przesłoniętym niebie pozwoliłem działać wszystkim zmysłom i doświadczałem zjawiska jak nigdy dotąd. Poza tym była przy mnie Laura, a to zmieniało wszystko.

Po czwartym kontakcie zeszliśmy na ziemię i ruszyliśmy przez opuszczony parking, gdzie wokół porozrzucano na oko ważne elementy urządzeń z wesołego miasteczka. Byłem zbyt zaabsorbowany czujnym oglądaniem się przez ramię, żeby zauważyć leżącą na ziemi portmonetkę. Spozregła ją Laura, która nie potrafiła przejść obok niej obojętnie, tak jak większość ludzi nie zostawiłoby na tym pustkowiu osieroczonego kotka. Skorzystałem z okazji, żeby przeszukać wzrokiem otaczające nas drzewa, wypatrując pary szpiegujących nas oczu, ale niczego nie dostrzegłem.

Laury nie było dłużej, niż się spodziewałem, i pamiętam, że zaczynałem się już frustrować. Kiedy ją zawołałem, nie uzyskałem odpowiedzi, i moja irytacja przerodziła się w grozę, choć może uświadomiłem to sobie z perspektywy czasu? Zagłębiłem się w ślad za nią między zaparkowane przyczepy, minąłem stary

samochodzik do zderzania i przerażającego konia z karuzeli.

Nagle wpadł na mnie idący tyłem facet, jak dowiedziałem się później – Jamie Balcombe – i nadepnął mi mocno na palce. Nawet ta krótka kolizja dała mi poczuć, o ile jest silniejszy ode mnie. Na mój krzyk protestu podskoczył jak porażony prądem. Laura stała w mrocznym przejściu pomiędzy dwoma przyczepami, szara na twarzy. Co on jej zrobił?

– Jest tu dziewczyna. – Drżący głos Laury wciął się w rodzące się we mnie przerażenie. – Chyba została... – Przełknęła łyk powietrza. – Chyba została zaatakowana.

– Jest ranna? – spytałem. Laura rzuciła mi miażdżące spojrzenie. – No wiesz, czy należy jej udzielić pierwszej pomocy?

Nie wiem, po co spytałem. I tak żadne z nas nie znało się na pierwszej pomocy.

Nie widziałem kobiety, której ciało było schowane w drzwiach przyczepy – wystawało jedynie zgięte, białe, zdrapane do krwi kolano. Biedna, biedna dziewczyna. Odrażające, że ktoś w ogóle mógłby napaść na kobietę w jakichkolwiek okolicznościach, ale kompletnie nie mieściło mi się w głowie, że ktoś mógłby to zrobić podczas całkowitego zaćmienia. To było jak cofnąć się do średniowiecza, gdzie ludzie ciskali gromy i pieklili się na cień. Co za brak wyczucia, co za m a r n o t r a w s t w o.

Wydaje mi się – choć to pewnie znów świadomość z perspektywy czasu, bo od tamtego momentu sprawy potoczyły się tak szybko, że nie było ani chwili na rozważania – że natychmiast zniechęciłem Jamiego. Kiedy kazał się Laurze uspokoić, spojrzała na mnie, szukając obrony, a nigdy wcześniej jej się to nie zdarzyło.

– Jeśli nie zrobiłeś nic złego, nie masz się czym martwić – powiedziałem. Chciałem załagodzić sytuację, ale Balcombe musiał odebrać moje słowa jako groźbę.

– Może byś się tak, kurwa, wypowiedziała, żebyśmy już mogli żyć dalej? – warknął przez ramię Laury.

Popatrzył na mnie, jakby liczył na męską solidarność. Gapiłem się tylko przed

siebie. Miałem na ramieniu aparat, ale nie przyszło mi do głowy, żeby go użyć, zamiast tego starałem się zapamiętać rysy sprawcy, żeby bez trudu wskazać jego zdjęcie w policyjnej kartotece. Z tym że zupełnie do niej nie pasował. Ujęcia, które znałem z telewizji, przedstawiały zawsze zbirów o kwadratowych szczękach i połamanych nosach. Nie mogłem pojąć, jak mieliby umieścić w aktach tę chłopięcą buzię o gładkim czole, które zmarszczyło się, gdy ich właściciel zrozumiał, że nie znajdzie we mnie sprzymierzeńca.

– Pieprzyć to – rzucił.

Odszedł niespiesznie, ale i nie spokojnym spacerkiem. Mimo chłopięcej twarzy jego postura była zupełnie męska. Bary miał dwukrotnie szersze od moich. Rozpoznałem zdradliwie smukłą sylwetkę wioślarza – w Oksfordzie było ich pełno. Ciała nieco przetrenowane kosztem mózgu. Czuję się już kompletnie zagubiony, a teraz ręce jeszcze bardziej mi opadły.

– Kit, nie daj mu odejść! – zawołała Laura. Dziko wymachiwała rękami w powietrzu. – Leć za nim!

To było prawie zabawne. Co miałem zrobić? Założyć mu nelsona? B i ć s i ę z nim? Śledząc go w labiryncie furgonetek i przyczep, starałem się nie myśleć o konsekwencjach dla kogoś takiego jak ja wyzywającego na pojedynek kipiącego testosteronem świra. Starłby mnie w proch. I nagle wyobraziłem sobie Laurę, stanęło mi przed oczami zdrapane do krwi kolano – i te dwa obrazy zlały się w jeden. Ujrzenie Laury w postaci ofiary roznieciło we mnie mroczny ogień i poczułem, że jednak potrafię znaleźć w sobie siły, których wymagał pościg.

Kiedy na terenie kempingu straciłem go z oczu, odczułem niemal ulgę, ale kątem oka dostrzegłem samotną postać tańczącą między namiotami, niemal komicznie próbującą przedostać się przez krzyżujące się odciążki. Z duszą na ramieniu poszedłem za nim. Oczywiście zaraz się potknąłem, wywijając klasycznego orła. Kiedy się pozbierałem, Jamie był po drugiej stronie pola i zbliżał się do ściany lasu. Przechodził tamtędy niewielki, ale gęsty tłumek, który w okamgnieniu go pochłoniął.

Porażka na chwilę mnie zawiesiła. W tle słychać było niegasnące basy i gwar

tłumu. Diabelski młyn kręcił się, skrzypiąc. Nieopodal ptaki odprawiały swój magiczny koncert przy akompaniamencie szelestu liści. Wszystkie dźwięki tłumiła huczająca mi w uszach krew. Tym razem nie czułem ulgi, tylko miazdzące poczucie porażki wobec kobiety, którą zawiodłem. Gdybym miał ogon, skuliłbym go, idąc z powrotem między namiotami ku Laurze.

Trafiłem do niej, wykorzystując samochodzik z autodromu jako punkt rozpoznawczy. Stała plecami do mnie, wpatrzona w telefon. Dziewczyna nadal kuliła się w drzwiach przyczepy, z tą samą nogą wyciągniętą przed siebie, ukazując lekko zdartego, srebrnego adidasa oraz kostkę i krągłą łydkę, która dopiero co leżała zahaczona o moje udo.

W pierwszym odruchu pomyślałem, że to straszliwy zbieg okoliczności, ale naukowcy wiedzą, że takowe nie istnieją. Na podstawie dostępnych mi dowodów wypracowałem jedyną wiarygodną hipotezę. Beth śledziła mnie – nas – a ktoś z kolei śledził ją albo po prostu zauważył, jak oddala się sama i... Dalej było zbyt potwornie. Ponownie zapłonął we mnie ten mroczny płomień, przepalając się nawet przez moje poczucie winy. Miałem samobójczą chęć porwać Beth w ramiona, ale na szczęście zaraz minęła. Przez kilka altruistycznych sekund instynkt kazał mi postawić jej samopoczucie wyżej niż własne przetrwanie. Altruizm może i nie zwyciężył, ale przynajmniej na chwilę się pojawił. Kurczowo trzymam się tego faktu.

Przede mną Laura obdarzyła telefon przekleństwem i zrobiła kilka kroków w przód.

Również się przesunąłem i wpadłem na stertę rurek namiotowych porzuconych przez kogoś na ziemi. Beth odwróciła się gwałtownie, żeby zobaczyć, skąd dobiega hałas. Nasze oczy spotkały się we wspólnym, koszmarnym zrozumieniu. Twarz miała umazaną śluzem, choć jej oczy były suche. Przyszła tu z mojego powodu, pomyślałem. Laura wpadłaby w furję, gdyby dowiedziała się o mojej niewierności, ale gdyby dodatkowo doszło do niej, że doprowadziła ona do t e g o: zniknęły wszystkie szanse, że kiedykolwiek jej się przyznam, punkcik światła zgasł w ciemności. Uklęknąłem przy niej i wyszeptałem:



– Och, B e t h. – Patrzyła na mnie niewidzącym wzrokiem. – Biedactwo. Co on ci zrobił?

– Jakby cię to obchodziło. – Głos jej się łamał.

– Oczywiście, że mnie obchodzi, tylko... – Kiwnąłem w stronę pleców Laury.

Wreszcie złapała zasięg w telefonie i jej głos, donośny, niesiony wiatrem, uświadomił mi, że sporo się wydarzyło, odkąd zostawiłem je same.

– Jest w szoku, w zasadzie nic nie mówi. Moim zdaniem potrzebuje karetki. Czy możecie przysłać policjantkę? I ratowniczkę, kobietę?

Przyzwoitość, która we mnie rozbłysła, zgasła równie szybko. Było jasne, że trzeba pogodzić dwie rzeczy nie do pogodzenia. Musieliśmy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by pomóc Beth. I musieliśmy to zrobić bez wyjawienia, co zrobiłem.

– Beth, tak mi przykro – szepnąłem, nagle zdając sobie sprawę, że nie wyrażam współczucia za to, co przeszła, ale przepraszam za to, co zamierzałem zrobić. –

Kiedy przyjedzie policja, nie możesz jej powiedzieć o zeszłej nocy. – Kiedy żyje się z taką kobietą jak Laura, przesiąka się takimi sprawami – jak system jest uprzedzony do ofiar gwałtów; jakich podstępów używają sprytni mężczyźni. Beth nawet nie mrugnęła zielonymi oczami. Nie potrafiłem stwierdzić, czy dociera do niej to, co mówię. – Wiesz, do czego zmierzam. Wyciągną w stosunku do ciebie błędne wnioski. – Podejmowałem ryzyko, zagrzebywałem się coraz głębiej. Zbierało się coraz więcej do odkrycia. Wiedziałem, że Laurę bardziej zgorszyłyby mój cynizm niż sam czyn. – Próbuję ci pomóc – powiedziałem do Beth. Jedynie maleńkie, mimowolne drgnięcie wargi ujawniło, że w ogóle rozumie moje słowa. – Gdybym tylko mógł coś dla ciebie zrobić.

Sześć metrów od nas Laura opisywała napastnika dyżurnemu przy telefonie. Pobiegnęłam i dopadłam do niej, kiedy kończyła rozmowę. Widząc mnie samego, zmrużyła oczy, przyjmując do wiadomości moją klęskę. Ograniczyłem się do kilku słów wyjaśnienia, ledwo ufałem swojemu głosowi.

– Posiedzę z nią, dopóki nie przyjadą; może coś powie.

Sekundy, które nastąpiły, były gęste od skondensowanej wersji terroru, który

rozłożył się cieńszą warstwą na każdy kolejny dzień. Nie mogłem nic powiedzieć Laurze bez wyznania własnego grzechu, więc tylko patrzyłem, jak klęka przy Beth. Wyobraziłem sobie minę Laury, kiedy dowiaduje się prawdy. Nigdy nie widziałem jej w szoku czy żałobie, ale z łatwością ułożyłem jej rysy – wybałuszone oczy i wyjące, szeroko otwarte usta, i wiedziałem, że nie potrafiłbym tego znieść. Nagle doznałem olśnienia – rozwiązanie było cudownie proste. Jeśli Laura dowie się, co zrobiłem, po prostu się zabiję. Nie dam rady żyć z reakcją Laury, tak jak nie dam rady żyć bez niej. I tak będzie chciała, żebym zniknął. Ogarnął mnie względny spokój, jakbym wyczarował sobie szybkę do zbiccia w razie pożaru. Generalnie jednak nie opracowywałem metody. Jeśli wypracowanie logistyki jest krokiem ku działaniu, to najwyraźniej brakowało mi odwagi do wdrożenia własnych przekonań. Nawet godząc się na samobójstwo, instynkt samozachowawczy podsuwał inne pomysły.

Za moimi plecami, kobiety szeptały między sobą. Moim zadaniem było wypatrywanie policji. Stałem przy zdezelowanym koniu z karuzeli, z jego łuszczącą się złotą farbą i popękkanymi oczami, przyjmując postawę bramkarza z dyskoteki, w rozkroku i z założonymi rękami. W każdej chwili mogłem usłyszeć wściekły krzyk Laury.

Na szczęście już chyba po kilku minutach zjawili się policjanci, pracowite pszczołki w swoich czarno-żółtych pasach. Laura natychmiast przejęła kontrolę.

– Mogli przysłać dwie kobiety – mruknęła pod nosem, trącając mnie lekko.

Wiedziałem, że cokolwiek powiedziała jej Beth, nie było to na mój temat. Zalała mnie fala ulgi, potem przyprawiające o mdłości poczucie winy z powodu owej ulgi, a następnie gorzki żal – układ, który od tamtego dnia rozgrywał się bez przerwy w mojej głowie. Przeciągające się milczenie Beth, kluczowe dla nas obojga, jest jak gilotyna nad moją szyją. Chociaż to ona trzyma linę, nie wypuści jej bez poparzenia sobie rąk.



LAURA

21 marca 2015

Wilbraham Road jest tak żywe dziś, jak było martwe zeszłej nocy. Na każdy zwykły samochód przypada jedna furgonetka budowlańców. W ogródku przed domem Ronni kręci się betoniarka: dobrze. Sąsiedzi nie usłyszą, jak będę wrzeszczeć na Kita.

Biorę prysznic, wcierając olejek przeciw rozstępom w wypukły brzuch. Zmywam z włosów ostatnie jagodowe plamy i suszę je suszarką. Do powrotu Kita zostało pół godziny. W gabinecie rozkładam na części pierwsze sporządzone przez Beth dossier Jamiego. Wyrywam zszywki i zakrywam całe biurko pojedynczymi kartkami, jakby kluczem do zrozumienia całości była nie ich treść, ale ich układ. Jestem świadoma ironii kryjącej się w fakcie, że mam wyjaśnić Kitowi coś, co sama ledwo pojmuję. Prawda i groźba zdają się przeobrażać podczas każdej zmiany ułożenia stron.

Muszę zadzwonić do Antonii Balcombe. Zarabiałam na życie, wykonując dziwne telefony, i szkoliłam ludzi w tej umiejętności, a jednak nie pamiętam, kiedy ostatnio denerwowałam się tak bardzo przed wybraniem numeru. Co doradzam kursantom? Że nerwy atakują tylko wtedy, kiedy nie wiesz, co powiedzieć, przygotuj więc sobie scenariusz, uwierz w swoją rację, jasno określ cel. Czego potrzebuję od Antonii? Wypisuję sobie punkty na odwrocie jednego z wydruków

Beth.

- Zweryfikować informacje o Jamie podane przez Beth.
- Wyrazić współczucie / wyrazy uznania za to, że odważyła się go rzucić
- Kiedy Jamie wyjdzie z więzienia, może pozbędziemy się pośredniczki i sama będziesz mnie informować – wykreślamy Beth
- Zaproponować spotkanie – ona tutaj czy ja do niej?

Ostatni punkt to w zasadzie zawarte w pytaniu ostrzeżenie.

- Co sądzisz o Beth? Czy jest stabilna?

Dzwonię na stacjonarny, bo nie chciałabym z tym złapać Antonii gdzieś w biegu. Sygnał odzywa się sześciokrotnie, po czym z kliknięciem i terkotem uruchamia się automatyczna sekretarka – taka, która ogłasza wiadomość całemu pomieszczeniu. To zawiązuje mi na języku kolejny węzeł.

– To wiadomość dla Antonii. – Po raz pierwszy od wielu lat podaję swoje oryginalne nazwisko. – Z tej strony Laura Langrishe. Z... – już mam powiedzieć „z procesu”, ale wyobrażam sobie, że słuchają dzieci Antonii. – Z Kornwalii, z Truro. Spotkałyśmy się, ee, wczoraj z Beth Taylor, zresztą pewnie już o tym wiesz. Pewnie spodziewałaś się telefonu ode mnie. Mam sporo pytań.

Czy powinnam ją ostrzec, żeby nie pozwalała Beth zbyt blisko siebie zbliżyć? Boję się. Zamiast tego dyktuję maszynie swoje numery, komórkowy i stacjonarny, a potem rozłączam się, układając smartfon obok siebie na biurku z komputerem.

Patrę na mapę zaćmienia Kity. Ukończywszy podróż, będzie mógł zastąpić czerwoną nić złotą, rozciągając mały łuk na północ od wysp. Wyciął już nawet złoty kawałek odpowiedniej długości i przygotował na drukarce. Myślę, czy nie przypiąć go na mapie, tak tylko, by czymś się zająć, ale rezygnuję. Pozbawienie go tego rytuału byłoby jak otwarcie dziecku kalendarza adwentowego. Promień

czułości przebija się przez mój gniew na niego, jeszcze bardziej mieszając mi w głowie. Pragnę jego pomocy. I chcę na niego nawrzeszczyć. Potrzebuję, żeby mnie przytulił. I mam ochotę zepchnąć go ze schodów.

Na dole ściany i podłoga są czyste, z grubsza, ale z kosza na śmieci zaczyna się unosić nieprzyjemny zapach, straszny, przesłodzony, owocowy odór wymieszany z wyschniętym kubkiem rosółu z kości. Waham się przez chwilę, tęskniąc za swoim przytępionym przedciążowym zmysłem węchu, po czym wlokę wór na śmieci z jego cuchnącą zawartością przez hol. Na schodku przed domem wrzucam go do kubła na kółkach. Cała operacja zajmuje cztery sekundy. Odwracam się plecami do ulicy, kiedy nagle czuję na karku pęd powietrza, a zaraz potem czyjeś ciało.

– Lauro!

Beth wpada na mnie, wpychając mnie w głąb korytarza z siłą, której nigdy nie byłabym w stanie sprostać. Potykam się w progu i lecę, brzuchem naprzód, a płytki podłogi wychodzą mi na spotkanie.



KIT

8 maja 2000

Rankiem w dniu procesu zbudziłem się długim, chciwym wdechem, jakby ktoś przed chwilą dusił mnie poduszką. Przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem, znalazłszy się w rustykalnym pokoiku nad pubem. Laura spała przy mnie – również niespokojnie – wzdrygające się przez sen, niewinne ucieleśnienie wszystkiego, co miałem do stracenia. Byliśmy w samym centrum Truro, ale nie zgadłbym, gdybym nie wiedział, że jesteśmy w mieście, bo na zewnątrz panowała kompletna cisza. Gdzie śmieciarki? Syreny? Bójki? Leżałem w pokoju hotelowym, który był tak przytłaczająco kwiecisty, że spodziewałem się, że zaraz dostanę kataru siennego. Chciałem być z powrotem w Londynie.

Źle się czułem, zostawiając Maca samego. Śmierć naszego ojca była wybawieniem, choć granicznym z rozczarowaniem; a przynajmniej niosłaby pewną ulgę, gdyby Mac nie przejął pałeczki awanturnika, zupełnie jakby staruszek wcisnął mu w dłoń butelkę. Martwiłem się o niego, martwiłem się o Ling i malutką Juno, ale przede wszystkim martwiłem się o siebie.

Przeszyło mnie nagle głupie, dziecinne pragnienie posiadania magicznej różdżki. Kiedy byłem mały i mój świat składał się z rodziny, teleskopu i stosu powieści Philipa K. Dicka, bezustannie marzyłem o *Kita przygodach i podróżach w czasie*. Przeżywałem klasyczne fantazje, od zabicia Hitlera po wygraną na loterii,

ale teraz wiedziałem, że gdybym rzeczywiście zyskał zdolność podróży w czasie, cofnąłbym się do zeszłego sierpnia i zatrzymał Beth w drodze na Lizard Point. Na krótką chwilę straciłem głowę, a teraz całkiem traciłem zmysły – co miesiąc zgłaszałem się do kliniki chorób wenerycznych na testy, absurdalnie i przesadnie, bo już dawno wykryliby jakiegokolwiek infekcje, jakimi mógłbym zarazić Laurę.

Tego ranka wpatrywałem się w wiszący na ścianie obraz przedstawiający wrak statku, zastanawiając się, gdzie w tej chwili znajduje się Beth i czy przespała noc. Pewnie odtwarzała w głowie odrażające przeżycie, które i ja w kółko odgrywałem w wyobraźni – Jamie wdzierający się w nią. Na samą myśl z moich ust wydarł się jęk, Laura drgnęła we śnie. Położyłem rękę na jej ramieniu, aż się uspokoiła.

Serce bolało mnie w nadziei, że Beth nie piśnie słówka o naszej wspólnej nocy.

Dobrze, że wtedy nie wiedziałem, jaka jest impulsywna, bo serce pewnie przestałoby mi bić. Bez względu na to, jaki atak przypuści na nią obrona, modliłem się, żeby nie zapomniała o tym, że moje szybkie myślenie, tuż po znalezieniu jej przez Laurę, w ogóle umożliwiło ten proces.

Od dziesięciu miesięcy czekałem na telefon z prokuratury, że wiedzą o mojej nocy z Beth, że w ostatniej chwili wszystko im wyznała, i że jeśli tylko obrona Jamiego wywęszy prawdę, to cała sprawa leży. Teraz czekałem, aż wszystko wyjdzie na jaw na sali rozpraw.

Liczba zmiennych do rozważenia była nieskończona. Czy Beth załamie się i powie o mnie w krzyżowym ogniu pytań? Czy ktoś widział nas razem? Czy znaleźli na niej moje DNA? Włosy, naskórek – byliśmy blisko, i wszędzie. Nasienie. Oboje braliśmy prysznic następnego dnia, ale płyny ustrojowe utrzymują się wewnątrz ciała kilka dni. Nie mieli mojego DNA w bazie danych, ale byłem pewien, że gdyby wspomnieli o niezidentyfikowanym partnerze seksualnym, zdradziłbym się swoją reakcją – jeśli nie przed sądem, to na pewno przed Laurą. W nocy śniło mi się, że sztab obrońców Balcombe'a pobrał mi wymaz przez sen; w moich koszmarach nazywali mnie nieoczekiwanym świadkiem, a moją niewierność analizowano dosłownie pod mikroskopem.

Dopiero po przyjeździe do Kornwalii zdałem sobie sprawę, że gdyby na ciele

Beth znaleziono ślady mężczyzny innego niż Jamie, dla niej również miałyby to poważne konsekwencje. Laura mówiła mi, że nawet udowodnienie kobiecie „rozwiązłości” nie przeważałoby sprawy, ale to nie znaczyło, że obrona przestanie próbować.

Upór Laury, żeby tego pierwszego dnia trzymać się sądu, był czystą torturą.

Jedynym plusem było, że wydawała się zbyt zaabsorbowana procesem, żeby zauważyć, że zamknąłem się w sobie, a może zwróciła uwagę na moje dziwne zachowanie, tylko przypisywała je żalobie, która w istocie była tak nisko na mojej liście priorytetów, że nie byłem pewien, czy w ogóle ją przeżyłem. Nawet teraz czasem się nad tym zastanawiam.

Zdobywałem się na wysiłek rozmowy o procesie, bo milczenie byłoby podejrzane, ale czułem się, jakbym grał w tenisa odbezpieczonym granatem. Starłem się mówić ogólnikowo, o charakterze przyzwolenia na seks, ale nawet wtedy nie trafiałem w to, co trzeba. Od tamtego tygodnia moje życie przypominało spacer ze szklanką wody na głowie. Tak, da się iść bez rozlewania jej, jeśli poświęci się temu całą uwagę. Teraz ochrona Laury jest we mnie tak zakorzeniona, że mogę tańczyć i robić emocjonalne gwiazdy bez utraty nawet kropli wody, ale wtedy każdy mój ruch był kontrolowany i świadomy, co skutkowało fizycznym napięciem, odczuwalnym na twarzy i w ramionach, tak że wkrótce stało się ono częścią mojego ciała, na równi z głową czy rękami.

Trzeciego dnia procesu, kiedy Fiona Price wstała z miejsca, by poddać mnie krzyżowemu ogniowi pytań, ledwo się powstrzymałem, by natychmiast się nie przyznać, byle tylko uniknąć publicznych mąk. Zachowałem jednak zimną krew i opłaciło się – szybko zdałem sobie sprawę, że jej zaskakujące pytania były przygotowaniem gruntu pod bajeczkę Jamiego o narkotykach w kieszeni. Później byłem jeszcze pewien, że się wydałem, kiedy adwokat zapytał lekarkę, czy znalazła ślady spermy, dokonawszy wymazu z ciała Beth. Wystrzeliłem z miejsca, jakby ktoś mnie katapultował. Mój zgnębiony paranoją umysł zakwalifikował to jak przyznanie się do winy, ale Laura tylko wywróciła oczami, po czym skierowała wzrok z powrotem na dowody.





KIT

31 maja 2000

Pierwsza okazja, żeby porozmawiać z Beth sam na sam, nadarzyła się dopiero przy jej drugiej wizycie w Clapham, a nawet wtedy prywatność ograniczała się do pospiesznej rozmowy, kiedy Laura brała prysznic. Moja mała, brudna tajemnica zdjęła srebrne adidas przy drzwiach i stała boso przy mojej kuchence, spokojnie smażąc jajecznicę do wędzonego łososia i bajgli, które kupiła. Stała odwrócona do mnie prostymi jak struna plecami. W jej postawie nie było śladu katuszy, które tak bardzo na mnie ciążyły, że ilekroć przy myciu zębów patrzyłem w lustro, dziwiłem się, że nie wygląda z niego na mnie zgarbione zombie. Zamiast dać mi poczucie wolności i swobody, bym mógł normalnie żyć, wysiłek, jaki włożyłem w funkcjonowanie przed procesem, pochłonęło mój całoroczny zapas autodyscypliny i życie w Londynie, do którego tak mi się spieszyło, rozpadało się na kawałki. Nie mogłem spać. Powierzni mojej opiece licencjaci nie widzieli mnie od tygodni i już dostałem pisemne ostrzeżenie z wydziału dotyczące mojej przedłużającej się nieobecności. Mama przeszła z pielęgnowania umierającego męża do zamartwiania się o upadającego syna. Mac ukradł jej gotówkę z torebki, podrobił jej podpis na czekach i sprzedał jej komputer. Pożyczałem mu pieniądze tylko dlatego, że nie zniósłbym, gdyby mnie okradł.

– Beth. – Mówiłem cicho, chociaż Laura fałszowała sobie przy włączonym

wentylatorze i szumie wody o zasłonę prysznicza. Z ciężkim sercem zauważyłem ironię, że tylko potajemni kochankowie na ogół rozumieją pilność takich z trudem schwytych chwil. – Jestem pewien, że wyrok nie zostanie obalony. Nie ma szans, żeby odwołanie przeszło przez panel sędziów. – Wyczytałem w sieci, że sędziowie nie cierpią apelacji – podważa to ich decyzje, a gdyby to im odebrać, cóż im pozostaje? Jedyne, czego nie znoszą bardziej, to krzywoprzysięstwo.

Beth jedną ręką rozbiła jajko o krawędź patelni. Przez sekundę wydawało mi się, że po prostu mnie zlekceważy, ale nie, zdjęła jajecznicę z ognia i stanęła twarzą do mnie, krzyżując ręce na piersiach.

– Czyli mogę spokojnie zająć się swoim życiem? Czyli mam odpieprzyć się od twojego? – Jej wściekłość natychmiast przypomniała mi, jak ostrożnie muszę kroczyć.

– Nie tak bym to ujął – powiedziałem, choć właśnie to miałem na myśli. Palnik płonął niebiesko tuż za jej łokciem, ale nie zwracała na to uwagi.

– Boisz się, że powiem jej o nas. – Wzdrygnąłem się na „nas” – wolałbym „na to, co zrobiliśmy” albo nawet „twój błąd”.

– A powiesz?

Zanim odpowiedziała, wytarła ręce o spódnicę ze znużeniem pomywaczki sprzed wieków. Jeśli się ze mną droczyła, chyba nie sprawiało jej to przyjemności.

– W tej chwili Laura jest chyba moim jedynym przyjacielem na całym świecie – powiedziała płasko. – A przynajmniej jedyną osobą, która rozumie to, co stało się na Lizard Point. Nie poradzę sobie bez kogoś, z kim mogę porozmawiać. Wyznanie jej prawdy o n a s byłoby pewnym sposobem, by zostać samej. A ja kogoś potrzebuję, dobra?

Jak mógłbym odmówić jej przyjaciółki? Po raz milionowy żałowałem tylko, że musi to być akurat Laura, a ten żal oznaczał, że po raz milionowy biłem się w pierś, że dałem Beth powód, żeby mnie wtedy śledziła.

– Przykro mi – powiedziałem.

– Nie wątpię. – Próbowała się zdobyć na dzielny uśmiech, ale wyszedł najwyżej żaloszny. – Wiesz, co jest najgorsze? Że jesteś jedyną osobą, z którą mogę

stuprocentowo szczerze porozmawiać. Jako jedyny na świecie znasz całą prawdę. Ale nie możesz znieść mojego widoku. – Wreszcie wyłączyła gaz. – Nie chcę c i e b i e, jeśli o to się martwisz. Może to dziwne, ale akurat nie szukam obecnie chłopaka.

Przetrawiłem to – w zasadzie dotąd nie przyszło mi to do głowy. Ja z pewnością nie patrzyłem na nią jak na potencjalną partnerkę. Ryzyko bywa podniecające, ale realne niebezpieczeństwo gruntownie wyczyściło dawne pożądanie. Bardziej bałem się, że Beth chce mnie d o r w a ć, a nie mi e ć.

– Nigdy tego nie sugerowałem. – Chciałem jej powiedzieć, że jeśli nie ma dość samokontroli, żeby dwa razy pomyśleć, zanim zjawi się bez zapowiedzi, zanim obsypie nas drogimi, niestosownymi prezentami, zanim będzie nadużywać naszej gościnności, jeśli nie posiada nawet tych podstawowych społecznych odruchów, to jak mam jej zaufać w naprawdę poważnej sprawie? Taki właśnie chaos Laura potrafiłaby poskromić i ubrać w jedno precyzyjne zdanie, ale ja umiałem się jedynie zdobyć na: – Chyba rozumiesz, dlaczego czuję się niezręcznie. To, że my... W końcu się wygadasz podczas jednej z waszych głębokich i pełnych sensu rozmów. Naprawdę mogłybyście odstawić to wino.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, co na to odpowiedzieć, w każdym razie jeszcze nic się nie wydało. – Teraz chyba ona poczuła się nieswojo. – Słuchaj, widzę, że tworzycie zgraną parę. Zaraz rano, po naszej wspólnej nocy, powiedziałam ci, że nie chcę być dziewczyną, która niszczy czyjś związek. Nie zmienię tego, co się stało, ale mogę trzymać język za zębami, a to prawie równie dobre. – Zlustrowała mnie wzrokiem od stóp do głów, i choć dobrze знаła moje ciało, w jej spojrzeniu nie było nic sugestywnego. – Chyba po prostu będziesz musiał mi zaufać, prawda?

Z autopsji wiedziałem, co próbuje zrobić. Wyprzeć problem. Zaszufładkować go. Wieść życie nim nietknięte. Nawet dla mnie było to trudne, a byłem – przynajmniej kiedyś – racjonalnym, zdyscyplinowanym człowiekiem. Jak zniszczona psychicznie, popieprzona Beth miała sobie z tym poradzić? Niewidzialne pięści ścisnęły mi płuca. To musiało się skończyć.

– Kit – ciągnęła cierpliwie Beth. – Ludzie ukrywają gorsze tajemnice.

– Nie ja. Nie ludzie tacy jak ja. – Uderzyłem się w pierś, wreszcie wtłaczając w nią powietrze.

– O tak, ludzie tacy jak ty. – W jej głosie dźwięczała stal. – Właśnie tacy jak ty. Chłopcy z dobrych domów stale robią złe rzeczy, a potem kłamią, żeby się z nich wykręcić. Nie uważałeś?

Siła, z którą wybuchła, szybko skropiła się w postaci łez. Cofnęliśmy się na salę rozpraw, wróciliśmy na pole festiwalu. Nawet gdybym wiedział, co powiedzieć, i tak nie mogłem jej dalej naciskać.

– P r z y k r o mi.

– Mnie też. – Skierowała uwagę z powrotem na patelnię.

Wentylator przestał buczeć i Laura wypadła z łazienki. Obłok perfumowanej pary zmieszał się z dymem znad patelni Beth, na której skwierczało masło.

– Pachnie genialnie! – zawołała Laura, przebiegając z łazienki do sypialni owinięta ręcznikiem, z grubymi kroplami wody na szczupłych ramionach. Czułość, którą przez chwilę poczułem do Beth, natychmiast całkowicie przeszła na Laurę.

– Proszę cię – powiedziałem do Beth, gdy znów zostaliśmy sami. – P r o s z ę, zostaw Laurę w spokoju.

Czułem, że zamierza zagnieździć się na stałe w moim domu, i wiedziałem, że tego nie przeżyję.

– N i e m o g ę. – Beth wypowiedziała te słowa ze szczerym żalem, jakby sprawa po prostu wymknęła jej się z rąk.

Z głębokim smutkiem stwierdziłem, że nie mam wyboru i w takim razie muszę ją wziąć w swoje.

Sierpień 2000

Zaledwie rok wcześniej uważałem za oczywiste, że moje bogate życie będzie naturalnie ulegało dalszej ekspansji. Miałem świetne wykształcenie, przed sobą olśniewającą karierę, a do tego spełniło się moje nierzeczywiste marzenie i los

obdarzył mnie piękną dziewczyną, którą kochałem i z którą zamierzałem podróżować. Kornwalia odwróciła wzór algorytmu i teraz moje życie zwięzło się do kryzysu. Stale nawiedzały mnie dwa obrazy, wypełniając każdą wolną chwilę, włączając się jak wygaszacz ekranu w laptopie. Pierwsza wizja to twarz Laury dowiadującej się o mnie i Beth – moja dorosła wersja koszmaru wybudzającego ze snu, odpowiednik ryciny z książeczki dla dzieci, która przerażała ją w dzieciństwie. Druga scena przedstawiała mnie siedzącego samotnie w mieszkaniu ziejącym pustką bez jej rzeczy, wpatzonego w czarną dziurę mojej przyszłości.

Teraz sądzę, że przeszedłem ciche załamanie nerwowe. Powoli wyciekało ze mnie zdrowie psychiczne, moralność, nawet inteligencja. Eseje licencjackie, których poprawianie coraz częściej lekceważyłem, niejednokrotnie sprawiały mi trudność. Wchodziłem do pomieszczeń, nie pamiętając po co – wybierałem się po karton mleka, po czym stawałem sparaliżowany przed chłodnią w supermarkecie, aż wreszcie wracałem do domu z chlebem. Włączyłem się ulicami przez osiem godzin dziennie, udając, że idę na uczelnię. Czasem towarzyszyłem Laurze w drodze do pracy, a potem wsiadałem w metro i wracałem do domu, żeby się wypłakać. Bywało, że te moje prywatne sesje wycia w naszym mieszkaniu trwały cały dzień. Wywoływały wewnętrzny ból, jakby w środku mnie nieodkryte dotąd płyty tektoniczne odrywały się od kontynentów. Zawsze jednak czujnie pilnowałem zegarka, żeby zdążyć wrócić do miasta i towarzyszyć Laurze w drodze do domu.

Tak rozpaczliwie pragnąłem się pozbyć Beth, że uciekłem znów w chłopięce fantazje – podróż w czasie mogłaby sprawić, żeby zniknęła, uległa teleportacji, albo została odesłana do innego, równoległego wymiaru. Na poziomie bardziej ziemskim mogłaby dostać ofertę pracy nie do odrzucenia w, dajmy na to, Nowej Zelandii. A może zawarłaby nową przyjaźń w pracy lub bliższą znajomość z kimś w swojej kawalerce? A może – to było najbardziej kosmiczne, naciągane wyjście – po prostu znudzi jej się Laura. Chciałem, żeby odbyło się to w miarę bezboleśnie dla Beth, bo przecież nigdy nie zapomniałem, jak wiele już wycierpiała. Niestety, z dnia na dzień ich relacja się pogłębiała. Często po powrocie do domu zastawałem jedyne dwie kobiety, z którymi spałem, wygodnie wtulone w asymetryczną

przyjaźń, związane mocną, kobiecą komunikacją, której nie miałem szans rozsupłać. Czułem się jak rozciągnięty pomiędzy obowiązkiem odwiedzania i wspierania Maca a desperacką potrzebą siedzenia w domu i nadzorowania Laury i Beth.

Bezustannie opracowywałem w głowie ultimatum, które przedstawię Laurze, doskonale wiedząc, że nigdy się na to nie zdobędę. Bałem się jej wyboru. Wciąż odtwarzałem w myślach słowa Laury: zachowujesz się, jakby to był wóz albo przewóz. Nigdy temu nie zaprzeczała. Jediną szansą na rozdzielenie kobiet byłoby własnowolne odepchnięcie Laury przez Beth, a na to się nie zanosilo.

Światelko nadziei rozbłysło przelotnie, kiedy Beth sprezentowała nam zdjęcie. Wpatrzony w nie z rosnącą paniką, pomyślałem, że po czymś takim Laura ucieknie gdzie pieprz rośnie. Fotografia była takim uchybieniem w autocenzurze, że sam nie zaplanowałbym tego lepiej. Byłem przekonany, że czegoś takiego Laura nie będzie tolerować. Bałem się najwyżej, że dojdzie do konfrontacji tak wybuchowej, że Beth zda sobie sprawę, że jest na granicy utraty Laury i wtedy, nie mając nic do stracenia, wyrzuci z siebie prawdę. Do konfrontacji jednak nie doszło. Zamiast zgorszyć się podglądactwem Beth, Laura była o c z a r o w a n a ujęciem. Przywykłem już do opanowywania się na siłę, ale wtedy sam byłem pod wrażeniem swojej samokontroli, kiedy zgodziłem się z Laurą, że zdjęcie jest piękne. Pamiętam, że miała wtedy spięte włosy i że ścisnąłem jej kucyk z taką siłą, że gdyby była to jakakolwiek inna część jej ciała, pewnie zawyłaby z bólu.

Beth czuła się tak swobodnie, że nawet taki wyskok wydawał jej się akceptowalny, a zatem nie do przewidzenia było, co jeszcze może wymyślić, co jeszcze może powiedzieć. Było to dla mnie najsilniejszym źródłem strachu, ale i motywacji. Miarka się przebrała, kiedy wygadała się o przyjeździe autostopem na Lizard Point.

– Wyobrażasz sobie, jak to jest spędzać z wami cały ten czas i bez przerwy gryźć się w język? – palnęła.

Laura zbladła – musiała wyczuć moje ukryte przerażenie. Gdy Beth wyfrunęła, wyszedłem na balkon, mocno trzymając się barierki, żeby nie stracić równowagi.

– Dokąd poszła? – spytała Laura, kiedy dobiegło nas trzaśnięcie dolnych drzwi. Beth przeszła przez ulicę wiodącą z dala od zieleńca, w kierunku metra.

– Na zieleniec, gdzieś w drzewa.

Odczekałem, aż Laura wyjdzie, porwałem portfel i zbiegłem ze schodów tak szybko, że miałem wrażenie, że lecę. Ruch uliczny obrócił się przeciwko mnie – londyńscy kierowcy nie mieli ochoty zrezygnować z dziesięciosekundowej jazdy pomiędzy czerwonymi światłami.

Straciłem cenne sekundy na wsuwaniu w otwór karty podróżnej. Gdy znalazłem się pod ziemią, Beth stała już na peronie, siarkowy przeciąg wywołany przez nadjeżdżający pociąg porwał jej szalik. Dopadłem jej w chwili, gdy otwierały się drzwi, i chwyciłem za ramię, jej miękkie ciało spięło się w żelazo przez szok niespodziewanego dotyku. Był to nasz pierwszy cielesny kontakt od nocy w Kornwalii.

– Zaczekaj – wysapałem. – Proszę, zaczekaj ze mną.

Ruszyła delikatnie naprzód, sprawdzając siłę mojego uścisku, po czym pokonana rozluźniła mięśnie.

Staliśmy, wdychając dieslowe opary, gdy metro odjechało z Edgware. Przez chwilę byliśmy sami na wąskim peronie. Szyb biegnących poniżej torów rozwierał się przed nami zapraszająco. Jak łatwo byłoby...

– Wiesz, jakie to uczucie okłamywać Laure? – wdarła się w mój tok myśli. – No tak, oczywiście, że wiesz.

Pozwoliła się poprowadzić do ławki. Kiedy się do niej przysiadłem, drżeliśmy oboje.

– Gdyby się o nas dowiedziała, byłoby tylko gorzej – powiedziałem. – Poza tym tak długo utrzymywaliśmy to w tajemnicy. To nie było wczoraj. Oszukiwałaś ją od samego początku waszej przyjaźni. Gdybyś jej się teraz przyznała, złamałabyś jej serce. Nie chcesz tego tak samo jak ja.

– Tak strasznie trudno jest żyć kłamstwem. Nie zdawałam sobie sprawy, jakie to wykańczające.

– Beth. Grozisz, że jej powiesz?

Na stację ze świstem wjechał następny pociąg. Wsiadła do niego bez odpowiedzi. Tylko od drzwi rzuciła jeszcze:

– Naprawdę nie wiem, jak ty to robisz.

Czy to była groźba? Nie umiałem tego stwierdzić. Wiedziałem jedno: nie możemy jej więcej zobaczyć. Prawda niemal wypłynęła na powierzchnię. Odliczanie do mojej destrukcji zostało aktywowane. Widziałem je oczami duszy, czerwone cyferki na czarnym wyświetlaczu, przeskakujące wstecz ku zeru, tak jak czas przed procesem zdawał się biec do przodu. Przestało już chodzić o to, czy ufam Beth, że dotrzyma tajemnicy. Teraz chodziło o to, żeby usunąć nas z tej sytuacji – inaczej na zawsze straciłbym Laurę.

Tak długo gapiłem się na przejeżdżające pociągi bez wykazania chęci zajęcia miejsca w którymś z nich, że wreszcie strażnik zszedł z góry sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku. Chyba myślał, że rozważam samobójstwo. Chyba miał rację.

Tego wieczoru po raz pierwszy rozplakałem się przy Laurze, i to naprawdę płakałem, straciłem kontrolę. Nie ukryła na czas malującego się na jej twarzy przerażenia. Musiałem działać, szybko znaleźć rozwiązanie, w przeciwnym razie jej współczucie mogło zmienić się w pogardę, a wtedy i tak bym ją stracił.

Moja chwila eureka nadeszła wreszcie, kiedy Laura już spała, a samotna świeca paliła się i paliła. Przepelniony złością na pułapkę, którą zastawiłem na nas wszystkich, miałem ochotę wziąć świeczkę do ręki i cisnąć ją w gniewie o ścianę, i właśnie wtedy spłynęło na mnie olśnienie. Całe życie ludzie wmawiali mi, że brak mi wyobraźni, ale pomysł z tłuczonym szkłem był żywy, spontaniczny, niewskazujący na mnie i pojawił mi się przed oczami jak obraz ściągany z sieci na ekran komputera.

Na moją obronę: plan ani przez chwilę nie wydawał mi się r o z s ą d ny, ale konieczny, i gdyby udało mi się wymyślić inny sposób na wyswobodzenie Laury ze szponów Beth bez skrzywdzenia którejkolwiek z nich, na pewno bym się na niego zdecydował. Ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy. W ogóle nic i n n e g o nie przyszło mi do głowy. Drażniące neonowe światło stresu wreszcie



zaczęło nadtapiać mój mózg. Podczas gdy Laura spała, zszedłem na dół, roztrzaskałem szklaną obudowę świecy o chodnik, a potem ostrożnie wsunąłem odłamki przez otwór na listy. Laura z pewnością zauważy podobieństwo tego wybryku i ataku Beth na samochód koleżanki, a jeśli nie wyciągnie odpowiednich wniosków, sam mogłem ją do nich doprowadzić.

Spędziłem resztę nocy na wychylaniu jednej kawy za drugą przed ekranem laptopa. Miałem wiele godzin na zmianę decyzji, ale utrata rozumu, której doświadczyłem niespodziewanie w noc poznania Beth, zdawała się teraz zewnętrzną siłą, kierującą wszystkim, co robiłem. Zauważyłem, że Laura nabrała ostatnio nawyku zbiegania boso po pocztę, a jako że z założenia działałem w jej obronie, nie mogłem dopuścić, żeby stała jej się krzywda. Oczekałem z zejściem na dół do dziesiątej. Na wycieraczkę nie było żadnych przesylek, tylko osmalone odłamki szkła wrzucone przeze mnie przez otwór na listy poprzedniego wieczoru. Wybrałem najdłuższy i ustawiłem go pionowo.

Zamknąłem oczy, zacisnąłem powieki i z całej siły nadepnałem na szkło. Rozpoczęła się moja pokuta.



LAURA

21 marca 2015

Moje łokcie przyjmują główny impet upadku. Dwie błyskawice bólu przeszywają moje ramiona i łączą się między łopatkami. Uderzenie brzuchem o płytki podłogi jest względnie delikatne, dziwny chlupot w środku robi na mnie najgorsze wrażenie. Zbyt zszokowana, by krzyczeć, przewracam się na bok, i nagle w polu widzenia znajduję parę brązowych skórzanych męskich mokasynów. Przesuwam wzrok wyżej. Czerwone skarpetki. Beżowe spodnie khaki. Kwiecista koszula z prążkami przy kołnierzyku i mankietach. Jego głowa jest zarysem na tle mojej lampy w korytarzu, cienkie włosy tworzą wokół niej wąską aureolę.

– To nie tak, jak myślisz – odezwał się.

Ciekawe, czy wie, że dokładnie tych samych słów użył w Kornwalii?

Przez chwilę wszyscy troje trwamy w bezruchu jak zakłęci – ja na podłodze, on góruje nade mną, Beth pomiędzy nami, z włosami rozsypanymi dziko po twarzy i szyi. Przyglądam się Jamiemu, próbując odczytać jego intencje. Wygląda jak dawniej, ale inaczej. Ma bardziej nalaną szyję, ale puste spojrzenie, jak my wszyscy. Więzienie nie zmyło z niego złotego pyłu bogactwa, ale nieco łagodności dodają mu kupione przez żonę ubrania.

– Lauro, ja... – zaczyna Beth.

Spojrzenie, jakie rzuca jej Jamie, sprawia, że natychmiast podrywa się na nogi,

tak jak lata temu Antonia przesiadła się do pierwszego rzędu na jedno jego skinienie. Rodzi się we mnie odrażająca myśl, że działają teraz razem. Że wszystko, co zdarzyło się wczoraj – listy, Antonia, pub – było zawiłą pułapką. Nie powinnam była z nią rozmawiać. Nie powinnam tu była wracać.

– Wynoś się z mojego domu – mówię.

Jamie kopie w drzwi za sobą i wyciąga jedną rękę, żeby założyć łańcuch.

– No siadaj – mówi, podając mi dłoń. Gdyby wyłączyć wizję i sugerować się tylko jego głosem, można by pomyśleć, że jest troskliwy. Lekceważę jego rękę, kładę dłonie na podłodze i podnoszę się do pozycji siedzącej, z nogami po obu stronach wypukłego brzucha. Sprawdzam ręką, czy dzieci się ruszają. Jedno kopie, potem drugie. Poza obolałymi stawami czuję się... dobrze. Nieuszkodzona, przynajmniej fizycznie. – Dalej, do góry. – Podciągam się na poręczy schodów i podnoszę się na kolana, po czym nagle dostrzegam błysk koloru i rozumiem, dlaczego Beth wykonuje jego polecenia. Nóż, który przyciska do jej boku, ma krótką rękojeść, ale długie ostrze, lśniące stalowe lustro, w którym odbija się witraż w moich drzwiach, rozrzucany wzorkami na ściany jak w kalejdoskopie. Jego ręka jest pewna jak głos, którym mówi: – Brawo, Lauro. Nic się nie stało.

Beth odzywa się szeptem, choć to on jest bliżej niej niż ja.

– Tak mi przykro, nie wiem, co się dzieje, nie powinien być na wolności, on...

– Przenieśmy się w jakieś wygodniejsze miejsce, dobrze? – proponuje uprzejmie Jamie, rozglądając się po domu, jak agent nieruchomości dokonujący wyceny. – W twoim stanie powinnaś mieć zapewniony komfort. Gdzie stół kuchenny?

Oczywiście nie potrafię się powstrzymać od rzutu okiem na krótkie schodki. Jamie używa czubka noża, by pokierować Beth z dala od drzwi wejściowych i w głąb korytarza.

– Zapraszam panie tędy – mówi, po czym dodaje: – Wasze miny! Naprawdę nie ma powodu do obaw! Mamy tylko troszkę zaległej roboty papierkowej. – Używa tonu, od którego zaczął na Lizard Point – kategorycznego, ale kumplowskiego. Wszystko gra, dopóki szefem jest Jamie. Tyle że gdyby panował nad samym sobą, nie byłoby go tutaj. Widziałam, jak szybko zmienia się osobowość Jamiego

Balcombe'a. Ta świadomość ostrzy nóż.

Powoli przesuwam się wzdłuż ściany, pięć kroków do kuchni pokonuję w ten sam sposób, z telefonem za plecami, próbując wyczuć, gdzie na wirtualnej klawiaturze znajdują się dziewiątki. Nie jestem nawet w stanie odblokować komórki PIN-em, poza tym Jamie cały czas mnie pilnuje.

– Dziękuję – mówi, kiedy wszyscy troje stajemy w kuchni.

Wystawia wolną dłoń jak nauczycielka konfiskująca gumę do żucia. Odruchowo mocniej zaciskam palce na telefonie. Balcombe kłuje Beth nożem. Słyszając jej stłumiony jęk, rzucam smartfon na stół. Jamie kładzie swój telefon obok mojego, po czym z tej samej kieszeni wyciąga komórkę Beth. Kładzie je wszystkie obok siebie, wyświetlaczami do góry, równy rządkiem lśniących, wygasłych sztabek. Mój wygląda staro i marnie przy eleganckiej, choć przesadnie dużej słuchawce Beth i blackberrym Jamiego.

Zamierza nas zgwałcić? A może za b ić?

Znam swoją kuchnię, mogłabym się w niej odnaleźć z zawiązanymi oczami. Pojemnik z nożami stoi po drugiej stronie pomieszczenia, poza moim zasięgiem. Są boleśnie widoczne, ale wiem też, że w szufladzie za mną jest tasak, a w garnku z drewnianymi łyżkami kryje się tłuczek. Drzwi przytrzymuje staromodny pięciokilogramowy ciężarek, który po rozłożeniu byłby świetną pałąką, gdybym tylko była w stanie się po niego schylić. Mam tu wszelkie narzędzia zbrodni, o jakich można by zamarzyć, a jednak to Jamie ma przewagę. Wystarczy jedno ostrze.

Wskazówka minutowa kuchennego zegara cyka naprzód. Lada chwila powinien wrócić Kit. Niewielkie pocieszenie. Wiem, że zrobiłby wszystko, by mnie chronić. Wiem też, właśnie z Lizard Point, że nie jest to typ sytuacji kryzysowej, w której wie, jak się zachować.

Nie zamierzam kopnąć Jamiego, raczej patrzę z boku, jak moja stopa podnosi się ku jego kroczu. Wycelowałam dobrze, ale w ostatniej chwili się odsunął i zamiast powalającego ciosu w jądra dostaje mocnego kopniaka w udo. Z zaskoczenia upuszcza nóż – dobrze – ale miał wylądować na ziemi, tymczasem

zanim jeszcze ostrze uderza o płytki podłogi, w mojej głowie następuje eksplozja bólu. Pięść Balcombe'a ląduje na moim uchu z taką siłą, że mam wrażenie, iż wybuch nastąpił gdzieś wewnątrz mnie. Zataczam się na ścianę. Mój wzrok odgrywa sztuczki i wydaje mi się, że nóż jeździ po podłodze tam i z powrotem. Kuchnia przechyla się na bok, potem prostuje się tuż przed moim upadkiem, po czym przechyla się znów. Kiedy obrazy wirujące w mojej głowie ponownie łączą się w jeden, spostrzegam, że broń Jamiego leży daleko, z ostrzem zablokowanym pod lodówką. Balcombe wziął sobie inny nóż z pojemnika, dwa razy dłuższy niż ten, z którym przyszedł, Kita ukochany nóż Sabatier. Kupiłam mu go w zeszłym roku z okazji czternastolecia naszego małżeństwa, stalowej rocznicy. Sabatier przecina nawet chrząstki. Kilka tygodni temu zanieśliśmy go do profesjonalnego ostrzenia. Pewnie można by nim teraz przeprowadzić zabieg chirurgiczny.

– Coś ty jej zrobił? – krzyczy Beth.

Ból z ucha promieniuje w dół do szyi i do zębów. Jej słowa są rozmyte. Przebił mi bębenek? Językiem wyczuwam poluzowany ząb trzonowy, ale nie czuję smaku krwi, tylko gorące, rytmiczne rwanie.

– Siadajcie, proszę. – Jamie trzyma nowy nóż tak nieruchomo, jakby ktoś zawiesił go w powietrzu i zalał grubym szkłem. Gdy Beth wsuwa się za stół, Balcombe sięga drugą ręką do tylnej kieszeni i wyjmuję kilka kartek druku, które rozkładają się same, gdy sfruwają, rzucone, na stół. – Ty również, Lauro, bardzo proszę – mówi. – Beth, trzymaj ręce pod stołem.

– Nie mieszczę się już – mówię błagalnie. Poruszenie szczęką targnęło uszkodzony nerw. Przypominam sobie, co zrobił Antonii – to jego popisowe zagranie.

Bada mnie wzrokiem.

– Z pewnością dasz radę.

Ruch nożem w dół, ku mojemu brzuchowi, jest wystarczająco przekonujący. W milczeniu przepraszam bliźnięta i boleśnie wciskam się na ławę. Zauważam plamę wczorajszego rosółu, którą musiałam pominąć, ścierając stół. Trzy sekundy w tej pozycji i już czuję skurcze w plecach. Jak długo zamierza nas tak trzymać?

Nie mam czym się bronić. Skonfiskowane telefony o czarnych, wygasłych wyświetlaczach są poza zasięgiem.

– Ręce pod stół, Lauro – rozkazuje.

Pozostaje mi posłuszeństwo. Układam dłonie na kolanach, a skóra na przedramionach... mnie nie drażni. Jest normalna. Przebiłam się przez zmartwienia wprost na drugą stronę. Choć przerażający, ale ma to sens. Poczucie przyczajonego niebezpieczeństwa polegało na obawie przed najgorszym. Teraz najgorsze nadeszło, za późno na systemy ostrzegawcze. Nawet lęk się na mnie wypiął.

Po raz pierwszy będąc twarzą w twarz z Beth, doznaję wstrząsu na widok rażąco czerwonej obwódki na jej białej szyi. Odcisk klamry jest wyraźny pod jej szyją. Zauważa, że patrzę.

– Kazał mi prowadzić – mówi i to wystarczy. Wyobrażam sobie, jak pętla paska dociska jej szyję do zagłówka. – Był u Antonii, kiedy tam przyszłam. – Mdli mnie na myśl o tej scenie: wygodny dom rodzinny państwa Balcombe'ów przejęty i sterroryzowany przez upadłego pana. Wiadomość, którą nagrałam na sekretarkę, odbijająca się echem od zbryzganych krwią ścian. Beth odczytuje moją minę i kręci głową. – Już ich tam nie było – uspokaja mnie. Obraz zmienia się, ukazując ten sam hipotetyczny pokój, tylne drzwi kołysane wiatrem, zabawki porzucone w ogródku. – Wysłała mi SMS-a, żeby mnie przed nim ostrzec, ale było już za późno.

Wydarzenia mieszają mi się na osi czasu.

– Mniejsza o Antonię – odzywa się Jamie. – Czas brać się do pracy. Trzy strony dla każdej powinny na razie wystarczyć. – Skinieniem głowy udziela nam pozwolenia na podniesienie rąk z kolan i rozdzielamy papier między nas dwie. Cokolwiek ma na myśli, zamierzam zniszczyć swoje kartki, bo jeśli ich zabraknie, któraś z nas będzie musiała iść do gabinetu po nowe z drukarki. Jamie nie będzie w stanie kontrolować nas obu na schodach. Staram się telepatycznie przekazać plan do Beth, ale jej spojrzenie jest dzikie i zdekoncentrowane.

Telefon Beth wibruje, ekran się podświetla.

– Ręce pod stół! – krzyczy Jamie.

Wykonujemy rozkaz, nie potrzebuję rąk do czytania. Wyświetlają się dwie wiadomości, jedna po drugiej. Odczytuję kolejno:

*Gdzie jesteś?*

*Jamie wyszedł 2 dni przed czasem, już na samowolce.*

*Dozór kuratora nie działa.*

*NIE JEDŹ DO MNIE.*

Najświeższy SMS przechodzi z ostrzeżenia w panikę.

*DZWONIŁAM DO CIEBIE.*

*SARA POWIEDZIAŁA, ŻE JEDZIESZ DO MNIE.*

*NIE JEDŹ!!!*

*NA BOGA, BETH, ZADZWOŃ DO MNIE.*

Wzrok Jamiego jest wbity w telefon.

– Kim jest Sara? – pytam bezgłośnie Beth, póki Balcombe jest zajęty.

– Współlokatorką – odpowiada.

Czyli to ona odebrała stacjonarny.

Po dziesięciu sekundach wyświetlacz znów rozbłyśka.

*Zgłosiłam policji, co Jamie o Tobie mówił, biorą to poważnie i zapewnią Ci bezpieczeństwo. Błagam zadzwoń, b. się martwię.*

Jamie porywa komórkę, ciska nią o ziemię i zgniata piętą, patrząc na nas wyzywająco, czekając na słowo protestu. W rozpaczcy pojawia się promyk nadziei – policja będzie w stanie namierzyć jej telefon, tak mi się przynajmniej wydaje. Pewnie są już w drodze. Naoglądałam się dość *Drogówki*, żeby wiedzieć, że mogą odszukać jej samochód – nawet jeśli w tej chwili jest zaparkowany na zewnątrz, wciśnięty w miniaturowe londyńskie miejsce, to przecież po drodze mijała dziesiątki kamer monitoringu i będą w stanie zawęzić obszar poszukiwań do północnego Londynu. Poza tym na pewno wlepili jej mandat za nieopłacone

parkowanie – na Drabinie działają błyskawicznie. Może to kogoś zaalarmuje. Antonia dopowie im resztę, mam nadzieję – może naprawdę już tu pędzą. I nagle wszelka nadzieja we mnie gaśnie, bo przecież Antonia każe policji szukać Laury Langrishe i Kita McCalla. Jeśli nie pójdą tropem auta Beth, może to zająć wiele dni.

Jamie tryska urokiem.

– Świetnie, trzymajmy się kolejności ustalonej na procesie – powiedział. – Ty pierwsza, Beth. Jak wolisz się do tego zabrać? Możesz napisać prawdę sama, po raz pierwszy w życiu, albo ci podyktuję.

– Już p o w i e d z i a ł a m prawdę – mówi ze złością. W środku wrzeszczę z wściekłości. Dlaczego po prostu nie skłamię? Nie ma szans, żeby cokolwiek, co teraz zapisze, miało jakąkolwiek wagę w sądzie. Równie dobrze mogłaby spłodzić esej o porwaniu przez kosmitów. – Nie zrobię tego – oznajmia Beth.

Jej oczy ześlizgują się na mój brzuch, po czym zaraz patrzą w inną stronę. Bez względu na to, jakie popieprzone pragnienie zranienia mnie kierowało nią w przeszłości, nie wierzę, żeby chciała skrzywdzić te dzieci. Głupia suka, dlaczego go nie posłucha?

Wskazówka minutowa pokrywa się z godzinową – dziesięć po drugiej. Przed domem nie ma nic, co ostrzegłoby Kita przed czekającym w środku niebezpieczeństwem. Jego zaskoczenie będzie większe niż Jamiego, ale to Balcombe stoi bliżej krawędzi.





KIT

21 września 2000

Tłuczone szkło nie wypaliło. Zamiast zerwać kontakt z Beth, Laura chciała rozmawiać, zrozumieć, d l a c z e g o to zrobiła. Powinienem to być przewidzieć – chciała pomóc przyjaciółce. Popełniłem ogromny błąd, podniosłem stawkę i przeskoczyłem wprost do punktu, gdzie rozmowa dziewczyn musiała doprowadzić do wykrycia, że obie były oszukiwane. To, rzecz jasna, oznaczałoby koniec wszystkiego. Rano, po akcji ze szkłem, zablokowałem numer Beth w telefonie Laury, ale nie mogłem nic poradzić na telefon stacjonarny, mogłem jedynie pilnować, żeby Laura nigdy nie była sama w domu.

Byłem już w połowie drogi do prawdziwego szaleństwa. Od ponad miesiąca nie spałem dłużej niż cztery godziny z rzędu. Moje nowe hobby polegało na odczekaniu, aż Laura zaśnie, odpaleniu laptopa, otwarciu nowego dokumentu i tworzeniu planu działania. Zaczynał się zawsze tak samo:

*Cel:*

*Odsunąć Beth bez doprowadzenia do konfrontacji*

*Metoda:*

*Beth musi zrobić coś gorszego*

*Wynieść się cichaczem z domu, zatrzymać się u Ling? U mamy?*

*Jeśli nie, poszukać kredytu, żeby płacić 2 czynsze*

*Jak powiedzieć to Laurze:*

...

Niewykonalne. Pustka na ekranie odzwierciedlała tę w mojej głowie.

Chyba najbardziej niepokojącym elementem mojej nocnej rutyny było to, że z braku planu do zapisania często łapałem się na spisywaniu wyznania. Nigdy nie było to świadome działanie, po prostu nagle orientowałem się, że zapełniłem pół strony szczegółami nocy spędzonej z Beth. Ani razu nie przeczytałem tych wycieczek, wciskałem tylko klawisz „delete” i patrzyłem, jak moja dłoń z powrotem zasysa słowa. Potem zamykałem laptop i kładłem się do łóżka, gdzie przez kilka godzin obracałem się z boku na bok, nawiedzany myślą, że zapisałem dokument i nadałem mu obciążający tytuł. Świadomość, że Laura nigdy nie zbliżyła się do mojego komputera, nie działała kojąco – musiałem wrócić przed ekran i przegrzebać wszystkie pliki, szukając czegoś, co wcale nie istniało.

Kiedy Beth wreszcie się odezwała, wisiałem nad Laurą, która przełączyła rozmowę na głośnik. Wiadomość, że apelacja została odrzucona, była tym, na co czekaliśmy; wreszcie byliśmy wolni. Tak, wreszcie nadeszła ta chwila; miałem ochotę porwać słuchawkę i roztrzaskać ją o ścianę. Zamiast tego mogłem tylko słuchać, jak pierwsza od wypadku ze szkłem rozmowa dziewczyn przeistacza się w konfrontację i moje nieuniknione zdemaskowanie.

– Wybierzmy się na kolację, żeby to uczcić – zaproponowała Beth. – Ja zapraszam. W podziękowaniu za wszystko, co dla mnie zrobiliście.

Laura milczała, a moje serce było ciężkie jak głaz. Musiałem przerwać tę rozmowę. Poruszyłem nogą, żeby przypomnieć Laurze o swoim cierpieniu. Kiedy postawiłem stopę na ziemi, nadepnąłem na luźny kabel i spłynęło na mnie olśnienie. Pomysł był jak napis WYJŚCIE świecący na zielono w ciemnej sali kinowej.

– Tak po prostu, kolacja? Po tym, co się wydarzyło? Nie rozstaliśmy się

w zgodzie.

Przesunąłem stopę o parę centymetrów w lewo, zahaczyłem paluch o kabel, który na dziewięćdziesiąt dziewięć procent był sznurem od telefonu. Z miejsca, gdzie siedziałem, widziałem, że był luźno wpięty do gniazdka.

– Czego ode mnie oczekujesz? – Dezorientacja Beth szybko zmieniała się w irytację. Nadepnałem z całej siły, czekając na przerwanie połączenia.

– Przepraszam na początek.

Gniew Laury dorównywał złości Beth. Kurwa. Próbowałem popatrzeć na kable tak, żeby nie wyglądało, że na nie patrzę. Próbowałem się przesunąć, sprawiając wrażenie, że wcale się nie przesuwam. Krew dudniła mi w uszach tak głośno, że podejrzewałem, że zaraz wyjdą mi żyły na szyi i nadgarstkach.

– J a mam przepraszać c i e b i e? – spytała Beth.

Przesunąłem stopę odrobinę w lewo i zaatakowałem ponownie.

– Rozłączyła się! – zawołała Laura.

Nie było czasu cieszyć się sukcesem. Ledwo odłożyła słuchawkę, już chciała oddzwaniać do Beth. Delikatnie przykryłem telefon dłońmi.

– Może powinnaś najpierw ochłonać. Ręce ci się trzęsą.

Miałem pokerową twarz, pokerowy głos, a nawet pokerowe ciało, od brwi, które z całych sił starałem się utrzymać w miejscu, aż po palce u nóg, z którymi walczyłem, żeby nie stukały. Wiedziałem, że Laura nie będzie w stanie odpuścić na dłużej niż dzień lub dwa. Odtworzyłem w myślach błędy Beth – prezenty, zdjęcie, wieczne, pieprzone zjawianie się bez zapowiedzi w naszym domu – i uznałem, że ja tylko buduję na fundamencie, który położyła ona sama. To, co zaczęła, musiałem skończyć sam. Dzisiejszej nocy.

Trzecia nad ranem to najcichsza pora Londynu. Wydawało mi się, że ktoś wyłączył światu dźwięk, kiedy kuciałem na podeście trzeciego piętra z jedną ze starych zapalniczek Maca w jednej ręce i świecą za pięćdziesiąt funtów w drugiej. Beth była w naszym mieszkaniu sama przynajmniej raz, miała więc dość czasu, by podrobić nasz zapasowy klucz, a oryginał odwiesić z powrotem na haczyk. Jeśli

uświadomię to Laurze, z pewnością przekonam ją, że czas spalić wszystkie mosty.

Zapalniczka zaskoczyła, płomień błysnął złoto. Wspiąłem się na palcach na górę z ciężkim sercem. Jeśli potrafiłbym wymyślić sposób na pozbycie się Beth bez skrzywdzenia kogokolwiek, wykorzystałbym go. Zdecydowałbym się w mgnieniu oka. Ale nic nie przyszło mi do głowy. Byłem wyposażony w niewłaściwy rodzaj inteligencji do takich rzeczy, i tylko na tyle było mnie stać. Ostatni raz spojrzałem przez ramię na płomynek na podeście, po czym skręciłem za róg, zatapiając się w mrok.

Miałem nadzieję, że zapach krwawych róż poniesie się na górę i obudzi Laurę. Jeśli by tak się nie stało, zamierzałem odczekać jakieś pół godziny – wystarczająco długo, żeby się wydawało, że Beth dawno się oddaliła – a potem razem z Laurą zeszlibyśmy na dół i odkryli świeczkę. Czekałem na tę chwilę niemal z przyjemnością. Zdmuchnęlibyśmy płomień, omówilibyśmy sprawę, razem zauważilibyśmy eskalację działań Beth przeciwko nam i doszlibyśmy do wspólnego wniosku, że czas na nas. Nie kładlibyśmy się już, spakowalibyśmy najpotrzebniejsze rzeczy i ruszylibyśmy po śniadaniu. Nie chciałem m i e s z k a ć z mamą, ale nie miałem nic przeciwko spędzeniu u niej kilku nocy, które dałyby okazję do przekonania Laury, by nie niweczyła naszego uwolnienia się od Beth.

Byłem tak zadowolony z siebie, że trwałem w swoim sztucznym śnie jeszcze kilka sekund po wybudzeniu się Laury. Nie wziąłem pod uwagę, do jakiego obłądu doprowadziły mnie bezsenne tygodnie. Zakładam, że w tamtym okresie byłem w stanie takiej niepoczytalności, że wyłączyła ona część mojego mózgu odpowiedzialną za fizykę i chemię. Skupiałem się na fakcie, że na klatce schodowej nie ma przeciągu ani żadnych miękkich obić, które mogłyby chwycić ogień, ale przeoczyłem starą farbę i łuszczącą się tapetę na ścianach. Nieprzycięty knot pali się wysokim płomieniem, a w wypadku nowej świecy wysokość ta może być nawet dwukrotna. Gorąco najwyraźniej wystarczyło, by na liczącej dziesiątki lat farbie wystąpiły bąble, więc klatka schodowa zajęła się w mgnieniu oka, jak skąpana w benzynie.

Krztuszący smród dymu i palącej się farby wypełnił mieszkanie chyba w kilka sekund i nagle zrobiło się za późno; za późno na cokolwiek. Laura rzuciła się w ryczące piekło ognia, zostawiając za sobą bezpieczeństwo dachu. Skaleczenie na stopie było celowe, ale rozgrzaną do białości gałkę drzwi chwyciłem z czystego odruchu. Dym, pożar i destrukcja były tak odległe od mojego planu, że ledwo czułem się sprawcą. Gdyby ktoś zapytał mnie, kto podłożył ogień, w tych najgorętszych chwilach, gdybym był w stanie zebrać myśli, gdybym potrafił wykrztusić słowo – powiedziałbym, że podpalaczką była Beth, i święcie bym w to wierzył.

Pożar zmienił wszystko. Tej nocy Laura zaczęła tracić pewność siebie i polegać na mnie. Paradoksalnie stałem się w znacznym stopniu źródłem jej lęku, ale próbowałem dostrzec w tym jakieś dobre strony. Musiałem stać się jej pielęgniarzem i obrońcą, i choć cierpiałem, patrząc na jej ból, to nie dało się zaprzeczyć, że w nowym układzie odzyskaliśmy bliskość, z której utraty ona nie zdawała sobie nawet sprawy.

Nie umiałem przewidzieć tego wszystkiego w godzinę po naszej ucieczce, kiedy siedzieliśmy z Laurą na stopniach karetki, patrząc, jak okna naszego mieszkania wydychają czarne kłęby. Nic nie odziera człowieka z przyszłości tak jak ból – twój świat zostaje zredukowany do palącego tu i teraz. Zamiast stygnąć, moja dłoń z każdą chwilą bardziej piekła, jakbym nadal przyciskał ją do rozgrzanego metalu, wcale nie zdziwiłbym się, gdybym spostrzegł sączący się spod bandaża kwas. Spróbowałem poruszyć palcami, żeby sprawdzić, czy nie doszło do uszkodzenia nerwów, ale nawet niewidoczne gołym okiem ruchy boleśnie szarpały poranioną skórę. Już czułem pęcherze i fałdy tworzące się na wewnętrznej stronie dłoni. Naprawdę niewielkie pocieszenie dawała mi myśl, że w przyszłości, ilekroć Laura zapomniaby, jak bliska zniszczenia nas była Beth, wystarczyłoby, żebym pokazał jej dłoń.



KIT

21 marca 2015

Jadąc pociągiem linii Picadilly, wsłuchuję się, jak koła nieustannie wystukują oskarżenie: idiota, idiota, idiota – skandują w rytmie szybkiego walca, który zdaje się przybierać na sile z każdym uderzeniem. Lata zderzają się ze sobą, kłamstwa piętrzą się jedno na drugim. Nadal nie wiem, jak Beth znalazła nasz dom ani czy ma to jakieś znaczenie. Nie jestem pewien, jakie zarzuty będę musiał odeprzeć. Pięć minut do Laury, a ja wciąż nie wiem, co jej powiedzieć. Boję się spojrzeć jej w twarz, a jednocześnie liczę na to, że wyleje na mnie całą złość, gdy tylko przekroczę próg, bo wtedy może straci przewagę zaskoczenia, wyrzucając z siebie wszystkie niewiadome, które na chwilę obecną uniemożliwiają mi przygotowanie jakiegokolwiek linii obrony. Czy wie tylko – tylko! – o tym, że przespałem się z Beth, czy też wspólnymi siłami odkryły pełną skalę mojego oszustwa? Nieważne, jak Beth nawiązała kontakt z Laurą, musiała ją zdrowo wystraszyć i choć przerażenie zostało już z pewnością wyparte przez furję, i tak nie jest to w porządku. Wszystkie te lata ochrony na n i c się nie zdały.

Pośluczone szkło w otworze na listy i pożar – musiałyby do tego dojść razem, jedna straszliwa prawda musiałaby je pchać ku następnej. Byłaby to jednak wulkaniczna rozmowa, przerywana łzami i schodząca na boczne tory. Możliwe, że nigdy tak daleko nie zaszły. Możliwe, ale mało prawdopodobne.

Gdy wjeżdżam ruchomymi schodami przy Turnpike Lane, czuję smak swojego osiedla, benzynę i czosnek, ale znajoma atmosfera tym razem nie daje poczucia ciepłego powitania. Czy istnieje szansa, żebym się z tego wymiksował, jak powiedziała Juno? Laura przyzwyczała się już do postrzegania Beth jako niegodnej zaufania, wręcz niebezpiecznej, dlaczego więc jej opowieść o seksie ze mną miałyby nie być kolejnym łgarstwem? Po tylu latach nie może niczego udowodnić. Nie mam żadnego znaku szczególnego w miejscu intymnym, którym mogłaby mnie zidentyfikować. Chyba że jest jakiś inny sposób, na przykład zacząć porównywać spostrzeżenia – może robię coś, co innym mężczyznom się nie zdarza, albo może inni robią coś, a ja nie? Mdli mnie na myśl o tym, jak członkinie tego dwuosobowego klubu omawiają jedyne, co mają ze sobą wspólnego.

Otwieram wyjście z metra kartą i rozlegające się „bip” uświadamia mi coś tak oczywistego, że zamieram bez ruchu, a szczęki przejścia zaciskają się na moim plecaku. To obraz wymiaru mojego stresu – nie myślę nawet o sprzęcie fotograficznym, kiedy napieram na pasek torby, żeby ją uwolnić. Kluczowa kwestia, którą dotąd pomijałem, jest następująca: Beth ma po swojej stronie prawdę. Beth z a w s z e miała prawdę po swojej stronie.

Wychodzę na Green Lanes, wprost pod koła czerwonego piętrusa. Hamulce piszczą, z rury wydechowej bucha, a ja niemal otwieram ramiona przed uderzeniem. Ignorując krzyki autobusiarza i niezgrany chór klaksonów innych kierowców, idę dalej, zastanawiając się, jak kiedykolwiek takie drobiazgi mogły w ogóle mieć znaczenie. Wspominam mężczyznę, którym byłem kiedyś, a potem pracę wymykającą się spod kontroli, bycie bliźniakiem zaprogramowanym na autodestrukcję i wszystkie inne presje, które sprawiły, że obrane przeze mnie, drastyczne rozwiązanie jawiło się jako jedyne.

Na Duckett's Common nastoletni chłopcy grają w koszykówkę; piłka uderza o asfalt z charakterystycznym, odbijającym się odgłosem, przywołującym na myśl jakieś boisko w Bronxie. Na placu zabaw maluchy bawią się z tatusiami całkiem podobnymi do mnie i nagle wzbiera we mnie nadzieja. Moje bliźnięta w łonie Laury są jak polisa ubezpieczeniowa na nasze małżeństwo. Te dzieci są w połowie

moje, są w połowie m ną. Nie będzie chciała, żeby wychowywały się z jednym rodzicem, nie po tym, co sama przeszła. Dla naszych dzieci to pokonamy. Ale żeby to pokonać, trzeba najpierw przez to p r z e j ść.

Puls przyspiesza mi z każdym krokiem. Skręcam w Wilbraham Road i staję na chodniku po przeciwnej stronie, więc po przekątnej widzę nasz dach z zachodzącym na niego zewnętrznym szkieletem rusztowania od sąsiadów. Świetlik jest otwarty, czyli Laura jest w domu.

Jeszcze raz próbuję się do niej dodzwonić, żeby ocenić, co zastanę. Telefon dzwoni i dzwoni, stłumiony, gdzieś w czeluściach mieszkania. Laura zawsze nosi komórkę przy sobie i jeszcze nigdy nie widziałem, żeby nie odebrała, jeśli zna rozmówcę. Jestem w głębszych tarapatach niż kiedykolwiek. Z całą pewnością nie jestem gotowy na konfrontację. Jeszcze nie. Chyba że trochę się wzmocnię.

W Salisbury siadam przy wysokim stoliku, zamawiam podwójną czystą i wychylam ją jednym haustem. Nie robi na mnie wrażenia, więc biorę jeszcze kufel piwa w nadziei, że kiedy go dopiję, dłonie przestaną mi się pocić, natchnie mnie wena lub, jeśli naprawdę szczęście się do mnie uśmiechnie, na pub spadnie meteoryt i już nigdy nie będę musiał wracać do domu.





LAURA

21 marca 2015

– Słuchajcie, wiem, że to nie jest to łatwe dla żadnej z was. – Kojący, rozsądny ton Jamiego rażąco kłóci się z nożem w jego zaciśniętej pięści. – Uwierzcie mi, nie chce mi się grzebać w przeszłości bardziej niż wam. Ale ludzie zbyt długo uważali waszą bajeczkę za prawdę. Nie sądzicie? Czas przywrócić mi moje dobre imię.

– Jamie, sam wiesz, co się wydarzyło – odzywa się Beth.

Na to Balcombe poluzowuje chwyt na rękojeści, tylko na sekundę, i to wystarczy, by ostrze opadło o milimetr. Wycina pięciocentymetrową dziurę w moim podkoszulku i kłuje mnie jak cierń w brzuch, w najwyższy punkt wypukłości. Nie potrafię powstrzymać krzyku, który wydiera mi się z ust, ale tłumię go pod wpływem szorstkiego „Cisza!” Jamiego; krzyk miota się w moich zamkniętych ustach jak uwięziona ćma. „Napisz to” – telepatycznie błagam Beth. Napisz, co tylko zechce, im bardziej ekstremalnie, tym lepiej. Każde kłamstwo, do jakiego cię zmusi, to kolejny kamień, którym brukuje sobie drogę do dożywocia.

Jeśli wyjdziemy z tego żywe, szepcze we mnie cichy głos.

Nacięcie nie jest głębokie, to tylko ryska na powierzchni skóry. Krew i lokalizacja na samej górze brzucha sprawiają, że wygląda na poważniejszą, niż jest w rzeczywistości. O wiele bardziej martwię się skutkami ciosu w głowę. W uszach jeszcze mi dzwoni.

Tkanina mojej koszulki łapie kropelkę krwi i wchłaniając ją, sprawia, że rozkwita, nagle i szybko, jak odtwarzane w zwolnionym tempie nagranie maku rozwijającego się z pąka w pełny kwiat. Ta rozchodząca się plama wreszcie przekonuje Beth. Podnosi długopis i poprawia leżącą przed nią kartkę, po czym patrzy spokojnie na Jamiego.

– Ty mi powiedz, co naprawdę się wydarzyło – mówi martwym głosem.

Balcombe nie zważa na jej ton, uśmiecha się. Kiedy odchrząkuje, czuję wibracje na czubku noża.

– „Dnia 10 sierpnia roku 1999 pojechałam s a m a – zawiesza głos, aby nadać słowu wagi – na festiwal muzyczny na Lizard Point w Kornwalii, zorganizowany z okazji mającego się odbyć całkowitego zaćmienia Słońca. Atmosfera na festiwalu była luźna i swobodna. – Znów przerywa, tym razem nie dla emfazy, lecz by pozwolić Beth dogonić go z pisaniem. – Drugiego wieczoru przy ognisku zagadnęłam Jamiego Balcombe’a, który również podróżował w pojedynkę. Natychmiast między nami zaiskrzyło. – Mówi tonem, którego używał w sądzie, jak chłopiec z drogiej prywatnej szkoły, nieskażonym przez więzienie.

Nie wiem, czy Beth jest świadoma, że kręci głową, podczas gdy spiczaste pismo zapełnia stronę. Ledwo patrzy na litery, które stawia. Jej wzrok przesuwają się po trójkącie – od kartki papieru, przez Jamiego do noża przyłożonego mi do brzucha.

– Nie tak szybko, to nie egzamin na stenotypistkę. – Jego śmiech wydobywa się z krtani, nie z brzucha. – Ma być czytelnie.

Beth nie zwalnia tempa, ale jej pismo staje się równiejsze. Słyszę, jak zgrzyta zębami, mdlący chrząst kości o kość.

Wskazówka przeskakuje na zegarze. Czternasta dwadzieścia. Lada chwila wkroczy Kit.

Beth kończy akapit. Jamie ciągnie dalej.

– „Rankiem w dniu zaćmienia znów wpadłam na Jamiego. Postanowiliśmy, że miło by było obejrzeć zjawisko razem w jakimś odosobnionym miejscu”.

Plan Balcombe’a, jak już zdobędzie „zeznania”, moje i Beth, musi polegać na złożeniu dokumentów u władz, a wtedy automatycznie odda się w ich ręce. To jest

najszczęśliwszy dla nas scenariusz. Najgorsze, że Antonia może mieć rację – Jamie nie ma już po co żyć, pragnie tylko odzyskać swoje dobre imię, jak sam mówi, a potem pożegnać się z tym światem. Jeśli to oznacza, że musi wziąć nas ze sobą, nie wątpię, że nie zawaha się ani sekundy.

Wszyscy wbijają wzrok w mój telefon, kiedy rozlega się z niego przypisana do Kita melodyjka. Pewnie wysiadł z metra. Przy każdym sygnale komórka wędruje kawałek dalej po stole, oddalając się ode mnie, wszyscy patrzymy, jak zbliża się do krawędzi. Oczyma wyobraźni widzę, jak Kit niewinnie zastanawia się, czy nie potrzebuję czegoś z Tesco, co mógłby mi kupić w drodze do domu. A jeśli to nasza ostatnia w życiu szansa na rozmowę? A jeśli to nasze ostatnie połączenie? Smartfon wreszcie wpada w szczelinę między stołem a ścianą, trafiając poza zasięg wzroku i ręki. Rozlega się jeszcze kilka sygnałów i zapada cisza.

Pomyśli, że nie odbieram, bo złoścę się o jego wpadkę w mediach społecznościowych – jaki błąd to szczególnie w świetle sytuacji z nożem przy moim brzuchu. W tej chwili wybaczyłabym mu wszystko.



KIT

21 marca 2015

Dodatkowe piwo i dodatkowy czas nie uspokoiły mnie wcale. Panika działa jak antidotum na alkohol. W połowie kufła rodzi się we mnie nowy strach. Może Laura wcale się nie boczy. Może jest w szpitalu, może stało się coś złego, może z powodu tego, czego dowiedziała się od Beth, coś złego stało się dzieciom – muszę podeprzeć się ręką, żeby się uspokoić. Nagły, przedwczesny poród na skutek szoku brzmi jak wyjęty z powieści wiktoriańskiej, ale takie rzeczy się zdarzają. W s z y s t k o może się zdarzyć, powinienem się już był nauczyć. Może zabrali ją, zanim zdążyła sięgnąć po telefon. Chryste, może była n i e p r z y t o m n a. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? Nagle potrzeba dotarcia do domu staje się równie silna, jak wcześniejsza potrzeba trzymania się z dala.

Zostawiam niedopite piwo, zarzucam na ramiona plecak i ruszam Wilbraham Road. Teraz, kiedy się spieszę, nawet powietrze mi się sprzeciwia, ciągnąc mnie za kostki. Ktoś przed naszym domem bardzo nieudolnie wykonał parkowanie równoległe białym fiatem, za wycieraczką widnieje mandat. Przed drzwiami zsuwam plecak, mam wrażenie, że bez niego uniosę się zaraz w powietrze. W ogródku obok pracuje betoniarka, robotników nigdzie nie widać.

Kiedy wsuwam klucz do zamka, zauważam łańcuch. To oznacza, że albo mam

się trzymać z daleka, albo drzwi cały czas były tak zamknięte, a ona leży gdzieś, niezdolna się poruszyć, albo jeszcze gorzej. Kucam przy otworze na listy i dostrzegam ruch w kuchni, przemieszczenie światła i cienia. Ulgę, że Laura jest na chodzie, zastępuje stara obawa: jest wściekła.

– Laura? – Mój głos niesie się echem po cichym holu. Widzę tylko postać kołyszącą się w kuchni. Otwieram drzwi tyle, ile dam radę, i mówię przez szparę: – Kochanie, proszę, otwórz mi. Porozmawiajmy.

Z kuchni dobiega gardłowy szloch, od którego skręcają mi się wnętrzności. Wolę gniew niż łzy. Wyjmuję z kieszeni szwajcarski scyzoryk i otwieram kilka ostrzy, aż wreszcie decyduję się na krótkie, zagięte, które może służyć za otwieracz do konserw.

– Nie masz pojęcia, jak mi przykro – mówię, majstrując na oślep przy łańcuchu. – To była jedna noc, przysięgam. Zawsze kochałem tylko ciebie, dobrze wiesz. – Nożyk chwyta łańcuch, zagiętym czubkiem podnoszę ciężarek na końcu. – Żałuję każdego dnia. Żałuję i marzę, by cofnąć czas i nie przespać się z nią. Ten jeden raz pokazał mi tylko, jak bardzo cię kocham. Proszę, nie pozwólmy, żeby to zepsuło nasz związek, nie po tylu latach. Mamy tak wiele do...

Łańcuch puszcza tak niespodziewanie, że niemal wpadam do środka z drzwiami, które otwierają się z rozmachem. Odstawiam plecak na podłodze i poprawiam podświetlany globus, który leży przewrócony. Przygotowuję się na starcie w kuchni, wyginam ręce jak zapaśnik pokazujący mięśnie, jakby konfrontacja miała być fizyczna. Jestem gotowy na piąstki i smukłe palce atakujące moją twarz.

To, co zastaję, jest gorsze i tak kompletnie nieoczekiwane, że potrzebuję kilku sekund, by mój mózg przetworzył to, co widzę, nie mówiąc nawet o zrozumieniu znaczenia tego obrazu.

Laura siedzi przy stole. Przenoszę wzrok z jej brzucha na twarz i z powrotem – pod przeciętą koszulką rysuje się wąska, owalna plamka krwi, a lewy policzek jest fioletowy i spuchnięty. Z nią i Beth – rozpoznanie jest natychmiastowe i przerażające – jest Jamie Balcombe w fantazyjnej koszuli i spodniach khaki, z mięsistą pięścią zaciśniętą na zakrwawionym nożu.

– Kit, nie – mówi Beth, kręcąc głową.

Co, co? Jak, u diabła, od znalezienia Laury przez Beth doszło do tego? Beth ma jakieś obtarcie na szyi, a policzek Laury sinieje z jednej strony. Wyobrażałem sobie twarz Laury, gdy ta dowiaduje się o Beth, i widziałem ją rozdętą z wściekłości, ale teraz jej oblicze jest zmięte, zapadłe. Oczy ma suche.

Na stole przed Beth leży zapisana kartka. Kanciaste niebieskie litery tworzą pochyłe linie. Moja przeszłość i oszałamiająca teraźniejszość nie łączą się ze sobą, tylko odpychają się od siebie jak magnesy.

Laura patrzy to na mnie, to na Beth, aż wreszcie powoli odwraca głowę. To gorsze niż wybuch.

Jamie bierze sprawy w swoje ręce.

– Kit! – wita mnie rażno, jakby to on był gospodarzem, a ja zaproszonym gościem.

Zachowuje się dokładnie jak w Kornwalii w chwilę po tym, jak przeszkodziła mu Laura. Przez sekundę widzę go wtedy, tam – widzę dzinsy, które miał na sobie, buty, postawione na żelu włosy. Zapisany w pamięci obraz jest tak wyraźny, że może zaraz przesłonić mi rozgrywającą się przede mną scenę.

Mój telefon został w plecaku, tuż przy drzwiach wejściowych. Odwracam się, by go znaleźć.

– Muszę zadzwonić na policję.

– Nie musisz. – Ton Jamiego jest lekceważący, nawet kiedy przystawia ostrze bliżej brzucha Laury. Lekkie skaleczenie, nic takiego, plama krwi się nie powiększa. Potrzebowałbym zwinności pająka i siły niedźwiedzia, żeby wyrwać mu broń z ręki, zanim zdążyłby wyrzucić ją krzywdę. Stoję zbyt daleko i jestem za słaby. – Chcę przez to powiedzieć – ciągnie Jamie – że naprawdę nie ma z tym pośpiechu. Policja prędzej czy później zostanie zaangażowana, bez obaw. Najpierw przejrzą to moi prawnicy. Już jesteśmy w połowie.

Kobiety nie patrzą ani na mnie, ani na siebie nawzajem. Co jakiś czas Laura podnosi oczy w pół drogi do Beth, po czym natychmiast opuszcza wzrok, jakby jej źrenice były ołowianymi ciężarkami. Jestem kompletnie zgubiony i po raz

pierwszy czuję, jak smakuje strach, więc nie mam wyboru – muszę tańczyć, jak mi zagra.

– Co ty w y p r a w i a sz, Jamie? – Staram się dopasować do jego przyjacielskiego tonu.

– Proszę tylko dziewczyny, żeby wyprostowały sprawę i powiedziały to, co powinny były zeznać w Kornwalii. Niech się przyznają do zмовy. Niech wyznają, że cały ten pieprzony burdel to bajeczka, którą razem przygotowały, jakaś chora, kobieca forma żartu.

Trzymał się tego przez piętnaście lat. Oprócz kampanii, przemów i strony internetowej cały czas miał w zanadru plan A. Nawet w przerażeniu należy podziwiać jego cierpliwość. Wskazuje głową na Beth.

– Ta tutaj od miesięcy wlewa truciznę do ucha mojej żony. Z początku były nieco odporne, nie chciały dostać kary za to, co zrobiły, bały się konsekwencji. Krzywoprzysięstwo w procesie o gwałt to grubsza sprawa. I to w nie byle procesie o gwałt. Chętnie zrobią z ciebie przykład, Lauro.

Ona wzdryga się, słysząc te bzdurne oskarżenia, ale nawet puste słowa mają wagę z nożem na gardle.

Ostrze w ręce Jamiego zaczyna drżeć, tak jak jego głos. Jego maska opada w zwolnionym tempie.

– Rozumiesz już, dlaczego są takie zmartwione. Ale tobie nic nie grozi. Nikt ci nie zarzuci napaści seksualnej, jak w moim przypadku.

Dreszcz przechodzi Laurę od stóp do głów, czuję go przez skórę.

– Ale, Jamie, nie ma szans, żeby jakikolwiek sąd uznał te zeznania. Te – powstrzymuję się przed zrobieniem w powietrzu znaku cudzysłowu – o ś w i a d c z e n i a nie będą warte więcej niż papier, na którym zostaną spisane. Z pewnością to rozumiesz.

– To jest tylko p i e r w s z y k r o k – oznajmia. – Zdziwiłbyś się, ile potrafi działać dobry prawnik. – Z tego, co pamiętam, jego adwokaci byli wtedy średnio dobrzy. Może nie mam pełnego oglądu sytuacji, ale wiem, że nie należy teraz podważać jego zdania. – Słuchaj – ciągnie. – Nie chcę zrobić im krzywdy. W życiu

nie skrzywdziłbym kobiety. Ale potrzebuję, żeby obie dokończyły pisanie oświadczeń wycofujących to, co powiedziały w sądzie. Mówimy o moim życiu. O mojej reputacji!

Jest bliski utraty panowania nad sobą.

– Dobra. – Nie wiem, co robię, poza tym, że kupuję czas dla Laury i moich dzieci. – Może odłóż nóż i wypuść dziewczyny. Jestem pewny, że wykombinujemy tu coś bez nich.

– Niestety. Przez piętnaście pieprzonych lat czekałem, żeby oczyścić swoje imię. – Przekleństwo wynosi głos Jamiego wzwyż o oktawę, przez co brzmi zarówno przerażająco, jak i śmiesznie. Zawiesza na chwilę głos, żeby kilkakrotnie odetchnąć i wziąć się w garść. – Wybacz więc, ale doprowadzimy to do końca. No, Beth, pisz dalej. Im szybciej skończysz, tym szybciej wszyscy wrócimy do normalnego życia. Albo raczej ja wrócę. – Beth bierze do ręki długopis i zawiesza go w powietrzu, a Jamie podnosi rękę, dając znak, że będzie mówił. – W zasadzie, Kit, zastanawiam się, czy nie warto poprawić też twojego. Chociaż, szczerze mówiąc, ich zeznania postawią twoje w wystarczająco nowym świetle. Nigdy nie byłeś w to zamieszany, prawda? Wspierałeś tylko swoją paniusię i jej bajeczkę. Nie widziałeś, jak to robimy. – Laura wzdyga się za stołem. – W sumie szkoda, że nie widziałeś, od razu wiedziałbyś, co jest co. – Wreszcie Laura podnosi na mnie wzrok. Nasze spojrzenia się spotykają, ale teraz płacze już na całego, więc jej oczy mogą mówić proszę, ratuj mnie, albo przejdziemy przez to razem, albo nienawidzę cię. Cała siła w pomieszczeniu skupiona jest w jednym ostrym kawałku stali. Jamie jest o tyle bliżej Laury niż ja, że równie dobrze mógłbym być od nich odgradzony drutem kolczastym.

– Beth. Jeśli moglibyśmy dokończyć, bardzo proszę – mówi. Wydaje mi się, czy jego głos traci dotychczasową stanowczość? – Gdybyś mogła mi przypomnieć ostatnie zdanie, pójdziemy dalej.

Długopis podryguje w jej palcach, ale Beth milczy. Nie podnosi nawet wzroku znad strony.

– Dobrze, podyktuję ci. – Odchrząkuje. – „Jest mi niewypowiedzianie przykro,



że coś zupełnie naturalnego i przyjemnego przekształciłam w taki sposób. Serdecznie przepraszam Jamiego i Antonię Balcombe'ów oraz ich wielopokoleniową rodzinę za cierpienie, którego przysporzyły im moje fałszywe oskarżenia. Jestem gotowa zeznawać w sądzie i – czubek noża rysuje drobne wzorki, jakby Jamie wycinał słowa w powietrzu – ponieść wszelkie konsekwencje wynikające z prawa karnego bądź cywilnego, które zaistnieją na skutek niniejszego wycofania przeze mnie mojego poprzedniego zeznania”. – Odwraca się do mnie. – Szczerze powiedziawszy, możemy skończyć oświadczenie Laury dokładnie w ten sam sposób.

Ręka Beth przestała przesuwac się po papierze.

– P i s z – nalega Jamie. Nóż w jego ręce drży niebezpiecznie. Łzy Laury lśnią w zagłębieniu u nasady jej szyi, kiedy Beth odkłada długopis.

– Proszę, zrób, co każe – naciska Laura.

– Laura ma rację. – Po raz pierwszy przemówiłem bezpośrednio do Beth od dnia, kiedy potłukłem szkło. – Taki dokument nie będzie miał żadnej mocy prawnej. Nie będziesz miała kłopotów w sądzie. – Mam na końcu języka: zrób to, żeby uratować wasze życia, ale jakiś mój wewnętrzny instynkt wie, że zwerbalizowanie czegoś tak oczywistego byłoby błędem – przekłułoby kruchą bańkę oddzielającą rzeczywistość od zaprzeczenia.

– Nie mogę – odpowiada Beth. – Nie mogę kłamać. – Puściła w niej jakąś tama, coś zauważalnie się zmieniło, nawet od chwili kiedy wszedłem. – Zgwałciłeś mnie – mówi, i ten prosty, dwuwyrzowy fakt zatrzymuje czas. Wzbiera w naszej maleńkiej kuchni, aż wypełnia ją całą. Słyszc tylko betoniarkę w ogródku sąsiadów. – Poszedłeś za mną w ciche miejsce, przytrzymałeś mnie i zgwałciłeś. Powtórzyłeś to w sądzie, potem w internecie, i od tamtej pory pieprzysz mnie cały czas. Zrobiłeś to własnej żonie, tamtej studentce i Bóg jeden wie ilu jeszcze ludziom.

– Beth, p r o s z ę, zrób, czego chce – błaga Laura. Maleńka cząstka mnie niepochłonięta kwestią przetrwania, zaciekawia się studentką i żoną. Beth jednak widzi tylko Jamiego. Nagle rozumiem, co ona robi. Spala wszystko, co jej zostało,

jak rakieta przy wejściu w atmosferę, bo tam, dokąd leci, niczego już nie potrzebuje.

– Z g w a ł c i ł e ś mnie. – Słowa wychodzą z jej ust jak ostre szarpnięcia.

Chyba tylko ja dostrzegam, że nóż Jamiego kieruje się, niepewnie, lecz bez wahania, jak igła kompasu, z dala od Laury, w kierunku Beth.

– Nie napisałabym tego, co chcesz, nawet gdybym wiedziała, że spalisz tę kartkę.

Dokonuję błyskawicznej kalkulacji: jeśli chwycę jego ramię zamiast ręki, będę w stanie odepchnąć nóż. Jest nas troje, a on tylko jeden. Niestety, moje myśli zawsze wyprzedzały czyny i wciąż jestem jeszcze o krok spóźniony, kiedy Balcombe robi zamach i wbija nóż w bok Beth. Ostrze odskakuje, jakby trafił w żebro, ale poprawia cios i tym razem pięć centymetrów ostrza znika w ciele dziewczyny.

Nie wiem, kto krzyczy.

Jamie wyciąga umazany krwią nóż. Beth bezwładnie stacza się na ziemię.

Jestem szybki, ale moja żona jest szybsza. Laura dociera do niego przede mną, nie siłuje się z oprawcą, tylko wybija mu z ręki nóż, mój sabatier. Ten koziółkuje w powietrzu – matowa rękojeść w górze, lśniąca ostrze w dole, rękojeść w dole, ostrze w górze i przez jeden koszmarny moment mam wrażenie, że Laura zaraz złapie ostrą krawędź w otwarte dłonie. Ona jednak tylko muska koniec rękojeści opuszkami palców.

– Ty suko!

Jamie jest już w pół drogi do pojemnika z nożami. Twarz Laury blednie w panice, kiedy sabatier mija jej chwyt i ląduje na stole, gdzie tylko ja mogę go dosięgnąć.

Nóż leży znajomo, ale dziwnie w mojej dłoni, kiedy szarżuję przez kuchnię i wbijam świeżo zaostrzony koniec ostrza w gardło Balcombe'a. Przez ułamek sekundy czuję opór – pewnie jabłko Adama – po czym nóż ześlizguje się na bok, omijając kręgosłup, a resztę można by porównać do krojenia lodów i sekundę później czubek wystaje jak płetwa rekina z jego karku. Cofam nóż w zbędnym

pośpiechu, już po wszystkim. Nóż z hukiem upada na podłogę, Jamie głucho uderza o ziemię. Jego ciało leży obok ciała Beth. Nie da się odróżnić, która krew jest czyja. Czerwień jest wszędzie, podłoga kuchni zmienia się w pobłyskujące morze. Jamie charczy, a potem wypływa karmazynowy gejzer, który pokrywa wszystko – mnie, Laurę, ściany, meble – drobną, różową mgiełką. Patrzę jak zaklęty, jak błękit jego oczu zmienia się w marmur.

A potem zamieram.

Laura przestępuje przez ciało Jamiego i kuca w kałuży krwi.

– Beth?

– Lauro, ja...

– Dzwon, kurwa, po karetkę! – wrzeszczy na mnie.

Dopiero to przywraca mi władzę nad ciałem. Sięgam po najbliższy telefon, blackberry, wybieram numer, zgłaszam, że potrzebujemy pomocy, bo mamy dwie ofiary z ranami kłutymi. Podaję nasz adres, wygrzebując nawet z czeluści pamięci alfabet fonetyczny, i pytam ich jak idiota, czy będą potrzebowali pozwolenie na parkowanie, a oni zapewniają mnie, że nie.

Podczas mojej rozmowy Laura jest na podłodze, tuląc Beth. Spokojnie, trzeźwo wyjęła z szuflady zapas ściereczek i poskładała je w małe opatrunki, by tamować krwawienie. Pierwszy jest już przesiąknięty.

– Jadą – informuję. – Co z nią?

– Nie wiem, skąd mam, do cholery, wiedzieć – mówi, a potem zwraca się do Beth: – Nie zamykaj oczu, na Boga, trzymaj się.

Zakrwawionymi palcami odgarnia mokry pukiel włosów z twarzy Beth. Oddech rannej jest ostry, szarpany. Próbuje coś powiedzieć i patrzy na mnie.

– Ja nie... – zaczyna.

– Nic nie mów – uspokaja ją Laura. – Już dobrze. Ratownicy już jadą. Będzie dobrze. Mamy cię. – Nie umiem odczytać, co Laura czuje w stosunku do Beth, ale nie mam wątpliwości, co oznacza spojrzenie, którym mnie obdziela: „Nienawidzę cię. Nienawidzę cię. Nienawidzę cię”. – Już tak nie krwawi. Musimy ją ogrzać. Zdejmij kurtkę.

Żeby tego dokonać, muszę najpierw odłożyć nóż: dowód A.

Wyciągam ręce z rękawów i okrywam Beth ciężką kurtką, najdelikatniej jak potrafię. Nie potrafię stwierdzić, ile krwi straciła, ma mokre oczy. Kurtka jest ubrudzona błotem z Torshavn. Otulam Beth i wysyłam do niej milczące przeprosiny za wszystko, co się wydarzyło, podczas gdy jej usta bledną.

Oboje z Laurą podskakujemy, gdy rozlega się łomot do drzwi, ale Beth ani drgnie. Kiedy otwieram drzwi policji i ratownikom, zostawiam na mosiężnej klamce krwawy ślad. Na zewnątrz wozy ratunkowe zablokowały Wilbraham Road. Jeden radiowóz stoi przekątnie do znaków na jezdni. Po obu jego stronach stoją karetki, niebieskie światła obracają się w ciszy. Jedna z nich będzie karawanem. Pospiesznie prowadzę ratowników w zielonych kombinezonach na dół do kuchni, gdzie może tli się jeszcze jedno życie do uratowania.

Laura odkleja się wreszcie od Beth, stojąc nad nią, gdy specjaliści przejmują kontrolę. Wygląda, jakby miała na sobie czerwone wieczorowe rękawiczki po łokcie.

– Jest w szoku! – mówi jeden z ratowników.

Laura zakrywa usta dłonią i zaczyna mamrotać coś pod nosem.

Trzeci ratownik wkracza do kuchni i patrzy z niepokojem na spuchniętą twarz Laury.

– Pan nazywa się Christopher Smith? – pyta policjant. Krępy, z ramionami rugbisty, wygląda jak drab, który mógłby mnie nękać w szkole.

– Nie musi mnie pan aresztować. Pójdę z wami.

Ogarnia wzrokiem otaczającą nas rzeź.

– Chyba jednak muszę. Christopherze Smith, aresztuję pana pod zarzutem morderstwa. Nie musi pan nic mówić, ale może to zaszkodzić pana obronie...

Puszczam mimo uszu jego pouczenie, potulnie wystawiając nadgarstki. Całą uwagę skupiam na Laurze, stojącej u podnóża schodów. Jej usta wyglądają z karmazynowej otoczki jej własnego odcisku dłoni, rękami otula brzuch. Wyraz jej oczu mnie wydręza.

– K i e dy? – pyta.

Kiedy co? Dopiero po kilku sekundach pojmuję, o co jej chodzi. Ten jęk, który dobiegł mnie przez otwór na listy. To Beth ostrzegła mnie, żebym się zamknął.

Beth nie powiedziała Laurze, co zaszło na Lizard Point.

Ja to zrobiłem.

– W Kornwalii – wyznaję wreszcie. – W noc przed twoim przyjazdem.

Laura kiwa raz głową, po czym zamyka oczy, jakby mój widok był dla niej nie do zniesienia. Trzask kajdanek odbija się echem po naszej czerwonej kuchni. Osuwam się na kolana. Moje skute ręce opadają bezwolnie, obrączka jest skąpana we krwi. Laura odwraca się do mnie plecami. Serce mi pęka, ale gdzieś pomiędzy stratą i przerażeniem rodzi się spóźnione poczucie ulgi, uwolnienia.

## Czwarty kontakt





LAURA

30 września 2015

Stoimy ramię przy ramieniu przed upstrzonym lustrem. Nasze odbicia unikają spojrzenia sobie w oczy. Tak jak ja jest ubrana na czarno i widać, że podobnie jak ja wybrała strój starannie. Żadna z nas nie jest oceniana, przynajmniej nie oficjalnie, ale obie wiemy, że w sprawach takich jak ta kobieta nie uniknie osądu.

Kabiny za nami są puste, drzwi stoją otworem. W sądzie to gwarancja prywatności. Nie tylko na miejscu dla świadka należy pilnować każdego słowa.

Odchrząkuję, a odgłos odbija się echem od wyłożonych płytkami ścian, niczym miniatura naśladowująca doskonałą akustykę holu. Tu wszędzie mieszka echo. Korytarze rozbrzmiewają urzędowym stukiem zamykanych drzwi oraz skrzypieniem wózków transportujących akta, zbyt ciężkie, by nosić je w rękach. Wysokie sufity wyłapują słowa i odrzucają je z powrotem zniekształcone, zdeformowane.

Ogromne przestrzenie i przesadnie wielkie sale sądu łudzą iluzją swej wszechwładzy. To celowe – żeby nikt nie zapomniał o swojej marności w obliczu potęgi maszyny sądu karnego, żeby przyćmić niebezpieczną, jarzącą moc wypowiedzianych pod przysięgą słów.

Czas i pieniądz też uległy wypaczeniu. Sprawiedliwość pożera złoto, zabezpieczenie własnej wolności kosztuje dziesiątki tysięcy funtów. Siedząca

w galerii dla publiczności Sally Balcombe ma na sobie biżuterię wartą tyle, co skromne mieszkanie w Londynie. Nawet skóra, którą obity jest sędziowski fotel, cuchnie forszą. Prawie czuję ten zapach w nozdrzach.

Za to toalety, jak wszędzie, pokazują, że wszyscy jesteśmy równi. Tu, w damskiej, nadal nikt nie naprawił spłuczki, nie dołał mydła do pojemnika, zamki w drzwiach nie działają jak należy. Z niesprawnych rezerwuarów płyną z szumem strużki wody, uniemożliwiając dyskretną rozmowę. Gdybym chciała cokolwiek powiedzieć, musiałabym krzyczeć.

Lustruję jej odbicie. Luźna sukienka maskuje jej kształty. Moje włosy – lśniące i długie, pierwsza rzecz, którą pokochał we mnie Kit, włosy, które, jak twierdził, błyszczą w ciemności – upięłam w belferski kok. Obie wyglądamy... skromnie. To chyba właściwe określenie, choć dotąd nikt nigdy mnie tak nie określił. Nie ma w nas śladu kobiet z festiwalu – dziewczyn, które pomalowały sobie ciała i twarze na złoto, żeby wirować i wyć w księżycowej poświacie. Tamtych dziewczyn już nie ma, umarły, każda na swój własny sposób.

Gdzieś na zewnątrz z hukiem zamykają się ciężkie drzwi, wyrywając nas z zamyślenia. Widzę, że jest tak samo zdenerwowana jak ja. Nasze odbicia wreszcie spotykają swój wzrok i każda z nas bezgłośnie zadaje drugiej pytania zbyt trudne, zbyt niebezpieczne, by ubrać je w słowa.

Jak do tego doszło?

Jak się tu znalazłyśmy?

Jak to wszystko się skończy?





LAURA

28 września 2015

Dzisiejszej nocy będzie krwawy Księżyc; nie zaćmienie Słońca, ale jego odwrotność, Ziemia przesuwa się pomiędzy Księżycem i Słońcem. O trzeciej nad ranem światło przebijające się przez atmosferę ziemską pomaluje Księżyc rdzawą czerwienią. W celi Kita z Belmarsh nie ma okien. Będzie mógł podziwiać zaćmienie Księżyca, jeśli dwanaścioro mężczyzn i kobiet naradzających się obecnie nad jego sprawą uzna, że jest niewinny.

– Niedobrze mi – mówię do Ling.

Ten jeden raz nie próbuje mnie pocieszać, już nawet nie szuka frazesów.

– Mnie też – mówi tylko.

Wkładam nadgarstki pod kurek z zimną wodą. Stoimy w damskiej toalecie w Centralnym Sądzie Karnym, znanym ludziom jako Old Bailey lub po prostu Bailey, w skrócie używanym przez osoby zawodowo związane z prawem. Ja sama zaczynam się czuć jak zawodowy świadek.

Jesteśmy wysoko w każdym sensie – sala numer dwanaście jest na najwyższym piętrze, osiemdziesiąt dziewięć stopni. W tym gmachu, w holu nie kłębią się tłumy, nie ma miejsca dla szpiegujących reporterów, nie wpada się przypadkiem na uczestników procesów. Publiczne galerie – do jednej z nich jestem teraz relegowana, bo mój występ już się zakończył – są oddzielone od głównej części

sądu. Niezależnie od tego, kim jesteś i jaki jest twój stopień zaangażowania w daną sprawę, w galeriach publicznych nikt nie cieszy się przywilejami. Zasady są o wiele surowsze niż w Sądzie Koronnym w Truro. Nie wolno nawet wnieść butelki wody. W ustach zaschło mi tak bardzo, że język przykleja mi się do zębów, kiedy próbuję je nim przetrzeć. Przykładałam wargi do kranu i piję łąpczywie.

– Och, Lauro! – woła Ling. – Bóg wie, co jest w tej wodzie.

Ma rację, smakuje jak brudne monety. Przełykam.

– Jak długo ławnicy się już naradzają?

Patrzy na zegarek, jakbym trzydzieści sekund temu nie pytała o to samo.

– Trzy godziny.

– Mogą nie podjąć dziś decyzji. Powinnam zadzwonić do domu.

To nie takie proste. W Bailey nie da się po prostu wyciągnąć komórki z kieszeni. Nie ma nawet osoby, która mogłaby ją przechować – swoją musiałam zostawić w kawiarni po drugiej stronie ulicy. Telefon do domu oznaczałby konieczność pokonania trzech pięter i ochrony, przejścia przez ulicę, wejścia do kawiarni, a potem, po rozmowie, odbycia wszystkiego jeszcze raz, w drugą stronę.

– A jeśli ogłoszą wyrok, jak ciebie nie będzie? Tak jak czekasz na autobus, zaglądasz tylko do sklepu po coś do picia, a wtedy on przejeżdża.

Niemal mam ochotę pokusić los, ale muszę tu być dla Kita.

– Masz rację – przyznaję.

Poza tym nie chcę się przedzierać przez stada reporterów. Proces trafił na pierwsze strony gazet, stał się hitem Twittera, państwowych stacji telewizyjnych, debat radiowych. Proponowano mi dziesiątki tysięcy funtów za przedstawienie mojej historii. Paparazzi koczowali pod moim domem już dziesiąty dzień.

Bliźnięta mają pięć miesięcy i są w domu. Nie miałam wyjścia, musiałam wrócić do pracy dziesięć tygodni po porodzie. Tak, bardzo tego żałuję. Z mężem w areszcie w Belmarsh i sześciocyfrowym rachunkiem za usługi prawne na horyzoncie przyjąłam najwyżej płatną pracę, jaką mogłam dostać, jako kierowniczka brytyjskiej fundacji absolwentów na amerykańskiej uczelni – zbieram pieniądze od zamożnych absolwentów na ulepszanie i tak już godnego podziwu

kampusu. Nie najszczytniejszy cel, ale dobrze płatny, a do tego prestiżowy; informacja o mianowaniu mnie na stanowisko pojawiła się w dziale newsów magazynu „The Fundraiser”. Po raz pierwszy w karierze musiałam sobie zrobić profesjonalne zdjęcie. Wystąpiłam w rozpuszczonych włosach. Nie mam już powodu się ukrywać, nie mam przed kim. Miarą mojego wycieńczenia pracą połączoną z macierzyństwem jest poczucie odpoczynku, jakie dał mi miniony tydzień urlopu z powodów osobistych, spędzony na wyczerpujących godzinach na stanowisku dla świadków i udręce obserwowania dalszego ciągu z publicznej galerii.

Kiedy wychodzimy, czeka na nas Mac, czuć, że właśnie wypalił papierosa. Zaczął znów chodzić na spotkania dla uzależnionych w ramach ataku wyprzedzającego. Adele stoi przy synu, ubrana na czarno. Wymieniamy spięte uśmiechy. Na każdym dusznym piętrze znajdują się dwie sale rozpraw, pilnowane przez ochroniarzy o grobowych minach. Zestaw ekranów monitoringu tworzy kompilację prawniczych dramatów telewizyjnych, rozgrywających się jednocześnie w niebieskawym monochromie.

Wszystko w Bailey to całkiem inna liga. Zamiast dwójki lokalnych prawników w procesie ścierają się honorowi członkowie palestry. Nasz radca królewski nazywa się Danny Hannah. Jest grubo po pięćdziesiątce i myślę, że właśnie opłacałam studia jego dzieciom. Jego peruka z końskiego włosa jest pociesząco obmierzła, a on od początku utrzymuje z absolutnym przekonaniem, graniczącym wręcz z beztroską, że uniewinnienie Kita jest z góry przesądzone. Komentator jednej z gazet wyraził zaskoczenie, że sprawa w ogóle trafia na wokandę, chociaż, jak wyjaśnił nam Danny, oburzenie publiczne byłoby o wiele głośniejsze, gdyby prokuratura odstąpiła od oskarżenia.

Zabójstwo Jamiego Balcombe’a przez Kita nigdy nie ulegało wątpliwości, ale żeby skazać kogoś za morderstwo, trzeba dowieść motywu. Echa pierwszego procesu bywają ogłuszające.

Kit dobrze sobie poradził podczas przesłuchania. On, ja i inni świadkowie mieliśmy tylko podkreślić, że działał w samoobronie oraz w obronie swojej żony

i dzieci. Przeszłość została rozorana, jakżeby inaczej, ale podczas gdy oboje wyjaśniliśmy wszystkie szczegóły dramatu, który rozegrał się tamtego popołudnia w naszej kuchni, to uzgodniliśmy, szeptem przez więzienny stół, że pewne sprawy powinny zostać tylko między nami. Niektórych prawd nie da się przełknąć w całości. Ślady z miejsca zbrodni potwierdzają naszą wersję – odciski palców Jamiego na naszym nożu i zakrwawione nacięcie w mojej koszulce mówią same za siebie. Fakt, że nóż porzucony na naszej podłodze pochodził z domu Jamiego, dowodzi premedytacji z jego strony. Teczka od Beth leżąca na moim biurku działała na naszą niekorzyść; prokuratura wskazała ją jako motyw, stawiając zarzut zabójstwa zamiast nieumyślnego spowodowania śmierci. Podczas krzyżowego ognia pytań sugerowali, że położyłam ją tam celowo, jako doskonałą wymówkę. Nie drgnęłam w swoich zeznaniach ani o milimetr, jak przynitowana do podłogi. Mieliśmy też oczywiście Antonię, która potwierdziła złożone na piśmie oświadczenie Beth. Jednak ława przysięgłych to dziwny stwór. Nigdy nic nie wiadomo.

– Wszystkie strony w sprawie Smitha proszone są do sali numer dwanaście. – Dźwięk z głośnika ma brzmienie starej płyty gramofonowej.

Ręce zwisają mi luźno po bokach, Adele chwyta jedną z nich, Ling drugą, a Mac trzyma się Ling. Trwamy tak, niczym w zbiorowej modlitwie, aż wreszcie ochroniarz wskazuje nam wejście.

Nie dla Bailey przytulność Sądu Koronnego w Truro. Tutejsza galeria publiczna połyskuje mosiądzem i marmurem, a balkon wisi sześć metrów nad uczestnikami procesu. Takiego tłoku na ławie dla reporterów nie było od początku procesu. Dostrzegam w tłumie naszą starą znajomą Alison Larch, choć to odmieniona wersja dawnej niej. Zrobiła coś z twarzą, tak że jej górna warga wystaje jak kaczy dziób – światło odbija się od jej gładkiego czoła. Mac zaciska palce na mosiężnej barierze. Żyły na grzbietach jego dłoni są tak nabrzmiące, że grożą pęknięciem.

Balcombe'owie zajęli już miejsca. Możliwe, że siedzą tak od wyjścia ławy przysięgłych. Tym razem nie ma pełnej świty, są tylko lord Jim, bo tego się dochrapał, i lady Sally. Brat pojawił się na początku, ale został wyproszony, gdy

tuż po odczytaniu aktu oskarżenia nazwał Kita zbrodniczym ścierwem. Nie wiem, co stało się z siostrą. Sally Balcombe trzęsie się i chodzi o lasce. Nie przychodziła codziennie, ale Jim nie stracił ani minuty. Najpierw siadał z przodu, jak my. Jednak z biegiem procesu, gdy reputacja jego syna była szargana na drobne kawałki, kiedy odkrywano kolejne warstwy oszustw i przemocy, Jim zaczął się cofać. Kiedy stażystka z firmy Jamiego wystąpiła ze swoją drastyczną historią, przesiadł się do środkowego rzędu, a teraz kryje się całkiem z tyłu, poza polem widzenia prasy i, na szczęście, Kita. Nawet z mojego miejsca dostrzegam frustrację Jima. Jest zdruzgotany, że nie było mu dane wybrać oskarżyciela i że tak banalna rzecz jak wsadzenie za kratki mordercy jego syna jest poza zasięgiem jego portfela. Nie chcę czuć litości dla Jima i Sally Balcombe'ów, ale nie umiem się powstrzymać. Muszą cierpieć podwójnie, kiedy ich wspomnienia zostają zatarte przez obraz rysowany w tym sądzie.

Mój mąż jest w ławie oskarżonych poniżej mnie, ubrany w granatowy garnitur, który mu kupiłam, zanim zorientowałam się, jak bardzo schudł. Jest spięty kajdankami z ochroniarzem – kolejny strażnik pilnuje drzwi, i ten widok mnie rozbawia – no naprawdę, czego się spodziewają? Wychyliłam się przez marmurowy parapet, żeby mnie zobaczył. Ława przysięgłych w sali numer dwanaście jest płytką i szeroka, z ośmioma składanymi krzesłami ustawionymi w rzędzie. Jestem prawie pewna, że ławnicy nie widzą pustych krzeseł po obu stronach Kita, choć z mojego punktu widzenia, jak ze szczytu boskiego Olimpu, zawsze wydawało mi się, że podkreślają jego absolutną niewinność. Tak źle mogłoby być, sugerowały puste miejsca. Mógłby być spiskowcem, siedzieć tu w towarzystwie innych współwinnych. Mógłby być p r a w d z i w y m przestępcą.

Te puste krzesła przypominają mi też, jak mało brakowało, bym stała teraz u jego boku.

Kit podnosi głowę i patrzy wprost na mnie, wzrokiem ciężkim od naszej historii i poczucia winy, które nie ma żadnego związku z trupem Jamiego.

– Proszę wstać, Wysoki Sąd idzie – ogłasza woźny i nawet Sally Balcombe podnosi się z miejsca.

Przewodniczący rozprawie sędzia Sądu Najwyższego składa palce i prosi o powrót ławy przysięgłych. Na salę wkracza dwanaścioro ławników, ożywionych własną ważnością. Nie spuszczam wzroku z przewodniczącej, smukłej brunetki, nieprzeniknionej od rozpoczęcia procesu do chwili obecnej.

– W sprawie prokuratura kontra Smith – co orzekacie wobec oskarżonego? – pyta sędzia.

Lęk posyła na moje ręce zastępy mrówek ognistych, szarpie przedramiona paznokciami. Przewodnicząca ławy przysięgłych odchrząkuje.

– Niewinny.

Z ust siedzących z tyłu Balcombe'ów wyrywa się jęk. Mac dość teatralnie przykładą czoło do mosiężnej barierki, przez co przegapia moment, w którym Kit patrzy w naszą stronę; nie da się nazwać wyrazu jego twarzy uśmiechem, lecz raczej uwolnieniem od grymasu, który spinał jego oblicze od chwili aresztowania.

– Dzięki, kurwa, Bogu – mówi Ling. – Dzięki za to. – Odwraca się do mnie. – Dobrze się czujesz?

Jak mam na to odpowiedzieć?

Jeszcze nie może wyjść. Trzeba wykonać masę papierkowej roboty na dole, w celach. Dokumenty muszą powędrować faksem do Belmarsh i z powrotem. Co najmniej pół godziny minie, zanim go zobaczę, i będzie to publiczne powitanie. Mogliby zorganizować jakiś pokój zjednoczeń na takie okazje. W końcu w Bailey jest multum pokoi, przestronnych atriów i ciasnych klitek. Widziałam ich mnóstwo, kiedy czekałam, by wezwali mnie na świadka. Ale nie. Kiedy wszystkie formularze zostaną wypełnione, wypuszczą go na ulicę. To naprawdę nieprzyzwoite, szczególnie biorąc pod uwagę morze kamer czekające na nas na chodniku. Ostateczne poniżenie.

Jednak jeszcze nie jest nasz, więc mamy swobodę, by wymknąć się do kawiarni okrężną drogą, przez Warwick Passage, wyłożone płytkami podziemne przejście sąsiadujące z głównym wejściem. Rzucam się na telefon, jakby był jednym z moich dzieci, a nie urządzeniem dającym mi kontakt z nimi, dowiaduję się, że maluszki

mają się świetnie i zażywają właśnie poobiedniej drzemki. Rozluźniam się trochę. Po kawie nasza czwórka wraca do gmachu sądu po Kita. Ulica przed budynkiem jest pozbawiona charakterystycznych punktów, ale jest natychmiast rozpoznawalna z telewizyjnych serwisów informacyjnych, a może robi takie wrażenie z powodu zgrai reporterów. Chowamy się przed nimi w podziemnym przejściu, czekając, aż mecenas Danny Hannah zadzwoni na moją komórkę. Liczę miniaturowe pęknięcia w białych płytkach na ścianach. Kiedy wreszcie rozlega się sygnał komórki, Kit jest już w drodze na zewnątrz. To sześćdziesięciosekundowe ostrzeżenie. Mój żołądek robi kilka koziołków, gdy wychodzę na ulicę.

– Lauro! Tutaj, Lauro! Uśmiech, Lauro!

Lampy błyskowe uderzają mnie niczym pchnięcie w klatkę piersiową. Zamieram w miejscu. Z drugiej strony ulicy para chińskich turystów fotografuje ich, podczas gdy oni fotografują mnie. Wreszcie błyski stapiają się w jedno lśnienie, w elektrycznego węgorza, który odpełza ode mnie. W szoku mrugam jeszcze, kiedy pojawia się Kit. Mac dopada go pierwszy i od razu go przytula. Żadnego przybijania piątek i klepania w łopatkę dla tych dwóch – Mac tuli Kita jak małe dziecko, głaszcząc go po plecach. Żadnego z nich nie obchodzi, że wszyscy na nich patrzą. Jeden z paparazzich cmoka z dezaprobatą i patrzy na mnie, a jego myśli są wyraźne, jakby wypowiedział je na głos. To m n i e chce na zdjęciu. To ja jestem ujęciem za milion.

– Dalej, Lauro – mówi, z powrotem ściągając na mnie uwagę.

Kit wyswobadza się z uścisku brata i pojedyncze błyski fleszy zlewają się w białą ścianę światła, kiedy pojedynczym, opanowanym krokiem wstępuję w jego szeroko otwarte ramiona. Odwracam twarz – tej części mnie nie dostaną – i naprawdę przytulam męża po raz pierwszy od poranka, kiedy wyruszył na Wyspy Owcze. Pasujemy do siebie jak dawniej, jak na początku, bo jest tak szczupły, jak kiedy go poznałam. Palce Kita odnajdują moją twarz. Odchyła mój podbródek, odgarnia z policzka kosmyk włosów i przymykając powieki, łączy usta z moimi. Pocałunek trwa, jest suchy, ale nie pozbawiony uczucia. Jesteśmy zbyt zżyci na gorące pożądanie, ale budzi się we mnie jakaś pamięć mięśniowa. Nadal to czuję.

Zawsze będę czuć.

Powoli odsuwamy się od siebie – najpierw usta, potem ciała, aż wreszcie łapiemy się za ręce i pozujemy do zdjęć.

– Szerokie uśmiechy, prosimy! – woła jeden z fotoreporterów.

Szczerzymy zęby i mrugamy mokrymi oczami.

– Co nam powiesz, Kit? – pyta kobieta z mikrofonem.

Danny Hannah staje przed nami.

– Ja będę się wypowiadał w imieniu mojego klienta.

– Co dalej? – pyta Adele. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej wygląda jak biedna starowinka.

– Zmywamy się stąd – mówi Mac. Kiwa głową ku stojącej po drugiej stronie ulicy Ling, której udało się złapać czarną taksówkę.

Zostawiamy Danny’ego Hannah, żeby zaspokoił apetyt reporterów, i wsiadamy do auta. Jakiś paparazzi towarzyszy nam jeszcze na rowerze, kiedy suniemy, irytująco powolnie, wzdłuż sądu, a potem w dół Ludgate Hill. Taksówkarz wreszcie ucieka reporterowi na Cheapside, włączając migacz w lewo, a potem ostro skręcając w prawo, więc kiedy docieramy do Holborn, jesteśmy sami. Sprawdzam ulicę – za mną, na wysokości głowy, świeci cały rząd żółtych świateł. Taksówek pod dostatkiem. Pukam w szybę kierowcy.

– Może pan tu zjechać?

Ling wie, ale Adele, Mac i Kit wymieniają zaskoczone spojrzenia.

– Lauro? – nie rozumie Adele. Właśnie jej najbardziej mi żal.

– Przykro mi, Adele. – Wysiadam tyłem na chodnik. – Nie mogłam upokorzyć go przed kamerami. – Podczas gdy ona przygryza moje słowa, zwracam się do Kita. Ostrzegałam go, że tak będzie, ale po jego minie widzę, że nigdy nie przestał wierzyć, że zmienię zdanie. Niech ma nadzieję do końca życia. – Jeszcze przez jakiś czas będą spać. Jeśli przyjdiesz około osiemnastej, możesz wziąć udział w kąpieniu.

To polecenie. Kiwa głową.

Zatraskuję drzwiczki i czekam, aż Ling złapie nam kolejną taksówkę. Dopiero



gdy bezpiecznie zajmujemy tylne siedzenie, pozwalam sobie na łyzy.



LAURA

30 września 2015

Kit wypowiadał mi się ze wszystkiego nad odrapanym, plastikowym stołem w więziennym pokoju odwiedzin. Były z jego strony wstrętne łyzy i łkanie, ale zwrotki jego pieśni przetykał zawsze ten sam refren. „Zrobiłem to dla ciebie”, powtarzał. „Zrobiłem to dla ciebie. Raz tylko spieprzyłem, zupełnie bez znaczenia. Nie warto było odrzucać najpiękniejszej rzeczy, jaka obojgu nam się przytrafiła, dla jednej chwili obłądu. Zrobiłem to wszystko, żeby nas ratować”. –

Z całego pakietu jego wymówek – Mac, praca, śmierć ojca – „zrobiłem to dla ciebie” jest najgorszą obelgą. Jak ktoś, kto darzył mnie miłością, ktoś, kto mnie znał, mógł zrobić coś tak okrutnego dla mojego dobra? To jakaś zdeformowana miłość, skoro kochający mnie człowiek wolał przeciągnąć mnie przez piętnaście lat miażdżącego lęku, niż raz sprawić mi przykrość. Zbyt słaby, by żyć beze mnie, wybrał życie ze mną, zniszczoną i chorą, ponad utratę mnie. Nie tylko odebrał nam wspólną przyszłość, ale wyrwał też moją przeszłość.

Przy odwiedzinach ograniczonych do dwóch półtoragodzinnych sesji w tygodniu Kit serwował mi swoje rewelacje w odcinkach, jak wiktoriański powieściopisarz droczący się z czytelnikiem. Każdy rozdział zdierał ze mnie kolejną warstwę skóry. Jednego popołudnia kazałam mu opowiedzieć szczegóły – namiot z herbatą, śpiwór – od razu skojarzyłam: świeży zapach mydła na jego

ciele, w dniu, w którym przyjechałam do Kornwalii. Był pod prysznicem, żeby zmyć ją z siebie. Myślałam, że to w t e d y zostałam obdarta do kości. Tego wieczoru płakałam tak bardzo, że zastąpiłam chusteczki higieniczne kuchennymi ręcznikami. Uznałam, że potrzebne jest nowe słowo na taki rodzaj płaczu; żaden wyraz w słowniku w najmniejszym stopniu nie oddawał jego intensywności. Może inne języki mają określenie na te łyzy żalu, gniewu i zdrady, wystarczająco mocne, by cię zabić, ale w brytyjskiej kulturze brak odpowiedniego wyrażenia.

Często powtarzał, że żałuje, iż nie skierował ostrza noża we własną stronę, i w najczarniejszych chwilach przyznaję mu rację. „Nie masz pojęcia, przez co przeszedłem” – powiedział mi podczas ostatniego spotkania, w próbie zdobycia mojego współczucia, i po raz pierwszy jego słowa uderzyły w strunę mojej empatii, bo w tym względzie się mylił. Wiem, jak to się zaczęło. To jasne, że rozumiem, jak to jest mieć tajemnicę. Przez lata sądziłam, że to m o j e kłamstwo może nas zniszczyć. Przyznaję, istnieje pewna analogia, ale doprawdy, to jak różnica pomiędzy wąwozem dzielącym góry i kreską wyrysowaną patykami na piasku.

Czy wybaczyłabym Kitowi noc z inną kobietą? Nieprzerwanie zadaję sobie to pytanie. Patrząc z perspektywy zbliżającego się wieku średniego, mogę powiedzieć, że jestem wyrozumiała dla jego młodszej niepewności (czuję też pewne skonsternowane zdumienie, że od razu się nie zorientowałam). Jak na ironię, tego typu zdradę potrafiłabym pewnie wybaczyć na późniejszym etapie naszego małżeństwa, kiedy już miałam świadomość, ile czas i presja zmieniają w związku. Mając dwadzieścia jeden lat, byłam gorąco, nieustępliwie zakochana. Pewnie Kit ma rację – wtedy byłoby po nas. Szkoda, że tak się nie stało. Żałuję, że po prostu nie złamał mi serca, kiedy miał ku temu okazję. Młode serca, jak młode kości, są elastyczne. Potrafią się zrosnąć.

Nigdy nie wybaczę tego, co nastąpiło potem: systematyczne oczernianie bezbronnej kobiety, ofiary g w a ł tu, zażenowanej tym, że bezwiednie mnie skrzywdziła, i zmagającej się z traumą tego, co ją samą spotkało. Beth chciała być przyjaciółką i mieć przyjaciółkę; Kit nie zasługiwał na jej lojalność i choć żałuję, że od razu nie powiedziała mi prawdy, nie winię jej za milczenie. Na myśl, że Kit

podważał nawet wiarygodność jej oryginalnej wersji na temat gwałtu, mam odruch wymiotny. Jest jednak coś jeszcze gorszego niż zdrada i jego późniejsze uczynki, a mianowicie, Kit odczekał, aż dowiedzieliśmy się, że Beth przeżyje, i dopiero wtedy przyznał mi się do szkła i pożaru. Przez pierwsze dwa tygodnie jej życie wisiało na włosku; przez ten czas odwiedziłam go w więzieniu dwa razy. Wyrażał tylko skruchę za odbyty z nią seks. Gdyby nóż Jamiego Balcombe'a trafił równie celnie, co broń Kita, gdyby ostrze zagłębiło się odrobinę dalej w jej pierś, zabrałaby do grobu ogrom jego oszustwa. Niewierność Kita obdarła mnie ze skóry, ale jego tchórzostwo ciosa kości. Zatrzyma szpik.



LAURA

3 kwietnia 2015

Kupiłam winogrona, ale dopiero w windzie zauważyłam, że nie wybrałam bezpestkowych. Mam za swoje, że zrobiłam zakupy spożywcze na Green Lanes. Leżała w szpitalu North Middlesex, dwa piętra nad oddziałem położniczym. Przez pierwsze dwa tygodnie, kiedy walczyła o życie na intensywnej terapii, podczas gdy goiły się moje powierzchowne siniaki, odwiedziny były dozwolone tylko dla członków rodziny. Dopiero później dowiedziałam się, że nie było to podyktowane sztywną polityką szpitala, ale prośbą jej rodziców. Nie chcieli, żebym ja, Antonia, a już na pewno ktokolwiek związany z Balcombe'ami miał do niej dostęp. Teraz, kiedy już od trzech dni była na zwykłym oddziale, ochrona nie była tak surowa.

Mimo to czułam się jak intruz, idąc długim, szarym korytarzem do jej sali, zaciskając palce na papierowej torebce z owocami. Gdy byłam już blisko, z pokoju wyszła niska, przysadzista kobieta o ciemnoszarych włosach. Kilka sekund zajęło mi wymazanie z jej twarzy zmarszczek i opuchnięć, by zrozumieć, że patrzę na matkę Beth, którą widziałam ostatnio w holu gmachu w Truro. Przekroczyła już próg dzielący wiek średni od starszego; jej twarz i ciało stały się bezkształtne, włosy siwe, i tylko sine obwódki jej oczu nadawały jej twarzy wyraz. Wstyd kazał mi się schować za ekran na kółkach. Chwyciłam papierową torbę tak mocno, że papier pękł. Kilka winogron oderwało się od łodygi i potoczyło nierówno

korytarzem prosto pod nogi pani Taylor. Spięłam się, gotowa na wyrzuty, które mi się należały, ale kobieta była tak pogrążona we własnych myślach, że nie zauważyła rozsypanych owoców. Odczekałam, aż sobie pójdzie, pozbierałam winogrona z podłogi i wrzuciłam je do kosza na śmieci, po czym skręciłam do pokoiku Beth.

Siedziała w łóżku ze wzrokiem wbitym w drzwi. Mogłabym przysiąc, że na mnie czekała.

– Cześć. – Położyłam winogrona na szafce przy łóżku, obok setek złożonych już przez innych gości.

– Założę sobie winnicę – powiedziała Beth, uśmiechając się niepewnie, tak jak wszystkie te lata temu, kiedy badała grunt, czy wypada żartować.

Teraz, tak jak wtedy, uznałam, że jak najbardziej.

– Pasuje ci ta szpitalna koszula – skomplementowałam. – Podkreśla zieleń oczu.

Roześmiała się, po czym, z grymasem, złapała się za niezgrabny opatrunek na boku.

– Jesteś o g r o m n a – powiedziała z podziwem.

– Nawet nie mów. Czuję się, jakby mi miało zabraknąć skóry.

Wcisnęłam się w stojące przy łóżku krzesło, świadoma jęku, jaki wydało pod moim ciężarem. Wydawało mi się właściwe, żeby ująć jej dłoń w swoje ręce. Jej skóra była tak miękka, jak pamiętałam. Teraz, kiedy już przyszłam, zdałam sobie sprawę, że nie przećwiczyłam tego, co chcę powiedzieć. Powinnam była przynajmniej zaprowadzić jakiś chronologiczny porządek w głowie.

– Dosłownie nie wiem, od czego zacząć. Kit wszystko mi powiedział. To znaczy, tak mi się wydaje – ilekroć myślę, że już skończył, wyskakuje coś nowego. Nie wiem, co wiesz, a czego nie.

– Nie wiedziałam o t o b i e. – Słowa wyrwały się z jej ust w takim pośpiechu, jakby miała je na końcu języka przez piętnaście lat. – Byłam załamana, kiedy się dowiedziałam, że ma dziewczynę. Byłam zrozpaczona, mdliło mnie, w życiu bym się z nim nie przespała, gdybym wiedziała, że jest zajęty. – Po chwili namysłu, już spokojnie, dodała: – Nie chodziło mi o Kita, wiesz? Kiedy przyjechałam do

Londynu. Nie chciałam go od momentu, w którym powiedział mi o tobie. To ciebie potrzebowałam, naprawdę. Twoja wiara we mnie, Jezu, Lauro, trzymałaś mnie przy życiu.

– Wiem – odpowiedziałam. Czułam w jej dłoni ogarniającą ją ulgę; nawet kości zdawały się topnieć. Nadszedł czas na mówienie prosto z mostu, żadnego owijania w bawełnę. Nie miałam zamiaru rozwlekać wszystkiego przed Beth, tak jak Kit robił to dla mnie.

– Podłożył ogień i pozwolił wierzyć, że to twoja sprawka. Tak mi przykro.

Zapadła pełna oszołomienia cisza, w której wzrok Beth błędził po mojej twarzy.

– Kit podpalił własne mieszkanie? Kiedy ty byłaś w środku? Kit? – Wyraz jej twarzy był jasny: „Nie podejrzewałam, że stać by go było na taki czyn”. Ja rozumiałam, choć jeszcze nie do końca pogodziłam się z tą świadomością. – Ale dla czego?

– Bo. – Czułam napływające łzy, ale udało mi się je zatamować. Nie po to, by ukryć mój ból przed Beth, lecz by przekazać jak największą część historii, póki byłam w stanie spójnie mówić. Byłam jej to winna. – Wiedział, że nie odwrócę się od ciebie bez cholernie ważnej przyczyny. Więc mi ją dał. – Opuściłam wzrok. – Przypuszcza, że pomysł zrodził mu się w głowie na podstawie opon, które pocięłaś koleżance, i tego zdjęcia, które nam podarowałaś. Miałam zobaczyć, że jesteś trochę... – Pokręciłam palcem przy skroni i po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że i te wypadki Beth mogły wynikać z działań Kita. Beth odczytała to przypuszczenie z mojej twarzy i uniosła obie ręce.

– Nie, obawiam się, że to byłam cała ja.

Przetrawiłam tę informację. Cóż, wszyscy w młodości robimy głupoty.

Siedziałyśmy w milczeniu. Korytarzem z brzękiem przejechał wózek, skądś doleciał paskudny odór akrylamidu, który mógł oznaczać jedynie szpitalny obiad. Zerwałam winogrono – jedno z cudzych – i rozgryzłam skórkę. Było cierpkie w środku.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o nocy z Kitem?

Zabrzmiało to jak wyrzut. Może na jakimś poziomie, nad którym nie miałam

władania, naprawdę go czułam. Jestem dożywotnio skazana, by badać wszelkie uprzedzenia zarówno w sobie, jak i w innych.

– Miałam to zrobić. – Zarumieniła się. – Dlatego w ogóle tam byłam, na tym polu. Podczas zaćmienia. Poszłam za wami – nie jestem z tego dumna – i zamierzałam powiedzieć ci, z jakim palantem się zadajesz.

– Co cię powstrzymało? Jamie?

– Nie, byłam już w drodze powrotnej, kiedy mnie dogonił. To ty mnie powstrzymałaś. – Musiała zauważyć, że nie rozumiem, więc przechyliła głowę na bok, a jej głos przeszedł w szept. – Patrzyłam, jak obserwujecie zaćmienie. Widziałam was razem, to była magia. – Jej słowa niosą mnie z powrotem na dach ciężarówki, widzę fioletowe światło rozlewające się po niebie, czuję, że jesteśmy z Kitem tak blisko, że inni ludzie mogliby wcale nie istnieć. – Poprzedniej nocy mówił mi, ile znaczą dla niego zaćmienia, a jednak z największym wysiłkiem odrywał oczy od ciebie, żeby spojrzeć w niebo. Nigdy wcześniej nikt tak na mnie nie patrzył. Zresztą, do tej pory jeszcze się nie doczekałam. – Zawija w palcach róg koca. – Wiedziałaś, że mówił prawdę, że to, co zaszło między nami, było chwilą zamroczenia, a przecież każdy ma prawo raz coś spieprzyć, prawda? Byliście zgraną parą, Lauro, byliście autentyczni. To daje się zauważyć. Nie mogłam tego ruszyć... Och, tak mi przykro.

Moje łzy płynęły wartkimi, gorącymi strumieniami. Beth mówiła jedyną rzecz, której nie mogłam znieść. Byliśmy dla siebie stworzeni, ja i Kit; byliśmy złotą parą. Przez jeden błysk ujrzałam, dlaczego posłużył się tak nikczemnymi sposobami, by zachować nasz związek. Z moich ust wyrwał się skowyt. Beth podała mi chusteczkę z szafki przy łóżku, a jedną wzięła dla siebie.

– Gdyby proces nie splótł naszych ścieżek, na tym mogłoby się zakończyć. Odfajkowałabym przygodę z Kitem jako doświadczenie młodości i zostawiłabym was w spokoju. A to wszystko... Całe to g ó w n o nigdy by się nie wydarzyło.

Na chwilę uciekłam do tego hipotetycznego świata. Tam Kit nigdy nie zostałby poddany próbie, nigdy nie dowiedziałaby się, do czego zdolna jest jego ciemna strona. Złoto pewnie z czasem by wyblakło, ale nigdy by nie skorodowało. A moje



dzieci mogłyby dorastać pod wspólną opieką obojga rodziców.

A może w tym równoległym życiu Kitowi upiekłby się seks z Beth i zostałby mu smaczek na więcej. Kto wie, może resztę życia spędziłby na nadrabianiu zmarnowanego czasu młodości. Nigdy się nie dowiem. Ale w tym innym świecie...

– Gdybyśmy nie pojechali do Kornwalii, Jamie Balcombe wciąż by żył – pomyślałam na głos.

– W takim razie – Beth patrzy wprost na mnie – warto było odbyć tę podróż.

Wybuchliśmy chorym, nieopanowanym śmiechem, którego nie sposób było oddzielić od gorzkich łez. Był na to termin – histeria. Starożytni Grecy wierzyli, że macica krąży po ciele kobiety, doprowadzając ją do szału. Moja macica tkwiła zakotwiczona do miednicy przez dzieci, ale kiedy siedzialiśmy tak w szpitalu, zanosząc się dzikim śmiechem, który przywołał zaniepokojone pielęgniarki, poczułam, że jakaś jeszcze bardziej fundamentalna część mnie rzeczywiście się odłamała i fruwa mi luźno w środku.

Kiedy się wreszcie uspokoiłyśmy, usiadłyśmy w ciszy, przerywanej jedynie co jakiś czas urywanym westchnieniem. Ujęłam znów rękę Beth i trwałyśmy tak, szczelnie otoczone zasłoną. W atmosferze całkowitej szczerości już miałam jej wyjawic, że skłamałam dla niej na sali sądowej, lub raczej chciałam ją spytać, czy wie, że zeznałam nieprawdę. Nagle wjechał sanitariusz z obiadem – był mész z otrębów, kapusta i coś brązowego – i czar chwili prysł. Co z tego, czy wie, że kłamałam? Beth i ja przeszłyśmy każda swoje piekło, a wreszcie razem odnalazłyśmy bezpieczną przystań.

Wychodząc, zagrzechotałam kólkami od zasłony.

– Przyjdiesz mnie jeszcze odwiedzić? – spytała.

Odwróciłam się do niej, ale nie od razu dałam odpowiedź. Głos Kita poniósł się przez lata, odcinając na chwilę moją świadomość. „Jak możesz oczekiwać, że ukujesz autentyczną przyjaźń z kimś, kogo poznałaś w takich okolicznościach?” Wargi Beth zadrżały, jakby czekała na moje pozwolenie, by się uśmiechnąć. Uciszyłam Kita w głowie. Niech z tego popiołu dymu, stali i kłamstw powstanie choć jedna dobra rzecz.

– Oczywiście – powiedziałam.

Ruszyłam lśniącem czystością korytarzem, wyraźnie czując, jak rozluźnia mi się klatka piersiowa, jak rozpręża się ulgą – twardy, ciężki kamień mojego krzywoprzysięstwa spadł mi z serca. W odróżnieniu od Kita, kłamstwo uszło mi na sucho. Na tę myśl coś ścisnęło mnie w gardle. Nie. Kamień spadł mi z serca, lecz się go nie pozbyłam. Opuszczając szpital, zrozumiałam, że głąz winy nigdy w pełni nie zniknie. Stałam na brudnej ulicy, samochody pędziły obok, a ów głąz powoli ścierał się w proch, wręcz niewidzialny pył, który do końca życia miał płynąć w moich żyłach.



LAURA

30 września 2015

Przed moim domem czekają dwaj fotoreporterzy, wycelowują obiektywy w taksówkę, nie wiedząc nawet, kto siedzi w środku.

– Gdzie Christopher, Lauro? – woła jeden z nich przez okno.

– Wejść z tobą? – pyta Ling.

– Nie trzeba. Wracaj do dziewczynek, prawie cię w tym tygodniu nie widziały.

Zdzwonimy się.

Pochyliłam głowę i dobiegam do drzwi z kurtką zaciągniętą na głowę, ze schowanymi włosami. Dałam im pocałunek przed sądem – najwyraźniej byłam naiwna, sądząc, że na tym historia się zakończy. Wyczarowuję na twarzy uśmiech, tak ważny dla moich bliźniaków. Widziały już dość mojego płaczu, żeby mieć traumę na całe życie. Pieluszki z gazy, które nagle pojawiają się w dużych ilościach w domu wraz z dziećmi, nadają się doskonale do ocierania łez. Przez jakiś czas chodziłam po domu z jedną na każdym ramieniu – jedna dla dzidziusia, druga do wypłakiwania oczu.

Tabliczka przy dzwonku głosi teraz po prostu „Langrishe”.

Beth otwiera przede mną drzwi, cofając się o krok, żeby paparazzi jej nie widzieli. Ma na sobie jedną z moich starych koszulek do karmienia piersią i parę błyszczących legginsów. Mam jej tyle do powiedzenia, ale na razie to ona mówi:

– Dobra robota. – Przyciąga mnie do siebie w mocnym uścisku. – Dałaś radę.

– D a ł y ś m y – poprawiam ją.

Beth uśmiecha się łzawo; porozmawiamy później, przy drinku. Przyszła odwiedzić bliźniaki, kiedy miały dwa tygodnie. Tym razem, błagałam, żeby została. „Dlaczego właśnie o na? – nie dowierzała Ling, kiedy zatrudniłam ją jako nianię. – Nie przypomina ci cały czas o koszmarze, który przesłaś?” A ja potrafiłam jedynie odpowiedzieć: „A kto inny?”. Teraz widzę tylko wszystkie okazje, których n i e wykorzystała, aby mnie skrzywdzić. Komu innemu mogłabym bardziej zaufać?

Poza tym, jak wytłumaczyłabym to wszystko obcej osobie?

– Fin właśnie się zbudził – informuje Beth. – Grzeję mu butelkę.

– Super.

Zrzucam buty. W salonie mój starszy synek leży na pleckach, tłukąc wiszące nad nim zabawki jak mały, zbzikowany perkusista. Klękam, by poczuć jego migdałowy zapach, i śmieję się, kiedy poluje na moje kolczyki. Zmienił się nawet od dzisiejszego rana – szafranowe rzęsy są dłuższe, a może przybyło mu włosów. Ma nos po tacie, uszy po dziadku i owal twarzy cały mój. Jest dowcipnisiem i zabijaką, podczas gdy Albie jest łagodny i wrażliwy, uważnie wypatruje wzorów i wyników, zanim na cokolwiek się zdecyduje. Fin rzuca się na wszystko, co jest w ofercie. Bardzo się staram nie porównywać ich do Kita i Maca, i może kiedyś mi się uda.

– Byli grzeczni? – pytam, wyplątując piąstkę Fina z moich włosów.

– Albie był aniołkiem, a Fin diabłem wcielonym – donosi z uczuciem.

– Rozmawiałaś z Antonią?

– Ukrywa się u sąsiadki, obserwuje paparazzich przez ulicę.

– O nie – mówię, choć nie powinno mnie to już dziwić. Może powinnam wysłać Kitowi SMS-a, żeby wszedł od tyłu, przez ogród Ronni.

– Przyjdzie za jakieś półtorej godziny. Powiedziałam, że może pomóc przy kąpieli.

Widzę napięcie na twarzy Beth.

– Chcesz, żebym się zmyła?

Część mnie chce powiedzieć: „nie, zostań, niech cierpi”. Na pewno Kitowi pasowałoby, żeby Beth zniknęła bez śladu. Tak się nie stanie, Beth jednak nie może tu być, kiedy on zjawi się w domu. Sposób, w jaki teraz go powitam, wyznaczy wzorzec już na zawsze. Kit stracił moją miłość, ale jest nadal ojcem moich dzieci.

– Ten jeden raz – proszę. – Dziękuję.

Po wyjściu Kita z aresztu nowy koszmar zastąpi stary. Jak przypuszczam, pojawią się nowi prawnicy – na dobry początek mediacje, kwestie dostępu, domu, prawa do opieki nad dziećmi – byłby s z a l o ny, gdyby w jakikolwiek sposób mi się sprzeciwił, ale w moim mniemaniu przewidywalność jego czynów jest równa przewidywalności czynów byle nieznanego z ulicy – a kiedy wreszcie znajdzie pracę, alimentów. Może mieć coś do powiedzenia na temat nazwiska swoich synów. Jeśli zakwestionuje mój wybór opiekunki, może się zbroić do bitwy.

Z góry dobiega cichutkie marudzenie – Albie się zbudził i spostrzegł, że nie ma brata.

– Iść po niego? – pyta Beth.

Ja jednak rzadko mam okazję nacieszyć się wybudzaniem maluszków z popołudniowej drzemki. Podaję jej Fina i wspinam się na górę do pokoiku dzieci. Chłopcy śpią na poddaszu, gdzie niegdyś był nasz gabinet. Nasze biurka i inne graty zostały zastąpione dwoma łóżeczkami i przewijakiem, wszystko z eBaya. Kiedy chłopcy będą dość duzi na prawdziwe łóżka, pewnie i tak będę musiała wszystko sprzedać. Na razie jest w sam raz.

Wchodzę na paluszkach, choć Albie nie śpi, i na chwilę staję w progu. Zamontowałam ciemną roletę w ogromnym oknie, więc teraz jedynym źródłem światła jest podświetlany globus, obracający się powoli wokół własnej osi, rzucający na białe ściany malowidła map.

– Cześć, śpioszki – mruczę w atlas jego szyjki.

Podnoszę roletę i do pokoju wlewa się błękit, bezkresny firmament nad dachami. Razem patrzymy ponad nie. Niebo nad Alexandra Palace jest jaskrawoniebieskie, poprzecinane smugami bieli, w kolorach sypialni dla

maleńkich chłopców. Albie wpatruje się obojętnie w płynące obłoki, aż nagle coś przyciąga jego wzrok i oczka otwierają się mu szeroko z zachwytem. Nisko przelatujący samolot warczy, zostawiając za sobą ślad. Albie wskazuje go rączką – po raz pierwszy wykonał ten gest. Wiodę oczami za spojrzeniem synka ku niebu, w dal. Będzie teraz trudno, bardzo trudno, ale już nie będę patrzeć za siebie, nie obejrzę się przez ramię. Albie zna tę prawdę – jesteśmy stworzeni, by patrzeć wzwyż.

Na nowej wyspie w kuchni są gotowe mleko w proszku i sterylizator. Beth szykuje butelkę. Fin siedzi na podłodze mniej więcej tam, gdzie ona upadła i wykrwawiała się niemal na śmierć. Jakoś nigdy jej nie przeszkadzało, że mieszka i pracuje w miejscu, w którym omal nie zginęła. Może dlatego, że pomieszczenie wygląda zupełnie inaczej – musiałam je zmienić. Dom przez trzy dni stanowił miejsce zbrodni. Podczas gdy technicy robili zdjęcia, pobierali odciski i pomiary, krew wsiąkała w chropowate płytki. Nawet brygada sprzątaczy, którą do mnie wysłano, nie zdołała jej wywabić. Kazałam wyłożyć całą podłogę przeróżnymi kafelkami, a potem umeblowałam kuchnię w Ikea i za pomocą urządzeń, które Mac wyszukał na promocjach. Wygląda trochę jak sala operacyjna, ale utrata atmosfery kuchni to mała cena za pozbycie się krwawych plam.

Wchodzę tu teraz bez przeblysków wspomnień, ale metrażu nie przybyło, i czasem nie potrafię oprzeć się nakładaniu starego wystroju na nowy. Tam stała lodówka, w której przechowywaliśmy leki na wzmożenie płodności. Na swoim miejscu pozostało okno, w którym staliśmy, skąpani słońcem, żeby w jego promieniach szybciej odczytać pozytywny wynik testu ciążowego. Tam był blat, na którym co wieczór przyrządzał mi ciepłą kolację. Tam, pod oknem, stało radio, dające nam podkład do naszych kuchennych dyskotek.

W miejscu staromodnej ławy z blatem, gdzie Jamie Balcombe trzymał mnie i Beth jako zakładniczki, są stół kuchenny i krzesła. Niezmieniony pozostał próg, w którym Kit stał i patrzył, sparaliżowany tym, co widział, i tym, co wiem. A tu, zaraz na prawo od zmywarki, zrobiłam ze swojego męża mordercę.

„Dziki wyścig” do noża, który oboje opisywaliśmy w sądzie, był bujną, ale

o tym wiedziałam tylko ja.

Wiedziałam też, że Jamie musiał zginąć, jeśli my wszyscy mieliśmy przeżyć.

Szkic tego, co zrobił Kit, wzbudził we mnie dziką furję.

Ty miej krew na rękach, pomyślałam. Nie będę rodzić w więzieniu. Nie oddam za ciebie ani sekundy swojej wolności.

Lata gry w bilard nauczyły mnie o trajektorii i precyzji, ale też pokazały, jak blefować. Doskonale wiedziałam, co robię, kiedy opuszkami palców odbiłam nóż w stronę Kita, i z satysfakcją patrzyłam, jak jego niewierna dłoń zaciska się na rękojeści.

# Podziękowania

DZIĘKUJĘ MOJEJ FANTASTYCZNEJ NOWEJ REDAKTORCE RUTH TROSS (PIERWSZA WSPÓLNA PRZEPRAWA DOSTARCZYŁA MI NIEWYPOWIEDZIANEJ RADOŚCI), LOUISE SWANNELL, LENI LAWRENCE, CICELY ASPINALL, NAOMI BERWIN, PENNY ISAAC, I CAŁEJ ZAŁODZE HODDER AND STOUGHTON.

Składam podziękowania wspaniałej ekipie United Agents – Sarah Ballard i Zoe Ross, Margaret Halton, Amy Mitchell, Joeyowi Hornsby’emu, Eliowi Kerenowi oraz Georginie Gordon-Smith.

Ukłony dla moich świątłych przyjaciół: Daniela Murraya, Bathsheby Cassell, Harriet Tyce, Gemmy Cole i Chrisa Lawa. Szczególne podziękowania kieruję w stronę pisarza i prawnika Neila White’a, który odpowiedział na tweet z prośbą o „pięć minut swojego cennego czasu”, a po sześciu miesiącach nie zaprzestał codziennej produkcji maili. Wszelkie błędy z zakresu prawa i procedur są moje i dziękuję, nie mam więcej pytań.

Jestem wdzięczna mojemu sabatowi czarownic: Mel McGrath, Louise Millar, Jane Casey, Laurze Wilson, Kate Rhodes, Sarah Hilary, Serenie Mackesy, Helen Smith, Denise Meredith, Ali Turner, Alison Joseph, Katie Medinie, Helen Giltrow, Louise Voss, Colette McBeth, Pauli Hawkins, Tammy Cohen oraz Nikoline Nordfred Eriksen.



Serdeczne dzięki dla Helen Treacy i jej niewyczerpanego czerwonego pióra, Sali Hughes za najeżdżanie na hipisów oraz Julii Crouch i Claire McGowan za nieomyłne wyczucie, kiedy potrzebuję herbaty, a kiedy wina.

Na koniec, ale przede wszystkim, dziękuję mojej rodzinie: Mamie i Jude, Tacie i Susan, Owenowi i Shonie. Michaelu, Marnie i Sadie – Kocham Was.

W pracy nad powieścią korzystałam z poniższych źródeł:

- Sue Lees, *Carnal Knowledge: Rape On Trial*
- Helena Kennedy, QC, *Eve Was Framed: Women and British Justice*
- Dr Kate Russo, *Total Addiction: The Life of An Eclipse Chaser*
- Fred Espenak, Mark Littman i Ken Wilcox, *Totality: Eclipses of the Sun*
- Blog Grahama St Johna, *Dancing in the Cosmic Sweet Spot*